A.R. Keystone

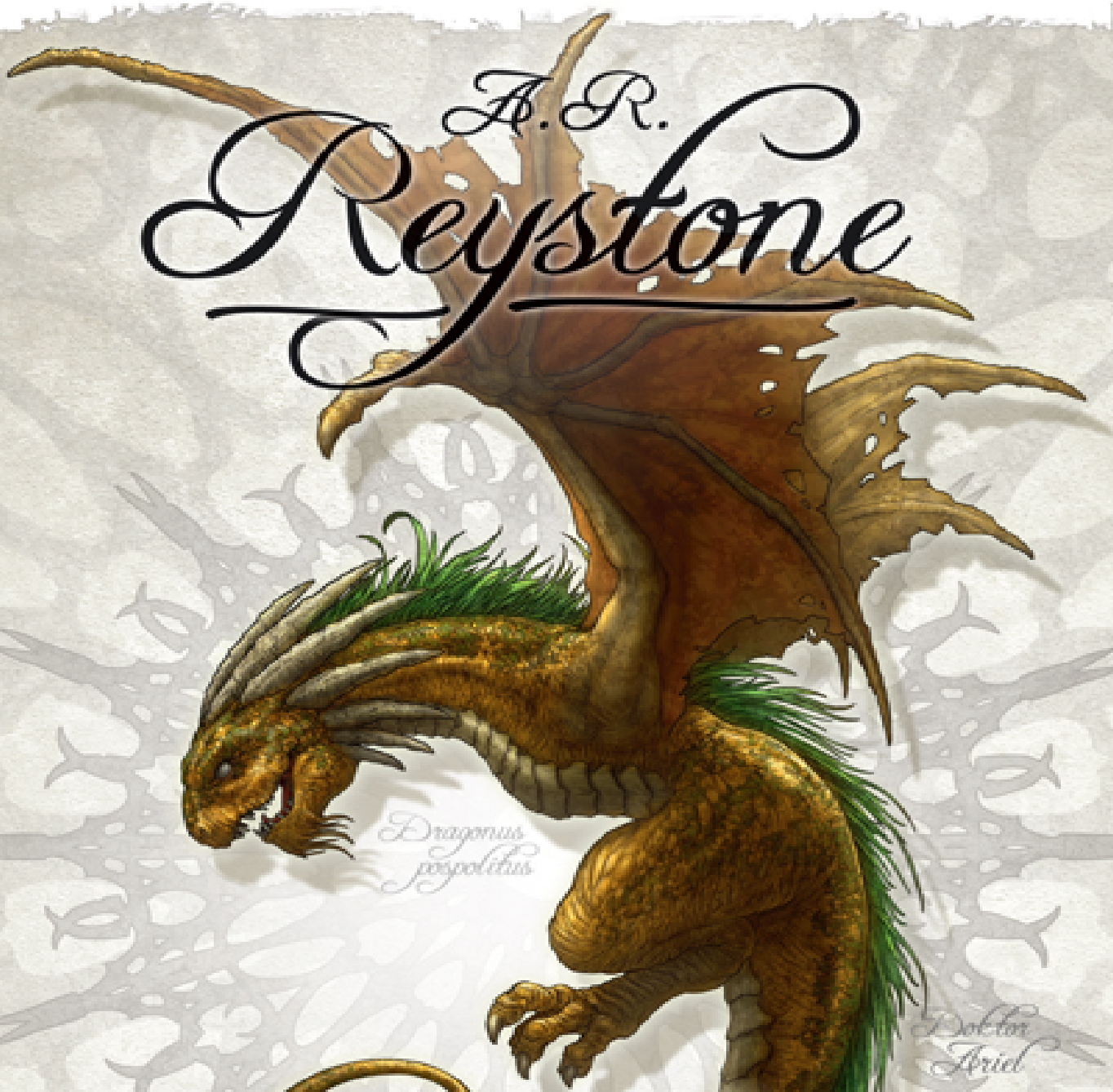

DZIEWIĄTY MAG

DZIEDZICTWO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

A.R. Reystone

DZIEWIĄTY MAG

DZIEDZICTWO

Nasza Księgarnia

Dziewiąty Mag. Dziedzictwo

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony:

W serii

Poznaj pozostałe tomy serii

Dedykacja

Adriana

Amanda

Ratusz trzeciego miasta

Plac przed ratuszem – w tym samym czasie

Driadowy Jar – tej samej nocy

Z pamiętnika Xaviere’a (kilka tygodni później).

Z pamiętnika Xaviere’a:

Z pamiętnika Xaviere’a:

Z pamiętnika Xaviere’a:

Po drugiej stronie gór – jakiś czas wcześniej Jared

Świt – jakiś czas później

Ariel – dzisiaj

Jack

Sheridan

Tej nocy

Sheridan – wieczorem

Tego samego dnia rano

Późnym popołudniem

EPILOG

Podziękowania

O autorce

Karta redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Znajdź nas na Facebooku
www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia

Poznaj naszą ofertę z serii DZIEWIĄTY MAG
http://www.nk.com.pl/dziewiaty-mag/190/seria.html

Poznaj naszą ofertę z zakresu FANTASTYKA i HORROR
http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html

W serii

Dziewiąty Mag
Dziewiąty Mag. Zdrada
Dziewiąty Mag. Dziedzictwo

Poznaj pozostałe tomy serii

Smok nie spał. Patrzył na nią przenikliwie zielono-złotymi ślepiami...

Ataki trolli, chimer i cyklopów są coraz bardziej zuchwałe. Magiczne kopuły chroniące dziewięć miast tracą moc, smoki zaczynają chorować. Za radą wszechwiedzącej Oriany dwunastu oficerów wyrusza do równoległego świata.

Ariel, lekarz weterynarii i matka ośmiolatki, nie potrafi uwierzyć w słowa tajemniczego Fabiena. Mężczyzna podający się za elfickiego oficera twierdzi, że tylko ona zdoła zaradzić dziwnej epidemii wśród smoków. Czy on oszalał?

Tymczasem Ariel poznaje Croya... Croy jest ogromny. Zielono-złote łuski na jego ciele układają się w fantazyjny wzór. Ma błoniaste skrzydła, krótki i zaokrąglony pysk, jego łapy uzbrojone są w potężne szpony. Pod wpływem dotyku Ariel łuski Croya zmieniają barwę, wtedy on składa ukłon i zaprasza ją do swojego świata. Razem przechodzą przez portal. Komuś potężnemu o czerwonych oczach bez źrenic bardzo się to nie spodoba.

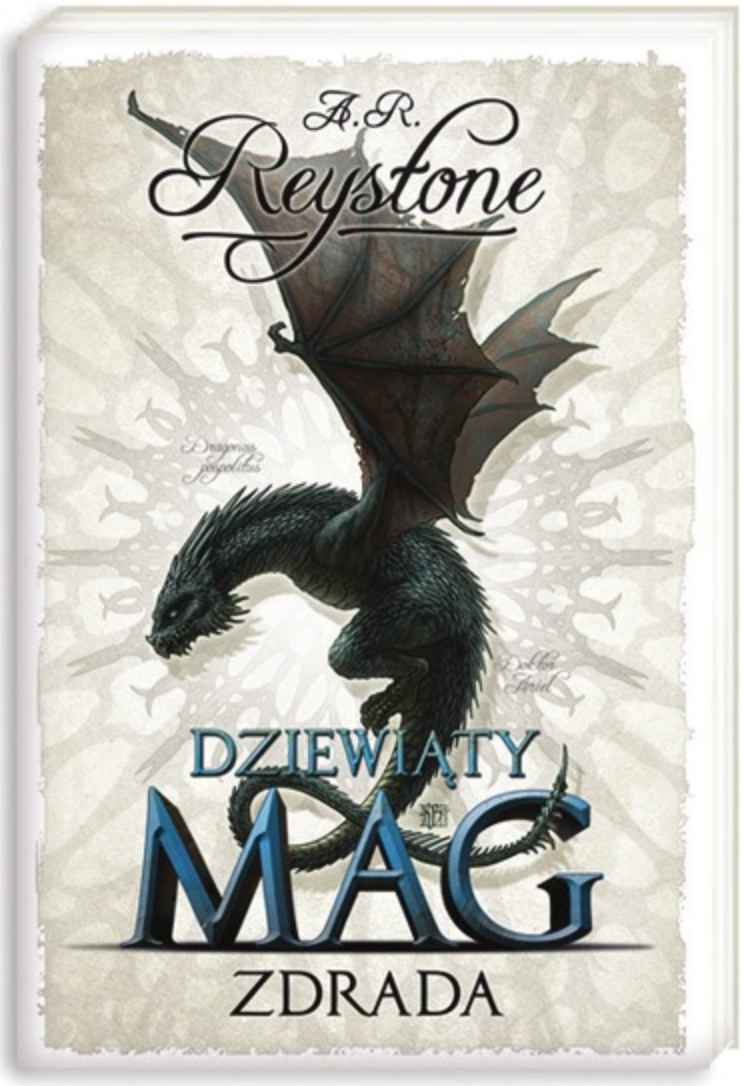

Smoki ruszyły w jej stronę. Wyciągnęła dłoń i odparła atak zaklęciem...

Nad świat dziewięciu miast nadciągają czarne chmury. Wybitni czarnoksiężnicy w pośpiechu pracują nad sposobami walki z groźnymi nyrionami. Nadszedł czas rozpoczęcia szkolenia magów medyków i budowy szpitala dla smoków i pegazów na Trollowych Rubieżach. Ale na Wielkiego Xaviere'a! Kobieta Dziewiątym Magiem?! To niedorzeczność i obraza społeczności

wszystkich miast. Poza Severianem i Teobaldem nikt nie chce się zgodzić, aby Ariel podeszła do próby na Dziewiątego Maga. Czy otrzyma tę wielką szansę?...

Tymczasem Vivianne lada dzień złoży jaja. Ariel bardzo martwi stan jej zdrowia. Marcus zaś zostaje postawiony w sytuacji bez wyjścia i grozi mu zesłanie na Rubieże. Czy Ariel zdoła mu pomóc, szczególnie że to ona jest źródłem jego problemów?...

Zespołowi Evanescence oraz Tarji Turunen za oceany inspiracji,
jakich dostarczyła mi ich muzyka...

Adriana

Prowadzenie księgarni. Czy rzeczywiście o tym marzyła? Lubiła książki, fakt, jednak co innego rozsiąść się w fotelu i zagłębić w intrygującej fabule, a co innego spędzać całe dnie w stertach faktur, opłat, zamówień i zwrotów. No i jeszcze to ciągłe wysłuchiwanie narzekań pracowników i marudzenia kontrahentów, a na dodatek walka o utrzymanie się na rynku, co w dobie ogólnoświatowego kryzysu przypominało nieco *mission impossible*. Na szczęście jej biznes – co było zastanawiające – z jakiegoś powodu prosperował bez problemów. Jednak w roli bizneswoman nie czuła się zbyt komfortowo, więc właściwie po co jej to było?

„Przestań stękać, Addie" – pomyślała i bardzo starannie poprawiła makijaż, przeglądając się w monitorze laptopa, który dzięki kamerce posłużył jej jako lustro. Potem, popijając kakao, zaczęła sprawdzać finanse firmy. „Praca jak każda inna. Pozwala ci opłacać rachunki, więc nie jęcz, kobieto. Jeezu, zaczynam się zamieniać w zrzędliwą staruszkę" – skarciła się w myślach, lecz natychmiast przypomniała sobie pewną uroczą starszą panią, która regularnie przychodziła do jej księgarni i zabawiała pracowników anegdotami z czasów młodości. Uśmiechnęła się na to wspomnienie i już wiedziała, co lubi w swojej pracy. Pogawędki z klientami i to nieco nudne poczucie spokoju i bezpieczeństwa,

gdy przechadzała się między regałami uginającymi się od książek. No i o tamtej starowince z całą pewnością nie mogła powiedzieć, że jest zrzędliwa.

– Addie – wyrwał ją z zamyślenia cichy głos. W drzwiach pakamery pojawiła się głowa Helen, młodej, energicznej sprzedawczyni i jednocześnie wspólniczki. – Terminal do kart się zepsuł, ale już zadzwoniłam do serwisu. Mówiłaś, że masz pomysł na nowy wystrój witryny. No to czekam...

– A tak, kompletnie zapomniałam, już idę.

Po chwili urządzanie okna wystawowego tak bardzo ją wciągnęło, że zapomniała o całej biurokratycznej mordędze związanej z prowadzeniem firmy i własnych kłopotach z pamięcią, a nawet o nawiedzających ją dziwnych snach. Jej uwagę zaprzątnęły niepodzielnie książki. Kiedy jednak ostatni klient wyszedł, światła pogaszono i lokal zamknięto, a ona sama jechała pustym autobusem do domu, złapała się na myśli, że to nie jej czas i miejsce.

„Co się ze mną dzieje, do licha? Mam fajny dom i stałą, dającą przyzwoity dochód pracę, a ciągle myślę, że to wszystko nie tak. Że to nie moje życie. Że jestem tu przez pomyłkę albo za karę i powinnam być gdzie indziej, robić kompletnie coś innego. Jednak co by to miało być? Niee, to z pewnością skutki urazu po pożarze ich poprzedniego domu. No i jest przecież Marc. – Uśmiechnęła się na myśl o mężu. – Powinnam mu co dnia udowadniać, że na niego zasługuję. A zamiast tego co? Zanudzam go opowiadaniem swoich snów, narzekaniem, jak mi źle. Trzeba przyznać, że ma do mnie anielską cierpliwość. Rodzina. Najwyższy czas ją

powiększyć. Aż dziw bierze, że jeszcze nie dorobiliśmy się stadka małych rozbrykanych trolli albo chociażby jednego...”.

Coś za oknem autobusu przykuło jej wzrok. Jakaś kamieniczka na skraju miejskiego parku. Czemu wydała jej się znajoma?

„Te kolorowe szybki... Pod Krzywym Kogutem... Zaraz, zaraz, skąd ja znam tę nazwę?”. Jej mózg intensywnie starał się rozwikłać zagadkę tego nagłego *déjà vu*.

– Przystanek końcowy! – usłyszała wołanie kierowcy. Rozejrzała się półprzytomnie niczym ktoś dopiero co wyrwany z głębokiego snu. – Przystanek końcowy, proszę pani!

– A tak, jasne, już uciekam. – Uśmiechem przeprosiła za swoją gapiowatość.

„Czas zacząć żyć tu i teraz – pomyślała – a nie fantazyjnymi snami. Twoja rzeczywistość czeka na ciebie w domu i jest to cudowna rzeczywistość, więc przestań bujać w obłokach, kobieto! Tak, normalna rodzina i stadko niesfornych szkrabów to jest to, czego mi trzeba, a nie żałosnych prób przypomnienia sobie czegokolwiek sprzed pożaru”.

Stanowczym ruchem złapała torbę z zakupami i wysiadła z jasno oświetlonego pojazdu wprost w objęcia nadciągającego mroku. Dwie ulice dalej widok białych ścian bliźniaka i dorodnego bzu zdobiącego solidnie przystrzyżony trawnik sprawił, że uśmiechnęła się bezwiednie. Pewnym krokiem przemierzyła podjazd i energicznie zastukała do drzwi. W salonie paliło się światło, więc Marc pewnie oglądał telewizję. W oczekiwaniu, aż otworzy jej drzwi, wyjęła z torby butelkę wina, którym zamierzała go zaskoczyć.

– Addie? Zapomniałaś kluczy?

Pokręciła głową.

– Nie, skarbie. Ręce miałam zajęte tym. – Pokazała butelkę.

– Wino? W środku tygodnia? Coś świętujemy? – zapytał zdziwiony.

– Tak jakby...

– A co takiego?

– Będziemy pracować nad nowym pokoleniem Bryantów, słonko – szepnęła mu zmysłowo do ucha i uśmiechnęła się, a potem zgrabnie wyminęła go w drzwiach. Pantofle poleciały w kąt przedpokoju i Addie ruszyła do kuchni z torbą pełną zakupów w jednej i butelką wina w drugiej ręce.

– Chwila, zdaje się, że to my, faceci, „robimy" dzieci kobietom, a nie na odwrót – odparł Marc ze śmiechem, podczas gdy ona rozpakowywała sprawunki.

– Jasne, skarbie, ale jak facet się do tego nie garnie, to trzeba przejąć inicjatywę. Zresztą jest równouprawnienie. – Pokazała mu język. – Aha, i nie chcę słyszeć, że mamy jeszcze czas i że nadal nas na to nie stać. Zmienisz zdanie, jak zobaczysz moją nową bieliznę. Za minutę chcę cię widzieć na górze. Czy ci się to podoba, czy nie, rodzina Bryantów dzisiaj się powiększy. Wolisz w sypialni czy w wannie? – Posłała mu jedno z tych spojrzeń, po których zawsze miękły mu kolana.

– Jesteś dziś mało pomysłowa, Addie, i rzekłbym, że popadasz w rutynę – zakpił. – No dobra, niech będzie sypialnia. Potem zobaczymy...

– Świetnie. Striptizem też nie pogardzę, ale na razie wystarczy, jak przyniesiesz z kuchni kieliszki. I pamiętaj: żadnych gumek. – Ruszyła w stronę schodów na pięterko.

– Wielkie nieba, kobieto! Gdzie się podziała twoja romantyczna natura? – zachichotał.

– Mój zegar biologiczny spuścił jej niezły łomot. – Wybuchnęła śmiechem.

Zaczęła wchodzić po schodach.

– I nie jesteś ani trochę zmęczona? Po tylu godzinach pracy?

– Marc, do diabła! Nie szukaj wykrętów, tylko... – usłyszał jeszcze, a potem rozległ się huk, krzyk, a na koniec przekleństwa i jęki Addie. Wyskoczył z kuchni, ale zanim zdążył dopaść do schodów i ją złapać, rąbnęła o najbliższą ścianę. – A niech to jasna cholera! – Pozbierała się z podłogi, usiadła na najniższym stopniu i zaczęła rozcierać poobijane ramię. – Właśnie romantyczna natura zemściła się na mnie za te szyderstwa. Pomożesz mi wstać? Kurczę, Marc, popatrz, wino szlag trafił. A miało być tak fajnie. – Westchnęła rozżalona.

Ujrzała przerażenie w jego oczach.

– Ar... Adriano, wino to najmniejszy problem. Pokaż! – rozkazał. – Pokaż mi tę ranę.

Rzeczywiście, upaćkana winem podłoga, schody i ściany oraz wszechobecne kawałki szkła były niczym w porównaniu ze sporych rozmiarów fragmentem butelki wystającym z drugiego ramienia Addie. Odwróciła głowę, żeby zobaczyć, o co chodzi.

– Ożeż... – zmięła w ustach przekleństwo, wstała i skierowała się do łazienki. Zerknęła w lustro. Zatroskany mężczyzna i kobieta w umazanej winem i własną krwią bluzce. Nie ucieszył jej ten widok. Skaleczone ramię pulsowało coraz mocniejszym bólem. Zacisnęła zęby. – No nic, bluzka też na straty, a tak ją

lubiłam. Na dodatek będzie nowa blizna do kolekcji – mruknęła. – Marc, znajdź nożyczki i rozetnij to cholerstwo.

Błyskawicznie zrobił, o co prosiła. Strzępy bluzki wylądowały na podłodze. Addie odwróciła się plecami do lustra i spoglądając przez ramię, oceniła, czy sobie z tym sami poradzą.

– To nie wygląda dobrze. Jedziemy do szpitala – powiedział Marc i już po chwili słyszała, jak dzwoni po taksówkę.

– Poczekaj, może nie będzie trzeba. – Stęknęła, chwyciła szkło w dwa palce i szybkim ruchem wyjęła z rany. Efekt był taki, że teraz rana krwawiła znacznie obficiej. Ciepły strumień płynął wzdłuż ramienia, kropla za kroplą, i rubinowa ciecz rozbryznęła się na kaflach. Addie przyjrzała mu się bez emocji. „Gdyby to się przydarzyło Helen..." – Kobieta uśmiechnęła się ponuro na myśl, w jaką histerię wpadłaby jej wspólniczka.

– Addie, nie jesteś żadnym komandosem, żeby sobie samej zszywać rany. Koniec dyskusji. No, zobacz, jak to krwawi! – Marc błyskawicznie zrobił jej opatrunek uciskowy, pomógł się przebrać w czyste ciuchy i już po kilku minutach byli w drodze do szpitala. Ku irytacji męża Addie zdążyła jeszcze w taksówce poprawić makijaż...

Amanda

„Ciekawe, co się stało, że tak nagle mnie wzywają. I to tutaj, do sali obrad. Pewnie w końcu ustalili termin mojego zaprzysiężenia. No bo ile można czekać? Chyba wystarczająco dobrze się sprawdziłam jako zarządzająca miastem? Potem muszę pogadać z Cyrusem. Tak, on najlepiej się do tego nadaje. Komuś powinnam opowiedzieć o tym liściku, o Julienie, o tylu sprawach…" – pomyślała, gdy dotarła terminalem na miejsce. Jednak nie zdążyła się przywitać z Naczelnymi ani nawet rozejrzeć.

– *Obidientia!* – usłyszała głosy pięciu głównych magów, gdy wspólnie stanowczo i dobitnie wypowiedzieli zaklęcie wymuszające posłuszeństwo.

Poczuła się dziwnie słabo. Przed upadkiem uratował ją Celestyn, delikatnie sadzając w fotelu należącym do któregoś z Naczelnych. Kręciło jej się w głowie. Nic nie rozumiała. Jej skronie pulsowały żywym ogniem, świat przesłaniała płynna krwistoczerwona zasłona. Widząc, że magowie idą w jej stronę, chciała się zerwać i uciec, ale nie mogła.

– Amando – dobiegł ją głos Cyrusa, ale jakiś taki przytłumiony. Jakby go oddzielały od niej dziesiątki kurtyn. – Wybacz, że musieliśmy to zrobić. I wybacz, że robimy to…

Pięciu głównych magów położyło dłonie na jej ramionach i ponownie wspólnie wyszeptało:

– *Reverso!*

Jeszcze bardziej pociemniało jej w oczach. Od zawrotów głowy niemal ją zemdliło. Coś działo się także z jej ciałem, lecz nie była w stanie przebić wzrokiem krwawej kurtyny. Bolały ją wszystkie kości, mięśnie i trzewia. Zasłona przed oczami zrobiła się rzadsza niczym rozcieńczona wodą krew.

– *Reverso! Reverso!* – powtarzali w nieskończoność Naczelni, a w jej uszach brzmiało to niemal jak pieśń żałobna.

Kurtyna krwi rozrzedziła się jeszcze bardziej, lecz mimo to dziewczyna nadal nic nie widziała, bo teraz w jej umyśle zaczęły pojawiać się obrazy z jej życia, tyle że niczym film odtwarzany w szybkim tempie od końca. Klatka po klatce, sceny mknęły z zawrotną szybkością. Równie szybko zmieniało się ciało dziewczyny. Już nie przypominała seksownej młodej kobiety w gustownym kostiumie, jaką jeszcze przed chwilą była. W ogromnym fotelu któregoś z Naczelnych Magów tkwiła teraz wystraszona szesnastolatka w spranych dżinsach...

– Addie? To znowu ty? – Brwi lekarza w izbie przyjęć szpitala miejskiego ułożyły się w pełne dezaprobaty znaki zapytania.

„O nie, tylko nie Jeffrey” – pomyślała na jego widok. Jakimś cudem za każdym razem, gdy potrzebowała pomocy medycznej,

trafiała na tego prześmiewcę. Jak na lekarza miał irytująco luzackie podejście do pacjentów. A może to dotyczyło tylko jej, bo był znajomym Marca jeszcze sprzed pożaru domu? Chyba wolałaby być anonimową pacjentką, może wtedy traktowałby ją poważnie i nie musieliby udawać, że się lubią.

Skrzywiła się, ale uprzejmie odpowiedziała:

– Cześć, Jeff.

– Co tym razem? Przemoc w rodzinie? – zażartował mężczyzna, odwijając bandaże i oglądając głęboką ranę.

– Nie. Jak to mówią w tandetnych romansach, zgłębialiśmy tajemnice alkowy – palnęła, nim zdążyła się ugryźć w język.

– Tajemnice czego?! – Adriana miała wrażenie, że brwi Jeffreya nigdy nie przestaną się podnosić i zatrzymają się dopiero gdzieś z tyłu głowy albo przynajmniej pośrodku starannie wypielęgnowanej płowej czupryny. – Z potłuczoną butelką w roli głównej? Addie, słyszałaś o czymś takim jak bezpieczny seks?

– Jasne! Tyle że wtedy nie zajdę w ciążę – zadrwiła, lecz mężczyzna tylko się uśmiechnął.

– Addie, dość! – Marc stanowczym gestem złapał ją za dłoń, zanim na dobre się rozkręciła. Zmarszczył brwi, a Addie natychmiast zreflektowała się, że przesadziła. Tych dwoje wzajemnie się nie znosiło, a on musiał tkwić w środku tego pokręconego układu. – Słonko, chcemy ci pomóc, tak? Więc nam tego nie utrudniaj. Z góry wielkie dzięki.

Wzruszyła ramionami.

– No to do dzieła, doktorze House.

– Nazywam się Moritz, Jeffrey Moritz, i, uwierz mi, jestem bardziej profesjonalny niż ten cały przereklamowany, niedomyty

House. – Jeff zaczął przygotowywać sprzęt chirurgiczny, zupełnie nie przejmując się jej dogryzaniem. – Dobra, co my tu mamy... – Obejrzał ranę przez szkło powiększające. – Odłamków nie widzę...

– Wyjęłam wielki kawałek jeszcze w domu. Reszta musiała wypłynąć razem z krwią. Wystarczy znieczulić lignokainą tu i tu – pokazała brzegi rany – i założyć parę pojedynczych szwów surgilonem. Może być rozmiar 2-0 lub 3-0, byle z igłą atraumatyczną, do tego surowica przeciwtężcowa i jakaś amoksycylina z kwasem klawulanowym i będę jak nowa... No co? – Umilkła, widząc, że patrzą na nią jak na dziwadło.

– To może jeszcze sama się pozszywasz? – zakpił Jeffrey.

– Nie kuś – odparowała, kompletnie nie zwracając uwagi na coraz bardziej wkurzonego Marca. – Interesująca propozycja, ale, jak widzisz, mam tylko dwie ręce, z czego jedną niesprawną, i nie przypominam sobie, żebym miała oczy na plecach.

– Fakt, to ociupinę utrudnia sprawę. – Teraz on się odgryzł. – A tak w ogóle to myślałem, że jesteś księgarzem. Zmieniłaś profesję?

– Nie, tylko dużo czytam.

– Rozumiem. Skoro jednak to ja mam cię pozszywać, bądź tak uprzejma i nie ucz mnie, co mam robić, a najlepiej byłoby, gdybyś przez następne dziesięć minut poćwiczyła mięsień okrężny ust.

– A po co?

– W razie gdyby lignokaina nie zadziałała...

– Surgilon? Surgilon?! Co to, do cholery, jest ten surgilon?! Skąd ty w ogóle znasz takie słowa?! I czy zawsze musisz być dla niego taka wredna? On się naprawdę starał! – naskoczył na nią Marc, gdy tylko wrócili do domu.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie, sądząc po tym, jak mnie źle znieczulił. A jestem dla niego wredna, bo on jest wredny dla mnie. Surgilon, jeśli chcesz wiedzieć, to nici do szycia skóry. I nie, nie chcę słyszeć, że „jestem księgarzem i mam spisywać swoje kolorowe sny", bo obydwoje doskonale wiemy, że... że... – Na końcu języka miała stwierdzenie, że „to nieprawda", ale coś w spojrzeniu męża powiedziało jej, że nie powinna kończyć tego zdania. – A teraz, jeśli pozwolisz, idę spać, bo jakoś przeszła mi ochota na płodzenie nowego pokolenia Bryantów. Jeszcze mogłoby być tak głupie i krótkowzroczne jak ojciec! – Adriana odwróciła się na pięcie i zniknęła w sypialni. Chwilę później ponownie otworzyła drzwi i w stronę mężczyzny poleciała pościel. – Miłych snów, panie Bryant! – warknęła i trzasnęła drzwiami tak mocno, że Marc kolejny raz musiał pochwalić solidność ekipy remontowej, która odnawiała dom, zanim się tu wprowadzili. Dobrze, że Adriana skryła się w sypialni, bo chociaż oczywiście bardzo ją kochał, w tej konkretnej chwili udusiłby ją bez wahania, tak bardzo wkurzyła go kłótnią z Jeffreyem. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, powędrował do salonu.

Leżąc kolejną godzinę ze wzrokiem wbitym w jakieś nierówności na suficie, bił się z myślami. Addie, jej kłopoty z pamięcią, jej wizje... Wszystko to zaczynało go coraz bardziej niepokoić.

„Ale jeśli przyznam, że... jej sny tak naprawdę mówią o... Tak, będzie jeszcze gorzej. Zacznie drążyć temat, szukać odpowiedzi i przeszłość wróci. O spokojnym życiu będzie można zapomnieć".

Natłok myśli nie pozwalał mężczyźnie zasnąć. Po kolejnej bezsennej godzinie bezszelestnie wsunął się do sypialni, a potem jeszcze ostrożniej pod kołdrę, i nieśmiało przytulił się do pleców kobiety. Leżeli tak dłuższą chwilę.

– Nadal gniewamy się na siebie? – usłyszał cichutki szept. Odwróciła się do niego i zobaczył, że ma mokre policzki.

– Jasne, że nie. Mogę tu zostać czy mam wracać na kanapę?

– Już się bałam, że zostaniesz tam do rana... – Teraz ona wtuliła się w niego. – Mogę cię poprzepraszać?

– A ręka?

– Aż tak bardzo nie boli. Poza tym do tego, co chcę zrobić, ręce mi niepotrzebne. – Zobaczył filuterny uśmiech na jej twarzy i odetchnął z ulgą, że nawałnica, jaką sobie zafundowali, właśnie dobiega końca. – Pamiętasz, jaki jest najstarszy znany ludzkości sposób nagradzania bohaterów? – Zobaczyła zrozumienie w jego błękitnych oczach. – A wspominałam już, że to też najprzyjemniejsza forma naprawiania błędów i przyznawania się do winy?

Oblizał usta, bo już dotarło do niego, co będzie dalej.

– Lubię, kiedy mnie przepraszasz. Bardzo...

Pociągnęła nosem i otarła łzy końcem rękawa. Spojrzała spode łba na pięciu mężczyzn.

– Wiesz, co zrobiliśmy – stwierdził Celestyn. Kucnął przy niej, spojrzał w zapłakaną twarz dziewczyny i poklepał ją przyjaźnie po dłoni. – Musieliśmy, Amando...

– Wcale nie!

– Musieliśmy – powtórzył łagodnie. – Rzuciłaś sama na siebie zaklęcie, które sprawiło, że dojrzałaś niemal z dnia na dzień. Przyznaję, dzięki twojej pomocy pokonaliśmy Orianę, jednak teraz... Zrozum, nie wolno nam zaprzysiąc cię jako Naczelnego Maga. Nie przeszłaś próby i tak naprawdę nie jesteś jeszcze dorosła. Nawet nie skończyłaś edukacji w Oazie Szkolnej. Musimy szanować nasze prawo, a ono stanowi, że Naczelnym zostaje dorosły czarodziej, który pomyślnie przejdzie próbę na Arenie.

Odpowiedziała mu cisza. Dziewczyna przestała płakać. Siedziała z opuszczoną głową, w milczeniu. Ciemne włosy całkowicie zakryły jej twarz, więc Naczelny mógł jedynie podejrzewać, jaka jest jej reakcja.

– Amando, musieliśmy cofnąć twoje zaklęcia. – Zrobiło mu się żal tego dzieciaka. – Bezpowrotnie. Sprawić, że twoje ciało znowu będzie odpowiadać rzeczywistemu wiekowi. Drugi raz nie zdołasz powtórzyć tych zaklęć, więc proszę, nawet nie próbuj tego robić. Mocą magiczną należy posługiwać się bardzo ostrożnie i z rozwagą. Postanowiliśmy, że wrócisz do Oazy Szkolnej, a w stosownym czasie staniesz do próby, i nie mam żadnych wątpliwości, że przejdziesz ją zwycięsko, a wtedy z wszelkimi honorami przyjmiemy cię do naszego grona.

– A jeśli nie zechcę...

– Stanąć do próby? Cóż, nikt cię nie będzie zmuszał...

– ...wrócić do Oazy Szkolnej?! – przerwała mu i spojrzała hardo w oczy.

Naczelni zamarli, widząc tak wielki gniew w tak młodej osobie.

– Amando – odparł ze smutkiem w głosie Celestyn – rozumiem, że się gniewasz, ale proszę, nie idź w ślady swego... wuja. Nie popełnij błędów Darrena. Był wielkim czarnoksiężnikiem i mógł wiele osiągnąć, ale zaprzepaścił to, ulegając gniewowi, grzesząc brakiem pokory, zrozumienia, pychą. Zaślepiło go poczucie swojej wielkości. Jesteś wyjątkowa, Amando, naprawdę...

„Kurczę, gdzie ja to już słyszałam?".

– Będziesz wspaniałą Naczelną – kontynuował Celestyn – jednak pamiętaj, że nikt, zwłaszcza Naczelny, nie stoi ponad prawem, a to prawo każe ci przejść próbę dopiero wtedy, gdy będziesz pełnoletnia. Uszanuj je, jeśli chcesz, żeby mieszkańcy zaaprobowali i uszanowali ciebie. – Spojrzał w czarne, jakże podobne do Darrenowych, oczy Amandy i niepokój zagościł w jego sercu. – Proszę, nie stań się kolejnym Darrenem... – Sam się zdziwił słowami, jakie wyszły z jego ust. Spojrzała na niego tak, że ciarki przeszły mu po plecach. Gdzieś w głębi jego serca zasiały się i zakwitły niczym trujące zielsko paskudne podejrzenia. „Czyżby to dziecko?...". Jako jedyna nigdy nie przeszła oficjalnej próby kontaktu ze smokiem, a więc nikt nigdy nie sprawdził w ten sposób jej magicznych mocy. Czy będzie zagrożeniem dla miast, mimo że tak dzielnie o nie walczyła?

– Nie truj! – Ciemne oczy dziewczyny stały się niemal czarnymi bryłkami lodu. – Doskonale wiesz, że bez mojej pomocy Oriana nadal panoszyłaby się tutaj. Wiesz również, że prawo można

zmieniać. Udowodniła to moja matka. Celestyn, ty po prostu nie chcesz, żebym była Naczelną, bo biję was wszystkich na głowę swymi umiejętnościami. Prawisz mi morały o manii wielkości, pysze, braku pokory, podczas gdy zżera cię zwykła, podła zazdrość? A fe, niełądnie! – Pogroziła mu teatralnie palcem.

– Amando, dość! – rzucił ostro Cyrus i to dopiero sprowadziło rozgorączkowaną pannicę na ziemię. – Rozumiemy, że jesteś na nas zła, lecz kiedy wszystko przemyślisz, pojmiesz, że nie mogliśmy postąpić inaczej. Oczekujemy, że jako kandydatka na Naczelną będziesz respektować prawo dziewięciu miast. Choćby przez wzgląd na swoją matkę... – Spojrzał na nią wyczekująco.

Zacisnęła szczęki. Wściekłość ukryła pod spuszczonymi powiekami. Na twarzy jednak nie pojawiły się już żadne emocje. Zmusiła się jedynie do skinienia głową, że rozumie Cyrusa, co nie znaczy, że się z nim zgadza.

– Świetnie. Nie zwlekajmy więc. Amando, nie widzę twojej Bransolety. Załóż ją. – Wyjęła z kieszeni niewielką bransoletkę i posłusznie zacisnęła na lewym nadgarstku.

– Wrócę teraz z tobą do ratusza i spakujesz swoje rzeczy. Potem pomogę ci przenieść się do Oazy – powiedział Cyrus do Amandy. – A my – skinął kolegom głową – widzimy się za tydzień, tak jak było ustalone.

Odpowiedziały mu poważne spojrzenia pozostałych Naczelnych.

Stała samotnie pośrodku przeszklonego gabinetu w ratuszu, z którego Irfan zdążył już usunąć ślady bytności Juliena. Jeszcze godzinę temu ten gabinet razem z resztą apartamentu Naczelnego należał do niej. Zamieszkała w nim tuż po zwycięstwie nad Orianą. Zdążyła się tu zadomowić, rozgościć i urządzić po swojemu. Teraz równie nagle miała go opuścić. Pierwsze emocje minęły. Już się nie wściekała. O dziwo, nawet rozumiała, czemu to zrobili.

„Jestem tak samo impulsywna jak mama. I tak samo jak ona kiedyś samotna... To źle. Muszę się nauczyć kontrolować emocje. Gniew jest złym doradcą – pomyślała. – A Oaza Szkolna to jakiś koszmar. Nie, nie mogę do niej wrócić. Strata czasu. I tak niczego więcej się tam nie nauczę". Poza tym to oczywiste, że będą kontrolowali każdy jej krok, a ona nie chciała mieć nadzorców.

Przyjrzała się miastu, które – odnosiła wrażenie – znała i kochała od zawsze. Z tego piętra roztaczał się najpiękniejszy widok. Co z tego, że miała z powrotem ciało nastolatki? Pozostały jej umysł, wiedza i umiejętności dorosłej, wykształconej kobiety. Na szczęście Naczelni o tym nie wiedzieli.

„Dobrze, że nie mają też pojęcia, iż tak naprawdę niedługo powinnam mieć jedenaście, a nie szesnaście lat. Skończyli *reverso* za szybko, no ale co oni mogą wiedzieć o rozwoju nastolatek? Na dodatek są przekonani, że nie potrafię go odwrócić, i chwilowo niech tak zostanie".

Uśmiechnęła się i pomasowała płatek prawego ucha. Zawsze tak robiła, gdy intensywnie nad czymś rozmyślała.

„A ja? Cóż, kiedyś, pewnego dnia, przypomnę sobie, skąd to wszystko wiem i umiem".

Ta wiedza, którą przyswoiła sobie z ksiąg w ratuszu w pierwszych dniach pobytu tutaj, była jedynie dopełnieniem tego, co już wiedziała.

„Półsny, półsłowa... Chryste, jak bardzo chciałabym wiedzieć, co to oznacza. Czemu te słowa mnie prześladują. Kiedyś na pewno się dowiem, ale teraz trzeba wiać. Wsadzą mnie do tej klatki mentalnej zwanej Oazą Szkolną, a tam zrobią mi pranie mózgu. Wypiorą z wiedzy i umiejętności. Nie dopuszczę do tego. Za nic".

– Amando. – Do gabinetu zajrzał Cyrus. – Spakowałaś się już? To chodźmy.

– Daj mi jeszcze sekundkę, wujku Cyrusie, dobrze? – zaćwierkała niczym posłuszne dziecko. Skinął głową z uśmiechem, pewny, że sytuacja została opanowana. Po chwili zobaczyła przez szklaną ścianę, jak na korytarzu przegląda zawartość jakiegoś kryształu pamięci i ustala coś z urzędnikiem.

„Tak, muszę to zrobić teraz". – Rozejrzała się po gabinecie, zatrzymując dłużej wzrok na gablocie z rzeczami Xaviere'a.

„Nie, nie mogę ich wziąć. Jeszcze nie".

Omiotła ostatnim spojrzeniem gabinet, a potem jej ciało zaczęła oplatać wydobywająca się znikąd zielona mgiełka. Amanda stanęła nieruchomo, skierowała wnętrze dłoni ku podłodze, przymknęła powieki i zaczęła wypowiadać w myślach zaklęcie. Podłoga pod jej stopami zmatowiała, ściany również. Widząc spojrzenia zaskoczonych urzędników i Cyrusa, który pędem ruszył w stronę gabinetu, na jego oczach zdjęła z lewego nadgarstka Bransoletę i schowała ją do kieszeni. Po chwili zielony obłok pochłonął ją całkowicie.

Resztki zielonej mgiełki jeszcze nie zdążyły się rozwiać, gdy drzwi gabinetu otwarły się z hukiem. Stanęło w nich pięciu rozgniewanych Naczelnych, którzy chyba wyłącznie z tej okazji postanowili pobić rekord świata w błyskawicznej teleportacji. Jednak ich wściekłość była niczym w porównaniu z zaskoczeniem po wysłuchaniu relacji Cyrusa.

– A żeby to gnomy obesrały! – zaklął szpetnie Konstancjusz, Naczelny siódmego miasta, na co dzień dżentelmen. – Zwiała! Ta mała spryciula mimo naszych zaklęć tak po prostu zwiała. – Strzelił palcami. – I to z ratusza! Patrzcie, jaka cwana: nie użyła portalu, żebyśmy nie wiedzieli, dokąd zmierza. W dzisiejszych czasach teleportacja bez portalu! Czy ktoś tak jeszcze robi? Że już nie wspomnę o takim drobiazgu jak zakaz bezpośredniej teleportacji. Ale czy kobiety z rodu Odgeonów w ogóle kiedykolwiek przejmowały się przepisami? A ty – warknął w stronę Teobalda, żywo gestykulując – mówiłeś, że moce nas pięciu są silniejsze niż jej potęga! I zobacz, ile są warte twoje teorie!

– Ja tylko twierdziłem, że prawdopodobnie i że...

– Na Wielkiego Xaviere'a, twierdziłeś, twierdziłeś! Należało się upewnić, a teraz co? Zobacz, jaki mamy pasztet z trolla! Mała groźna wiedźma poza jakąkolwiek kontrolą! Masz pojęcie, co to oznacza?! Nie wiemy ani gdzie jest, ani co zamierza zrobić. Nie wiemy nawet...

– Przestańcie! – huknął Celestyn. – Personel nas obserwuje! – Ponownie zmatowił zaklęciem podłogę i ściany gabinetu. – Nie czas na potyczki słowne. Musimy ją namierzyć i złapać.

– Świetnie, Celestynie – wtrącił Cyrus – ale jak zamierzasz to zrobić? Zdążyłeś jej wszczepić nadajnik w tyłek czy wyślesz w pościg ptakosmoki tropiące? A nawet jeśli ją w końcu znajdziesz, to co dalej? Zmienisz w krasnoludzie łajno? – zadrwił. – Zamkniesz w lochu? Wybatożysz publicznie? A właściwie za co? Za to, że się zezłościła na naszą niewdzięczność i sobie poszła? Każda rozumna istota tak właśnie by zrobiła.

– Dziękuję za ten sarkazm, kolego. Ludzkość wiele by straciła bez twoich cennych uwag – odgryzł się Celestyn. – Nie, nie zamierzam jej zamykać w lochu, choćby dlatego, że nim nie dysponujemy. Chcę ją natychmiast poddać próbie kontaktu ze smokiem i sprawdzić, czy nie jest zagrożeniem dla miast.

– A jeśli jest, zabijesz ją? – Cyrus nie dawał za wygraną. – Zabijesz córkę Wszechwiedzącej Ariel, wnuczkę samego Wielkiego Xaviere'a?

– Domniemaną wnuczkę, przypominam ci. Tak, jeśli się okaże zagrożeniem – odparł spokojnie Celestyn.

Powaga, z jaką to wypowiedział, zmroziła pozostałych, lecz nagle drzwi gabinetu otworzyły się ponownie. Tym razem stanął w nich Zorian, którego zaraz po zniknięciu Amandy wezwano z powrotem przez portal do koszar.

– Witajcie. – Pochylił głowę, zaskoczony, że widzi tylu głównych magów w tym miejscu. Naczelni odkłonili się. – Jeśli narada się skończyła, chciałbym porozmawiać z Amandą. – Poszukał dziewczyny wzrokiem.

– Nie ma jej – odparł Cyrus.

– A kiedy będzie? To dość pilne i muszę...

– W najlepszym razie za jakieś cztery, pięć lat – wszedł mu w słowo Celestyn.

– Celestynie, z całym szacunkiem, ale to nie pora na żarty. Amanda jest mi potrzebna. Mamy kłopot z Cro...

– Amanda została odesłana do Oazy Szkolnej – Celestyn spojrzał znacząco na pozostałych Naczelnych – bo jest niepełnoletnia i nie przeszła próby na Arenie. Stąd nie może pełnić obowiązków Naczelnego. Od dziś będzie ponownie jedynie dzieciakiem kontynuującym edukację. Jeśli więc masz jakieś problemy, zwracaj się z nimi do nas.

– Ooo... – wyrwało się elfowi. – No to mamy kłopot. Z Croyem coś jest nie tak. Chyba jest chory, nie chce nikogo innego widzieć. Już zdemolował boks i zeżarł dwa chochliki. Jak tak dalej pójdzie, będę musiał użyć ogłuszacza, ale to może rozwścieczyć pozostałe smoki. Musicie wezwać Amandę z powrotem. Tylko ona...

– Nie ma takiej możliwości. Zawołaj któregoś z tych przeszkolonych przez Ariel magów medyków. Coś jeszcze?

Generał dawno nie widział tak posępnych i zaciętych min.

„Coś musiało się wydarzyć, ale co?" – pomyślał.

– Skoro taka jest twoja wola, panie... – Skłonił głowę i ruszył do wyjścia, ale nim tam dotarł, coś sobie przypomniał. – Aha, jeszcze jedno. Co z Julienem?

Odpowiedział mu szereg uniesionych ze zdumienia brwi.

– No, z Julienem! Nie powiedziała wam? Ożeż...!

– Jaśniej, generale! Kto i o czym miał nam powiedzieć? – Cyrus zmarszczył brwi.

– Amanda. Przed naradą był u niej przywódca Kamiennych Strażników, Julien. Zanim się rozpadł...

– Co?!

– No, zanim zamienił się w pył, powiedział, że Otchłań się otwiera, wyjdą Rozpaczający...

– Co?!

– ...i że on już nie jest przywódcą Kamiennych Strażników albo coś w tym stylu.

Teobald z wrażenia aż usiadł na pobliskiej kanapie.

– Zechcesz nas oświecić powoli i drobiazgowo? – zapytał, gdy odzyskał mowę.

Pięciu mężczyzn w skupieniu słuchało Zoriana i z każdą chwilą ich miny stawały się coraz bardziej ponure.

– No to mamy kolejny cuchnący pasztet z jeszcze większego trolla! – podsumował Teobald, gdy Zorian skończył swoją opowieść. – Co teraz? – Przyjrzał się uważnie kolegom. – Macie jakąś wiedzę na temat Strażników? JAKĄKOLWIEK?!

– Pięknie! – prychnął Cyrus. – Nie ma co, mamy cudowny system edukacji, skoro nawet my sami nic o nich nie wiemy. Normalnie kompromitacja!

– Nie przesadzaj – zripostował Celestyn. – Społeczeństwo wie tyle, ile trzeba, a my i tak o niebo więcej. Do tej pory nie było potrzeby zgłębiać tematu Strażników.

– No właśnie, Celestynie, do tej pory. Nawet nie wiemy, co oznaczają słowa Juliena. Że już nie wspomnę o takim drobiazgu jak brak Strażników w Kamieniołomach!

– Więc trzeba nadrobić zaległości. Nie widzę powodu do paniki – odparł Naczelny pierwszego miasta. – Dla ścisłości przypomnę

szanownym kolegom, że do Otchłani wrzucane są trupy. Martwych więźniów nie musimy się bać. Co do żywych... Zorian, wyślij oddział i zakończ sprawę. Szybko i po cichu.

– Celestynie! Nie masz prawa!

– Mamy kolejną sytuację kryzysową, jeśli jeszcze tego nie zauważyliście. Zdaje się, że ta mała magiczna cwaniara w jednym miała rację: nasze prawo jest zbyt skostniałe i najwyższy czas to zmienić. Trzymaliśmy się go tak sztywno, że Oriana razem z Darrenem niemal obrócili w perzynę nasz świat! Drugi raz do tego nie dopuszczę! Zorian, słyszałeś, szybko i po cichu. Wykonać!

Elf zacisnął zęby, ale pokłonił się i wyszedł.

– Teraz trzeba wydać oficjalny komunikat, a potem obmyślić, jak dyskretnie odnaleźć Amandę. Potomkowie Xaviere'a sprawiają naszej społeczności stanowczo zbyt dużo kłopotów.

Biura prasowe Naczelnych Magów informują, że Amanda Odgeon, domniemana córka Wszechwiedzącej Ariel oraz być może wnuczka samego Wielkiego Xaviere'a D'Oriona, przynajmniej na razie NIE ZOSTANIE zaprzysiężona jako Naczelny Mag. Nie udowodniono bowiem jednoznacznie jej pochodzenia, nie została poddana zwyczajowej próbie kontaktu ze smokiem, a co najważniejsze, nie przeszła próby na Arenie, a to podstawowy warunek, jaki zgodnie z obowiązującym prawem musi spełnić każdy czarodziej czy czarodziejka pretendujący lub pretendująca do tego urzędu. Jako niepełnoletnia czarownica Amanda została odesłana do jednej z Oaz Szkolnych w celu kontynuowania edukacji, a dla zapewnienia jej ochrony przed natrętnymi mediami jej dane osobowe zostały zmienione. Jednocześnie

Naczelni Magowie zapewniają, że jeśli po zakończeniu edukacji w Oazie Amanda Odgeon zechce stanąć do próby i przejdzie ją pomyślnie, zostanie z wszelkimi honorami przyjęta do grona Naczelnych Magów. Naczelni Czarnoksiężnicy doceniają ogromne zasługi Amandy Odgeon w walce z Orianą oraz jej poplecznikami i ubolewają, że nie mogą jej zaprzysiąc natychmiast, jednak pamiętają o tym, że nikt, nawet ona, nie może stać ponad prawem. A teraz dalsze informacje...

– A to stare, wyleniałe gnomosraje! Takie pierdoły mogą zapodawać elfiątkom z syndromem zaniku umiejętności magicznych, a nie inteligentnym czarodziejom drugiego stopnia. Laseczka jest po prostu od nich lepsza, więc stare gnomy zazdrość zżera. Gdyby jej pozwolili, przeszłaby próbę koncertowo! – żachnął się młodzik wpatrujący się intensywnie w lustro informacyjne opodal sklepu Orestesa.

– Nie wiem, czy pamiętasz, Jake, ale kiedy ostatni raz wypowiedziałeś się w ten sposób o Naczelnym Magu, na twojej dupie zakwitły dorodne kaktusy. Stary, ty się normalnie prosisz o kłopoty! – zaśmiał się inny chłopak stojący tuż obok.

– Weź mi nawet nie przypominaj, dobra, Dan? Tydzień wyciągałem z tyłka te cholerne kolce! Tamten staruch chyba był psychiczny...

– A ja myślę, że miał rację. Chlapałeś bezmyślnie ozorem o kobitce, która potem stała się legendą, a on, zdaje się, ją znał. To było kosmicznie głupie. Należało ci się, brachu, i tyle. – Chłopak zachichotał. – Ciesz się, że cię nie zamienił w krasnoludzicę z jakiegoś lokalu do płatnych, prywatnych Losowań. Dopiero miałbyś problemy z tyłkiem!

– Tamten staruch ma całkiem niezły słuch i dobrą pamięć, jeśli choć trochę was to obchodzi – usłyszeli głos za plecami. Błyskawicznie odwrócili się do mówiącego.

– Tylko nie kaktusy! – krzyknął Jake na widok Orestesa, po czym odwrócił się na pięcie i zaczął zwiewać w podskokach. Dan zrobił to sekundę wcześniej. Mężczyzna westchnął z dezaprobatą, podrapał się po szyi, a potem pstryknął palcami, nawet nie patrząc na chłopaka. Ten w jednej sekundzie zastygł, a potem jego ciało, niczym przyciągane niewidoczną liną, zaczęło przemieszczać się w stronę Orestesa.

– Może i jesteś już czarodziejem drugiego stopnia i niedługo skończysz Oazę Szkolną, ale to nie zmienia faktu, chłopcze, że zachowujesz się, jak powiedział twój przyjaciel Dan, kosmicznie głupio. – Mężczyzna zerknął na przerażoną twarz młodzika, a potem na podejrzanie szybko powiększającą się mokrą plamę na jego spodniach. – Tym razem ci daruję, bo coś mi mówi, że w tej konkretnej sytuacji możesz mieć rację. Teraz cię odczaruję, zanim całkiem zafajdasz gacie, ale na przyszłość radzę, żeby twój mózg pracował szybciej niż język, zrozumiałeś? – Jake potwierdził skinieniem głowy. – Spokojnie, kaktusów nie będzie. Chodź, doprowadzisz się do porządku na zapleczu sklepu. To trochę obciach, żeby czarodziej drugiego stopnia latał po mieście w zasikanych portkach. – Orestes poklepał przyjaźnie skołowanego chłopaka po plecach, a ten posłusznie poszedł za nim. – Renee! – zawołał stary, gdy dotarli na zaplecze. Śliczna elfka niemal natychmiast wyrosła jak spod ziemi. – Renee, pomóż temu młodzieńcowi. Zdaje się, że zbyt emocjonalnie przyjmuje wszelkie informacje przekazywane z ratusza.

Renee uniosła brwi z uprzejmym zainteresowaniem.

– Ech, Orestes, Orestes. – Pokręciła głową z dezaprobatą, widząc mokrą plamę na spodniach chłopaka. – Zdaje się, że to ty bardziej emocjonalnie podchodzisz do zbyt swobodnego języka dzisiejszej młodzieży. Zbyt jesteś staroświecki i nietolerancyjny, wiesz? Co tym razem zrobiłeś temu dzieciakowi? Nie przejmuj się, mały. – Teraz uśmiechnęła się do Jake'a. – Miałeś sporo szczęścia, tylko puściły ci zwieracze. Ostatniemu chłopakowi posadził na tyłku kolonię kaktusów. Wiesz, jak zwiewał? I za co? Bo ośmielił się skrytykować jego ulubienicę, no wiesz, Ariel Odgeon... – ciągnęła, kompletnie nie przejmując się coraz głupszymi minami Orestesa i chłopaka. – Ech, Orestes, no kto wytrzyma z takim szefem jak ty? Powinnam dostać medal za cierpliwość.

– Aj tam, dziewczyno! Nie truj jak grzybki halucynogenki – burknął mężczyzna i podejrzanie szybko zniknął w swojej kanciapie. Po chwili jednak wylazł stamtąd, trzymając w rękach coś, co przypominało czarny namiot. Jake zerknął na niego z przerażeniem. – Wiem, są świetne, ale nie rób sobie nadziei, tylko ci je pożyczam – zarechotał czarownik. – Żebyś nie musiał świecić gołym zadkiem, dopóki twoje własne porcięta nie wyschną. – Podał chłopakowi spodnie. – A teraz leć za Renee. Jak znam tę elfkę, dopucuje twoje rzeczy na cacy, a kto wie, może nawet poczęstuje cię swoimi sławnymi kanapkami z indykiem. No, spadaj. Aha, zapomniałem powiedzieć, że te spodnie są robione na miarę i nie dopasowują się do noszącej je osoby, więc lepiej nie wyłaź w nich przed sklep! – zawołał jeszcze za oddalającym się chłopakiem, ale nie miał pewności, czy tamten go usłyszał.

Ratusz trzeciego miasta

Zorian dotarł do windy i zjechał nią kilka pięter niżej, gdzie znajdował się gabinet naczelnego maga medyka trzeciego miasta. Generał zamierzał dowiedzieć się od niego, który z medyków mógłby zająć się Croyem. Właśnie szedł przeszkloną wewnętrzną galerią, która oddzielała rdzeń ze świętą wodą od reszty budynku i prowadziła do gabinetów najważniejszych urzędników, gdy jego oczom ukazał się komiczny widok. Oto maleńki chochlik ciągnął o wiele za duży i zbyt ciężki dla niego wór. Szarozielone policzki istoty nabrały purpurowej barwy, a rzadkie rozczochrane włosy były mokre od potu. Chochlik nie dawał jednak za wygraną i zapierając się nóżkami oraz mrucząc pod nosem: „Dasz radę, Irfan!", dzielnie kontynuował pracę. Zoriana zrazu ten widok rozbawił, lecz potem zirytował się, że nikt z personelu nie zwraca uwagi na harówkę chochlika ani tym bardziej nie zamierza mu pomóc.

– Co tam taszczysz, Irfan?

Chochlik złapał się za pierś i ciężko sapiąc, pokłonił się, a potem powiedział:

– Pani Amanda kazała Irfanowi usunąć z dywanu pozostałości Strażnika, więc Irfan posprzątał, a teraz wynosi brudy. – Znowu się ukłonił. Zorian spojrzał ze współczuciem na chochlika. Polecenie Amandy najwyraźniej okazało się ponad jego siły.

– A dokąd go targasz?

– Naczelny mag medyk, pan Wilton, wyraził chęć obejrzenia pozostałości po Strażniku. Mam dostarczyć ten worek do jego gabinetu. – Słowom chochlika towarzyszył kolejny pokłon.

– Hm, Wilton zainteresowany zwykłym kamieniem, ciekawe... – mruknął do samego siebie Zorian. – Ech, Irfan, przecież mogłeś użyć czarów, zamiast się tak męczyć. Daj ten wór, pomogę ci. – I nie bacząc na swoją pozycję, złapał worek, aby zarzucić go na ramię.

Gabinet maga medyka był niedaleko. Zorian nie widział potrzeby użycia czarów. Nie przewidział tylko, że będą potrzebne. Okazało się bowiem, że nawet tak potężnie zbudowany mężczyzna jak generał może przesunąć wór jedynie o kilka centymetrów. Ponowna próba podniesienia ciężaru również zakończyła się niepowodzeniem. Przez chwilę Zorianowi wydawało się, że na ciemnej tkaninie błysnął jakiś napis.

– Irfan, w tym worku na pewno są tylko prochy Strażnika, czy jest tam coś jeszcze? – Spojrzał podejrzliwie na chochlika. Ten ukłonił się i szybko rozwiązał worek. Obaj zajrzeli do środka. Czarny połyskliwy pył, nic więcej. – Dziwne – mruknął generał i jeszcze raz pociągnął tkaninę. Nadgorliwy chochlik ruszył mu z pomocą.

Po chwili ta cudaczna para wspólnie starała się przesunąć magiczne cholerstwo, zgodnie sapiąc i pomstując pod nosem. Niezależnie jednak od tego, jak wiele wysiłku wkładali w swe dzieło, wór dał się przesunąć jedynie o kilka kolejnych centymetrów. Po paru następnych minutach generała i chochlika wspomogło dwóch oficerów, którzy akurat znaleźli się w pobliżu.

Ale gdy ani siłą, ani zaklęciami Zorian nie był w stanie ruszyć worka, wysłał innego oficera, by ten sprowadził na pomoc któregoś z Naczelnych Magów. Zanim jednak Naczelny zdążył przybyć, trzech mężczyzn i chochlik podjęli jeszcze jedną desperacką próbę. Stanowczo o jedną za dużo. Potężne szarpnięcie rozdarło bowiem sfatygowaną już tkaninę i czarny pył eksplodował, pokrywając wszystko i wszystkich cienką warstwą brudu. Cztery ofiary niezamierzonego ataku Strażnika zgodnie zaczęły kasłać, krztusić się, przecierać załzawione oczy i soczyście kląć.

– A żeby to troll przeleciał... – zagrzmiał jeden z oficerów.

– ...a krasnoludzica obszczała... – dodał drugi.

– ...i gnomy obesrały! – zawtórował im Zorian.

– ...a moja matka przytuliła! – dołączył do nich ochoczo Irfan.

Spojrzeli na chochlika z konsternacją. Dziwne przekleństwa mają te chochliki, ale cóż trójka oficerów może o tym wiedzieć?

Zajęci doprowadzeniem siebie i otoczenia do jako takiego porządku nie dostrzegli, że czarne drobinki pyłu zaczęły, jakby obciążone niewidzialnym balastem, przesypywać się przez szpary w balustradzie galeryjki! Nie opadały jednak bezwładnie na podobieństwo rozpylonej mąki, lecz jeszcze w powietrzu ukształtowały się w chmurę przypominającą Kamiennego Strażnika skaczącego głową w dół do wody! To, czego nie dostrzegli oficerowie i generał, bardzo dokładnie obejrzała za to reszta urzędników, których zainteresowało poruszenie na galerii.

Wszystkie piętra ratusza zapełniły się tłumem magów i czarodziejek, którzy z rozdziawionymi ustami obserwowali niezwykłe zjawisko. W końcu i Zorian zauważył opadający w dół dziwny obłok.

– I jeszcze to! – Przeczesał nerwowo czuprynę. – Irfan – zwrócił się do chochlika – kiedy ten pył osiądzie, trzeba będzie posprzątać. – Pokazał tropikalny ogród z fontannami znajdujący się na najniższym, niedostępnym poziomie ratusza. – Weź kilku chochlików do pomocy, ale dopiero wtedy, jak zajrzy tam Naczelny i zbada sytuację. Aha, nie zapomnijcie o kombinezonach ochronnych! Ten pył... Hm, no w każdym razie jest dziwnie podejrzany.

– Tak jest, panie. – Irfan pokłonił się i odszedł.

Zorian zaś przechylił się przez balustradę i podobnie jak reszta urzędników zerknął w dół, żeby ocenić sytuację. I jemu szczęka opadła na widok dziwnej chmury. Wpadł w osłupienie, gdy zobaczył, jak po opadnięciu rozlewa się ona po dnie ratusza, a potem... znów zaczyna pęcznieć i zwiększać objętość niczym ciasto rosnące na drożdżach!

– Co, u licha?

– No właśnie, co? – usłyszał za plecami głos Celestyna. – Co wy tu wyrabiacie? Zorian, zechcesz mnie oświecić? Oficer plótł coś o jakimś magicznym worku. O co chodzi? – burknął Naczelny, bo czuł przesyt złych nowin jak na jeden dzień.

– W tym był Julien, a raczej jego prochy – odparł generał, wskazując resztki tkaniny u swych stóp. – Teraz jest tam – pokazał na tropikalny ogród w dole – i zdaje się...

Przerwały mu wołania, a potem krzyki przerażenia ludzi stojących na najniższych piętrach ratusza. Po chwili Naczelny razem z Zorianem ujrzeli tłum wycofujący się w panice do wind...

Plac przed ratuszem – w tym samym czasie

Na stopniach pomnika Wielkiego Xaviere'a, niedaleko bazaru, przysiadł płowowłosy chudy chłopak. Mimo podanego przez ratusz komunikatu dotyczącego Amandy Odgeon nie dostrzegał żadnego zagrożenia, doszedł więc do wniosku, że może nieco odpocząć i przemyśleć sprawę. Otworzył paczkę przekąsek, którą chwilę wcześniej wyjął z leżącego u stóp plecaka, potarł palcami płatek prawego ucha i zamyślony sięgnął do środka.

„Co teraz? Zwiałam, ale co dalej?". No właśnie, kiedy w emocjach zastanawiała się, co robić, jej plan obejmował jedynie ucieczkę, a kiedy, o dziwo, to się udało, nagle okazało się, że nie ma scenariusza na „ciąg dalszy". Amanda, bo to była ona, przyjrzała się ratuszowi.

„Mama wiedziałaby, co należy zrobić. Marcelina zresztą też... Fuj, ale syf! Co oni dodają do tych czipsów?!".

Splunęła z obrzydzeniem i zerknęła na opakowanie. Coś, co wyglądało jak zwykłe czipsy i w tamtym świecie miałoby prawdopodobnie smak bekonu, tu nazywało się „Chrupiący Jednorożec", jednak w niczym nie przypominało ani bekonu, ani tym bardziej jednorożca.

„Chrupiący Jednorożec? Chyba ich pogięło. Raczej powinni to nazwać »Niedomyty Krasnolud«.

– Albo „Gówno Trolla” – zawtórował ze śmiechem ktoś za jej plecami. No tak, zaklęcie adger. Znowu zapomniała go użyć. Miała tylko nadzieję, że intruz nie usłyszał za dużo. Odwróciła głowę, żeby zobaczyć autora wypowiedzi, i ujrzała mniej więcej siedemnastoletniego chłopaka z jasnymi, przetykanymi gdzieniegdzie rudymi pasemkami, włosami. Miał bardzo ciekawy kolor oczu: jedno mieniło się odcieniami szarości i błękitu, a drugie szmaragdu i złota. Ciemne, stanowczo za duże spodnie trzymały się na nim chyba tylko siłą woli, bo paska nie zauważyła. Za to T-shirt pasował idealnie, jedynie jego wściekle czerwony kolor, zdjęcie Nereta zionącego ogniem i napis „Nawet z najbardziej niepozornego jajka może się wykluć ktoś wielki” zwracały powszechną uwagę. Pomyślała, że musi go jak najszybciej spławić, jeśli nadal chce pozostać anonimowa.

– Zawsze podsłuchujesz innych? – burknęła.

– Oczywiście. Od czasu, gdy tylko moi rodziciele spłodzili mnie na prywatnym Losowaniu – zachichotał. – A jak już przyszłem na świat, to się zaczęło na całego! Jacobinus, ale możesz mi mówić Jake. – Wyciągnął rękę w geście powitania.

– Mówi się „przyszedłem”. – Rozbawił ją ten chłopak, więc uścisnęła jego dłoń.

– Oooo, językoznawcę tu mamy – gwizdnął. – I konesera żywności przetworzonej. Mogę? – Wskazał na czipsy i sięgnął po jednego. – To przedstaw się, geniuszu.

– Am... Ambernorryn – palnęła pierwsze z brzegu, a zarazem najbardziej kretyńskie imię, jakie przyszło jej do głowy.

– Młooody! Coś ty zrobił swoim rodzicielom, że cię tak skrzywdzili? – zainteresował się Jake, przegryzając czipsa. –

Rąbnąłeś po Losowaniu eliksir niepamięci i tatuś elf zapamiętał, że spłodził cię z krasnoludzicą? Dobra, spokojnie, tylko żartowałem. Będę do ciebie mówił Amber, zgoda? – dodał szybko, widząc purpurową z gniewu twarz Amandy. – A tak w ogóle, co tu robisz, Am, to znaczy Amber?

– Jestem na praktykach u jednego sklepikarza, ale to raczej nie twoja sprawa.

– Jasne. Ale skoro nie moja, to czemu się tłumaczysz? Nawiałeś. Z której Oazy?

– Spadaj przeprowadzać gnomiątka przez ulicę!

– Czyli nawiałeś.

– Co mam zrobić, żebyś się odczepił?

– Wielkie nieba, aleś ty nerwowy! Chciałem się tylko zaprzyjaźnić! – Szaro-niebiesko-szmaragdowo-złote oczy spojrzały na nią ze zdumieniem.

– To spróbuj z chimerą. Wersja dla mięczaków: kup sobie chochlika!

– Dobra, dobra, zrozumiałem aluzję. Nie miotaj się tak. Już sobie idę. – Zerknął na nią zdegustowany i pokręcił złotorudą czupryną. – Może faktycznie to był zły pomysł: zaprzyjaźnić się z kimś bez poczucia humoru i wiedzy, że chochlików się nie kupuje...

Podniósł się, jednak natychmiast usiadł z powrotem i opuścił głowę.

– Oficer – syknął. – Koło straganu kwiaciarki. Musimy wiać, Amber. Serio, i to szybko!

Spojrzała w tamtym kierunku. W kolorowym tłumie złożonym z najdziwniejszych magicznych istot przechadzał się między

straganami jeden z tych oficerów, których poznała, mieszkając z matką w koszarach. Z pozoru mogło się wydawać, że jedynie spaceruje, nonszalancko zagadując straganiarki i oglądając produkty, jednak Amanda dostrzegła, że spod lekko opuszczonych powiek bardzo uważnie lustruje otoczenie.

„Naczelni nie tracą czasu".

Ale na wycofanie się bez zwrócenia na siebie uwagi było już za późno, bo z sąsiedniej ulicy wyłonił się inny oficer, dostrzegł pierwszego, pozdrowił go gestem i szybkim krokiem ruszył w jego kierunku. Amanda złapała Jake'a za rękę i żelaznym uściskiem przytrzymała, nim rzucił się do ucieczki. Potem drugą dłonią wykonała dyskretny gest.

– Amber, ty pomiocie fauna i ropuchy! Nogi ci powyrywam! – syknął Jake, ale nie dał rady się ruszyć. W odpowiedzi uścisk Amandy tylko się wzmocnił.

Tymczasem oficerowie dotarli do pomnika, pod którym siedzieli nasi bohaterowie.

– ...dali jakieś dodatkowe instrukcje? – dotarły do Amandy strzępki ich rozmowy.

– Tylko obezwładnić i dostarczyć, ale mamy być ostrożni i dyskretni. To bardzo utalentowany dzieciak. Wiele potrafi.

– No to się rozejrzyjmy. Dobrze, że wymyślono Bransolety Blokujące. Strach pomyśleć, co by było, gdyby każdy szczyl mógł rzucić dowolne zaklęcie, jakie mu się tylko spodoba – westchnął oficer. Zerknął na Amandę, uśmiechnął się i powiedział: – Chrupiący Jednorożec nie jest najsmaczniejszy. Proszę spróbować Szponów Harpii. Nowość, ale mam nadzieję, że przypadnie pani

do gustu. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Amanda roześmiała się zalotnie.

– Słyszałam o nich. Z pewnością spróbuję, skoro tak je pan zachwala, ale najpierw skosztuję tego. – I pokazała nieotwartą jeszcze paczkę czipsów, którą trzymała w ręku.

– Rudowłosy Błazen? Ciekawe. Jaki ma smak?

– Pająków w miodzie. Komuś, kto tak jak ja ma domieszkę krwi krasnoluda, smakują wybornie. Spróbuje pan? – Podsunęła mu paczkę pod nos. Wymalowana na opakowaniu mała postać w czerwonej koszulce i ciemnych portkach patrzyła na nią gniewnie.

– Pająki... – Oficer zaśmiał się nerwowo. – Nie, raczej nie, nawet jeśli są w miodzie. Proszę uważać, bo chyba... tego... no... są tuczące i...

– Zapłacili ci za reklamę żarcia, Scott? Na podryw będziesz miał czas po służbie. Pani wybaczy koledze... – pospieszył mężczyźnie z pomocą drugi oficer. Tamten skinął Amandzie głową, a ona bez mrugnięcia okiem uprzejmie się odkłoniła.

– Miała domieszkę krwi krasnoluda?! – usłyszała jeszcze, zanim oficerowie się oddalili. – Ożeż, nigdy bym się nie domyślił! Przecież ona musi być z czasów Losowań! Na Wielkiego Xaviere'a, kogo oni nam tam losowali?! A żeby to troll przeleciał!

Amanda uśmiechnęła się pod nosem.

„Oszukać was, panowie, to była bułka z masłem. No jeśli wszyscy w Korpusie są tacy łatwowierni, to nie dziwota, że Orianie i Darrenowi bez trudu udało się podbić miasta".

Odczekała jeszcze chwilę, aż oficerowie znikną na dobre za najbliższym rogiem, i dopiero wtedy ponownie wykonała

dyskretny gest, dzięki któremu zamiast jasnowłosej kobiety trzymającej paczkę czipsów pod pomnikiem na powrót siedziało dwóch młodzików.

– Jak to zrobiłeś, młody? – Jake z nerwów zaczął się jąkać. – Bransoleta Blokująca! Nie masz jej! Jak ją zdjąłeś? – bombardował Amandę pytaniami.

Taaak, Bransoleta... Dizajnerskie cudo zdobione miniaturkami magicznych stworzeń, wykonane ze srebra z domieszką tajemniczego metalu. Śliczne, lecz wnerwiające cacko, nie dość, że blokujące możliwość rzucania zaklęć, to jeszcze wszem i wobec informujące otoczenie, że nadal jest się jedynie dzieciakiem z Oazy, czyli kimś gorszym. To takie kajdany dla małolatów. Bransoletę wręczono Amandzie pierwszego dnia pobytu w szkole i nakazano nosić za każdym razem, gdy będzie opuszczać Oazę Szkolną. Dziewczyna szybko zrozumiała, do czego to czarodziejskie świństwo służy, i od razu wykombinowała, jak obejść szkolną procedurę jej zakładania. Stworzenie imitacji było takie proste, a wyprowadzenie w pole miłego, ale naiwnego nauczyciela nadzorującego – jeszcze łatwiejsze.

„Tiaa, jakby pobył trochę z dzieciakami z mojej poprzedniej szkoły, szybko straciłby niewinność...”. Amanda uśmiechnęła się na to wspomnienie. Dalej poszło już gładko. Brak Bransolety dawał nieograniczone możliwości eksplorowania tego świata. Poniekąd właśnie złamaniu szkolnego regulaminu miasta zawdzięczały ocalenie, bo dziewczyna zdążyła wystarczająco dobrze poznać ten świat i reguły nim rządzące oraz w tak wysokim stopniu opanować znajomość magii, by w decydującym momencie zniszczyć Orianę. W tej chwili jednak brak Bransolety

na nadgarstku stanowił problem, a nazywał się on: wścibstwo Jake'a. Może i fajny byłby z niego kolega, gdyby nie jego beztroskie i nieodpowiedzialne podejście do życia. No i to ciągłe gadulstwo.

– I po co ta podnieta? – zbagatelizowała jego pytania. – Udało mi się wyprowadzić ich w pole dzięki zwykłemu złudzeniu optycznemu, ale teraz, kolego, musimy się rozstać.

– Młody, mnie nie interesuje, co im zrobiłeś. Takie rzeczy byle gnom potrafi. Chcę wiedzieć, jak się pozbyłeś Bransolety!

– Nic nadzwyczajnego. Wykombinowałem zwykłą podróbkę, zamieniłem i tyle.

– Młooody! – gwizdnął Jake, a w tym gwiździe było słychać olbrzymi podziw i szacunek. – I nikt się nie połapał?

– Chyba nikomu nie przyszło do głowy, że to możliwe. – Amanda wzruszyła ramionami. – Nie słuchałeś mnie, Jake. Ja spadam, ty zostajesz...

Zaczęła intensywnie wpatrywać się w oczy chłopaka, jakby spojrzeniem chciała wwiercić się w jego czaszkę. Trwało to dłuższą chwilę, po czym dłoń dziewczyny nakreśliła w powietrzu tajemniczy znak, a ona sama wypowiedziała w myślach zaklęcie wymazujące pamięć. Błękitno-szaro-zielono-złote oczy gapiły się w jej tęczówki. Jakiś czas trwali w tym skupieniu.

– Już? – usłyszała nagle.

– Co?

– Wypowiedziałeś? No zaklęcie wymazujące pamięć? Bo jeśli tak, to mam złą wiadomość: na mnie to nie działa.

– Jak to?!

– Normalnie, nie działa. – Jake splunął pod nogi. – Eliksiry niepamięci też się nie sprawdzają, więc jeśli chcesz się mnie pozbyć, to nie trać czasu i wykombinuj coś innego.

– Jak to nie działa?!

– Będziesz tak za mną powtarzać? Co ty, echo jesteś? Nie mam pojęcia dlaczego, ale odkąd pamiętam, mam taki feler. – Chłopak podrapał się po czubku nosa. – Pewnie po rodzicielach, bo ja wiem?

– Uwarunkowany genetycznie – szepnęła z przejęciem.

– Ty, Amber, nie wyrażaj się, dobra? Nie jestem żaden uwarunkowany, a już na pewno nie genetycznie!

– I kto tu jest nerwowy? – Pokręciła głową. – To po prostu też znaczyło, że masz to po rodzicielach – odparła na jego modłę i szybko gryząc jednego obrzydliwego czipsa za drugim, zaczęła sobie przypominać wszelkie znane jej zaklęcia, które mogłyby zmodyfikować pamięć Jake'a. Z zamyślenia wyrwała ją... cisza. Ocknęła się, bo gwar ulicy ucichł niczym radio, w którym stopniowo wycisza się dźwięk. Zamilkła nawet ta płoworuda gaduła, Jake. Amanda zmarszczyła brwi i omiotła spojrzeniem placyk. Straganiarki i ich kolorowa klientela dosłownie zamarli niczym tłum fantazyjnych posągów. Wszyscy wpatrywali się w ratusz...

Zorian i Celestyn wychylili się przez balustradę, żeby zobaczyć, co jest przyczyną paniki ogarniającej pracowników ratusza. Okazało się, że czarna chmura, która jeszcze przed chwilą pokrywała jedynie ziemię w ogrodzie tropikalnym, teraz zaczęła rosnąć i wypełniać pierwsze piętro budynku. Na szczęście nikogo tam już nie było. Celestyn błyskawicznie ocenił sytuację: z minuty na minutę robiło się coraz groźniej, bo obłok wcale nie przestawał rosnąć! Teraz zagrażał już następnemu poziomowi ratusza. Nie zwlekając dłużej, Celestyn mruknął coś do siebie, a wtedy w uszach urzędników pojawiły się mikrosłuchawki.

– Proszę o uwagę! – obwieścił spokojnie, ale dobitnie. – Mówi Naczelny Czarnoksiężnik Celestyn. Nie ma powodu do paniki. Zarządzam procedurę ewakuacyjną. Zakaz bezpośredniej teleportacji zostaje chwilowo zawieszony. Wszyscy, którzy potrafią, mają natychmiast teleportować się na plac przed ratuszem i czekać w okolicy fontanny Wielkiego Xaviere'a na dalsze instrukcje. Pozostali spokojnie udadzą się do wind.

– Idź, Zorian – rzucił do elfa, wiedząc, że ten nie posiada umiejętności bezpośredniej teleportacji.

– Jestem oficerem! – warknął tamten.

– Więc wydaję ci rozkaz: uciekaj natychmiast! Sam się zajmę tym... czymś.

– Panie!

– Nie czas na protesty, generale Zorian, ani tym bardziej na głupie popisywanie się odwagą! Jesteś potrzebny swoim ludziom! – fuknął Naczelny, a widząc, że elf jeszcze chce coś powiedzieć, uniósł dłoń, wymówił w myślach zaklęcie i przeniósł opierającego się Zoriana do najbliższej windy, a ta dostarczyła go na plac przed

ratuszem. Tam generał, choć zirytowany, zaczął sprawnie zarządzać ewakuacją, wcześniej informując pozostałych Naczelnych o tym, co zaszło.

Tymczasem chmura w ratuszu nadal rosła. Po wypełnieniu drugiego i trzeciego poziomu zaczęła zagrażać kolejnym piętrom, na których nadal przebywali ludzie, bo przepełnione już windy nie nadążały zwozić ich na dół. Celestyn wraz z kilkoma innymi czarnoksiężnikami próbowali wszelkimi znanymi im zaklęciami zlikwidować magiczną chmurę, ale mimo ich starań ciągle szybko rosła i pochłaniała kolejne piętra, zbierając pierwsze śmiertelne żniwo.

„Zgubiło nas lenistwo i zbyt wielkie zaufanie do techniki. Nie chciało nam się rzucać zaklęć, przyrządzać eliksirów, latać na miotłach" – pomyślał ze zgrozą Naczelny, widząc kolejną czarodziejkę porwaną przez czarny obłok kilka pięter niżej. Wiedział, że widok jej przerażonej twarzy będzie go prześladował w wiele bezsennych nocy, i jeszcze wzmógł swe wysiłki.

„Zapomnieliśmy, jak to się robi. Nasze umiejętności magiczne zanikły. Wystarczy jedna taka sytuacja jak ta i cała nasza cywilizacja bierze w łeb. Co z nas za czarodzieje, skoro musimy korzystać z wind, portali i luster informacyjnych?".

Nagle cały ten wygodnie urządzony świat zdał mu się obmierzły. Zatęsknił za czasami młodości, magią w jej czystej, niczym nieskażonej postaci, za... Dalsze gorzkie rozważania przerwała czarna fala, która tak bardzo przybrała na sile, że teraz on sam musiał poszukać drogi ucieczki. I to szybko!

„No i zostaw ich, człowieku, samych na pięć minut...” – westchnęła Amanda, widząc, co się dzieje w ratuszu. Nie zauważyła, że Jake przygląda jej się podejrzliwie, bo znowu zapomniała o zaklęciu ochronnym adger. W tej chwili jednak mało ją to obchodziło, ponieważ cała jej uwaga skupiona była tylko i wyłącznie na ciemnej chmurze widocznej przez szklane ściany ratusza, chaotycznej ewakuacji urzędników i rozpaczliwych próbach Celestyna, żeby opanować sytuację.

– To dobry moment, żeby zwiać, Amber. – Jake szturchnął ją bezceremonialnie w ramię.

– To spływaj – odparła, nawet na niego nie patrząc.

– Na Wielkiego Xaviere’a, co tam się dzieje?! – krzyknęła jakaś stojąca koło niej straganiarka.

– To podobno atak Kamiennego Strażnika – wyjąkał młody urzędnik, który dopiero co wyszedł z jednej z wind.

Amanda entuzjastycznie przyjęła ekscytujące wieści, a młodzieniec ciągnął:

– Gadają, że zamienił się w pył, a jakiś chochlik umyślnie go wysypał przy fontannach ze świętą wodą. Po zmieszaniu z wodą prochy eksplodowały i wypełniły ratusz. Są setki ofiar...!

– Proszę nie opowiadać bzdur! – ofuknął go jakiś staruszek i podskoczył ze strachu, gdy tuż koło niego teleportowała się z hukiem jakaś urzędniczka z ratusza. – Po pierwsze, po co Strażnik miałby nas atakować? Oni są po naszej stronie. A po

drugie, w ratuszu nie ma aż tylu urzędników, młodzieńcze. Tylko pan niepotrzebnie straszy ludzi!

– Ale... – próbował zaprotestować młody urzędnik, jednak jego słowa zagłuszył zgiełk głosów innych świadków wydarzeń w ratuszu, którym udało się uciec przed ciemnym obłokiem. Z każdą chwilą tłum się powiększał. Przybywało magów urzędników, którzy wydostali się z budynku windami, i tych, którzy posłużyli się bezpośrednią teleportacją, ale przede wszystkim gapiów, bo nowina zdążyła roznieść się po całym mieście. Fantazja rozhisteryzowanego tłumu zdawała się nie mieć granic. Jedna sensacyjna wiadomość goniła drugą, a każda następna była bardziej idiotyczna od poprzedniej. Kilka chwil później zbiorowe ogłupienie osiągnęło apogeum, gdy gruchnęła wieść, że to zmasowany atak wszystkich Kamiennych Strażników na miasta i że wojna z Orianą wcale się nie skończyła, a ona sama żyje!

– Aha, Elvis zresztą też... Razem z Ozzym i Madonną urządzają balangę w Watykanie – mruknęła zdegustowana Amanda. Słuchając chaotycznych tłumaczeń świadków, jednocześnie starała się zrozumieć, co się wydarzyło, i jakoś temu zaradzić. Nie mogła też oprzeć się wrażeniu, że w całej tej historii umknęło jej coś ważnego. Dopiero gdy ujrzała przez szklaną ścianę ratusza pylistą chmurę, która przybrała kształt rozgniewanej twarzy Juliena, dotarło do niej, że prawdopodobnie pogłoski jednak są prawdziwe.

– Irfan, coś ty zrobił? – szepnęła, teraz już przekonana o winie chochlika. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że to ostatnia chwila, żeby zacząć działać, bo w rozhisteryzowanym tłumie właśnie ktoś wpadł na pomysł zaatakowania ratusza. W ogólnym rozgardiaszu

nikt nie zwrócił uwagi na młodzika, który przykucnął na uboczu, niby zawiązać sznurowadło. Tak naprawdę nabrał w dłoń wody z manierki, którą wydobył z plecaka, szepnął: *„Aquanubes”*, a wtedy ciecz przeobraziła się w płynne złoto. Szybkim gestem, niczym gracz posyłający kule ku kręglom, cisnął jaśniejące drobinki płynu po chodniku w kierunku ratusza. Powtarzał ten zabieg wielokrotnie, pospiesznie okrążając budynek. Kropelki wdarły się do jego wnętrza sobie jedynie znanym sposobem, a po dotarciu do tropikalnego ogrodu połączyły się ze świętą wodą z fontann. Efekt był piorunujący. W budynku ratusza pojawiła się inna zadziwiająca chmura. Przypominała kształtem ogromnego płanetnika dzierżącego w ręku konewkę złocistej wody. Świetlisty obłok rósł zdecydowanie szybciej niż ciemna chmura. Po chwili zgromadzony tłum wydał okrzyk zdumienia, gdy wyczarowany płanetnik zaczął polewać czarny obłok złocistymi kroplami. „Woda” lała się i lała, a pod jej naporem ciemna postać Strażnika zaczęła się kurczyć.

Amanda obserwowała to wszystko uważnie, pocierając nerwowo ucho. Po półgodzinie mroczna chmura opuściła piętra budynku usłane ciałami nieszczęśników, którzy nie zdążyli przed nią uciec. Przez chwilę mieszkańcy mogli ujrzeć ich zastygłe w przerażeniu twarze, nim Celestyn zmatowił zaklęciem ściany na tych poziomach. Po kolejnym kwadransie obłok opadł na ziemię, a po następnym pozostała z niego jedynie górka czarno-złotego bagienka, które chochliki odziane w słoneczne kombinezony zaczęły zbierać szuflami do specjalnych pojemników. Tłum gapiów patrzył w najbliższe lustro informacyjne, z którego relacja cały czas była prowadzona na żywo.

– Świetnie sobie poradził! Ale ich załatwił! – komentowano w tłumie poczynania głównego maga, krzątającego się teraz wśród chochlików.

– Cudowny, cudowny Naczelny! Taki odważny! Taki dzielny! – zachwycała się jakaś czarownica w słusznym wieku z przesadnie jaskrawym makijażem.

Tak oto Celestyn urósł do miana bohatera, zupełnie o tym nie wiedząc. On sam nie miał pojęcia, kto tak naprawdę ich uratował. Bardzo chciał się tego dowiedzieć, ale najpierw musiał zająć się rannymi i doprowadzić ratusz do porządku.

Tymczasem Amanda doszła do wniosku, że kryzys został zażegnany i czas dyskretnie zniknąć, tyle że...

– Młooody! – dobiegł ją charakterystyczny gwizd podziwu.

„Znowu ten!" – pomyślała z niechęcią, bo już wiedziała, że kto jak kto, ale Jake, niczym wygłodniały kleszcz, tak łatwo się od niej nie odczepi. Nie po tym, czego był świadkiem.

– Skąd wiesz, że jestem młody? – warknęła, żeby odstraszyć natręta. – I że jestem chłopakiem albo że w ogóle człowiekiem? Powiedz tak do mnie jeszcze raz, a sam będziesz robił za krzyżówkę fauna i ropuchy. A teraz – zniżyła głos do złowróżbnego szeptu – zapomnisz o tym, co tu się stało, zapomnisz o mnie. Bez żadnych zaklęć, eliksirów. Sam, z własnej woli. Nikomu niczego nie zdradzisz. I niech ci do głowy nie wpadnie iść za mną. To byłoby kosmicznie głupie, przyjacielu. – Odwróciła się na pięcie i zniknęła w najbliższym zaułku.

„Kosmicznie głupie? Tylko Dan i Orestes używają takiego określenia. Hm, ciekawe" – pomyślał Jake. Przez chwilę zastanawiał się, czy ujawnić wiwatującym na cześć Celestyna

tłumom, kto tak naprawdę uratował ratusz, ale potem ruszył niczym cień za Amandą...

– Czy to miasto coś dzisiaj opętało?! – warknął zamiast powitania Teobald, którego na powrót sprowadzono do trzeciego ratusza. – Bardzo przepraszam, ale w innych miastach też jest mnóstwo roboty, a trzecie nie jest pępkiem świata, żeby tu non stop przesiadywać! Musimy chyba wyznaczyć urzędników, którzy będą mogli nas zastąpić. Takich wicenaczelnych.

Pozostali Naczelni spojrzeli na Celestyna, który właśnie im zrelacjonował wypadki w ratuszu.

– Nikt lepiej ode mnie tego nie wie, Teobaldzie – westchnął zmęczony Naczelny pierwszego miasta. – Mamy największy od lat deficyt głównych magów, a do tego coraz dziwniejszy splot zdarzeń powodujących kryzys za kryzysem.

– Czy wiemy już, kto zażegnał ten ostatni? – zainteresował się Cyrus.

Celestyn pokręcił głową.

– Tylko podejrzewam... Sam nie wiem... Doniesiono mi...

– A kto go wywołał? Niedobitki armii Oriany? Ten chochlik, Irfan, celowo wysypał prochy Strażnika?

– Nie, raczej nie. Zorian twierdzi, że to był wypadek. Poza tym widziano jakiegoś jasnowłosego chłopaka przed ratuszem...

– Celestynie, do rzeczy!

– Ten młodzik... On... Wiem, to zabrzmi nieprawdopodobnie, ale...

– Na Wielkiego Xaviere'a! Gadaj w końcu! – nie wytrzymał Konstancjusz.

– Zdaje się, że to on uratował ratusz. Nie wiem jak. Przesłuchania świadków jeszcze trwają, a ich opowieści są... hm, dziwne. Kiedy tylko czegoś się dowiem, wy również będziecie o tym wiedzieć. Teraz, panowie, proponuję nie tracić czasu i przedyskutować pomysł Teobalda o powołaniu zastępców Naczelnych. Przynajmniej do momentu pojawienia się nowych kandydatów na ten urząd.

Jasnowłosy chudzielec niespiesznie wędrował uliczkami miasta z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w płytki chodnika. I choć był święcie przekonany, że nikt go nie śledzi, zachował czujność niczym komandos w akcji. Jednak mimo wszelkich środków ostrożności nie zorientował się, że jest pilnie obserwowany przez parę niezwykłych oczu. Ich właściciel, inny chłopak w za dużych spodniach i czerwonym podkoszulku, chociaż nie potrafił rzucić żadnego zaklęcia, żeby zmienić swój wygląd, niczym kameleon wtapiał się w kolorowy tłum.

„Gdzie cię niesie, młody? – pomyślał »kameleon«. – Kim jesteś i co zamierzasz?".

Tymczasem jasnowłosy chłopak szedł dalej. Właśnie minął cukiernię oferującą, jak głosił szyld, „słodkości na wszelkie okazje, od narodzin do zgonu”, czego dowodem miał być wykonany z białej czekolady tort w kształcie kołyski naturalnych rozmiarów, a obok niego inny, brązowy, podobny do otwartej trumny z czekoladowym nieboszczykiem w środku. Obydwa torty dumnie zaprezentowane w witrynie miały zdaniem cukiernika reklamować jego wszechstronne umiejętności.

„Nie ma to jak wgryźć się w rączkę nieboszczyka!” – skwitował to ironicznie i ruszył dalej. Minął gabinet zębowego maga medyka Sergiusza („U nas rozświetlisz swój uśmiech czarodziejskim blaskiem”), po czym dłużej zatrzymał wzrok na witrynie sklepu mistrza jubilerstwa, Gracjana. Dalej przeszedł obok niedawno otwartego sklepiku oferującego wszelkie gatunki miniaturowych ptakosmoków („Zakup dozwolony od dwudziestego pierwszego roku życia, po uprzednim przedstawieniu odpowiednich zezwoleń i zaświadczeń”) i przez mostek nad sztucznym stawem. Wreszcie dotarł do niepozornej kamieniczki pod numerem jedenaście przy ulicy Claveliusza Pierwszego. Przysiadł na murku i udając, że odpoczywa, obserwował otoczenie w poszukiwaniu zagrożenia. Kiedy go nie dostrzegł, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi wejściowych. Dłoń wyciągnięta ku klamce zamarła jednak w połowie drogi, bo chłopakowi wydawało się, że coś słyszy. Na wszelki wypadek zapukał. Ledwo zdążył ukryć zaskoczenie, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem i stanęło w nich uosobienie menelstwa: facet z pewnością zawdzięczający ogromne brzuszysko piwu imbirowemu, całą resztę zaś – brakowi higieny. Tłuste rzadkie włosy błagały o wizytę u jakiegoś szaleńczo odważnego

fryzjera. Chudzielcowi zrobiło się niedobrze, gdy dojrzał takie same kłaki wyłażące z uszu faceta i szukające drogi ewakuacji przez każdą szczelinę jego przepoconej koszuli.

– Niczego nie kupuję! Spierdalaj, mały, bo wściekłym ptakosmokiem poszczuję! – warknął facet i zatrzasnął młodzikowi drzwi przed nosem. W tym samym momencie w środku dało się słyszeć jakby szamotaninę, stłumioną eksplozję, a potem skowyt zwierzaka. – Do mnie?! Do mnie wyskakujesz z tymi płomieniami, ty pierzasty popaprańcu?! Ja ci zaraz dam płomienie!

„Chryste! Marcelina, komu oni przydzielili twój dom?!".

Chłopak stał jeszcze przez dłuższą chwilę, gapiąc się z przerażeniem w zamknięte drzwi. Gwałtowne mruganie i szybkie pociąganie nosem były sygnałem, że lada chwila może się rozpłakać. Tymczasem awantura za drzwiami nasilała się, podobnie jak zawodzenie maltretowanego zwierzaka.

„Mniejsza o dom, ale jemu trzeba pomóc".

Amanda zawahała się i zajrzała przez okno. Rozterki minęły jednak natychmiast, gdy zobaczyła, w jakim stanie jest zwierzak. Niemal pół pokoju usłane było wyrwanymi piórami. Ich końcówki jeszcze nie zdążyły obeschnąć z krwi. Sam ptakosmok kulił się w kąciku i coraz ciszej skamlał, podczas gdy but menela unosił się i opadał, zadając cios za ciosem. W dziewczynie wszystko się zagotowało. Jednym skokiem dopadła do drzwi. Wyrwane zaklęciem z futryn przeleciały koło głowy faceta i z hukiem roztrzaskały się na najbliższej ścianie. Następnym zaklęciem zakneblowała mężczyznę i przygwoździła do muru. Podczas gdy jego własny but zaczął go okładać, krzycząc przy tym: „Nigdy

więcej nie podniesiesz ręki na słabszego!”, Amanda uklękła koło ptakosmoka i obejrzała go uważnie.

– Spokojnie, mały, mnie nie musisz się bać. – Wyjęła z plecaka chusteczkę, namoczyła ją w świętej wodzie, którą miała w manierce, i przetarła zwierzakowi rany. Kilkoma kroplami napoiła go, a potem zwyczajnie przytuliła. Ptakosmok był mocno poturbowany, ale bardziej chyba trząsł się ze strachu niż z bólu. Z jego nozdrzy przy każdym spazmatycznym oddechu wydobywały się drobne obłoczki dymu. Małe szpony wczepiały się kurczowo w dłoń dziewczyny niczym palce przerażonego dziecka ściskające rękę rodzica. Miodowe oczy zerkały raz po raz na Amandę. Dziewczyna delikatnie chwyciła ptakosmoka i włożyła do plecaka. – Chodź, znajdziemy ci lepszy dom. A ty, bohaterze – warknęła do menela – od dziś masz zakaz posiadania jakichkolwiek zwierzaków. Jeśli się dowiem, że masz choćby pchły, wrócę tu... – Nie musiała kończyć. Wiedziała, że nauczka była skuteczna, o czym świadczył smród wydobywający się z jego spodni.

„No proszę, a taki był odważny – pomyślała z niesmakiem. – No to dom Marceliny odpada – westchnęła. – Zdaje się, że został mi tylko stary Orestes. Gdzie indziej mogłabym się skryć?”. Chwyciła plecak i unikając wzroku przechodniów, zaczęła szybko się oddalać. Idący za nią chłopak w czerwonym podkoszulku, zszokowany zajściem, którego dopiero co był świadkiem, ponownie podążył za nią...

– Amanda?! – krzyknął stary czarownik na widok chudzielca, który zmienił się w ciemnowłosą dziewczynę w przetartych dżinsach.

– Portale pewnie są pod kontrolą, a lustra na podsłuchu – burknęła w odpowiedzi.

– To nie mogłaś się normalnie teleportować? Przecież wiem, że umiesz. – Ze zdziwienia starzec uniósł krzaczaste brwi niczym zdeformowane znaki zapytania.

– Za dużo huku i zamieszania. Poza tym nie wiedziałam, co tu zastanę. Masz pojęcie, jaka patologia mieszka u Marceliny?! Zobacz, uratowałam tego biedaka z łap jakiegoś opryszka. – Wyjęła z plecaka nadal słabego ptakosmoka i podała staremu. – To jak, wpuścisz mnie, Orestesie?

– A mógłbym nie? Wchodź, wchodź, dziecino. – Odebrał z jej rąk zwierzaka, przepuścił ją w drzwiach, omiótł wzrokiem pobliskie uliczki, a potem trzaśnięciem w przycisk zamknął drzwi na dobre. – Słyszałem komunikat z ratusza. Chyba powinnaś być w Oazie? – Ojcowskim gestem przytulił ją do swojego ogromnego brzuszyska, niemal miażdżąc w uścisku. – Renee! – zawołał. Elfka natychmiast wyrosła jak spod ziemi. – Zajmij się tym nieborakiem. Wołowina powinna mu smakować, tylko uważaj przy karmieniu, potrafi boleśnie dziobnąć. Jak skończysz, podaj nam jakieś kanapki i nalewkę antydepresyjną dla Amandy. A dla mnie kubek kawy.

– Dwa kubki – poprawiła go Amanda. – Dla mnie bez dodatków. A za nalewkę dziękuję, nie będzie potrzebna. – Uśmiechnęła się blado do Renee. Gdy elfka zamknęła za sobą drzwi, dziewczyna opowiedziała staremu czarownikowi o ostatnich wydarzeniach.

„Czyli Jake miał rację, mówiąc, że są zazdrośni” – pomyślał Orestes.

– A co z tą aferą w ratuszu? To prawda, że Strażnik zaatakował?

– Nie jestem pewna. – Amanda upiła łyczek kawy i ugryzła kanapkę. – Kazałam Irfanowi zrobić porządek z prochami Strażnika po tym, jak Julien się rozsypał.

– Jak to rozsypał? Nikt się tak po prostu nie rozsypuje.

– Jak widać od tej zasady też są wyjątki. W ogóle to wszystko jest coraz dziwniejsze. Najpierw pozwolono mi pełnić obowiązki Naczelnego, a potem nagle zakazano. Strażnik, istota – zdawałoby się – niezniszczalna, rozsypuje się w moim gabinecie, a przed śmiercią oświadcza, że nastąpił kres żywota jego ludu. No i jeszcze ten liścik... – Wpatrzyła się zamyślona w zawartość kubka, jakby tam spodziewała się znaleźć odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Jaki liścik?

– Co? – Zerknęła z roztargnieniem na czarownika.

– Liścik, mówiłaś coś o jakimś liściku.

– A tak. Rzuć na to okiem. Znalazłam go w moich rzeczach parę dni temu.

Wyjęła z kieszeni pomięty świstek.

– Co o tym sądzisz? – spytała, nim Orestes zdążył cokolwiek przeczytać.

– Daruj sobie – powiedział, gdy skończył. – To może być wszystko: poważna sprawa, w którą nie powinnaś się mieszać, ale równie dobrze głupi dowcip albo ktoś zwyczajnie cię podpuszcza.

Nie wiadomo, co ktoś chce przez to osiągnąć. Radzę ci zignorować te bazgroły.

– Dowcip? No, nie wiem. Czuję, że coś jest nie tak. Wiesz, zanim Julien się rozsypał, powiedział, że jacyś Rozpaczający wyjdą z Otchłani, że Fabien im uciekł, że Strażników już nie ma i żeby nie zmarnować jego prochów. W tym samym czasie Naczelni mnie wywalili, a jakiś osobnik poinformował, że zabicie Oriany było poważnym błędem. Zbyt dużo tych dziwactw jak na jeden zbieg okoliczności, nie uważasz, Orestes?

– Hm, niby tak. Rozpaczający? Nigdy o nich nie słyszałem. A ten elfi bękart, Fabien, zdechł w Kamieniołomach. Przecież Naczelny Cyrus wydał w tej sprawie oświadczenie. To wszystko jest zamulone jak bajorko bagiennika... Ariel wiedziałaby, co robić. Inteligentna, choć impulsywna, była z niej kobitka. Szkoda, że nie ma jej z nami – szepnął Orestes. – Wybacz, dziecko – zreflektował się.

– Mama? – Amanda przyjrzała się staremu uważnie. Zerwała się z taboretu i zaczęła energicznie przemierzać pokój, pocierając płatek ucha. – Chyba powinieneś o czymś wiedzieć przez wzgląd na waszą dotychczasową znajomość. Ale musisz to utrzymać w tajemnicy. Posłuchaj...

Stary czarnoksiężnik aż przysiadł z wrażenia po nowinach, jakie usłyszał chwilę później, osłupiały i niezdolny do ruchu czy mowy.

– Orestes, odezwij się. – Amanda pomachała mu dłonią przed oczami. – Orestes, zaczynam się bać!

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

– Nooo, różne cuda już widziałem, ale żeby w jednym świecie umrzeć, a zmartwychwstać w drugim... – wyszeptał wreszcie.

– W tamtym świecie to się nazywa śmiercią kliniczną i reanimacją. Tak, udało się.

– I ona tam żyje, nie pamiętając, kim jest?

– Przynajmniej na razie. Nie obawiaj się, ma naprawdę dobre warunki. Mieszkają z Marcusem w pięknym domu. On zajmuje się końmi, a ona prowadzi księgarnię. Zasłużyła na spokojne życie. Obydwoje zasłużyli. Jestem pewna, że są szczęśliwi. Regularnie dostaję o nich wiadomości. Sprowadzę ją tylko wtedy, jeśli będę musiała. A teraz posłuchaj, zamierzam dowiedzieć się, kto stoi za tym liścikiem.

– Tak wielka czarownica prowadzi banalną księgarnię? No ale skoro ją to uszczęśliwia... – Ta nowina najwyraźniej nie ucieszyła Orestesa. – Co do liściku... Jeśli nie chcesz wracać do Oazy, to po prostu powiedz. Zawsze znajdziesz u mnie schronienie. Nie musisz się w to pakować tylko dlatego, że nie masz dokąd pójść. Mogę pogadać z Naczelnymi, powiem im, że cię adorowałem, że zapewnię ci dom, edukację...

– Mówi się „adoptowałem". Dzięki, Orestes, ale nie. Tu naprawdę nie chodzi o to, że chwilowo jestem bezdomna. To akurat mały problem. Chodzi o liścik. Niezależnie od tego, czy to dowcip, czy nie, rozwikłam tę zagadkę. Nie musisz się o mnie martwić. – Pogładziła go po dłoni. – Pokonałam Orianę, pamiętasz? A potem zajmę się czymś jeszcze... To dla mnie dużo ważniejsze.

Widząc pytanie w jego oczach, pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Nikomu tego nie mówiłam, ale chyba w końcu muszę. Orestesie, nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale byłam gotowa na starcie z Orianą. Wiesz, teoretycznie mam jedenaście lat, wyglądam na szesnaście–siedemnaście, ale moja wiedza i emocje należą do osoby dojrzałej i bardzo doświadczonej. Czuję, jakby w moim ciele i umyśle żyło kilka osób, które podpowiadają mi, co mam robić w konkretnej sytuacji. Kiedy przybyłam do tego świata... Wiesz, myślałam, że nie dam rady nauczyć się tych wszystkich zaklęć. Że nigdy nie przygotuję eliksiru, nie polecę na pegazie, nie rzucę uroku. Bałam się, że sobie nie poradzę. I nagle okazało się, że po prostu to wszystko umiem. Ot tak! – Pstryknęła palcami. – Oaza nic mi nie dała. Księgi z ratusza jedynie uzupełniły moją wiedzę. Wyprawy do lasu... – Uśmiechnęła się. – Cóż, poznałam wiele interesujących istot, jednak ciągle nie wiem, skąd mam tę wiedzę.

– Ariel to twoja matka. – Dla Orestesa to było oczywiste. – Po prostu masz to po niej.

– Nie. Ona sama musiała wszystkiego się nauczyć. Szybko, ale jednak się uczyła. Ja nie. Ale dowiem się, skąd mam te magiczne umiejętności, po prostu muszę się tego dowiedzieć. Dobra, więc zamierzam zrobić tak... – Objaśniając swoje plany, jednocześnie pakowała resztę bułek do plecaka. Orestes nie wyglądał na zadowolonego, właściwie był zły.

– Nie jestem twoim piastunem z Oazy i nie mogę ci niczego zabronić, ale uważam, że głupio i niepotrzebnie narażasz życie. Normalnie powinienem donieść Naczelnym, gdzie się podziewasz i co robisz. W końcu jesteś dzieciakiem, więc muszę cię chronić,

ale w tej sytuacji to kompletnie nie ma sensu. Jednak Ariel nigdy by tego nie pochwaliła – burknął i machnął ręką.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z matką! I nie opowiadaj bzdur. Znasz ją i doskonale wiesz, że postąpiłaby dokładnie tak samo, tyle że jeszcze szybciej!

– Ech, kobiety z rodu Odgeon! Jestem zdumiony, że przy waszym stopniu szaleństwa jeszcze was nic nie zeżarło! Jak sobie coś wbijecie do łbów, to jesteście uparte niczym wodniki w zalotach!

Amanda zaśmiała się tylko i cmoknęła staruszka w rumiany policzek.

– Dobra, czyli wszystko ustaliliśmy? – upewniła się.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle dziewczyna wyciągnęła rękę w stronę drzwi, mruknęła: „Chcę” i po chwili w dziurce od klucza pojawiło się coś, co miało kształt... ucha. Nie wiadomo, czy to zamek w drzwiach stał się taki plastyczny, czy tkanki intruza, ale w ślad za uchem wyłoniła się płoworuda czupryna, a jeszcze później kawałek czoła i jedno oko. Szmaragdowozłote.

– Jake! – krzyknęli jednocześnie stary czarnoksiężnik i dziewczyna.

Zaskoczona Amanda odruchowo cofnęła zaklęcie i głowa chłopaka z impetem wróciła na swoje miejsce. Oczywiście tą samą drogą, którą się pojawiła. Po drugiej stronie drzwi dało się słyszeć głośne „łup”, gdy chłopak wyrżnął o posadzkę, a potem jęki i przekleństwa. Dziewczyna szybko się zreflektowała, kolejnym zaklęciem otworzyła drzwi i wciągnęła intruza do wnętrza kanciapy.

– Znasz go? Znasz Jake'a? – zapytał Orestes, gdy chłopak ponownie rąbnął o podłogę, tym razem u jego stóp.

– Niestety. I widzę, że nie ja jedna. Ten koleś powinien mieć na imię Problem. Co z nim zrobimy?

„Żegnajcie, tajemnice" – pomyślała z niechęcią.

– Coś ci obiecałam, Jake! – Spojrzała na chłopaka z tak srogą miną, że nawet Orestes się zaniepokoił.

Jake zaś z przerażeniem zerkał to na nią, to na starego.

– Wolę kaktusy! – wrzasnął w końcu do Orestesa. – Widziałem, co zrobiła w ratuszu! Wiem, co zrobiła tamtemu menelowi! Orestes, nie pozwól jej zmienić mnie w fauno-żabę!

Stary czarnoksiężnik z zainteresowaniem uniósł brwi.

– A niby dlaczego miałbym cię bronić? Gwizdnąłeś moje ulubione spodnie.

– Miałem do załatwienia sprawy na mieście. A spodnie mi dałeś.

– PO-ŻY-CZY-ŁEM. Co do Amandy, nie wiem, czym ją tak wkurzyłeś, ale to musiało być coś wyjątkowo poważnego. Dobra, skoro wolisz kolce, ściągaj gacie, bratku! – Orestes chwilę patrzył groźnie na chłopaka, po czym wybuchnął śmiechem. Ogromne brzuszysko staruszka trzęsło się i kołysało na wszystkie strony, a on śmiał się i śmiał, aż łzy żłobiły rowki w jego pomarszczonej twarzy. Śmiech okazał się tak zaraźliwy, że po chwili chichotali też Amanda, sam Jake i Renee, którą sprowadził do kanciapy dobiegający stamtąd hałas.

– Znowu Jake? – spytała, gdy minął jej wybuch wesołości. – Ten chłopak ma talent do pakowania się w kłopoty.

– Obiecałam, że go zmienię w krzyżówkę fauna i żaby, jeśli za mną pójdzie – potwierdziła Amanda, gdy też się uspokoiła. – Ale o co chodziło z tymi kolcami?

– Eee, nic takiego – wyjąkał pospiesznie Jake.

– Nic takiego? – zadrwił stary. – W dniu próby twojej matki powiedział, że mu kaktus wyrośnie, jeśli ona ją przejdzie, i...

– Niech zgadnę: wyrósł? Na tyłku? Z twoją pomocą? – zachichotała dziewczyna. – Dobra, żarty na bok. Jake, nic do ciebie nie mam, ale przestań za mną łazić, dobrze? Muszę już iść. Orestes, znajdź naszemu przyjacielowi jakieś zajęcie. Chciałabym mieć pewność, że tam, dokąd idę, nikt mnie nie śledzi. – Skinęła głową staremu, elfce oraz Jake'owi i już po chwili jej nie było.

Wyglądało na to, że chłopak też chce się zmyć w podskokach, ale słowa starego osadziły go w miejscu.

– Ty dokąd? Słyszałeś, masz się zająć czymś pożytecznym. Wskakuj w kombinezon, czas wypucować kadzie po fermentacji ziółek. A jak skończysz, czeka cię przyspieszony kurs hodowli ptakosmoków. – W stronę młodzieńca poleciało ubranie robocze.

– Kadzie?! Na Wielkiego Xaviere'a, będzie cuchnął cały tydzień! – Renee skrzywiła się z obrzydzeniem i zerknęła litościwie na chłopaka.

– Od czegoś musi zacząć – burknął stary. – A ty się ciesz, mały, właśnie zacząłeś terminować w zawodzie, który dostarczy ci wieeelu niezapomnianych wrażeń – zarechotał.

– Jakoś nie mam co do tego żadnych złudzeń.

Driadowy Jar – tej samej nocy

Tuż przy wejściu do starej sztolni rozległ się cichy trzask łamanych gałęzi. W nikłej poświacie księżycowej pojawiła się jakaś postać. Jedynie przez chwilę czy dwie była w zasięgu wzroku puszczyka, który właśnie rozpoczynał łowy, i myszy, która przed nim uciekała. Tych dwoje jednak tak bardzo zajętych było odgrywaniem odwiecznego rytuału myśliwy – zwierzyna, że kompletnie nie zwrócili uwagi na pojawienie się istoty ani tym bardziej na jej nagłe zniknięcie.

„Nie lubię teleportacji. Zawsze się czuję tak, jakbym jechała kolejką górską z uszkodzonymi hamulcami. Czasem jednak nie ma innego wyjścia. Dobra, trzeba się stąd zbierać. Ostrożności nigdy dosyć" – pomyślała Amanda, bo to była ona, nim rozpłynęła się w mroku nocy. Powoli i ostrożnie przemierzyła Driadowy Jar i dotarła na drugą stronę Chochlikowego Jeziora, a stamtąd drogą przez lasek do koszar. Tam przemknęła między bungalowami, starając się unikać strażników wyposażonych w soczewki noktowizyjne.

„Oficer na warcie ma tyle poczucia humoru co łopata grabarza. Nie zrozumiałby, po co to robię. Lepiej się nie pchać w zasięg jego soczewek" – pomyślała i wspomniała te kilka wpadek, jakie zaliczyła, zanim zorientowała się, że soczewki nie tylko pozwalają

widzieć w nocy. Unikając oświetlonych latarniami alejek, cichutko ruszyła w stronę zagród.

„Miłych snów i oby Zorian cię na tym nie nakrył” – szepnęła na widok drzemiącego na warcie oficera. Szybko go minęła, uruchomiła myślą windę i dotarła nią na galeryjkę, a stamtąd schodkami do smoczego boksu. Bezszelestnie okrążyła zwinięte w kłębek zielono-złote cielsko i zatrzymała się tuż przy jego nosie.

„Obudź się, Croy – powiedziała na prywatnym kanale telepatycznym. – Obudź się, ale udawaj, że dalej śpisz. To ja, Amanda. Jestem tutaj, lecz niewidzialna”. Pogładziła smoka kilka razy po głowie. Zmienił rytm oddechu, westchnął, ale oczu nie otworzył.

„Na Wielkiego Xaviere’a, gdzieś ty się podziewała? Tak długo mnie nie odwiedzałaś, że musiałem symulować chorobę, żeby Zorian zechciał przekazać ci wiadomość ode mnie. Co to za bzdurny komunikat wydali Naczelni? I czemu jestem obserwowany całą dobę? Coś ty znowu zmalowała? Serio, ludzkie młode są bardziej irytujące od smoczych. Podrap mnie po nosie, jak już przy nim stoisz!”.

„Jesteś obserwowany?”. Dziewczyna rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła.

„Na Wielkiego Xaviere’a, podrapiesz czy nie? Oczywiście, że jestem obserwowany. Na galeryjce siedzi jeden z tych małych gamoni, chochlików. Zejść nie zejdzie, bohater jeden, ale patrzy, co robię, i komuś donosi”. Croy sapnął z irytacją, a Amanda popatrzyła we wskazanym kierunku. Rzeczywiście dostrzegła zarys siedzącej w półmroku postaci.

„Pewnie Naczelnym. Faktycznie im podpadłam i dlatego tu jestem. Przez jakiś czas nie będę mogła cię odwiedzać. Posłuchaj...” – telepatyczny szept, na podobieństwo strumyka, popłynął wprost do umysłu smoka, informując Croya o wszystkich dotychczasowych zdarzeniach.

„Tam, gdzie zginęła Ariel? Tak było napisane?”.

„Aha. Ja też jestem ciekawa, o co chodzi. Jak już powiedziałam, nie będziesz mógł mi towarzyszyć. – Usłyszała telepatyczny jęk zawodu i się uśmiechnęła. – Zamierzam odwiedzić ruiny rezydencji Oriany i sprawdzić, kto mi zagraża. Orestes radził, żebym zapomniała o całej sprawie, ale ja po prostu nie mogę. Nie po tym, co wydarzyło się ostatnio”.

„Orestes jest tchórzliwy niczym młodociany faun. Idź tam, znajdź tego szmaciarza od listu i dostarcz mi go tutaj, do koszar. Pomogę mu napisać kolejny”. Teraz dla odmiany Amanda usłyszała telepatyczne mlaśnięcie i omal się nie roześmiała.

„Croy, zniknę na chwilę...”.

„Rozumiem, Ammy. Będę dyskretny, ale nie oczekuj, że cierpliwy. Chciałbym ci jakoś pomóc. Gdyby Vivianne tu była... Pewnie miałaby jakąś wizję, a ty nie musiałabyś tam chodzić”.

Smok usłyszał szybkie pociągnięcie nosem, a potem poczuł, jak Amanda głaszcze go po łapie.

„Wiem, przyjacielu. – Przez chwilę oboje milczeli w zadumie. – Rezydencja Oriany... Nie mam pomysłu, jak tam dotrzeć. Ostatnio lecieliśmy razem. Teraz to odpada. Portale i teleportacja też. Transformacje są wykańczające, no i nie można rzucić czaru, kiedy się jest na przykład ptakiem. Lewitować nie umiem, a iść

na własnych nogach... Nie mam pojęcia, jak długo by to trwało" – odezwała się w końcu Amanda.

„I tu akurat mogę ci podpowiedzieć, bo wiem od Virgila, jak twoja matka z Marcusem tam się dostali" – ucieszył się Croy.

Amanda nadstawiła telepatycznych uszu, a smok rozgadał się na dobre. Chwilę potem dziewczyna dysponowała informacjami potrzebnymi do dotarcia we wskazane miejsce.

„A co do tego, kim jesteś i skąd się wzięły twoje umiejętności... Gdyby to o mnie chodziło, pogrzebałbym w przeszłości swojej rodziny" – poradził jeszcze na koniec.

„No, nie wiem. Rodzina ojca była kompletnie, że tak powiem, niemagiczna. Tam niczego nie znajdę. Zresztą musiałbyś mi znowu pomóc otworzyć portal i wypalić w końcu Znamię, bo tym razem nie byłoby szans na wykorzystanie jakiegoś nieprzytomnego oficera".

„A rodzice Ariel?" – podpowiedział ostrożnie.

„Claire żyje, Xaviere nie. Wiesz, że Claire jest chora". – Bała się powiedzieć „nienormalna". – „Jej pomoc na nic by mi się nie zdała".

„Więc poszukaj wiadomości o nim. Przecież był największym czarnoksiężnikiem w historii".

„Ale gdzie? W archiwach, które przetrząsnęłam, nie znalazłam nic o prywatnym życiu Xaviere' a D'Oriona. Nie było nawet wzmianki o jego pierwszym małżeństwie z Orianą. Dopiero ona sama wyjawiła prawdę. Jednak teraz już nic więcej nie powie...".

„Ale może dowiesz się czegoś w jej rezydencji, skoro i tak się tam wybierasz... – Zawiesił znacząco telepatyczny głos. – Co

szkodzi poszukać? W ruinach czasem kryją się skarby. Gdyby i to zawiodło, zawsze możesz odwiedzić grób dziadka".

„Grób?!".

„No nie powiesz mi, że nie wiesz, gdzie spoczywa Xaviere".

Croy zachichotał w myślach.

„Chryste! Naprawdę jest pochowany w podziemiach pierwszego antycznego miasta?! Myślałam, że to jedna wielka ściema! Coś jak legenda o Świętym Graalu".

„Nie wiem, kto to jest ten Chryste ani Graal, ale Xaviere rzeczywiście jest tam pochowany. Nawet on musi mieć gdzieś grób. Może warto go odwiedzić? Może tam znajdziesz odpowiedzi, których szukasz?".

Chochlik na galeryjce podniósł się ze swego prowizorycznego legowiska i zerknął w głąb boksu Croya.

„Powinnaś już iść. Zdaje się, że nasz mały bohater poczuł, iż czas ratować świat. Zanim wkroczy do akcji, zabieraj stąd własny tyłek. Tylko pamiętaj, uwiń się szybko. Nie każ mi tu za długo siedzieć bezczynnie. Patroli jest teraz tak mało. No, leć już!".

Croy otworzył oczy i ryknął w stronę galeryjki:

– Czego?! Znowu szpiegujesz, ty szpiclu?! Mam dość! Powiedz Naczelnym, że zeżrę każdego następnego chochlika, którego przyślą na twoje miejsce! – Fala ognia, która popłynęła w stronę galeryjki, nie wyrządziła jednak żadnych szkód. Niewielka istotka zdążyła w podskokach uciec. Amanda już tego nie widziała, bo wydostała się drugą stroną galeryjki na zewnątrz i niepostrzeżenie opuściła koszary.

Gdy znalazła się z powrotem w Driadowym Jarze, przysiadła na kamieniu i wyjęła liścik z kieszeni. Przeczytała go jeszcze raz

uważnie, a potem sięgnęła do plecaka po ołówek. Nie była pewna, czy dobrze robi – niczego nie była pewna – pisząc, w mroku minimalnie rozpraszanym poświatą księżycową, tylko jedno słowo: TAK. Dłuższą chwilę wpatrywała się w litery, jakby w oczekiwaniu, że wydarzy się coś niespodziewanego, kiedy jednak karteczka pozostała karteczką, a napis napisem, zrezygnowana zmięła papier w dłoni.

„No tak, to rzeczywiście głupi dowcip. Orestes miał rację". Już miała wyrzucić karteluszek, gdy nagle poczuła ciepło. Gwałtownie wypuściła papier z ręki, a ten w ciągu sekundy zapłonął zielonym ogniem; płomyk rozlał się po ziemi niczym fosforyzujący kleks i... zniknął. A we wnętrzu poparzonej dłoni ujrzała zielonkawo błyszczący napis: JUTRO W POŁUDNIE KOŁO STUDNI.

Noc nie przyniosła jej snu nawet w superwygodnym śpiworze, w jaki zmieniła swój sweter, a intuicja kazała jej zbadać teren jeszcze przed spotkaniem, dlatego na długo przed wyznaczonym terminem przybyła do celu. Kierując się wskazówkami Croya, wysiadła z niewidzialnej łódki dokładnie w tym samym miejscu w zatoczce co kiedyś Ariel i podążyła drogą z czarnego marmuru. Już z daleka zobaczyła ruiny pałacu. Niegdyś musiał być wspaniały, lecz Amanda nic o tym nie wiedziała. Pamiętała jedynie zdewastowane zabudowania, zrujnowane ogrody i szczątki istot, które pechowo znalazły się na linii magicznego ognia, gdy

dwie wielkie czarownice stanęły do śmiertelnego pojedynku. Wspomnienia wywołały ból, a ten zdławił gardło dziewczyny. Zacisnęła usta i próbowała zapanować nad emocjami. Czujnie rozejrzała się po okolicy, jednak żadnego zagrożenia nie dostrzegła. Wyspa nie była duża, stąd przemierzenie jej nie zajęło Amandzie wiele czasu. Mogła zajrzeć pod każdy krzaczek, kamień, w każdą dziurę. W końcu przycupnęła za ocalałym fragmentem pałacowej ściany, skąd widziała zdobioną niegdyś gargulcami studnię. Wyjęła z plecaka bułkę, którą dała jej Renee.

„Spotkanie spotkaniem, a jeść trzeba. No, niezłe. Renee ma talent do kucharzenia. Ciekawe, to chyba indyk. Muszę wziąć od niej przepis" – myślała, delektując się bułką. Nie zdążyła jednak zjeść nawet połowy kanapki, gdy dobiegł ją chrzęst żwiru pod czyimiś nogami. Szybko przełknęła ostatni kęs i popatrzyła w stronę dróżki prowadzącej z dawnego dziedzińca do parku. Nikogo tam jednak nie dostrzegła, na dodatek odgłosy kroków umilkły.

„Też sprawdzasz teren, cwaniaku" – pomyślała, ale postanowiła się jeszcze nie ujawniać.

Wytężyła wzrok i skupiła się, lecz soczysta zieleń roślinności skutecznie ukryła intruza. Amanda cierpliwie czekała. Nagle jeden z rosnących przy dróżce krzaczków się poruszył. Dziewczyna wstrzymała oddech. Czas rozlał się na podobieństwo lawy. Amandzie zdawało się, że minęły wieki, nim krzaczek wykonał kolejny ruch i wychynęły zza niego całkiem pokaźne różki w obramowaniu marchewkowej strzechy włosów.

„Ja cię skądś znam, rudzielcu...".

Tymczasem intruz powoli i jakby utykając, ruszył do przodu. Zamaskowana liśćmi peleryna zsunęła się, ukazując brudną, splątaną brodę, a gdy stworzenie podeszło bliżej, Amanda dojrzała oczy kozła.

– Amando, wyjdź, proszę – powiedział rudobrody, pozwalając pelerynie całkowicie opaść na ziemię. Piękna niegdyś liberia, teraz poplamiona i porwana, wisiała na wychudzonym ciele. Z przykrótkich nogawek wystawały owłosione nogi zakończone raciczkami. Jedna z nich owinięta była przybrudzonym bandażem. Istota zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę i się rozglądać. – Znam każdą roślinę, każdy zakamarek na tej wyspie, każdą rzecz. Wiem, że tu jesteś, bo poruszyłaś kilka z nich. – Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie, lecz nadal nie wykonała ruchu. – No dobrze, będę mówił w pustkę, skoro nie chcesz się ujawnić, ale mam nadzieję, że chociaż mnie wysłuchasz. – W głosie tego sponiewieranego stworzenia był jakiś smutek i Amandzie przez moment zrobiło się go żal. – Amando, nazywam się Krespian – zaczął rudobrody i usiadł na brzegu studziennej cembrowiny. – Widzieliśmy się jeden raz, w ratuszu, w dniu śmierci twojej matki.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Ten elf, Fabien, ciężko ranił Marcusa, a ty dopadłaś Fabiena...

Tak, teraz przypomniała sobie skulony w jakimś kącie gabinetu matki rudy kłębek wstrząsany szlochem. Tamtego dnia musiała jednak działać szybko. Pocieszanie łkających rudzielców było na końcu listy spraw do załatwienia. Przyjrzała mu się ponownie. Ta kupka zarośniętego nieszczęścia nie stanowiła żadnego

zagrożenia. W przezroczystym powietrzu, dokładnie naprzeciw Krespiana zmaterializowała się dziewczęca postać. Obydwoje chwilę milczeli, mierząc się wzajemnie wzrokiem.

– List! Jaki był jego cel? – Amanda od razu przeszła do rzeczy.

Stworzenie westchnęło.

– To ostrzeżenie przed tym, co nieuchronne.

Dopadła go jednym skokiem, złapała za gardło i przechylając przez cembrowinę, wysyczała:

– Groziłeś mojej matce! Groziłeś mnie!

– N-nie, Amando, n-naprawd-dę! – Gdyby strach mógł śmierdzieć, Krespian cuchnąłby teraz nieziemsko. – P-proszę, p-pozwól mi wyjaśnić!

– Pięć minut! – warknęła. – Potem postawię cię przed Naczelnymi!

Krespian głęboko odetchnął, poprawił potargane ubranie i przeczesał nerwowo rudą strzechę włosów. Spojrzał spode łba na dziewczynę.

– Niech będzie. Pięć – powiedział już spokojniej. – Choć przed Naczelnymi mnie nie postawisz. Też słyszałem komunikat z ratusza.

– Zawsze mogę cię zmienić w coś cuchnącego lub umówić na „randkę" z Croyem. – Zgrzytnęła zębami, zła, że blef nie wypalił.

– JA nie jestem twoim wrogiem, Amando, a TY bardzo chcesz się dowiedzieć, o co chodzi. – Podniósł łapy w obronnym geście. – Przejdźmy więc do sedna, zamiast się kłócić, zgoda?

Kiwnięciem głowy wskazała stertę głazów, na której oboje usiedli.

– Więc, Krespian?

Wahał się chwilę, a potem ostrożnie zaczął.

– Tylko bez przemocy... Dobrze, dobrze, już mówię! Chodzi o panią Orianę.

– Tak?

– To była ulubiona rezydencja Wszechwiedzącej Oriany. – Omiótł koźlim spojrzeniem okolicę i uśmiechnął się do własnych wspomnień. Był to jednak uśmiech przepełniony smutkiem.

– Byłeś jej sługą. – Teraz to do niej dotarło.

– Tak, sługą, zarządcą, ale też powiernikiem. Ta wiedźma Ariel, bodaj ją...!

– Mówisz o mojej matce. Mam wrócić do przemocy? – przerwała mu z wystudiowaną uprzejmością.

– Najmocniej przepraszam!

– Mów dalej.

– Pani Ariel razem z panem Marcusem przenieśli mnie do ratusza w trzecim mieście. Chcieli, żebym zeznawał przeciwko mojej pani. Co za tupet!

– Krespian!

– A tak, to się już nie powtórzy!

– Więc chcieli, żebyś zeznawał, bo byłeś wiernym sługą Oriany...

– Poza tym szczycę się doskonałą pamięcią, a dzięki domieszce krwi elfa nie potrafię kłamać. Jestem wytworem pani Oriany. Bo nie wiem, czy słyszałaś, Amando, że i Wielki Xaviere, i pani Oriana bardzo interesowali się krzyżowaniem różnych istot. To dzięki panu Xaviere'owi mamy Zielarzy, choć tak po prawdzie chciał stworzyć superkorpus oficerski do zwalczania bestii. Nie wyszło mu. – Krespian zarechotał złośliwie. – Dziełem pani Oriany są nyriony i wampokruki. Ja też – pochwalił się. – Tych

dwoje walczyło ze sobą wiele lat. W efekcie obydwoje ponieśli porażkę.

– Ooo! – Amanda aż sapnęła ze zdumienia. – Wiedziałam, że Pierwszy Naczelny stworzył Korpus i kopułę, ale nie miałam pojęcia, że bestie to zasługa jego żoneczki. Myślałam, że tylko je na nas napuściła. Widzę, że społeczeństwo dziewięciu miast poznało mocno okrojoną wersję zdarzeń, żeby nie niszczyć mitu Wielkiego Xaviere'a – wyszeptała.

Krespian przyglądał jej się chwilę.

– No właśnie, mitu – zachichotał. – Ale wróćmy do sprawy listu.

– Napisałeś, że zabicie Oriany będzie miało fatalne skutki, a to przecież ona była największym zagrożeniem dla miast.

– Mylisz się, Amando. Wbrew temu, co się wszystkim wydaje, pani Oriana nie była wrogiem miast, lecz ich wielką obrończynią.

„Szaleństwo potrafi czasem przybierać zaskakujące formy" – pomyślała Amanda i zerknęła na rudzielca z litością.

– Wcale nie jestem szalony. – Zaskoczył ją przełamaniem zaklęcia ochronnego adger. – Z pewnością brudny, wynędzniały i głodny, ale na pewno nie szalony. Żeby ci to wyjaśnić, powinienem cofnąć się do początku mojej znajomości z panią Orianą. A musisz wiedzieć, że stworzyła mnie niedługo po tym, jak się tu zjawiła i została żoną pana Xaviere'a.

Zobaczył pytanie w oczach dziewczyny.

– Pewnie znasz legendę o Pierwszym Naczelnym i przybyciu na te tereny osadników. – Przytaknęła kiwnięciem głową. – W jednej z pierwszych grup był bliski przyjaciel pana Xaviere'a, Jason. Przyjechał tu z całą rodziną. Należała do niej pani Oriana,

a właściwie Ariane, wtedy młodziutka dziewczyna z wielkimi ambicjami.

– Tak, mama o tym wspominała – bąknęła Amanda, zastanawiając się, do czego rudobrody zmierza. – Xaviere zakochał się w Orianie i zaczął nalegać na Jasona, aby zgodził się na szybki ślub. Oriana nie miała w tej sprawie nic do gadania. Wkrótce powstało pierwsze miasto, a jakiś czas potem zaczęli znikać jego mieszkańcy, dlatego Xaviere powołał Korpus i stworzył kopułę...

– ...bo już wtedy obydwoje zaczęli brzydko się zabawiać w kreowanie różnych istot, które zresztą wymknęły im się spod kontroli – wszedł jej w słowo. – Zaczęło się od nauki, potem była niewinna rywalizacja i udowadnianie, kto lepiej opanował umiejętności magiczne, a skończyło się na urażonym poczuciu godności osobistej Xaviere'a, zdradach i potajemnej walce o przywództwo. Pani Oriana była urodzoną władczynią.

– Nie wiadomo, czyje ego było silniejsze i czyje bardziej ucierpiało – mruknęła Amanda.

– Dokładnie! Ale ja nie o tym. Otóż, jak wspomniałem, pani Oriana była obrończynią miast. Pamiętam, jak dokładała starań, żeby rozwijały się w dobrobycie. Wiem, wiem, po części była do tego zmuszona urokiem, jaki rzucił na nią pan Xaviere, ale wierz mi, i bez tego ich los także leżałby jej na sercu. Co prawda bestie zaczęły się same mnożyć, lecz nie stanowiły większego zagrożenia dla miast chronionych przez Korpus i smoki. Tylko dwa razy pani Oriana z premedytacją nasłała je na miasta. Pierwszy raz w dniu próby twojej matki, a drugi, gdy pani Ariel i Marcus odkryli jej obecność w ciele Severiana. Bardzo ubolewała, że musi to zrobić.

Zamierzała odwołać bestie natychmiast po zwycięstwie, ale sama wiesz, jak to się skończyło. Mogłaby być wspaniałym Naczelnym, gdyby nie ta... Przepraszam!

– Dwa razy? A okupacja miast, gdy Marcus zginął, matka zaś wróciła do tamtego świata?

– A nie, nie, to była, że tak powiem, „inwencja twórcza" Darrena. Pani Oriana dała mu wolną rękę. Miał prawo zrobić wszystko, żeby sprowadzić Ariel z powrotem, ale bestii od mojej pani nie dostał, więc użył ordonu.

– Wspomniałeś, że była obrończynią miast. Co to znaczy?

– Chodzi o to, że pierwsi osadnicy wcale nie przybyli w te strony z jakiejś odległej krainy. Pani Oriana wspominała tylko, że uciekli. Nigdy nie powiedziała skąd. Zawsze ją złościło, gdy o tym napomknąłem. Mówiła, że życie tutaj, nawet pod wpływem Xaviere'owych uroków, przypomina cudowny spacer w ciepły wiosenny dzień po pięknym ogrodzie. Wydawała się zdenerwowana, wystraszona, gdy wracała pamięcią do dawnych czasów. Nocami budził mnie jej krzyk. Potem koiła lęki nalewką miodowo-bursztynową, budziła rusałki i kazała im tańczyć do białego rana. Gdy nalewka zaczynała działać, czasami coś jej się wymknęło. Tak oto dowiedziałem się, gdzie jest ta kraina. Nie wyjawiła mi, dlaczego uciekli, ale zawsze zapewniała, że jej ukochane miasta są bezpieczne, póki ona żyje. Że ustanowiła taki czar, taką zaporę, że „nawet gelusy jej nie przenikną".

– Gelusy?

– Tak mówiła. Pamiętaj, że byłem jej wytworem, mieszkałem w jej rezydencjach, przy mnie nie musiała się pilnować.

Twierdziła, że w porównaniu z gelusami jej nyriony to słodkie kociaki do głaskania.

– Ale co to ma wspólnego z miastami? Z zagrożeniem? – Ta opowieść zaczynała Amandę wciągać.

Krespian podrapał się za jednym rogiem i poprawił bandaż, który zsunął się z raciczki.

– Całkiem sporo. Otóż pani Oriana mówiła, że będzie żyć wiecznie, bo tylko tak jest w stanie zapewnić miastom nietykalność. Którejś nocy wyciągnąłem z niej informację, że grup osadniczych było całkiem sporo. Jednak gdy osadnicy zorientowali się, że są śledzeni i ścigani, zniszczyli drogę, jaką przybyli na te tereny. Potem ich najpotężniejsi magowie połączyli siły i postawili zaporę, która miała istnieć po wsze czasy i odgradzać ich od okropieństw, przed którymi uciekli. Do tej grupy należała także pani Oriana, wtedy już żona Wielkiego Xaviere'a. Podobno był wśród nich zdrajca: swym zaklęciem spowodował, że zapora miała istnieć jedynie tak długo, jak długo będą żyli jej twórcy. Po śmierci ostatniego z nich czar miał stopniowo zanikać. Zdrajcę ukarano, ale przeciwzaklęcia nie udało się znaleźć. Pani Oriana z lękiem myślała o dniu, w którym jej zabraknie. Miała nadzieję, że ci, co ich ścigali, zdążą wcześniej umrzeć. Teraz pani Oriany nie ma. Zabiłaś ją, a tym samym zniszczyłaś czar.

Amanda poczuła się nieswojo. Jakiś nieokreślony lęk przyprawił ją o gęsią skórkę.

– Może tylko żartowała? Może chciała cię nastraszyć?

– Sama była mocno wystraszona. Pani Oriana, która nie lękała się nikogo, drżała ze strachu, gdy wspominała dzieciństwo w tamtej krainie. Amando, zapora chyba jeszcze istnieje, jednak

zgodnie ze słowami mojej pani będzie powoli znikała. Tu masz notatnik pana Xaviere'a. To z niego pani Oriana dowiedziała się, że twoja matka jest jego córką. Ale w tym notesie są też informacje na temat zapory. Uwagi wpisane błękitnym kolorem to myśli mojej pani. Mam nadzieję, że zrozumiesz jej wskazówki. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni liberii podłużne zawiniątko i podał dziewczynie.

– Mówiłeś, że tylko moja matka mogłaby zapobiec złu, ale tym razem naprawdę by umarła. Co to miało znaczyć?

– Więc nie myliłem się, przeżyła – stwierdził z satysfakcją. – W notesie jest wszystko, przynajmniej taką mam nadzieję. Przeczytaj go niezwłocznie. Teraz ty lub twoja matka musicie uratować miasta. Nie rozumiecie, co spowodowałyście... Pani Ariane była moją protektorką, wielką, wspaniałą kobietą! – Podziw w głosie Krespiana zirytował nieco Amandę, ale nie dała tego po sobie poznać. – Żyłem tutaj pod jej opieką. Bezpiecznie. Beztrosko. Zabiłaś ją, więc teraz musisz zająć jej miejsce. Przepraszam, ale to twój zakichany obowiązek, choć wątpię, czy temu podołasz. I niech nas niebiosa chronią przed tym, co nadejdzie! No, na mnie już czas. Wybacz, że nie zostanę sprawdzić, czy ci się udało. Nie należało zabijać pani Ariane!

– Krespian! – Chciała go jeszcze o coś zapytać, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Jeśli potrzebujesz tymczasowego schronienia, zostań wśród ruin. Powinnaś tam jeszcze znaleźć ocalałe pokoje i jakieś ubrania. A jeśli dopisze ci szczęście, to może też trochę jedzenia. Powodzenia, Amando, i pamiętaj, że czas ucieka! Nie zwlekaj! –

Zielona peleryna ponownie spowiła wynędzniałe ciało i natychmiast wtopiła się w otoczenie.

– Krespian! Nie odchodź! Krespian! – zawołała za nim, ale na próżno.

Zerknęła na notatnik. Na jasnobrązowej skórzanej okładce ozdobionej herbami miast widniał tytuł, który wstrząsnął nią bardziej niż cokolwiek innego: *Półsny, półsłowa*. Nienazwany strach ścisnął ją za gardło. Powstrzymała ciekawość nakazującą jej natychmiast zajrzeć do notatek mężczyzny, którego wciąż nie potrafiła nazwać dziadkiem. Podniosła się z kamienia i, idąc za radą Krespiana, poszukała schronienia w ruinach rezydencji. Tam, gdzie, zdawałoby się, wszystko było kompletnie zniszczone, oczy dziewczyny wypatrzyły niewielkie pomieszczenie gospodarcze, które doskonale nadawało się do zamieszkania. Wypowiadając magiczne zaklęcia, sprawiła, że nim nadszedł wieczór, miała już całkiem wygodnie urządzony pokoik. Zmęczona usiadła w wyczarowanym fotelu i sięgnęła po notatnik. Oczywiście mogłaby jednym dotknięciem poznać jego treść, ale uznała, że woli go zwyczajnie przeczytać, aby odnaleźć to, co ukryte między wierszami, i w ten sposób lepiej poznać i zrozumieć Xaviere'a D'Oriona.

Jesień. Podjąłem decyzję. Zamierzam to zrobić, zamierzam wyruszyć. To miasto jest przerażające. Nienawidzę go z całych sił, lecz jednocześnie je kocham. Oczywiście ruszą za mną w pogoń. Naślą gelusy, może nawet caesariany. Wiem to. Plan, potrzebny mi dobry plan. Podobno za Pograniczem, za pasmem gór, są jakieś niezbadane tereny. Może tam mógłbym się ukryć. Tyle że Pogranicze... Nikt go do tej pory nie przebył. Jeśli tam dotrę... Jeśli

dotrę, zamieszkam tam, zbuduję chatę i będę wiódł żywot pustelnika. Bo lepiej żyć w pojedynkę niż tu i tak jak teraz. Muszę to zrobić, nim oszaleję. Potrzebne mi solidne przygotowania i dobry plan...

Pukanie do drzwi wejściowych przypominało chrobot myszy. Nie usłyszałaby go, gdyby nie koty. Zaaferowane pobiegły w tamtym kierunku i zaczęły ocierać się o framugę, wydając przy tym odgłosy niczym głodne, płaczące niemowlę. Na początku nie zorientowała się, o co chodzi. Czekając ze śniadaniem, aż Marc skończy się kąpać, popijała jogurt i śledziła wiadomości w ogólnokrajowej telewizji informacyjnej, trąbiącej na okrągło o rozpoczętych właśnie wyborach prezydenckich. Dopiero gdy Callista wróciła do kuchni i z miną: „No ile mam się drzeć? Ruszysz tyłek czy nie?" miauknęła wyjątkowo niecierpliwie, Addie domyśliła się, że coś jest nie tak. Idąc posłusznie za kotem, znów złapała się na myśli, z jak niezwykłymi stworzeniami ma do czynienia. Po raz kolejny przyjrzała się kotce podejrzliwie, jakby czekając, aż ta potwierdzi, że nie jest jedynie bezmyślnym zwierzakiem. Kotka rzuciła jej ironiczne spojrzenie. Addie gotowa była się założyć, że takie właśnie było.

„Potem" – obiecała sobie zająć się tym tematem i przechodząc niespiesznie przez salon, jeszcze raz zerknęła w telewizor.

„Mimo fatalnej pogody frekwencja podczas trwających od rana wyborów prezydenckich jest olbrzymia. No ale trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, jak wiele niespodzianek sprawili nam ostatnio wszyscy kandydaci – mówił spiker takim tonem, jakby znali się z Adrianą od dziecka. – Teraz jednak będziemy mówili nie o wyborach, ale właśnie o pogodzie. A opowie nam o niej nie kto inny, jak nasza fantastyczna pogodynka Natalie".

Addie odruchowo zmarszczyła brwi. Zawsze zastanawiało ją, czym się kierowali szefowie stacji, dając Natalie tę posadę. To, że dziewczyna była bardziej niż puszysta i wyglądała jak tania zdzira, wcale jej nie przeszkadzało. Mogła nawet zaakceptować jej szczebiotliwy głosik głupiutkiego dziecka, ale nie potrafiła pojąć, jakim cudem istota, która nie odróżnia mżawki od ulewy, może się wypowiadać na temat pogody.

Zanim dotarła do drzwi, usłyszała jeszcze znajome irytujące ćwierkanie:

„Witaj, Josh! To prawda, pogoda jest wyjątkowo paskudna, ale czy powinno nas to dziwić? W końcu mamy jesień! – Natalie zachichotała, a Adriana z trudem powstrzymała się od rzucenia kartonem z jogurtem w telewizor. – Deszcze pozostaną z nami jeszcze dwa tygodnie, lecz cieszmy się, że nie mieszkamy na przykład w Morren City, które powinno się raczej nazywać Zmorren City, bo właśnie tam najczęściej występują powodzie i podtopienia. Mieszkańcy tego miasta mają ogromnego pecha. Nie dość, że to biedna mieścina z dużą liczbą bezrobotnych, to jeszcze na okrągło tam pada! – nawijała dalej pogodynka, siląc się na współczujący ton. – Wyobraźcie sobie państwo, ulewa za ulewą

odcina tych biedaków od świata, a ostatnio trafiło im się nawet tornado. Co prawda nowy energiczny burmistrz...".

– Tornado? Na tych terenach? Natalie, błagam! – Adriana aż sapnęła ze złości. Idąc do drzwi wejściowych, przebiegała w myślach listę znajomych, których mogłaby się spodziewać w ten niedzielny poranek, ale nikt nie przychodził jej do głowy. Niespodziewany gość... Nie lubiła niespodzianek. Zmarszczyła brwi, zawahała się, ale w końcu otworzyła.

Istota, którą zobaczyła na progu swego domu, nie tyle ją zaskoczyła, ile wręcz zszokowała. Była to bowiem rumiana staruszka ubrana w przykrótką ramoneskę z czerwonej skóry, spod której wystawał wściekle różowy koronkowy top z czarnym stanikiem. Całości ubioru dopełniały czarne, również koronkowe, legginsy oraz ciemne martensy zdobione pąkami róż. Nakrycie głowy też pasowało do właścicielki niczym pięść do nosa, bo był to pasiasty beret we wszystkich kolorach tęczy, przywodzący na myśl szalonych muzyków reggae, na dodatek za duży. Brakowało jedynie dredów. Zamiast nich spod beretu na ramiona staruszki spływały długie srebrne warkocze z wplecionymi w nie koralikami. Addie byłaby chyba bardziej zaskoczona jedynie widokiem włochatej czarno-rudej żaby wielkości czołgu na podjeździe swego domu, przemawiającej do niej po hiszpańsku z rosyjskim akcentem.

– Pomyłka! – rzuciła i odruchowo zatrzasnęła staruszce drzwi przed nosem. Po chwili zamiast pukania rozległo się walenie w drzwi. Sapnęła poirytowana, ale otworzyła.

– „Pomyłka" powinna ci dać na drugie imię twoja matka! Jakby to była pomyłka, toby mnie tu nie było! – fuknęła staruszka

i krokiem nazistowskiego oficera na paradzie wojskowej wmaszerowała do salonu. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem jego wnętrze, a potem odłożyła kolorową, zrobioną na drutach torbę na niewielki stolik i przycupnęła na kanapie. Addie nawet nie zdążyła otworzyć ust, gdy staruszka ponownie się odezwała: – Marcus! Pobyt w tym świecie wyraźnie ci nie służy. Zrobiłeś się bardzo tchórzliwy, skoro unikasz nawet takiej jak ja czarownicy. No, wyjdźże wreszcie zza tych drzwi! Nie kompromituj się, człowieku!

– Cornelia! – Marc ostrożnie wychynął zza drzwi łazienki i unikając wzroku Addie, skinął głową staruszce.

– Znasz ją?! – krzyknęła Adriana, wskazując palcem kobietę. Ta zaś zignorowała ją kompletnie.

– Marcus, chłopcze, poczęstuj mnie jaką herbatą. Najlepiej taką z nalewką. Strasznie dziś zimno. Wielkie nieba, macie pojęcie, ile trudu kosztowało mnie dotarcie tutaj? Te wszystkie autobusy, brudne, hałaśliwe i śmierdzące! Fuj!

– Znasz ją? Znasz tę kobietę? – Adriana nie dawała za wygraną.

– A pewnie, pewnie. Ty zresztą też. Dobra, nie chcę tej herbaty – burknęła Cornelia. – Ariel, bądź uprzejma przestać celować we mnie paluchem i gapić się jak na tańczącego wampokruka. Nikt ci nie mówił, że to niełądnie? Ech, no tak, twoje wychowanie... Cóż, mogłoby być lepsze, ale czy mieliśmy na to jakiś wpływ? – mruczała pod nosem staruszka.

– Mam dość! Marc, nie interesuje mnie, czy ją znasz. Mój dom to nie przytułek dla wariatów i popaprańców! – Addie sięgnęła po telefon i wystukała numer policji, lecz zanim dyżurny zdążył

odebrać połączenie, zaklęcie wytrąciło jej słuchawkę z rąk. – Marc?! Co ty...?

– Nie ma sensu dzwonić na policję – powiedział. – Tak, znam ją. To Cornelia, właścicielka kawiarni Pod Krzywym Kogutem i... siostra twojej matki. Co się stało, Cornelio, że nas odnalazłaś? Nie taka była umowa.

– No w końcu! Nareszcie ktoś zaczął wydawać dźwięki ogólnie rozumiane jako ludzka mowa – westchnęła babcia. – Pamiętam, że ustalenia były inne, ale chodzi o to, że Amanda zniknęła!

Addie poczuła ostry ból w piersi i jakiś nienazwany strach zdławił jej gardło. Przełknęła nerwowo ślinę i zapytała:

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co chodzi? Marc, skąd znasz tę panią? Czemu nazywa cię „Marcus”? I po co nawiedziła nasz dom w niedzielę rano? Kto to jest Amanda? Dlaczego miałoby nas obchodzić, że zniknęła? I...

– Bo mam na imię Marcus, a Amanda to twoja córka. To ta dziewczyna z twoich snów...

– Córka?! Marc, czyś ty doszczętnie zgłupiał?! – Przypomniała sobie, jak jej kazał spisywać swoje dziwne sny, i pomyślała, że się z niej nabija. Z gniewu i upokorzenia policzki Adriany zaczęły przybierać barwę dorodnych piwonii.

– Dosyć! – huknęła babcia. – Marcus, chłopcze, przytrzymaj no na chwilę tę rozgorączkowaną kobitę! Widzę, że z pamięcią czy bez, ciągle taka potrzepana! – Pogrzebała w przepastnej torbie i wyjęła woreczek foliowy z jakimś kamykiem w środku. Trzymając go dwoma palcami, uniosła na wysokość oczu i niczym diler narkotykowy otaksowała jego zawartość. Potem ostrożnie wydobyła kamyk z woreczka. W zetknięciu z jej pomarszczoną

dłonią rozświetlił się milionem bladoróżowych błysków, a jego wnętrze ożyło i zawirowało wokół jakiegoś centralnie umieszczonego pasma. Przez jedną długą chwilę cała trójka w kompletnej ciszy wpatrywała się z podziwem w drogocenny kamień. Jego uroda była niemal bolesna dla oczu śmiertelnika.

„Jezu, ale pięęękny! Zupełnie jakbym widziała miniaturkę Mgławicy Magellana zaklętą w kamieniu – westchnęła Addie z zachwytu.

– Wiem, co masz na myśli. Xaviere twierdził, że przyjmowanie morganitu trochę boli, ale zdaje się, że nie mamy wyjścia – szepnęła w końcu staruszka.

– Cornelia, no nie wiem... Czy to na pewno konieczne? Ostatnim razem, jak jej go zabierałaś... – wtrącił ostrożnie Marc.

– Co to? Co chcecie z tym zrobić? – Addie spojrzała na nich podejrzliwie.

– Przywrócić ci pamięć, kochana. Bez tego wszelkie moje wyjaśnienia będą miały tyle sensu co uczenie trolla posługiwania się sztućcami – odpowiedziała spokojnie babcia i zerknęła na Marca. Coś w ich twarzach kazało Adrianie uciekać. Rzuciła się ku drzwiom, lecz nim tam dotarła, silne ramiona mężczyzny chwyciły ją i przytrzymały. Próbowała się wyrywać, gryźć, kopać, ale jedyne, co osiągnęła, to to, że udało się jej podciąć mężowi nogi i oboje wylądowali na dywanie.

– Cornelia, teraz! Auć! – jęknął, bo silny cios stopy Addie właśnie trafił go w goleń. Babcia, która od dłuższej chwili krążyła dookoła nich niczym sęp wokół padliny, teraz zdumiewająco sprawnie doskoczyła do Adriany. Chwilę wcześniej Marc zwinnie

przetoczył się, usiadł okrakiem na leżącej twarzą do podłogi kobiecie i unieruchomił jej obie ręce za plecami.

– Kocham cię, słonko... – Jego czułe wyznanie zabrzmiało w tej sytuacji kompletnie irracjonalnie. – Cornelia, wiesz, jak groźne jest przyjmowanie morganitu. Jeśli coś jej się stanie... – Głos mu drżał, gdy zwracał się do staruszki.

– Wiem, Marcus, wiem... – Addie usłyszała westchnienie. – Odwróć jej głowę w prawo i przytrzymaj.

Marc posłusznie wykonał polecenie. Dostrzegł jeszcze przerażone, pełne wyrzutu spojrzenie żony. Jej łzy wsiąkały w dywan. Czuł się parszywie, niczym zdrajca, lecz nie poluzował uścisku.

– Rób, co musisz – szepnął do babci i też odwrócił głowę. Adriana poczuła, że czyjaś dłoń odgarnia jej włosy za prawym uchem i dotyka czaszki w miejscu, gdzie była blizna – pozostałość urazu, jakiego doznała w czasie pożaru ich poprzedniego domu. Ta sama dłoń przyłożyła w tym miejscu coś zimnego i ciężkiego. Kamień. Jego chłód lodowatym dreszczem przebiegł wzdłuż ciała Adriany. Kształt kamienia idealnie pasował do nieregularności blizny na jej czaszce. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Oczy niemal wyskoczyły z oczodołów. Jej ciało wygięło się w łuk, a potem zaczęło drżeć jak podczas ataku padaczki. Siła tych konwulsji okazała się tak duża, że nawet Marc nie był w stanie jej utrzymać. Adriana wyrwała się z jego objęć. Rozcapierzone palce niemal wbiła sobie w czaszkę. Niczym oszalałe zwierzę zaczęła tłuc głową o podłogę i stojące obok meble. Z ponownie otwartej rany na niedawno szytym ramieniu popłynęła krew. Cornelia i Marc ujrzeli też drugi strumyk wypływający spod włosów tuż za

prawym uchem, dokładnie w miejscu, w którym morganit zaczął wnikać w głąb czaszki.

– Cornelio! A żeby to gnomy! Co robić?! – wrzasnął mężczyzna.

– Nie panikować! – Czarodziejka mruknęła coś pod nosem, wykonała jakiś gest i ciało Adriany spętał sznur, który pojawił się nie wiadomo skąd, a pobliskie meble zaczęły odsuwać się pod ścianę. – Teraz trzeba już tylko cierpliwie czekać. Morganit nie może być poganiany. – Patrząc na miotającą się po dywanie kobietę, Cornelia ponownie rozsiadła się na kanapie, wyjęła notes i zaczęła go przeglądać...

Z pamiętnika Xaviere'a (kilka tygodni później).

Człowiek uciekający nie ma czasu na pisanie, stąd dopiero teraz ta notatka. Tak więc wczoraj w końcu wyruszyłem. Pod pretekstem usługiwania towarzyszyłem paniczom Claylandowi i Davorowi w czasie inspekcji na powierzchni. Tam cudem wymknąłem się z naziemnego miasta i omijając główne szlaki, dotarłem do Pogranicza. Tak jak przypuszczałem, panicz Clayland puścił w pogoń za mną swego gelusa. Bestia, mimo że zna mnie od wielu lat, nie miała najmniejszych oporów, żeby rzucić mi się do gardła. Przygotowany na to ustrzeliłem ją z kuszy, którą...

Dalszy fragment tekstu był zamazany, co zirytowało Amandę, ale też zaciekawiło. Chętnie dowiedziałaby się, czy autor zrobił to specjalnie, a jeśli tak, to dlaczego.

...tuż przed wyruszeniem na powierzchnię. Dziwne, myślałem, że gelusów nic nie jest w stanie powstrzymać, a tymczasem zrobił to jeden bełt banalnej kuszy. Jakie to szczęście, że dzień wcześniej w czasie uczty na cześć księcia pana panicz Clayland...

znów fragment wykreślony

...i to, jak widać, całkiem niezłą. Co ciekawe, odniosłem wrażenie, że kusza słucha mnie niczym wierny swemu panu pies. Na moment niemal zrosła się z moją dłonią i, zupełnie jakby odczytywała moje pragnienia, zabiła tamtego potwora. Piękna to broń. Mała, bardzo poręczna i ciekawie rzeźbiona.

Jestem znużony, głodny, obolały. Mam poranione stopy, ale czuję się szczęśliwy, bo udało mi się to, za co tak wielu przede mną straciło życie: ucieczka. Przynajmniej do tej pory. Nie sypiam wcale, odpoczywam jeno godzinkę, dwie, skryty w przygodnych jaskiniach czy jamach pod korzeniami drzew, pożywiam się skąpą strawą i ruszam dalej. Pozostawanie zbyt długo w jednym miejscu byłoby nierozsądne, choć przebyłem już szmat drogi. Wiem, że ani panicze Davor i Clayland, ani ich zwierzchnicy nie dadzą za wygraną, póki nie zmyją plamy na honorze, bo nie ma nic bardziej uwłacz...

tekst zamazany

Martwię się o pozostałych. Czy im też się udało? Dowiem się tego jutro w umówionym miejscu. Dobrze, że podczas pracy w gabinecie księcia pana zapamiętałem tę mapę. Oby im się powiodło. Oby Jason i inni dotarli na miejsce bez szwanku. Czekanie na jakąkolwiek wieść doprowadza mnie do rozpaczy. Czas ruszać dalej...

Co takiego się wydarzyło? Co zrobiłeś, Xaviere? I dlaczego musieliśmy uciekać tak nagle? Co mój ojciec miał z tym wspólnego? – brzmiał dopisek na marginesie, zrobiony porządnym, czytelnym pismem.

„Krespian twierdził, że to uwagi Oriany" – przypomniała sobie Amanda i wróciła do czytania.

Następnego dnia. Klimat bardzo się zmienił. Otoczenie także. Puszcza ustąpiła zamglonym górom. Jest zimno, ale można wytrzymać. Góry są piękne i w swej piękności takie groźne. Na dodatek ogromne. Nawet wysoko zawieszone chmury nie potrafią ich pokonać. Czy za łańcuchem górskim znajdziemy enklawę

spokoju? Do wyznaczonego na podgórzu miejsca spotkania dotarłem nad ranem. Ucieszyłem się, bo był tu już Brendan, a także Cilian i jeszcze kilku z rodzinami. Brakuje Beau, Victora i paru innych. Poczekamy na nich do jutra. Dłużej jednak nie sposób. Potem musimy poszukać drogi przez pasmo górskie, bo tu kończy się mapa księcia pana, a z podsłuchanych rozmów wiem, że nawet on nie był świadom, co znajduje się dalej, i zdawał się niechętny do zdobycia tej wiedzy. Nigdy nie sprecyzował, o co chodzi, lecz twierdził, że dla mroczniaków to teren groźny, niemożliwy do przebycia. Dlatego to dla nas jedyna szansa. Nie będzie to łatwa droga, bo góry strome, a mgła gęsta, i chyba będziemy musieli powiązać się linami, żeby nie zgubić kogoś na szlaku. Ognisk nie palimy, bo i po co zapraszać intruzów. Siedzimy teraz zbici w gromadkę, opatuleni kocami, i ogrzewamy się wzajemnie. Z rzadka ktoś coś powie. Wszyscy są wyciszeni, przybici. Widzę po twarzach niektórych, że trudy wyprawy ich przerosły i żałują decyzji o ucieczce. Na powrót już jednak za późno. W podziemnym mieście znaleźliby śmierć, lecz wpierw bestie zabawiłyby się ich cierpieniem. Idąc naprzód, też możemy umrzeć, lecz alternatywy nie ma...

Addie zastygła na dywanie na podobieństwo woskowej figury. Szeroko otwarte oczy nawet nie mrugnęły. Źrenice zwęziły się do rozmiaru szpilki. Czasem tylko jej ciałem wstrząsnął dreszcz,

palce dłoni poruszyły się niespokojnie, a z ust wydobył się jęk. Grube krople potu pokryły czoło.

Marc uklęknął przy niej, pogładził ją po głowie i odgarnął mokre od potu pasemko włosów. Bladoróżowy kamyk za jej uchem już do połowy zagłębił się w czaszce. Z jego zakrwawionych krawędzi, na podobieństwo miniaturowych węży, wydobywały się przedziwne twory. Niczym najprawdziwsze żmije wiły się, splatały i wnikały w głąb otaczających tkanek, by zadawać ból milionem lodowatych szpikulców.

– Skarbie – szepnął, aby dodać Addie otuchy. Potem położył się koło niej i gładząc ją po policzku, cichutko zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

– Nie usłyszy cię – mruknęła Cornelia. – Xaviere twierdził, że kiedy przyjmował morganit, był, jak to ujął, poza ciałem, czasem, miejscem, otwarty jedynie na swoje wewnętrzne światy. Więcej się od niego nie dowiedziałam. Był skryty. Ale tyle to i ty wiesz, prawda, chłopcze?

Mimowolnie skinął głową.

– Nie lubisz... Nie lubiłaś go.

– Aż tak to widać? – Rzuciła mu ironiczne spojrzenie. – Nie lubiłam. Ale opowiem o tym tylko raz, kiedy ona dojdzie do siebie. – Zaskoczyła go ogromem niechęci do Pierwszego Naczelnego.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Myślisz, że...

– Spokojnie, będzie dobrze. Przecież już raz przyjęła morganit i przeżyła.

Tymczasem kamień przebył już ponad połowę swojej drogi. Brzegi jego krwawej oprawy zdawały się teraz wydzielać rdzawy

dym. Marc nie bardzo wiedział, czy to kamień wciska się w głąb czaszki Addie, czy też to jej tkanki wciągają go do środka. Nie miało to znaczenia. Potwornie cierpiała, a on cierpiał wraz z nią. Znów powróciło do niego uczucie bezsilności, którego miał nadzieję nigdy więcej nie doświadczyć. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to leżeć koło niej, przytulać, pocieszać...

„Ten czas, to miejsce – tak znajome i nieznajome równocześnie... Przebłyski obrazów, niczym szybko odtwarzane slajdy, przemykają przed źrenicami. Wolnym krokiem idzie przez rynek zabudowany kamienicami o fantazyjnych bryłach, ku drzewu o gałęziach w kształcie skrzydeł anielskich, ku posągowi człowieka dosiadającego bestii i fontannie z tańczącymi faunami. Gołębie wzbijają się do lotu. Słyszy łopot ich skrzydeł i czyjś śpiew. Unosi wysoko ręce. Muszą wiedzieć, że jest bez broni. Ale czy się poddaje? Jeszcze chwila, jeszcze dwa, trzy, pięć kroków i dotrze... Podnosi głowę. Ogromne, czarne jak smoła tuby już krążą nad miastem. Zmierzcha. Ciężkie, nisko zawieszone chmury przybierają kształt łbów bestii, a te wyszczerzają groźnie zębiska. Krople... dymu (?!) odrywają się od chodnika i suną ku niebu. Chmury ich nie powstrzymają! Szerokie plecy mężczyzny, skórzana kurtka, srebrne włosy i to stworzenie siedzące na jego ramieniu... A więc to on. To jemu przekaże artefakt. Ciemnoskóra dziewczynka bez stopy spogląda z wyrzutem. Tak, wiem, to

zdrada! Niech oni wszyscy przestaną tak patrzeć! Srebrnowłosy stojący pod drzewem odwraca się niespiesznie. Uśmiech rozciąga mu usta, lecz oczy pozostają lodowate. Zimne są także jego wargi, choć całuje namiętnie. To niemożliwe! Chwila porażki? Chwila triumfu? Chwila śmierci...".

Addie gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej źrenice rozszerzyły się, na moment niemal obejmując całą tęczówkę. Potem oczy błysnęły fiołkiem Zielarzy, zielenią i złotem smoków, a w końcu przytomne spojrzenie kobiety spoczęło na Cornelii i Marcu.

– Możecie mnie już rozwiązać – szepnęła z trudem. – Cornelio, obiecałam ci pogawędkę, gdy szłam zabić Darrena. Zdaje się, że mamy sobie sporo do powiedzenia.

Staruszka westchnęła z ulgą. Wykonała oszczędny gest i więzy opadły, a meble powróciły na swoje miejsce.

– Marcus, połóż ją na kanapie. I zrób kawę. – Natychmiast zrobił to, o co prosiła. – Nie mamy wody z magicznego źródła, więc mam nadzieję, że kawa wystarczy, żeby postawić ją na nogi. Musi.

– Ale żeby kawa była dobra, musi być... – Addie uśmiechnęła się słabo.

– ...mocna, słodka i z odrobiną mleka. Pamiętam. Zaraz będziesz ją miała – dokończył za nią Marcus i szybko zniknął w kuchni.

Minęła długa chwila.

– Więc on to Marcus, a ja mam na imię Ariel – powiedziała, żeby jakoś rozpocząć rozmowę. Usiadła i ostrożnie dotknęła miejsca za prawym uchem, o którym sądziła, że jest pamiątką po pożarze poprzedniego domu. Z ulgą stwierdziła, że zdążyło się zabliźnić; przez cienką skórę dało się wyczuć jedynie twardą

nierówność kamyka. Ból zniknął, choć nadal czuła w tym miejscu ucisk i wciąż była oszołomiona. Potarła skronie, jakby w nadziei, że to dziwne uczucie rozpierania w głowie minie i odzyska pełną kontrolę nad własnym umysłem.

– Aha – bąknęła babcia i zerknęła w stronę kuchni. – Czy on na pewno da sobie radę? W końcu to tylko oficer, a tam jest tyle dziwnych sprzętów. Co z tą kawą, Marcus?!

– Nie nerwowo, Cornelio. – Mężczyzna ukazał się w drzwiach, niosąc na tacy trzy kubki, z których wydobywał się najcudniejszy pod słońcem aromat. Wszystkie zmysły Ariel skupiły się teraz na kawie.

– Chryste, ale pyszna! – Upiła łyczek i aż sapnęła z rozkoszy. – To druga rzecz, którą robisz tak cholernie genialnie, skarbie. – Puściła oko do Marcusa, a ten niemal zakrztusił się kawą.

– A jaka jest ta pierwsza? – zainteresowała się Cornelia.

– Chciałabyś wiedzieć! – Ariel wybuchnęła śmiechem. Staruszka też domyślnie zachichotała.

– Ariel, Cornelia, przypominam wam, że jesteśmy tu z ważnego powodu – przywołał je do porządku Marcus. – Cornelio, zanim oddałaś jej morganit, powiedziałaś, że Amanda zniknęła i...

– Amanda zniknęła?! Dopiero teraz mi to mówicie?! – wrzasnęła Ariel. Gorąca kawa chlapnęła jej na rękę, gdy zaczęła gwałtownie gestykulować. – Auć!

– Coś ci musiało umknąć, bo przed chwilą Cornelia o tym wspomniała. Spokojnie. Cornelia wszystko nam wyjaśni. Po to tu przyszła. – Marcus podał jej ręcznik.

– Cornelio? – Ariel spojrzała na nią groźnie.

– Jak powiedział Marcus, spokojnie. Dajcie mi opowiedzieć wszystko od początku. Przede wszystkim, Ariel, jak twoja pamięć?

– Nie narzekam. Moja córka, Cornelio. O niej mów.

– Za chwilę. Najpierw powiedz mi, jakie jest twoje pierwsze, najwcześniejsze wspomnienie.

Ariel zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, po co ci to, ale niech będzie. Paskudne zielone ściany... To dom dziecka. Ciemne, upięte w kok włosy kobiety, mojej przybranej matki. Zapach naleśników, jabłek, cynamonu...

– A ostatnie?

Twarz Ariel w tej samej sekundzie zmieniła się, zastygła.

– Obraz w lustrze, osada centaurów... Wszyscy zginęli. – Jej głos zadrżał. – Z mojej winy. Fabien zdrajca... Oriana... nasłała na nich smoki – szepnęła i łzy spłynęły po jej policzkach. Spojrzała martwym wzrokiem w okno. W ciszy dało się słyszeć tylko jęk Marcusa. – Podcięła mi gardło i patrzyła, jak się wykrwawiam... – Palce dotknęły blizny na szyi. – Mam opowiedzieć więcej przerażających szczegółów czy tyle wystarczy, żebyś miała pewność, że znowu jestem sobą?! – warknęła w stronę czarodziejki.

– Wybacz... – Cornelię podejrzanie nagle zainteresował notes, który nadal trzymała na kolanach. – Teraz, jeśli pozwolicie, moja kolej.

Marcus przytulił Ariel, a Cornelia zaczęła opowiadać.

– Najpierw muszę uzupełnić twoją wiedzę i pamięć, Ariel, o to, co wydarzyło się później. Po tym, jak spotkałaś Orianę i zginęłaś... Właściwie to poniekąd Amandzie zawdzięczacie życie. Obydwoje.

– Mów dalej.

– Teleportowała się z wami do wrót i dzięki pomocy Croya przeniosła was przez portal.

– Opanowała bezpośrednią teleportację?!

– A jakże! I nie tylko. To bardzo zdolna dziewczyna. Ale po kolei. Miała świadomość, że w ferworze bitwy z Orianą nikt nie będzie miał czasu zająć się wami i niechybnie umrzecie. Nie pytaj, czemu nie sprowadziła was z powrotem, bo tego nie wiem. Kazała ci tylko zmodyfikować pamięć. Rany Marcusa nie były aż tak groźne, jak się wydawało, choć stracił sporo krwi.

– Ale cierpienie było nieliche – wtrącił mężczyzna.

– Ciebie, Ariel, tak prawdę mówiąc, ocalił morganit. Ten kamyk, który nosisz za uchem. Byłam zaskoczona, widząc, że go masz. W zastępstwie Amandy czuwałam przy was w szpitalu. Którejś nocy zauważyłam na twojej głowie niewielką bliznę. Xaviere miał podobną. Domyśliłam się, co to takiego, jednak poczekałam z usunięciem kamienia do czasu, aż nabrałam pewności, że przeżyjesz.

– Wyjęłaś go?! Ty?! Tak po prostu wydłubałaś go z mojej głowy?! Ale właściwie po co, skoro uratował mi życie? I jak on tam w ogóle się znalazł?!

– Podejrzewałam, że go masz, odkąd odczytałaś obraz w kawiarni Pod Krzywym Kogutem i stworzyłaś portal. Tamtego dnia jednak priorytety były inne. Chciałaś ocalić Marcusa i dopaść Darrena. Nie było czasu na sprawdzanie słuszności mojej teorii ani wyjaśnianie czegokolwiek. Gdybym powiedziała, że znałam twojego ojca, byłoby to kłamstwo. Nie wiem, czy ktokolwiek tak naprawdę go znał. Widziałam jednak, jaką moc dał mu morganit. Wiedziałam, że niechybnie stracisz pamięć, jeśli

ci go usunę, bo przełamać zwykłe zaklęcie niepamięci to dla ciebie pestka.

Ariel przyjrzała się kobiecie bardzo uważnie. Chwilę nad czymś myślała, przyglądając się swoim dłoniom, a potem zerwała się i podbiegła do lustra.

– Kto?! Które z was tak mnie urządziło? – szepnęła ze zgrozą. – Czy pomysł, żebym wyglądała jak źle umalowany klown, to też twoja radosna twórczość? – Dziwna uprzejmość biła z jej głosu, gdy zwracała się do staruszki.

– A nie, nie, to akurat sprawka Amandy. Zażyczyła sobie, żebyś była tak elegancka i zadbana jak rusałki z tutejszych gazet.

– Więc dlatego ciągle czuję przymus malowania się, kupowania szpilek i wkładania seksownej bielizny?!

– Bielizna nie jest zła... – bąknął Marcus i już za chwilę pożałował tych słów.

Spiorunowała go wzrokiem i szybkim ruchem odchyliła pasek spodni.

– O nie, stringi?! Z tym żeście przeholowali! – warknęła.

Marcus podejrzanie szybko zaczął sprzątać ze stolika, a Cornelia tylko machnęła ręką.

– Nie przesadzaj. Dobra bielizna to podstawa.

– Wieczorowy makijaż całą dobę i tipsy tak długie, że mogłabym się podrapać za uchem i jednocześnie dotknąć tyłka?!

– Mnie tam majtki niewidki się podobają – wtrącił Marcus z głupawym uśmiechem.

– To świetnie, bo zamierzam ci sprezentować całe pudło na wszelkie okazje! – wrzasnęła. – Od takich na co dzień po

wieczorowe z cekinami, skórzane z ćwiekami i zimowe z futrem! Jestem pewna, że dostarczą ci niezapomnianych doznań!

– To ja chyba zajrzę do kuchni... – Mężczyzna zobaczył coś w jej oczach, co kazało mu przezornie wycofać się w tamtym kierunku.

– Jeszcze jedno, Cornelio. Mnie zmieniłaś pamięć, a Marcusowi nie?!

– Amanda wymusiła na mnie obietnicę, że zmienię wspomnienia tobie. O nim nic nie mówiła. – Czarodziejka wzruszyła ramionami.

– Wiedziałeś! Wiedziałeś, a mimo to kazałeś mi spisywać te idiotyczne kolorowe sny! – Ariel spojrzała na męża i trzasnęła pięścią w blat.

– Skoro nadal mamy stolik, to raczej nie był mejd in czajna – mruknęła staruszka.

Marcus chwilę się zastanawiał, lecz potem westchnął i bardzo poważnie powiedział:

– Tak, Ariel, wiedziałem...

– Adriano! Skoro mam nowe życie, to teraz tak masz do mnie mówić!

– Ariel! – powtórzył twardo. – Nie miałem innego wyjścia po tym, co nas TAM spotkało. Sam poprosiłem Amandę, żeby to zrobiła, a ona, jak widać, obarczyła tym Cornelię. Kocham cię, skarbie, chociaż jesteś najbardziej apodyktyczną i wybuchową osobą, jaką znam. Cierpliwością zresztą też nie grzeszysz, a językiem sama mogłabyś wypalać Znamię Smoka. Przymknij się! Teraz ja mówię! – warknął, gdy chciała mu przerwać. – Ustaliłem z Amandą, że tu zostaniemy. Że zaczniemy nowe życie. Nie miałem jak tego z tobą przedyskutować, bo leżałaś

umierająca w szpitalu. Podjąłem decyzję za nas oboje. Cały czas uważam, że słuszną. Pamiętasz, jak mówiłem, że chcę żyć tutaj z tobą? Z dala od chaosu tamtego świata? Naprawdę tego pragnę. Dalej twierdzę, że możemy tu mieć rodzinę, dzieci. Jeszcze dwa dni temu sama ich pragnęłaś.

Jakieś blednące wspomnienie z tamtego czasu rozbłysło na moment w jej umyśle i niczym wypalona zapałka zgasło.

– Więc jestem jędzą, tak? Okropną zołzą? – zapytała po chwili już dużo spokojniej.

– Czarownicą. Całkiem niezłą, to fakt – sprostował z uśmiechem. – Wiedźmą – czasami. Charakter masz niełatwy i często Jeff wytyka mi, że jestem pantoflarzem, ale kiedy widzę, jak podlewasz kwiaty, robisz ciasto z rabarbarem czy farbujesz włosy, właśnie wtedy jestem najszczęśliwszy w świecie. I wiesz co? Nie zamieniłbym takiej złośnicy jak ty nawet na sto uległych rusałek. W strongach czy bez...

Wzruszenie na moment odebrało jej mowę.

– Mówi się „w stringach". Jednak Amanda... Nie mogę jej tak zostawić.

– Wiem. Cornelio, mów dalej.

Babcia, która od dłuższej chwili przyglądała im się uważnie, teraz podjęła temat.

– No więc usunęłam ci morganit i pamięć o tamtych wydarzeniach. W zamian dałam wam nowe życie. Takie, jakiego oboje chcieliście. Spokojne, monotonne, rodzinne, NUDNE. I pewnie sielanka trwałaby nadal, gdyby nie to, że wczoraj wieczorem do mojej kawiarni przybył pewien oficer. Oprócz zwykłych zleceń i dokumentów dla zwiadowców wręczył mi

dyskretnie także to. – W dłoni staruszki pojawiła się koperta z grubego błękitnego papieru, opatrzona pieczęcią w kształcie... srebrnej kłódeczki.

Ariel zdecydowanym ruchem odebrała ją z rąk czarodziejki i natychmiast otworzyła. Szybko przebiegła wzrokiem tekst.

– Czytaj na głos – poprosił Marcus.

„Czarownica Cornelia, kawiarnia Pod Krzywym Kogutem... – zaczęła. – Droga Cornelio, nazywam się Orestes. Jestem producentem eliksirów, leków i kosmetyków w trzecim mieście. Piszę o tym, na wypadek gdybyś chciała uznać ten list za głupi dowcip. Zapewniam, że istnieję naprawdę i jestem poważnym człowiekiem, a ten list NIE JEST żartem...".

– To naprawdę Orestes? TEN sławny Orestes od eliksirów? Znacie go?! – Cornelia zaklaskała jak nawiedzona nastolatka na koncercie Justina Biebera. – Robi takie rewelacyjne kremy przeciwzmarszczkowe z mleka jednorożców! Naprawdę go znacie?!

Ariel z Marcusem zerknęli na nią z konsternacją.

– Wynegocjuję dla ciebie rabat, tylko daj mi dokończyć! – parsknęła Ariel. – Gdzie skończyłam? Aha, mam. „Pozwolę sobie nadmienić, że byłem, a właściwie jestem, przyjacielem Marcusa i Ariel. O tym, że żyją, powiedziała mi Amanda. Piszę do Ciebie, bo słyszałem, że jesteś spokrewniona z Ariel i wiesz, gdzie ona teraz mieszka. Jeśli jest w stanie, powinna do nas wrócić i pomóc odnaleźć córkę. Jeszcze przed bitwą z Orianą Amanda rzuciła na samą siebie czar, który pozwolił jej szybciej dorosnąć i doskonale opanować tajniki magii. Dzięki temu zdołała pokonać wiedźmę...". Wiedziałam! Czułam, że coś jest nie tak! Pamiętam, że zastanowiło mnie jej szybkie dojrzewanie, ale miałam tyle spraw

na głowie... Trzeba było odbudować miasta, znaleźć dowody niewinności Marcusa... Popełniłam klasyczny grzech rodzica: poświęcałam dla niej za mało czasu. Ale nadrobię to. Serio. Odnajdę ją i jej to wynagrodzę.

– Czytaj dalej – zachęcił ją Marcus.

„Przez długi czas Amanda pełniła obowiązki Naczelnego trzeciego miasta i muszę przyznać, że robiła to naprawdę dobrze, jednak pozostali Naczelni nie zgodzili się na zaprzysiężenie jej na głównego maga, cofnęli czar i zamierzali odesłać do Oazy Szkolnej. Amanda uciekła. Nie chciała się zatrzymać u mnie, żeby nie narażać ani mnie, ani personelu. Kilka dni przed tymi wydarzeniami ktoś podrzucił jej liścik z groźbą, że zabicie Oriany będzie miało tragiczne konsekwencje. Amanda miała się z tym kimś spotkać, jak napisano, w miejscu, w którym zginęła Ariel. Chciała też poznać jakieś fakty z przeszłości, ale szczegółów mi nie zdradziła. Powiedziała tylko, że jeśli w ciągu dwóch dni się nie odezwie, mam się z Tobą skontaktować, a Ty będziesz wiedziała, co robić. Amanda to poważna dziewczyna, zawsze dotrzymuje obietnicy, ale teraz nie daje znaku życia. Wiem, że ma wielkie umiejętności i potrafi sobie radzić, ale to nadal jeszcze dzieciak. Martwię się o nią i zupełnie nie wiem, jak ją odnaleźć. Cornelio, musisz skontaktować się z Ariel. Niech ona zdecyduje, co robić. Będę niecierpliwie wypatrywał wieści od Ciebie. Z poważaniem – Orestes”.

– Ten oficer czeka na odpowiedź? – Ariel wbiła wzrok w Cornelię, gdy skończyła czytać.

– Powinien być jutro w kawiarni.

– Jutro?! A niech to! Nie mogę czekać do jutra, żeby przekazać jakiś durny list! Zaraz, już wiem! – Pstryknęła palcami, a oczy Marcusa i Cornelii zaokrągliły się ze zdumienia, gdy zaczęła rozpinać bluzkę. Nie przejmując się ich minami, zerknęła na swój biust, a potem uśmiechnęła się triumfalnie. – No i mam sposób, żeby dostać się do tamtego świata.

– Tyle razy prosiłem, żebyś go usunęła!

– Ależ, skarbie, chciałam usunąć, a jakże! Kłopot w tym, że żaden laser nie dał rady tego zrobić. Wiesz, jaką minę miał chirurg plastyczny? Powiedział, że trzeba by wyciąć cały fragment skóry razem z piersią. Zaproponowałam mu, żeby sobie uciął peni...

– Co miała usunąć? – przerwała jej Cornelia.

– Znamię Smoka oczywiście – prychnął Marcus. – Ma je wypalone nad lewą piersią, pamiętasz? Ale nic z tego, Ariel. Nie możesz go użyć.

Odpowiedziało mu uparte spojrzenie.

– A to niby czemu?

– Słonko, widzę, że pamięć nie całkiem ci wróciła. To portal z klauzulą prywatności, tylko dla ciebie. Będą wiedzieli, że żyjesz, choć oficjalnie wyprawili nam pogrzeb. Poza tym każde otwarcie któregokolwiek z portali zostaje odnotowane, prawda? Jest jeszcze sprawa przepowiedni. Pamiętasz, co mówiła? Że będzie rządziła jedna potężna czarownica, ale dopiero wtedy, gdy trójka spokrewnionych ze sobą magów umrze. Nie wiemy, jak twoje pojawienie się w tamtym świecie będzie się miało do tej klątwy. No i jeśli Amanda ma kłopoty, to musimy działać dyskretnie.

Proponuję więc poczekać na tego oficera i przesłać Orestesowi odpowiedź.

– To będzie zbyt długo trwało. Musimy wymyślić coś innego.

– Przepraszam, mogę się wtrącić, dzieciaki? – przerwała im babcia, która od dłuższego czasu chrupała owsiane ciasteczka niczym przerośnięty różowo-czarny królik i wertowała w milczeniu notes.

– Tak, Cornelio?

– Do jutra zostało niewiele czasu, a poza tym będziesz mogła lepiej się przygotować do tej wyprawy. Co do klątwy, to przypominam ci, że w tamtym świecie przeszłaś coś, co nazywają śmiercią kliniczną, czyli naprawdę umarłaś, a że w tym zostałaś reanimowana... – Czarodziejka uśmiechnęła się i teatralnie rozłożyła ręce. – Jednak Marcus ma rację, nie możesz sama otworzyć portalu. Musi to zrobić jakiś oficer, a ty, zamieniona... nie wiem, może w muchę, przelecisz przez portal w chwili jego otwarcia.

– Cornelia, jesteś moją ulubioną ciotką! – Ariel żywiołowo złożyła pocałunek na czole staruszki.

– Jedyną, jaką masz – odgryzła się babcia.

– Zaraz, a co ze mną? – usłyszały zirytowany głos Marcusa.

– Ty, chłopcze, zostajesz. Tylko byś jej przeszkadzał i pewnie znowu musiałaby cię ratować – palnęła Cornelia, zanim ugryzła się w język.

Pełne gniewu sapnięcie uszło z mężczyzny niczym gaz z butli, w której zbyt gwałtownie odkręcono zawór. Ariel przysięgłaby, że Marcus chciał babci pokazać środkowy palec, jednak tylko

spojrzał na nią gniewnie, a po sekundzie futryny zatrzeszczały złowieszczo, gdy trzasnął drzwiami.

– Wielkie dzięki, Cornelia! – warknęła Ariel i poleciała za Marcusem.

– Taka stara, a taka głupia. Cornelio, czy ty nigdy nie nauczysz się trzymać jęzora w swojej paskudnej, wiedźmiej gębie? – mruknęła sama do siebie czarodziejka. – Z drugiej strony dobrze, że to powiedziałam. Nie powinien z nią nigdzie łazić... – Przegryzając ciastka, zaczęła wsłuchiwać się w dobiegające z kuchni odgłosy awantury. Jakiś czas potem drzwi otworzyły się gwałtownie i Ariel wkroczyła do pokoju, prowadząc za rękę Marcusa. Miała tak wściekłą minę, że Cornelia usiadła prosto niczym dzieciak w szkolnej ławce i nerwowo przełknęła ślinę.

– Cornelio, powiem to tylko raz: Marcus jest dla mnie równie ważny jak Amanda. Nie życzę sobie takiego zachowania jak przed chwilą. Przeproś go, i to natychmiast. To nie jest prośba. Czekam!

Staruszka zbladła, a minę miała taką, jakby lada chwila z jej oczu miały popłynąć wodospady łez.

– Daj spokój, Ariel. Dajcie spokój obydwie... – Marcus westchnął z rezygnacją. – Cornelia ma rację, zawsze to mnie trzeba było ratować...

– Nieprawda!

– Zresztą nic ci tym razem nie zagraża. Amanda, jak to dzieciak, zwiała, bo się obraziła na Naczelnych. Odnajdziesz ją, załatwicie swoje sprawy i wrócisz. Jedna osoba przemknie się przez portal łatwiej niż dwie.

– Nie wierzę, że to mówisz.

– Ja też nie – uśmiechnął się blado – jednak rozsądek mi podpowiada, że powinienem posłuchać waszej rady.

Spojrzała na niego z czułością i zdziwieniem, że w tym świecie przyswoił sobie tyle wiedzy, nowych zwyczajów i słownictwa. Cmoknęła go w policzek.

– No dobrze, skoro to już sobie wyjaśniliśmy, to muszę się teraz zastanowić, co robić dalej. Rozumiem, że mojego munduru już nie ma?

– Wyrzuciłem. Był bardzo zniszczony. Nie chciałem...

– Jasne.

– Zanim zaczniecie planować podróż Ariel, chcę jeszcze o czymś z wami porozmawiać – wtrąciła się staruszka. – Ale najpierw wybacz mi, Marcus. Nawet stary i doświadczony człek czasem coś chlapnie językiem pochopnie.

Skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, że przeprosiny przyjęte.

– Jak tu jechałam, obiecałam sobie, że porozmawiam dziś z tobą o wszystkim. – Cornelia spojrzała na Ariel. – To może pomóc odnaleźć dziewczynę, a poza tym uważam, że w końcu powinnaś poznać całą prawdę. Czas najwyższy...

Z pamiętnika Xaviere'a:

Poranione stopy nadal krwawią, lecz już przyzwyczaiłem się do bólu. Świadomość, że jeszcze nie jesteśmy bezpieczni, motywuje do wzmożenia wysiłków. Kilka gelusów wytropiło nasz ślad, więc wczoraj musieliśmy ruszyć wcześniej, niż było umówione. Znów zabiłem jednego. Ta kusza to istne cudo! Szkoda tylko, że gelus zdążył pozbawić życia Beau. To był porządny człowiek, dobry przyjaciel. Nie mogliśmy go nawet pochować, tak szybko przyszło nam uciekać. Chcę wierzyć, że nie cierpiał zbyt długo... Straciliśmy także sporo dobytku, ale zdołaliśmy uciec. Deszcz zmył nasze ślady, więc gelusy zgubiły trop. Przynajmniej chcę mieć taką nadzieję, choć wiem, jak perfekcyjnymi tropicielami są te istoty. Paru naszych nie dotarło na miejsce spotkania. Aż boję się pomyśleć, co ich spotkało...

Kilka tygodni później.

Długo nie pisałem, bo tak wiele się zdarzyło i miałem mało czasu. Aż wierzyć się nie chce, że daliśmy radę! Droga przez góry okazała się nie tak trudna, jak nam się wydawało, choć sporo osób nie dotarło do celu. W szalonej ucieczce przed gelusami znaleźliśmy się w jakimś wąwozie. Był bardzo wąski, kręty i tak wysoki, że niemal zasłaniał niebo. Wędrowaliśmy nim całą wieczność, nie spotykając nikogo na swej drodze, jednak musieliśmy się pilnować, bo jego ściany kołysały się niczym

tkanina na wietrze i kilku maruderów wciągnęły, nim zdążyliśmy ruszyć z pomocą. Dziwny i straszny był ten wąwóz. Niby pokręcony jak labirynt, lecz odnosiłem wrażenie, że ukazuje nam właściwą drogę. Niby ściany tworzyła lita skała, a przecież sam widziałem, że potrafiły falować jak pierś kobiety. Niby głęboko czarnej barwy, lecz na powierzchni ukazywały się zamazane kształty. Matowe, a odbijały obrazy niczym najdoskonalsze czarne lustro. I ta przedziwna muzyka... choć trudno byłoby nazywać muzyką dźwięki przypominające szum drzew na wietrze czy ostatni oddech wisielca. Co się stało z tymi, których wąwóz wciągnął? Nie chcę nawet sobie tego wyobrażać. Nie chciałbym też ponownie się tam znaleźć. Wąwóz dał nam schronienie, to prawda, lecz wyszliśmy stamtąd poranieni emocjonalnie, wyssani z energii, niemal obezwładnieni przez rozpacz. To mroczne miejsce wystawiło na próbę nasze ciała, charaktery, nasze poglądy i przekonania. Tych parę gelusów, które zapuściły się za nami do jego wnętrza, znów zabiły bełty mojej kuszy lub sam wąwóz. Chciałem zbadać te martwe istoty, lecz nim do nich podszedłem, rozpłynęły się w powietrzu. Miałem nadzieję, że gdy pokażę moim ludziom, iż można je zabić, strach przed nimi stanie się mniejszy.

Jakiś czas potem opuściliśmy wąwóz. Po drugiej jego stronie pogrzebaliśmy naszych zmarłych, między innymi żonę Victora i ich nowo narodzone dziecko – zmarli z chłodu i wycieńczenia niemal na samym końcu drogi. Patrząc na ich mogiłę, czułem niewyobrażalny smutek i ból. Zupełnie jak za czasów, gdy nie miałem morganitu. Nie ma słów, żeby opisać, jak ciężko było mi na sercu, widząc te wszystkie nagrobki... Cały czas powtarzałem sobie, że przecież świadomie wyruszyli z nami w tę drogę, a mimo to nie

mogłem pozbyć się poczucia winy, że ich w to wciągnąłem. Byłoby im ciężko w podziemnym mieście, ale przynajmniej nadal by żyli. Chyba. Jason mówi, żebym przestał opowiadać głupstwa...

W miejscu, w którym opuściliśmy wąwóz, spędziliśmy całe dwa tygodnie. Potrzebowaliśmy odpoczynku, ale też chcieliśmy poczekać na inne grupy, które szły za nami. Dla bezpieczeństwa nakazałem całodobowe warty. To zaskakujące, jak wiele istot różnych gatunków zdecydowało się na ucieczkę z tamtego świata i jak wielu to się udało. Jestem nieco zaniepokojony, bo nie spodziewałem się takiej liczby uciekinierów, jednak Jason twierdzi, że dobrze mieć tylu osadników, bo większa gromada lepiej poradzi sobie z niebezpieczeństwami. Pewnie tak, ale też mamy więcej istot do nakarmienia, odziania i znalezienia im noclegu. Po drugiej stronie gór zaskoczył nas widok urodzajnych ziem. Wszystko tu jest inne: bujna roślinność, lasy pełne zwierzyny łownej, żyzne pola, powietrze nasycone aromatami ziół i kwiatów. Nawet słońce świeci tu jakby mocniej. Wczoraj znalazłem źródło. Woda z niego jest niesamowita. Ja, znużony wędrowiec, po jej wypiciu niemal tańczyłem, tak rozsadzały mnie radość i energia. Jason mówi, że to magiczne źródło i czarodziejska woda. Jason... Ariane to jego córka... Całą drogę trzymała się gdzieś z tyłu razem ze swoimi braćmi. Dopiero teraz ją zauważyłem i dotarło do mnie, jak wydoroślała, a przecież pamiętam ją niemowlęciem przy piersi matki. Piękna z niej dziewczyna...

Cornelia zerwała się i zaczęła krążyć po pokoju. Z niepokojem, ale i zaciekawieniem przyglądały jej się dwie pary oczu.

– Od czego by tu zacząć... Może od morganitu. Niewiele o nim wiem, jedynie to, że Xaviere też go miał. Kiedyś, w czasach gdy jeszcze nie byliśmy... no, nieważne... a jego bawiło zwykłe życie, poprosił mnie o przystrzyżenie mu włosów i brody. I wtedy ujrzałam bliznę podobną do twojej; zaczynała się tuż za prawą skronią, a kończyła gdzieś na potylicy. Dobrze skrywał ją przed światem. Zapytałam, co mu się stało. Odparł, że sam ją sobie zafundował. Nigdy nie wyjaśnił, co miał na myśli. Tamtego dnia zdradził mi jednak, że ma pod skórą maleńką półobręcz, w której niczym w pierścionku tkwi morganit. Podejrzewam, że było to jakieś urządzenie wzmacniające jego moce, bo może mi uwierzysz, a może nie, bez tego był zwykłym czarodziejem, takim jak ja czy Marcus. – Babcia się zaśmiała. – Nie mam pojęcia, skąd to wziął. Wiem jedynie, że to temu „pierścionkowi" zawdzięczał swe legendarne umiejętności i prawdopodobnie dzięki niemu zdołał stworzyć pierwsze miasto, położyć podwaliny pod nasze społeczeństwo, zbudować portale i wiele innych. Nigdy się z nim nie rozstawał, a ja nie znałam nikogo, kto miałby podobne urządzenie. Kiedyś zdradził mi, że wchłanianie tej półobręczy wiąże się z nieludzkim cierpieniem, którego on sam o mało za pierwszym razem nie przypłacił życiem. Mówił, że przyjmowanie pojedynczego morganitu to przy tym drobiazg.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie – mruknęła Ariel. Zafascynowała ją ta nieznana historia o ojcu, którego nigdy nie było dane jej poznać.

– Pamiętam, jaki był energiczny, pełen życia... Nie potrafił usiedzieć na miejscu, ciągle go gdzieś nosiło. Wszystkiego chciał spróbować, pragnął zajrzeć w każdy zakątek świata, skosztować każdej potrawy... Taki był Xaviere, którego znałam. A potem, jakiś czas po twoich narodzinach, zaczął jakby przygasać. Wypaliła się ta jego niesamowita energia. W szybkim tempie schudł, posiwiał...

– To pewnie wtedy Oriana zaczęła go podtruwać – szepnęła Ariel.

– Podtruwać?! Kochana, z takimi mocami, jakimi dysponował, nie musiał się obawiać żadnej trucizny. Nie, jestem przekonana, że trucizna była tylko jednym z kilku czynników, dzięki którym Xaviere przeniósł się w zaświaty. Pewnego wieczoru, gdy jeszcze pomieszkiwał w kawiarni, weszłam do jego pokoju. Był tak zajęty pisaniem, że nawet mnie nie zauważył. Pochylony nad kartką papieru szeptał: „Oddanie morganitu nie zmniejsza moich mocy, teraz już nie... Dobrze zrobiłem, będzie zabezpieczeniem". Szybko zapomniałam o tych słowach, teraz jednak myślę, że to wtedy przekazał ci kamień. Byłaś niemowlakiem oddanym do adopcji, jednak zawsze podejrzewałam, że cię odwiedza. Wydaje mi się, że dał ci morganit, bo miewał wizje przyszłości świata. Być może widział, co Oriana zrobi z miastami, nie wiem... Podejrzewam, że na wszelki wypadek chciał mieć w tobie obrońcę miast. Ale ty nie pamiętasz momentu, kiedy dawał ci kamień...

– Cornelia, muszę go mieć od zawsze, bo sama nigdy o nim nie wiedziałam. – Ariel bezradnie rozłożyła ręce.

– Jestem przekonana, że bez morganitu przestał być taki wszechmocny, wszechwładny. Stał się pospolitym

czarnoksiężnikiem, a wtedy Oriana go dopadła – powiedziała jakby do siebie staruszka.

– A więc jeśli i ja się go pozbędę, stanę się zwyczajną osobą?

– Nic mnie bardziej nie uszczęśliwi. – Marcus cmoknął ją w czoło. Zerknęła na niego z uśmiechem.

– Cornelio, mój ojciec... Opowiesz mi o nim?

– A pewnie, pewnie. Nawet jeśli nie będziesz chciała słuchać! Tak jak obiecałam, żadnych tajemnic. – Teraz w babcię wstąpił jakiś dziwny bojowy nastrój. – Zbyt długo czekałam na tę rozmowę. Najwyższy czas, żeby ktoś w końcu powiedział prawdę o tym cholernym „Wielkim" Xavierze! A prawda jest taka, że swą wielkość zawdzięczał morganitowi i bezwzględności. Był tak władczy, despotyczny i wybuchowy jak niektórzy w tym pokoju. – Spojrzała na Ariel wymownie.

– No co? Rodziców się nie wybiera ani genów po nich też... – Ta szybko chwyciła ostatnie ciastko i wgryzła się w nie łapczywie.

– Co racja to racja. Jednak wracając do Xaviere'a, jak to mówią tutejsi ludzie: był kutafonem, jakich mało, a ja już mam po dziurki, no nieważne w czym, milczenia! – Babcia trzasnęła notesem w blat, aż kubki podskoczyły.

– Ku... Kutafonem?! – Ariel wydawało się, że się przesłyszała. Nie bardzo wiedziała, czy ta odpowiedź ją oburzyła, zszokowała czy rozśmieszyła. Zaskoczyła – to pewne – bo była absolutnie przekonana, że Xaviere był obiektem kultu i uwielbienia dokładnie wszystkich mieszkańców dziewięciu miast.

– Wybacz, dziecko, że to mówię, ale twój ojciec – bodaj go bagienniki utopiły, gdy miały okazję! – był kutafonem, draniem i łachudrą, tyle że niezwykle sprytnym. Aż dziw bierze, że potrafił

oszukać tylu ludzi. Zawsze zastanawiałam się, jakim cudem nikt, absolutnie nikt, nie zadał najważniejszego w historii miast pytania.

Przyjrzała się uważnie Ariel i Marcusowi, lecz ci byli zajęci rozmyślaniem, jakie jeszcze usłyszą rewelacje.

– Hej, młodzieży, do was mówię! Nie jesteście ciekawi, jakie to pytanie?!

– Rozumiem, że nam podpowiesz? – spytała ostrożnie Ariel.

– A pewnie, pewnie! Bodaj to bagienniki...! – Marcus z Ariel nadstawili uszu. – To najważniejsze pytanie brzmi: gdzie zaczyna się początek historii dziewięciu miast?

Ariel sapnęła rozczarowana, a Marcus tylko machnął ręką.

– I tyle? To jest to najważniejsze pytanie? Cornelio, wybacz, lecz zadawano je milion razy i każdy elf, krasnolud, człowiek, mieszaniec, dosłownie wszyscy znają legendę o tym, jak Xaviere przybył w tamte strony i zbudował pierwsze antyczne miasto. Wielkie mi halo!

Ariel czuła się zawiedziona. Spodziewała się jakiejś supertajnej nowiny, bomby na miarę odkrycia mocodawców zabójcy Kennedy'ego, a tymczasem dostała odgrzewanego kotleta, którego już tyle razy przeżuwała, że ją od tego mdliło.

– Wielkie nieba! Jesteście ślepi, głupi czy niedorobieni?! Z inteligencją trolla to wy daleko nie zajdziecie! – Irytacja babci osiągnęła poziom krytyczny. – O tym, że D'Orion zbudował pierwsze miasto, wie każdy niedouczony gnom, ale nikt nigdy nie zapytał, SKĄD przybył Xaviere, DOKĄD zmierzał, z jakiego ludu się wywodził i DLACZEGO opuścił swoje rodzinne strony.

– No wiesz, może takie informacje nie były nikomu potrzebne. Po co mieszkańcy mieliby interesować się życiem Pierwszego Naczelnego? Co by im to dało?

– Im być może nic, ale tobie całkiem sporo – fuknęła babcia. – Jestem przekonana, że to ważne, Ariel, naprawdę. I nie tylko dla ciebie. To twoje dziedzictwo...

– No dobrze, więc zamieniam się w słuch.

Cornelia nie przejęła się sarkazmem w głosie Ariel, tylko spokojnie kontynuowała.

– Pamiętasz tamten dzień, gdy szłaś zabić Darrena? Niechcący natknęłaś się na mnie i Claire. Zastanawiałaś się, jak to możliwe, skoro pochodzimy z obowiązującego w dziewięciu miastach systemu Losowań. Odpowiedź jest prosta: otóż nie pochodzimy. – Ariel zerknęła na nią zaskoczona. – Byłyśmy w ostatniej grupie osadników, jaka dotarła tuż za Xavierem na tamte tereny. Wiem jedynie, że gdzieś za Dolinami Zielarzy, Kamieniołomami Demonów, za Rubieżami Trolli są Tereny Niezbadane, a za nimi kraina, z której przybyli Xaviere i jego towarzysze. Byłyśmy wtedy dzieciakami, nie pamiętam więc tamtego miejsca. Nie wiem też, dlaczego moi rodzice zdecydowali się na tę podróż. Nigdy się o tym w domu nie mówiło, a jakiś czas po naszym przybyciu Xaviere wprowadził system Losowań i eliksiry niepamięci. Mnie i Claire umieszczono w dwóch różnych Oazach. Przed rozstaniem uzgodniłyśmy jednak system porozumiewania się i przez wiele lat utrzymywałyśmy potajemne kontakty. Dorosłyśmy, zaczęłyśmy pracować, ale nadal wspierałyśmy się wzajemnie. W tym czasie Claire została matką najpierw Severiana, a zaraz potem Darrena. Nigdy nie piła eliksiru

niepamięci, stąd zawsze pamiętała o swoich synach. Była naprawdę dobrą matką. Oaz Piastunów jeszcze wtedy nie było, dlatego niemowlęta mogły jakiś czas pozostać przy Claire. – Cornelia uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – Severian był owocem zwykłego Losowania, ojcem Darrena była zaś jej największa miłość, Clive. Pamiętam go jako spokojnego, cichego i pracowitego człowieka. Chcieli wspólnie przeciwstawić się tyle co powstałemu Systemowi i żyć jako rodzina poza miastem, lecz pewnej nocy zdarzył się wypadek. Ktoś zakradł się do domu Claire. Twoja matka, myśląc, że obezwładnia włamywacza, zabiła Clive'a. Oczywiście postawiono ją przed Xaviere'em, a ten najpierw oficjalnie ją za to skazał, a potem upozorował jej śmierć i po cichu przeniósł się z synami do tego świata i w te czasy. Wtedy myślałam, że to szlachetne z jego strony ratować Claire po tym, co zrobiła. Teraz wiem, że ją wybrał. Musiał wiedzieć jak przebiegły pierwsze próby chłopców ze smokiem, jakimi umiejętnościami będą prawdopodobnie dysponować w przyszłości, więc wybrał ją, bo rodziła odpowiednie dzieci – gorycz tych słów była porażająca.

– Cornelio, nie musisz tego opowiadać... – Marcus spojrzał na nią ze smutkiem.

– Musi! – przerwała mu Ariel. – Choć domyślam się, co powiesz, wiem, że musisz to w końcu wypowiedzieć na głos.

Staruszka skinęła głową.

– Claire udało się uprosić Xaviere'a, bym mogła się przenieść wraz z nią i jej synami. Chciała mnie mieć do pomocy, ale też jako towarzyszkę, przyjaciółkę. Xaviere, o dziwo, zgodził się i jakiś czas żyliśmy spokojnie i dostatnio w kawiarni Pod Krzywym Kogutem.

W zamian za wikt i opierunek miałyśmy ją prowadzić i kontaktować oficerów ze zwiadowcami. Xaviere odwiedzał nas tak często, że urządziłam dla niego niewielki pokoik. Pewnego dnia, gdy wróciłam z targu, Claire nie wyszła mi na powitanie. Zastałam ją w jej pokoju zwiniętą w kłębek, szlochającą. Pamiętam, jak w kółko powtarzała: „To tylko jeszcze jedno Losowanie...". Parę godzin później, gdy eliksir uspokajający wreszcie zaczął działać, powiedziała mi o odwiedzinach Xaviere'a. Zgwałcił ją, zanim zabrał chłopców. Nie minęło kilka dni, a zjawił się, jak gdyby nigdy nic. – Usta Cornelii zadrżały. – Tamtego dnia pokazał, kto naprawdę rządzi. Gdyby nie morganit, pewnie bym go pokonała... – Pomarszczone dłonie staruszki zacisnęły się ze złością.

Ariel chwyciła jedną z nich i pogładziła Cornelię po policzku. Bała się tego, co zaraz usłyszy.

– Claire zaszła w ciążę, ja nie – podjęła czarodziejka po chwili. – Chłopców już nie było, ale miałyśmy siebie. Nie wiedziałyśmy jednak dokąd pójść, nie miałyśmy nic. Naczelny odwiedzał nas jeszcze, lecz były to jedynie wizyty, jak to mówił, kontrolne. Żeby nic głupiego nie przyszło nam do głowy. Tak, Claire chciała usunąć tę ciążę, jednak była w tym świecie tak krótko, że nie miała pojęcia, do kogo powinna się zgłosić, jak to zrobić, no i bała się Xaviere'a. Nawet nie wiesz, jak potrafił być okrutny. Potem urodziłaś się ty i Claire znienawidziła cię od pierwszego twego oddechu.

Ariel aż sapnęła.

– Musiałam pilnować, żeby nie zrobiła ci krzywdy – kontynuowała babcia. – Wtedy Xaviere ponownie się pojawił

i zabrał ciebie. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie były twoje dalsze losy. Zdradził mi tylko, że zostałaś adoptowana w tym świecie. Nieco później, jak wspomniałam, sam zakończył żywot, co było o tyle dobre, że już nikt więcej nas nie dręczył. Dalej prowadziłyśmy kawiarnię, a właściwie ja to robiłam, bo Claire nigdy nie doszła do siebie po tych przeżyciach. Nigdy też nie zapytała o ciebie. Mogłyśmy tylko dyskretnie śledzić losy chłopców, co nie znaczy, że mogłyśmy na nie wpływać.

– Zaraz, Cornelia, coś mi się tu nie zgadza. – Ariel pokręciła głową. – Parę razy rozmawiałam z Orianą. Byłam jej więźniem, nie musiała więc kłamać. Twierdziła, że Claire była miłością życia Xaviere'a, a ja ich ukochaną córką, tymczasem ty mówisz, że jestem owocem gwałtu?

– Claire miłością jego życia? – zadrwiła babcia. – Oriana tak powiedziała? A więc i to mu się udało...

– Cornelia!

– Prawda jest taka, moja droga, że jedyną i wyłączną miłością tego wampokruczego pomiotu, Xaviere'a, była właśnie... Oriana! – wrzasnęła Cornelia. – Tak, Oriana! To ją wielbił, to dla niej wykreował cały nasz świat i to jej rzucił go do stóp! A ona? Ona wolała jego! – Suchy palec babci wystrzelił w stronę Marcusa. – Oriana została żoną Xaviere'a, bo tak chciał jej ojciec, a w tamtym czasie kobiety nie miały nic do gadania. Wkrótce zorientowała się, jaką ma władzę nad Xaviere'em, i bez żadnych skrupułów ją wykorzystywała. Xaviere był w nią tak wpatrzony, że wylizałby jej pantofle z łajna, gdyby mu kazała. Wybaczał jej zdrady i wszystkie poniżenia. Nawet po rozstaniu robił wszystko, żeby ją odzyskać. Dlatego wymyślił tę bajeczkę o tobie i Claire, żeby

wzbudzić zazdrość Oriany. Jak widać, bezskutecznie. Jeśli ona sama opowiedziała ci o tym, to znaczy, że uwierzyła w jego kłamstwa, ale wykorzystała to jedynie do zemsty.

Ariel zakryła dłońmi twarz. Długą chwilę siedziała w milczeniu.

– Zbrodnie przeszłości musiały ujrzeć światło dzienne. Wybacz, dziecino... – Cornelia pogładziła Ariel po głowie. Kobieta zerwała się i wypadła z salonu, zamykając z hukiem drzwi. Marcus spojrzał ponuro na staruszkę i bez słowa podążył za Ariel.

Znalazł ją skuloną na podłodze za biurkiem. Obejmowała ramionami kolana i kiwała się miarowo niczym małe wystraszone dziecko. Podszedł do niej, usiadł obok i stanowczym ruchem przytulił. Bał się jej łez. Nie był na nie odporny. Po dłuższej chwili wyswobodziła się z jego ramion. Nie płakała, tylko ta powaga na jej twarzy...

– Wiesz, to ciekawe – powiedziała. – Myślałam, że po tym wszystkim, co mnie spotkało, po tylu urazach, jakich doznałam, po poronieniu, po informacji o twojej śmierci... W każdym razie myślałam, że już nic nie jest w stanie mnie zranić. A zrobił to ojciec, którego nigdy nie widziałam. Ja, dojrzała kobieta, powinnam być odporna na takie rzeczy, a nie jestem. Siedzę tu i rozklejam się jak małe dziecko – zdobyła się na żart.

Marcus skrzywił się tylko i ponownie ją przytulił.

– Nie takiego Xaviere'a znałem – szepnął głucho. – Jak widać, nie znałem go wcale. Chciałbym powiedzieć, żebyś się nie przejmowała, ale wiem, że to niemożliwe. Żałuję, że Cornelia nam o tym powiedziała...

– A ja nie. Może i złudzenia są miłe, ale człowiek nie powinien żyć w kłamstwie. Cornelia ma rację, to było mi potrzebne. Każdy

musi znaleźć swoją drogę i dowiedzieć się, kim jest. Bez tego nasze życie nie ma sensu. Wracajmy do Cornelii. Trzeba postanowić, co dalej. – Podniosła się i podała mu rękę.

Cornelia stała przy oknie. Odwróciła się, gdy weszli, i przyjrzała się uważnie siostrzenicy.

– W porządku?

– Nie, ale to nie ma znaczenia. Powiedz mi tylko, Cornelio, czemu dopiero teraz mi o tym mówisz? Nie mogłaś wcześniej komuś o tym opowiedzieć?

– Przecież to logiczne, dziecino. Xaviere był obiektem kultu we wszystkich dziewięciu miastach. Miałam pierwszemu z brzegu oficerowi powiedzieć, że Naczelny Mag to psychopata, gwałciciel i zboczeniec? Wybacz, ale życie mi było miłe. Poza tym czy ktoś by mi uwierzył? Co do ciebie... Nie wiedziałam, gdzie jesteś ani jak wyglądasz. Nie miałam pojęcia, jak dotrzeć do twoich adopcyjnych rodziców. To nie takie proste! Zwłaszcza gdy się ma pod opieką chorą psychicznie siostrę wymagającą niemal całodobowej opieki. Wyjątkowo na dziś dostała silne środki nasenne i pilnuje jej chochlik. Cóż, nie każdy potrafi rzucać zaklęcie *alcedonium* – poinformowała, nim zapytali o sprawę tak oczywistą. – Później, gdy sprowadzono cię do ratowania smoków, nie przyszło mi do głowy, że tak niepozorna kobieta jak ty jest tą samą istotą, którą kołysałam, gdy była niemowlakiem. Zbieg okoliczności uznałabym za nierealny. Kiedy zostałaś Naczelnym, zaczęłam coś podejrzewać, ale jak, u licha, mogłam się skontaktować z tak zapracowaną osobą. Co miałam ci powiedzieć? „Dzień dobry, prawdopodobnie jestem siostrą twojej zgwałconej matki, a twój wychwalany pod niebiosa ojciec jest zwykłym oszustem

i przestępcą?”. I niby jak miałam ci to wtedy udowodnić? Nawet nie wiedziałam, że masz morganit.

– Morganit. A ja myślałam, że zdolności magiczne są moje, tymczasem nawet TO jest zasługą jakiegoś kamyka... – powiedziała z goryczą Ariel. – Marcus, miasta są bezpieczne i mnie nie potrzebują. Jak tylko odnajdę Amandę, natychmiast pozbędę się tego śmiecia z mojej głowy. Będziemy żyć tutaj, tak jak chcesz. Teraz muszę się przygotować do tej wyprawy, wybaczcie.

Ruszyła do drzwi. W progu coś jej się jednak przypomniało.

– Cornelio, Oriana mówiła, że swoją wiedzę czerpała z pamiętnika Xaviere’a. Wiesz coś o tym?

– To prawda, miał taki, podłużny, oprawiony w jasną skórę ozdobioną herbem miast. Zniknął razem z Xaviere’em. Musiał być dla niego ważny, bo nigdy się z nim nie rozstawał. Jestem pewna, że byłby cennym źródłem informacji, gdybyś go znalazła – odpowiedziała babcia.

– Szkoda, myślałam... Myślałam... Nieważne... – westchnęła Ariel. – Co do Claire...

– Lepiej zapomnij o niej i uznaj, że twoja matka umarła. Claire zbudowała sobie swój wewnętrzny świat i żyje w nim szczęśliwie z Clive’em i Darrenem. Nie rozpozna cię, a nawet gdyby, to pamiętaj, czego jesteś „pamiątką”. Nie chcesz poznać siły nienawiści szaleńca... – powiedziała cicho Cornelia.

– Już poznałam – odparła Ariel, mając kogoś zupełnie innego na myśli. – Aha, jeszcze jedno – zwróciła się do Callisty, Baryłki i Ernesta, którzy cały czas obserwowali ich z kąta. – To znowu ja, więc przestańcie już udawać koty! A ty – rzuciła w kierunku

Cornelii – bądź uprzejma popracować nad swoją garderobą, jeśli mamy nie rzucać się w oczy.

Z pamiętnika Xaviere'a:

Doszliśmy do wniosku, że tu będzie najlepsze miejsce do założenia osady. Dostąpiłem wielkiego zaszczytu, bo przyjaciele obwołali mnie burmistrzem. Mnóstwo pracy przed nami, ale wierzę, że nam się powiedzie. Już położyliśmy podwaliny pod nowe domy. Co ciekawe, mój...

tekst zamazany

Od pierwszych chwil pobytu tutaj wydaje się dodawać mi energii, wzmacniać talenty. Zupełnie jakbym nagle odkrył możliwości, o których istnieniu do tej pory nie wiedziałem. Wspomagany nim, potrafię rzucać potężne zaklęcia! Dotąd myślałem, że to domena trowów, a ja, niewiele znaczący...

zdania wykreślone

Teraz widzę, jak wielkie możliwości kryją się w morganicie. Moim ludziom zaklęcia nie idą tak dobrze jak mnie, ale to cud, że w ogóle są w stanie to zrobić. No i przecież oni nie mają takich urządzeń, prawda? Jest coś takiego w tutejszym klimacie, w tej wodzie, co wspomaga naturalne talenty człowieka. W takim tempie już niedługo nasza mała osada przekształci się w piękne miasto. Jason śmieje się, że jestem największym czarnoksiężnikiem, jakiego ziemia nosiła. Nadał mi nawet przydomek Naczelnego Maga, co inni podchwycili, i już nikt inaczej mnie nie nazywa. Bardzo śmieszne! Muszę udoskonalić władanie...

tekst nieczytelny

Może wtedy Ariane zwróci na mnie uwagę? Jestem co prawda sporo starszy, ale... Jej usta są takie zmysłowe... Nie mogę przestać o nich myśleć, jednak to córka Jasona... Czy to wypada? Jason jest dla mnie niemal jak brat...

Pogrążona w lekturze Amanda nie zauważyła, kiedy pogodny wieczór przeszedł w gwieździstą noc. Wraz z kolejnymi stronami pamiętnika zdobywała wiedzę o problemach, z jakimi borykali się pierwsze miasto i jego słynny założyciel. Prócz prywatnych, niemal intymnych, wyznań Xaviere'a było tu bowiem także wiele informacji o powstającej osadzie, na przykład o wyznaczeniu granic miasta, podzieleniu ziem między osadników czy ustaleniu podstawowych praw, jakimi miała się rządzić ta młoda społeczność. Najpierw za pomocą współtowarzyszy, potem coraz bardziej samodzielnie, Xaviere podejmował wiele ważkich postanowień. Zdawał się mieć osobisty udział we wszelkich decyzjach, jakie zapadały, począwszy od tych najistotniejszych, jak doprowadzenie wody pitnej czy wytyczenie ulic, przez wskazanie miejsc pod uprawy zbóż i warzyw oraz hodowlę zwierząt, aż po tak drobne, jak stawianie domów dla poszczególnych mieszkańców, rozsądzanie sporów czy dzielenie żywności. Amanda zachodziła w głowę, jak jedna osoba potrafiła kierować tak wieloma sprawami jednocześnie – zwłaszcza że w tamtym okresie miasto bardzo gwałtownie się rozrastało, a mieszkańców przybywało w imponującym tempie – i mieć czas na życie prywatne, które w przypadku Xaviere' a nieustannie kręciło się wokół Ariane. Początkowe nieśmiałe wzmianki o niej z czasem zmieniły się w żarliwe wyznania miłosne poparte namiętnymi

wierszami, o które Amanda nigdy by nie podejrzewała kogoś takiego jak Pierwszy Naczelny.

„Co ona ci zrobiła, że tak dla niej zgłupiałeś? Miałeś kryzys wieku średniego?”. Uśmiechnęła się, gdy wyobraziła sobie tego mężczyznę w sile wieku adorującego śliczną, bezczelną i dwa razy młodszą pannicę, jaką była Ariane.

Z każdą kolejną stroną rosły niechęć Amandy do tej innej Oriany, która tak sprytnie omotała jej dziadka, ale także podziw i szacunek wobec wysiłków, jakie podejmował Pierwszy Naczelny, by miasto rozwijało się prężnie, a mieszkańcy żyli dostatnio w pięknych domach. Z kart jego dziennika przebijała głęboka troska o losy podległych mu ludzi i jakaś dziwna potrzeba, żeby niczego im nie brakowało.

Gdzieś nad ranem, nim usnęła znużona, Amanda poczuła się niesamowicie dumna, że jest wnuczką człowieka tak szlachetnego, kto tak wiele dokonał. A zanim sen ostatecznie skleił jej powieki, przyrzekła sobie, że zrobi wszystko, aby udowodnić, że jest godną następczynią Xaviere’a. „Szkoda, że cię nie poznałam, dziadku...”.

Mimo chłodu jesieni, mgły i paskudnej mżawki park miejski prezentował się wspaniale. Drzewa wciąż pyszniły się kolorowym płaszczem liści, dorodną jarzębiną i imponującymi kasztanami, których okoliczne dzieciaki nie zdążyły jeszcze zerwać. Jak w każdy roboczy dzień park był niemal pusty, nie licząc kilku

wiewiórek, które starały się zebrać zapasy przed nadciągającą zimą, i pary przytulonych do siebie lumpów, najwyraźniej trzeźwiejących po jakiejś imprezce. A balanga rzeczywiście musiała być niezła, skoro nie robiły na nich wrażenia mżawka ani chłodne porywy wiatru. Nie zwrócili nawet uwagi na pewną staruszkę, która pojawiła się u wylotu alejki, mimo że przed deszczem chroniła się pod oryginalnym zielonym parasolem w kształcie smoka z rozłożonymi skrzydłami, a ona sama odziana była we wściekle pomarańczowy kombinezon narciarski, takąż czapkę oraz gogle. Wyglądała niczym ogromna, tocząca się w ich kierunku pomarańcza, goniona przez przerośniętą jaszczurkę.

Starsza pani dotarła do ławeczki, na której przycupnęła podchmielona para, a stanąwszy przed nimi, stwierdziła z niesmakiem, że wcale nie śpią. Aż sapnęła z niezadowolenia, gdy zobaczyła, że nie krępując się jej obecnością, bezwstydnie się obściskują! Wkurzona złożyła parasol, zdjęła gogle i podpierając pięściami boki, wrzasnęła:

– No, wy dwoje to już naprawdę nie macie umiaru! Aż taką frajdę sprawia wam zabawa w zboczeńców i meneli?! Ariel, Marcus, przestańcie w końcu się migdalić! Robota czeka! On może tu być lada moment!

Faceci odskoczyli od siebie i spojrzeli na nią z takim zdumieniem, jakby im właśnie zakomunikowała, że zostali spadkobiercami świetnie prosperującego browaru.

– Sz-szanowna p-pani b-była łaskawa n-nas z kimś po-pomylić. – Jeden z nich z trudem dźwignął się z ławki. Zatoczył się, z namaszczeniem poprawił brudny kołnierzyk koszuli, a potem,

wspierając się na ramieniu swego towarzysza, złożył przed kobietą karkołomny ukłon. Zerknął na staruszkę i powiedział:

– P-pani p-prezes p-pozwoli, że się, kurde, p-przedstawię. – Czknął i odór alkoholu niemal powalił starszą panią. – Andy, znaznaczy się Andrew jezdem. A to moja u-ukochana małżonka...

– Ethelhard, do usług... – W stronę staruszki wysunęło się zarośnięte łapsko, a ta aż się spieniła.

– Marcus! – Babcia spojrzała to na jednego, to na drugiego faceta, niepewna, którym z nich może być. – A żeby ci za te dowcipy przytrafiło się Losowanie z przetrąconym gnomem! Udawanie zboczonych meneli wcale nie jest zabawne! – Staruszka krzyczała, zupełnie nie zwracając uwagi na zaskoczone, a potem coraz bardziej wkurzone twarze facetów. – Macie w tej chwili przestać! To nie jest śmieszne! On tu za chwilę będzie! – Zerknęła nerwowo na zegarek.

– Zboczonych? Zboczonych? – czknął Eddie i wytrzeszczył zapijaczone oczy.

– Szanowna p-pani, p-pozwole sobie po-powiezieć, że w-wykazuje sie p-pani wyzokim stopniem nie-nietolerancji i rani nasze u-uczucia. – Andy patrzył na babcię z pogardą.

– Zboczonych? – powtórzył Eddie.

Staruszka miała skonsternowany wyraz twarzy, a tymczasem Andy kontynuował:

– P-proszę w tej chwili p-przeprozić tę oto tu obecną małżonkę m-moją... – Czknął. – W przeci-ciwnym razie zpotkamy się w sądzie, miła pani! To jest n-normalna... – dłuższą chwilę szukał odpowiedniego słowa w zapitym umyśle – dys... dys...

– Dyskryminacja? – podpowiedziała mu babcia.

– O właźnie! Dysgryminazja!

– Chodź, Andy! – Eddie pociągnął go za rękaw. – Zosstawmy tę s-starą wiedźm-mę! Dwudziezdy pierwszy wiek i patrz, kochanieee, jak-ki brak t-toleranzji! Nas się cz-czepia, a wiziałeś, jak sie ubiera?! Babsko ma normalnie zboczony gust! Ale czy ja jej to mówię? Andy, no cz-czy ja jej to mówię?!

Cornelię dosłownie zamurowało. Stała z otwartymi ustami i gapiła się na objętych czule meneli, którzy właśnie dotarli do rozwidlenia alejek. Zanim na dobre zniknęli jej z oczu, usłyszała jeszcze, jak Eddie zawodzi: *I will always love you, Andyyy...*

Z tego stanu ekstremalnego osłupienia wyrwał ją głośny wybuch śmiechu, a gdy odwróciła głowę, zobaczyła dwie dorodne rudopopielate wiewiórki. Jedna z nich dosłownie tarzała się po trawie, ocierając łzy, druga starała się zachować powagę, ale było widać, że też przychodzi jej to z trudem.

– Moje gratulacje, Cornelio. – Zwierzątko teatralnie zaklaskało w łapki i popatrzyło na kobietę z dezaprobatą. – „Zaimponowałaś" mi taktem, tolerancją i kulturą osobistą. Fantastyczny popis. Nie ma co. A mieliśmy zachować dyskrecję.

– Oj, nie mogę! Ariel, trzymaj mnie! – zapiszczała druga wiewiórka. – Słyszałaś? Zboczony gust! ZBOCZONY! – I teraz już obie wiewiórki chichotały w najlepsze.

Starsza pani właśnie intensywnie myślała, jak wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji. Próbowała wymyślić odpowiednią ripostę, aby w przyszłości nie stać się obiektem niewybrednych dowcipów, gdy portal zaczął się otwierać. Całe towarzystwo błyskawicznie uspokoiło się i bez słowa zaczęli zajmować wyznaczone

stanowiska. Przez wrota portalu najpierw wychynęła głowa Tristana, a po chwili on sam był już po ich stronie.

– Cornelia? – wyszeptał. – A co ty tu robisz? Nie mieliśmy się spotkać Pod Krzywym Kogutem?

Babcia uśmiechnęła się, udając zakłopotanie.

– Tak, rzeczywiście. Usiądziesz? – Przycupnęła na tej samej ławeczce, z której dopiero co przegoniła pijanych kochasiów. – Zależało mi na dyskrecji, dlatego tu przyszłam...

Oficer usiadł tuż obok i zerknął na nią zdumiony.

„Dyskrecja? W takich ciuchach? Równie dobrze mogłaby zmienić się w wampokruka i usiąść na pomniku Xaviere'a przed ratuszem" – zakpił pod osłoną zaklęcia adger, po czym spytał już poważnie:

– O co chodzi, Cornelio?

– Od czego by tu zacząć... – Staruszka udała zawstydzenie. Tristan nie zauważył dyskretnego ruchu jej dłoni, po którym dwie nadzwyczaj dorodne wiewiórki zaczęły zbliżać się do portalu niby w poszukiwaniu nasion. – Chciałam cię prosić o przekazanie listu dla Orestesa. Wiesz, on i ja... To znaczy my... – Babcia zarumieniła się niczym nastolatka na pierwszej randce i podała mężczyźnie kopertę. – Ale nie mów o tym nikomu, dobrze? To jak, przekażesz?

Oficer zerknął na nią z życzliwym uśmiechem. „Proszę, proszę. Orestes i Cornelia? Kto by pomyślał...".

Tymczasem wiewiórki zdążyły już dotrzeć do portalu.

– Czyli wszystko ustalone? – szeptem upewniła się większa. – Odnajdujesz Amandę i wracacie?

– Zanim mrugniesz dwa razy, będziemy z powrotem. I, tak jak chcesz, zamieszkamy tu razem. Miałeś rację, tamten świat jest nieprzewidywalny i chyba ma na mnie alergię – zachichotała mniejsza – bo ilekroć się w nim pokażę, tylekroć wdaję się w jakąś aferę. A jak wrócę, może znowu pogadamy o wyprodukowaniu nowego pokolenia Brentów, co? – Uśmiechnęła się i pogładziła drugą wiewiórkę po pyszczku.

– Wolę produkować, niż o tym gadać – zakpiła pierwsza wiewiórka. – A teraz leć i pamiętaj: jak mrugnę dwa razy, a ciebie tu nie zobaczę...

– Wiem, wiem, pójdziesz za nami. Ale nie będziesz musiał, zaraz wracam. – Wiewiórki zdążyły jeszcze wymienić całusy, po czym większa dała mniejszej czułego klapsa, zupełnie nie przejmując się coraz bardziej wkurzoną miną babci, której z coraz większym trudem przychodziło zagadywanie Tristana. W końcu jednak wrota portalu zamknęły się za wiewiórką i wtedy Cornelia zaproponowała:

– Może dasz mi korespondencję dla zwiadowców, a sam będziesz mógł wrócić?

– Dzięki, Cornelio, ale muszę im to dostarczyć osobiście. – Tristan poklepał się po kieszeni munduru. – Poza tym mam jeszcze kilka innych spraw do załatwienia. Idziemy?

Amanda nie spała zbyt długo. Nim słońce na dobre zagościło na niebie, zdążyła obmyć się w wodzie zaczerpniętej ze studni i pożywić resztkami kanapek. Właściwie szkoda jej było czasu na jedzenie, bo przede wszystkim interesował ją dalszy ciąg pamiętnika Xaviere'a. Miała nadzieję, że znajdzie tam informacje o tym, przed kim uciekali pierwsi osadnicy, czego powinna się obawiać i jak się przed tym bronić.

„Czy w ogóle istnieje jakieś zagrożenie? Hm, ciekawe... Niby Krespian nie potrafi kłamać, ale może ktoś, na przykład Oriana, świadomie wprowadził go w błąd?".

Niestety w kolejnych fragmentach pamiętnika, przynajmniej na razie, nie znalazła oczekiwanych wyjaśnień. Dowiedziała się za to, że w obawie przed pościgiem osadnicy zapieczętowali wlot do wąwozu i ukarali zdrajcę, który chciał im w tym przeszkodzić. Znów w notatniku było mnóstwo informacji o problemach związanych z zarządzaniem coraz większym miastem, tajemniczym znikaniu ludzi, potrzebie zbudowania kopuły i o powstaniu niewielkiego oddziału wojowników, z czasem przekształconego w Korpus Oficerski. Xaviere'a mocno rozczarował fakt, że istoty, które stworzył, nadawały się, jak to określił, tylko do pielenia grządek, a nie dbania o bezpieczeństwo miasta, mimo iż przy ich kreowaniu użył tak wielu różnych tkanek bojowego smoka. Niedługo jednak nad tym ubolewał, bo zrozumiał, jakimi innymi cennymi talentami dysponują, i osadził je w dolinach.

„Zielarze. Czyli w tym Krespian miał rację: nie udał ci się ten eksperyment, dziadku".

W pamiętniku były też uwagi dotyczące pierwszych skazanych zbrodniarzy. Dla największych z nich czarnoksiężnik wyznaczył na miejsce kary kamieniołom niedaleko wspomnianego już wąwozu. Z czasem nazwał go Kamieniołomem Demonów, bo i więźniowie, i strażnicy zgodnie zarzekali się, że nocami widzieli tam jakieś upiorne białe istoty.

„Nyriony? Czyżby Oriana już wtedy je stworzyła? Ciekawe...".

Ale znalazło się tu też sporo wspomnień osobistych dotyczących ślubu i wspólnego życia Pierwszego Naczelnego z Ariane. Początkowo euforyczne, z czasem zaczęły się zmieniać. Z kolejnych stron pamiętnika bił najpierw smutek, potem podejrzliwość, a w końcu irytacja, gdy do Xaviere'a dotarło, że jest dla uwielbianej żony jedynie narzędziem do zdobycia wiedzy i władzy.

Z początku bawiło go jej zainteresowanie magią. Na usilne nalegania dziewczyny sam wielokrotnie uczył ją różnych zaklęć, choć w jego mniemaniu dobrej żonie powinna była wystarczyć umiejętność rozpalenia czarami ognia w kominku czy ugotowania strawy. To, co niegdyś wydawało mu się zabawne, z czasem zaczęło go nużyć. Zwłaszcza że wymagania Ariane rosły równie szybko, jak malało jej zainteresowanie nim samym. Niedługo potem Xaviere się zorientował, że miłość jego życia równie chętnie uczy się magii, jak obdziela swymi wdziękami współpracowników, jemu zaś odmawiając wstępu do alkowy. Sfrustrowany zaczął baczniej obserwować małżonkę. Gdy jednak Ariane urodziła córkę, wydawało się, że kryzys w ich związku został zażegnany, ale wtedy ktoś „życzliwy" doniósł mu, jakie istoty stworzyła, jak mistrzowsko opanowała sztuki czarnoksięskie i kto tak naprawdę jest ojcem dziecka.

Naczelny zażądał wyjaśnień, a potem zlikwidowania bestii. Ariane zaczęła płakać, mówiąc, że jest w błędzie, że to sprawka jego współtowarzyszy, a ona sama nadal jest tą słodką i niewinną dziewczyną, którą poślubił. Uwierzył jej łzom, dopóki pewnego wieczoru zaufany elf nie zostawił na jego biurku notatki zawierającej datę i miejsce, jak się potem okazało, schadzki. To właśnie wtedy wojna małżonków zaczęła się na dobre. Tej nocy upokorzony czarnoksiężnik, nie mogąc unicestwić niewiernej małżonki, jej kochanka oraz ich bękarta, zemścił się, wymyślając system Losowań.

Ariane uciekła, a jemu resztę życia zajęło wymazanie jej z pamięci współtowarzyszy. Mimo burzliwego rozstania Xaviere, jak to zakochany mężczyzna, ciągle łudził się, że trudy życia na wygnaniu utemperują ognisty charakter kobiety. Że będzie błagała go o przywrócenie do łask. Nie wiedział, że jednak zabił jej dziecko, a tym samym wyrok śmierci na niego już zapadł. Formalnością pozostawało, jak i kiedy Ariane dokona zemsty.

Z pamiętnika Xaviere'a:

Bestii jest coraz więcej. Nie mam żadnych wątpliwości, kto za tym stoi.

Nawet nie wiesz, jak bardzo bawiło mnie ich kreowanie, gdy wyobrażałem sobie, jaki będziesz wściekły, ty draniu.

Muszę jakoś się ich pozbyć. Trzeba zwiększyć liczbę patroli. Mamy za mało oficerów. Smoków też mogłoby być więcej...

Od bardzo dawna miewam straszne sny. To znaczy, mam nadzieję, że to tylko sny, bo są przerażające. Widzę w nich krwawe bitwy, śmierć i cierpienie wielu istot. Widzę kilka wielkich miast walczących z bestiami o przetrwanie, a potem ktoś, kogo nie dostrzegam, bo stoi w półmroku, mówi, że to moja wina. Że to kara za to, co uczyniłem dawno, dawno temu. Ktoś inny pociesza mnie, że co prawda miasto, które stworzyłem, zniknie, ale moi ludzie wybudują dziewięć innych, którymi rządzić będzie ośmiu mędrców. Że mimo nieszczęść, jakie nawiedzą naszą społeczność, będzie ona w końcu żyć w dobrobycie, ale dopiero wtedy, gdy pojawi się dziewiąty mędrzec. To jemu uda się scalić naszą wspólnotę i odegnać niebezpieczeństwo. Wspomniałem o mych wizjach przyjaciołom. Radzili mi je spisywać. Ciągle mam nadzieję, że to jedynie sny, choć intuicja podpowiada mi, że to zbytni optymizm. Najgorsze, że widzę tylko urywki, a nie dostrzegam zakończenia...

Nawet nie sądziłem, że jeszcze coś takiego mnie spotka! Po tylu ciężkich latach u boku Ariane niemal straciłem nadzieję na jakąś miłą sercu towarzyszkę życia. Nazywam ją „moją piękną elfką", choć ma jedynie niewielką domieszkę krwi elfów, i specjalnie nie używam jej imienia, bo przecież nie mogę oficjalnie naruszać systemu Losowań, który sam ustanowiłem. Nikomu też, rzecz jasna, o nas nie powiedziałem. Czemuż nie spotkałem jej wcześniej?! Jakimże jest kompletnym przeciwieństwem Ariane. Troskliwa i czuła, a do tego taka śliczna. Wiem, uroda dla elfów to normalna rzecz, i to nie jej piękno mnie uwiodło, ale najprawdziwsze uczucie, którym mnie, nieufnego, obdarzyła. Noce w jej ramionach sprawiają, że znów czuję się młody i atrakcyjny. Pozwoliła mi ponownie uwierzyć, że szczęście jest możliwe. To ona winna była zostać moją żoną. To dla niej miałem budować nasz świat. Szkoda, że los chciał inaczej. Dla jej bezpieczeństwa i zachowania dyskrecji przeniosłem ją daleko w przyszłość. Po co drażnić otoczenie czymś, co zakazane...

Dziś jedna wieść ogromnie mnie ucieszyła, a jednocześnie skrajnie przeraziła. Moja miła oznajmiła mi, że nosi pod sercem nasze dziecko! Radość to z jednej strony wielka, a i zabezpieczenie na przyszłość, bo być może dziecię, które wkrótce przyjdzie na świat, zostanie w przyszłości obrońcą miasta? Może to właśnie ono zostanie dziewiątym mędrcem, o którym śnię nocami? Jestem ogromnie podekscytowany. Już chciałbym przytulić do piersi syna – bo jakoś nie mam wątpliwości, że to będzie chłopak. Musi być! Sprawię, żeby oficjalnie został moim następcą. Wiem, będzie musiał przejść próbę ze smokiem, ale jestem pewien, że się powiedzie. Moja druga „małżonka" ma już dzieci. Co prawda

pochodzą z Losowań, lecz widziałem ich próby. Były naprawdę imponujące. Obydwaj nadają się na Naczelnych, więc czy dziecko zrodzone z takiej matki jak moja elfka i z takiego ojca jak ja mogłoby być gorsze? Zanim jednak do tego dojdzie, muszę ich jakoś ukryć, ochronić przed Ariane. Aż boję się pomyśleć, co mogłaby zrobić.

I słusznie!

Te podróże przez portal daleko w przyszłość są szalenie interesujące, ale i bardzo wyczerpujące. Odwiedzając moich bliskich, jednocześnie poznaję równoległy świat. Zagrożenia w nim nie dostrzegam, i dobrze, bo obawiałem się obecności mroczniaków...

„Mroczniaki? To przed nimi uciekłeś, Xaviere? – spytała w duchu Amanda. – Kim mogą być? Zaraz, niech pomyślę... Żyłeś w jakimś podziemnym mieście. Czy to były elfy, elfy podziemnego świata? Trowy?".

Intuicja podpowiadała jej, że zgadła.

Tamten równoległy świat wydaje się od nich wolny, a jednocześnie tak bardzo mnie inspiruje. Sprowadzam do naszego świata różne przydatne urządzenia, co podoba się moim ludziom, choć nie mają pojęcia, skąd je mam. Przyuczyłem paru oficerów do obsługiwania portali. Nie mogę wszystkiego robić sam, a ktoś musi pilnować naszego bezpieczeństwa. Gdyby jednak spotkali mroczniaki, będę wiedział natychmiast.

Wpadłem w zachwyt, odwiedzając nasze miasta przyszłości. Rzeczywiście jest ich dziewięć i naprawdę w ośmiu rządzą Naczelni. Tak, ta nazwa zagościła w naszym słownictwie na dobre. W naszych miastach też żadnego zagrożenia nie widzę,

przynajmniej na razie. Jednak skoro one rzeczywiście powstały, to znaczy, że reszta moich wizji też może się urzeczywistnić. Nie dopuszczę do tego. Dziś oddałem naszemu dziecku mój...

tekst zamazany

A żeby cię gnomy obesrały, Xaviere! Co mu dałeś?! I gdzie ukryłeś tego cholernego bachora?!

Amanda uśmiechnęła się pod nosem na myśl o furii i bezsilności Oriany.

Znowu odwiedziłem moich bliskich. Zagrożenia ze strony mrocznych elfów nadal nie dostrzegam, ale czujności nigdy dosyć.

„Ha! Miałam rację! – Dziewczyna nerwowo potarła ucho. – Mroczniaki to elfy podziemi. Lecz skąd ten strach przed nimi? Co one ci zrobiły, Xaviere?".

Serce za to rośnie, gdy patrzę na dzieciaki. To niesamowita gromadka, choć tylko jedno jest moje. Wzruszyłem się, obserwując, z jakim uczuciem traktuje zwierzęta. W przyszłości chce im pomagać i zostać ich medykiem. Strasznie mało ambitne plany dla osoby z takimi umiejętnościami, lecz czy mogę mu cokolwiek narzucać?

Koszmarnych wizji ciąg dalszy. To samo, co poprzednio: tortury, przemoc i śmierć. Ja tego nie doczekam, ale nie mam wątpliwości, kogo to spotka. W jednej z wizji stałem przed szklanym budynkiem. Na jego ścianie wisiało zwierciadło, w którym pojawił się napis: „Jedna potężna czarownica rządzić będzie, ale dopiero

gdy trójka spokrewnionych wielkich magów umrze". Aż boję się interpretować tę wizję...

Prezenty, które dałem dzieciom, fantastycznie procentują. Dobrze, że to zrobiłem, lecz wiem, że umieram. Te wypady tak daleko w przyszłość, mimo że krótkie, są ogromnie wyczerpujące. Dziś byłem tam po raz ostatni. Więcej moje ciało nie zniesie. Ustawiłem portale tak, by można było przejść do równoległego świata jedynie na krótko. Oficerowie nie wytrzymaliby tak dalekich podróży. Zresztą to zdaje się niepotrzebne, bo w ciągu tych kilku wypraw zagrożenia nie widziałem. Teraz muszę zadbać o teraźniejszość. Czuję, że niewiele mi czasu zostało. Jestem przekonany, że to Ariane za tym stoi. Pora uregulować sprawy prywatne i zapewnić ciągłość władzy w mieście, gdyż inaczej przyszłość nie nadejdzie wcale. Auksencjusz będzie dobrym Naczelnym, wiem to. Dziś przekazałem mu moje kompetencje, a on zlecił oddziałowi oficerów poszukać przyczyn wysychania magicznego źródła. Może mam obsesję na punkcie tej kobiety, ale jestem przekonany, że za tym też stoi Ariane. Czy chce zasypać źródło, żeby kopuła zniknęła? Wtedy nasze szanse na obronę przed bestiami bardzo zmaleją. Dlaczego tak bardzo nienawidzi naszego miasta i społeczności? Zwłaszcza po tym, co wspólnie przeżyliśmy. Przecież sama pomagała je budować! Czy to przeze mnie?

Idioto! Ja kochałam to miasto. Byłabym najlepszym Naczelnym, gdybyś tylko nie był takim nadętym bufonem i egocentrykiem! Ciągle najważniejszy musiałeś być TY! Aż tak cię bolało, że ktoś może więcej umieć i wiedzieć? To ciebie chciałam zniszczyć. Nie zostawiłeś mi innego wyboru...

Pisanie przychodzi mi z trudem. Już niemal nie opuszczam łoża i ledwo utrzymuję pióro w dłoni. Kres jest bliski. Byłem przekonany o swej nieśmiertelności. Prezenty. Sądziłem, że dam radę bez nich przetrwać. Że ich oddanie nie wpłynie na moje moce. Jakże byłem arogancki, krótkowzroczny i głupi. Teraz już jednak za późno. Odzyskać ich nie zdołam i nie chcę. Ariane... Specjalnie dotykam przedmiotów ukradkiem przez nią zatrutych. Niech już będzie po wszystkim. Im dłużej to trwa, tym częściej wracam myślami do przeszłości. Do życia w podziemnym mieście. Życia? Raczej wegetacji i trwożliwego oczekiwania na śmierć. Czy Evanghelos nadal żyje? Jest trowem, mrocznym elfem, więc wszystko jest możliwe, lecz mam nadzieję, że nie... Nie po tym, co zrobiłem. Jestem przedostatni. Została jeszcze Ariane. Rządzić miastem nie będzie. Postarałem się o to. Co się jednak wydarzy, gdy i ona kiedyś umrze? Czar zniknie i wąwóz stanie otworem. A wtedy wszystko będzie możliwe. Niby i przed tym nas zabezpieczyłem...

Amanda zagryzła paznokcie i nerwowo potarła płatek ucha, bo zrozumiała, że w końcu dotarła do najistotniejszych informacji. Przez moment z wrażenia aż wstrzymała oddech.

W dalszej części pamiętnika Xaviere chwiejnym pismem opisywał, jak z grupy najgorszych więźniów osadzonych w Kamieniołomach Naczelny wybrał kilkunastu i zmienił ich w Strażników w zamian za umorzenie kary i możliwość życia w górach z dala od miasta. Jednak zostali nimi jedynie ci zbrodniarze, którzy wyrazili skruchę i sami poprosili o przemianę. Pierwszy Naczelny zapewnił ich, że jeśli obejmą nadzór nad Kamieniołomami i kolejnymi więźniami, to będą

spokojnie mieszkać w swojej osadzie. Ale Xaviere nie zrobił tego, by chronić oficerów czuwających do tej pory nad miejscem zesłania przestępców. Powodem nie były też chęć obrony miasta czy żal nad losem skazańców. Do tak wzniosłych uczuć Naczelny nie był już wtedy zdolny. Każdemu bowiem ze zbrodniarzy dał wybór. Harówkę w Kamieniołomach i szybki zgon pod batem innego strażnika bądź długie, spokojne życie w nowo powstałej osadzie i śmierć, BYĆ MOŻE, za bardzo wiele lat.

„Chryste! Dałeś im wybór, który tak naprawdę wcale nie był wyborem! Mieli zasypać wejście do wąwozu! Swoimi prochami!". Nerwowo przebiegała wzrokiem po tekście.

Oriana była ostatnią z tych, co brali udział w zapieczętowaniu przejścia. A Strażnicy pewnie czekali, aż któryś z Naczelnych się pojawi i skieruje ich w odpowiednie miejsce. Tyle że nikt nic nie wiedział! To dlatego Julien... Powiedział: „Co robić, wiecie. Nie zmarnujcie mnie...!".

Odłożyła pamiętnik i zaczęła krążyć po pokoju.

„Xaviere, Oriana, Strażnicy... Po tylu latach spokojnego i dostatniego życia pewnie byli przekonani, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Ale dlaczego żaden z kolejnych Naczelnych nie wiedział o niebezpieczeństwie? Przecież D'Orion musiał zaszczepić Auksencjuszowi i Wielkiej Radzie Czarnoksiężników myśli o tym, w jaki sposób zamierzał wykorzystać Strażników? A może nie powiedział im wszystkiego? Zaraz, co tu jest napisane?".

Nie wiem, jak długo czar się utrzyma. Mam nadzieję, że nie zniknie natychmiast, lecz będzie coraz słabszy, na podobieństwo dogasającego ogniska. Prochy Strażników na jakiś czas zablokują

wąwóz, lecz jeśli następny Naczelny lub inny potężny mag ponownie nie rzuci na niego klątwy...

„A więc o to chodzi! – Dziewczyna aż sapnęła. – Zaprogramował wszystko. Dziadku, byłeś genialny! Klątwa. Czy dam radę ją nałożyć? I gdzie mam jej szukać? – Amanda niewidzącym wzrokiem powiodła po pokoju. Myślała intensywnie. Wreszcie jej spojrzenie padło na notes. Uśmiechnęła się pod nosem. – No jasne! Wielka księga Xaviere'a! Jedyna, której nie pozwolili mi przejrzeć, bo to święty zabytek! Gdzie indziej mogłoby się kryć to zaklęcie?".

Wiedziała już, co powinna zrobić, ale nadal nie miała pojęcia dlaczego. Ostatnie fragmenty pamiętnika przyniosły odpowiedź także na to pytanie.

Podziemne miasto, moje rodzinne. Jakże chciałbym móc znów ujrzeć jego piękno, odetchnąć lodowatym powietrzem tuneli. Przechadzać się uliczkami dzielnicy możnych, podziwiać mozaiki największych placów i jaskiń, pogłaskać viverna, skosztować pieczeni z evanthesów... Marzenia młodzika zmieniły się w koszmar. Moje obecne miasto, choć ogromne, zamożne i piękne, nigdy nie dorówna tamtemu. To prawda, spełniłem obietnice i zapewniłem mym towarzyszom dostatni i spokojny żywot w tej żyznej krainie, lecz nie ma nocy, abym nie śnił o powrocie. Czy żałuję...

tekst zamazany

Nie! Nawet viverny miały lepsze życie od naszego. Mam nadzieję, że zniszczyłem... Jeśli jednak Evanghelos...

tekst zamazany

...przyjdą tu i wymordują wszystkich. I nie ma znaczenia, jak wielkie będą miasta i ilu mieszkańców będą liczyć. Oni potrafią cierpliwie czekać, aż czas odwetu sam nadejdzie, nawet setki lat. A im dłużej to potrwa, tym bardziej będą delektować się zemstą. Wtedy nasze trolle, cyklopy i chimery zdadzą się łagodne niczym baranki w porównaniu z najmniejszym choćby gelusem czy caesarianem.

W tym jednym masz rację: oby to nigdy nie nastąpiło. Byłeś moim wrogiem, Xaviere, lecz także mentorem i przewodnikiem. Kiepskim byliśmy małżeństwem, ale miasto to nasze wspólne dziecko. Nie oddam go mroczniakom ani nikomu innemu! Za nic!

Nawet smoki bojowe mogą być zbyt słabe. Źle zrobiłem, że nie rozpieczętowałem wejścia do wąwozu i nie przebyłem go ponownie, aby się upewnić, jaki los spotkał trowy. Jeśli wymarli, tym lepiej dla nas. Może moje dziecko kiedyś to sprawdzi? Tak wiele znaków zapytania jest w tej jednej sprawie i tak mało czasu, choćby na rozważania. Jeśli moi następcy przeczytają ten pamiętnik, powinni wiedzieć, że trowy może zabić tylko moja kusza, lecz będzie ona słuchać jedynie wybrańców, którzy sprawnie władają piórem...

Tu pamiętnik się urywał. Amanda patrzyła na pustą kartkę, zawiedziona, że to już koniec.

„Mnie posłuchała” – pomyślała o broni. Czy będzie musiała jej użyć? Znowu zabijać? W umyśle dziewczyny na nowo eksplodowało wspomnienie bitwy z Orianą. Szybko odgoniła przerażające obrazy.

„Co zrobiłbyś na moim miejscu, Xaviere? Szkoda, że twoje wskazówki są takie mgliste”.

Nagle na pustej kartce pamiętnika Pierwszego Naczelnego zabłysło jeszcze kilka zdań nakrapianych srebrzystym pyłem.

Zaklęciem zapewniłem sobie, by ten fragment moich wspomnień pojawił się dopiero w sytuacji, jeśli Ariane umarła, a wąwóz został rozpieczętowany. Skoro czytasz te słowa, to znaczy, że tak właśnie się stało. Ty zamknij go ponownie. Niech głupota czy pozorna odwaga nie popchną cię do sprawdzenia, co jest po drugiej stronie. Uwierz mi, nie chcesz tego wiedzieć. Miej jednak kuszę przy sobie i niech ręka ci nie zadrży, gdy ujrzysz na swej drodze trowa lub jego sługusa. Weź także pozostałe atrybuty mej władzy. Mają potężną magiczną moc. Wiele im zawdzięczam.

„Tak zrobię, możesz być pewien”.

Mroczniaki to piękne istoty, lecz ich urodziwa powłoka cielesna nie idzie w parze z podobnym usposobieniem. Zabiją cię szybciej, niż zdążysz zrozumieć, że umierasz. Tych arcymistrzów zbrodni pokonać może jeno moja kusza, zaś całą ich populację zapewne unicestwiłoby zniszczenie piór, lecz gdzie znaleźć śmiałka, czy raczej samobójcę, który by tego dokonał? Strzeż się także gelusów. Są zmaterializowanym złem swych panów i jedynie ich rozkazy wykonują. Zabicie pojedynczego trowa nic nie da. Nawet zgładzenie ich księcia. Będzie następny. Najlepiej byłoby ponownie zamknąć wąwóz i mieć nadzieję, że trowy go nie pokonają. Powodzenia...

Litery zaczęły zanikać i po chwili przed oczami dziewczyny znów widniała jedynie pusta biała kartka.

Jeszcze dobry kwadrans Amanda przechadzała się po pokoju, rozmyślając nad enigmatycznymi słowami Xaviere'a. Potem stanowczym ruchem chwyciła plecak i zaczęła pakować do niego swoje rzeczy. Pamiętnik ukryła w jednej z bocznych kieszeni. Obrzuciła pokój ostatnim spojrzeniem i już po chwili stała przy studni z gargulcami.

– No to chyba wszystko jasne – mruknęła. – Jeśli mam awansować do roli Batmana dziewięciu miast, to czas odebrać zabawki. A moje czekają na mnie w trzecim ratuszu. Chyba nikt nie poczuje się urażony, jeśli tym razem skorzystam z bezpośredniej teleportacji?

Odgłos łamania gałęzi upewnił czającego się gdzieś w krzakach Krespiana, że od tej chwili jest na wyspie sam. Na jego wynędzniałej twarzy pojawił się ponury uśmiech.

– Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. Znajdziesz i zdechniesz...

– A żeby to gnomy! Raz mi się udaje, a raz nie. Nie cierpię teleportacji – mruknęła pod nosem Amanda i rozejrzała się nerwowo. Dach, na którym wylądowała, w niczym nie przypominał jej dawnego gabinetu na najwyższym piętrze ratusza. – Zaraz, przecież pomyślałam, że chcę się znaleźć na szczycie ratusza, to o co chodzi? – Zerknęła w dół. Mimo ogromnej wysokości dostrzegła kryształowy szyld z napisem: „Tawerna

Szczyt Ratusza”. – No nie, to chyba jakieś jaja! I jak ja teraz zejdę?

No tak, z bezpośrednią teleportacją zawsze jest ten problem, że korzystający z niej nigdy do końca nie może mieć pewności, czy trafi w wyznaczone miejsce. To właśnie dlatego została zakazana, bo nagminnie się zdarzało, że ten czy ów „podróżnik” lądował na dnie Chochlikowego Jeziora albo na trasie przelotu któregoś ze smoków bojowych, a te, zaskoczone i zirytowane, szybko jednym mlaśnięciem kończyły sprawę.

Swoim zwyczajem dziewczyna potarła płatek ucha, ale w tym momencie plecak zsunął się jej z ramienia. Grawitacja okazała się dla niego i jego właścicielki nieubłagana, bo już sekundę później zjeżdżali po stromym dachu w dół. Złapana w ostatnim momencie rynna odłamała się i została Amandzie w rękach. Na szczęście wewnętrzna część dłoni zdążyła transformować się w smoczą skórę, co znacznie zmniejszyło prędkość spadania, i dziewczyna zgrabnie wylądowała na czyimś balkonie. Drzwi balkonowe były niestety zamknięte, ale chcąc się upewnić, że ta droga ewakuacji rzeczywiście odpada, Amanda zajrzała do wnętrza pokoju.

„Wybiera się na bal maskowy?” – pomyślała na widok starszego faceta przymierzającego właśnie jakieś fatałaszki wykonane ze... smoczej skóry?! Srebrny warkocz – doczepiony bądź wyczarowany – mężczyzna frywolnie zarzucił sobie na ramię, a głowę przystroił kapeluszem przypominającym... łeb Esther ziejącej ogniem! Smocza róża zatknięta za ucho sprawiała, że jego twarz rozjaśniał idiotyczny uśmiech. Starając się utrzymać równowagę na wysokich szpilkach, wyginał się kusząco przed stojącym opodal drzwi balkonowych tremo. Oprócz Amandy jego poczynania

obserwowały także zielonkawe oczy dwugłowego kameleona siedzącego na ramie lustra.

Dziewczyna poczuła, delikatnie mówiąc, niesmak, zwłaszcza gdy gość posłał zwierzakowi całusa. Na szczęście facet w ogóle jej nie zauważył. Bo cóż może być bardziej zachwycającego dla podstarzałego narcyza transwestyty niż własne odbicie w lustrze?

– No dobrze, moja Julio, lecz jak wydostaniesz się z tej pułapki, zanim dopadnie cię tu ten naćpany Romeo? – mruknęła i ponownie zerknęła w dół. Miała do przebycia co najmniej trzy piętra, a w dole wprost kłębił się tłum spacerowiczów. Od czego jednak są czary?

Tyle że w tym momencie facet odwrócił się w stronę balkonu. Na jej widok rozmarzona mina ustąpiła szczeremu zainteresowaniu. Przekrzywił głowę i zmarszczył brwi. Wyciągnął przed siebie rękę, coś szepnął i drzwi balkonowe same się otworzyły.

„Naczelny mag medyk Wilton?!". Otaksowała go wzrokiem. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on. Szybko jednak otrząsnęła się z ogarniającego ją zdumienia i przekazała telepatycznie: „Niezłe ciuchy. Makijaż przesadzony. Nie radzę – dodała, widząc, że wyciąga dłoń w stronę lustra – chyba że czujesz pilną potrzebę odpowiedzenia Naczelnym na kilka trudnych pytań, na przykład skąd masz smoczą skórę i różę. Jakoś nie mam wątpliwości, Wilton, że nam obojgu cholernie zależy na dyskrecji, więc lepiej przyjmij wersję, że jestem tylko trójwymiarową projekcją twoich narkotycznych wizji. Mnie tu po prostu wcale nie ma...".

Uśmiechnęła się ponuro, klasnęła w dłonie i rozpłynęła się w powietrzu. Naczelny ćpun trzeciego miasta jeszcze długą chwilę

się zastanawiał, czy to, co widział, widział naprawdę.

– Coś felerna ta partia róż, nie uważasz, pysiaczku? – zaświergotał wreszcie do kameleona, machnął ręką i sięgnął do szafy po kolejne ciuchy. – Chyba zmienimy dostawcę. A może...? Co sądzisz o ordonie, skarbeńku? Za silny? I nie do zdobycia, nawet dla mnie? Zobaczymy...

Tymczasem na drugim końcu balustrady balkonu zmaterializował się sporych rozmiarów pająk. Spojrzał zdegustowany na mężczyznę, po czym mozolnie zaczął złazić po murze. Dotarłszy do ziemi, zniknął w najbliższym zaułku, z którego jakiś czas później wychynął płowowłosy chłopak w przetartych dżinsach. Młodzieniec spokojnie ruszył uliczką w dół i parę przecznic dalej zatrzymał się przed ratuszem.

„Dobra, teleportacja bezpośrednia odpada. Powiedzmy sobie szczerze, kiedyś się przez nią zabiję. Transformacje są fajne, ale takie wyczerpujące, zresztą oficerowie i te ich soczewki... Jednak jakoś muszę się tam dostać. – Amanda zerknęła na dobrze jej znane ostatnie piętro. – Chyba poczekam do zmiany warty".

Ten szczęśliwy moment nadszedł jakąś godzinę później. Przyczajona w pobliskiej cukierni właśnie pałaszowała lody malinowe, gdy zobaczyła, że do oficera na warcie podchodzi jakiś inny. Wspólnie zaczęli coś ustalać i tak byli tym zajęci, że przez dobrych kilka minut wejście do budynku pozostawało niemal niestrzeżone. Wiedziała, że na następną taką okazję z pewnością przyjdzie jej długo czekać, więc nie zwlekając, położyła kilka monet na blacie, chwyciła plecak i niby oglądając pobliskie stragany, podeszła do budynku. Żaden z wartowników nie zwrócił uwagi na wsiadającą do windy młodą urzędniczkę, która taszczyła

w wielkim pudle jakąś dokumentację do ratusza, a zwłaszcza na włosy kobiety, w których nagle pojawiła się spinka w kształcie żółtego motylka. Winda poniosła urzędniczkę wiele pięter w górę, poza zasięg soczewek wartowników. Kiedy dziewczyna wysiadała na swoim piętrze, motylek dyskretnie sfrunął z jej koka. Z jakiegoś powodu pusta winda ruszyła dalej, zatrzymując się dopiero na poziomie należącego do Naczelnego Maga gabinetu, teraz szczęśliwie opustoszałego. Drzwi otworzyły się z cichym sykiem, lecz w kabinie próżno byłoby szukać pasażera. Motylek bowiem zdążył ponownie transformować w swą prawdziwą postać, tyle że niewidzialną.

„Jasna cholera! – zaklęła w myślach ruda wiewiórka i uskoczyła w ostatniej chwili przed kopytami pegaza, który właśnie wzbijał się w powietrze, unosząc na grzbiecie jakiegoś oficera. – Zapomniałam, jak tu potrafi być niebezpiecznie, ale zginąć natychmiast po przejściu przez portal? To dopiero byłoby mistrzostwo świata w głupocie. Weź się w garść, Ariel! Masz zadanie do wykonania i jako trup – marne szanse, żeby to zrobić!”. Rozejrzała się dookoła. Oprócz drugiego oficera poprawiającego popręg siodła swego pegaza nikogo innego w pobliżu nie było. Wiewiórka szybko przybrała postać rudo-czarnego kota, a ten majestatycznie ruszył jedną z uliczek. Widok miejsc, z którymi wiązało się tak wiele wspomnień, sprawił, że

zwierzę aż westchnęło z rozrzewnieniem. Szybko jednak nakazało sobie spokój i już bez ociągania ruszyło w obranym kierunku. Kilka zaułków dalej kot rozpłynął się w powietrzu, za to dało się słyszeć niecierpliwe stukanie do drzwi. Ponieważ wejście do niepozornej kamienicy pozostało zamknięte, stukanie przerodziło się w bezceremonialne walenie. W końcu drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i jakaś głowa, hojnie przez los obdarzona strzechą szarych włosów, wychyliła się i rozejrzała. Zaraz za nią z domu wyszedł starszy gruby mężczyzna.

– Co, u licha? – mruknął. Jeszcze raz się rozejrzał, ale nikogo nie było. – Dziwne. – Trzaśnięciem w przycisk zamknął drzwi, nadal nieco skonsternowany, i wrócił do swojej kanciapy. Tam obrzucił uważnym spojrzeniem wszystkie zakątki.

Coś mu nie pasowało. Z pozoru sprzęty ustawione były tak, jak je zostawił, ale...

– Kto tu jest?! – warknął. – Jake, huncwocie, już ja cię oduczę tych głupich dowcipów! Znowu podkradasz mi eliksiry odurzające? Pokaż się albo...

– Spokojnie, Orestes! – usłyszał szept. – Usiądź, odetchnij głęboko i obiecaj mi, że nie dostaniesz zawału.

– Ariel?! – Ekscytacja w głosie starego była trudna do ukrycia. Zablokował zaklęciem drzwi. – Dostanę, jak się nie pokażesz! – zagroził, ale z uśmiechem na twarzy.

Tuż koło bajecznie kolorowego akwarium powietrze zafalowało i Orestes ujrzał tak długo wyczekiwaną postać. – To naprawdę ty! – Po pomarszczonych policzkach czarnoksiężnika popłynęły łzy. Nim kobieta zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. – Na Wielkiego Xaviere'a! Tak jak

mówiła Amanda, żyjesz! – Kilka razy potrząsnął Ariel za ramiona i podejrzanie głośno pociągnął swym ogromnym nochalem. Kiedy po chwili wzruszenie minęło, staruszek usiadł na ławeczce i poklepał dłonią miejsce obok.

– Siadaj i opowiadaj.

– Nie bardzo jest o czym...

– Amanda mówiła, że sprzedajesz księgi. Czy to odpowiednie zajęcie dla tak wielkiej czarownicy jak ty? – spytał z wyrzutem.

– Cóż, takie życie wybraliśmy z Marcusem i jest nam z tym dobrze. Ten świat nie bardzo nas potrzebuje. Widziałam miasto. Jest fantastyczne! I świetnie sobie radzi beze mnie.

– Bzdura! Zawsze będziesz tutaj potrzebna! – oburzył się stary. – I wcale nie jest tu tak różowo. Widziałaś, jaki muszę być ostrożny? Naczelni przesłuchiwali mnie z powodu zniknięcia Amandy, ale się im nie dałem. Nie potrafili złamać mojego adger. Masz pojęcie, jacy byli wściekli? – zarechotał. Ariel też się uśmiechnęła, ale szybko spoważniała.

– Długo żyłam pozbawiona pamięci. Nie z własnej woli – natychmiast się zastrzegła. – Cornelia przywróciła mi ją jedynie z powodu twojego listu. Dlatego tu jestem. Chcę odnaleźć moją córkę i wrócić do domu. Cornelia była przekonana, że Amanda została Naczelnym. Że jako dorosła i samodzielna osoba jest tu bezpieczna i świetnie sobie radzi. Ale skoro jest inaczej... – Patrzyła uważnie w twarz starego czarnoksiężnika, jakby szukała w niej zaprzeczenia, ale bezskutecznie. – Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Kilka minut później staruszek skończył swoją opowieść.

– Jeszcze raz: poszła do Croya, a potem na wyspę? – upewniła się.

– Aha. Chciała mu wytłumaczyć, co się stało i gdzie się wybiera. Wiesz, od czasu bitwy z Orianą oni są niemal nierozłączni. Bała się, że Croy narobi rabanu, jeśli ona zniknie. Ale potem zamierzała odwiedzić rezydencję wiedźmy na wyspie. Nie wiem, z kim miała się tam spotkać, jednak ta osoba zdawała się dobrze o wszystkim poinformowana. Ten liścik... to była groźba – szepnął. – Odradzałem Amandzie tę eskapadę, ale czy taki marny czarodziej jak ja może czegoś zabronić czarownicy, która pokonała największą wiedźmę w historii?

– Orestes, przecież Amanda to tylko dzieciak! Mogłeś ją zatrzymać.

– Odnoszę wrażenie, że mało znasz własną córkę. – Popatrzył na nią z wyrzutem. – Masz świadomość, jak bardzo utalentowane jest twoje dziecko i czego dokonała? Nie ma na tym świecie czarnoksiężnika, który mógłby jej cokolwiek zabronić. Przecież uciekła Naczelnym Magom z ratusza, i to mimo zaklęć, jakie na nią rzucili! Jednak pomijając wszelkie jej umiejętności, to prawda, to tylko dzieciak w nieco przerośniętym ciele i potrzepany jak matka, ale nadal dzieciak. Nie chciałbym, żeby spotkało ją coś złego.

Ariel zmarszczyła brwi i spojrzała z ukosa na starego.

– W takim razie zacznę od wizyty u Croya. Może powiedziała mu coś więcej. Rezydencja... Cóż, mam nadzieję, że nie będę musiała do niej wracać. – Wzdrygnęła się, przypominając sobie swój ostatni pobyt w tamtym miejscu.

– Skoro się upierasz... Weź to. – Orestes sięgnął do szafki, wyjął jakieś zawiniątko i wcisnął jej do ręki, nim zdążyła o cokolwiek zapytać. – Zapasy nienaruszalne. Na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że nie będziesz musiała z nich skorzystać.

– Dzięki, ale...

– Orestes, wołowina mu chyba nie służy. Zrobił się agresywny jak młodociana chimera i rzyga jak napruty krasnolud... – przerwał im donośny głos młodzieńca w za dużych gaciach, który właśnie wygramolił się z wnętrza wyczyszczonego akwarium. – Auć! Nie dziob mnie, debilu jeden! Orestes, serio muszę opiekować się tym pierzastym matołem? – powiedział jeszcze, a potem stary czarnoksiężnik i kobieta ujrzeli, jak młodzieniec z zaskoczenia szeroko otworzył różnokolorowe oczęta, z wrażenia puściły mu zwieracze i osunął się na podłogę przy akwarium. Niewielki ptakosmok, uwolniony z jego czułych objęć, natychmiast zwiał w kąt pomieszczenia.

– Nowy pomocnik? – zainteresowała się Ariel. – Jakiś taki wrażliwy, nie? – zachichotała, patrząc na plamę na jego spodniach. – Ale dopilnuj, żeby się nie wygadał.

Czerwony z gniewu i zaskoczenia czarnoksiężnik ukląkł nad chłopakiem i kilka razy go spoliczkował. To wystarczyło, żeby młodzieniec zdołał usiąść. Najpierw podrapał się po nosie nieco zdezorientowany, potem podniósł wzrok na kobietę.

– O... O... Orestes! T-t-to... T-to...

– Tak, Jake, to Naczelna Ariel Odgeon. TA OD KOLCÓW. Jeśli piśniesz...

– Nie pisnę! – wrzasnął młodzik, nim Orestes dokończył swoją groźbę.

Ariel patrzyła na obu z pobłażliwym uśmiechem. Nie rozumiała sensu ich rozmowy. Nie bardzo też miała na to czas.

– Wiem, że nie piśniesz. Co do ptakosmoka, spróbuj przepiórczych jaj i orzechów leszczyny, a kto wie, może zamiast kolejnych ran zyskasz przyjaciela? Na razie... – Postać kobiety rozpłynęła się, ale zdążył ją jeszcze dobiec strofujący głos starego: – Ech, Jake, co ja z tobą mam?! Taki wielki chłop, a powinien w pieluchach zasuwać! Jaka czarodziejka spojrzy na chłopaka, który non stop robi w gacie...?

Przycupnęła za jakimś krzakiem i rozejrzała się czujnie. Wejście do pierwszego antycznego miasta było tuż-tuż. Ono samo zdawało się niezmienione, nadal ciche, puste, nierealne. Jednak Ariel wyczuła różnicę.

„O co chodzi? O ten lekki wiaterek? Śpiew ptaków? Czy może o... brak poczucia zagrożenia?”.

Tak, pamiętała, że gdy ostatni raz tu była, nie słyszała ani szumu wiatru, ani odgłosów zwierząt, ale wrażenie obecności nieznanego zła dławiło gardło. Teraz opuszczone miasto sprawiało jedynie przygnębiające wrażenie, nic więcej.

Była zmęczona, no ale czy to dziwne? Dopiero co wróciła do tego świata, przekonana, że szybko i bezproblemowo odnajdzie córkę i wraz z nią natychmiast z powrotem przejdzie przez portal, a tu co? Orestes, zamiast wyciszyć jej obawy o los Amandy, tylko je

podsycił. Croy, którego odwiedziła jak tylko wyszła od starego czarnoksiężnika, omal jej nie zeżarł, tak bardzo był zaskoczony, gdy się pojawiła. Nie miała mu tego za złe, tak samo jak ognia, którym plunął na powitanie w jej stronę. Jednak dosłownie w ostatnim momencie umknęła smoczym płomieniom, miała więc powody, by gratulować sobie refleksu.

„Sama się o to prosiłam. Chryste, naprawdę muszę zacząć uważać. Co mi odbiło, żeby włazić do jego boksu i materializować się tak bez uprzedzenia? Miał prawo się wkurzyć. I chyba nadal obwinia mnie o śmierć Vivianne..." – pomyślała ze smutkiem.

Croy – inteligentny i wygadany zielonozłoty smok bojowy o podwójnej parze skrzydeł, cudownym niegdyś poczuciu humoru i tak wielu cechach, które sprawiały, że był nie tylko cennym sprzymierzeńcem, ale i fantastycznym przyjacielem. Jego poczucie humoru co prawda zniknęło, lecz lojalność i przyjaźń, choć tak wiele razy wystawione na próbę, przetrwały.

To od niego Ariel się dowiedziała, że Amanda zamierza odwiedzić grób Xaviere'a. Smok nie wiedział jednak, czy dziewczyna najpierw uda się do antycznego miasta, czy do ruin rezydencji Oriany.

Po rozstaniu z Croyem Ariel próbowała jeszcze szukać córki w kilku innych, najbardziej prawdopodobnych miejscach, jednak bez powodzenia. Teraz musiała już tylko sprawdzić grobowiec Pierwszego Naczelnego i rezydencję wiedźmy na wyspie. Jeszcze parę godzin temu, rozmawiając z Orestesem, miała nadzieję, że nie będzie musiała żadnego z nich odwiedzać.

„Oby Amanda tu była. Obym nie musiała iść na wyspę – powtarzała w myślach niczym mantrę, patrząc na ruiny

antycznego miasta. – Nie o takiej nauce samodzielności dla ciebie marzyłam, Amando. Zabijanie wiedźm i potworów, rządzenie miastem, uciekanie i włóczenie się po grobowcach... To nie tak miało być – pomyślała i znów westchnęła. – Co ci strzeliło do łba, żeby odwiedzać grób Xaviere'a? Nie mogłaś normalnie posiedzieć w Oazie albo u Orestesa? Nie mogłaś wrócić do mnie?".

Bała się sama przed sobą przyznać, że antyczne miasto wybrała jako pierwsze w nadziei, że jeśli tu znajdzie Amandę, to do wizyty w ruinach pałacu na wyspie nigdy nie dojdzie. Wyspa... Już samo wspomnienie o niej paraliżowało Ariel, a to, co się tam wydarzyło... Wzdrygnęła się.

„Oriana nie żyje! Opanuj się, Ariel, już po wszystkim. Zresztą Amanda musi tu być. Po prostu łatwiej tu dotrzeć. Znajdę ją i wracamy. Marcus już się pewnie niecierpliwi".

Upewniwszy się, że nadal nikt jej nie śledzi, ruszyła niewidzialna w stronę ruin. Znajomymi uliczkami dotarła na plac przed ratuszem. Przycupnęła na chwilę pod pomnikiem przedstawiającym Pierwszego Naczelnego czerpiącego wodę z magicznego strumienia i uważnie przyjrzała się otoczeniu. Pamiętała, że ostatnim razem, gdy tu była, posąg ją zachwycił. Jednak po opowieściach Cornelii zachwyt ten ulotnił się i wywietrzał niczym tandetne perfumy. Pozostał niesmak i poczucie uczestnictwa w gigantycznym oszustwie. Przez chwilę rozważała, czy nie ujawnić tych wszystkich rewelacji mieszkańcom miast, ale szybko doszła do wniosku, że nic dobrego by z tego nie wynikło.

– Czas poszukać Amandy. Ona jest najważniejsza – mruknęła. – A pan Xaviere D'Orion, jak dla mnie, może zgnić na tym cokole.

Mam to gdzieś. – Splunęła z pogardą.

Wyjęła z podręcznej torby manierkę, którą dał jej Orestes. Zaschło jej w ustach, nie wiedziała, czy z gorąca, czy ze zdenerwowania. Powoli odkręciła zakrętkę. Delikatny aromat, jaki dotarł do jej nozdrzy, podpowiedział, że to nie woda. Podniosła manierkę do ust i wypiła łyczek. Wręcz uśmiechnęła się, gdy płyn spłynął po języku i zaatakował kubki smakowe, wprawiając je w miłe odrętwienie.

„Chryste! Orestes, jak ja cię kocham! Eliksir orzeźwiający o smaku kawy! A więc udało ci się go wymyślić".

Ale poziom wdzięczności do starego czarnoksiężnika jeszcze wzrósł, gdy zobaczyła, że w torbie, oprócz dwóch innych manierek, są także jakieś ciasteczka, kilka opatrunków, medykamentów i innych drobiazgów „na wszelki wypadek". Na samym dnie leżały trzy batoniki; wyglądały identycznie jak zielone błotne gluty, którymi Marcus uraczył ją w tunelach nyrionów.

„To TEŻ produkujesz? Fajnie, że mi je dałeś, ale raczej nie skorzystam. Ta wyprawa aż tak długo nie potrwa".

Wzmocniona eliksirem i kilkoma ciasteczkami ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę ratusza. Teraz była już pewna, że nie będzie się rozklejać z powodu jakiegoś palanta, który przez złośliwość losu okazał się jej biologicznym ojcem. A jeśli Amandy tutaj nie będzie, to poleci na wyspę i żadna wiedźma, żywa czy martwa, nie odwiedzie jej od tego ani nie zastraszy! W niemal bojowo-radosnym nastroju minęła rozsypującą się fontannę usytuowaną naprzeciw budynku i weszła po kamiennych schodkach do środka. Zdążyła jeszcze tylko pomyśleć: „Czy ty coś dosypałeś do tych ciasteczek, Orestes?", ale natychmiast

zapomniała o talentach czarodziejsko-kulinarnych starego czarownika, bo jej umysł całkowicie zaprzątnęło przeszukiwanie kolejnych pomieszczeń.

Nadal niewidzialna okrążyła studnię, potem zerknęła do jej wnętrza. Wspomnienia zaatakowały umysł. Odgoniła je niczym natrętne muchy. Jej wzrok zatrzymał się dłużej na drogocennych płaskorzeźbach, strzępach wspaniałych niegdyś gobelinów, poniszczonych meblach.

„Gdzie jesteś, Amando?". Dobry nastrój w sekundzie uleciał. Zastąpiło go przygnębienie na widok zdewastowanych wnętrz, lecz chyba bardziej kurzu, jaki pokrył ślady niedawnego pobytu jej, Marcusa i innych oficerów w tym miejscu.

„Czyli jednak wyspa..." – jęknęła w duchu. Dla pewności jeszcze raz obeszła wszystkie pomieszczenia, przejrzała wszystkie zakamarki, a nawet wspięła się kruszącymi się, pozbawionymi balustradek zewnętrznymi schodami na pozostałe kondygnacje, choć miała świadomość, że jedynie traci czas i naraża życie. Nie użyła lewitacji. Po co ryzykować dekonspirację? Z każdym pokonywanym piętrem przygnębienie rosło. W tych pomieszczeniach niczego nie było; ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby bardzo dokładnie je opróżnić z wszelkiego dobytku. Nawet ostatnia kondygnacja, z pewnością należąca kiedyś do Xaviere'a, ziała pustką i chłodem. Jedynymi lokatorami były tu pustułki, a gwałtowne porywy wiatru wydymały firanki pajęczyn i zawodziły niczym wilkołak w czasie pełni.

„Nie opuszczali tego budynku w pośpiechu... Mieli czas, żeby dobrze się do tego przygotować. Zabrali wszystko z wyjątkiem wyposażenia parteru. No jasne, mauzoleum! Przekształcili ten

ratusz w grobowiec ku czci Xaviere'a! Chcieli, żeby tak o tym miejscu myślano". Zerwała pajęczynę w jednym z okienek. A potem w następnym i kolejnych. Morze zieleni. Gdzie nie spojrzeć – las. W oddali ujrzała zarys cielska smoka, ale czy był to smok z trzecich koszar, czy jakiś obcy, nie była w stanie tego stwierdzić. Gdzieś niżej mignęły jej harpie polujące na wyjątkowo dorodnego jelenia. Za jakimś krzakiem dojrzała sylwetkę fauna pogrążonego w rozmowie z krasnoludem. Nic nadzwyczajnego. Zwykły dzień. Las tętniący życiem. Linia horyzontu zdawała się tak daleko i blisko jednocześnie. Ponad wierzchołkami drzew ujrzała zarys miast i wtedy zrozumiała, że to ona sama jest jedynym zagrożeniem dla tak harmonijnie zbudowanego świata.

– No dobra – szepnęła – skoro już tu jestem, zadam jeszcze parę trudnych pytań „tatusiowi", a potem pozostanie mi tylko wizyta na wyspie. – Ostrożnie stawiając stopy, pokonała niebezpieczne schody.

Przypuszczała, że wejście do krypty skrywającej szczątki Xaviere'a tradycyjnie będzie ukryte pod którąś z marmurowych płyt pokrywających podłogę. Skonsternowana przemierzyła kilka razy ogromną komnatę parteru i nic nie znalazła. Żadnych napisów, wskazówek, wrót w podłożu.

„Co, u licha? Byłeś sławnym i poważanym czarnoksiężnikiem, byłeś uwielbianym JFK tego świata i ponoć tu jest twój grobowiec. Ale gdzie go, do cholery, szukać? Hmm... Zaraz, zaraz, powinien być godny tak wielkiej osobistości jak ty, a zarazem dobrze chroniony przed nyrionami. Bo wiedziałeś o nich, prawda, draniu? Wiedziałeś, ale nic nie zrobiłeś".

Ariel w zamyśleniu lustrowała wielką salę. Wysokie krużganki przechodzące łagodnym łukiem w klasyczne sklepienie i wyznaczające wewnętrzny krąg sali pochylały się nad studnią niczym nieugięci strażnicy. Wiedziała, że za nimi dobudowano kilka mniejszych pomieszczeń, bo właśnie tam znalazła smocze jajo. Wtedy jednak, podobnie jak pozostali uczestnicy wyprawy do magicznego źródła, nie zwróciła uwagi ani na pozostałości sprzętów, ani na zdobienia tej sali.

„No tak, priorytety były inne".

Gobeliny rozsypały się pod dotknięciem jej dłoni, płaskorzeźby nie zechciały zdradzić tajemnic tej komnaty. W zewnętrznych ścianach krużganków Ariel ujrzała kilka dużych witrażowych okien. Powybijane szybki, zakurzone tafle kolorowego szkła też nie zachęcały do zgłębienia historii tego miejsca. Nie wiedząc, czemu to robi, wróciła na środek sali, gdzie kiedyś mieściło się ujście świętego strumienia. Stanęła przy kwadratowej cembrowinie i po raz któryś przyjrzała się studni i jej otoczeniu. Po szklanej tulei, którą niegdyś magiczna woda docierała aż na sam szczyt, pozostały tylko wspomnienie i kamienna cembrowina. Ariel ponownie zerknęła na witraże.

„Obrazy... Witraże... Pod Krzywym Kogutem też chodziło o... witraż!".

Przyjrzała się uważniej taflom kolorowego szkła. Z początku nic jej nie mówiły. Ot, zwykłe szybki z elementami herbu Pierwszego Naczelnego i społeczeństwa, które stworzył. Smocza róża, kusza, stożek-ratusz i łuska smoka otaczające wielką literę X... Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Grube krople niczym pociski armatnie zadudniły o szyby.

Stanęła tuż obok posągu starca, który dosiadał smoka wspartego łapą na otwartej księdze. W jednej dłoni mężczyzny dostrzegła kuszę, w drugiej magiczną laskę. Obydwie wyłaniające się spod peleryny ręce przyodziane były w rękawice, a na głowie jeźdźca tkwił kapelusz z szerokim rondem, którego jedno skrzydło było uniesione i przypięte fantazyjnym piórem. Znowu symbolika aż nadto oczywista.

„A może jednak nie chodzi o witraż, tylko o tego »muszkietera« na smoku?". Skupiła się na posągu, jedynym w tym pomieszczeniu. W końcu tylko on oparł się niszczącemu działaniu czasu. I znowu intuicja podpowiedziała jej, co robić. Zaczęła po kolei dotykać symboli władzy Naczelnego Maga w poszukiwaniu jakiegoś elementu, który byłby wskazówką lub kluczem do otwarcia grobowca. W końcu zniechęcona przykucnęła obok łapy smoka. Ręka bezwiednie musnęła róg kamiennej księgi. Ta zadrżała i spod kurzu ukazały się błyszczące diamentowym pyłem litery:

„Wpisz się do księgi, jeśli zdołasz...".

„Niby jak i czym?". Zmarszczyła brwi. Spróbowała kilku różnych zaklęć, żadne jednak nie przyniosło efektu. Księga pozostała martwa niczym człowiek, z którego uleciało życie. Ariel zerknęła z niechęcią na posąg. Wydawało jej się, że ujrzała szyderstwo i pogardę na obliczu Pierwszego Maga. Ta myśl wytrąciła ją z równowagi. Zerwała się i zaczęła krążyć wokół rzeźby niczym dzikie zwierzę w klatce.

„A niech cię szlag, Xaviere! Nawet martwy musisz być złośliwym dupkiem?! – Dając upust złości, kopnęła kamienną księgę. – Auć! Przez te cholerne geny wcale nie jestem od niego

lepsza. Marcus powinien dostać medal za to, że ze mną wytrzymuje. A może jednak morganit ma wpływ na mój charakter? Cornelia mówiła, że Xaviere był…" – pomyślała jeszcze, patrząc w twarz posągu, i wtedy do niej dotarło, że mina mężczyzny się zmieniła. Teraz wyrażała zdumione zainteresowanie! I, zaraz, zaraz, ale czy tylko jej się wydawało, czy pióro u kapelusza też nieco się przekrzywiło?

„Pióro? No jasne! Czym się dawniej pisało?". Uśmiechając się triumfalnie, odczepionym od kapelusza piórem naskrobała w księdze swoje imię, a wtedy posąg drgnął.

Zdążyła jeszcze odczytać: „Witaj, wejdź, jeśli potrafisz…" – zanim sekundę później napis zniknął w złocistej poświacie, jaka spowiła rzeźbę. Błyskawicznie odsunęła się od kamienia. Ten rozjarzył się zimnym, złotym blaskiem i jakby urósł.

Smok machnął kilka razy skrzydłami, a dosiadający go starzec pochylił się ku niej i wyszeptał groźnie:

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz tam wejść i przeżyć? W takim razie zapraszam…

Przenikliwy gwizd wypełnił komnatę. Ariel przykucnęła i zatkała uszy. Tumany kurzu wzbiły się w powietrze, podobnie jak… smok i jego jeździec. W jakimś zaciętym locie-tańcu śmignęli między krużgankami i okrążyli wewnętrzną salę. Smok zapikował, rycząc i zionąc magicznym ogniem. Złociste płomienie rozlały się po marmurowej posadzce i ścianach komnaty, kończąc dzieło zniszczenia zabytkowych gobelinów i płaskorzeźb. Czarnoksiężnik skierował smoka ku jednej ze ścian. Wylądowali tam z impetem. Mur zadrżał, gdy figura Naczelnego Maga kilkakrotnie uderzyła laską w symbol smoczej róży ukryty pod

płaskorzeźbą, jaka odpadła ze ściany. Pąk róży natychmiast zaczął wirować wokół własnej osi i rosnąć, by w końcu przekształcić się w wejście. Posąg zastygł niczym strażnik nowo powstałego przejścia.

Ariel niepewnie stanęła na progu tajemnej komnaty. Ciemność rozświetlało słabe bladoniebieskie światło płynące z kandelabru w kształcie smoczej głowy. Kobieta zrobiła krok do przodu. W mroku widać było tylko kilka stopni ogromnych paradnych schodów. Mogła jedynie domyślać się ich wyglądu i rozmiarów. Dopiero kolejne kroki sprawiały, że zapalały się następne kandelabry. W pewnym momencie stopa Ariel dotknęła wody. Gdy zabłysło światło, zrozumiała, że kondygnacja poniżej prawdopodobnie jest całkowicie zatopiona.

„Co jeszcze wymyślisz, Xaviere, żeby się ze mną nie spotkać?".

Postanowiła zawrócić i poszukać innej drogi, lecz wtedy usłyszała cichutki chichot i ujrzała u szczytu schodów dwie pary złociście rozjarzonych oczu. Różane przejście zamknęło się, a kandelabry zgasły...

Stanęła przed szklanymi drzwiami z wygrawerowanym herbem miast. Skrzywiła się, widząc, że wystrój apartamentu Naczelnego Maga uległ całkowitej zmianie. Zniknęły jej książki, rośliny, ulubiona sofa. Wszystko, co nadawało przytulności temu pomieszczeniu i sprawiało, że czuła się tu jak u siebie. Teraz na

powrót ściany były przezroczyste, żadnej prywatności. Centralną część gabinetu zajmowało nowe szklane biurko wraz z podobnym fotelem i kilkoma krzesłami. Pod ścianą stał nowiutki portal, a obok niego sporych rozmiarów lustro oraz parę regałów z jakimiś dokumentami. Jedynie gablota z pamiątkami po Xavierze nadal była na swoim miejscu. Jeszcze nigdy ten gabinet nie był tak odpychający i niegościnny, tak bardzo obcy.

„Albo trzeba mieć fatalny gust, albo bardzo się starać, żeby przekształcić przytulne gniazdko w coś tak ohydnego" – pomyślała, krzywiąc się. Żałowała, że nie umie przenikać przez ściany, lecz cóż, nikt nie jest ideałem. Zbagatelizowała dzwonki ostrzegawcze, które z jakiegoś powodu odezwały się w jej głowie, i zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi gabinetu. Parę metrów dalej zaklęła szpetnie i solennie obiecała sobie, że już nigdy nie zlekceważy swojej intuicji. Dojrzała bowiem nadlatującą z jednego z kątów błękitną linę, przed którą dosłownie w ostatniej chwili umknęła. Natychmiast obróciła się, przykucnęła, a jednocześnie osłoniła zaklęciem ochronnym i cisnęła w tamtą stronę klątwę obezwładniającą. Usłyszała ciche sapnięcie i przytłumiony odgłos padania ciała. Intruz też musiał być niewidzialny, przynajmniej do tej pory, bo teraz ujrzała w kącie pokoju parę małych stóp odzianych w znoszone pantofle.

„Peleryna niewidka? Ktoś jej jeszcze używa oprócz Harry'ego P.?! Nieważne. Zaraz tu będą Naczelni. Na pewno zostawili go na straży. Trzeba się sprężać".

Szybko podeszła do małych stóp. Pomacała powietrze tuż koło nich. Dłoń zacisnęła się na niczym. Szarpnięcie odsłoniło chude ciało.

– Irfan?! – Przerażona dotknęła chochlika. – Irfan, proszę, nie rób mi tego! Cholera, Irfan, nie umieraj!

– Pani Amanda... – Istotka otworzyła oczy i z wielkim trudem nabrała powietrza.

– Żyjesz. – Dziewczyna odetchnęła z ulgą i się uśmiechnęła. – Na Wielkiego Xaviere'a, ale mi napędziłeś stracha! Ech, Irfan, po jaką cholerę czaiłeś się w kącie? I jeszcze ta lina. Wiesz, jakie to ryzykowne atakować nią czarodzieja, ty niemądra istoto?

– Pani Amanda...

– Usiądź. Już w porządku? Nic ci nie będzie. No, może rzygniesz raz czy dwa, ale szybko ci przejdzie – paplała uradowana. – Posiedź kilka minut. Zawroty głowy po zaklęciu obezwładniającym potrafią powalić nawet trolla.

Kątem oka zobaczyła jakiś ruch piętro niżej. No tak, Irfan przestał być niewidzialny. A więc trzeba się spieszyć.

– Pewnie Naczelni zaraz tu będą. – Zerknęła na stworzenie. – Aż dziw bierze, że nikogo nie zostawili na straży. Myślałam, że są bardziej przezorni. Przecież pamiątki po Xavierze są takie cenne!

– Pani Amanda...

– Co, Irfan, nieboraku?

– „Pani Amanda musi zostać złapana i obezwładniona". Tak rozkazali Irfanowi Naczelni – szepnęła istotka i pstryknęła palcami.

Powietrze zawirowało dookoła dziewczyny, zupełnie jakby znalazła się w środku szalejącego tornada. Znikąd pojawiły się drobinki wyglądające niczym błękitnie skrzące płatki śniegu, a może okruchy szkła? Wirując coraz szybciej i szybciej, budowały wokół Amandy lazurową klatkę. Dziewczyna rozejrzała się po

wnętrzu pułapki. Drobne pięści huknęły kilka razy o ściany, które tylko wygięły się i oplotły dookoła jej dłoni. Na dodatek klatka zdawała się neutralizować zaklęcie niewidzialności.

– Irfan, niech cię cholera! – Zrazu zaskoczona, teraz wydarła się na istotę. – Rozkazuję ci zlikwidować tę klatkę! Natychmiast! Jak śmiesz podnosić rękę na czarodzieja!

– Pani Amanda wybaczy. Irfan otrzymał rozkaz od Wielkiej Rady – wyjaśnił chochlik, kłaniając się nisko. – Irfan żałuje, że musiał go wykonać.

Dziewczyna nieco ochłonęła, rozejrzała się i oceniła sytuację. Należało działać, i to szybko. Przez szklaną podłogę gabinetu widziała kilku żywo gestykulujących czarodziejów. Paru innych biegło w stronę windy. Kwestią czasu było pojawienie się Naczelnych.

– Naprawdę sądziłeś, że ty, chochlik, zdołasz mnie złapać, obezwładnić i dostarczyć Naczelnym? – zadrwiła.

– Miałem tylko opóźnić twą ucieczkę, pani.

– Lojalność, Irfan! Jeszcze o niej pogadamy! – syknęła i celnym urokiem rozsadziła ściany swego więzienia. Resztki błękitnej siatki opadły na podłogę i rozpłynęły się, ale Amanda już tego nie widziała. Wpatrzona w gablotę z pamiątkami po Pierwszym Naczelnym nie zwróciła uwagi ani na chochlika, który z hukiem wypadł na korytarz, ani na wychodzących właśnie z windy czarodziejów. Kątem oka ujrzała jakiś ruch przy portalu. Ułamki sekund dzieliły ją od pojawienia się Naczelnych. Następne zaklęcie rozwaliło gablotę. Okruchy szkła na podobieństwo oceanu diamentów pokryły całą podłogę gabinetu. Dziewczyna wyciągnęła dłoń.

– Chcę!

Misternie rzeźbiona kusza Pierwszego Naczelnego, spoczywająca na pięknie haftowanej poduszce, zadrżała, uniosła się i błyskawicznie poszybowała w stronę dziewczyny. Dłoń Amandy wykonała ponaglający gest, po którym w jej kierunku pofrunęła także księga, peleryna i laska.

– Teraz jesteś złodziejką?!

Odwróciła głowę w stronę portalu i zobaczyła Celestyna.

– Oddam! – zapewniła, uchylając się przed zaklęciem, które jej posłał. – Mam coś ważnego do wyko...

Celestyn nie zamierzał jej słuchać. Odgłosy uroków zasypujących dziewczynę mieszały się z bębnieniem deszczu, jaki właśnie na dobre rozpadał się za oknem.

– Celestynie! Muszę... – próbowała tłumaczyć, jednocześnie umykając przed jego zaklęciami. Widząc nadchodzących następnych Naczelnych, krzyknęła: – Celestyn, daj mi powiedzieć! – I rzuciła urok, który powalił i nieco oszołomił tego ciemnoskórego olbrzyma. – Pożyczam, tylko pożyczam te przedmioty. Mam coś ogromnie ważnego do załatwienia. Ważnego dla miast. Wzmocnijcie patrole...

Naczelny usłyszał jeszcze huk bezpośredniej teleportacji, a potem czyjeś kroki dobiegające od strony portalu. Jakiś staruszek z włosami związanymi w kucyk i ubrany w dżinsy pochylił się nad nim.

– Chciałeś ją odnaleźć i złoić skórę, tymczasem ta mała magiczna spryciula przetrzepała tyłek tobie – zadrwił Cyrus. – Życie potrafi z nas okrutnie szydzić, nie sądzisz, przyjacielu?

– Okradła nas!

Staruszek przyjrzał się rozbitej gablocie. Od razu dostrzegł, czego brakuje.

– Pozwoliłeś jej zabrać księgę i kuszę? – syknął.

– Raczej zapobiegłem kradzieży całej reszty artefaktów – odgryzł się Celestyn i podniósł z jękiem z podłogi.

– Reszty? Jakiej reszty? Rękawice i kapelusz nazywasz resztą?

– Celestynie! Cyrusie! Co tu... ?! – Z portalu wyłonili się pozostali Naczelni. Widok gabinetu sprawił, że zaniemówili z wrażenia.

– Zupełnie nie rozumiem tego dzieciaka – westchnął Cyrus po wysłuchaniu wyjaśnień Celestyna i Irfana. – Czemu z premedytacją przekreśla swoją przyszłość? Mogłaby tak wiele osiągnąć...

– Na razie osiągnęła tyle, że ukradła zabytkowe przedmioty i napadła na Naczelnego Maga. Tym samym wyrzuciła siebie na margines naszej społeczności – burknął nadal zły Celestyn i skierował się w stronę lustra. Wyciągnął dłoń i zażądał: – Generał Zorian, koszary trzeciego miasta.

– Generale – powiedział sucho, gdy ujrzał w zwierciadle twarz elfa. – Amanda Odgeon właśnie skradła z trzeciego ratusza pamiątki po Wielkim Xavierze i zaatakowała Naczelnego Maga. Życzeniem Wielkiej Rady jest, abyś ją złapał i nam dostarczył, żebyśmy mogli ją osądzić i skazać. – Nawet jeśli elf był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać. Poważnie kiwnął głową i lustro zgasło.

„To życzenie Wielkiej Rady czy twoje, Celestynie?" – pomyślał Cyrus i spojrzał badawczo na Naczelnego.

Przypomniała sobie swój pierwszy pobyt tutaj. Wtedy schodząc studnią prowadzącą do tuneli nyrionów, wyczarowała sobie kocie oczy. Bardzo jej wówczas pomogły, czemu więc nie miałaby tego zrobić również teraz? Przymknęła powieki, wyszeptała w myślach zaklęcie i już za chwilę jej magiczny wzrok przyzwyczajał się do mroku. Przyjrzała się ścianie, w której sekundę temu była różana brama, lecz ta zniknęła. Pukaniem w nią i czarami spróbowała odnaleźć i odpieczętować przejście – wszystko na nic.

„Mniejsza o rozmowę z tatuśkiem, to mogę sobie darować, ale jak stąd teraz wyjść? Amanda jet ważniejsza".

Nagle usłyszała szmer za plecami. Przebijając wzrokiem ciemności, zerknęła przez ramię.

„Co u licha...?".

Gdzieś niedaleko tykał zegar, a może mnóstwo zegarów? Coś czaiło się w ciemnościach. Nie poruszało się, czekało. Czy było żywe? Nie miała pojęcia, ale czuła, że trzeba się spieszyć. Nie wiedząc, czemu to robi, dotknęła kamienia za uchem i pomyślała:

„Skoro mam twój morganit, Xaviere, muszę też dysponować twoją czarnoksięską mocą. Zobaczymy, kto z nas wygra ten pojedynek".

Ponownie dotknęła dłonią miejsca, w którym kryształ wniknął w czaszkę. Skupiła się. Ciepło, jakie poczuła, rozeszło się falami po całym ciele, uchylając wrota takiej magicznej wiedzy, z której istnienia nawet sobie nie zdawała sprawy. Gwałtownie wyrzuciła ręce na boki i światło smoczych kandelabrów ponownie zapłonęło. Zrobiła krok w kierunku intruzów, których nadal tylko wyczuwała, lecz w tym momencie ogień z magicznych lamp wystrzelił w jej stronę. Nie spopielił jednak włosów, nie oparzył

skóry ani nie wypalił oczu. Okręcił się wokół głowy Ariel niczym woal, do reszty ją oślepiając. Nie zrobiła nic, żeby go zrzucić, jedynie uśmiechnęła się pod nosem.

„Jesteś mało pomysłowy. Spodziewałam się czegoś więcej po legendarnym Pierwszym Naczelnym".

Przymknęła oczy i jej umysł zaczął przeszukiwać podziemia. Niczym najlepszy ultrasonograf, przebijając się bez trudu przez wrogi woal, wysyłał magiczną energię i odbierał powracające wraz z nią obrazy. Dzięki temu Ariel ujrzała w swym mózgu jak na ekranie trójwymiarowego USG plan najbliższego otoczenia z wszelkimi detalami. Każdy załomek muru, następne niezapalone jeszcze kandelabry, filary rzeźbione na podobieństwo ogromnych faunów podpierających sklepienie i posągi – Zielarza, oficera, smoka – umieszczone na półpiętrach schodów pochłoniętych przez wodę. To one czaiły się w mroku i wywoływały niepokój.

Wiedziała, że dałaby radę zburzyć ścianę przy różanej bramie i wyjść, lecz podziemia kusiły, a coś w tych posągach hipnotyzowało. Jakiś impuls kazał jej iść do przodu. W kompletnych ciemnościach, z zamkniętymi oczami, ruszyła więc przed siebie, pokonując kolejne stopnie i z każdą chwilą coraz bardziej zanurzając się w zimnej wodzie. Zdana całkowicie na postrzeganie pozazmysłowe, krok za krokiem zbliżała się do pierwszej rzeźby, Zielarza. Woda sięgała jej już do bioder, a dreszcze ostrzegały, że iść dalej to głupota, jednak Ariel uparcie kroczyła naprzód.

Zupełnie niespodziewanie kamienny Zielarz potrząsnął naręczem róż, które trzymał w swych smukłych dłoniach, i w

stronę kobiety wystrzeliła chmara podobnych do smoczych zębów kolców. Nie patrząc na posąg, Ariel szybko uniosła dłoń, nakreśliła nią w powietrzu krąg i kolce niczym tresowane ptaki okrążyły ją kilkukrotnie, a potem błyskawicznie wróciły do swego ożywionego właściciela.

Umysł zanotował, że kamienne pociski z impetem rozbiły się o ścianę w miejscu, gdzie sekundę wcześniej tkwił posąg Zielarza. On sam, sprytnie uchyliwszy się przed nimi, teraz słał w stronę kobiety pąki róż, które w powietrzu transformowały w śmiercionośne dyski. Nie miała czasu na myślenie ani tym bardziej strach. Jeszcze raz uniosła dłoń i zaczęła je sprawnie wychwytywać. W jej pokrytych od wewnątrz smoczą skórą rękach dyski zmieniały się w ogniste kule, które ciskała z powrotem w stronę Zielarza. Tym razem rzeźba nie zdążyła zrobić uniku. Kilka pocisków oderwało jedną nogę, fragment dłoni i kawałek boku.

W ostatnim zrywie posąg strzelił kamienną łodygą róży niczym batem. Gdyby był żywy, pewnie doznałby zawodu, widząc, że ostra końcówka nie zabija Ariel ani jej nawet nie rani. Tym razem kobieta wykonała popisowy unik, jednocześnie chwytając kamienny bicz i ciągnąc go do siebie z całej siły. Już po chwili stała przed skrępowanym posągiem i z triumfalną miną patrzyła w twarz Zielarza. Magiczny woal owinięty dookoła jej głowy znikł. Puste oczodoły rzeźby zwróciły się w stronę Ariel. Odpowiedziała im pogardliwym uśmiechem, wzięła solidny zamach i wbiła w nie pozostałe kule ogniste. Mruknęła jeszcze:

– I to by było na tyle, jeśli idzie o ochronę przyrody!

Wypowiedziała zaklęcie, wzięła głęboki wdech i zanurkowała w mrok i chłód.

Gdzieś nad jej głową rozległ się donośny huk i przez moment wszystko dookoła spowiła złocista łuna. Poczuła uderzenie w bark, obejrzała się i ujrzała falę magicznego ognia sunącego po powierzchni wody dokładnie w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała. Przytulona do ściany poczekała minutę czy dwie, aż odłamki posągu Zielarza przestaną jej zagrażać. Dygocąc, ruszyła naprzód. Było jej coraz zimniej, a nie przebyła jeszcze nawet połowy schodów.

Powietrza jej nie brakowało, odkąd przypomniała sobie o podarunku od smoków wodnych. Ciemność też nie była przeszkodą, bo kolejne kandelabry zapalały się automatycznie, gdy tylko się do nich zbliżała. Najbardziej dokuczały jej zimno, ponura cisza i przygnębienie.

Pokonując stopień za stopniem, odruchowo rozcierała zziębnięte ciało, a im niżej schodziła, tym większa rozpacz ją ogarniała. Znów nieświadomie potarła miejsce za uchem, powtarzając w myślach: „Chcę", i ponownie poczuła ciepłe wibracje płynące z kamienia. Coś połaskotało ją po szyi, a potem ramieniu. Odruchowo podrapała tamto miejsce i wtedy zobaczyła, że skóra zaczyna pokrywać się srebrzystą siateczką wydobywającą się z... kamienia?! W krótkim czasie srebrne sploty owinęły całe jej ciało i ogrzały je niczym najlepszy kombinezon termiczny! Wraz z ciepłem pojawił się też lepszy nastrój. Teraz nawet zdecydowała się płynąć. Zbliżała się do kolejnego półpiętra, na którym tkwił kamienny oficer i mierzył do niej z kuszy.

„Zdaje się, że nie muszę zgadywać, co TY mi zrobisz...".

Nie zdążyła dokończyć myśli, gdy kamienny bełt śmignął jej tuż koło oka i zadrapał skórę.

„A żeby to gnomy!" – zaklęła i szybko ukryła się za filarem. Tymczasem grot dotarł do pobliskiej ściany i tuż przed nią... rozpadł się na wiele małych części! Ku zaskoczeniu Ariel każda z nich zmieniła się w miniaturową płaszczkę!

„Xaviere, chyba cię nie doceniłam!".

Kamienne istoty natychmiast wyczuły obecność kobiety i na podobieństwo żądnych krwi rekinów ruszyły w jej kierunku. Może nie miały kolców jadowych w ogonach i nie potrafiły razić prądem, ale nie zmieniało to faktu, że poruszały się bardzo szybko i wyglądały na potwornie niebezpieczne. Jakby tego było mało, posąg oficera już słał w kierunku Ariel kolejne bełty! Nie chcąc sprawdzać, co ją czeka w kontakcie z płaszczkami, szybko wystrzeliła w ich stronę falę energii i z satysfakcją stwierdziła, że to je spowolniło. Potem zaklęciem przywołała resztki różanej łodygi. Jeden fragment zmieniła w lasso, którym wyrwała kuszę z rąk oficera, drugim zaś, przemienionym w trójząb, przygwoździła go do ściany. W tym momencie płaszczki niczym popiół wyrzucany przez wulkan zaczęły pomału opadać na dno i znikać.

Nie zwlekając, Ariel ruszyła dalej. Następną część zatopionego korytarza pokonywała wolniej i ostrożniej. Wiedziała, że napotka jeszcze sporo pułapek, jak choćby tego smoka na kolejnym półpiętrze. Już nie drwiła z forteli wymyślonych przez Pierwszego Naczelnego, czy może jego ludzi; wprost przeciwnie, ujrzała w nim godnego szacunku potężnego wroga, tym bardziej więc uparła się, żeby dotrzeć do podziemnych katakumb i spojrzeć ojcu w twarz.

Tak, w twarz! Z jakiegoś powodu czuła – wiedziała, że to głupie, ale właśnie tak było – że on tam na nią czeka.

Wreszcie dotarła do kolejnego podestu. W miejscu, gdzie szerokie schody zakręcały, przyczaił się kamienny smok.

Nie spuszczając posągu z oczu, skierowała się ku następnym schodom. W półmroku rozświetlanym błękitną poświatą płynącą z magicznych kandelabrów ujrzała zarys podziemnej sali. Dotarła do końca korytarza i z powrotem stanęła na własnych nogach. Tu schody rozszerzały się wachlarzowato. Ostrożnie stawiając stopy na śliskich kamieniach, zaczęła schodzić w dół. Na przedostatnim stopniu przystanęła. Najpierw obejrzała się za siebie, a potem rozejrzała z ciekawością.

„Gdzieś tu musi być sarkofag D'Oriona".

Przymknęła powieki i zaczęła przeszukiwać pomieszczenie. Tym razem jednak jej wewnętrzny sonar zawiódł. Po kilku próbach dała za wygraną i otworzyła oczy. Pomyślała: „Chcę" i w jej dłoni natychmiast pojawiła się pochodnia, która rozświetliła magicznym płomieniem najbliższe otoczenie. Czy smok na półpiętrze obrócił łeb, czy to tylko złudzenie? Zerknęła w górę i na boki, na dziwny kształt sklepienia nad schodami.

W całkowicie zatopionym i pozbawionym filarów pomieszczeniu unosiły się w wodzie... dwustronne zwierciadła! Większość miała kształt rombów o zaokrąglonych końcach lub trójkątów połączonych z sobą. Wszystkie obracały się wokół własnej osi, leniwie odbijając światło kandelabrów i pochodni Ariel. Kobieta dostrzegła też, że wcale nie były sztywnymi taflami, lecz przelewały się jak najdelikatniejszy jedwab. Na ich powierzchni ujrzała wskazówki zegarów. Wszystkie pokazywały tę samą

godzinę: 11:58. Między nimi pływały jakieś kryształy i pąki kwiatów. Stwierdziła, że czuje ich zapach! W wodzie! Wyciągnęła rękę z pochodnią, lecz sarkofagu nigdzie nie dostrzegła. Przeszła w bok ku poręczy i zrozumiała, że schody zostały sprytnie umieszczone w ogromnym filarze, który podtrzymywał sklepienie tej komnaty. I gdziekolwiek spojrzała, widziała lustra z zegarami, kryształy i kwiaty.

„Gdzie jesteś, Xaviere? Czy to pomieszczenie nie jest twoim grobowcem?". Zeszła schodek niżej. Coś zgrzytnęło i zegary zaczęły tykać głośniej i szybciej, a kwiaty mocniej pachnieć. Zerknęła na najbliższe zwierciadło. 11:59. Oczy błądziły po pomieszczeniu. Przeszukiwały. Umysł analizował. Coś kazało jej się odwrócić i zerknąć przez ramię. Z przerażeniem stwierdziła, że kamienny smok na półpiętrze zaczyna się otwierać. Jednocześnie sklepienie nad jej głową zadrżało. Gwałtownie odepchnęła się od ostatniego stopnia i zanurkowała w ławicę zwierciadeł. W jednym z nich ujrzała odbicie jakichś istot wynurzających się z posągu smoka na półpiętrze. Dostrzegła jeszcze, że sklepienie nad schodami opada, a wskazówki zegara zatrzymują się na godzinie 12:00...

„Ech, gdybym dopadła driadę, co to opiekuje się tą sosenką, załatwiłabym jej natychmiastową przeprowadzkę na plantację z widokiem na tartak!". Amanda zgrzytnęła zębami, usiłując

pozbierać się z ziemi zaraz po tym, jak wyrżnęła w jakiś pień. Wszystko to działo się opodal sztolni krasnoludów niedaleko Chochlikowego Jeziora.

„No dobra, przegięłam. To nie wina driady, że omal się nie zabiłam na jej drzewie, ale nigdy więcej bezpośredniej teleportacji! Strach pomyśleć, ile będę miała siniaków. Jeszcze tylko brakuje mi żółtych szkieł kontaktowych i mogę udawać amatorkę ordonu" – zakpiła z siebie, krzywiąc się z bólu i rozcierając poobijane ramię.

„Chryste, zaraz rzygnę...".

No tak, nudności były kolejnym efektem ubocznym teleportacji, nad którym do tej pory też nie umiała zapanować. I rzeczywiście, skurcze żołądka nadchodziły niczym fale miniaturowego tsunami. Jedyne, co mogła zrobić, to uklęknąć i pozwolić im przepłynąć. Starała się oddychać powoli i głęboko, by zapanować nad szalonym biciem serca. Kiedy resztki kanapek i lodów wkomponowały się w dywan z trawy, tworząc na nim wzór nie do podrobienia, Amanda wciągnęła powietrze w płuca, przepłukała usta wodą z pobliskiego strumyka i usiadła na pniu zwalonego drzewa.

„Orestes na pewno ma na to jakieś antidotum. ZAWSZE ma. Trzeba go tylko ładnie o nie poprosić".

Jeszcze parę chwil zajęło jej ponowne przejęcie kontroli nad własnym ciałem, które uparło się, że wersja galarety będzie dla niego odpowiednia. W końcu opanowała drżenie rąk i rozejrzała się w poszukiwaniu swoich rzeczy. Plecak dyndał na gałęzi. Niedaleko, na wyściółce z mchu, leżała kusza, a kawałek dalej peleryna i laska. Z księgą był problem, bo wylądowała

w strumyku i właśnie... chłonęła wodę niczym wielbłąd po długiej marszrucie przez pustynię!

„A niech to szlag!”.

Dziewczynie w ciągu sekundy minęły wszelkie dolegliwości. Spanikowana rzuciła się, aby ratować księgę. Długo i pieczołowicie wycierała opasłe tomiszcze, w końcu po prostu przyłożyła dłoń do okładki, szepnęła: „Chcę” i już po chwili księga wydawała się sucha. Kiedy jednak Amanda ją otworzyła, okazało się, że niektóre strony nadal są wilgotne i pozlepiane, a na innych woda zdążyła rozmazać atrament.

„Naczelni mi tego nie darują – zamruczała pod nosem, wertując tomisko kartka po kartce. – Dopiero teraz mam u nich przekichane. Zorian już pewnie mnie szuka. Jest niczym pies myśliwski, jak wpadnie na trop, to nie odpuści. Trzeba zniknąć. Jeśli mam zamknąć ten wąwóz... Nawet gdyby udało mi się powiedzieć im o moich odkryciach, nie uwierzyliby, bo czy oni kiedykolwiek do tej pory mnie słuchali? Sama muszę to zrobić, zamknąć ten niebezpieczny wąwóz. Gdzie skryłeś zaklęcie, dziadku? Plan. Potrzebny mi dobry plan...”.

Złapała się na myśli, że wyraża się dokładnie tymi samymi słowami co Pierwszy Naczelny w swoim notesie.

– Oprócz planu potrzebujesz też jedzenia i odpoczynku – wystraszył ją znajomy głos i cichy furkot skrzydeł. Eve zgrabnie wylądowała tuż przed nią i też przysiadła na omszałym pniu.

– Eve! Na litość boską, nie skradaj się tak!

– Jestem drapieżnikiem, inaczej nie potrafię. – Harpia wzruszyła ramionami. – Na litość boską? Dziwne są te ludzkie powiedzenia, ale mniejsza z tym. Ty lepiej zacznij od odpoczynku

– dodała, zerkając na szarozieloną twarz dziewczyny. – Wszystko inne poczeka. Na razie wyglądasz tak, jakbyś dopiero co zwróciła wypluwkę.

– Bo zwróciłam, ale niespecjalnie! – odgryzła się dziewczyna.

„Wypluwkę! Ma wyczucie, żeby mi o tym w takim momencie przypominać!".

Skrzywiła się i przypomniała sobie, jak kilka razy była świadkiem takiej czynności w wykonaniu harpii. Wymiotowanie resztkami niestrawionych kości, piór i pancerzyków ofiar to dla nich normalna rzecz, ale dla niej... Na samo wspomnienie znowu ją zemdliło. Szybko zajęła umysł ważniejszymi sprawami.

– Eve, jak wielkie masz tereny łowieckie?

– A co ci do tego? – burknęła harpia. – Poluj gdzie indziej! Mam trójkę młodych do wykarmienia.

– Polowanie mnie nie interesuje.

Harpia podniosła brwi w uprzejmym zdumieniu i z miną nałogowego pokerzysty, któremu właśnie ktoś oznajmił, że poker jest do dupy, zapytała:

– To po co chcesz wiedzieć?

– Latasz tu i ówdzie, to pomyślałam, że może wiesz, jak najszybciej dotrzeć do wąwozu za Kamieniołomem Demonów – rzuciła Amanda od niechcenia.

– Tego, który chcesz zamknąć? – Widząc zaskoczenie dziewczyny, dodała: – Jestem harpią, drapieżnikiem, pamiętasz? Wzrok i słuch mam wręcz genialny. I tylko wyglądam na idiotkę.

– Ekhm... No tak. Więc jak z tą drogą? Znasz jakiś krótki trakt?

– Najszybciej byłoby lecieć, no ale przecież ty jesteś tylko człowiekiem... – Nie zwracając uwagi na obrażoną minę

dziewczyny, Eve ciągnęła: – Rozumiem, że tego, co nazywacie teleportacją, nie możesz użyć? Ech, wy, ludzie – westchnęła. – Nie wiem, po co natura was stworzyła. Latać nie umiecie, pływać ledwo, ledwo, jesteście ślepi niczym kret w swojej norze, ale z jakiegoś powodu uważacie się za władców tej krainy.

– Cieszę się, że doceniasz nasze talenty, ale czy możemy wrócić do sedna?

– A tak, droga... Cóż, na tych swoich ułomnych dolnych kończynach zajdziesz w kilka dni. Idź przez Dolinę Zielarzy. Wasi oficerowie ją omijają, ale to znacznie wydłuża wędrówkę.

– A niby jak mam tam wejść? Matka mówiła, że przejście otwiera się tylko dla czystej krwi elfów.

– Ciekawe, jak w takim razie sama tam weszła?

– Moja matka tam była? U Zielarzy?

– Każda samica chce chronić swoje młode. Pewnie dlatego ci o tym nie wspomniała, bo tamtejsze zapachy odurzają i wy, ludzie, zachowujecie się po nich jak pisklak po sfermentowanych winogronach. Dolina nie jest zła, ale ja tam nie poluję. Smoki zapolowałyby na mnie. A na dodatek ten odór! Masz pojęcie, jak tam śmierdzi? Żadnych zapachów mięsa, krwi czy przerażonej zwierzyny, tylko kwiaty i kwiaty!

– Byłaś kiedyś przy wąwozie?

Eve zaprzeczyła.

– Z tego, co wiem, nikt nie lata tak daleko.

– Czemu?

– Podobno wąwóz wciąga – rzuciła krótko harpia. – Jest drapieżnikiem... – dodała enigmatycznie.

– Co masz na myśli?

– To paskudna gęba, która połyka wszystko, co podejdzie zbyt blisko. Przeżuwa i zwraca niczym wypluwkę. Zmienione.

– Eve, możesz to sprecyzować? – Amandę zaczęło irytować to dziwne gadanie, lecz doszła do wniosku, że musi dowiedzieć się jak najwięcej o tamtym miejscu. A skoro harpia ma jakieś wiadomości, choćby i najgłupsze, to należy ich wysłuchać.

– Podobno wąwóz to wrota. Prowadzą przez tak wysokie góry, że nawet ja nad nimi nie przelecę, choćbym i chciała. A nie chcę. Nie pytaj, jak daleko sięgają te góry i co za nimi. W tej krainie nie spotkasz nikogo, kto miałby taką wiedzę. Słuchy tylko krążą, plotki...

– Tak?

– Kamieniołomy Demonów blisko... I Otchłań Rozpaczy... Tam waszych zbrodniarzy wrzucacie od tak dawna. To źle. Cały las szepcze, że to bardzo źle. Ponoć wąwóz ich pochłania. Zabiera z nich mrok. Karmi się nimi. Myślicie, że umarli... a oni rozpaczają. Nad losem tej krainy. Nad waszym losem. A teraz istot z kamienia już nie ma.

– Strażników? No wiem!

– To jeszcze gorzej. Nikt nie kontroluje ani żywych, ani, co gorsza, umarłych. A oni już się zbierają. Chcą wyjść, lecz jeszcze nie potrafią.

– Eve, skąd ty...?

– Jest w tej krainie wiedza, lecz w księgach jej nie znajdziesz. Trzeba by zapytać istot tak starych jak to miejsce. Tych, którzy byli tu pierwsi. Zanim nastała era dwunożnych nielatających stworzeń. Wasza era.

– Czyli kogo?

Harpia zerknęła na nią z takim zdziwieniem, jakby odpowiedź była oczywista.

– Kamieni, prastarych drzew, ich driad, skał, strumieni... – Ptasie oczy zerknęły na dziewczynę w nagłym olśnieniu. – Ale przecież ty nie potrafisz z nimi rozmawiać. Wy, ludzie, nigdy się tego nie nauczyliście. Marne istoty! – ćwierknęła Eve ze współczuciem. – Nie ma chwili, żebyśmy my, harpie, z nimi nie rozmawiały. Żyjemy w harmonii ze światem. Nie niszczymy go. Bierzemy tylko tyle, ile musimy, i niczego nie marnujemy. To sprawia, że natura nas wspiera. Wy, ludzie, ograbiacie ją ze wszelkich bogactw, dając w zamian śmierć i zniszczenie. Nie, ty, człowiek, nie otrzymasz odpowiedzi.

– A ty? Ty nie możesz mi opowiedzieć? Opowiedz mi o tym wąwozie, Eve!

– Jak mam ci przekazać w jeden dzień mądrość przechowywaną w umysłach tak wielu istot setki lat? – Harpia rozłożyła bezradnie ręce. – Jak opowiedzieć nieopowiedzialne? To nie jest możliwe. To wiedza, którą zdobywamy od pisklaka codziennie, instynktownie, nieświadomie. I właśnie ona podpowiada mi, że to więcej niż nierozważne: lecieć w stronę wąwozu. Być może nawet śmiertelnie niebezpieczne. Zła aura emanuje z tamtego miejsca. Na tamtejszych prądach powietrznych moje skrzydła nie poszybowałyby zbyt długo. Żadna żywa i rozumna istota nie zapuści się tam świadomie, ale ty...

– Ja muszę. To notatnik Pierwszego Naczelnego. – Amanda pokazała harpii notes Xaviere'a. – Napisał w nim, że ludzie przybyli tu właśnie przez wąwóz i wspólnie go zamknęli. Ostrzega też, że po śmierci ostatniego z osadników wąwóz się otworzy,

a wtedy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. D'Orion nie sprecyzował, o co chodzi, ale nakazał bezwzględnie ponownie zamknąć przejście. Oriana była ostatnim z osadników, a ja...

– A ty ją zabiłaś. Jedno zło zniknęło, ale w jego miejsce może przyjść inne? – dokończyła harpia.

– Nikt o tym nie wiedział!

– A gdybyś miała taką wiedzę, oszczędziłabyś wiedźmę?

Amanda spojrzała na harpię, zawahała się, przełknęła ślinę i pokręciła przecząco głową.

– Więc czemu masz wyrzuty sumienia?

„Bo mam przeczucie, że śmiercią Oriany sprowadziłam na nas jeszcze gorsze niebezpieczeństwo" – pomyślała pod osłoną adger.

– Czyli muszę sobie radzić sama? – dodała już na głos.

Jakiś nieoczekiwany mrok zagościł w ptasich oczach Eve. Harpia spojrzała na Amandę ponuro i poważnie skinęła głową.

– Miło było cię znać, pisklaku – położyła dłoń na ramieniu dziewczyny – lecz za mało w tobie drapieżnika. Pojedynku z tymi siłami nie wygra jedna istota, nawet jeśli ma takie umiejętności jak ty.

– Xaviere wygrał!

– Czyżby? Skąd wiesz, kim był, gdy wchodził do wąwozu, a kim, gdy go opuszczał? Nie działał sam, pamiętasz? Ty chcesz mu dorównać, pokazać, że władasz mocami lepiej niż on...

– Nie! Wcale nie!

Eve nic nie odpowiedziała, tylko przyglądała się Amandzie z pobłażliwym uśmiechem.

– No dobra, może odrobinę – skapitulowała dziewczyna – ale, serio, muszę zamknąć ten wąwóz, Eve. Notatnik mnie przeraził.

Myślałam, że znajdę w nim odpowiedzi, dowiem się, kim jestem, skąd pochodzę, tymczasem dostałam do wykonania zadanie, na które wcale nie mam ochoty, ale nie mam też wyboru.

Harpia chwilę nad czymś myślała.

– Poczekaj, zaraz wracam. – Błyskawicznie poderwała się do lotu i zniknęła za drzewami. Amanda powiodła za nią zdumionym wzrokiem pewna, że nigdy nie zrozumie istot takich jak Eve. Już miała zbierać się do drogi, gdy ponownie rozległ się łopot ptasich skrzydeł. Towarzyszył mu przeraźliwy pisk. Harpia z impetem zanurkowała i brawurowo wylądowała na pniu koło dziewczyny. – Najbliższa Dolina Zielarzy. Idź nią. Twoja matka zdołała ją otworzyć, więc i tobie się uda. Nie przyjmuj od nich poczęstunku. Pamiętaj, to ważne! Weź to. – Wcisnęła jakiś pakunek w ręce dziewczyny i zobaczyła jej pytające spojrzenie. – Jeść trzeba, a dzięki temu nie będziesz musiała polować. Wiem, wiem, nie ma to jak ociekające krwią ciepłe mięso, ale nie można mieć wszystkiego. To delikatne mięso jelonka. Jest bardzo pożywne.

W oczach Amandy malowało się przerażenie, a harpia zachwalała coraz bardziej.

– Długo się suszyło, więc nie zepsuje się zbyt szybko. No, bierz, to prawdziwy rarytas!

– Ale...

– Nie musisz dziękować. – Eve machnęła lekceważąco ręką. – Chętnie wspomagam tych, co dbają o nasz świat, nawet jeśli ich szanse są tak marne. Poza tym twoja matka wiele razy pomagała mojemu stadu. A ty jesteś jak ona. Też się wzbraniała, gdy jej dawałam kuszę i nóż, żeby zabiła Darrena. Ty kuszę już masz, kolejna ci niepotrzebna. – Harpia ćwierkała jak najęta. – Poza

tym tobie bardziej będą potrzebne słowa z tej księgi niż zwykła broń. Pamiętaj, żadnych poczęstunków u Zielarzy. Oni uwielbiają ciągle być odurzeni. Za Doliną Zielarzy jest Kolonia Goblinów, a dalej są Kamieniołomy Demonów. Gór nie przeoczysz. W ich stronę się kieruj. Weź jeszcze to.

Wcisnęła Amandzie w rękę jakiś włochaty przedmiot.

– Ucho jelonka, na szczęście! Powodzenia, Amando.

Harpia machnęła niby od niechcenia skrzydłami i już jej nie było. Tymczasem Amanda stała z podarunkami w rękach i patrzyła z obrzydzeniem to na ucho jelonka, to na owinięty w liście pakunek. Wreszcie go rozwinęła.

„Cudnie! Mój ptakosmok pewnie kwiczałby z zachwytu. Dałabym wszystko za kawałek czekolady albo kurczaka z rożna. A najlepiej za jedno i drugie, a do tego koktajl bananowy. A tymczasem jedyne, co mam, to jakieś zasuszone kozie bobki i trochę wody. Pełnia szczęścia!”.

Spoglądając na brunatne kawałki czegoś, co przypominało poskręcaną korę drzew, starała się nie myśleć, kim były za życia. Szybko schowała prezenty Eve do plecaka, nabrała wody do manierki i wspierając się na lasce Xaviere’a, ruszyła w kierunku Doliny Zielarzy.

Podwodna fala wywołana upadkiem sklepienia nad schodami porwała Ariel i cisnęła w środek wirujących zwierciadeł,

kryształów i kwiatów. Przez moment i tak już ograniczona widoczność jeszcze się pogorszyła. Magiczna pochodnia wypadła z dłoni i zniknęła, a kandelabry przygasły. Przyczajona za jakimś lustrem w pierwszym odruchu zacisnęła powieki. Kiedy atak paniki minął, zdecydowała się otworzyć oczy. I natychmiast pożałowała tej decyzji, bo w odległości paru centymetrów od swej twarzy ujrzała okropnie wykrzywione oblicze jakiegoś mężczyzny, a potem dobiegł ją jego wściekły ryk:

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz zakłócać spokój największemu z magów?!

Nim zdała sobie sprawę, że to jedynie hologram, wrzasnęła, ile sił w płucach. No właśnie... w płucach. W tym momencie lodowata woda wdarła się do jej nozdrzy i ust, powodując jeszcze silniejszy atak paniki. Dławiąc się i krztusząc, Ariel rzucała się niczym ryba na haczyku. Pojawiły się pierwsze oznaki niedotlenienia. Przed oczami zawirowało jej wiele rozmazanych hologramów mężczyzny. Oszołomienie i dzwonienie w uszach jeszcze potęgowały uczucie strachu. Srebrzysta ogrzewająca siateczka zniknęła i chłód zaczął przenikać jej ciało. Od utraty przytomności dzieliły ją już tylko sekundy. Oczy utraciły zdolność widzenia, zamknęła je więc znużona. Ciało zwiotczało i zawisło w bezruchu w ciemnej toni. Nadchodził mrok, powitała go niczym przyjaciela. Nie zdążyła jednak wtulić się w jego zimne ramiona, bo na krańcach świadomości błysnął płomyk. Nieśmiały, niewinny płomyczek. W jego żółtawym światełku ujrzała czyjeś ciemne oczy. Tuż obok zapłonął inny, a w nim błękitne oczy. Resztki świadomości skupiły się na nich. Słabiutki rozkaz zmusił do

zastanowienia, co wybrać: mrok czy płomyki. Zaraz, co mówią ciemne oczy w płomieniu?

„Twoje zadanie jeszcze nie jest skończone. Nie masz prawa tak się poddawać...".

Płynąca od płomyków fala ciepła pobudziła serce kobiety do życia, a wraz z nim resztę ciała. Za ciepłem nadpłynął optymizm i zdusił resztę lęków. Ręce ważyły chyba tonę, ale zmusiła się, by przyciągnąć je do siebie. Z ogromnym trudem położyła jedną z nich na Znamieniu Smoka nad lewą piersią, drugą dotknęła kamienia za uchem.

„Chcę" – wyszeptała, zastanawiając się, skąd zna to słowo. Powtarzała je niczym mantrę, aż organizm przypomniał sobie o prezencie od wodnych smoków i zaczął pozbywać się wody z płuc. Tymczasem płomyki rosły, nadzieja rozkwitła, a kobieta nadal szeptała w myślach to jedno słowo: „chcę". Płuca na nowo wypełnił życiodajny tlen, a płomienie powiększały się i przypominały już wielkie ognisko. Zrobiło jej się wręcz gorąco. Otworzyła oczy i... natychmiast się zorientowała, że woda zniknęła! W jednej chwili poczuła, jak jej ciało leci w dół, a w kolejnej z hukiem uderzyła o kamienną posadzkę.

– Jestem za stara na takie przygody – jęknęła, gdy przestała wymiotować i krztusić się wodą. – Czas przerzucić się na szydełkowanie.

Nagle kryształy unoszące się w powietrzu rozbłysły. Ostry blask zalał całą komnatę. Ariel zmrużyła oczy. Poobijana i niemal oślepiona, zaczęła niezgrabnie zbierać się z podłogi i zastanawiać, czy wygląda równie żałośnie, jak się czuje. Najbliższe lustro pokazało jej, że jest jeszcze gorzej. Ubranie wisiało na niej niczym

źle wyżęta, ciągle ociekająca wodą ścierka. Mokre włosy oblepiały bladą, wymęczoną twarz, a cienie pod oczami mówiły: „Schodzenie do tej komnaty było mistrzostwem świata w głupocie”.

– Wiem – odpowiedziała odbiciu w lustrze. Przyczesała dłonią włosy i poszukała wzrokiem torby z rzeczami. Ta leżała u podnóża schodów, których sklepienie po opadnięciu okazało się... paszczą kamiennego smoka! Cały filar był w istocie jednym ogromnym smoczym posągiem, przez którego otwarty pysk wiodły schody wprost do tej komnaty. Podeszła bliżej. Między jego zębiskami coś się poruszyło, coś warknęło. Przypomniała sobie, jak z wnętrza podobnej rzeźby na półpiętrze zaczęły wychodzić jakieś istoty, i zrozumiała, że musi znaleźć inną drogę, by wydostać się z tego piekielnego miejsca. Szybko osuszyła ubrania i torbę, po czym ruszyła w obchód po podziemnej sali. Ciasteczka podarowane przez Orestesa – teraz kompletnie rozmoczone – nadawały się jedynie do wyrzucenia, ale obrzydliwy błotny glut świetnie zregenerował jej organizm.

„Trzeba sobie tylko wyobrazić, że to snickers” – powtarzała, przeżuwając cuchnące świństwo. – Gdzie zniknął ten facet? I co to miało być? Bo jeśli to strażnik, to świetnie się sprawdził”.

Komnata była teraz rzęsiście oświetlona, chłód zniknął, a po wodzie nie pozostał nawet ślad. Zupełnie jakby nigdy jej tu nie było. Jedno tylko się nie zmieniło: lustra – teraz zawieszone na różnej wysokości w powietrzu – nadal obracały się wokół własnej osi, podobnie jak pąki kwiatów i kryształy. Przechadzała się w tym przedziwnym, niekończącym się oceanie, patrzyła i rozmyślała. Towarzyszył jej jedynie stukot butów o posadzkę. Po jakimś czasie zauważyła, że niektóre zwierciadła zaczynają

transformować. Nadal przypominały najdelikatniejszą tkaninę poruszaną wiatrem, lecz kształtem zaczęły upodabniać się do kropli wody, a może do wydłużonej łuski czy sporego pióra. Nagle jedno z nich poczęło coś skrobać na powierzchni drugiego. Przystanęła i zmarszczyła brwi. W krótkim czasie cała srebrzysta tafla pokryła się pochyłym fantazyjnym pismem. Już po chwili ten sam tekst pokazywały wszystkie pozostałe zwierciadła. Kryształowy pył spływał spod końcówki „pióra", lecz Ariel zupełnie nie zwracała na to uwagi, całkowicie bowiem skupiła się na tekście.

– Rozumiem, że się obrazisz, jeśli go nie odczytam? – mruknęła. – No dobra, to do dzieła...

Półsny
Półsłowa
Półobrazy
Półwizje
Nie zobaczysz ich
w całości,
gdy patrzysz przez wizjer...
By całość tych wizji
z fragmentów odtworzyć,
mnogość elementów
musisz znaleźć lub stworzyć.
Znajdź, co ulubione
dla Pana notatnika,
połącz, a ujrzysz,
co z tego wynika.

Tylko tak zrozumiesz
zła początek i naturę rzeczy,
tylko tak zniweczysz,
Zniszczysz, co zło ma w swej pieczy...

– Raany! Xaviere, byłeś na prochach, gdy to pisałeś? – palnęła przekonana, że nikt inny nie mógł być autorem tej dziwacznej twórczości. – Nieee... Każdy, ale nie ty. Jako sławny mag nie bawiłbyś się w pisanie jakichś bzdur. A skoro nie jest to infantylny wierszyk przedszkolaka ani bredzenie otumanionego starca, to znaczy, że... Szarada, prawda? Co chciałeś mi powiedzieć, Xaviere? W co ty grasz?

Powtarzając w myślach wierszyk, zaczęła lawirować między lustrami. Niepokój, jaki czuła od chwili przekroczenia różanej bramy, jeszcze się nasilił. Chciała dotrzeć do ścian w nadziei, że w ich pobliżu znajdzie jakieś dalsze wskazówki albo – co ucieszyłoby ją bardziej – wyjście. Nieświadomie dała się porwać fali kwiecisto-zwierciadlanej, ale zamiast trafić w upragnione miejsce, przez chwilę krążyła dookoła smoczego filaru. Zorientowała się, że coś jest nie tak, dopiero gdy ponownie ujrzała znajomy zarys pyska. Zdeterminowana, by jednak odnaleźć wyjście, ruszyła w odwrotnym kierunku. Kiedy znów znalazła się przy smoczym łbie, była już niemal na krawędzi rozpaczy. Przekonana, że traci czas, położyła dłoń na rzeźbie smoka i niczym ślepiec dała się poprowadzić kamiennym łuskom. Ale oto gad przesłaniany do tej pory morzem wirujących na różnych wysokościach przedmiotów ukazał się jej w całej okazałości. Chmura zwierciadeł i kryształów przerzedziła się, a ona

zrozumiała, że figura ukazuje smoka zwiniętego w kłębek. Przypominał ogromny kamienny pierścionek. Najeżony kolcami ogon niemal dotykał pyska, za to we wnętrzu tego pierścienia kobieta zobaczyła kolejny przedmiot. Marmurowy sześcian.

„Coś za mały jak na sarkofag – pomyślała – a jednocześnie za duży jak na urnę. Ciekawe...".

Obeszła go dookoła. Prosty blok z czarnego marmuru doskonale wtapiał się w tło. Pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie pasy białego marmuru zaczynające się w każdym jego rogu i biegnące w kierunku podłogi, jakby dociskały go do posadzki. Nad sześcianem unosił się w powietrzu i wirował mały herb miasta wyrzeźbiony z tego samego kamienia.

„Znajdź, co ulubione dla Pana notatnika, połącz, a ujrzysz, co z tego wynika... – przypomniała sobie. – Dobra, zobaczmy, co kryje ten kamień".

Wpatrzyła się w wirujące symbole.

– Znajdź, co ulubione... Kwiat, kusza, stożek, łuska. Połącz... Połącz... – mamrotała, nieświadoma, że właśnie wymawia zaklęcie. – Połącz... – Dotknęła palcem umieszczonego pośrodku herbu rombu, zupełnie jakby chciała się upewnić, że on rzeczywiście istnieje, a wtedy pozostałe symbole popłynęły w jego stronę i... zaczęły znikać w jego wnętrzu! Dało się słyszeć jakieś szuranie i cichy zgrzyt, po czym ciemny blok zadrżał. Pozostałości herbu, litera X wraz z rombem, nagle zaczęły rosnąć. Kiedy osiągnęły rozmiary kamiennego sześcianu, zafalowały, a potem ze środka, niczym ze skalnej gardzieli, zaczął się wysuwać jakiś przedmiot. Ariel stała z rozdziawionymi ustami i ze zdumieniem wpatrywała się w to niesamowite zjawisko.

– A już myślałam, że nic nie może mnie zaskoczyć – szepnęła, gdy na wysokości jej oczu pojawił się przeogromny pergamin, potem zmienił się w coś w rodzaju ekranu, a na nim, jak w kinie domowym, zaczął wyświetlać się obraz i jakiś tekst.

„Jesień. Podjąłem decyzję. Wyruszam. Przerażające jest to miasto...” – przeczytała jeszcze w pełni świadomie, zanim zalała ją rzeka kolorowych obrazów: rozmyślań i wspomnień człowieka znanego jako Xaviere D’Orion.

Amanda stanęła na wzniesieniu nad Doliną Zielarzy. Z uśmiechem syciła oczy jej urodą i wdychała aromaty. Dotarcie tutaj nie zajęło jej wiele czasu, mimo że ciągle musiała pamiętać, żeby pozostać niewidzialną. Chwilę wcześniej u wlotu tego samego tunelu, co kiedyś Ariel, zmaterializowała się, kilkakrotnie postukała laską Xaviere’a w ziemię, zatoczyła nią mały łuk i szepnęła:

„Na mój rozkaz otwórz...”. Nawet nie zdążyła dokończyć zaklęcia, gdy magiczna zapora zniknęła. „To zdumiewające, jak słabiutkie potrafią być zaklęcia blokujące w zetknięciu z laską Xaviere’a” – pomyślała i ruszyła ścieżką w dół.

W miarę zagłębiania się w dolinę odnosiła wrażenie, że wszystko tu dosłownie tętni życiem. Niemal słyszała krążenie soków w roślinach, szelest ich liści, gdy rosną. Ciepły wiatr muskający płatki kwiatów zdawał się jej liryczną muzyką,

a wszechobecne aromaty odurzały. Z jakiegoś powodu zaczęła się uśmiechać, podrygiwać, prawie tańczyć i przytupywać! I tak, podskakując niczym przedszkolak, przemierzała alejki, czasem przystawała na dłużej, by przyjrzeć się szczególnie interesującej roślinie czy trącić płatek kwiatu i napawać się widokiem spływających z niego kropel wody. Nie rozumiała przyczyn swojej niepohamowanej radości i było jej z tego powodu nieco głupio, ale cieszyła się, że nikt tego nie widzi, dopóki nie usłyszała:

– Tańczysz niczym najprawdziwszy Zielarz, choć nim nie jesteś.

Omal nie przewróciła się, potknąwszy się o kamień, tak zaskoczył ją ten głos. Przed upadkiem uratował ją jakiś wyjątkowo dorodny liść. Chwyciła go dosłownie w ostatnim momencie. Wyprostowała się i próbując zatrzeć niekorzystne – w jej mniemaniu – wrażenie, z godnością skinęła głową istocie, która wychynęła zza pnia bananowca.

– Wybacz, jeśli przeszkadzam. Jestem Amanda Odgeon. Chcę tylko przedostać się na drugą stronę doliny. Słyszałam, że to najkrótsza droga do wąwozu, który jest za Kamieniołomami Demonów.

Czekając na odpowiedź, przyjrzała się uważnie tajemniczemu stworzeniu.

„Tak jak mówiła mama: smukli, rozkojarzeni, piękni. Ale to raczej nie jest dorosły Zielarz. No i ten akurat nie jest piękny. Te szczątkowe motyle skrzydła i paskudna głowa. Ni to już ludzka, ni to jeszcze należąca do węża. Na dodatek nie ma tatuaży. Pewnie niedługo będzie przechodził transformację".

– Amanda Odgeon... – Młody Zielarz głęboko wciągnął powietrze, jakby sprawdzał zapachy, i rozmarzony szepnął: –

Następca Ariel Odgeon... Przyjaciel smoków i obrońca świata...

„No no, jestem sławna. Jeszcze chwila i może awansuję do roli zbawiciela” – pomyślała z konsternacją i uśmiechnęła się niepewnie.

– Echem, mniej więcej.

– Jestem Neve, następca Bereniki, choć wy, ludzie, nazwalibyście mnie jej synem.

Nie bardzo wiedziała, po co jej to mówi, ale postanowiła nie psuć tak miło rozpoczętej znajomości gadulstwem lub nieuprzejmością.

– Przechodzisz wylinkę? – spytał, patrząc na nią uważnie.

– Wylinkę? – Teraz już kompletnie zgłupiała.

– Chociaż nie, to nie wylinka. Twoja ręka – wyszeptał. – Masz kłopoty z powłoką...

– Z powło... Z czym?!

Poruszał się płynnie i lekko jak zawodowy tancerz, a nie zwyczajny mężczyzna, ale czy o jakimkolwiek Zielarzu można by powiedzieć, że jest zwyczajny? Podszedł więc do niej rozkołysanym krokiem, chwycił smukłymi palcami jej rękę i podniósł, a wtedy zrozumiała, co ma na myśli. Wnętrze jej dłoni przecinała rubinowa kreska. Krople krwi spływały wzdłuż palców, wsiąkając w glebę koło jej stóp. Zerknęła na liść, który chwyciła w obawie przed upadkiem, i już wiedziała, co ją zraniło: gigantyczna smocza róża.

– Posmaruj tym. – Zerwał listek innej, nieznanej jej rośliny, i włożył w pokaleczoną dłoń. – Soki smoczej róży zmniejszają ból, ale ta glyriena szybko zabliźni powłokę.

– Aha – bąknęła tylko i prędko spojrzała na rękę, bo miała wrażenie, że... coś się w nią wgryza! Ku jej zdziwieniu roślinka po prostu mocno przyssała się do rany, a po chwili pozostały po niej jedynie wysuszone dymiące szczątki. Rana natomiast zniknęła.

Już zaczęła układać w myślach hymny pochwalne na cześć tego cudu przyrody, gdy Neve oznajmił:

– Dzisiaj w dolinie mamy uroczystość. Cykliczne wyścigi następców. Jesteś następcą Ariel Odgeon, więc możesz je obejrzeć, jeśli chcesz.

– Właściwie to miałam tylko...

– Przedostać się na drugą stronę doliny – wpadł jej w słowo. – Tak, wiem. Nie ma się do czego spieszyć, Amando. Cokolwiek chcesz zrobić, zdążysz. Wyścigi następców odbywają się raz na jakiś czas. Kiedy będą kolejne? Nikt tego nie wie. Nie znajdziesz drugiej takiej okazji, a warto – kusił, a ona z jakiegoś nieznanego sobie powodu coraz bardziej ulegała jego namowom. Czy to intensywnie zielone oczy stworzenia tak ją hipnotyzowały? A może ten rozmarzony głos? Cokolwiek to było, wystarczyło, by niczym posłuszne dziecko dała się poprowadzić – pląsając oczywiście – labiryntem alejek ku jakiejś polance.

Na miejscu zastali grupkę kilkudziesięciu najbardziej zdumiewających istot, jakie kiedykolwiek widziała. Wszystkie suknie wyszywane były koralikami, włosy do pasa ozdobione kwiatami i piórkami, bose stopy – tatuażami... Nie potrafiła oderwać oczu od tej kolorowej zbieraniny. Z opowiadań matki wiedziała, jak wyglądają Zielarze, jednak zastanowiło ją, że wszystkie dorosłe osobniki były płci żeńskiej, natomiast młodzież pokroju Neve'a stanowili jedynie chłopcy.

Zobaczyła, że z polanki prowadzi wyjątkowo szeroka aleja porośnięta gigantycznymi smoczymi różami. Była tak długa, że nie dawało się dojrzeć, gdzie się kończy, tylko w oddali coś błyszczało niczym lustro odbijające promienie słoneczne.

Zielarze w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Coś ustalali, nad czymś radzili, oczywiście w irytująco żółwim tempie. Towarzyszyło temu mnóstwo uśmiechów, rozmarzonych spojrzeń, rozkosznych westchnień. Amanda poczuła się wyobcowana, zupełnie jak na szalonej imprezie, na której wszyscy oprócz niej się znają i świetnie bawią. Co prawda od zapachów nieco kręciło jej się w głowie i co chwilę miała ochotę kichać, jednak do stanu kompletnego wyjałowienia umysłu, przed jakim ostrzegały ją matka i Eve, było jej bardzo, ale to bardzo daleko. Tymczasem od grupki Zielarzy odłączyła się jedna z kobiet i podeszła do nich.

– Bereniko, to Amanda Odgeon, następczyni Ariel Odgeon. Zmierza do wąwozu za kamieniołomami. Ma moją zgodę na przejście przez naszą dolinę i obejrzenie wyścigu – szepnął do niej Neve, wskazując dziewczynę.

Kobieta popatrzyła na nią, potem na niego, i skinęła głową. Teraz wcale nie była rozmarzona czy rozkojarzona, jedynie bardzo poważna.

– Już czas – powiedziała, a wtedy chłopak uklęknął przed nią i ucałował jej wytatuowaną stopę.

– Życz mi szczęścia i obym okazał się godnym następcą – odparł cicho, a potem podniósł się i nie patrząc na obie kobiety, dołączył do grupy młodzików stojących pośrodku polany. Amanda nic nie rozumiała. Kolejni chłopcy podchodzili do swych matek, klękali, całowali ich stopy, a potem wracali do pozostałych. Zerknęła na

matkę Neve'a. Ta wyczuła jej spojrzenie, lecz nie odrywając wzroku od młodych mężczyzn, powiedziała:

– Znałam twoją poprzedniczkę, Amando. Swego czasu omal nie została Zielarzem. Szkoda, że tak się nie stało. Nasze stado powiększyłoby się, wzmocniło swe umiejętności. To były dobre, beztroskie czasy. Ten wyścig następców... – westchnęła ze smutkiem. – Cóż, jest mocno przedwczesny. Wszyscy ucierpieliśmy w wojnie ludzi. Kilku z nas odeszło na dobre, bez następców.

Amanda czuła, że coś ściska ją za gardło. Wyrzuty sumienia czy po prostu żal? Tymczasem Berenika mówiła dalej:

– Ci tutaj mieli za mało czasu, zbyt mało wylinek. Nie zdążyli nabrać doświadczenia, poznać wszystkich sekretów doliny. Jednak my, imago, musimy ustąpić im miejsca, bo przez potyczki z armią waszej wiedźmy wyczerpały się nasze siły witalne. Czas użyźnić dolinę, zadbać o plantację...

Amanda rozejrzała się wokół zdumiona. Oto stała w roślinnym raju obok istoty twierdzącej, że to, co widzi, jest jedynie cieniem dawnej świetności! Lecz w tym momencie Berenika jakby się ocknęła. Na jej twarzy zagościł uśmiech, klasnęła w dłonie, a potem wzięła Amandę za rękę.

– Wybacz mi tę melancholię. Odejścia zawsze są takie smutne. Ale taki jest cykl życiowy. Ty jednak nie rozumiesz, o co tu chodzi, prawda? Spójrz na nich. – Wskazała gestem młodzieńców. – Za chwilę rozpocznie się najważniejsze wydarzenie w ich cyklu. Widzisz tę różę na końcu alei? – Pokazała to coś, co błyszczało niczym światło słoneczne odbite w lusterku. – Jedyna ametystowa, jaka się uchowała. To wyjątkowo delikatna

i wymagająca odmiana. Właśnie do niej muszą dotrzeć nasze larwy...

– Larwy?!

– Neve i pozostali, jak wy to mówicie, chłopcy.

– Aha – bąknęła Amanda, bo w życiu nie przyszłoby jej do głowy nazwać kogoś larwą. Jednak dla Zielarzy to wcale nie było obraźliwe, wręcz przeciwnie, jedynie informowało o fazie rozwoju osobnika w ich stadzie.

– Ci, którzy tam dotrą, będą mieli prawo wypić jej sok i dokończyć transformację. Nie przechodzimy fazy poczwarki, więc od razu staną się dorosłymi Zielarzami – objaśniała Berenika coraz bardziej skonsternowanej dziewczynie. – Przejmą opiekę nad plantacją. Ale zanim do tego dojdzie, muszą pokonać wiele przeszkód. Nie, nikt nie zginie – zapewniła. – Co najwyżej nie dotrze do celu i jeszcze nie przeobrazi się w imago, lecz byłby to wielki wstyd dla Zielarza, który jest jego poprzednikiem. Chodź, obejrzymy wszystko stamtąd. – Wskazała wierzchołek bardzo wysokiego drzewa i pociągnęła Amandę za sobą.

„Kurczę, czy oni potrafią przemieszczać się jedynie biegiem, w podskokach albo tańcząc? Nieźle jak na istoty chronicznie odurzone...".

Na miejscu okazało się, że pień drzewa, gruby, omszały i poskręcany, porośnięty jest dorodnymi hubami tworzącymi coś na kształt stopni.

„Schody? – Amanda odetchnęła z ulgą. – Jak to dobrze, że nie trzeba podejmować karkołomnej wspinaczki. Oby tylko ta fiesta nie trwała zbyt długo, bo wąwóz czeka".

Te rozmyślania znowu przerwała Berenika. Poklepała ją po ramieniu i ruchem głowy wskazała stopnie, którymi dziewczyna zaczęła się wspinać. Huby były szerokie, stabilne i wygodne, i nawet gałęzie drzewa przyszły dziewczynie z pomocą, tworząc poręcz, której mogła się przytrzymać. Wysoko w górze dostrzegła drewnianą platformę.

„O, dobrze, że jest taras widokowy – pomyślała. – A tak właściwie to co następcy mają zrobić? Na czym to ma poleg...” – I odwróciła się do Bereniki, lecz... nikogo za nią nie było. Poręcz z gałęzi też zniknęła, a imponujące stopnie z hub zaczęły się kurczyć pod jej nogami.

– Bereni...! – wrzasnęła jeszcze i poczuła, że ktoś łapie ją za kołnierz, a potem wciąga na podest. Z jękiem przetoczyła się na plecy i ujrzała Berenikę, która niczym koliber wisiała nad nią w powietrzu; tylko lekki wiaterek wskazywał na to, że używa do tego skrzydeł, gdyż poruszały się z taką prędkością, że nie było ich widać.

– Mówiłam, że nasze moce osłabły – sapnęła i zgrabnie wylądowała na drewnianej platformie. – Rośliny już nas tak nie słuchają. Ot, choćby te huby. Jeszcze niedawno nie ośmieliłyby się kurczyć wbrew moim rozkazom.

Dziewczyna patrzyła na nią przerażona, ale nie była w stanie stwierdzić, co bardziej ją wystraszyło: siła fizyczna, której nie spodziewałaby się po kimś tak subtelnym jak Berenika, czy władza, jaką Zielarze sprawowali nad roślinnością. Potem dostrzegła, że istota – wyraźnie zmęczona – składa i chowa swoje skrzydełka pod suknią.

„Zaraz, zaraz, czy to były SMOCZE skrzydła?!”.

Pytanie było czysto retoryczne, bo przecież doskonale widziała na nich zielonozłotą łuskę, wypisz wymaluj taką samą jak u Croya!

– Pytałaś o coś, Amando? – Berenika przysiadła koło niej na platformie. – Zanim cię chwyciłam, chciałaś coś powiedzieć.

– Zastanawiałam się, jak będzie wyglądał ten wyścig.

– To spójrz tam. – Smukły palec kobiety wystrzelił w stronę polanki.

Dziewczyna popatrzyła w tym kierunku. Grupka młodzieńców już przytupywała z niecierpliwością, raz po raz sprawdzając stan swych skrzydeł i spoglądając na jakiś wyjątkowo dorodny słonecznik. Wzdłuż całej alei widać było dorosłych Zielarzy, którzy niczym stado dziwacznych wron obsiedli wierzchołki najwyższych drzew; najmłodsze dzieciaki zajęły niższe gałęzie. Żywo o czymś rozprawiały, huśtając się przy tym energicznie. Całą dolinę opanowała przedziwna ekscytacja.

Dodatkowo każda roślinka, kwiatek, krzaczek, strumyki, a nawet owady – dosłownie wszystko – zaczęły wydawać jakieś pomruki, drżeć i wibrować. Wszechobecne brzęczenie narastało z każdą chwilą. Jeden z Zielarzy ruszył dostojnym krokiem w stronę słonecznika, pokłonił mu się, chyba coś szepnął i puknął palcem w jego ciemny środek, a wtedy tarcza słonecznika gwałtownie urosła, a płatki zaczęły opadać. Gwar natychmiast ucichł. Wszystkie oczy były skierowane na ten jeden kwiat.

„A żeby to gnomy…” – Amanda aż otworzyła usta ze zdumienia, bo płatki odrywały się i niczym wielkie żółte krople… spływały w dół! A tempo ich spadania było tak powolne, że niemal widziała, jak zmieniają swe kształty w locie. Wreszcie pierwsza kropla

uderzyła w ziemię, a ta zafalowała niczym woda i na jej powierzchni pojawiły się kręgi. Towarzyszyło temu głębokie i donośne „buuum!", zupełnie jakby niewidzialny muzyk zagrał na wielkim bębnie. Ale oto następny płatek już się odrywał. Amanda aż wstrzymała oddech, Zielarze zresztą też. Uspokoiły się nawet dzieciaki podskakujące do tej pory niczym małpki na gałęziach. Z każdym następnym spadającym płatkiem napięcie wśród Zielarzy rosło.

Wreszcie środek pozbawionego płatków kwiatu wybuchł na podobieństwo czarnego obłoku, a wtedy Neve błyskawicznie strzepnął jakiś paproch ze skrzydełka, wrzasnął dziko, zatarł ręce i energicznie odbił się stopami od ziemi. Reszta chłopaków ruszyła za nim. I tak frunąc, surfując w powietrzu na sporych rozmiarów liściach, ujeżdżając jakieś rośliny czy zwyczajnie biegnąc, dotarli do wlotu alei. Towarzyszyły im muzyka grana przez kilku Zielarzy na czymś, co przypominało szkockie dudy, i głośny doping zgromadzonych.

– Dajeeesz, Neve! – wydarła się nadspodziewanie przytomnie Berenika, czym tak potwornie wystraszyła Amandę, że ta omal nie spadła z platformy. Resztę Zielarzy też jakby coś opętało. Nagle z istot spokojnych, rozmarzonych i notorycznie odurzonych przemienili się w demony dopingu. Dziewczyna poczuła się jak obserwator wyścigów konnych połączonych z dzikim koncertem folkowym.

– Raaany – szepnęła. – Teraz przedawkowaliście grzybki?

Ale oto chłopcy pędzili już aleją. Pierwszego, który się na niej pojawił, natychmiast dopadły strumienie jakiejś cieczy wylewanej przez purpurowe dzbaneczniki o wielkich liściach w kształcie

flakonów. Błękitny dym unoszący się w powietrzu i skrzywiona twarz chłopca nie pozostawiały złudzeń, że oparzenia musiały być dotkliwe. Mimo to zacisnął usta i biegł dalej.

„Uparty ten mały" – pomyślała z uznaniem Amanda. Pozostali chłopcy już dawno zdążyli wyprzedzić nieszczęśnika, przeskakując nad korzeniami roślin, które znienacka atakowały ich spod ziemi, lub robiąc uniki przed kolcami, które na podobieństwo kul karabinowych wystrzeliwane były w ich stronę przez krzaki róż. Kolce dziurawiły ich skrzydła, rozcinały skórę, lecz oni zdawali się tego nie zauważać. Skupieni na celu, sprytnie umykali następnym pułapkom. A tych było sporo. Amanda aż złapała się za głowę, gdy zobaczyła, jak ostra krawędź jakiegoś liścia omal nie ucina skrzydeł jednemu z chłopców. Inny ledwie zdołał uchylić się przed zębiskami rośliny przypominającej monstrualną rosiczkę, po to, by za chwilę zostać skutecznie opleciony lianami.

Zanim następcy dotarli do połowy alei, kwalifikacje kilku brutalnie zweryfikowała przyroda. Pechowcom ruszyli na pomoc dorośli Zielarze, a to uwalniając ich z pajęczych sieci, a to wyciągając z ruchomych piasków czy podziemnego gniazda termitów. Wyścig trwał jednak dalej.

Teraz Amanda ujrzała kilka mocno przerośniętych kameleonów skradających się po pniach i gałęziach w stronę chłopców. Zielarze też je dostrzegli i ich wrzaski jeszcze się wzmogły. Jedynie młodzieńcy nie byli świadomi sytuacji, więc po chwili kilku z nich ociekało śluzem, który niczym klej pozlepiał im skrzydła i kończyny. Matka natura przytuliła ich i na posłaniu z liści potulnie oczekiwali na jaszczurki.

– Chryste! No chyba nie pozwolicie ich zeżreć?! – zdenerwowała się Amanda.

– Coo? – Berenika zerknęła na nią zdumiona. – Nie, no oczywiście, że nie! Spokojnie, zaraz opanujemy sytuację! – Machnęła ręką i jak gdyby nigdy nic, wróciła do dopingowania syna. Rzeczywiście, jak na zawołanie znowu pojawiło się kilku imago z workami zawieszonymi na długich kijach. Potrząsając nimi energicznie, zaczęli rozpylać wokół jakiś zielonkawy pyłek, a wtedy kameleony nadęły się i z dostojeństwem wycofały. Nie był to może błyskawiczny odwrót – do tego nie były zdolne – jednak chłopcy zostali uwolnieni, a to liczyło się najbardziej.

Tymczasem inni pędzili dalej. Amanda wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć następne etapy wyścigu. Zielarze też nie wytrzymali. Kilku z nich zerwało się i z dzikim wrzaskiem zaczęło krążyć wokół swoich drzew. Z jakiegoś powodu nie zbliżali się do linii alejki.

Kiedy grupka ocalałych młodzieńców niemal dotarła do końca alei, przy której rosła niezwykła róża, nagle zerwał się wiatr.

„Co u licha?".

I wtedy najbliższe róże połamały się, a ziemia zapadła! I znów imago ruszyli na pomoc jakiemuś przywalonemu pniem nieszczęśnikowi, a innego wyciągnęli spod sterty liści.

„Neve! Kurczę, gdzie jest Neve?!" – pomyślała Amanda, obgryzając paznokcie, bo teraz była już naprawdę spanikowana.

– Mówiłaś, że nikt nie zginie! – ryknęła do Bereniki.

– I tak będzie! – Berenika usiłowała przekrzyczeć pozostałych Zielarzy. Na ostatnim odcinku wyścigu emocje sięgnęły zenitu,

a Zielarze niemal ochrypli od wrzasków. Amanda jednak nadal nie dostrzegała Neve'a.

– Gdzie jesteś? No, gdzie się podziałeś, ty niemądry dzieciaku? – mruczała do siebie. Kilku chłopców właśnie wpadło na polankę, a Neve'a dalej nie było. Dziewczyna zacisnęła mokre ze zdenerwowania pięści. I wtedy jeden z ciężkich liści smoczej róży drgnął, a potem ukazała się ciemna czupryna. – Neve? – szepnęła dziewczyna z nadzieją. Rzeczywiście spod liścia wygramoliła się znajoma postać; łapiąc się ze zmęczenia za pierś, zaczęła biec w stronę róży, ciągnąc za sobą postrzępione końce skrzydełek. – Daaaajesz, Neve! – Teraz to Amanda wydarła się na całego, nie zwracając uwagi na zaskoczone miny Bereniki i reszty Zielarzy. Już po chwili obie wrzeszczały jak opętane, a potem rzuciły się sobie z radości w ramiona, gdy ujrzały, jak chłopak klęka przed różą i opiera czoło o ziemię.

Pergamin zgasł, a Ariel się ocknęła. Nie spała, a przecież miała wrażenie, jakby to był kolorowy sen. Bo z pewnością nie było to nic, co przypominałoby dotychczasowe wizje. Jeśli dobrze zrozumiała, miała do czynienia z czymś w rodzaju pamiętnika.

„Czy to o nim wspominała Cornelia? Nie, niemożliwe".

Tamten miał być notesem oprawnym w skórę, a nie podróżą w cudzą jaźń. Tu miała bardzo szczególny zapis obrazów i odczuć, wspomnień i myśli Pierwszego Naczelnego uwiecznionych

w zwoju. Ten zadziwiający pamiętnik nie powiedział jej jednak wszystkiego, nie znalazła w nim bowiem żadnych relacji z młodości Xaviere'a. I poza problemami z Orianą nic przykrego. Zupełnie jakby właściciel podświadomie się ich wyparł. Stąd wszelkie wspomnienia o ucieczce, przedzieraniu się przez góry i wąwóz były rozmyte.

– To typowe dla ludzi, którzy przeżyli wielką traumę, ale co ty przeszedłeś, Xaviere? – szepnęła. – Ten pamiętnik to jedna wielka ściema, to propaganda sukcesu. Zupełnie jakbyś sam siebie chciał przekonać, że twoje życie było wspaniałe i szczęśliwe. No i wydawało mi się, że będzie dłuższy... Żadnych wspomnień z dzieciństwa ani tych tuż przed śmiercią. Ciekawe.

Znów rozejrzała się wokół. Pozwoliła błądzić myślom, a palce bezwiednie dotknęły jednego z luster. Usłyszała głęboki metaliczny dźwięk i zwierciadło zaczęło się szybciej obracać. Ariel odniosła wrażenie, że dotyczy to również pozostałych zwierciadeł, a potem także kwiatów i kryształów. Wkrótce cała komnata wypełniła się śpiewem setek zwierciadeł, a zapach kwiatów niemal ją odurzył.

– Dobrze się bawisz, Xaviere? – mruknęła. – Bo mnie to zaczyna nudzić... – Przerwała, widząc, że z luster zaczynają wyrastać, a może wyłazić, jakieś przedziwne metaliczne włókna, a pąki kwiatów się otwierają. Dym, jaki z siebie wyrzuciły, zaatakował nozdrza i usta Ariel; zaczęła się krztusić. A wtedy metaliczne nici wystrzeliły w jej stronę i błyskawicznie ją skrępowały.

– A teraz to! – Zgrzytnęła ze złości zębami, uwięziona w tych cudacznych więzach niczym mucha w pajęczynie. Mimo dymu

widziała kolejne włókna szybujące w jej stronę.

„No, można nie mieć instynktu rodzicielskiego, ale żeby aż tak nienawidzić własnego dziecka?" – pomyślała.

– Xaviere, bydlaku, niech no znajdę ten cholerny grobowiec! – sapnęła. Dłuższą chwilę miotała się w tych czarodziejskich wnykach, w końcu jednak emocje zażądały uwolnienia i już zupełnie nie kontrolując gniewu, wrzasnęła: – A żeby cię szlag trafił, Xaviere!

– Nie tak szybko, moja droga – dobiegł ją cichy głos. Poderwała głowę. To było niczym surrealistyczny sen. Usłyszała dudniący odgłos kroków na kamiennych płytach i nagle zza któregoś z luster i obłoków dymu wyłonił się mężczyzna odziany w świetnie skrojony ciemny garnitur i taki sam golf. Sprawiał wrażenie ascetycznego wszechmędrca. Krótko przystrzyżone, przyprószone srebrem włosy i broda okalały jego twarz, lecz Ariel nigdy nie powiedziałaby, że to staruszek. Pewnie dlatego, że poruszał się z kocią gracją i od tych ruchów nie sposób było oczu oderwać. Kobieta przyjrzała mu się uważnie, próbując ocenić: wróg, przyjaciel czy po prostu niezły hologram? Jeszcze nie miała pewności, zwłaszcza że nie potrafiła odczytać myśli mężczyzny.

– Czy jesteś w stanie mnie uwolnić? – zapytała ostrożnie.

Przyjrzał się jej uważnie, wyciągnął dłoń i szepnął:

– *Vincero.*

Metaliczne nici rozpłynęły się i Ariel delikatnie opadła na posadzkę naprzeciw mężczyzny.

„No jasne! *Vincero*, zaklęcie pokonujące przeszkody i inne magiczne formułki. Czemu sama na to nie wpadłam?" – pomyślała pod osłoną adger. Chwilę patrzyli na siebie

w milczeniu, starając się prześwietlić umysł przeciwnika. Stada luster i kwiatów krążyły dookoła nich, a oni tkwili w oku tego zawodzącego cyklonu, tocząc mentalny pojedynek. Nagle mężczyzna wykonał ruch ręką i wszystko wokół zamarło. Niespiesznie podszedł do Ariel, okrążył ją i stanął tuż przed nią.

– Więc? Czemu zawdzięczam wizytę w komnacie przemyśleń i te cudowne życzenia?

– Xaviere? – upewniła się. – D'Orion?

– Byłoby miło, gdybyś dodała: Naczelny Czarnoksiężnik. – Chyba nie był przyzwyczajony do tak obcesowego traktowania, bo kącik ust uniósł mu się z dezaprobatą. – Zaglądanie do cudzych pamiętników to paskudna cecha, podobnie jak włamywanie się do zakazanych pomieszczeń, choć muszę przyznać, że z dużym zainteresowaniem obserwowałem, jak pokonujesz kolejne przeszkody. Masz spore umiejętności czarnoksięskie, nie przeczę, jednak jesteś tu, bo życzysz mi śmierci. Dlaczego?

Popatrzyła na niego jak na pomyleńca, a potem żal niczym wezbrana rzeka przerwał wszelkie tamy. Taki nagły wybuch zaskoczył nawet ją samą. Łzy – cholera, ona płacze?! – nie pozwalały jej dobrze przyjrzeć się znienawidzonej postaci, lecz bynajmniej nie przeszkadzały jej wykrzyczeć mu w twarz całej swojej nienawiści.

– Dlaczego? DLACZEGO?! Za całokształt twojej uroczej, pieprzonej działalności, ty nieczuły, zakompleksiony skurwysynu! Chciałam napluć na twój sarkofag, ale jak widać, nie muszę go szukać, skoro stoisz przede mną jak żywy! – darła się teraz jak opętana. – Tak bardzo cię bolało, że Ariane okazała się zdolniejszym czarnoksiężnikiem niż ty?! Że byłaby też dużo

lepszym Naczelnym?! Że kochała innego mężczyznę?! Nie mogłeś tego znieść?! Przez nią i dla niej uknułeś to wszystko, skrzywdziłeś tylu ludzi?! POWIEDZ – zażądała – że to nieprawda! Że nie ty wymyśliłeś społeczeństwo bez rodzin i cały ten cholerny system Losowań. Że nie ty kazałeś odbierać matkom dzieci i przekazywać je do Oaz Piastunów, a kobietom losować partnerów do płodzenia potomstwa. Ty chory świrze! – wrzeszczała, nie dopuszczając go do głosu; cała się trzęsła, a słowa wylatywały z jej ust jak serie pocisków z karabinu. – Chciałeś ukarać Ariane, ale ona była ponad te twoje knowania, więc pomyślałeś, że jeśli wzbudzisz w niej zazdrość, to do ciebie wróci? Dlatego wymyśliłeś swoją rzekomo wielką miłość do Claire. Cornelia i Claire. Dwie miłe bliźniaczki. Pamiętasz je? – Nic nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią ponuro. – Musisz pamiętać. Ofiar gwałtu raczej się nie zapomina. Zwłaszcza gdy jednej z nich odbiera się wyjątkowo uzdolnionych synów. Co za człowiek tak postępuje? – spytała nieco spokojniej. – Jak mogłeś to zrobić Claire? Przenieść ją w daleką przyszłość, a potem tak ufną w twoje intencje brutalnie zgwałcić i odebrać jej Severiana i Darrena. Wierzyła ci, ale ty pomyślałeś, że skoro jej synowie nadają się na Naczelnych, to twoje dziecko też takie będzie, prawda? Że pozbawi Ariane władzy i obroni miasta, że stanie się marionetką, a ty będziesz pociągał za sznurki – zakończyła swój wybuch z goryczą. – Spójrz na mnie. Oto jestem... Zawiedziony?

– Ty?

– Chryste, nawet nie pamiętasz mojego imienia! Ariel! Dałeś mi na imię Ariel, do cholery! Aha, i dzięki za to, że oddałeś mnie do sierocińca, OJCZULKU. – Spojrzała na niego z pogardą, a potem,

jak na zwolnionym filmie, zobaczyła własną pięść szybującą w powietrzu w stronę nosa mężczyzny i usłyszała chrzęst łamanych kości. Umysł zarejestrował jeszcze zszokowany wzrok mężczyzny próbującego się podnieść z podłogi. – Auć! Jednak nie jesteś hologramem – stwierdziła, masując obolałą rękę. – Czy Sean Connery wie, że się na niego stylizujesz? – palnęła, nim ugryzła się w język. Faktycznie, ten starszy pan w zakrwawionym garniturze mógłby brać udział w konkursie na najlepszego sobowtóra sławnego aktora.

„Ciekawe, że zawsze takie idiotyczne spostrzeżenia pojawiają się w momentach, gdy jest najmniej do śmiechu".

Więcej przemyśleń jednak nie było, bo mężczyzna skrzywił się, wyciągnął w jej stronę rękę i... nic się nie stało. Spróbował kolejny raz – i znowu nic. Zerkał to na nią, to na swoją dłoń, a Ariel w tym momencie zrozumiała.

– Tak przy okazji: mam twój morganit, zapomniałeś? – Dotknęła miejsca za uchem. – Trzeba było mi go nie dawać w dzieciństwie. Fizycznie możesz mnie dosięgnąć, ale czarami nie bardzo, co? Morganit, jak widać, nie działa przeciwko sobie. – Zaśmiała się ze złośliwą satysfakcją.

– Zawsze tyle gadasz? – zapytał cicho, a jej zrobiło się głupio. Spojrzał na nią uważnie, przesunął dłoń nad oszpeconym nosem i natychmiast go wyleczył.

Ariel stała naprzeciw niego z zaciśniętymi pięściami i zębami – i czekała. Ale właściwie na co? Że Xaviere się ukorzy? Będzie błagał o wybaczenie? Coś wytłumaczy?

Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, jedynie patrzył na nią badawczo i długo nad czymś myślał. W końcu uśmiechnął się

nieznacznie, podszedł bliżej, niemal pieszczotliwie opuszkami palców pogładził jej ramię i szepnął wprost do ucha:

– Dałem ci na imię Ariel? – Spojrzał w jej oczy, tak uderzająco podobne do jego własnych. – Beznadziejne niczym nazwa tandetnej damskiej bielizny, ale niech będzie.

– Xaviere!

Poklepał ją po ramieniu.

– Dzięki za wszystkie informacje. Sam nie wymyśliłbym tego lepiej, no ale skoro zadziałało... – Zerknął na nią figlarnie, puścił oko i... zniknął.

Długo, BARDZO długo stała, nie mogąc wykrztusić słowa ani wykonać żadnego ruchu. Próbowała wmówić sobie, że wcale nie powiedział tego, co właśnie usłyszała, lecz jej drugie ja drwiło: „To było genialne! Jesteś z siebie dumna?".

Dłonią zakryła usta i wpatrzyła się nieruchomo w przestrzeń. Grunt odpłynął jej spod nóg, jakby komnata nagle ruszyła do przodu. Nie mogła złapać tchu. Serce się zmroziło, a za nim lód skuł wszystkie arterie. Po chwili Ariel przegrała walkę o utrzymanie pionowej pozycji i z impetem opadła na kolana.

„Ca ja zrobiłam?!" – zdążyła jeszcze pomyśleć i jej żołądek zwariował. Jak oszalałe zwierzę chciał wyrwać się z jej ciała, a gdy mu się to nie udało, bolesnym skurczem uwolnił całą swą zawartość.

Klęczała naprzeciw któregoś z luster, kompletnie ignorując tę rozhisteryzowaną istotę w odbiciu, która rozpaczliwie starała się nabrać powietrza. Na okrągło przetwarzała jedno zdanie: „Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?!". Zwierciadła, kwiaty i kryształy na

nowo zaczęły krążyć dookoła niej na podobieństwo surowych sędziów, nucąc teraz żałobne symfonie.

Po jakimś czasie z trudem podniosła się z kolan i usiadła na marmurowym bloku. Długo jeszcze płakała nad własną głupotą i jak nigdy dotąd tęskniła za uśmiechem Amandy i bezpiecznymi ramionami Marcusa. Za ich wsparciem, pocieszeniem, zwykłą obecnością. W końcu łzy obeschły, a ona niewidzącym wzrokiem zaczęła błądzić po komnacie. Wtem coś jej kazało ponownie zerknąć na pergamin zmieniony w ekran. Nadal wisiał w powietrzu nad marmurowym kufrem i pulsował jakimś dziwnym, srebrzystym światłem. Z trudem brnęła do pamiętnika, jakby jej nogi obciążono niewidzialnymi głazami.

„Półsny, półsłowa..." – ponownie odczytała wierszyk i dotknęła krawędzi pergaminu. Pojawiły się kolejne wspomnienia. Tym razem nie kończyły się na podejrzeniach o zdradę. Sięgały sporo, sporo dalej, ukazując wszelkie potworności, za które odpowiadała.

Twoje wskazówki, choć nieprecyzyjne, okazały się bardzo użyteczne.

Dużo starszy i wyraźnie schorowany Xaviere wychylił się ku niej z ram pergaminowego ekranu.

Spełniłem je zgodnie z planem i dodałem kilka własnych „akcentów", żeby było ciekawiej i jako asekurację, na wypadek gdybyś zawiodła.

Na przykład sfałszowaną kopię tego pamiętnika, na którą Ariane z pewnością się natknie, a ponieważ nie jest głupia, nie mam wątpliwości, że cię odnajdzie, ale dopiero gdy będziesz gotowa. Przeznaczenie jest rzeczą nieuchronną. Miałaś rację, to moja toksyczna miłość do niej stworzyła ten świat, lecz teraz, kiedy

wiem, co kierowało Ariane, nie dopuszczę, by przejęła władzę. Nigdy! Sama wykreowałaś siebie na obrończynię miast, więc słuchaj uważnie: gdy Ariane umrze, wąwóz za Kamieniołomami Demonów zacznie się otwierać. MUSISZ GO ZAMKNĄĆ!

Trójwymiarowy palec wystrzelił w jej stronę i niemal dźgnął ją w pierś.

To bardzo ważne! Nie pytaj dlaczego, po prostu to zrób! Niezależnie od tego, jak bardzo mnie nienawidzisz, zablokuj ponownie przejście. W przeciwnym razie miasta zostaną zniszczone. Zło, które przyjdzie, zniweczy wszystko, co zbudowałem i co ty także kochasz. Nie dopuść do tego! I za żadną cenę nie wchodź do wąwozu! Za nim kryją się moje dzieciństwo i młodość, mrok, którego nie chcesz poznać. Pamiętaj, zablokuj wąwóz...!

Ogromny ekran ponownie zamienił się w płachtę papieru.

– Nie masz racji, Xaviere. Teraz bardziej nienawidzę siebie, choć ty miałeś wybór, a ja nie – szepnęła i zdruzgotana ukryła twarz w dłoniach.

„Dosyć! Koniec z panem D'Orionem, światem dziewięciu miast, intrygami, kłamstwami, zbrodnią, całym tym czarodziejskim bagnem! Jestem już tym zmęczona. Czas odzyskać normalne życie. Odnaleźć Amandę, wrócić do Marcusa i zapomnieć. Nieważne, kto i jak zaczął tę historię. Nie ma znaczenia, czyja to wina. To i tak już nic nie zmieni – pomyślała. – Oriany i Darrena nie ma. Miasta istnieją i funkcjonują. Jeśli zacznę dociekać, co tym razem Xaviere miał na myśli, czuję, że znowu coś się wydarzy, że to się nigdy nie skończy. Amanda zasługuje na lepszych rodziców, niż ja miałam".

Gniew zapłonął na nowo.

– Niech pana piekło pochłonie, panie Xaviere D'Orion!

Splunęła z pogardą, potem wyrzuciła ręce na boki, zamknęła oczy i z niekłamaną satysfakcją wycedziła:

– *Vincero!*

A wtedy zawieszone w powietrzu zwierciadła zaczęły opadać. Tam, gdzie upadły, tworzyło się jeziorko. W krótkim czasie cała posadzka usiana była różnej wielkości oczkami wodnymi, a z każdą chwilą pojawiało się ich coraz więcej. Zaczęły się zlewać, aż cała podłoga znalazła się pod wodą. Naprzeciw pyska kamiennego smoka ukazał się tak długo poszukiwany sarkofag z różowego marmuru, z czarnymi fantazyjnymi inicjałami X.D. na wieku. Ariel zignorowała go kompletnie, choć litery zdawały się z niej szydzić.

Stojąc po kostki w magicznym lustrzanym jeziorku, nadal z zamkniętymi oczami wyszeptała zaklęcie budujące: „*Creatio*". Woda wypiętrzyła się i zaczęła tworzyć dookoła niej rodzaj tunelu. Dłonie kobiety pełnymi gracji ruchami przywołały kryształy i kwiaty, a te posłusznie poczęły krążyć wokół. Jeden z pąków wylądował pod stopami Ariel. Nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem, lecz stopą przydepnęła końce płatków. Tymczasem wodny tunel rósł, podobnie jak kwiat. Stanęła na nim, a wtedy zaczął powoli wirować, jednocześnie unosząc się na wodzie ku górze. W taki oto sposób, niczym w przedziwnej windzie, Ariel dotarła pod samo sklepienie, gdzie kryształy zaczęły już wycinać otwór, a kwiaty płatkami ochraniać ją przed spadającymi odpryskami kamieni. Wkrótce idealnie pasujący do rozmiarów tunelu otwór w sklepieniu był gotów i pojawiło się światło, a wtedy kwiat wyniósł Ariel na zewnątrz.

„Nie będę tęsknić za tym miejscem – pomyślała, stojąc na placu przed ratuszem. – Teraz czas odwiedzić wyspę. Ależ mam dzisiaj wspaniały dzień. Atrakcja za atrakcją” – zakpiła, choć rozpacz ściskała jej gardło, i już nie bacząc na ryzyko zdemaskowania, niewidzialna wzbiła się w powietrze.

– Udało się! Słyszysz, Berenika?! Udało mu się! Neve był niesamowity. Widziałaś, jak umknął kameleonom? A jak frunął między pajęczynami i potem ujeździł tamto wielkie zielone paskudztwo? – Amanda wskazała jakąś nieznaną jej roślinę. – To było genialne! W życiu tak dobrze się nie bawiłam! Często robicie takie zawody?

Oczy dziewczyny błyszczały, ale Berenika tylko uśmiechnęła się smutno, poklepała ją po ramieniu i zaczęła schodzić z drzewa po stopniach z hub.

Dziewczyna w podskokach ruszyła za nią. Tym razem, o dziwo, Zielarz nie tańczył. Raczej sunął po trawie, a może to trawa niczym zielony ruchomy dywan sama go niosła? Zachowywał się szalenie dostojnie, a jednocześnie był jakby wyciszony i bardzo na czymś skupiony.

Amanda zdawała się tego wszystkiego nie zauważać. Niczym rozbrykane dziecko, nucąc i podrygując, podążała za Bereniką tą samą aleją, która parę minut wcześniej była świadkiem triumfu Neve’a. Z ogromną radością pomogła Zielarzom uporządkować

teren, zapewniając przy tym, że zawsze w takich sytuacjach mogą na nią liczyć. Paplała jak najęta, podczas gdy oni tylko patrzyli na nią przenikliwie, lecz nic nie mówili.

Wspólnie dotarli do polanki z ametystową różą, gdzie zgodnie odpoczywali i zwycięzcy, i pokonani. Dziewczyna pomachała do nich. Nie odpowiedzieli. W ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Siedzieli spoceni, zdyszani i dziwnie poważni, jakby na coś czekali.

– Hej, Neve! – zawołała Amanda i ruszyła w jego stronę, ale zdecydowane szarpnięcie za rękaw osadziło ją w miejscu. Jakiś Zielarz popatrzył na nią srogo. Jego lodowate spojrzenie sprawiło, że w jednej chwili poczuła się tak, jakby ktoś teleportował ją z tego tropikalnego raju wprost za koło podbiegunowe, na dodatek bez ubrania. Ruchem głowy istota odesłała ją na bok, pod palmę, i dała do zrozumienia, że ma tam czekać. Potulnie wypełniła rozkaz. Zastanawiając się, ile razy jeszcze Zielarze ją zaskoczą, wyglądała zza liścia palmy i nieco zaniepokojona obserwowała stado.

W końcu na polance znaleźli się wszyscy imago i wszystkie, nawet najmniejsze, larwy. Dzieciaki przycupnęły gdzieś z boku, nagle skupione, poważne i nad wiek dojrzałe. Gdyby chwilę wcześniej Amanda nie widziała, jak dokazują, pomyślałaby, że ma przed oczami grupkę małych staruszków. Neve i reszta chłopaków podnieśli się z ziemi, gdy Berenika i pozostałe imago podeszły do nich, a potem chłopcy złożyli głęboki pokłon. Zielarze odpowiedzieli im nieznacznym skinieniem. Każdy wręczył coś swemu następcy, lecz Amanda nie zauważyła, co to takiego było.

„Dzwony tutaj?”. Rozejrzała się, bo rzeczywiście przez moment miała wrażenie, że słyszy ich dźwięk.

Młodzieńcy rozbiegli się po okolicy. Imago tymczasem utworzyli krąg, stając plecami do siebie. Zamknęli oczy. Było już późne popołudnie, na dodatek zaczął padać deszcz. Natura jakby specjalnie na tę okazję stworzyła idealną kompozycję z kropli deszczu i promieni słońca. Zielarze stali i rozkoszowali się igrającymi w ich włosach promykami, za nic mając strugi wody, Amanda zaś trzęsła się z zimna.

„Zimny deszcz w tropikalnej dolinie? Ten świat jest kompletnie nieprzewidywalny...”.

Miała wrażenie, że woda i chłód przenikają ją aż do kości. Raz po raz odchylała liść palmy i zerkała, co będzie dalej, lecz coraz bardziej miała tego wszystkiego dość. Stanie w strugach deszczu było ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła, jednak z szacunku dla Zielarzy nie użyła żadnych zaklęć, a jedynie poszukała schronienia pod nieco większym liściem. Tymczasem imago, z minami koneserów degustujących wyśmienite wino, upajali się deszczem i czekali.

„Jak długo można się ekscytować zimnym prysznicem?! Chyba nigdy ich nie zrozumiem. To jednak nie był dobry pomysł, żeby tu przychodzić”. Dziewczyna zaczęła już szczękać zębami, ale w tym momencie ulewa równie nagle się skończyła. Amanda wyjrzała spod liścia.

„No tak, płanetnicy. Można się było spodziewać, że to ich sprawka” – pomyślała, widząc jakąś chłopięcą postać. Parujące ciuchy, włosy wyglądające niczym najprawdziwsze bicze wodne, srebrny hak, lina i te niesamowite oczy. Nie miała żadnych

wątpliwości, kim jest ta istota. Przestała jednak obserwować płanetnika, bo chłopcy właśnie wrócili na polankę.

Każdy stanął przed swym poprzednikiem, dzierżąc w smukłych dłoniach rdzawy liść dzbanecznika w kształcie małego kubka. Amanda wytężyła wzrok. Zaczynało zmierzchać. Zielarze objęli swych następców i poprowadzili w kierunku róży. Dopiero teraz dziewczyna zwróciła na nią uwagę, być może dlatego, że na tle tak wielu dorodnych roślin ta jedna zdawała się bardzo niepozorna. Ani wielka, ani spektakularnie piękna, przy innych sprawiała raczej wrażenie ubogiego krewnego. Ale to właśnie do niej skierowali się teraz niemal wszyscy zgromadzeni.

W ostatnich promieniach słonecznych płatki róży błysnęły odcieniami purpury i fioletu, a jednocześnie stały się zupełnie przezroczyste. Amanda przyjrzała jej się uważnie. Dziwny był ten kwiat, ale czy w tej dolinie widziała jakieś pospolite rośliny? Jego płatki wyglądały niczym wykonane z delikatnych kryształowych odprysków, a barwą przypominały tafle lodowe, w które ktoś dla zabawy wpuścił trochę fioletowego atramentu. Podobnie listki i łodyga przywodziły na myśl kryształową rzeźbę, tyle że zieloną.

„Ale czy w jakimś krysztale tak dokładnie byłoby widać wszystkie żyłki i krążące soki?”.

Dzieciaki zaintonowały smutną pieśń. I wtedy wszelka roślinność niemal z jękiem ugięła się pod naporem wiatru, jaki nagle się zerwał, bo oto w promieniach zachodzącego słońca pośrodku polany wylądował... smok?!

„Robi się coraz ciekawiej...” – pomyślała Amanda, nie mogąc powstrzymać okrzyku zachwytu na widok jego brązowo-czarnego cielska, potężnych skrzydeł zakończonych kolcami i masywnego

łba. Nie przypominała sobie tego konkretnego smoka, ale przecież przy każdym mieście było wiele zagród pełnych tych istot. Coś jej mówiło, że lepiej się nie ujawniać. Smok tymczasem rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy wszyscy zainteresowani przybyli, a potem uniósł łeb, zaryczał ogłuszająco i plunął ogniem w stronę róży. Jęzory płomieni zawirowały dookoła łodygi i płatków, tworząc przez moment melanż ognia i lodu. Kryształowy kwiat przybrał płynną formę, ale nie wyparował. Nadal miał kontury rośliny, lecz jego kształty się zmieniały. Falował niczym rozkołysana woda w zbyt dużej, szklanej formie. Teraz cały pąk przybierał postać ogromnego kryształowego kielicha połyskującego liliowozłoto.

„Boskie!”.

Zielarze stali opodal, jakby żar płomieni nie robił na nich wrażenia. Smok rozłożył skrzydła i pochylił się nad różą. Amandzie się zdawało, że gad sprawdza zawartość kielicha. Nagle potrząsnął łbem i jego rozwidlony jęzor wystrzelił w kierunku własnego skrzydła. Z nabożnym skupieniem dziewczyna obserwowała, jak smok nacina jego końcówkę. Zielone krople spłynęły wprost do wnętrza kielicha i zawirowały niczym miniaturowe tornado, a wtedy Neve i pozostali chłopcy zaczęli podfruwać do rośliny i wlewać do środka zawartość swoich kubków. Amanda podejrzewała, że musi to być woda ze świętego źródła, bo w kontakcie ze smoczą krwią gwałtownie bulgotała i się pieniła. Kiedy ostatni z młodzieńców opróżnił swój flakon, smok jeszcze raz pochylił się nad kielichem. Pazurem jednej łapy wyciął kawałek skóry wraz z łuskami z drugiej łapy, zupełnie nie okazując przy tym bólu.

„Ohyda!”. Amanda odruchowo przełknęła ślinę, tymczasem smok jak gdyby nigdy nic wrzucił wycięty kawałek ciała do naczynia. Gama kolorów w jego wnętrzu powiększyła się o czerń, brąz i rubin, po czym ponownie zawirowała. Wtedy bestia odsunęła się od kwiatu, złożyła pokłon Zielarzom i zastygła opodal w oczekiwaniu.

Między jednym a drugim odgłosem dzwonu imago podprowadzali swoje larwy do rośliny. Ostrymi pazurami nacinali łodygę, a wtedy każdy z chłopców podstawiał kubek. Dziewczynie wydawało się, że trwa to całą wieczność, bo czas płynął równie wolno jak soki róży do flakonów młodzieńców. Kiedy wreszcie ostatnie naczynie zostało napełnione, Zielarze znów objęli swych następców i podprowadzili ku najbliższym roślinom. Słońce już niemal zaszło, gdy imago zaczęli wrzucać do kubków kosmyki swoich włosów, a potem... kawałki skóry pokrytej tatuażem i po małym płatku jakiegoś kwiatu. Zawartość naczyń przybrała teraz barwę połyskliwej czerni. Dzieciaki przestały śpiewać.

Amanda poczuła płynące po policzkach łzy wzruszenia, smutku i żalu, gdy ujrzała, jak Zielarze z czułością całują swych następców w usta, a ci z kolei składają pocałunek na ich dłoniach. Potem młodzieńcy podnosili kubki do warg i jednym łykiem wypijali ich zawartość. Pomału zaczynało docierać do Amandy, w czym uczestniczy.

„Chryste! Nie zdążyłam się pożegnać z Bereniką!” – pomyślała, patrząc na Neve’a i jego Zielarza. Jednak oni zupełnie nie zdawali sobie sprawy z jej obecności. Oparci o pień drzewa trwali przytuleni w oczekiwaniu... No właśnie, na co? Ciszę przerywaną graniem pasikoników rozdarł krzyk pawia. Dziewczyna podniosła

głowę, ale nie dostrzegła ptaka w koronach drzew. Gdy na powrót spojrzała na polanę, Zielarze zamykali oczy, a ich ciała... zaczynały zapadać się w głąb pni drzew i otaczającej gleby!

Po chwili pod drzewami pozostali już jedynie chłopcy. Ci wstali, głęboko westchnęli, potrząsnęli głowami i... zaczęli się przeistaczać. Ich chłopięce czupryny zmieniły się w długie do pasa włosy. Zamiast motylich skrzydeł pojawiły się inne, pokryte brązowo-czarną łuską, które szybko ukryli pod zdobionymi koralikami sukniami. W wirującym powietrzu nadpłynęły kwiaty i zaczęły zaplatać się w wianki, by spocząć na skroniach młodzieńców. Tylko czy to nadal byli chłopcy? Nawet ich twarze się zmieniły; nie sposób byłoby dopatrzyć się w ich ślicznych obliczach pozostałości cech gadów.

„Neve miał rację. To najbardziej zdumiewające wydarzenie, w jakim miałam okazję uczestniczyć" – pomyślała Amanda. Kiedy młodzieniec podszedł do niej, zobaczyła, że intensywna zieleń jego oczu ustąpiła miejsca odcieniom ametystu, a źrenice stały się pionowe.

– Czas na ucztę, Amando – szepnął, a może szepnęła? – Jak pewnie się domyślasz, liczba imago Zielarzy jest zawsze taka sama. Dorosły Zielarz składa tylko jedno jajo – swoją wierną kopię – i opiekuje się larwą przez wszystkie jej wylinki, aż do wyścigu następców. Gdy larwa pomyślnie dotrze do róży, Zielarz użyźnia swym ciałem dolinę. Ten cykl powtarza się od wieków, odkąd stworzył nas pierwszy czarodziej, jaki pojawił się na tych terenach.

– Xaviere...

– Tak, tak się nazywał. Dał nam życie i doliny. Wy, istoty z miast, nie zrozumielibyście tego, stąd w waszej obecności nazywamy się matką i synem, choć jesteśmy jednością. Już niedługo ja złożę jajo, a potem wychowam następcę – szepnęła młoda kobieta, która wciąż jeszcze wyglądała jak Neve, ale z każdą chwilą coraz bardziej przypominała Berenikę. – Cykl musi pozostać niezakłócony.

Zielarze ucztowali do późnej nocy. Amanda towarzyszyła im, choć myślami była z Bereniką i resztą tych imago, którzy ustąpili miejsca nowemu pokoleniu. Zamyślona i zapatrzona w gwiazdy nawet nie zauważyła, kiedy trawa uformowała dla niej wygodne posłanie, a liście otuliły ją niczym kołdrą. We śnie to ona była następcą Bereniki, która ze smutkiem wskazywała jej góry i wąwóz...

„Wolałabym ponownie spotkać się z nyrionami, niż być tutaj” – westchnęła Ariel, kiedy wylądowała na dziedzińcu opodal studni z gargulcami. Lecąc na wyspę, nie natknęła się na żadne patrole, co akurat nie było specjalnie zastanawiające, skoro nie odnotowywano niemal żadnych ataków na miasta. Na wszelki wypadek pozostała jednak niewidzialna.

„Taak, gdybym spotkała Crilla lub Ester... Dobrze, że mało kto oprócz nich widzi w podczerwieni. Jednak ten lot to było głupie

ryzykowanie zdemaskowania. Ech, muszę działać mniej emocjonalnie”.

Przemierzyła szybko dziedziniec, chcąc skrócić pobyt tutaj do niezbędnego minimum. Wypielęgnowane niegdyś ogrody brutalnie zagarnęła natura, pozwalając roślinności rozpanoszyć się, lecz sam pałac wyglądał jak tamtego dnia. Zrujnowany i cichy wciąż był piękny. I tak jak wtedy zaczął padać deszcz... Ariel przełknęła ślinę. Gdyby była w stanie, ostrzem noża wycięłaby z siebie te koszmarne wspomnienia jak złośliwy nowotwór. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Odruchowo pomacała bliznę na szyi i szybko omiotła spojrzeniem zabudowania, jakby chcąc się upewnić, że Oriany tu nie ma.

„To szaleństwo! Ona nie żyje!” – przekonywała samą siebie, lecz ręce trzęsły się coraz bardziej.

Wymyślając sobie od histeryczek, wspięła się po stopniach przedsionka i stanęła w ogromnym holu zasłanym kawałkami obrazów. Wszystkie szczątki sprzętów nadal leżały tam, gdzie rzuciły je zaklęcia dwóch walczących czarownic. Spojrzała na belkę pod sufitem. Wyobraźnia podsunęła jej obraz lamparta machającego leniwie ogonem. Kilka razy musiała powtórzyć, że i jego tu nie ma, podobnie jak spopielonych magicznym ogniem zasłon w ogromnych oknach. Idąc przez hol, słyszała pod nogami chrzęst fragmentów drogocennych amfor. Zrujnowany mozaikowy parkiet skrzypiał, choć starała się stąpać ostrożnie. Bała się, że echo jej kroków może tu ściągnąć jakiegoś sługusa Oriany.

Niedaleko w kącie, przy szczątkach portalu, „zobaczyła” w umyśle zdenerwowanego Marcusa, trzymającego przerażonego Krespiana.

„Was też tu nie ma! To wyobraźnia. I cholerne wspomnienia!”.

Chciała zawołać Amandę, lecz głos uwiązł w gardle. Łapiąc spazmatycznie oddech, podeszła do lustra, tego samego, przed którym wtedy skonała, i na powrót stała się widzialna.

„Tylko tak przezwyciężę strach”.

Zaciskając szczęki, zerknęła w zwierciadło, niemal pewna, że za plecami ujrzy prześliczną blondynkę o dłoniach zakończonych magicznymi pazurami. Westchnęła z nieskrywaną ulgą, gdy tak się nie stało. Kilka długich chwil patrzyła w lustro. Zaśmiała się nerwowo.

– Histeryzuję jak polityk po przegranych wyborach – mruknęła zadowolona, że nikt nie usłyszał jej beznadziejnego żartu. Nagle coś za jej plecami się poruszyło! Chwilę patrzyła w lustro, w końcu zerknęła przez ramię i powoli, bardzo powoli się odwróciła. Obraz. Jeden z wielu w kolekcji Oriany, ale też jeden z nielicznych, które ocalały, zaczął opowiadać pewną historię. JEJ historię! To, czego tak bardzo chciała uniknąć, stanęło jej teraz przed oczami. Niczym na trójwymiarowym filmie ujrzała, jak wiedźma podcina jej gardło, rubin krwi plamiący górę munduru, własne ciało bezwładnie padające na posadzkę... Oczy nawet nie mrugnęły, tylko policzki zrobiły się mokre od łez. Bezwiednie starła je grzbietem dłoni. Na koniec zobaczyła jeszcze Amandę pochylającą się nad nią – i to przywróciło ją do rzeczywistości.

„Kurczę, zamiast szukać Amandy, użalam się nad sobą!”.

Nagle usłyszała jakiś stukot. Wstrzymała oddech i znieruchomiała. Zaklęcie niewidzialności na nowo ukryło ją przed wzrokiem intruza. Stukanie było coraz głośniejsze i wreszcie zza szczątków rzeźby przedstawiającej rusałkę

tańczącą przed jednorożcem wyłoniła się znajoma postać. Szła z trudem, ni to utykając, ni to podskakując. W ślad za nią ciągnął się po posadzce bandaż, ale stworzenie tego nie widziało, zajęte przeszukiwaniem kątów.

„No tak, raciczki. Co innego mogłoby tak stukać? Rude kłaki, potargana liberia..." – pomyślała Ariel.

– Witaj, Krespian – powiedziała i na powrót stała się widzialna. – Szukasz jedzenia... – bardziej stwierdziła, niż zapytała. Półfaun podskoczył wystraszony, lecz nie uciekł.

– Więc miałem rację, żyjesz – szepnął. – Nie zdołasz jednak pomóc Amandzie. Już za późno...

– Była tutaj?! Dokąd poszła?!

Krespian milczał.

– Nadal mogę cię zmusić do gadania, a ty nie dasz rady skłamać – syknęła.

– Twoja córka jest bardziej przekonująca, gdy komuś grozi. Jej rzeczywiście można by się wystraszyć – zadrwił. – Ostatecznie to ona zabiła panią Orianę, nie ty. Za to przy tobie przynajmniej nie muszę udawać strachu, bo chyba nie sądzisz, że się ciebie boję?

– Krespian!

– Może i jesteś córką Xaviere' a i wielką czarownicą, ale to Amanda dorównuje pani Orianie wiedzą czarnoksięską. A właśnie w tej chwili jest w trzecim mieście, żeby ukraść pamiątki po Pierwszym Naczelnym. Chyba łudzi się, że pomogą jej zablokować wąwóz – zarechotał.

– Ona WIE o wąwozie?!

– A jakże! Sam dałem jej pamiętnik Xaviere'a i podpowiedziałem, co robić. Zgodziła się bez oporów, no bo czy

można odmówić sławnemu dziadkowi, gdy pięknie prosi o pomoc? Jak dobrze pójdzie, za dzień czy dwa dzieciak dotrze do wąwozu, a ty zyskasz nowy powód do płaczu. Nikt nie pokona Rozpaczających. Pani Oriana kochała te miasta i za nic nie dałaby im zginąć, a skoro sama umarła, ich też nic nie uratuje. Lecz byłaby ze mnie dumna, gdyby widziała, jak was wkręciłem. Taka zemsta zza grobu – zachichotał, a Ariel aż zatrzęsła się ze złości. Jednym skokiem dopadła istotę i przydusiła do filaru.

– Dać TOBIE powód do płaczu?! – warknęła. – Gadaj wszystko, co wiesz, albo...

– Albo co? Znowu zaczniesz chlipać do obrazu?

Puściła go, lecz potężny cios rozciął mu wargę. Krespian nadal chichotał jak pomylony.

– Ha, ha, ha! Możesz mnie tłuc cały dzień! Teraz mam to gdzieś! A skoro wiesz o wąwozie, to znaczy, że ty też przeczytałaś pamiętnik Pierwszego. Którąś z jego kopii, prawda? Więc zdajesz sobie sprawę, że on właśnie w tej chwili się otwiera – szepnął tak czule, że niemal zmysłowo. – Już niedługo Rozpaczający ruszą w stronę miast. Pani Ariane mówiła, że będzie ich z każdym dniem coraz więcej i więcej. Że zaleją nas niczym mroczny ocean. A za nimi kroczyć będzie odwieczny wróg. Wszyscy zginiemy, bo nie ma już nikogo, kto mógłby nas obronić. – Krew ciekła mu po twarzy, lecz on tego nie widział. Ciągnął swoją patetyczną przemowę, przyglądając się Ariel z pogardą. – Szykuj się, wiedźmo! Nie należało zabijać wspaniałej Oriany! – darł się jak opętany.

„Odbiło mu! Kompletnie odjechał!" – pomyślała, patrząc na niego z przerażeniem.

Ale w tym momencie powietrze zafalowało i istota zniknęła.

„Cholera, nie wiedziałam, że Krespian to potrafi!”.

Usłyszała jeszcze, jak wrzeszczy:

– Wszyscy zdechniemy! Ha, ha, ha! To twoja wina, Xavierowy pomiocie! Nie należało...

– Niech cię szlag, Krespian – mruknęła Ariel. – Amando, będziemy się tak ganiać po całej tej krainie?!

I nie zwlekając, wybiegła z pałacu.

„Kurczę, a obiecywałam Marcusowi, że to będzie taki krótki i bezpieczny wypad...”.

Biura prasowe Naczelnych Magów z ubolewaniem pragną potwierdzić, że wbrew wcześniejszym informacjom Amanda Odgeon nie dotarła do Oazy Szkolnej. Z niewiadomych do tej pory powodów dziewczyna uciekła spod opieki nauczycieli z Oazy. Jej obecne miejsce pobytu nie jest znane.

Z przykrością informujemy też, że w dniu dzisiejszym doszło do nadzwyczaj zuchwałej kradzieży pamiątek po Pierwszym Naczelnym, Wielkim Xavierze D’Orion, wprost z ratusza trzeciego miasta. Skradzione zostały: płaszcz, księga, kusza oraz laska. Rada Czarnoksiężników ze smutkiem zawiadamia, że sprawcą napadu była Amanda Odgeon...

– O nie! – jęknęła prześliczna elfka, niby to oglądając biżuterię na wystawie sklepowej. Parę osób przyjrzało jej się podejrzliwie. Zaczynało zmierzchać i kolorowy tłum mieszkańców na ulicach trzeciego miasta poszukiwał rozrywki, jednak wszyscy zgodnie

zamarli przed lustrem informacyjnym, słysząc nowe wiadomości. Spiker mówił dalej:

Nie wiemy, dlaczego dziewczyna dopuściła się tego przestępstwa. Jej wina jest jednak bezsporna, ponieważ świadkami zdarzenia było wielu urzędników ratusza, chochlik Irfan oraz kilku wezwanych Naczelnych, których Amanda zaatakowała. W tej sytuacji Naczelni Magowie jednomyślnie wydali wyrok. Od tej chwili Amanda Odgeon zostaje oficjalnie wyjęta spod prawa. Ze względu na czarnoksięskie umiejętności jest wysoce niebezpieczną osobą, dlatego też zaleca się dużą ostrożność. O miejscu pobytu Amandy O. każdy obywatel jest zobowiązany bezzwłocznie poinformować oficerów Korpusu...

– To jakieś szaleństwo – szepnęła elfka. – Amanda, co ty wyrabiasz?!

Naczelni Magowie pragną poinformować także, że już podjęli odpowiednie kroki w celu schwytania podejrzanej, a także rozpoczęli przesłuchania wszystkich osób mogących pomóc w tej sprawie. Jak nieoficjalnie powiedział nam przedstawiciel biura Naczelnego Maga Celestyna, przepytano między innymi znanego producenta eliksirów, Orestesa, będącego niegdyś przyjacielem legendarnej Naczelnej Ariel Odgeon.

Poprosiliśmy go o kilka słów komentarza. Oto jego wypowiedź na wyłączność dla naszego kanału...

„Legendarnej... Dobre! – pomyślała elfka z przekąsem. – Dawaj, Orestes, może choć raz przyda się do czegoś to magiczne CNN”.

Na pokrytym antyrefleksyjną powłoką lustrze informacyjnym ukazała się nieco roztargniona twarz tak dobrze znanego Ariel mężczyzny. W tej chwili bynajmniej nie wyglądał na szanowanego czarnoksiężnika. Przeczesywał nerwowo rzadkie rozwichrzone

włosy. Podkrążone oczy i nieprzytomny wzrok wskazywały, że pewnie znów do późna ślęczał w swej kanciapie, tworząc kolejny genialny eliksir lub medykament, lecz postronnemu widzowi Orestes bardziej mógł przypominać w tej chwili pospolitego moczymordę po trzydniowej libacji.

„Biedaku, piłą łańcuchową odcięli cię od aparatury destylacyjnej czy jak? Mogli ci chociaż dać się uczesać! Ech, ci dziennikarze! We wszystkich światach tacy sami...".

Mężczyzna machnął z niecierpliwością ręką, jakby odganiał się od natrętnej muchy, a potem fuknął:

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wszystko już przekazałem Naczelnemu Celestynowi. Tym, którzy chcieliby mnie jeszcze wypytywać, oświadczam, że nie mam żadnych NOWYCH informacji na temat Amandy Odgeon oraz że ponownie się u mnie nie pokazała – zerknął groźnie w stronę widzów. – Stąd nachodzenie mnie nie ma sensu, bo nic NOWEGO nie wiem!

– Nic nowego? Jesteś śledzony. Croy pewnie też... – Przekaz Orestesa był tak klarowny, że zrozumiałby go najgłupszy chochlik, a tym bardziej osoba, dla której był przeznaczony: Ariel Odgeon.

„Niech to szlag! Muszę ją znaleźć, zanim dotrze do wąwozu. Co ona wyrabia?".

Tę noc Ariel spędziła w zdewastowanym domu Marceliny, który ktoś najwyraźniej opuszczał w wielkim pośpiechu. Najpierw

ucieszyła się na jego widok i pomyślała, że znalazła bezpieczne lokum, ale potem zobaczyła roztrzaskane drzwi wejściowe, posklecane byle jak przez jakiegoś magicznego patałacha, i napis informujący o zakazie wstępu wydanym przez oficera Thomasa z Korpusu Oficerskiego, gdyż dom jest obiektem śledztwa.

Oczywiście natychmiast weszła do środka. Żadnych magicznych zabezpieczeń nie było. Zdaje się, że Thomasowi do głowy nie przyszło, że ktoś mógłby wykazać się takim tupetem, by po prostu zignorować jego zakaz. Oprócz ubrań i przedmiotów osobistych nowy lokator nie zabrał za wiele. Wiele nowego też nie wniósł. Ot, po prostu wprowadził się do wypielęgnowanego gniazdka starszej pani, a potem pozwolił mu zarastać brudem.

„Ktokolwiek tu mieszkał, musiał być niezłą fleją – pomyślała. – Ciekawe, czemu uciekł? Pewnie duch Marceliny dał mu nieźle popalić. – Skrzywiła się, patrząc ze smutkiem na kuchnię, niegdyś dumę starej czarownicy, teraz potwornie zapuszczoną. – Ale po co to śledztwo? Z powodu tych piór i krwi? Dziwne".

Obeszła cały dom. Nie licząc kilku dorodnych pająków i jednego szczura, była tu zupełnie sama. Udało jej się znaleźć całkiem sporo jedzenia, które jeszcze nie zdążyło się zepsuć, i w miarę czyste łóżko. Na wszelki wypadek, zanim położyła się spać, otoczyła dom zaklęciami ochronnymi. Coraz większy niepokój o córkę długo nie pozwalał jej zasnąć.

„Amanda nie jest głupia – przekonywała samą siebie. – Nie będzie się nigdzie włóczyć po nocy. Na pewno już znalazła niezłą kryjówkę i też w tej chwili odpoczywa, magiczna spryciula. Skoro pokonała Orianę, to i nocleg znajdzie bez problemu. Ma nade mną kilka dni przewagi, ale nie umie lewitować, a teleportacji

w ciemno nie zaryzykuje. No i musi działać dyskretnie. Taaak, jutro polecę w stronę wąwozu. Obym tylko zdążyła ją dopaść na trasie. Że też młodzież zawsze musi zbawiać świat! Co ten Xaviere nakłamał w jej kopii pamiętnika? Nieważne. Jutro wracamy do domu. Dobranoc, Amando, dobranoc, Marcus. Chryste, jak ja za wami tęsknię...". – Ziewnęła. Ostatecznie zmęczenie zwyciężyło i kobieta wtuliła się w poduszkę, pozwalając umysłowi zbłądzić w krainę graniczących z realizmem snów. Z kąta pokoju przez całą noc patrzyły na nią ślepia przerośniętego szczura, którego czarami postawiła tu na straży.

Nie spała długo. Jak za dawnych czasów znów wróciły niepokojące sny, tyle że tym razem nie potrafiła ich sobie przypomnieć. O świcie z obrzydzeniem skorzystała z niezbyt czystej łazienki, potem zjadła śniadanie i uzupełniła zapasy. Niebo dopiero szarzało, a ona już opuszczała dom starej czarownicy. Na odchodnym pogładziła swego nocnego strażnika po łbie, odczarowała i popatrzyła, jak znika za szafą.

– Dzięki za przysługę. Zmykaj – mruknęła.

Wyszła przed dom. Mżyło. Musiała się spieszyć, bo miasto zaczynało się budzić. Z nostalgią spojrzała na dom, który opuściła, ale szybko potrząsnęła głową.

„Nie, bez Marceliny to już nie to samo. Teraz to jedynie cegły, belki i tynki".

– Na Wielkiego Xaviere'a! Naczelna Odgeon?! – krzyknął jakiś starszy mężczyzna idący po drugiej stronie ulicy, a ona aż podskoczyła.

„A niech to! – zaklęła w myślach. – Czy wszyscy emeryci cierpią na bezsenność i są mistrzami świata w skradaniu się?! Powinno

się dla nich wymyślić godzinę policyjną. Pewnego dnia przez któregoś z nich dostanę zawału. Transformacja! Jak mogłam o niej zapomnieć?!".

Należało coś wymyślić, i to szybko, bo staruszek przyglądał jej się coraz bardziej podejrzliwie.

– Sporo osób mi mówiło, że jestem do niej podobna, ale tylko w półmroku. – Podrapała się po czole, a jednocześnie dyskretnym ruchem wydłużyła sobie nos i zwęziła usta. – Gdyby mnie pan zobaczył w południe... Zresztą niech pan sam oceni. No, czy ja wyglądam na Naczelnego Czarnoksiężnika? – spytała bezczelnie, podchodząc bliżej. Dziadek poprawił okulary i przyjrzał się jej badawczo.

– Nie, rzeczywiście nie.

– No właśnie! Ciągle słyszę, jak mnie z nią porównują. Kto wie, może moją matkę też wylosowano Wielkiemu Xaviere'owi? – Wzruszyła lekceważąco ramionami. – Zresztą uważam, że lepiej być żywym zerem niż martwym bohaterem, nie sądzi pan? Niech sobie siostrunia spoczywa w pokoju... – zachichotała, lecz dowcip najwyraźniej nie przypadł staruszkowi do gustu. Zacisnął pięści, nadął się niczym indor i wrzasnął:

– Jak pani nie wstyd?! Naczelna Odgeon była cudowną kobietą i genialnym magiem! Sam chciałbym być do niej podobny, bo to zaszczyt, nie ujma!

Ariel spojrzała na niego jak na wariata.

– To może pomogę w transformacji? – palnęła i szybko ugryzła się w język, widząc, że dziadek niczym odbezpieczony granat zaraz wybuchnie.

„No pięknie, ależ mam tutaj fanklub. Już nawet sama z siebie nie mogę pożartować. Trzeba wiać, zanim pobiję rekord Guinnessa w głupocie albo naprawdę mnie ktoś rozpozna”.

Poklepała staruszka po ramieniu, zachichotała, jakby opowiedział jej właśnie niezły dowcip, i krzyknęła: „O rany! To już ta godzina?! Miło się z panem gawędziło, ale spieszę się do pracy. Pan wybaczy...”. Usłyszała jeszcze, jak mężczyzna pomstuje, ale zanim rozkręcił się na dobre, umknęła w najbliższy zaułek. Tam, mrucząc: „Tiaa, żywy bohater to jeszcze gorsza opcja”, przybrała ulubioną postać elfki i szybko ruszyła ku śluzie w kopule, która mieściła się w Rajskich Ogrodach. Dalszą drogę pokonała na własnych nogach, ale niewidzialna. Trakt był pusty. Ominęła koszary i zagrody smoków, starając się nie patrzeć w ich kierunku, bo czuła, że serce zaraz jej pęknie z tęsknoty i żalu. Nigdzie nie widziała smoków ani patroli.

– Niby po co mieliby patrolować okolice, skoro niebezpieczeństwo minęło? – mruknęła. Po dotarciu do kwiecistej polany jeszcze raz się upewniła, że nikt jej nie śledzi, i niewidzialna poszybowała nad lasem. Leciała nisko, by niczego i nikogo nie przegapić, ale też by sama mogła się ukryć, gdyby zaszła potrzeba. Rozglądała się bardzo uważnie, jednak Amandy nigdzie nie dostrzegła.

Wkrótce dotarła w okolice Doliny Zielarzy; widząc brązowo-czarnego smoka Elieusa z piątych koszar, zrezygnowała z wizyty u imago.

„Pewnie oni nie donieśliby, że u nich byłam, ale jego nic by nie powstrzymało. Poza tym, zdaje się, mają wyścig następców. Nie należy im przeszkadzać. Zresztą nie mam czasu kiwać się nad

jakimś kubkiem soku. Amanda na pewno jest już przy wąwozie…” – pomyślała i zanurkowała między drzewa, płosząc przy tym jakiegoś jelenia, co na pewno zirytowało polującą na niego harpię.

Kolorowa i pachnąca dolina przypominająca wielobarwny kleks pozostała z tyłu, a Ariel leciała dalej. Mijała zalesione kotlinki, strumienie, wzniesienia i skały, cały czas wypatrując córki. W miarę jak oddalała się od miasta, wygląd terenu się zmieniał. Las stawał się mroczniejszy, bardziej ponury. Szeroki trakt przeszedł w drogę, na której z ledwością zmieściłby się jednokonny wóz. Niepokój o Amandę wzrastał, bo nadal nigdzie nie dostrzegała śladów jej bytności. Żadnych połamanych gałęzi czy wygniecionej trawy, żadnych pozostałości noclegu czy ogniska.

Po jakimś czasie dotarła do położonej wśród lasów Kolonii Goblinów, która teraz wyglądała niczym ogromna dziura wypalona w zielonym obrusie. Widząc zgliszcza osiedla, znów poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w pierś i przekręcał. Wiedziała, że poczucie winy za los, jaki spotkał to miejsce, będzie ją prześladować do końca jej dni. Pociągnęła nosem, żeby się nie rozpłakać. Szybko otaksowała wzrokiem pozostałości zabudowań, wszechobecne popiół i pył – i ruszyła dalej. Tu też jednak nikogo nie dostrzegła, więc błyskawicznie się oddaliła. Po co przywoływać kolejne smutne wspomnienia?

Gdzieś daleko za drzewami zobaczyła zarys Trollowych Rubieży, za którymi ponoć były Tereny Niezbadane. Tuż przed nią leżały już tylko Kamieniołomy Demonów z Otchłanią Rozpaczy. Teren ponownie zaczął się zmieniać. Mroczny las przerzedził się, ustępując skalistym pagórkom. Powietrze zrobiło się gorące

i suche. Ariel wypatrywała jakiegokolwiek śladu Amandy, lecz dziewczyny nigdzie nie było. Teraz niemal zaczęła panikować.

– Mam tego dość! Wcale nie chcę być matką bohaterki – mruczała. – Niech no tylko cię znajdę, dostaniesz szlaban aż do emerytury. Zabiorę ci komórkę, kieszonkowe, dostęp do fejsa, ograniczę czipsy, colę, a zamiast Eminema każę na okrągło słuchać Biebera. Aha, i żadnych lotów na pegazie! – Tak się rozpędziła w tych pogróżkach, że nie zauważyła, jak absurdalnie zabrzmiał ten tekst o pegazach.

Wciąż niewidzialna wylądowała przy bramie i natychmiast uświadomiła sobie, że coś tu jest nie tak. To, że Kolonię Goblinów zmiotły z powierzchni ziemi dzikie smoki i że miała nigdy nie zostać odbudowana, było rzeczą ogólnie znaną, ale przecież leżące niedaleko Kamieniołomy Demonów nie poniosły najmniejszych strat. Dlaczego więc było tu tak cicho i pusto?

„Albo nagle ogłoszono amnestię, o której nic nie wiem, i nikt teraz nie popełnia przestępstw, albo... Gdzie, u licha, są wszyscy? Zaraz, Orestes opowiadał, że Julien się rozsypał. Czyli inni Strażnicy też. Ze wspomnień Xaviere'a wynika, że mieli zasypać swymi prochami wąwóz. Dobra, ale co z więźniami?".

Ruszyła wykutą między skałami drogą w kierunku placu, gdzie znajdowało się wejście do podziemnego lochu, w którym więźniowie mogli poszukać schronienia i odpocząć. Pamiętała, jaki szok przeżyła, gdy była tu po raz pierwszy. Żadnych prycz, prysznica czy latryny. Po prostu duszna jama w ziemi. Kurz, upał, brud, ciężka praca i bezwzględność Strażników. Tak wtedy zapamiętała Kamieniołomy. I jeszcze tych ludzi: skutych, okrytych strzępami ubrań, poranionych, chudych... Czy mogła im

wtedy pomóc? Mogła! Zbyt krótko jednak była Naczelnym Magiem, a przeforsowanie zmiany warunków życia dla tych istot wymagało innego myślenia zarówno całego społeczeństwa – które wolało nie dostrzegać w więźniach ludzi – jak i pozostałych Naczelnych. Potem wydarzyły się te wszystkie straszne rzeczy: wojna z Darrenem, Orianą, odbudowa miast...

„Znowu szukam usprawiedliwienia, zamiast przyznać, że zwyczajnie, jako Naczelny, byłam beznadziejna".

Z każdą chwilą niepokój Ariel wzrastał. Przeszukała za pomocą wszelkich możliwych zaklęć cały teren Kamieniołomów, każdy pagórek i załom skalny, lecz nikogo żywego nie znalazła. Loch też był pusty. Jedynie gdzieniegdzie widoczne były błyszczące czernią kopce. „Strażnicy?". Na placu nadal stały wyładowane kamieniami wozy, jakby przygotowane do drogi, ale koni przy nich nie było. Pełna najgorszych przeczuć jeszcze raz okrążyła plac i wróciła do bramy.

– Koni nie ma... Hm, i nikt nie upomniał się o dostawę... Nawet ptaków nie słychać... Czy Xaviere wspominał coś o tym w swoim pamiętniku? Wydawało mi się, że tak, ale czemu nie mogę sobie przypomnieć? – szeptała w zamyśleniu. – Oficerowie nie patrolują już tego miejsca? I dlaczego Naczelni...

Coś błysnęło w suchej kępie trawy tuż za bramą. Podeszła bliżej.

– Buzdygan?

Pochyliła się nad nim, ale przezornie go nie dotknęła. Powiodła tylko dłonią nad jego powierzchnią i wyszeptała: „Chcę". Miała nadzieję, że dowie się, do kogo należał i gdzie jest właściciel, lecz nie uzyskała odpowiedzi. Zawahała się, niepewnie sięgnęła po

broń. Rozgrzany metal zaciążył jej w dłoni, rzeźbienia odcisnęły swe wzory na skórze. Buzdygan nie był uszkodzony, ale mimo to nie zrobił jej krzywdy.

„Nie żyje" – pomyślała o oficerze, do którego należał.

Poczuła ciarki na plecach. Piękne rysunki na broni nic jej nie powiedziały, buzdygan nie był ani porysowany, ani nawet zakurzony.

„Leży tu bardzo krótko".

Niedaleko ujrzała ślad w trawie, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego w stronę krzaków. Korzenie wystawały ponad powierzchnię ziemi, przypominając splątaną wiatrem fryzurę. I właśnie w tej plątaninie Ariel zobaczyła jakby podeszwę zaklinowanego oficerskiego kamasza. Sapnęła zdenerwowana, bo poczuła się, jakby odwiedzała kostnicę.

„To nic nie oznacza, to tylko but i buzdygan" – przekonywała samą siebie, ale intuicja mówiła jej coś wprost przeciwnego. I tak skradając się z buzdyganem gotowym do strzału, dotarła w pobliże kamasza. Przykucnęła, pochyliła się i dopiero teraz ujrzała... rozciętą cholewkę we wszystkich odcieniach czerni i czerwieni, a w środku fragment stopy?! Poszarpane kikuty kości, niczym przerażające wykrzykniki umazane krwią, wystawały na zewnątrz. Na dodatek nozdrza wypełnił fetor spalonego mięsa!

Dotarło do niej, że to buzdygan, który trzyma w dłoni, jest sprawcą tego odoru i odruchowo wypuściła broń. Zgięta wpół długo przekonywała matkę naturę, że wcale nie miała zamiaru oddawać jej całego swego śniadania. Kurczący się boleśnie żołądek twierdził jednak coś innego.

– A żeby to gnomy obesrały! – wysapała po chwili. Unikając patrzenia w tamtą stronę, wypłukała usta wodą z manierki. – Spokój! Cholera, przecież to nie pierwszy trup, jakiego widzę. Na dodatek nie cały!

Pokonując obrzydzenie, wróciła w tamto miejsce. Jakiś szósty zmysł kazał jej się położyć na ziemi. Podczołgała się bliżej buta.

„Właściwie co ja tu robię? – myślała wściekła, a nerwy miała napięte jak postronki. – Miałam szukać Amandy, a nie zajmować się nieboszczykami!".

Ale znając siebie, doskonale wiedziała, że nie ma takiej możliwości, żeby zostawiła tę sprawę niewyjaśnioną. Kawałkiem patyka odsunęła but na bok. Westchnęła i zerknęła przez plątaninę korzeni. Nic nie zobaczyła, więc podczołgała się bliżej. Usłyszała odgłos drącego się materiału.

„Fajnie. Teraz jeszcze to".

Na szczęście dziura na kolanie nie była duża.

„Dobrze, że mamy modę na podarte dżinsy. Przynajmniej, w razie czego, nie będę się wyróżniać z tłumu. Dobra, gdzie jesteś, właścicielu kamasza? I kto odciął ci nogę?".

Za plątaniną korzeni podłoże gwałtownie się kończyło. Ariel wychyliła się i ujrzała ukrytą niewielką dolinkę, spowitą gęstą mgłą lub dymem. Dołem wędrował mężczyzna odziany w mundur oficerski. I pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby facet miał obydwie stopy, a pegaz, którego prowadził, całe skrzydła i nieskręcony łeb! Przez jedną długą chwilę Ariel leżała w bezruchu, kompletnie nie wierząc w to, co widzi. Mężczyzna szedł z trudem, potykając się na kamieniach. Buzdygan musiał perfekcyjnie przypalić brzegi rany, bo ta w ogóle nie krwawiła.

Jedynie strzępy nogawki powiewały przy każdym kroku mężczyzny, a tam, gdzie stanął, pojawiał się czerwony „stempel". Pomału zbliżał się do liliowego obłoku. Nim zniknął, odwrócił głowę w stronę zwierzęcia i wtedy Ariel ujrzała nad jego lewym okiem wielką dziurę, z której w kierunku policzka spływało coś szarego. Jej żołądek znowu zatańczył. Błyskawicznie zamknęła oczy. Nie zobaczyła więc, że zanim dwójkę wędrowców pochłonęła mgła, mężczyzna spojrzał w kierunku krzaków, w których leżała. Mięśnie jego twarzy skrzywiły się w parodii uśmiechu. Chmura gazu roziskrzyła się miliardem ogników, a te pękły niczym bańki mydlane. Po chwili oficer i jego wierzchowiec stali się wspomnieniem, podobnie jak but i buzdygan...

O brzasku smok odleciał. Nawet jeśli wiedział o obecności Amandy w Dolinie Zielarzy, nie musiała się tym martwić. Wprawdzie smoki miały obowiązek pomagania miastom i wypełniania rozkazów Naczelnych, ale zawsze najważniejsza była dla nich lojalność wobec innych osobników w stadzie, zwłaszcza jeśli dyskretną prośbę Croya o wsparcie Amandy dużo bardziej stanowczo poparł wprowadzony w sprawę Neret.

Kiedy dziewczyna otworzyła w końcu oczy, był już późny ranek. Zielarze rozproszyli się po plantacji, przyśpiewując i tańcząc dookoła roślin, jakby dzięki temu chcieli im zapewnić lepszy wzrost. Patrzyła na nich z uśmiechem, pewna, że tak miły

poranek będzie pamiętała do końca swych dni. Potem jednak przypomniała sobie o wąwozie i dobry nastrój się ulotnił. Dziewczyna zaczęła zbierać swoje rzeczy. Należało ruszać, choć wcale nie miała na to ochoty. Koło plecaka ktoś zostawił dla niej śniadanie.

– Eve mówiła, żeby nie brać żadnego poczęstunku – mruknęła, ale zerknęła tęsknie na owoce i ciasteczka, bo burczenie w żołądku było coraz bardziej donośne. Zajrzała do torby, gdzie tkwiły zakamuflowane resztki prowiantu, jaki dostała od Renee, i już bez oporów sięgnęła po prezent Zielarzy. – Do wąwozu jeszcze kawał drogi, a jeść trzeba. Może Eve przesadziła z tym odurzaniem?

Wkrótce, żegnana wylewnie przez Neve' a i resztę Zielarzy, Amanda opuściła dolinę i ponownie znalazła się na trakcie prowadzącym w stronę Kolonii Goblinów.

– Nieee – zachichotała nerwowo Ariel, gdy otworzyła oczy. – Wcale nie widziałam faceta bez nogi prowadzącego pegaza z przetrąconymi skrzydłami i ze skręconym karkiem! Nie-wi-działam! To były TYLKO halucynacje – przekonywała samą siebie, lecz szło jej kiepsko, zwłaszcza że tak naprawdę nie była pewna, CO widziała. Zagryzła paznokcie i się rozejrzała. Leżała na rozgrzanej ziemi, jakiś kamyk boleśnie uwierał pośladek, a źdźbła

traw łaskotały ją po twarzy. Opędziła się od nich, wstała i rozprostowała ścierpnięte ciało.

„I o co tyle krzyku? Albo to pierwsze zwidy, jakie miałam?".

Pochyliła się nad dolinką. Nie wydawała się zbyt głęboka, nie dostrzegła też żadnej mgły, jedynie sporych rozmiarów rozszerzenie dobiegającej tu od strony miast odnogi traktu, które kończyło się... – sapnęła ze zdenerwowania – wejściem do wąwozu!

– Niech to szlag! Mgła, oficerowie odcinający sobie nogi, zombi-pegazy pozbawione skrzydeł i inne cudowne halucynacje. Xaviere, powinnam wiedzieć o czymś jeszcze? Bo ty o nich wiedziałeś, stary draniu. Podobnie jak o moim pojawieniu się tutaj!

„Wiedziałeś, że tu dotrę, ale nie miałeś pewności, jak to się zakończy. Nie zdążyłeś się dowiedzieć. Wypady tak daleko w przyszłość były wyczerpujące, no i jeszcze Oriana ze swoją trucizną... Rany! – Przyszło jej nagle coś do głowy. – Czy Amanda zdążyła tam zejść? Ja sobie z tymi zwidami poradzę, ale ona?".

– Amanda! – wrzasnęła, lecz nikt jej nie odpowiedział. – Amanda! – wydarła się jeszcze głośniej i ruszyła wzdłuż urwiska. Dziewczyny nigdzie nie było. Chwilę myślała, jak dostać się na dół. – A co tam! – Machnęła ręką i zwyczajnie poleciała.

Po chwili jej buty dotknęły usianego kamieniami podłoża traktu. Obejrzała dokładnie to, co wzięła za dolinę. Po lewej stronie rozciągał się gęsty i mroczny las. Intuicja podpowiadała, że nie powinno jej interesować, co skrywa. Po prawej miała urwisko, z którego tu sfrunęła, za plecami od dawna nieuczęszczaną i zarośniętą drogę do miast, a przed sobą... to upiorne miejsce, do którego – a była tego absolutnie pewna –

dążyła wszystkimi swymi czynami przez cały czas pobytu w tym świecie.

„Przeznaczenie jest rzeczą nieuchronną, co?”.

Pomyślała, że teraz już wie, czego dotyczy powiedzenie, które nieświadomie od zawsze jej towarzyszyło, a było po prostu frazą rzuconą od niechcenia przez słynnego ojca. Zrozumiała też, że nie znajdzie tu Amandy. Prawdopodobnie przeoczyła ją gdzieś po drodze. Wróci po nią, lecz teraz... Zamyślona gryzła paznokcie i zapatrzyła się w wejście do wąwozu. Coś przyciągało ją do tamtego miejsca. Oczy, pozornie bez sensu, błądziły po wąskiej szczelinie między skałami, prowadzącej do wnętrza wąwozu. Kilka nieznośnie długich minut taksowała go wzrokiem, jakby oceniała przeciwnika, nim przystąpi do walki. Miała wrażenie, że sama też jest oceniana... przez wąwóz! Pogładziła się po brodzie.

– Właściwie czemu nie? – szepnęła, akceptując w końcu, że w tym świecie nawet to jest możliwe. – Xaviere twierdził, że wąwóz się otworzy, a Strażnicy... Ale czemu ani ja, ani reszta Naczelnych nie wiedzieliśmy o ich prawdziwej roli? Nigdzie żadnych wzmianek. I jeszcze Rozpaczający. Kim są? Pamiętnik mówi, że wyjdą, cokolwiek to znaczy. Krespian użył podobnego określenia. Dziwne jest to wejście, takie malutkie i niepozorne. Myślałam, że wąwozy są szersze. Nawet ten podziemny u nyrionów był ogromny... Dobra, zobaczmy, co kryjesz, przyjacielu – mruknęła – i jak cię w takim razie zamknąć.

Zrobiła krok do przodu, potem jeszcze jeden i kolejny. Czuła, że każdy jej krok powoduje delikatne wibracje podłoża, które informują wąwóz, że oto zbliża się żywa istota. Teraz on sam ożył i aktywował się niczym przeogromna, naturalna bomba zegarowa.

Otoczenie zaczęło się przekształcać. Ściana urwiska, las po drugiej stronie i chaszcze za plecami kobiety się zmieniły. Soczysta barwa roślinności ustąpiła malachitowej zieleni skał, a może tak grubego kryształu. Teraz kobieta znalazła się we wnętrzu precyzyjnie rzeźbionego w motywy roślinne szybu. Jego ściany zaczęły na nią napierać. Zerknęła w górę. Jasny punkt nieba się oddalał, a wraz z nim nadzieja na ucieczkę, odnalezienie córki i powrót do Marcusa, wiara we własne możliwości, w sens czegokolwiek. Ariel uśmiechnęła się ponuro.

– Bawi cię wpędzanie w szaleństwo? No to zabawmy się razem – podjęła wyzwanie. Skoncentrowała się, wyrzuciła ręce w bok, okręciła się dookoła własnej osi i krzyknęła: – *Vincero! Vincero!*

Krzyk dudnieniem rozszedł się po wnętrzu szybu, a potem jeszcze raz, i ponownie. Nagle ściany przestały rosnąć i na nią napierać, a zaczęły leciutko wibrować. Ariel stanęła pośrodku tej zabójczej studni, zamknęła oczy i czekała. Drżenia się nasiliły, lecz ona stała nieporuszona. Nawet gdy pojawiły się pierwsze pęknięcia, nadal nie otworzyła oczu. Po chwili z góry zaczęły spadać odłamki skał. Grawitacja nieubłaganie zaczęła ściągać je w dół. Opadały bardzo powoli, a obracając się w powietrzu, wydawały dziwne dźwięki, ni to jęk, ni to zawodzenie. Za nimi poleciały kolejne coraz większe kawałki, lecz i to nie zrobiło na Ariel wrażenia. Nim pierwszy odłamek dotarł do niej, wysunęła dłoń i szepnęła: „Chcę”.

Kamień zawisł nad jej głową, jakby na coś czekając. Jeszcze jeden jęk i obrót – i w miejsce tego zabójczego pocisku pojawił się przepiękny ciemnozielony kryształowy paw. Krzyknął donośnie,

a w tym krzyku słychać było dławiącą gardło rozpacz, jakiś rozdzierający duszę smutek. Wejrzał w otwarte już oczy kobiety.

– Rozpaczający... – szepnęła. Wyciągnęła dłoń, by go pogładzić. Chciała go utulić w jego żalu, odpędzić lęki, a może sama potrzebowała pocieszenia? Odleciał, nim zdążyła go dotknąć. Miał coś takiego w kryształowych oczach... Lecz oto spadały już kolejne odłamki i następne malachitowe pawie z żałosnym krzykiem ulatywały w powietrze. I tak, kawałek za kawałkiem, cała studnia rozpadała się, by jako stado przepięknych kryształowych ptaków zniknąć we wnętrzu wąwozu.

Ariel pociągnęła nosem. Płakała?! Dotknęła policzka. No jasne... Rozejrzała się. Las ponownie był lasem, urwisko urwiskiem... I nikt prócz niej nie domyśliłby się, co tu zaszło. Jedynie wejście do wąwozu nieco się poszerzyło. U jego dołu snuł się jakiś opar. Znów poczuła, że wąwóz przyciąga ją do siebie.

– Xaviere mówił, żeby tam nie wchodzić. I miał cholerną rację. To niebezpieczne, paskudne miejsce – szepnęła. – Taki skalisty wampir emocjonalny. Te pawie, Rozpaczający, pewnie skłoniłyby człowieka do samobójstwa albo przynajmniej doprowadziły do szaleństwa.

Opar rozlał się po podłożu. Zajął już ponad połowę dolinki. Wyszła mu naprzeciw. I znów krok za krokiem zbliżała się do wejścia do wąwozu. Kamienie pod jej stopami teraz się wygładziły, jakby sam wąwóz chciał, żeby nic jej nie przeszkodziło w dotarciu do niego. Tyle że ona wcale nie chciała mu umknąć. Przeciwnie, pragnęła tej konfrontacji. „Chemia” narastała między nimi gwałtowne, lecz niekoniecznie były to pozytywne uczucia.

– To się nazywa miłość od pierwszego wejrzenia? – pełen ironii szept opuścił usta kobiety. – A może nienawiść? Chcesz mnie ucałować czy udusić, skarbie? Przekonajmy się...

Liliowy opar sięgał już do kolan, powodując zimne mrowienie. Ariel nie zwracała na to uwagi, skupiona na szczelinie w skale, której dopiero teraz mogła dobrze się przyjrzeć. Uniosła głowę, chcąc dojrzeć szczyt, ale bezskutecznie.

„Skoro jest taka wysoka, dlaczego nie widać jej z miast? – pomyślała. – Chcesz mi zaimponować rozmiarem, kochany? Podobno to nie rozmiar się liczy... – zakpiła. Odpowiedziało jej zawodzenie. – Idę, skarbie, idę... Też nie mogę się doczekać tej randki. Co pamiętnik mówił na temat wąwozu?".

Odtworzyła w pamięci fragment notatnika:

Był bardzo wąski, kręty i tak wysoki, że niemal zasłaniał niebo. Wędrowaliśmy nim całą wieczność, nie spotykając nikogo na swej drodze, jednak musieliśmy się pilnować, bo ściany doliny kołysały się niczym tkanina na wietrze i kilku maruderów wciągnęły, nim zdążyliśmy ruszyć z pomocą. Dziwny i straszny był ten wąwóz. Niby pokręcony jak labirynt, lecz odnosiłem wrażenie, że ukazuje nam właściwą drogę. Niby ściany tworzyła lita skała, a przecież sam widziałem, że potrafiły falować jak pierś kobiety. Niby były matowe, a jednak odbijały obrazy niczym najdoskonalsze czarne lustro. I ta przedziwna muzyka... choć trudno byłoby zwać muzyką dźwięki przypominające szum drzew na wietrze czy ostatni oddech wisielca.

„To głupota. Nie powinnam się tam pchać" – pomyślała o tym, co właśnie zamierzała zrobić, i przyjrzała się skale. Wydało jej się, czy za załomem skalnym zobaczyła...?

– Fabien?!

Znajomą twarz wykrzywił grymas uśmiechu. Postawna sylwetka, długie do pasa włosy i ten specyficzny sposób poruszania się. To mógł być tylko on!

– Ty nie żyjesz... A jeśli żyjesz, skurwysynu, to zaraz będziesz martwy! – syknęła i już bez wahania wskoczyła do wnętrza wąwozu. Gnała ją wściekłość, przeświadczenie, że osoba, której tak bardzo ufała, okazała się podłym zdrajcą, zbrodniarzem winnym śmierci wielu istot. Fabiena nigdzie nie dostrzegła. Przejście było tak wąskie, że mogłaby rękami dotknąć przeciwległych ścian, więc nie miał gdzie się ukryć.

„No jasne! Jeszcze jedna halucynacja".

Pomyślała, że dała się podpuścić wąwozowi w najgłupszy z możliwych sposobów. Uśmiechając się ponuro, ruszyła dalej. Z pozoru nic się nie działo. Liliowy opar gdzieś zniknął, umilkły również wszystkie słyszane do tej pory odgłosy. Nagle coś kazało jej spojrzeć za siebie. Zerknęła przez ramię. Szczelina w skale znowu była wąska niczym ostrze noża.

„Dobra, jeszcze tylko parę kroków. Nie ma co się tu szwendać. Trzeba jakoś zamknąć to cholerstwo, a coś mi mówi, że łatwo nie będzie. Cokolwiek to jest, jest złe. Wciąga żywych. Ciekawe tylko co z nimi robi?". Wspomniała oficera bez stopy oraz jego pegaza.

Zgodnie z tym, co napisał Pierwszy, wąwóz ciągle zakręcał, i to tak gwałtownie, że przypominał labirynt. Po paru minutach Ariel miała już serdecznie dość. Znów wróciło uczucie klaustrofobii, wrażenie, że zaczyna się dusić. Chcąc zawrócić ku wyjściu, odwróciła się na pięcie, lecz wtedy pośliznęła się na kamieniu, zaklęła i wpadła z impetem na ścianę. Ta w jednej chwili zawyła,

zafalowała niczym najczarniejsze sukno, a potem jej nierówna powierzchnia wygładziła się i ukazała całą galerię postaci. Cierpiących, umęczonych, umierających. Ariel podskoczyła przerażona. Osoby uwięzione w tym mrocznym lustrze dostrzegły ją i ruszyły ku niej z głębi skały! Był wśród nich i ten oficer bez stopy, i był także... Fabien! Teraz jednak nie śmiał się, cierpiał podobnie jak reszta. Miał w oczach błaganie i...

„Rozpaczający!".

Zrozumiała, kogo przypominały jej oczy pawia przed wąwozem, i teraz jej samej rozpacz zdławiła gardło. A oni wyciągnęli ku niej ręce, jakby w nadziei na wybawienie. Przelali na nią cały swój ból, wypełnili niczym puchar żalem. Z każdym ich krokiem Ariel ogarniała coraz większa panika. Doszli już niemal do powierzchni skały-lustra i czuła, że lada chwila wyjdą jej naprzeciw!

– Nieee! – wrzasnęła oszalała ze strachu. – Nie mogę wam pomóc!

I ruszyła pędem przed siebie. Kierunek był nieistotny. Chciała jedynie jak najszybciej wydostać się z tej pułapki, w którą tak idiotycznie sama weszła, i to mimo ostrzeżeń Xaviere'a.

– Marcus! – załkała, jakby w nadziei, że gdy wypowie jego imię, cały ten koszmar zniknie. Łzy przeszkadzały jej patrzeć, ocierała je raz po raz. Ściany falowały coraz mocniej, jęcząc przy tym upiornie. Teraz już wiedziała, skąd to zawodzenie. Tymczasem Rozpaczających z każdą chwilą przybywało. Niemal dosięgali już powierzchni skały. Jeszcze moment, a pobiegną za nią korytarzem, a wtedy... Nie miała pojęcia, co się wtedy wydarzy. Wcale nie chciała tego wiedzieć. Ariel biegła, potykała się, upadała i znów ruszała niczym nieprzytomne z przerażenia

zwierzę. Ręce Rozpaczających wyciągały się ku niej, szarpały za ubranie i włosy. Umykała im i znów gnała przed siebie. Nie była w stanie określić, jak długo to trwało, w ile twarzy zerknęła, ilu rąk dotykała, a ilu uciekła.

Nagle utknęła w szczególnie wąskim fragmencie kamiennego labiryntu. Czuła, że jeśli ją złapią, stanie się jedną z nich.

– Nie – wyszeptała. – Tak wiele spraw jeszcze muszę dokończyć. – I nie wiedząc, czemu to robi, skoczyła w jedyne miejsce, gdzie jeszcze nie było lamentujących nieszczęśników: w skałę zamykającą labirynt.

Słońce dawno już minęło zenit, a Amanda niestrudzenie zmierzała do celu. Trakt do niedawna był uczęszczany przez oficerów, więc nie obawiała się, że zabłądzi. Nie zaryzykowała przemiany w jakieś zwierzę lub ptaka – co pewnie pozwoliłoby jej szybciej dotrzeć na miejsce – bo w takiej postaci nie mogłaby rzucać zaklęć. „Szkoda, że nie poprosiłam mamy, żeby mnie nauczyła lewitować, ale pewnie i tak by odmówiła. Ona i ta jej nadopiekuńczość! – zachichotała w myślach. – No ale z drugiej strony, gdyby wiedziała, co wyrabialiśmy z Croyem... Na przykład to polowanie na rannego wampokruka, który o mało nie odgryzł mi ręki. Dobrze, że Croy ma refleks, bo musiałabym nauczyć się podcierać lewą. Nie, pewnych rzeczy rodzice jednak nie powinni

wiedzieć. Amnezja to też czasami świetna sprawa. Przydałaby się jakaś muza, bo w tej głuszy oszaleć można".

Gdzieś o zmierzchu pomyślała, że jest już naprawdę blisko osławionej Kolonii Goblinów, lecz postanowiła nie zjawiać się tam nocą. Znalazła schronienie w jamie między korzeniami jakiegoś drzewa i posilona ciasteczkami Zielarzy zaczęła przeglądać księgę Xaviere'a, ale w końcu zmęczenie wzięło górę, więc otuliła się w płaszcz Pierwszego i zasnęła.

Wczesnym rankiem obudziło ją uczucie niepokoju, którego nie potrafiła nazwać. Złożyła je na karb zdenerwowania z powodu misji, jaką niedługo miała wypełnić. Zjadła resztę ciasteczek, popiła wodą i znów ruszyła traktem.

„Strasznie się dłuży ta droga. Oficerom zajmuje pewnie tylko chwilę, ale oni mają pegazy. Dobra, jak będę wracać do miasta, skorzystam z teleportacji. Ten jeden raz. Miejmy nadzieję, że tym razem wyląduję tam, gdzie trzeba". Z uśmiechem wyobraziła sobie, że mogłaby to być kanciapa Orestesa lub zagroda Croya, lecz potem doszła jednak do wniosku, że nie ma co straszyć obydwu panów nagłym pojawieniem się, i wybrała Gnomowy Głaz przy Chochlikowym Jeziorze.

Kolonię Goblinów minęła szybko i ze ściśniętym gardłem. Marcelina opowiadała jej, co się tu wydarzyło, jednak jej opowieści zdawały się bajką w porównaniu z koszmarnym widokiem resztek spalonych zabudowań. Nie oglądając się za siebie, zwyczajnie stamtąd uciekła. Wkrótce dotarła do Kamieniołomów Demonów. I ona przejrzała cały teren, i ją także zastanowił fakt, że nikogo tu nie ma. Pomyślała, że zajmie się tym później, bo najpierw należy zamknąć wąwóz.

– Uda mi się, dziadku – szepnęła i zmaterializowała się naprzeciw mrocznego wejścia. – Zrobię to naprawdę porządnie.

Przyjrzała się szczelinie w skale, która wyglądała tak niepozornie. Ją też zszokował widok niebotycznie wysokiej skały, której szczytu nie potrafiła dostrzec. Powoli, podpierając się laską Pierwszego Naczelnego, ruszyła przed siebie. Peleryna Xaviere'a falowała przy każdym jej kroku, a kamienie chrzęściły pod stopami. Zatrzymała się parę metrów od wejścia do wąwozu. Laska posłusznie zawisła w powietrzu, jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Płaszcz zaciążył na ramionach. Pomyślała, że wygodniej jej będzie, jeśli chwilowo odłoży go na bok. Zdjęła go więc, porządnie zwinęła i ułożyła na kamieniu. Usiadła po turecku i wyjęła księgę. Oczy skupiły się na poszukiwaniu konkretnego zaklęcia. Kartka po kartce znów przeglądała zawartość cennego artefaktu.

– O które mogłoby tu chodzić? Przydałaby mi się drobna podpowiedź, dziadku – mruknęła i potarła płatek ucha. – Blokujące *arcebo*? Nie, wydaje się za słabe. Może zaklęcie zapory *matreus*? Też nie. Taki kryształ blokujący byle chochlik rozwali kichnięciem. A może...

Ciszę przerwał groźny pomruk. Amanda zdała sobie z niego sprawę dopiero po chwili. Uniosła głowę i się rozejrzała, ale nie zidentyfikowała jego źródła. Potem poczuła, że ziemia nieznacznie drży. Zmarszczyła brwi.

„To mogą być Rozpaczający. Szkoda, że nigdzie nie ma wzmianek o tym, jak wyglądają i co konkretnie robią. Trzeba się spieszyć".

Zaczęła jeszcze prędzej wertować kartki księgi, bo pomruk narastał. Od czasu do czasu unosiła głowę i sprawdzała otoczenie. Minęło dobre kilkanaście minut, a ona nadal niczego nie znalazła. Zaczynała już tracić cierpliwość, zwłaszcza że podłoże wibrowało coraz mocniej, zupełnie jakby kroczyła po nim cała armia słoni. Potem dobiegło ją zawodzenie, jak gdyby tłum żałobników opłakiwał kogoś bliskiego. Jeszcze raz poderwała głowę. Wydawało jej się, że szczelina wąwozu coraz bardziej się kurczy.

– Od kiedy skała potrafi falować? Zaraz, zaraz, chyba coś było o tym w pamiętniku – szepnęła. Nagle w głębi wąwozu mignęła jej jakaś znajoma postać. – Mama?! A co ty tu...

Po drugiej stronie gór – jakiś czas wcześniej
Jared

Miał na imię Jared. Tamtej wiosny dostąpił ogromnego zaszczytu: spośród wielu samców został wybrany na partnera i przyszłego ojca dzieci Madeleine, najstarszej córki przywódczyni stada, Keiry. Owego dnia Keira osobiście przyfrunęła do ich gniazda i oficjalnie poprosiła matkę o wiązkę piór z jego skrzydeł. Radość i duma rodziców były ogromne, bo też wyróżnienie dla rodziny wydawało się niewyobrażalne. Zmieszać krew z krwią rodu przywódczyni – o tym marzyła każda matka dla swojego syna.

Tego dnia świętowała cała osada. Przybyło wielu prominentnych gości z innych nadrzewnych osad. Ofiarował Madeleine pióra z własnego skrzydła, a ona jemu bransoletę z kamyków i muszelek na znak, że należą do siebie. Ich zrękowiny zostały tym samym przypieczętowane. Wszyscy byli bardzo przejęci, ucieszeni i nikt, nawet on sam, nie przypuszczał, że ich losy nie potoczą się tak, jak to starannie zaplanowali. Mieli bowiem wkrótce zamieszkać w nowym gnieździe i dać życie pokoleniu, które przedłuży szlachetny ród Keiry. Kolejnemu pokoleniu harpii...

Ból był niewyobrażalny. Szpony bezlitośnie cięły ciało, darły pióra, rozrywały skórę. Raniły do krwi. Otworzył ptasie oczy i ujrzał nad sobą wściekłe spojrzenie Madeleine. Nie wydając żadnego dźwięku, wymierzała ciosy ostrymi pazurami. Błyskawicznie oprzytomniał i przeturlał się na posłaniu, zeskoczył i ukrył za skrzynią. Byli parą od niespełna miesiąca i nic nie zakłócało ich sielanki aż do dziś. Cóż, wiedział, że kobiety w ich stadzie są... hm... porywcze i potrafią pozbyć się partnera po jednym dniu pożycia, a związki tak zgodne i kochające się jak jego rodziców należą do rzadkości, ale miał nadzieję, że to, co łączy jego i Madeleine, jest głębokie, prawdziwe. Najwyraźniej ona sądziła inaczej. Zgodnie z tradycją cisnęła mu w twarz pióra, które dostała od niego w noc zrękowin, i tym samym oficjalnie wyrzuciła go ze swojego gniazda. Przestał być jej partnerem.

Miał świadomość, że będzie jedynym samcem w stadzie, który w nieskończoność zadaje sobie pytanie, dlaczego tak się stało, i nigdy nie pozna odpowiedzi. Każdy inny samiec na jego miejscu wzruszyłby tylko ramionami i wrócił do rodzinnego gniazda, żeby za jakiś czas zostać partnerem kolejnej samicy. Każdy, ale nie on. Jako jeden z nielicznych wykazywał się większą wrażliwością i chorobliwą, jak to określali znajomi, skłonnością do myślenia przy haniebnie obniżonym instynkcie zabójcy. Mało tego, jako jedyny miewał sny, a to był już prawdziwy dowód jego nienormalności. Nie miał pojęcia, czemu został wybrany na

partnera Madeleine, ale w wieczór ich zrękowin doszedł do wniosku, że oto dostał od losu szansę na udowodnienie stadu, że jest jak najbardziej normalną harpią. Wydawało mu się, że od tej pory przestanie być traktowany jako wybryk natury. Że wszystko się ułoży. Aż do dzisiejszej nocy, kiedy to Madeleine, wróciwszy z udanego polowania, po prostu wyrzuciła go z gniazda! Pozostał mu żal. I to jedno pytanie...

Nie umiał sobie teraz znaleźć miejsca, wrócił więc do gniazda matki. Chciał rozpocząć wszystko od nowa, zapomnieć, ale nie mógł. Miesiąc wspólnego życia w jednym gnieździe z Madeleine tak bardzo zapadł mu w serce, że teraz nie potrafił się odnaleźć w normalnym świecie. Jakby tego było mało, pozostałe samice ze stada zaczęły go traktować pogardliwie i arogancko. Parę razy omal znowu został poturbowany. Starał się nie zwracać na nie uwagi aż do chwili, gdy jego własny ojciec nie uświadomił mu, o co chodzi.

– Uciekaj, Jared – powiedział któregoś dnia, przysiadając obok syna na gałęzi dorodnego dębu. – Nie wiem, o co wam poszło, ale lepiej zwiewaj i przyczaj się gdzieś na jakiś czas, dopóki nie minie im furia.

– Tato?

– Głupcze! Ona nastawiła przeciw tobie wszystkie samice! Nie widzisz tego? Zabiją cię, jeśli szybko nie zejdziesz im z oczu! –

rozzłościł się ojciec.

– Czemu?

– Czemu? Już ty najlepiej powinieneś wiedzieć! – fuknął Rey. – Pomyśl o rodzinie. Narazisz rodzeństwo i matkę na niebezpieczeństwo, a chyba tego nie chcesz? – Zawiesił znacząco głos. – Ech, chłopcze, zawsze były z tobą kłopoty. A to się włóczyłeś z centaurami i faunami, a to prowadziłeś rozwlekłe dyskusje o niczym, zamiast zajmować się polowaniem. No i te twoje sny... A teraz jeszcze to! Mieliśmy z matką nadzieję, że się ustatkujesz. Że twoja ekstrawagancka przeszłość zostanie zapomniana i staniesz się wzorem dla innych młodych harpii w naszym stadzie. A ty co? Niecały miesiąc po zrękowinach zostajesz wyrzucony! Która samica zechce teraz na ciebie spojrzeć i przyjąć cię do swego gniazda? – Rey zwiesił głowę. – Dobrze ci radzę, cokolwiek zrobiłeś, lepiej przeczekaj poza osadą, aż Madeleine przestanie się wściekać. Jak dobrze pójdzie, za miesiąc, dwa będziesz mógł wrócić. Zrób to, Jared, przez wzgląd na matkę – zakończył cicho.

Jared nigdy nie widział ojca tak poważnego. Zrozumiał, że sytuacja jest niewesoła. Nie chciał, żeby złość samic dotknęła bliskie mu istoty. Przełknął kolejną porcję żalu, ale spakował posłusznie kilka podręcznych drobiazgów i nad ranem ukradkiem opuścił nadrzewną osadę. Czarne skrzydła poniosły go dalej, niż chciałby lecieć. Stanowczo za daleko...

Świt – jakiś czas później

Poczułnagłe szarpnięcie, a potem zaczął spadać. To wybudziło go całkowicie. Lecąc w dół, raz po raz uderzał skrępowanym ciałem o konary i zahaczał skrzydłami o gałęzie. Bolało jak diabli. Nim z ogromnym impetem rąbnął o ziemię i wystające z niej korzenie, dotarło do niego, że jest uwięziony w sieci. Starał się uwolnić w locie, rozerwać ją pazurami, rozciąć nożem naprędce wyjętym zza pazuchy, na nic to jednak się nie zdało. Sieć była niezwykle mocna, a odległość do ziemi zbyt mała, aby zdążył się uratować.

Siła, z jaką uderzył o ziemię, na chwilę go ogłuszyła. Gdy się ocknął, był zdumiony, że w ogóle żyje. O niczym więcej nie zdążył pomyśleć, bo chwilę później ujrzał kilku trowów zbliżających się do niego z drwiącymi uśmiechami na twarzach. Większość z nich była niska, płowowłosa, zielonooka. Straszni i jednocześnie piękni.

– No, no, no... – zacmokał jeden, bardzo zadowolony. – A co my tu mamy? Nie jest to co prawda żaden z naszych przeklętych kuzynów elfów, ale i tak całkiem udane to polowanie. Samotna młoda harpia... Tak daleko od stada, od osady? – stwierdził, udając zdumienie. – To niezbyt rozsądne, bracie, zapuszczać się w nieznane rejony. Nie sądzisz? – Trow zaśmiał się cicho, ale groźnie. Pozostali także wyszczerzyli zęby w uśmiechu, a Jaredowi ciarki przebiegły po plecach.

– Nie wiem jak wy, ale ja mam ochotę pobawić się ptakiem. – Trow roześmiał się ze swego niewybrednego dowcipu, potem dobył noża i zdecydowanymi ruchami rozciął linę spinającą brzegi sieci. Brutalnym szarpnięciem postawił Jareda na nogi i nim ten zdążył wykonać jakikolwiek ruch lub choćby o nim pomyśleć, już był skrępowany inną liną. Poczuł paraliżujący strach. Wiele słyszał o mrocznych elfach z podziemnych miast. Opowiadano o ich brutalności, zamiłowaniu do okrucieństwa i zdrady. O braku miłosierdzia dla ofiar. Przestrzegano przed nimi młode harpie. Czasem docierały do niego jakieś smutne historie o śmierci w męczarniach tych nieszczęśników, którzy wpadli w ich łapska. Żałował biedaków, ale te opowieści dotyczyły zawsze kogoś z innej osady. Przydarzały się innym, nigdy jemu. Teraz przypomniały mu się i zrozumiał, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazł. Ze strachu niemal zapomniał oddychać. Z wielkim trudem panował nad drżeniem ciała. Trowy dostrzegły jego przerażenie i jeszcze bardziej je to rozbawiło.

– Randall! Rozpal ognisko! – rozkazał trow innemu. – Zdaje się, że pogrillujemy trochę.

Jared zrozumiał, o co chodzi, dopiero gdy całkiem pokaźne ognisko zapłonęło na dobre, a nad nim mroczny elf zwany Randallem umieścił ogromny drąg mający, zdaje się, służyć za... rożen?!

– Będzie kwiczał? – Randall wskazał głową Jareda.

– Założę się o mój topór, że będzie – zaśmiał się inny.

Spętane łapy, spętane ręce i skrzydła. O ucieczce mógł tylko marzyć. Czuł, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Starał się ze wszystkich sił zapanować nad coraz mocniejszym drżeniem ciała,

ale bezskutecznie. Teraz już nawet z daleka było widać, że harpia jest na skraju zawału serca, bo pióra furkotały niczym wstrząsane gwałtownym wiatrem.

– E, tchórzliwa ptaszyno! – rzucił ze śmiechem jeden z trowów. – Tylko nam się tu nie zesraj, bo będzie śmierdziało. A my, bratku, jesteśmy artystami w naszej profesji i estetami, musisz wiedzieć. Zabijanie to sztuka, więc nam jej nie zepsuj byle gównem. – Wszyscy zarechotali, a Jaredem wstrząsnęły jeszcze silniejsze dreszcze. – Aaaaa, no tak, zapomniałem, że u was to baby mają jaja – dodał ten sam trow i znowu zaczęli się śmiać.

Z ust Jareda wydobyło się ciche kwilenie. Inny mężczyzna podszedł do niego, kucnął i na jego otwartej dłoni pojawiła się maleńka istotka. Wyglądała niczym skrzyżowanie mikroskopijnej małpki z kotkiem. Jej ciało pokrywała srebrzystobiała łuska, miała długie szare włosy, zimne stalowe oczy i upiorne, podobne do rekina, ząbki. Trow popatrzył na stworzenie z czułością i pogładził po maleńkiej główce.

– Jeszcze za wcześnie na gelusa, Aidan – upomniał go któryś z kamratów. – Nasza ptaszyna musi na niego zasłużyć, nie uważasz? Jak będzie długo i pięknie kwiczał, to może litościwie pozwolimy mu go dobić. Tyle że ty, Aidan, musisz jeszcze nad swoim gelusem popracować. Mizerny jakiś taki, co nie? – Wyszczerzył zęby do kolegów.

– A twój to niby dorodny, co, Kieran? – Trow zwany Aidanem zacisnął pięść. Istotka zniknęła.

– Panowie, chyba nie będziecie się licytować, który z was ma większego? – rzucił z pobłażaniem Randall. – Wy tu o rozmiarach i innych pierdołach, a nasz pierzasty przyjaciel już nie może się

doczekać początku imprezki. – Cisnął w stronę przerażonej harpii coś, co wyglądało jak kula śnieżna.

Jared krzyknął. Tuż nad jego głową kula rozpadła się na milion białawych płomyków, które, powoli opadając, wyżerały jego tkanki niczym najsilniejszy kwas. Ku zadowoleniu oprawców harpia zaczęła jęczeć. Druga kula była smolistoczarna. Po dotarciu do łap swej ofiary rozpłynęła się grubymi kroplami, a te precyzyjnie skleiły palce harpii, parząc przy tym niemiłosiernie. I choć Jared rzucał się i wierzgał, za nic w świecie nie był w stanie strącić czarodziejskiej smoły. Randall podszedł do niego i też kucnął.

– To takie preludium, panie harpia. Mały wstępik do poważniejszej zabawy – poinformował lakonicznie. Zaszeptał coś pod nosem i teraz w jego ciemnej dłoni ukazały się srebrne obcęgi. Jared aż wciągnął powietrze, bo wyobraźnia już nie musiała mu podpowiadać, co będzie dalej. Poparzone i sklejone palce łap zastygły w sztywną skorupę. Randall niespiesznie pogładził je obcęgami.

– Cc-czemu t-to r-robiccie?!

– To proste, ptaszyno: dla sportu – mruknął w uprzejmej odpowiedzi trow. Sekundę później dziki skowyt rozdarł ciszę lasu, a po następnej ofiara znieruchomiała w kałuży ekskrementów. Randall się podniósł. W zaciśniętych obcęgach tkwiły jakieś pokrwawione fragmenty tkanek. Uniósł je nad głowę i zarechotał triumfalnie.

– Aidan, miałbym marnować energię gelusa na takie coś? To twój pierwszy zwiad na powierzchni, co? – Tamten zacisnął szczęki z upokorzenia, ale potwierdził skinieniem głowy. – To naucz się, młody, że harpie faceci srają ze strachu szybciej niż

evanthesy, ale ich baby... Lepiej ich unikaj. Zresztą mniejsza z tym. Trenuj swojego gelusa, ale używaj go tylko w poważniejszych sytuacjach.

– Nie mówiłem, że każdy jeniec w tym lesie jest mój? – Ostry głos przerwał zabawę oprawców. – Nie wspominałem, żeby niczego nie zaczynać beze mnie?! – Głowy trowów błyskawicznie odwróciły się w kierunku mówiącego. Odstąpili od swej ofiary i z widocznym respektem zrobili przejście dla nowo przybyłego. – Wystarczy was na chwilę spuścić z oczu i już robicie, co chcecie. Ten tam... – Wskazał głową Jareda. – Żyje jeszcze? – Szybko potwierdzili. – Dobrze. Wasze szczęście, że nie użyliście gelusów, bo nie wiem, co bym wam zrobił. – Kamraci spojrzeli po sobie spode łba.

– Zdążył tylko stracić kilka palców u łap, nic wielkiego. Skrzydeł żeśmy nie tykali. Jak kazałeś. – Randall wzruszył ramionami.

Długie spojrzenie zimnych szarych oczu dowódcy sprawiło, że trow momentalnie umilkł i jakby się skurczył w sobie.

– Zgaś ten ogień, durniu! – rzucił mężczyzna, wskazując ognisko. – Jesteśmy tu na zwiadzie. Nie uśmiecha mi się tłumaczyć przed jakimś merrillem, czemu szwendamy się po lesie, zamiast siedzieć w kopalni.

– No jasne, Sheridan, jasne – rzucił gorliwie Randall i szerokim ruchem ręki, jakby siał trawę, wyczarował strumienie wody, którymi zaczął polewać dopiero co rozpalony ogień. Płomienie z sykiem ustępowały kroplom wyczarowanej wody. Po chwili w miejscu ogniska została jedynie rozmoczona, przepalona breja. Postronny obserwator pomyślałby, że to ślad po pobycie niezbyt rozsądnych turystów, nic więcej.

Tymczasem Sheridan podszedł do odzyskującego przytomność Jareda. W przeciwieństwie do kompanów był jasnoskóry. Miał też jasne włosy i takie same oczy, co stanowiło wielką rzadkość wśród osobników jego rasy. Był także ponadprzeciętnego jak na trowa wzrostu. Całą swoją osobą wzbudzał podziw, szacunek, ale przede wszystkim strach, bo w jego stalowoszarych oczach nie dało się dostrzec kompletnie żadnych ciepłych uczuć. Przypominały dwie bryły arktycznego lodu.

Półprzytomny ze strachu Jared natychmiast zrozumiał, że jego sytuacja wcale się nie poprawiła. Wręcz przeciwnie, gorzej już być nie mogło, bo oto miał przed sobą arcymistrza wśród oprawców. Zaczął prosić w myślach wszystkie bóstwa lasu, by jego żywot zakończył się szybko. Tymczasem zamyślony Sheridan oglądał go badawczo. Dotykał piór na głowie, karku, skrzydłach.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić – mruknął i wyjął zza pazuchy pięknie zdobiony akwamarynem sztylet, którym sprawnie rozciął więzy Jareda.

Przerażona harpia nawet się nie ruszyła. Zachodziła w głowę, co zrobi Sheridan. Pozostałe trowy też obserwowały go z rosnącym zainteresowaniem. Ten magicznym gestem przywołał wielki kawał pnia jakiegoś drzewa. Następne zaklęcie rzuciło Jareda plecami na ten pieniek i rozpostarło jego skrzydła. W dłoni Sheridana pojawił się ogromny topór.

Obezwładniona czarami harpia nie była w stanie się ruszyć ani nawet jęknąć, gdy topór raz za razem opadał, miażdżąc i odcinając jej skrzydła u ich nasady. Kości zachrzęściły, trysnęła krew. Rubinowa kałuża z minuty na minutę powiększała się, lecz

Sheridan zdawał się nie zwracać na to uwagi. Interesowały go jedynie skrzydła ofiary.

Wkrótce jedno zostało już kompletnie odrąbane od ciała. Trow obejrzał je uważnie w pierwszych promieniach wschodzącego właśnie słońca. Nie znalazł jednak tego, czego szukał, odrzucił je więc z pogardą i zajął się drugim. To, już nadcięte, stawiało jeszcze opór ostrzu jego topora, chwycił więc koniec skrzydła i, wsparłszy stopę na barku harpii, zaczął je wyłamywać, klnąc przy tym wściekle.

Nagle jego uwagę przyciągnęły pobliskie zarośla. Puścił skrzydło i znieruchomiał, nasłuchując. W krzakach rozległ się bardzo donośny i wyraźny śpiew słowika. Sheridan uciszył kompanów gestem. Jeszcze sekundę nasłuchiwał, a potem wysyczał:

– Wynosimy się, ale już!

Dotknął pokrwawionymi dłońmi broszy na swej piersi i po chwili jego postać była jedynie koszmarnym wspomnieniem. Reszta trowów bez zwłoki podążyła jego śladem, a tymczasem z pobliskiego listowia wychynęła krzepka staruszka w zielonym płaszczu z kryształowym dzwonkiem w dłoni. Babulinka zatrzymała się przy zmasakrowanym ciele Jareda, pochyliła nad nim i przyjrzała uważnie. Potem sięgnęła zasuszoną, drobną dłonią do kieszeni płaszcza i wyjęła z woreczka z mocno sfatygowanej skóry coś, co wyglądało niczym zmielone szmaragdowe szkło. Posypała nim rany Jareda, a potem zadziwiająco energicznie potrząsnęła dzwonkiem i w niebo popłynął dużo głośniejszy trel słowików.

Ariel – dzisiaj

Ocknęła się na stercie kolorowych, lecz już gnijących liści. Dzień był słoneczny, ale bardzo zimny. Z jękiem podniosła się, rozprostowała obolałe ciało. Z jakiegoś powodu czuła ogromny smutek, a łzy same cisnęły się do oczu.

– Ale ziąb – mruknęła i wyczarowała ciepły sweter. Potem wyjęła z podręcznej torby paskudnego błotnistego gluta, jednego z tych, które dostała od Orestesa, i zaczęła go żuć, rozglądając się jednocześnie. Za plecami miała litą skałę, w której na próżno by szukać drogi powrotnej.

„O nie, już wolałabym potańcówkę z trollem. Rozpaczającym życzę wszystkiego naj... jednak w odwiedziny już nigdy się do nich nie wybiorę. Ciekawe, gdzie ja jestem? Zimno! I od kiedy tu są pory roku? Kurczę, Amanda tam została. Pewnie przyjdzie zamknąć ten diabelski wąwóz. Chryste, a jak i ją wciągnie?!".

Znów zaszczękała zębami.

Pomyślała, że spróbuje przefrunąć nad łańcuchem górskim, lecz z jakiegoś powodu jej potencjał magiczny w tym miejscu był niemal znikomy. Po kilku nieudanych próbach lewitacji i transformacji w różne zwierzaki stanęła pod ścianą, wsparła ręce na biodrach i mruknęła wkurzona:

– A żeby to gnomy! Tu magia też nie działa? Jak u centaurów? I co teraz? Musi być jakiś sposób na pokonanie tej cholernej skały.

Nic jednak nie przychodziło jej do głowy, pokręciła się więc po okolicy, obejrzała wszystkie załomy skalne, przetrząsnęła każdy krzaczek w poszukiwaniu czegoś, co umożliwiłoby jej powrót. Skała zdawała się drwić: „Odpuść, mała. Kolejny klaps może zaboleć dużo bardziej". Odgrażając się pod nosem: „Jeszcze zobaczymy, co kogo zaboli", Ariel ruszyła przez chaszcze ku dróżce, którą właśnie wypatrzyła. Dotarła do sporej alei porośniętej kasztanowcami. Przyjrzała im się uważnie. Liście zdawały się tworzyć żółtawą zaporę...

„No właśnie, co za nią jest?" – pomyślała i poszła dalej. Aleja łagodnie zakręcała w stronę jakichś zabudowań. Przykucnęła za pniem lipy. Okolica zdawała się wymarła. Na wszelki wypadek rzuciła zaklęcie niewidzialności. „ A niech to jasna...!". Splunęła ze złością, gdy okazało się, że obie stopy, kawałek prawej nogi i trzy palce lewej ręki nadal są widoczne. Ślina też była jak najbardziej widzialna. Ariel spojrzała na nią i poczuła się głupio.

„Pięknie! Nic dziwnego, że zawsze pakuję się w tarapaty. Czas w końcu zacząć kontrolować własne szaleństwo!".

Podążyła zatem jak najbardziej widzialna w stronę budynków. Niepewna, co tam znajdzie, zachowywała czujność. Były to zabudowania jakiejś fabryczki – przynajmniej w jej świecie tak by je zaklasyfikowano – otoczone niewysokim murem z cegieł.

– Poza dziewięcioma miastami są osady centaurów, harpii i Zielarzy, czemu więc nie miałoby istnieć jeszcze coś? Ten świat to jedna wielka zagadka – mruknęła. – Jak już człowiek zaczyna myśleć, że odkrył wszystkie tajemnice, to wyskakuje coś takiego. Znowu nie było o tym mowy w księgach. – Popatrzyła z niechęcią

na budowle. – I co to w ogóle ma być? Wygląda jak fabryka. Chociaż nie. To chyba...

Ruszyła wzdłuż ogrodzenia. Tak, miała rację. Zabudowania przypominały kopalnię.

Stuprocentowej pewności nabrała, gdy obok kilku niepozornych budynków z czerwonej i żółtej cegły zobaczyła komin i bardzo charakterystyczną dla dawnych kopalń wieżę szybową, którą transportowano górników pod ziemię i wywożono urobek. Teraz jednak wszystkie te zabudowania były w zupełnej ruinie; składowiska węgla zniknęły, a cały teren porosły chaszcze.

Ariel nie wiedziała zbyt wiele na temat takich miejsc. Zachowała w pamięci jednak z jakiejś wycieczki do podziemnego muzeum te wszystkie pomieszczenia, które służyły górnikom jako łaźnia czy lampownia. I pamiętała, jak zszokowana była wtedy Amanda, gdy przewodnik powiedział, że każdy górnik przed zjechaniem na dół dostawał indywidualny znaczek zwany marką. Po skończonej pracy musiał powiesić go na tablicy. Puste miejsce wskazywało, że ktoś został na dole. To właśnie po tych znaczkach identyfikowano nieszczęśników zabitych przez wybuch metanu lub przysypanych ziemią. Nie zapomniała, jak długo musiała wyjaśniać córce, po co ci mężczyźni codziennie narażali w ten sposób życie.

– To nie mogli znaleźć innej pracy? W biurze albo markecie? – gorączkowała się dziewczynka.

Jak miała jej wytłumaczyć, że w tamtych czasach innej pracy nie było? Podobnie jak marketów i wszystkich pozostałych zdobyczy cywilizacji. Stojąc naprzeciw opuszczonych zabudowań, z uśmiechem wspominała tamtą wycieczkę.

– Stare czasy, ale czy na pewno dobre? – szepnęła i ruszyła dalej. Powybijane szyby, wyłamane drzwi, gdzieniegdzie zapadnięte dachy podpowiadały, kto jest teraz użytkownikiem budynków. Szabrownicy. Nie musiała wchodzić do środka, żeby wyobrazić sobie obecny wygląd pomieszczeń. Zresztą w ogóle jej to nie interesowało. Przygnębiona dotarła do bramy. Uchylona, choć spięta zardzewiałym łańcuchem, odstraszała swoim wyglądem. I jeszcze ten pogięty kawał blachy z częściowo zatartym napisem: „Teren kopalni. Wstęp wzbroniony". Budka strażnika sprawiała wrażenie, jakby miała rozsypać się przy byle dotknięciu. Nie było tu nikogo, kto mógłby udzielić Ariel jakichkolwiek informacji o tym miejscu. Nawet stróżujących psów czy ochrony. Tymczasem ona nadal nie miała pomysłu, jak wrócić na drugą stronę łańcucha górskiego, a czas naglił. Rozejrzała się uważnie. Alejka, którą tu dotarła, prowadziła dalej w stronę... – aż potarła oczy w obawie, że to kolejna halucynacja – torów?!

– Niemożliwe! – sapnęła. – Ale jeżeli są tory, to jest i pociąg. No tak, tylko dokąd? Bo na pewno nie do Hogwartu.

Niemal pobiegła w tamtym kierunku. I rzeczywiście, wzrok jej nie mylił. Na dodatek tory były w całkiem dobrym stanie. Żadnej rdzy czy panoszących się krzaków. Szyny wręcz lśniły, podkłady także zdawały się pochodzić z innej epoki niż zabudowania pokopalniane. Usłyszała cichy gwizd i odwróciła się zaciekawiona. Gdzieś daleko ujrzała małą ruchomą kropkę, która z każdą chwilą rosła i coraz bardziej hałasowała. Zerknęła w drugą stronę. Stacja! Bez namysłu, potykając się na nierównym gruncie, pędem ruszyła w tamtym kierunku. Lokomotywa za jej plecami zbliżała

się, wyrzucając obłoki pary wodnej i dymu, dysząc niczym rozjuszone zwierzę.

– A niech to!

Pociąg już ją doganiał i choć czuła, że nie zdąży dobiec do stacji, zacisnęła zęby i jeszcze przyspieszyła. Była jakieś sto metrów od dworca kolejowego, gdy ciemnozielony metalowy potwór minął ją z impetem, a dojechawszy do stacji, wcale się na niej nie zatrzymał. Po chwili widziała już tylko jego tylne światła, kiedy znikał jej z oczu.

„Czas popracować nad kondycją. Latka już nie te..." – pomyślała, dysząc ciężko.

Machnęła zrezygnowana ręką, otarła pot z czoła i mrucząc: „I tak by się nie zatrzymał", poszła w stronę budynku. Prezentował się równie marnie jak zabudowania po byłej kopalni. Szyld z nazwą już dawno zjadła wszechobecna rdza i na białym niegdyś tle zostały jedynie literki „rr" i „e". Peron był jeden, mały i do tego brudny, a osamotniona ławeczka chyba już wieki temu została pozbawiona deski w oparciu. Drzwi do poczekalni zwyczajnie nie było. Okienko kasowe przesłaniała ogromna pajęczyna. Znajdował się tu jeszcze zegar, oczywiście tak samo martwy jak reszta urządzeń w tym budynku, z mieszkaniem kolejarza włącznie. Cisza, pustka i samotność były przytłaczające. Ariel odruchowo zerknęła na tablicę z rozkładem jazdy.

– Zresztą niby dokąd miałabym jechać? – pomyślała na głos. Omiotła wzrokiem zamknięte kioski, oferujące kiedyś przekąski czy gazety, przechowalnię bagażu, łuszczącą się farbę na drzwiach do toalet, a potem ponownie spojrzała na tablicę z rozkładem jazdy. Przez moment zastanawiała się, co jest w niej takiego

szczególnego, że przykuwa wzrok niczym gwiazda filmowa na premierze. Dopiero po chwili do niej dotarło: tablica przedstawiała aktualny dla jej czasów rozkład jazdy, na dodatek z nazwą jej miasta! Zdewastowana ławeczka jęknęła, gdy Ariel z wrażenia na niej przysiadła. Przez chwilę wpatrywała się w tablicę, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, a potem wybiegła przed budynek dworca i odczytała będący w nieco lepszym stanie szyld: „Witamy w Morren City".

– Morren City?! – Pędem wróciła do poczekalni, aby sprawdzić, o której będzie następny pociąg. Za dwie godziny. – Zaraz, zaraz, ale to by znaczyło, że... wąwóz tak naprawdę jest jednym wielkim portalem! – mruczała, gryząc paznokcie z ekscytacji. – Miejmy nadzieję, że do mojego świata, a nie kolejnego równoległego. Jeśli tak, to muszę się dostać do domu. Do Marcusa. I jeśli chcę odnaleźć Amandę, powinnam ponownie przejść przez któryś z autoryzowanych portali. Dwie godziny czekania na pociąg to strasznie długo.

Niestety poszukiwania innego środka transportu spełzły na niczym. Pomyślała, że zadzwoni na komórkę Marcusa, ale jedyny automat telefoniczny był wypatroszony niczym świąteczny indyk. Poczuła się głodna i w poszukiwaniu błoto-glutów od Orestesa zaczęła przetrząsać torbę. Swojej komórki oczywiście tam nie znalazła, ale w którejś z kieszonek natknęła się na kilka dawno zapomnianych banknotów.

Doszła do wniosku, że skoro ma dwie wolne godziny, to może napić się kawy i przeczytać gazetę w jakimś tutejszym bistro – o ile takie znajdzie – zamiast bezczynnie tkwić w tym miejscu. Niespiesznie ruszyła ku wyjściu. Przed budyneczkiem stanęła

i pozwoliła oczom przywyknąć do oślepiającego blasku słońca. Potem powoli podążyła chodnikiem z fantazyjnej mozaiki w kierunku najbliższych zabudowań.

– Czy to jest TO Morren City, o którym zawsze opowiada Natalie? – wspomniała głupiutką pogodynkę, rozglądając się po miasteczku. – Coś nie widać tych ulew i tajfunów.

Miasteczko lata świetności miało już za sobą. Tylko wprawne oko konesera byłoby w stanie dostrzec pod odpadającymi tynkami i łuszczącą się farbą artystyczny zmysł budowniczych kamieniczek, piękne płaskorzeźby i malunki. Kute żelazne balustrady balkonów i tarasów bardziej przyciągały wzrok brudem niż maestrią wykonania, a dziury w mozaice chodnikowej bardziej irytowały, niż kazały podziwiać pracę brukarzy. Dziwne i nie na miejscu były tu neony i szyldy znanych koncernów światowych, przytwierdzone do rozpadających się ścian. Połączenie znamion luksusu z powszechną biedą i brudem robiło przygnębiające wrażenie.

Ariel co chwila łapała się na absurdalnym spostrzeżeniu, jak piękne byłoby to miasto, gdyby te wszystkie mijane kamieniczki odrestaurować, usunąć szpecące je anteny satelitarne oraz neony reklamowe.

Napotkała pierwszych mieszkańców. Mijali ją w milczeniu, jacyś tacy zamyśleni. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, nie pozdrowił, nie przesłał uśmiechu. Zupełnie jakby była niewidzialna, a przecież nie była.

Dotarła do dosyć sporego rynku. Zerknęła na tabliczkę z napuszoną nazwą. Fakt, był dość spory, jednak nie powalał urodą, choć zabudowano go kamienicami o fasadach jakby

żywcem skopiowanych z projektów Gaudiego, a chodniki wyłożono mozaiką o kolistych wzorach. Trudno też było mówić, że to centralny punkt miasta, biorąc pod uwagę aktywność jego mieszkańców. Panowała tu równie ospała i apatyczna atmosfera jak na okalających go uliczkach. Kilka ławek, brzydka fontanna w formie maszkar wyprawiających dzikie harce, posąg mężczyzny na jakimś zwierzaku i drzewo. To wszystko, co tu było.

Najciekawsze wydawało się drzewo. Nie miała pojęcia, co to za gatunek, i mało ją to obchodziło, ale zaintrygował ją jego kształt. Wyglądało niczym pochylona lekko do przodu postać z rozłożonymi na boki rękami, a może skrzydłami. Nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie je widziała. Pewnie w telewizji. Podążyła następną uliczką, bo i tu nie znalazła żadnej czynnej kafejki. Kawałek dalej był kolejny placyk, a na nim... Zamrugała, nie wierząc własnym oczom. Wśród starej secesyjnej zabudowy ujrzała nowoczesną galerię handlową!

– Zaraz, zaraz, Natalie mówiła, że mają tu nowego, prężnie działającego burmistrza – przypomniała sobie słowa pogodynki i zerknęła na wielki przeszklony gmach, który chyba powinien był wtopić się w krajobraz miasta, ale mimo wysiłków architektów nic z tego nie wyszło. Tkwił na tym placyku niczym ogromny, dorodny rodzynek na małym kawałku nieświeżego ciasta.

Ariel stała chwilę kompletnie zaskoczona. Błękit nieba podejrzanie szybko zaczęły przykrywać ołowiane chmury i rozsądek nakazywał poszukać schronienia. Znalazła je wewnątrz budynku dokładnie w tym samym momencie, gdy pierwsze ciężkie krople nadciągającej nawałnicy zadudniły o chodnik.

– Cholerni płanetnicy! – zaklął rudobrody facet, mijając ją w dziwnych podskokach. – Zabraliby się do uczciwej roboty, zamiast włazić mroczniakom w dupska! Parszywe sługusy! – Splunął z obrzydzeniem pod nogi, a potem pstryknął palcami i w jego dłoni pojawił się nie wiadomo skąd płaszcz przeciwdeszczowy. Mężczyzna okrył się nim i wyszedł na spotkanie burzy. Nieco skonsternowana zachowaniem faceta Ariel ruszyła w głąb galerii...

Jack

Podszedł do bramy. Piękna, ciężka, żelazna. Arcydzieło kowalstwa. Czas jednak zostawił na niej ślady. Brud, tu i ówdzie pajęczyny, a dookoła gęste zarośla. Wszędzie rzucał się w oczy brak obecności człowieka: wysokie krzaki, uschnięta trawa i chwasty rosnące wzdłuż pięknego niegdyś ogrodzenia, tuż przy bramie i zaraz za nią. Dużo, bardzo dużo czasu musiało upłynąć, odkąd ktoś tu był. Ścieżka również okazała się zarośnięta chaszczami. Najbardziej zaskoczyła go jednak dziewicza biel śniegu pokrywającego dróżkę i wszystko wokół. W mieście go nie było. Jesień dopiero się kończyła.

„Dziwne" – pomyślał.

Zdecydował się iść dalej. Coś mu podpowiadało, że być może właśnie na tym zabytkowym cmentarzyku wykona unikalne fotografie, które staną się później ozdobą ekskluzywnego albumu o starodawnych nekropoliach, a z niego zrobią prawdziwego artystę fotografika.

– Hej! – zawołał, żeby upewnić się, czy jest tutaj sam. – Halo! Jest tam kto?!

Cisza. Próbował popchnąć skrzydła bramy. Z jego ust wydobywała się mgiełka pary wodnej. Musiał mocno się natrudzić, nim jedno z nich ze zgrzytem uchyliło się do środka.

Zasapany wkroczył na teren cmentarza. Cisza i spokój bijące od tego miejsca były fascynujące.

Odetchnął głęboko i zapadając się raz po raz w głębokim śniegu, pomału ruszył przed siebie. Gdzieś nad jego głową zatrzęsła się gałąź i spadło trochę śnieżnego puchu, a później jakieś ptaszysko wystraszone jego obecnością w popłochu uciekło z tego miejsca. Parę kroków dalej, przed zakrętem gęsto obsadzonym ośnieżonymi krzakami, ujrzał... białego królika. Był duży, bardzo duży. Widział kiedyś podobnego, gdy robił zdjęcia na jakiejś wystawie hodowlanej. Zdaje się, że nazywali go baranem francuskim czy jakoś tak. Siedział tam i ani drgnął, wpatrując się w Jacka niesamowitymi błękitnymi oczami. Mężczyzna poczuł się nieswojo, zupełnie jak na egzaminie. Pomyślał, że to głupie, bo przecież królik to królik, i ruszył dalej. Zwierzę zastrzygło uszami i także majestatycznie się oddaliło.

Mężczyzna dotarł do zakrętu. Serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył, CO kryje się dalej: park cały zasypany śniegiem, a pomiędzy drzewami przepiękne zabytkowe nagrobki. O dziwo, alejki i pomniki były uprzątnięte z białego puchu. Zafascynowany Jack omiótł teren wzrokiem. Jego umysł zarejestrował mistrzowsko wykonane kamienne rzeźby, a dłonie automatycznie sięgnęły po aparat fotograficzny. Z nabożnym podziwem chodził od jednego grobowca do drugiego i pstrykał jak oszalały. Płaskorzeźby, napisy, czasem fotografie zmarłych... Pracował jak w transie, nie chcąc przegapić niczego ważnego.

Nie miał pojęcia, ile to trwało, ale z tego zapamiętania wyrwało go ciche... warknięcie. Oderwał oczy od obiektywu i zastygł w przerażeniu. Parę metrów od niego, tuż obok posągu śpiącego

anioła, siedział... biały wilk. I, podobnie jak królik, do maleństw nie należał! Patrzył na Jacka, wyszczerzając swoje wielkie zębiska. Mężczyzna powoli zrobił kilka kroków w tył. Strużki potu spłynęły mu po plecach. Zwierzę obserwowało go uważnie. Przełykając nerwowo ślinę i zaciskając ze strachu zęby, Jack dotarł w końcu z powrotem do zakrętu. I właśnie wtedy, jakby czekając na ten moment, wilk skoczył do przodu, on zaś pognał na oślep przed siebie. Tuż przed samą bramą Jack poczuł uderzenie w plecy i gorący oddech przy uchu, a zwierzę wychrypiało:

– Masz coś mojego. Oddaj mi to!

Chciał się podnieść, ale nie mógł, bo wilk siedział mu na plecach. Ale jeśli to był wilk, to jakim cudem gadał? Jack odwrócił głowę w bok i nabrał powietrza.

– Oookej, aaale zleź ze mnie!

Po chwili ciężar na plecach zmalał, a gdy Jack się odwrócił, ujrzał... bladego mężczyznę z białymi włosami do ramion, w białym futrze i białych skórzanych butach. Tylko oczy zdradzały, że jeszcze chwilę wcześniej był wilkiem, a przedtem... królikiem?! Facet wyciągnął rozkazująco rękę.

– Dawaj! – wycedził, a Jack drżącymi rękami wyjął kartę pamięci z aparatu, ale jednocześnie poluzował pokrywę przytrzymującą baterie. Natychmiast wylądowały w śniegu. Rzucił się ku nim, nie zważając na krzyki mężczyzny, a poszukując ich w zaspie, dyskretnie podmienił kartę pamięci na inną, jeszcze niezapisaną. Tamten wyszarpnął mu ją i z nieukrywanym zadowoleniem rozdeptał butem. Jack odgarnął mokre od śniegu włosy.

– Królik, wilk, a teraz człowiek. Kim jesteś? – wydyszał.

Mężczyzna spojrzał na niego spode łba.

– Nie twój zakichany interes! – warknął i nim Jack zdążył uskoczyć, znowu przemieniony w wilka pacnął go łapą w czoło. Ostatnią rzeczą, którą Jack zobaczył, były ośnieżone konary drzew i błękit nieba między nimi...

W holu galerii wpadła do kiosku z gazetami i nerwowym ruchem wyszarpnęła jedną.

– Hej, za to się płaci! – oburzył się staruszek dorabiający tu jako sprzedawca. Mruknęła „dziękuję” i położyła przed nim kilka monet, lecz nawet na niego nie spojrzała, zajęta przeglądaniem pisma. Czuła, że musi potwierdzić swe podejrzenia.

– O nie! – wykrztusiła, bo gazeta była z poniedziałku i na pierwszej stronie widniało nazwisko zwycięzcy w wyborach prezydenckich.

„Wróciłam. Czyli to prawda: wąwóz to portal!”.

– A jednak, moja droga – szepnął konspiracyjnie staruszek. – A jednak. Niestety, wygrał. Nie mam pojęcia jak, bo nie znam nikogo, kto na niego głosował. Uwierz, mnie też zmartwił ten wynik.

Skinęła dziadkowi głową, jakby zgadzając się z nim, i podążyła schodami ruchomymi na piętro, gdzie na równie przeszklonej galeryjce mieściła się niewielka kawiarenka. Postanowiła tu przycupnąć i przy filiżance kawy przeczekać te dwie godziny.

– Chochlikowe Marzenie? Elfią Serenadę? – zapytała kobieta za kontuarem.

Zajęta przeglądaniem gazety, Ariel spojrzała na nią kompletnie zdezorientowana.

– Eeee...

– Może Dziewiczą Noc Syreny albo Wściekłość Krasnoluda? – ponowiła pytanie sprzedawczyni. – No to co w końcu podać?

Dopiero w tej chwili domyśliła się, że kobieta wymienia nazwy jakichś napojów.

– Tylko kawę. Słodzoną, z mlekiem. I może pączka? – dodała z miną przepraszającą za to, że żyje. Nie zrobiło to jednak na kobiecie wrażenia. Otaksowała ją jedynie uważnie, a potem kiwnęła głową w stronę okna.

– Tamten stolik jest wolny. Będzie z niego dobry widok, jeśli takie lubisz, kochanieńka. Ale jak masz słaby żołądek, to lepiej usiądź pod ścianą.

– Przy oknie będzie w porządku – odpowiedziała Ariel z wymuszonym uśmiechem. Zanim ruszyła w stronę stolika, zdążyła jeszcze zauważyć zszokowaną minę barmanki, lecz nie zastanawiała się nad tym, zajęta własnymi problemami. Widząc kolejny automat telefoniczny, postanowiła jeszcze raz spróbować szczęścia. Dziwnie się czuła, wykręcając numer komórki Marcusa, i już kombinowała, co mu powie, gdy usłyszała po drugiej stronie swój własny, jakże uprzejmy głos, mówiący: „Cześć, tu Addie, żona Marca. On sam nie może odebrać tego połączenia, więc jeśli masz coś pilnego, to się nagraj”.

Pamiętała, jak nagrała mu ten tekst, zanim załapał, do czego służy komórka. Teraz jednak była zbyt zmartwiona, więc nawet

nie uśmiechnęła się na tamto wspomnienie.

„Chryste, Marcus, odbierz!" – zaklinała rzeczywistość, ale długi dźwięk automatycznej sekretarki podpowiedział jej, że z rozmowy nic nie wyjdzie, więc głośno i wyraźnie zaczęła mówić do telefonu.

– To ja. Nie uwierzysz, ale jestem w Morren City. Dostałam się tu przez wąwóz, który jest za Kamieniołomem Demonów, a tak naprawdę stanowi portal do naszego świata, ale przy okazji straciłam całą swoją magiczną moc. Nie znalazłam Amandy, nie wiem, czy jest tutaj, czy jeszcze tam. Spotkałam Xaviere'a. Mam ci... Szlag! – Usłyszała sygnał i połączenie zostało przerwane. Spróbowała jeszcze kilka razy zadzwonić, ale słyszała już tylko: „Abonent chwilowo poza zasięgiem".

„A niech to! Tyle razy mu tłumaczyłam, po co się ładuje komórki! Marcus, cholera, komórka to nie *perpetuum mobile*!".

Klnąc pod nosem, podeszła do wskazanego stolika.

W lokalu było bardzo ciepło, więc zdjęła sweter i przewiesiła go przez poręcz krzesła. Rozłożyła gazetę i wróciła do czytania tekstu. Niebo za oknem jeszcze bardziej pociemniało i po chwili błyskawice rozdarły granatową kurtynę chmur. Kelnerka przyniosła zamówioną kawę i ciastko. Ariel oderwała wzrok od gazety, aby jej podziękować, i wtedy zobaczyła coś zaskakującego i nierealnego. Niebiosa nad Morren City rzuciły się z furią na miasteczko, jakby chciały je i jego mieszkańców unicestwić.

– Dobry Boże, a cóż to takiego? – wyszeptała i omal się nie przeżegnała.

Wsparła dłonie o szybę i z rozdziawionymi ustami obserwowała spektakl, jaki rozgrywał się nad zalanym deszczem rynkiem.

Po niebie gnało kilku młodych długowłosych mężczyzn, dosiadających chmur niczym szalejących rumaków, śmiejąc się przy tym upiornie. Na linach zakończonych srebrzystymi hakami ciągnęli kolejne ciemnoszare chmury. Woda ściekała strumieniami po włosach, ubraniach i butach młodzieńców, lecz oni zdawali się tego nie zauważać, poganiając batami swoje obłoczne wierzchowce.

„Płanetnicy? Tutaj? Do tego cierpiący na wściekliznę burzową?" – pomyślała.

Tymczasem jeźdźcy, okrążywszy rynek, smagnęli biczami zniewolone chmury, a te w świetlistych rozbłyskach piorunów wylały na miasto hektolitry wody. Ariel ocknęła się z pierwszego szoku, gdy jeden z mężczyzn przemknął tuż obok okna, przy którym siedziała. Zaśmiał się dziko i potrząsnął głową. Krople wody strząśnięte z jego szarych włosów odbiły się z impetem od tafli szyby.

Ariel kompletnie zapomniała o gazecie i pociągu, bo oto deszcz – tak przynajmniej pomyślała – spowodował ożywienie fontanny. Maszkary zaczęły się poruszać, trzymając się za ręce. Przypominały bajkowe fauny w jakimś zaciętym tańcu. Wirowały coraz szybciej i szybciej, przytupując miarowo, i Ariel dałaby sobie głowę uciąć, że nuciły przy tym jakąś ponurą pieśń, której słowa ginęły w odgłosach nawałnicy. Chwilę później tańczące posągi usunęły się na bok, a misa fontanny pękła na pół i zaczęła się pomału rozsuwać. Oczy zapiekły Ariel. Szybko potarła je pięściami, nie chcąc nic uronić z tego zdumiewającego przedstawienia.

Rynek zaroił się od ludzi. Byli niscy, smukli, w większości jasnowłosi i ciemnoskórzy, odziani niczym harleyowcy, w skórzane spodnie i kurtki nabijane ćwiekami. Stroju dopełniały buty stylizowane na oficerki, tyle że z cholewką sięgającą za kolano, oraz fantazyjnie zawiązane na lewym ramieniu srebrzyste bandany. Wszyscy byli uzbrojeni, głównie w łuki, noże, ale też topory, kusze i inne przedmioty, których przeznaczenia Ariel mogła się tylko domyślać. I absolutnie wszyscy z pogardą odnosili się do paskudnej pogody, choć wydawało się, że nad samą płytą rynku przestało padać. Przybywali pieszo lub konno z bocznych uliczek, ale także na stworzeniach podobnych do latających dinozaurów.

„Zaraz, zaraz, czy to... viverny?!" – pomyślała Ariel, obserwując te istoty tak podobne do smoków, tyle że sporo mniejsze, z jedną parą łap i skrzydeł oraz ogonem zakończonym grotem. Dotąd była przekonana, że to mityczne stworzenia...

„No, ale czy Croy lub Neret są bardziej prawdziwi?".

Z dziury po fontannie zaczęło wyłaniać się coś, co przypominało kilka dużych akwariów połączonych szklanymi rurami. W wypełnionych mętną wodą zbiornikach siedziały istoty będące w połowie ludźmi, a w połowie rybami. Syreny. Ariel ujrzała kilka kobiet w różnym wieku, z długimi włosami poprzeplatanymi wodorostami. Było też paru mężczyzn o dzikim wyrazie twarzy i kilkoro zapłakanych dzieci, których skóra miała zielonkawy odcień.

Zupełnie zapomniała o kawie. O oddychaniu niemal też. Nadzorcy biedaków, małe, złośliwe karły o długich brudnych brodach, machali ostrymi trójzębami i coś pokrzykiwali.

Zrozumiała, że zachwalają „towar”. Od czasu do czasu dźgali którąś ze swych ofiar, a ta wydawała przeraźliwe krzyki. Kupcy pertraktowali zajadle, a gdy już dobili targu, upatrzony niewolnik spływał szklaną rurą do małego pojemnika transportowego, by za chwilę zniknąć wraz ze swym nowym panem w jednej z bocznych uliczek.

Tuż przed odjazdem do każdego biedaka podchodził krzepki mężczyzna i specjalnym urządzeniem przebijał płetwę ogonową, pozostawiając solidny metalowy kolczyk. Ból musiał być niewyobrażalny, bo co jakiś czas któryś z niewolników mdlał. Inni krzyczeli lub wymiotowali. Ariel też zemdliło, zwłaszcza gdy ujrzała młodą, śliczną dziewczynę, która miotała się rozpaczliwie w swoim akwarium, błagając o litość dla kogoś bliskiego.

Wkrótce tłum kupców przerzedził się i Ariel dojrzała rozpłatany do połowy ogon jakiegoś mężczyzny, wyjątkowo zajadle broniącego się przed kolczykowaniem. W jednej chwili woda w akwarium poczerwieniała, w drugiej odsłonięte kości ogona nieszczęśnika uderzyły o ścianę naczynia. Sekundę później szklana tafla pękła, a ciężko ranny mężczyzna wypłynął wraz z krwawą zawartością zbiornika na kamienne płyty rynku. Dziewczyna z sąsiedniego akwarium zemdlała, a wijącego się z bólu biedaka dopadły rozzłoszczone karły z trójzębami. Nim jednak zdążyły okrutnie dobić swą ofiarę, Ariel zobaczyła, jak podchodzi do nich postawny mężczyzna o krótkich srebrnych włosach i takiej samej brodzie, który moment wcześniej zeskoczył z grzbietu swego viverna. Na jego ramieniu siedziało – niczym oswojona papuga – przedziwne srebrnobiałe stworzenie.

– Ja go skądś znam... Chryste, czego on chce?! – szepnęła, widząc materializujący się nie wiadomo skąd topór w rękach mężczyzny.

Karły poszeptały między sobą, a potem, kłaniając się nisko, wycofały się, robiąc miejsce srebrnowłosemu. Ten rzucił handlarzom kilka monet i podszedł do umęczonego trytona. Coś do niego powiedział, później roześmiał się, zakręcił młynka toporem i jednym ciosem odciął krwawiący ogon swej ofiary. Uważnie przyjrzał się odrąbanej płetwie. Widać nie znalazła uznania w jego oczach, bo odrzucił ją pogardliwie, po czym skinął na karły. Te w sekundę doskoczyły do trytona i zatopiły trójzęby w jego bokach. Wszystkiemu przyglądali się beznamiętnie inni tłoczący się dookoła kupcy. Incydent tylko na chwilę zakłócił makabryczne targowisko; gdy zwłoki trytona zostały wywleczone z placu, jak gdyby nigdy nic powrócili do handlowania.

Przyglądanie się tej scenie tak bardzo Ariel pochłonęło, że nie zauważyła, iż sama jest przedmiotem obserwacji. Jej wydawane półgłosem jęki ściągnęły uwagę kelnerki, a potem barmanki. Kobiety wymieniły między sobą szybkie spojrzenia i chwilę później Ariel usłyszała cichy szept:

– Zdaje się, że nie powinnaś tu być.

A potem świat dookoła zniknął...

Na przemian odzyskiwała i traciła przytomność. Niewielkie błyski światła przeplatały się z oceanem mroku. Te wszystkie istoty naprawdę stały wokół niej? Coś mówiły. Ale co? Nie słyszała. Nie pamiętała. Ktoś potrząsnął ją za ramię. Głowa opadła do tyłu. Wokół niej rozległy się szepty. Przyjaciele czy wrogowie? Znowu zapadła ciemność...

Sheridan

Niewielki skwerek obok zdewastowanego placu zabaw nie zachęcał do odwiedzin o tak późnej porze. Światła płonęły w oknach pobliskich domów niczym latarnie wyznaczające kurs wędrowcom, na tyle głupim, by szwendać się po mieście w tę zimną noc. Srebrnowłosemu mężczyźnie nie przeszkadzał jednak ani chłód, ani mrok. Przeszkadzała mu świadomość, że za tymi radośnie rozświetlonymi oknami nadal żyją istoty, których jeszcze sobie nie podporządkował.

– Ale już niedługo – mruknął.

Rozsiadł się na ławce. Wyciągnął przed siebie obute w ekstrawaganckie oficerki nogi i zaciągnął się głęboko papierosem, chwilę wcześniej wyjętym z kieszeni kurtki. Papieros. Jedyny wynalazek, za jaki cenił ten ludzki motłoch. I może jeszcze cheeseburgery. O tak, mógłby za nie zabić, tak samo jak za te złociste smażone patyczki. Jak ludzie na nie mówią? Fretki? Mniejsza z tym. Wyobraźnia podsunęła mu gorącą bułkę z kotletem. Poczuł głód, ale odgonił z umysłu wizję ludzkiego żarcia, podobnie jak obraz soczystej pieczeni z evanthesów. Na nagrodę przyjdzie czas. Teraz miał coś do zrobienia. Na tyle ważnego, że absolutnie nic nie mogło mu przeszkodzić. Czubek jednego buta niecierpliwie stukał o drugi, a palce dłoni bębniły w dziwacznym rytmie o ławkę. Czekał.

Słowo „cierpliwość” nie figurowało w jego słowniku, ale wiedział, że inaczej się nie da. Nie wolno poganiać wysłannika. Tym razem nie może być mowy o pomyłce. Zbyt wiele razy jakiś ludzki śmieć był brany za coś wyjątkowo cennego. Jeśli znowu zginie kilka postronnych osób, pal sześć, ale cyborium... Bo jeśli tym razem to w końcu jest cyborium, to MUSI żyć – przynajmniej na razie – i wpaść w jego ręce!

Gdzieś blisko zaskrzypiał żwir. Srebrnowłosy mężczyzna spojrzał w tamtą stronę. Idący chwiejnym krokiem i przeklinający pod nosem człowiek nie był tą osobą, na którą czekał.

„Menel – pomyślał zdegustowany. – Ludzie to przedziwne istoty. Potrafią robić tak wiele niesamowitych rzeczy, których my nie umiemy. Ale potrafią też bardzo nisko upaść...”.

– Eee, gośćiuu! – mruknął pijak, który właśnie dotarł do jego ławki.

Mężczyzna udał, że go nie dostrzega, choć pijus stanął tak blisko, że trudno było nie wyczuć silnego odoru wódy.

– Teee, f-faz-zet! – powtórzył pijak. – Zzzpierdalaj z mojej ławki, nie? C-co, kurrwa, ogłuchłeźź czy jak?

Mężczyzna podniósł wzrok i z błogością pomyślał, co zrobiłby tej ludzkiej gnidzie, gdyby miał pełnię sił magicznych, po czym zapytał podejrzanie uprzejmie:

– To twoja ławka, Will?

Pijak wyglądał na mocno zaskoczonego.

– Cz-czy ja cie, kolleź, kurrwa, znam? – odparł. – Kojot jezdem, aa nie żaaden Will! A t-ty, g-gnoju, zajmujesz mojją ławke!

To nie był dobry moment na awantury z tym śmieciem. W każdej chwili mógł się pojawić wysłannik. Ściąganie na siebie

uwagi w tym miejscu i o tej porze też było kiepskim pomysłem.

– Nie denerwuj się, Kojot – powiedział mężczyzna uspokajającym tonem. – Pewnie mnie nie pamiętasz. Poznaliśmy się jakiś czas temu. Jim jestem – rzucił naprędce wymyślone imię. – Chciałem się tylko przywitać i chlapnąć z tobą małe co nieco. – W jego ręku pojawiła się, nie wiadomo skąd, butelka jakiejś gorzały. – Ale oczywiście skoro moje towarzystwo cię wkurza, to spadam – zakończył pogodnie.

Na widok flaszki pijak wytrzeszczył przekrwione oczy i jego cuchnąca gęba rozciągnęła się w obleśnym uśmiechu.

– Ty s-se, kurde, jaja z-ze mnie r-robisz? – Wyciągnął łapska do butelki i czknął donośnie. – Ty s-se, kurde, jaja z-ze mnie r-robisz? – powtórzył i wyszarpnął flaszkę z rąk mężczyzny.

Nieznajomy z zainteresowaniem godnym naukowca przyglądał się menelowi, jak ten przymyka zapuchnięte oczy i z błogim uśmiechem zaczyna pochłaniać zawartość butelki.

– Długo tak potrafisz? – zainteresował się srebrnowłosy. Will otworzył oczy i zerknął na niego, a potem wyszczerzył resztki zębów w parodii uśmiechu i potwierdził skinieniem głowy. – To nie krępuj się, jak to mówią: do dna. Widzę, że ci smakuje. Niech zgadnę: tak dobre, że nie sposób się oderwać od butelki?

Pijak jeszcze nie skojarzył, o co chodzi, ale gdy chciał odpowiedzieć, okazało się, że flaszka dosłownie przyrosła do jego warg. Zaczął się jakiś dziwny pojedynek. Will za wszelką cenę chciał oderwać butelkę od ust, a butelka... za nic nie chciała go puścić! Mocował się z upiornym szkłem, ale bezskutecznie. Szyjka flaszki zaczęła rozciągać się i owijać wokół głowy faceta. Ten machał rękami, sapał, potem niemal wył. Mężczyzna w oficerkach

z wyraźną uciechą przyglądał się przez kilka minut temu pojedynkowi. Zdawało się, że sam z sobą robi zakłady o to, kto kogo pokona, lecz sapiący i jęczący menel widać w końcu go znudził, bo pstryknął palcami i butelka rozciągnęła się jeszcze bardziej, dosłownie pochłaniając nieszczęśnika.

– Na rozrywkę jeszcze przyjdzie czas – mruknął i kolejnym pstryknięciem zdematerializował swoją zdobycz.

„Gdybym miał więcej czasu i był w pełni sił magicznych, tu i teraz zabawilibyśmy się, Kojot, a tak będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać na imprezę w mojej rezydencji. Ale uwierz, to będzie dłuuuga balanga i nie zapomnisz jej do śmierci". Uśmiechnął się ponuro pod nosem. Nagle coś odwróciło jego uwagę. Poderwał głowę. Powietrze zafalowało i oczom mężczyzny ukazała się tak długo oczekiwana postać.

– Gelus?!

– Panie.

– Namierzyłeś?

– Tak, panie.

Śnieżnosrebrzysta istota oddała głęboki pokłon, a kryształowe pasma długich włosów opadły, przesłaniając alabastrowe czoło i zimne szare oczy. Krótka rączka pokryta śnieżnymi łuskami i zakończona takimi pazurami podała mężczyźnie jakieś szkiełko. Ten, trzymając je w jednej dłoni, drugą przesunął nad jego powierzchnią. Tafla niewielkiego kryształu ożyła i zaczęły się pojawiać mknące w niesamowitym tempie obrazy. Kiedy ostatni z nich zniknął z powierzchni szkiełka, mężczyzna włożył kryształ do kieszeni kurtki.

– Dobrze się spisałeś, gelus. – Odetchnął głęboko mroźnym powietrzem nocy i omiótł spojrzeniem okolicę. – Bardzo dobrze – powtórzył – ale teraz twoja rola się kończy. Możesz wrócić do leża. Aha, odesłałem do rezydencji butelkę z zabawką w środku. Niech nikt ze służby jej nie dotyka. Ma czekać w holu na mój powrót. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, być może pozwolę ci pobawić się jej zawartością. – Pogładził istotę po głowie niczym ulubionego psa.

– Tak, panie. Jesteś bardzo łaskawy, panie. – Gelus ponownie pokłonił się i jego niesamowite srebrzyste ciało zaczęło rozpływać się w promieniach księżyca, by po chwili stać się już tylko wspomnieniem.

Tym razem ocknęła się na dobre. Kręciło jej się w głowie i lekko ją mdliło. Siedziała w jakimś, nawet wygodnym, fotelu. Wyczuwała obecność wielu osób i intrygujący zapach miodu i wanilii. Wszyscy o czymś dyskutowali, a może po prostu się kłócili? Do jej oszołomionego mózgu docierały fragmenty rozmów.

– Dobra, to co z nią robimy?

– Wywal ją kilka ulic dalej. Najlepiej koło Parszywej Śliwki. Jak się obudzi obok jakiegoś ćpuna, to pomyśli, że sama ćpała. I że wspomnienia o targu syren to tylko narkotyczne wizje.

– A jeśli to prawda? No to, co mówiła o wąwozie? Wydamy ją wprost w łapy Sheridana. Może lepiej zawiadommy yermina?

– Na racice ojca wszystkich faunów! Hadrian, czy emeralium całkowicie przepaliło twój centaurzy mózg? Plotła bez sensu! Po tym zaklęciu oszałamiającym nawet yerminowi wszystko by się popieprzyło. A przez wąwóz się nie przechodzi, bo go po prostu nie ma. To tylko legenda. Tam są jedynie wysokie góry, nic więcej. Ile razy mam to wbijać do twojego tępego końskiego łba? I ani słowa o cyborium! Jasne?

– Patrz, Edwin, chyba się budzi! – usłyszała Ariel i zobaczyła nad sobą czyjąś twarz. Jej kontury były rozmazane, podobnie jak reszta otoczenia. Jakieś wyjątkowo duże brązowe oczy przyglądały jej się uważnie. – Jak się nazywasz? Kim jesteś? To o wąwozie to prawda?

– Ariel Odgeon – szepnęła z trudem. – Naczelny Czarnoksiężnik trzeciego miasta, choć nazywają mnie też Dziewiątym Magiem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Okej, jednak wywalę ją koło Parszywej Śliwki – usłyszała jeszcze i znowu pochłonęła ją ciemność.

Jakiś czas potem ocknęła się w tym samym fotelu. Aromat miodu i wanilii też był identyczny. Tylko w pomieszczeniu zrobiło się sporo tłoczniej. Znowu wszyscy o coś się sprzeczali. Wyglądało na to, że o nią.

– Zaraz, zaraz! Czy ja dobrze rozumiem? Gadająca kobyła, zarośnięty kurdupel, rudy dziwoląg z rogami i... – rzuciła ostro jakaś kobieta.

– ...i nimfomanka? – podpowiedział „życzliwie” męski głos.

– ...i JA – odparła kobieta wściekłym tonem, jednocześnie celując paluchem w Ariel – mamy uratować tego bladego

chudzielca przed wrednym zbokiem?

Ariel dyskretnie uchyliła powieki. Zadziornej kobiety nie zobaczyła, ale za to dojrzała zamazany obraz stojących opodal fauna i centaura. Zresztą rozpoznała ich po głosach. Panowie zerknęli na siebie z konsternacją, a potem z dezaprobatą na kobietę.

– Ekhm, mniej więcej – wykrztusił w końcu centaur.

„Raaany, ależ to dziewczę ma słownictwo! Gdyby nie nieszczęśliwy splot zdarzeń, który zmusił nas do współpracy z nią... Czy wszystkie syreny mają tak paskudny charakter jak Carol?" – dotarły do Ariel strzępy jego myśli.

– Fajnie! – Carol skrzywiła się w odpowiedzi. – Tylko po jaką cholerę, skarby wy moje?

– Już ci tłumaczyliśmy – zirytował się Edwin. – Być może to cyborium. Jedyne! – dokończył niemal nabożnie.

– Jasne, cyborium – odparła z lekceważeniem. – Ale dalej nie rozumiem, czemu jej nie zlikwidujecie, skoro jest tak niebezpieczna? Mielibyście szybko i prosto problem z głowy.

– Nie możemy, przecież wiesz! – zaprotestował faun, ale jego słowa zagłuszył głos centaura.

– Pomożesz nam czy nie, do jasnej cholery?! – wrzasnął.

– Kopsnij browar, to pogadamy – rzuciła złośliwie. Potyczki słowne z Hadrianem bardzo ją bawiły, a jego doprowadzały do morderczej pasji. Uwielbiała go wkurzać. I często jej się to udawało. Teraz też zobaczyła, jak zaciska pięści i zgrzyta zębami. Spojrzała kpiąco w jego ciemne centaurze oczy. Była ciekawa, jak długo wytrzyma, nim w końcu da się sprowokować.

– Uspokójcie się – odezwał się inny głos. – Nie czas na kłótnie. Oczywiście, że Carol nam pomoże. I to całkiem bezinteresownie, prawda, Carol? – Z ciemnego kąta wyłonił się niski mężczyzna z rudymi dredami opadającymi na ramiona. Spomiędzy strzechy kłaków wystawały dwa niewielkie różki. Cała czwórka umilkła i z szacunkiem wpatrzyła się w mężczyznę. – A teraz chyba czas na pogawędkę z naszym obudzonym gościem...

Wykonał jakiś gest i Ariel zobaczyła, że znajdują się w przestronnym pomieszczeniu. Niemal całe ściany zajmowały regały z książkami. Między nimi wisiał obraz z harpią na polowaniu, pośrodku były sofa, stół i kilka różnej wielkości i kształtów foteli oraz schody prowadzące na piętro, też nie do końca normalne. Składały się bowiem z kilku różnych części. Jedna przypominała trap spuszczany ze statku, tyle że szeroki i zakręcający po łuku w dół, druga normalne schody ze zwykłą poręczą, trzecia schodki z maleńkimi stopniami. Jeszcze dalej znajdowała się zjeżdżalnia, cały czas spłukiwana niewielkim strumieniem wody zasilającym basenik, w którym... pławiła się dziewczyna z czarnym warkoczem do pasa i z kpiącym uśmiechem na ślicznej buźce popijała piwo prosto z butelki. Ariel spojrzała na nią zaskoczona, gdyż syreny zawsze kojarzyły jej się z istotami bardzo subtelnymi, o nienagannych manierach. A o tej tutaj na pewno nie można było tego powiedzieć.

Oprócz dziewczyny był tu także niskiego wzrostu mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, z kartoflowatym nosem nad sumiastymi wąsami. Brody nie miał, za to spod czapki wystawała strzecha potarganych ciemnych włosów. Ubrany był w strój myśliwego. Brakowało mu jedynie myśliwskiego rogu i fuzji, jak

w myślach zauważyła Ariel. Zapewne był jakąś odmianą krasnoluda. Czystego krasnoluda!

Obok niego stał młody mężczyzna wyglądający niczym krzyżówka wyluzowanego latino chippendalesa z prymusem z Eton, tyle że w miejscu, gdzie powinny znajdować się jego nogi, był tułów konia. Okulary bez oprawek nadawały mu wygląd nauczyciela, lecz muskularne ciało podpowiadało, że lekcje, jakich mógłby udzielić swym uczniom, nie miałyby nic wspólnego z wysiłkiem umysłowym. Włosy ściął ewidentnie po to, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Ariel pomyślała, że to bez sensu, bo nawet gdyby owinął się w papier toaletowy, nadal wyglądałby smakowicie. Jak to centaur, nie?

„Hadrian" – pomyślała. Normalnie nie miała nic przeciwko centaurom, krasnoludom czy syrenom, ale ci tutaj nie wyglądali zbyt przyjaźnie. W końcu chcieli ją zostawić koło jakiejś knajpy dla ćpunów.

W pomieszczeniu był jeszcze chudy gość z brązowymi włosami, źrenicami kozła i racicami, który gapił się na nią wyczekująco.

„To pewnie faun Edwin" – pomyślała.

Czwarty, ten z rudymi dredami – nie miała pojęcia, czy to na pewno człowiek – trochę przypominał Krespiana. Zdawał się mieszaniną wszystkich tych istot po trochu. Jego wodniste błękitne oczy patrzyły uważnie na Ariel. Kiedy założył nogę na nogę, zobaczyła, że jego stopy także zakończone są raciczkami. Chryste, miał również ogon, który miarowo niczym u kota kołysał się na boki! Stwór podrapał się po policzku porośniętym łuską i wtedy okazało się, że jego palce zakończone są ptasimi szponami i połączone błoną. Ariel przymknęła oczy, zastanawiając się,

w jakie bagno tym razem wdepnęła. W jednej chwili wróciły też wszystkie wspomnienia z potwornego targowiska syren. Miała wielką nadzieję, że jedynie śni. I że sen za chwilę się skończy. Tymczasem grupa dziwolągów w milczeniu patrzyła na nią i Ariel wiedziała, że ją oceniają. Nie znała tylko powodu tego „egzaminu".

– Jestem yermin – powiedział wreszcie ten rudy. Czuła, że jest w stanie odczytać każdą jej myśl, choćby nie wiadomo jak mocne adger zastosowała, więc od razu darowała sobie to zaklęcie. Zresztą czy nadal umiała czarować? Zaczynała mieć coraz poważniejsze wątpliwości. Coś było nie tak z tym miastem i miejscem. Zupełnie jakby odbierały wszelkie takie moce w przeciwieństwie do świata dziewięciu miast. A może tylko JEJ odbierały? Tymczasem rudzielec kontynuował rozmowę, a był przy tym zaskakująco grzeczny.

– Witam cię w naszej skromnej siedzibie. Ta miła dziewczyna w baseniku jest, jak się zapewne domyślasz, syreną, i ma na imię Carol. To Hadrian, centaur, oraz Edwin, faun, i Clive, krasnolud. W naszej grupie są jeszcze Madeleine i Aeryn, harpia, która lada moment powinna do nas dołączyć. A teraz bądź tak uprzejma i opowiedz nam coś o sobie, bo jestem zdumiony, że ty, człowiek, widzisz nas tak, jak normalnie wyglądamy, chociaż zażyliśmy emeralium, czyli mieszaninę kilku minerałów pozwalających nam na jakiś czas przyjmować ludzką postać. No więc kim jesteś i czemu nasz widok wcale cię nie dziwi? – Mówił tak cicho, że zastanawiała się, czy naprawdę wypowiedział te słowa, czy też usłyszała je w swoim mózgu. A choć sformułowane były szalenie uprzejmie, umysł odebrał je niczym rozkaz.

– Ariel Odgeon. Jestem Naczelnym Magiem w świecie dziewięciu miast za łańcuchem górskim.

Miała wrażenie, że mówiła to już wiele razy, choć nie pamiętała kiedy.

– A nie mówiłem?! – Hadrian aż podskoczył. – Non stop to powtarzała!

Yermin uśmiechnął się do niego. A było w tym uśmiechu coś takiego, że centaur momentalnie zamilkł i przysiadł niedaleko trapu wiodącego na piętro.

– Pokonałam wąwóz, bo muszę odnaleźć córkę – ciągnęła Ariel, choć nie rozumiała czemu, bo przecież nikt jej o to nie prosił. – Nazywa się Amanda. To nastolatka, ma ciemne włosy i jest bardzo podobna do mnie.

Tamci wpatrywali się w nią w milczeniu. Pierwszy znowu odezwał się yermin.

– Czarownica, tak? Hmm, byłoby miło usłyszeć o twojej przeprawie przez ten wąwóz.

– Przecież wąwóz nie istnieje! Mówiłeś, że to tylko przenośnia, mentalne przejście od mroku do światła, połączone z cierpieniem. Myślałam, że cyborium to właśnie taka osoba po przejściach. Mędrzec, który wskaże nam drogę, powie, jak zniszczyć mroczniaki. A tymczasem ten wąwóz naprawdę istnieje, tak jak i świat za nim? Okłamałeś nas! – wtrąciła zdenerwowana ciemnoskóra kobieta, którą Ariel dopiero teraz zauważyła. Rudzielec rzucił jej ostre spojrzenie i natychmiast umilkła. Dziwnie pospiesznie zajęła miejsce w fotelu pod oknem. Stamtąd bacznie przyglądała się Ariel i reszcie towarzystwa.

– To co z tą przeprawą? Opowiesz nam o niej? – Yermin złożył dłonie jak do modlitwy i oparł na nich brodę. Błękitne oczy skupiły się na Ariel, a ta natychmiast wykonała niewypowiedziany na głos rozkaz.

– Moja córka Amanda zniknęła. Szukałam jej we wszystkich najbardziej prawdopodobnych miejscach, ale nigdzie jej nie było. Ktoś zasugerował mi, że zmierza do wąwozu – tego przy kopalni – żeby go zamknąć. Podążyłam za nią. Wąwóz... – Wyobraźnia znów przywołała obraz skalistych czeluści. Ariel na moment przymknęła oczy, lecz szybko otrząsnęła się z ponurych wspomnień. – Wąwóz mnie wciągnął. Jest jak mroczny drapieżnik. Te skały, te wszystkie uwięzione w nich istoty... Biegłam nim, uciekałam, a ściany falowały i ci nieszczęśnicy mnie gonili – szeptała niczym w gorączce. – Błagali, bym ulżyła ich cierpieniom. Przelewali na mnie całą swą rozpacz, ból i smutek. Myślałam, że oszaleję. Że skała mnie pochłonie i zostanę tam z nimi na zawsze. Ten mrok! Muszę się go pozbyć! Jestem – mówiła przez łzy – niczym naczynie wypełnione po brzegi ich udręką...

– Naczynie. Cyborium. A więc to prawda – wyszeptał Hadrian.

Yermin nawet nie odwrócił w jego stronę głowy. Jedynie wzrokiem dał znak, że zgadza się ze słowami centaura.

– Chcę tylko znaleźć córkę. Nie opowiem nikomu o targu syren, możecie być pewni, ani o tym, co się tu dzieje. Zresztą kto by mi uwierzył...

– Bardzo przepraszam – wtrąciła Carol – ale czy ktoś może mi wyjaśnić, jakim cudem ta istota ludzka nas WIDZI? Coś mi się nie

chce wierzyć, że to ona ma być tym całym cyborium. A w ogóle może to jakoś udowodnić?

– Ma kilka blizn i... tatuaż ze smokiem nad lewą piersią – szepnął Hadrian, nie patrząc na innych.

Zapadła długa cisza. Wszyscy patrzyli na centaura jak na ducha.

– Uuuuuu! – zawyła Carol i zaśmiała się bezwstydnie. – Obmacałeś ją! Brawo, mój drogi. – Zaklaskała teatralnie. – Robisz postępy. Jak tak dalej pójdzie, może nawet przestaniesz być prawiczkiem. Już wiem, skąd się wzięło powiedzenie o końskich zalotach.

– Tylko sprawdzałem, czy nie ma broni! – wymruczał Hadrian; błyski w jego oczach zdawały się mówić, że lada chwila przetrzepie syrenie łuski.

– Tiaa, jasne! I znalazłeś dwie sterczące bomby...

– Carol! Hadrian! – rozkazującym szeptem uspokoił ich yermin.

– I co z nią zrobimy? – spytała ciemnoskóra kobieta. – Wiesz, co się stanie, jeśli Sheridan się o niej dowie.

– Ochrona cyborium to nasze zadanie. I ekstrakcja. Wiecie o tym...

– Bardzo przepraszam, że przerywam tę interesującą rozmowę – wtrąciła Ariel – ale nie wiem, czy zauważyliście, że nadal tu jestem. Może przestaniecie mówić o mnie tak, jakbym była kawałkiem soczystej wołowiny, którą trzeba chronić przed stadem wilków. Nie wiem, co to cyborium, i nie chcę wiedzieć. To wasze sprawy. Muszę lecieć na stację, żeby zdążyć na pociąg...

– Ten, który jest w rozkładzie jazdy, ale nigdy się tu nie zatrzymuje? – zakpił Edwin. – To mam smutną wiadomość: zwiał.

Jak zwykle.

Teraz Ariel niemal miała morderstwo w oczach. Przebywanie w obcym mieście w towarzystwie nieobliczalnych dziwolągów i słuchanie ich bzdur o jakichś cyboriach to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

– I może mi nie uwierzysz – ciągnął faun – ale to my jesteśmy ci „dobrzy". Nie chcesz się natknąć na Sheridana i jego kumpli, zapewniam cię. Więc jeśli pragniesz wyjść z tego żywa, lepiej trzymaj się nas.

– Żywa?! – Ariel wytrzeszczyła oczy. – Chcesz mi powiedzieć, że ktoś w tym mieście na mnie poluje? Nikogo tu nie znam i nikt nie zna mnie. Mało tego, jestem tu pierwszy raz w życiu i do tej pory słyszałam o Morren City tylko z ust głupiutkiej telewizyjnej pogodynki Natalie. A teraz mam uwierzyć, że ja, całkiem niezła do tej pory czarownica, zginę bez waszej ochrony, nie znając nawet przyczyny?

– Z ochroną zresztą też – zarechotała syrena.

– Carol! – ponownie rzucił yermin, tyle że głośniej. – Nie strasz tego człowieka.

– Albo to pierwsze cyborium, które zginie? – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Sam mówiłeś, że do tej pory żadnego nie udało się utrzymać przy życiu, to o co chodzi?

Ariel szczęka opadła.

– Tamte istoty jednak nie były cyboriami. Okazały się zwykłymi ludźmi. Wiesz o tym doskonale. Ale poznaliśmy sposób działania Sheridana i umiemy przewidywać, co zrobi. To daje nam przewagę. No i on nic nie wie o Ariel. – Yermin wydawał się nadzwyczaj spokojny, tyle że Ariel nie.

– Wiecie, nie chcę być nieuprzejma, ale mam głęboko w końcowym odcinku prostnicy całe Morren City z jego problemami – przerwała im. – Jak dla mnie może was tajfun zmieść albo powódź pochłonąć. To nie moja wojenka. Z tym całym Sheridanem bawcie się sami, bo ja drugi raz nie dam się wkręcić w takie afery. Wystarczy mi tych, które miałam za wąwozem. Wracam do poszukiwania córki. Pa!

Podniosła się z fotela i ruszyła ku drzwiom.

– Nie wydostaniesz się tak łatwo z tego miasta. Lasy obstawione są przez mroczniaków, a autobusów czy pociągów prawie nie ma. Bez nas będzie ci ciężko – powiedział spokojnie yermin.

– Ale za to macie obrotnego burmistrza i nowiutką galerię handlową. Gdybym nie wiedziała, że to Morren, pomyślałabym, że jestem w Londynie albo Mediolanie, tak świetnie jest zaopatrzona. I ty mi chcesz wmówić, że tu nic nie dojeżdża? Błagam, Yermin, czy jak tam masz na imię, jeśli chcesz wciskać kit, to naucz się to robić naprawdę dobrze. Na razie nie nabrałbyś nawet przedszkolaka! – zadrwiła bezlitośnie.

– Yermin to gatunek, nie imię, a transporty są kontrolowane. Przez mroczniaków, rzecz jasna. W ten sposób dają mieszkańcom złudzenie wolności. Pomóż nam, a my pomożemy tobie. Wskaż nam drogę, a powiemy ci, gdzie jest Amanda, i umożliwimy ucieczkę.

– Wiesz, gdzie jest Amanda?! Jednak tu przybyła?!

Odpowiedziało jej tak obojętne spojrzenie, że aż poczuła się nieswojo.

„Nie chciałabym grać z nim w pokera – pomyślała. – Jeśli jednak coś wiedzą... Amanda przebyła wąwóz przede mną?! Czemu jej nie zauważyłam? A może to blef?”.

– W pokera grać z tobą nie będę, a czy blefuję, przekonasz się niedługo – szepnął yermin, a jej aż ciarki przeszły po plecach. Obiecała sobie popracować nad adger. – Jeśli jednak moja oferta cię interesuje, to zapraszam. – Ponownie wskazał fotel. – Żeby nasza współpraca miała sens, wyjaśnię ci kilka rzeczy – zaproponował, gdy Ariel już usiadła. – Czy wiesz, co to są Pióra Wiedzy, Władzy, Porządku, Przeznaczenia? Nie? I nie słyszałaś też o cyboriach, merrillach, gelusach? No tak – stwierdził spokojnie. – Nie mogłaś. Jesteś tylko człowiekiem...

– Jestem aż człowiekiem, więc nie mów o mnie tak, jakbym była czymś gorszym!

– Źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi tylko o to, że ponieważ jesteś człowiekiem, na dodatek spoza tych terenów, nie możesz znać faktów, które dla faunów, syren, krasnoludów, trowów czy yerminów są oczywiste. Wygląda na to, że najpierw będę musiał trochę ci o nas poopowiadać.

Ale w tej sekundzie yerminowi przerwały dobiegające z zewnątrz wrzaski, a później głośna eksplozja, po której okna przepięknego apartamentu stały się wspomnieniem. Kaskada szklanych okruchów posypała się srebrnym deszczem na głowy obecnych, a potem rozpętało się piekło. Najpierw Ariel zobaczyła, jak ściana oddzielająca salon od reszty apartamentu wylatuje w powietrze, a fragmenty cegieł, tapet, tynku i drewna fruwają dookoła, raniąc każdą żywą istotę, która niefortunnie stanęła na ich drodze. Duszący dym, jaki uniósł się po rozwaleniu ściany,

skutecznie ograniczył widoczność, ale i tak dostrzegła sporą grupkę istot biegnących w jej kierunku. Wszyscy i wszystko wokół pokryte było grubą warstwą pyłu i brudu. W następnym momencie zobaczyła ogień w rogu pomieszczenia i zrozumiała, że dłużej nie sposób zastanawiać się nad ucieczką. Wmieszaną w tłum kobietę dojrzał krasnolud Clive i pociągnął za rękaw.

– Tędy! Ariel, tutaj! – krzyknął, wskazując maleńkie drzwiczki ukryte pod obrazem z polującą harpią. – O nas się nie martw! Zawsze udaje nam się uciec! – zapewnił ją, uchylając się przed przelatującą koło jego głowy belką. – Jak wyjdziesz ze stawu, kieruj się koło pizzerii Lorelei w stronę piekarni U Barneya. Za nią jest pustostan. Na samej górze mamy awaryjną kryjówkę, świetnie zaopatrzoną. Korzystaj do bólu. Kłódka otwiera się na hasło: „Nie taki yermin zły, jak go malują". Czekaj tam, nigdzie nie łaź i pamiętaj, że liczymy na ciebie! – wrzasnął, popychając skołowaną kobietę w głąb przedziwnej rury i zatrzaskując za nią drzwiczki. Nim dotarło do niej, co się dzieje, jej kryjówka zmieniła położenie i zamieniła się w coś w rodzaju zjeżdżalni, jakie spotyka się w akwaparkach. Ariel zaczęła gwałtownie się zsuwać, a potem gnać ciemnym tunelem. Jedyne, co mogła w tej sytuacji zrobić, to mocno zacisnąć powieki. Nad panicznym wrzaskiem nie potrafiła już niestety zapanować. Kilka minut później, które zdawały jej się wiecznością, tunel wyrzucił ją wprost do lodowatej sadzawki w parku, parę ulic od feralnej kamienicy. Gdy drżąc z przerażenia, próbowała nie zwymiotować i zdjąć z siebie gnijące w wodzie listowie, do jej uszu dobiegły kolejna eksplozja, a potem wycie syren strażackich. Nie ociągając się dłużej, popędziła bocznymi uliczkami.

Dopiero gdy upewniła się, że nikt jej nie ściga, zatrzymała się i przycupnęła za jakimś śmietnikiem. Siedziała tam kilka długich minut, łapiąc gwałtownie powietrze.

„Co za parszywe miasto" – pomyślała.

Wyjrzała z zaułka. Gdzieś w oddali ujrzała łunę pożaru trawiącego apartament dziwolągów. Miała nadzieję, że wyszli z tego żywi, choć odgłosy akcji ratowniczej zdawały się mówić coś innego.

„Co to miało być? Czy to sprawka tego całego Sheridana, którego tak się boją? Clive mówił, żeby poczekać w kryjówce. I tak nie mam gdzie przenocować. Może jutro wszystko się wyjaśni i dowiem się w końcu czegoś o Amandzie. Jezus Maria, jak ja to robię, że non stop ściągam na siebie kłopoty? Zupełnie niczym krwisty kawał mięcha przyciągam różnej maści rekiny. Szkoda, że tu nie ma Marcusa. Na pewno coś by wymyślił. Oby tylko nic im się nie stało...".

Nadal nieźle wystraszona wyszła z zaułka i kierując się wskazówkami krasnoluda, dotarła pod wskazany adres. Ciemna, śmierdząca uryną brama, podobnie jak świeżutkie wymiociny i puste butelki po tanim winie, miała zniechęcać niepożądanych gości – i trzeba przyznać, że robiła to znakomicie. Pokonując odrazę, Ariel wspięła się po krzywych schodach na poddasze, uważając, by nie skręcić nogi. Drzwi na strych były równie brudne i rozlatujące się, jak cała reszta budynku. Na dodatek zamknięte przerdzewiałą kłódką. Stanęła przed nimi i się zawahała.

„Do kogoś w tym ślicznym mieście jednak muszę mieć zaufanie – pomyślała. – Jak to szło? Aha, chyba tak: »Nie taki yermin zły, jak go malują«.

Kłódka zadrżała, jakby przeciągnęła się, zrzuciła z siebie rdzę i... upadła z głuchym odgłosem na podłogę. Kobieta podniosła ją i pchnęła jednym palcem rozpadające się drzwi. W chwili, kiedy przekroczyła próg strychu, kłódka wyrwała się z jej dłoni i ponownie zamknęła drzwi od zewnątrz.

Pomieszczenie rozświetliły kinkiety. Ariel rozejrzała się z ciekawością. Jakby na przekór paskudnej bramie i ohydnym drzwiom wejściowym, poddasze urządzone było ekskluzywnie; oprócz jednego otwartego pomieszczenia z wydzielonym aneksem kuchennym znajdowały się tu jeszcze salon i biblioteka. Kilkoro drzwi zapewne wiodło do sypialni czy łazienki.

– No dobra, poczekam. Oby ta banda magicznych komandosów rzeczywiście szybko się zjawiła – mruknęła. Mokre i brudne ubranie przylepiło się do wychłodzonego ciała. Pomyślała, że jeśli szybko go nie wysuszy, do rana będzie chora. – Mam nadzieję, że się nie pogniewacie, zresztą Clive mówił, żeby ze wszystkiego korzystać. – Przetrząsnęła szuflady komody w poszukiwaniu czystych ciuchów, a potem się wykąpała. Ciepły prysznic, świeże ubrania i obfity posiłek, jaki znalazła w lodówce, oraz herbata z rumem zrobiły swoje. Po półgodzinie czekania zasnęła na kanapie otulona grubym kocem.

Tej nocy

Wrzaski mężczyzny wybijały miarowy rytm w jej głowie. Wyrwana ze snu w pierwszej chwili pomyślała, że facet ćwiczy wschodnie sztuki walk i wspiera się bojowym okrzykiem.

„Ale czy musi trenować tak późno?". Wprawne ucho zaczęło jednak wyłapywać przy każdym następnym krzyku inne dźwięki: skowyt bólu i jęki, a potem nagle zapadła cisza.

– Chryste! Choć raz chciałabym spać głębokim, zdrowym snem, bez koszmarów, i obudzić się wypoczęta – jęknęła i zwinęła się pod kocem. Tym razem udało jej się zasnąć na nowo, ale gdzieś koło godziny 1:45 jeszcze raz obudziły ją krzyki. Zirytowana, że już nie zaśnie, wsunęła kapcie na grube skarpety, które miała na stopach, i nie zapalając światła, wyszła na balkon. Potarła dłońmi zaspane oczy, zamrugała, żeby odgonić resztki snu, i wbiła wzrok w ciemność. Noc była pochmurna i bezksiężycowa, a latarnie z jakiejś przyczyny pogasły. W kompletnych ciemnościach słychać było jedynie szelest liści drzew i odgłosy bitwy kotów o wyjątkowo atrakcyjną kotkę. Ariel ponownie zmusiła oczy do wysiłku. Dalej nic. Krzyki już się nie powtórzyły. No tak, teraz, kiedy całkiem się rozbudziła, wszystkie powody, by nie spać, zniknęły.

Wkurzona poszła po omacku do aneksu kuchennego. Zapaliła światło i wstawiła wodę na herbatę. Skoro i tak sen ma z głowy, może trochę pooglądać telewizję. Ale niby czemu miałaby to robić

na głodniaka? Czując wyrzuty sumienia, że wyjada dziwolągom zapasy z lodówki, zaczęła przygotowywać sobie kanapki. Z talerzem pełnym pajd chleba grubo posmarowanych dżemem wiśniowym i z kubkiem herbaty owocowej wróciła do salonu i włączyła telewizor.

„To nocne obżarstwo przed telewizorem to paskudny nawyk, ale co poradzę? Szczęście, że mam taką szybką przemianę materii. Kurczę, gdzie oni są? Może przesłuchuje ich policja?" – pomyślała.

Na ekranie pojawiło się logo stacji i w tym momencie... znowu usłyszała krzyk! Talerz niemal wypadł jej z rąk. Pospiesznie go odstawiła, zgasiła lampkę i jeszcze raz wyszła na balkon. Wpatrzyła się w mrok i nadstawiła uszu niczym myśliwy tropiący zwierzynę. Teraz już miała pewność, że to nie sen. I nagle w ciemnościach, nieco na lewo i trochę w górę od jej balkonu, błysnął błękitny punkt. Skupiła wzrok na tym miejscu. Oczy zabolały z wysiłku. Po dłuższej chwili... punkt zaczął się przybliżać, ukazując coraz więcej dziwnych szczegółów!

W pokoju bez okien oświetlonym niebieską poświatą klęczał na podłodze nagi mężczyzna z włosami do ramion; ręce miał skute z tyłu. Obok, odwrócony do Ariel plecami, stał inny, który sprawiał wrażenie kompletnie niezainteresowanego klęczącym więźniem, bo całą swą uwagę skupił na przedziwnym drzewku bonsai, które gęsto obsiadły różne gatunki motyli. Tak bardzo go zaabsorbowały, że zdawał się nie dostrzegać małej postaci o srebrzystobiałym ciele, lodowatym spojrzeniu i służalczym uśmiechu na upiornej buźce. Potworek ten metodycznie batożył nagie ciało więźnia. To właśnie kolejne razy rozrywające tors i plecy mężczyzny były przyczyną jego słabnących krzyków.

Ku zdumieniu Ariel pokój zdawał się „jechać” w jej stronę, zupełnie jak gdyby był przyciągany za pomocą jakiejś liny! Pomyślała, że to głupie i kompletnie niemożliwe, ale on dosłownie rósł przed jej oczami, ujawniając coraz to nowe makabryczne szczegóły. Pomyślała, że musi coś zrobić, aby to przerwać, a nie potrafiła się nawet poruszyć. Mogła tylko stać, gapić się i czuć łzy spływające po policzkach na widok srebrzystego potworka katującego swą klęczącą ofiarę.

Wreszcie błękitny pokój zacumował tuż przy jej balkonie. Lodowa istota o łuskowatym ciele i srebrnobiałych długich włosach wyszczerzyła ostre ząbki w uśmiechu, gdy pejcz kolejny raz uderzył więźnia. Ariel spojrzała z litością na mężczyznę. Nie wiedziała, kim jest, bo jego głowę spowijał ciemny obłok. Słyszała tylko te cholerne krzyki. Rzemienny bat z pięcioma końcówkami kolejny raz zawisł w powietrzu i wtedy ujrzała, że jego zakończenia są... maleńkimi paszczami jakichś drapieżnych istot. Przy każdym uderzeniu zębiska wbijały się w bezbronne ciało, pomnażając ból i zadając rany spływające świeżą krwią. Stąd ciało ofiary miało ten niesamowity odcień czerwieni. Mężczyzna stojący do niej plecami nadal zajmował się motylami i drzewkiem; teraz spryskiwał liście jakimś płynem, co natychmiast spowodowało żarłoczne zainteresowanie motyli. Ruch dłoni pana. Kolejny obłoczek sprayu przywabia motyle. Ruch ręki sługi. Kolejne uderzenie bata spadło na plecy więźnia. Makabryczna monotonia. Ruch dłoni pana... Ruch ręki sługi... Ruch...

– Nieeeee! – Ariel w końcu wydobyła z siebie głos.

Ręka sługi... zawisła i znieruchomiała w powietrzu! Kobieta zamrugała gwałtownie, gdy szklistoszare oczy potworka

przeniosły się z więźnia... wprost na nią! To, co ujrzała w źrenicach stworzenia, zdławiło ją strachem. Batożenie ustało. Zlany potem i krwią więzień ciężko dyszał, a potwór gapił się na Ariel. Zrozumiała, że ją dostrzegł i że teraz to ONA będzie w niebezpieczeństwie, ponieważ to jej przyjdzie zająć miejsce nagiego więźnia. Szpony panicznego strachu zacisnęły się na jej gardle. Plecy spłynęły lodowatym potem. Wszystkie te odczucia spotęgowały się chwilę później, gdy opiekun motyli w końcu dostrzegł przerwę w „pracy" swego sługi i zaczął powoli, niczym na zwolnionym filmie, odwracać się w jej stronę...

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Czuła, że musi się dowiedzieć, kto jest autorem tego brutalnego spektaklu, choć zdawała sobie sprawę, że za nic nie powinna tego robić. Wiedziała, że gdy mężczyzna w końcu odwróci się do niej i ujawni swą tożsamość, będzie zgubiona. Wiedziała, ale nie mogła przestać patrzeć. Jeszcze sekunda, jeszcze jeden ruch i źrenice opiekuna motyli wreszcie spoczęły na niej.

– To nnniemożliwe! – wyszeptała.

Dłoń mężczyzny uniosła się w jej stronę. Coś w niej trzymał.

– Nie! – krzyknęła ponownie i szarpnęła się w panice do tyłu. Błękitny pokój zaczął się oddalać w szybkim tempie. Dostrzegła jeszcze mieszaninę zadowolenia i złości na twarzy opiekuna motyli i... gwałtownie otworzyła oczy. 3:18. Leżała zwinięta w kłębek pod totalnie splątanym kocem i starała się opanować szaloną galopadę serca i drżenie dłoni. Po chwili poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Po drodze zapaliła wszystkie lampki. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Nie chciała zasnąć. Zwłaszcza w ciemnościach. Czerwone cyferki na budziku

uświadomiły, że to wszystko było jedynie koszmarnie realistycznym snem. Znowu, cholera! Jej wzrok padł na półeczkę i leżące tam tabletki nasenne. A więc nie tylko ona ma kłopoty ze spaniem? Bez namysłu popiła tabletki gorącą herbatą.

A yermina i pozostałych jak nie było, tak nie było...

– Zdaje się, że mamy to, o co nam chodziło. – Mężczyzna spojrzał swoimi jasnymi oczami na sadystycznego sługę. Ten skłonił głowę z szacunkiem. – Nie sądziłem, że tak łatwo i szybko nam pójdzie. Cóż, Pióra zdobyć nie sposób, przynajmniej na razie... – stanął przed wybatożonym więźniem – ...ale dzięki twej pomocy, Edwinie, już wiem, kim jest cyborium. A najważniejsze, że wiem, gdzie jej szukać. A kiedy już się spotkamy... – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Gelus! Twoja nagroda! – Oczy stworzenia zapłonęły niezdrowym podnieceniem i nadzieją. – Jest twój! – W jednej sekundzie istotka dopadła więźnia i na podobieństwo dzikiej bestii zatopiła ostre ząbki w jego ciele. Rozpaczliwe wycie ofiary przeszło w ciężkie rzężenie, gdy zęby gelusa rozerwały jego krtań i tętnicę szyjną. Szkarłat zabarwił wszystko dookoła. Okrutna istota nie tylko chłeptała z rozkoszą krew buchającą z ran, ale, jak gdyby tego było jej mało, obmywała się w niej i tarzała. Potem rozpruła żyjącej jeszcze ofierze brzuch i wyszarpnęła trzewia, którymi oplotła się niczym makabrycznym szalem. Wydawała się całkowicie odurzona wykonywanymi

czynnościami. Opiekun motyli beznamiętnie obserwował jego poczynania.

– Naciesz się. Zasłużyłeś. Jak skończysz, przyjdź do mnie. Czas odnaleźć cyborium – szepnął i wyszedł, zostawiając sługę pogrążonego w orgiastycznym transie.

Okno pokoju otworzyło się z hukiem i do środka wpadła przedziwna skrzydlata postać. Pośliznęła się na panelach, przeturlała i zatrzymała pod wielką szafą, uderzając o nią barkiem. Zaklęła szpetnie i zaczęła zbierać się z podłogi. Nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia na kobiecie śpiącej na sofie, podobnie jak wazon z kwiatami strącony ze stolika końcem skrzydła.

Istota podeszła bliżej, zastanawiając się, dlaczego kobieta nadal śpi, i natychmiast zrozumiała, patrząc na fiolkę z tabletkami nasennymi. Sapnęła z wściekłością, a potem szarpnęła śpiącą za ramię. Nie poskutkowało. Szarpnęła bardziej zdecydowanie i kobieta wreszcie otworzyła oczy.

– Anioł – wyszeptała półprzytomna. – Prawdziwy anioł.

Istota przez chwilę wydawała się speszona.

– Ekhm.... – chrząknęła, ale szybko przypomniała sobie, po co tu jest. – Nie, tylko zwykła harpia. Aeryn, jeśli wolisz. Normalnie podziękowałabym za komplement, ale w tej sytuacji... – Groźnie zawiesiła głos. – Zbieraj się! No już! – Ariel kompletnie nie

rozumiała, o co chodzi. Usiadła rozmemłana na skraju sofy i włożyła grube kapcie. Próbowała sobie przypomnieć coś z ostatnich godzin i pojąć, czego ta przedziwna osoba od niej chce, ale harpia nie grzeszyła cierpliwością. Brutalnym szarpnięciem poderwała ją z sofy.

– Nie dość, że kapuś, to jeszcze ćpun! – Splunęła z pogardą i zaciągnęła stawiającą opór Ariel do okna, a potem zdecydowanym ruchem złapała ją i uleciała w mrok. Lodowate nocne powietrze nieco otrzeźwiło kobietę. Nikt jednak nie słyszał jej krzyku, nikt nie widział rozpaczliwych prób wyrwania się z wielkich szponów harpii. Bezbronne ciało wstrząsane dreszczami zimna i przerażenia przestało stawiać opór. Łzy szybko wysychały na lodowatym wietrze i mogła jedynie mieć nadzieję, że harpia dotrze do celu, nim ona sama zamarznie na sopel.

Miasto w dole rozjaśniały światła domów, ulicznych latarń, nielicznych samochodów. Ariel zerknęła na harpię, ale ta nie zaszczyciła jej spojrzeniem. Uważnie czegoś wypatrywała i chyba to znalazła, bo chwilę później zapikowała, wywołując u swej ofiary kolejny napad histerii. Ariel zacisnęła powieki i osłoniła głowę rękami, pewna, że jak nic rozbiją się o ścianę kamienicy. Harpia wykonała jednak zgrabny zwrot i wleciała przez otwarte drzwi balkonowe do mieszkania na poddaszu owej kamienicy. Chwilę przed wylądowaniem jej mocne łapy puściły ciało przerażonej kobiety; przeleciawszy przez całe pomieszczenie, Ariel zatrzymała się w urągającej grawitacji pozie, z jękiem usiadła i zaczęła rozmasowywać obolałe miejsca. Nie miała pojęcia, kim jest istota, która ją tak brutalnie porwała, i po co to zrobiła. Wiedziała tylko,

że jeszcze długo nie pozbędzie się tych wszystkich siniaków, jakich narobiła sobie w ciągu ostatnich kilku minut. Oczywiście, jeśli wcześniej nie zabije jej zapalenie płuc, którego na pewno nabawiła się w trakcie tego szalonego lotu. Właśnie otworzyła usta, żeby zażądać wyjaśnień, gdy usłyszała:

– Gadaj, co ci obiecali! – Szarpnięcie za sweter uniosło ją, a następne rzuciło o ścianę. Harpia przydusiła ją z furią. – No, gadaj!

Ariel z trudem łapała powietrze. Chwyciła ręce wściekłej harpii, na próżno starając się odciągnąć je od własnego gardła. Jej stopy dotykające tylko końcami palców podłogi próbowały wierzganiem uwolnić ją z morderczego uścisku, jednak na nic się to zdało. Wściekły grymas na twarzy Aeryn i jej brązowe oczy stawały się coraz bardziej niewyraźne, aż wreszcie przysłoniła je ciemność. Bezwładne ciało opadło na brudną podłogę poddasza i zastygło nieruchomo. Trzęsąc się z furii, harpia cofnęła się i spojrzała na swe dłonie, a potem na leżącą kobietę. Łzy spłynęły po jej dzikim obliczu. Pochyliła się i dotknęła Ariel. Chwilę się nad czymś zastanawiała, potem jednym skokiem przysiadła na poręczy balkonu i wpatrzyła się w lodowatą noc...

Promienie wschodzącego słońca odbiły się od okien pobliskiej kamienicy i zapłonęły żywym złotem. Szum budzącej się ulicy narastał nieubłaganie. Dostawcy pieczywa i warzyw głośno

rozprawiali o tym, jak źle jest być właścicielem biznesu. Gdzieś dalej zaskrzypiała roleta otwieranego właśnie sklepu. Tuż obok przejechała śmieciarka, tarabaniąc przy każdym opróżnianym kuble śmieci niczym beznadziejny perkusista. Wysoko w górze nad nimi, na pięknie kutej żelaznej balustradzie balkonu opuszczonego mieszkania, siedziała ona, Aeryn, harpia. Wpatrywała się martwym wzrokiem w istotki w dole i rozmyślała o tym, że życie potrafi bardzo zaskakiwać, zwłaszcza gdy wiele zależy od takich właśnie zdechlaków jak ci tam na dole lub... ten w pokoju za jej plecami.

Wiedziała, że Ariel doszła do siebie i przygląda jej się uważnie. Wiedziała, ale nic nie robiła. Nadal była wściekła, lecz także ciekawa, do czego teraz posunie się ta chuda pokraka. Jakby co, zawsze zdąży ją zabić. Zresztą i tak zamierzała to zrobić, tylko najpierw chciała ją przesłuchać, a dopiero potem dostarczyć merrillom. Niech one osądzą tego bladego chudzielca.

– Nie radzę – syknęła cicho, nie patrząc nawet w stronę kobiety.

– C-co? – wyjąkała Ariel zdrętwiałymi z zimna ustami.

– Nie udawaj kretynki! To, że na ciebie nie patrzę, nie znaczy, że nie domyślam się, co zamierzasz zrobić. Jestem harpią, nie idiotką! Zaatakowanie mnie nic ci nie da. Jestem szybsza, silniejsza i wyszkolona w zabijaniu. Nie zdołasz mi uciec, więc od razu sobie daruj i powiedz, zanim cię dostarczę merrillom, co zrobiłaś. – Odwróciła ptasią głowę w stronę Ariel, a potem zeskoczyła z balustrady i niezgrabnie do niej podeszła.

Wbiła wzrok w kruchą postać. Nie umknęły jej uwagi sine pręgi, które jej własne ręce zostawiły na szyi kobiety. Ta chwilę siedziała bez słowa, nad czymś się zastanawiając.

– Nie mam pojęcia, kim jesteś i co mi zarzucasz – zaczęła cicho. – Ale wiesz co? Mam tego dość! Mam głęboko w dupie, co do mnie masz! A wiesz czemu? Bo mam dość tej paranoidalnej sytuacji! Bo gdy jednego dnia uczestniczę w chorym targu syren, a potem gadam z jakimiś... – zająknęła się – ...jakimiś yerminami, które chwilę później giną w wielkiej eksplozji, to mogę ci powiedzieć tylko jedno: odpieprz się ode mnie! Przecież ty tak naprawdę nie istniejesz! – Poddała się nagłemu atakowi histerii, nerwowo gestykulując. – Nie możesz istnieć! I to całe chore miasto też! Jesteś tylko wytworem mojej porąbanej wyobraźni! Tak jak smoki, elfy, fauny, świat dziewięciu miast czy Xaviere. Tak, ja nie jestem mesjaszem dziwolągów, a TY nie istniejesz! To tylko halucynacje! Zaraz otworzę oczy i okaże się, że cały czas byłam w domu z Marcusem i Amandą...

Silny cios w twarz przerwał ten monolog.

– To też jest wytworem twojej wyobraźni? – zadrwiła harpia. – Bolało? Więc chyba jednak tu jestem. A teraz skup się i powiedz mi w końcu, dlaczego ty, cyborium, nadzieja wolnych społeczności, istota mająca być neutralną, zdradziłaś nas? Zdradziłaś mroczniakom naszą najlepiej strzeżoną kryjówkę i wydałaś w ich łapska tyle zacnych istot? No, dlaczego?! – Przysunęła głowę do twarzy Ariel i spojrzała ptasimi oczami w jej oczy.

– O, Jared! Dobrze, że jesteś – ucieszyła się Katherine. – Pomożesz mi?

– Tak. Co jest? Dzieciaki? Znowu dały ci popalić?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Serio, nie mam pojęcia, jak ty to robisz, że ciebie słuchają...

– Boją się bestii, która we mnie drzemie – powiedział całkowicie poważnie, ale widząc niepokój w oczach Katherine, parsknął śmiechem, obracając wszystko w żart. Ona też się roześmiała, ale bardziej z tego, że przez chwilę dała się nabrać na jego poważny ton.

Znała go od paru miesięcy, choć słowo „znała" było mocno na wyrost. Przypadkiem pomógł jej kiedyś odnaleźć jednego z wychowanków, któremu zamarzyła się ucieczka, i od tego czasu pojawiał się regularnie w jej pogotowiu opiekuńczym i świetlicy dla trudnej młodzieży, aby bezinteresownie organizować dzieciakom czas czy zwyczajnie z nimi porozmawiać. Nie bardzo wiedziała, co o nim myśleć. Niewysoki, szczupły, z brązowymi włosami do ramion, brązowo-zielonymi oczami i uroczym uśmiechem, wyglądał raczej jak fotomodel niż opiekun środowiskowy. Z powodu tej bezinteresownej chęci pomocy przez chwilę lub dwie podejrzewała go nawet o pedofilię, ale jej obawy szybko się rozwiały, bo żaden, dosłownie żaden z jej podopiecznych ani nikt z personelu złego słowa nie dał powiedzieć na Jareda, ilekroć ich podpytywała. W końcu kobieca intuicja wzięła górę nad podejrzliwością pedagoga i Katherine przyjęła do wiadomości, że Jared jest po prostu fajnym młodym człowiekiem, i polubiła go jak własnego syna.

– No to co masz za problem?

– Tony i Kay. Znowu się pobili. Wiem, że ciebie posłuchają. Mógłbyś...?

– Jasne. Gdzie ich znajdę?

– Jak zwykle. Dopiero co poleźli na boisko.

– Dobra, zobaczę, o co im poszło tym razem.

Kiwnął jej głową i ruszył na tyły budynku, gdzie mieściło się boisko do koszykówki. Gdy tam dotarł, zobaczył drobniutką ciemnoskórą dziewczynę, bacznie obserwującą zaciętą walkę dwóch dość postawnych młodzieńców o piłkę.

Na ich widok Jaredowi znowu przypomniały się pierwsze dni po tym, jak tu trafił. Przygnębienie, które czuł, tęsknotę za rodzinnym gniazdem i odrazę do tego miasta. Tak paskudnego i niemagicznego miejsca nigdy dotąd nie widział. Przynajmniej wtedy tak mu się wydawało. Dostał od merrilla nowe życie, ale dalej musiał sobie radzić sam. Wiedział, że merrill zrobił to, co musiał, i że zachowałby się dokładnie tak samo wobec jakiegoś mroczniaka, gdyby zaszła taka potrzeba, dlatego Jared nie odczuwał wdzięczności. Zresztą kto, do cholery, powiedział, że miał ochotę żyć?! A może chciał umrzeć owego dnia na tamtej polanie, niż być skazanym na los bezskrzydłego tułacza w tym obcym, obskurnym mieście?

I właśnie wtedy, gdy włócząc się, poznawał to paskudne miejsce, natknął się na Bryce, zwaną przez inne dzieciaki Babsie. Kilkuletnia dziewczynka bez stopy, o skórze koloru mlecznej czekolady, siedząca w zaułku i paląca skręta, wywarła na nim kolosalne wrażenie. Lecz nie dlatego, że paliła, ani nawet nie dlatego, że brakowało jej stopy. Zwrócił na nią uwagę, ponieważ była... pisklęciem z całkiem przyzwoitymi zawiązkami skrzydeł!

Pamiętał, jak wielkim szokiem było dla niego ich pierwsze spotkanie.

– Co palisz? – zagadnął tę bardzo podobną do niego istotę.

Schowała skręta za plecami i spanikowana zaczęła się tłumaczyć:

– Eee, tego... Proszę pana, bo oni mnie zmusili... – wskazała drugą ręką dwóch wyrostków, którzy tarmosili się właśnie w najlepsze – ale ja nie chciałam, naprawdę. Obiecuję, że już nie będę. – Rozpłakała się, a Jaredowi zrobiło się głupio.

Kucnął przy niej i pogładził ją po głowie. Podniosła załzawione oczy i dopiero teraz zauważył, że jedno jest niebieskie, drugie zaś intensywnie zielone z brązowymi plamkami. Musiała mieć jakieś sześć lub siedem lat, skoro tęczówki dopiero zaczęły zmieniać barwę na brązową. Pamiętał siebie jako pisklę. Jakże szczęśliwe to były dni. Uśmiechnął się do własnych wspomnień. Dziewczynka zerknęła na niego zdumiona. Widać oczekiwała ostrej reprymendy, lecz zamiast tego usłyszała:

– Spokojnie. Nic mi do tego, że palisz, tylko że to śmierdzi jak niedźwiedzie łajno. – Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech.

– Ale oni mówią – znów wskazała chłopaków, którzy teraz przestali się tłuc i ruszyli w kierunku Jareda – że od tego stopa mi odrośnie.

– Stopa? A po co ci stopa, skoro niedługo będziesz mieć piękne skrzydła? – Harpia zdziwiła się naiwnością dziecka.

– Skrzydła? – Dziewczynka była zdumiona. – Jakie skrzydła?

Jareda zaskoczyła ta odpowiedź.

„Co jest? Ona nie wie, że jest harpią?”.

Chciał jeszcze coś dodać, ale właśnie w tym momencie usłyszał, jak jeden z wyrostków mówi:

– Ty, facet! Trzymaj łapska przy sobie! Lubisz obmacywać małolaty? To spróbuj pomacać mnie!

Jared się wyprostował. Był niewiele wyższy od chłopaków, lecz poradziłby sobie z nimi bez problemu. Tyle że oni tego nie wiedzieli, a najwyraźniej szukali zaczepki.

– Doceniam propozycję, ale nie jesteś w moim typie, mały – odparł spokojnie.

– To mam inną: zaraz zawołam gliny, ty zboczony popaprańcu! – Chłopak zacisnął pięści.

Jared cofnął się parę kroków. Szybko ocenił sytuację. Nie byli trowami ani nawet innymi harpiami, więc może przetrzepać im skórę? Ot tak, dla ustalenia hierarchii stada.

„Bułka z myśliwym, jak to mówią ludzie" – pomyślał.

Ale w tym momencie dojrzał, że jeden z chłopców ma wodniste błękitne oczy i bardzo jasną skórę z przeświturającymi, błękitnymi żyłkami.

„Na wszystkie poranki świata! Ciekawe, czy oni wiedzą? A wygląda na to, że są trytonami. No, przynajmniej mają dużą domieszkę ich krwi. Pisklę harpii i trytony tutaj? Nieważne. Później się nad tym zastanowię. Ale trytony potrafią być wredne. Trzeba z nimi inaczej".

– I co powiesz gliniarzom, jak już tu będą? – zagaił ostrożnie. – Że dajesz dzieciakowi zioło do jarania? – Sam był zdumiony tym, jak szybko, po kilkumiesięcznym pobycie w tym mieście, zdążył sobie przyswoić styl życia tych miejscowych i ich język. – No, w twoim wieku dostaniesz wyrok jak nic.

Teraz to chłopak się zastanowił.

– Dobra, zacznijmy od początku naszą znajomość. Jestem Jared i nie jestem żadnym... jak im tam... aha, podofilem, politykiem ani innym popaprańcem. To jak, zgoda?

Wyciągnął rękę.

– Podofilem? Politykiem? Popaprańcem? – Chłopaki ryknęli śmiechem. – Chłopie, a z jakiej galaktyki ty do nas przyfrunąłeś? – spytał jeden.

– Tony, słyszałeś? Po-do-fil-em! – kwiczał drugi.

– No co ty, zdecydowanie lepszy był polityk!

Harpia zastanowiła się, czy jednak nie trzepnąć chłopaków w ucho, ale zdecydowała, że warto wykazać się poczuciem humoru, i po chwili cała czwórka chichotała w najlepsze.

Tamtego dnia Jared nie tylko poznał Bryce, Tony'ego i Kaya. Był to także początek ich niełatwej przyjaźni, wielokrotnie wystawianej na próby. To właśnie dzięki braciom oraz Babsie poznał Katherine, resztę dzieciaków i z entuzjazmem zaczął działać w schronisku, znajdując w tym nowy cel dla swej marnej egzystencji.

Teraz, wspominając tamte chwile, stał i podziwiał, jacy są szybcy, sprawni, silni, skoczni. Najbardziej jednak cieszyło go, że Kay i Tony, mimo iż chwilę wcześniej mocno się pokłócili, rozładowywali agresję tak, jak im wielokrotnie tłumaczył: poprzez rywalizację sportową. Koszulki chłopaków były mokre od potu. Ciężki oddech mówił, że żaden z nich się nie oszczędzał.

– Dobra, mam dość – wysapał Tony, ocierając twarz koszulką. – Dzisiaj wygrałeś, zasrańcu, ale następnym razem nie pójdzie ci tak łatwo!

– Ogram cię zawsze i wszędzie, smrodzie! – zapewnił buńczucznie równie zasapany Kay.

– Możesz tylko pomarzyć!

– Interesujący mecz – włączył się Jared, wychodząc z cienia i siadając na ławce koło ciemnoskórej dziewczynki. Chłopcy błyskawicznie odwrócili do niego głowy z minami drobnych złodziejaszków przyłapanych na kradzieży.

– Cześć! – rzucili zgodnie.

– Widzę, że się spóźniłem, czyli dziś nie zagram. Cóż, szkoda... – Podrapał się za uchem. – To może chociaż pogadamy? – Spojrzenia chłopców powiedziały mu, że z rozmową też może być ciężko. – No więc o co tym razem poszło?

– Czemu miało o coś pójść? – zapytał Kay.

– Pewnie Katherine powiedziała, że daliśmy sobie po ryjach – stwierdził Tony.

– Katherine? A musiała? Nie, brachu, to wy mi powiedzieliście. – Widząc ich zaniepokojone spojrzenia, dodał: – Najlepszym sposobem rozwiązywania sporów i wyładowywania złości jest sport. Tak wam kiedyś tłumaczyłem, nie? Ten mecz raczej nie przypominał spotkania towarzyskiego. Nie jestem ślepy ani idiotą, żeby nie wiedzieć, że doszło do ostrego spięcia. O co?

Bracia spojrzeli po sobie spode łba. Potem zaczęli opowiadać...

Ariel zrozumiała, że harpia nie żartuje i nie da się zbyć byle jakim argumentem, bo jest święcie przekonana o jej winie. Przez sekundę czy dwie rozważała możliwość ucieczki lub wezwania pomocy. Obydwa rozwiązania od razu odrzuciła, bo drzwi do mieszkania były zwyczajnie zamurowane – jedyne wyjście prowadziło przez balkon – a w tym opustoszałym budynku i tak nikt by jej nie usłyszał. Co do czarów... Cóż, chciałaby nadal mieć czarnoksięskie moce, lecz te zdawały się teraz równie nikłe jak szansa na ucieczkę.

– Okej, poddaję się – powiedziała zrezygnowana. – Będziesz musiała mnie zabić, bo ci nie odpowiem. A to dlatego, że nie mam pojęcia, o co chodzi. Nie wierzysz mi, twoja sprawa... – Wzruszyła ramionami. – Nie zamierzam na siłę wymyślać odpowiedzi, żeby cię uszczęśliwić. Chcesz mnie zabić? Proszę, zrób to albo przestań trzepać ozorem bez sensu i daj mi po prostu odejść.

– Mogę cię zmusić do gadania...

– Groźbami? Torturami? Jasne, wtedy powiem ci wszystko, co zechcesz. Przyznam się nawet do romansu ze Stingiem i kontaktów z kosmitami. To przecież oczywiste. Co nie znaczy, że takie wyznania są prawdziwe.

– Nie muszę cię torturować. – Aeryn spojrzała na nią dziwnie, a Ariel zrobiło się nieco nieswojo. Po chwili knebel z kawałka brudnej szmaty skutecznie zamknął jej usta, a ona sama, wyrzucona jak z procy przez balkon, spadała z ogromną prędkością, rozpaczliwie machając kończynami. Tuż przed uderzeniem o ziemię zacisnęła kurczowo powieki i wyszeptała w myślach: „Boże, za co?!”. Huknięcia o bruk jednak nie było, bo w ostatniej chwili potężne szpony Aeryn złapały oszalałą ze

strachu kobietę i poniosły do ustronnego zaułka, gdzie ta najzwyczajniej w świecie zemdlała.

Nie miała pojęcia, ile czasu tam leżała, ale gdy się ocknęła, ujrzała jakichś dziwnych facetów… znęcających się nad Aeryn!

„Jezu! Tym razem to naprawdę czy znowu mam koszmary?!”. Gdzieś już tych gości widziała – śniade twarze, jasne włosy, niski wzrost – ale nie umiała sobie przypomnieć gdzie. Nie miała też sił na nic, więc leżała nieruchomo w stercie śmieci, święcie przekonana, że to kolejne paskudne wizje. W powietrzu, nie wiadomo skąd, zmaterializował się jeszcze jeden facet. Wyższy, o jaśniejszej skórze, płowowłosy i brodaty, ubrany w skórzaną kurtkę z ćwiekami. Jego też już gdzieś widziała. Tamci pokazali na nią i pokręcili głowami, dając mężczyźnie do zrozumienia, że nie żyje. Zobaczyła wściekłość na jego twarzy, a po chwili w dłoni topór. Ponownie zemdlała, gdy ujrzała krew buchającą z tętnic umęczonej Aeryn i usłyszała chrzęst odrąbywanych skrzydeł…

– Feniksów?! – ryknął Jared. – Feniksów?!

Chłopcy popatrzyli na siebie z konsternacją.

– Stary, nie gniewaj się – zaczął Kay. – Wiem, że to twoi dalecy, ale jednak krewni… Auć!

Przerwał mu potężny kuksaniec wymierzony przez brata.

– No co?! Chcę tylko…

– Weź już się zamknij, co?

Tymczasem Jared wciągnął ciężko powietrze w swoje kształtne nozdrza, a potem zapytał podejrzanie uprzejmie:

– Mam rozumieć, że dwa młodociane półtrytony chcą założyć hodowlę tak niebezpiecznych istot jak feniksy, a na dodatek ośmielają się porównać jedną dorosłą harpię do tej kupy samozapłonowego gnoju?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Czy macie świadomość, co zamierzacie zrobić? Czy macie chociaż blade pojęcie o feniksach albo jeszcze bledsze o harpiach? I skąd wam, do cholery, przyszło do głowy, że jesteśmy z nimi spokrewnione? Bo mamy skrzydła? Mamy też oczy. Psy także mają oczy, ale czy to znaczy, że to TEŻ nasi krewni?

– Ale my myśleliśmy, że feniksy są użyteczne. Że ich łzy... – podjął Kay.

– Ty i te twoje książki! Mitologia i, niech zgadnę, ten cholerny Harry Potter! Mógłbyś w końcu przestać czytać te bzdury? – wycedził Jared, spoglądając groźnie na jasnowłosego chłopca. – Zdaje się, że potrzebna wam mała lekcja historii i biologii. – Zniżył głos do złowróżbnego szeptu. – I to natychmiast!

– Wstawaj, męska cichodaaajko! – Wyjątkowo natrętny głos wywiercał mu dziurę w głowie. Jack otworzył niespiesznie oczy.

– Wstawaj, męska cichodaajko! Wstawaj, mę... – Furkot skrzydeł i wściekły wrzask powiedziały mu, że jego rzut jaśkiem

był celny. – Durny palant! Durny palant! – rozległo się dla odmiany skrzeczenie, a po chwili ciszy usłyszał dźwięk, którego niestety się spodziewał. Coś zaczęło wkurzająco targać struny jego ulubionej gitary.

– Jasna cholera! Krakers, przestań! Że też zamiast mnóstwa kasy stryj musiał mi zostawić w spadku takiego wulgarnego kretyna! – jęknął. – Zamknij dziób, bo cię przerobię na żarcie dla kotów! – I w stronę szaro upierzonej papugi siedzącej na instrumencie poleciał kapeć. Tym razem mężczyzna nie trafił, ale za to się rozbudził. Usiadł na łóżku, potarł pięściami zapuchnięte powieki i westchnął jak ktoś bardzo zmęczony. Wiedział, że nic tak nie postawi go na nogi jak gorący prysznic i mocna kawa.

Przegonił Krakersa z gitary, poszedł do kuchni i nastawił ekspres. Potem włączył radio i powlókł się do łazienki. Stojąc pod prysznicem, usiłował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły paskudnego snu, który był powodem tego, że czuł się wykończony. Wyszedł spod prysznica i zaczął wycierać ciało szorstkim ręcznikiem. To ostatecznie go rozbudziło. Przejrzał się w lustrze. W srebrnej tafli ukazała się co prawda twarz przystojnego faceta, ale cienie pod oczami mówiły: „Hej, stary, przyhamuj z tym nocnym życiem, bo na bank się wykończysz". Jack ogolił się, ubrał i przysiadł na taborecie w kuchni z kubkiem kawy w ręce.

Rozmyślając nad dzisiejszym planem pracy, bezwiednie zaczął słuchać wiadomości podawanych przez małą lokalną stację radiową.

A oto najnowsze wiadomości radia In The City (ITC). Tragiczny finał miało przyjęcie w pewnej kamienicy przy ulicy Morelowej piętnaście. Rozbawiony

tłum pijanych i, jak się okazuje, będących także pod wpływem narkotyków, uczestników zabawy zdemolował, a następnie podpalił ekskluzywny apartament należący do znanego biznesmena, sir Apoloniusza Byrne'a. Nieszczęśliwie dla nich obok były prowadzone prace remontowe uszkodzonego gazociągu. Prawdopodobnie wskutek niesamowitego zbiegu okoliczności doszło do potężnej eksplozji gazu, w wyniku której zabytkowa kamienica przestała istnieć. Do tej pory nie odnaleziono wszystkich uczestników feralnego przyjęcia oraz mieszkańców zawalonego budynku. Cały czas trwają poszukiwania z pomocą psów oraz kamer termowizyjnych. Na miejscu pojawił się już burmistrz i zapowiedział szeroko zakrojone kontrole sieci gazowniczej w całym mieście. Rozpoczęła już także pracę specjalna komisja, która ma wyjaśnić przyczyny tragedii. Do tej pory spod gruzów zdołano wyciągnąć cztery ciała, które przewieziono do miejskiego prosektorium, gdzie zostaną poddane identyfikacji oraz autopsji. Nie wiadomo, czy wśród ofiar nie ma właściciela posesji, Apoloniusza Byrne'a. O rozwoju sytuacji będziemy państwa informować na bieżąco...

– Cholera! – zaklął Jack. Powinien być na miejscu wypadku i pstrykać fotki! No tak, ale przecież nie jest zatrudniony ani w gazecie, ani w TV. Płacą mu, jako wolnemu strzelcowi, za zlecenia, a w przypadku takich katastrof mają tych na pełny etat. Ukłucie żalu i goryczy spowodowało, że przypomniał sobie wszystkie swoje marzenia, ambitne plany. Cóż, wybitnym fotografikiem nie został. Nie wystawiał prac w czołowych galeriach. Życie brutalnie skorygowało jego wielkie plany, sprowadzając go do roli dorywczego pracownika w zakładzie fotograficznym, a od czasu do czasu – fotoreportera na zlecenie miejskiej gazety czy jakichś firm szukających reklamy. Zajęcia mało ambitne, ale pozwalały płacić rachunki. Za dnia pstrykał więc fotki produktów do nowego katalogu promocyjnego niewielkiego marketu, a wieczorami, w zaciszu maleńkiego

mieszkanka, bawił się fotografią artystyczną, śniąc o sławie, wielkości i podziwie tłumów. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

– Jack Roveen.

– Cześć, Jack – rozległo się po drugiej stronie.

– No cześć, Terry, co słychać? Masz coś dla mnie? – zagaił z nadzieją. Terry był kolesiem, którego poznał, gdy robił zdjęcia na jego ślubie. Fotki wyszły nieźle i facet okazał się zadowolony, a że pracował w magistracie, czasami zlecał mu jakieś drobne robótki dla władz miasta. Jack miał nadzieję, że teraz też dzwoni w tej sprawie, bo miasto jako jedyny klient nigdy nie ociągało się z płaceniem, choć stawki nie zawsze były przyzwoite.

– Bez powodu bym nie dzwonił. Słuchasz uważnie? – upewnił się Terry. – Okej. No więc jest tak: jak wiesz, mamy nowego burmistrza. Cholernie ambitny młokos. Ubzdurał sobie, że dotrzyma obietnic wyborczych. – Roześmiał się. – Uczciwy polityk! Widziałeś kiedyś coś takiego? To jakbyś chciał znaleźć w gównie diament czystej wody. – Znowu rozległ się śmiech. – No, taki dziwoląg, ale mniejsza z tym. W każdym razie facet uparł się, że chce przywrócić miastu dawną świetność, odrestaurować je, odbudować gospodarczo. No wiesz, zapewnić dobrobyt mieszkańcom i takie tam duperele – trajkotał Terry. – On uważa, że miasto ma kupę interesujących zabytków, i chce, słuchaj uważnie, postawić na turystykę! W tej dziurze turyści?! Na głowę koleś upadł, ale doradcy, wiesz, te dupki, co biorą mnóstwo kasy, naopowiadali mu, że miasto ma niesamowitą historię, wiele miejsc do zwiedzania i tak dalej, i tak dalej... Dość, że facet ich posłuchał i teraz chce zrobić szum, żeby ściągnąć turystów do

miasta. Będą turyści, będzie kasa i powszechne zadowolenie. Wiesz, że za parę dni rozpoczyna się święto Morren City?

– Aha.

– No właśnie. Machina medialna ruszyła, ale to dopiero początek. PR-owcy ustalili, że Dni Morren City będą tylko wstępem do długofalowej promocji, która miałaby trwać aż do następnych Dni Miasta, czyli cały rok. Chcieliby zrobić wystawę, może nagrać dla telewizji jakiś dokument o Morren. I tu wkraczasz ty. Fotki zabytków to twoje hobby, a pewnie będą chcieli jeszcze zrobić jakiś album albo pocztówki. Pogadałem z moim szefem, pokazałem kilka twoich prac i obiecał, że cię poleci ludziom burmistrza. Ale wiesz, to jeszcze nie na sto procent zaklepane, więc nie ciesz się na zapas. W każdym razie jeśli cię zaakceptują, będziesz miał sporo pracy za niezłe pieniądze. Co ty na to? Jack? Jesteś tam?

– Album? Jestem, jestem! Tylko trochę mnie zatkało...

– To jak? Zainteresowany?

– Jasne! Kurczę! Oczywiście!

– Dobra, to dam znać, jak coś się wykluje. Ale pamiętaj, to jeszcze nie na sto procent. Nie chciałbym, żebyś się rozczarował...

– Nie ma sprawy. I tak jestem wdzięczny.

– To na razie...

Rozmówca się rozłączył, a umysł Jacka zaczął pracować na najwyższych obrotach. Był wdzięczny Terry'emu za pomoc i kontakty, ale nie mógł się zgodzić z tym, że miasto to zwykła dziura bez przeszłości. Doradcy burmistrza mieli rację. Było tu mnóstwo zabytków wartych zwiedzenia, należało je tylko odrestaurować i wypromować. Wiedział o tym doskonale, gdyż co

dzień przemierzał miasto na własnych nogach i fotografował. Znał niemal każdy zaułek, posąg, płaskorzeźbę. No i oczywiście historię miasta. Album. Pocztówki. Plakaty. Być może wystawa tematyczna? I to wszystko jego autorstwa! Kto nie byłby podekscytowany taką wizją? Kto nie robiłby sobie nadziei na uśmiech losu? Tego dnia nic nie było w stanie popsuć mu humoru ani odciągnąć jego myśli w inne rejony. Nawet nudna sesja ślubna w zakładzie fotograficznym, w którym sobie dorabiał. Aż do popołudnia, gdy nowe, dużo ciekawsze zajęcie pochłonęło go bez reszty.

– Tego ptaka można porównać tylko do ryby fugu. – Harpia opanowała gniew i rozpoczęła zapowiedzianą lekcję. – Jeśli wiesz, jak ją przyrządzić, może nawet będzie ci smakować, ale jeśli tego nie potrafisz, masz przed sobą nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny życia. – Chłopcy zamienili się w słuch, a Jared kontynuował: – Tyle że w przypadku feniksów szansa na przeżycie spotkania z nimi jest dużo, dużo mniejsza. Na szczęście to ścierwo występuje tak rzadko, że nie ma obaw o wasze marne życie.

– Więc co cię tak wkurzyło? – Kay, jak chciał, potrafił być bardzo konkretny.

– NIGDY nie porównuj harpii do feniksa. To równie niebezpieczne jak sam pomysł, żeby je hodować.

– Ale właściwie dlaczego? – Dociekliwość Kaya stawała się doprawdy irytująca.

– Dobra, postaram się wam to w skrócie naświetlić, bo widzę, że naprawdę nie wiecie. Była jedna kobieta, Aislin, czarodziejka. Twierdziła, że udało jej się obłaskawić feniksa. Utrzymywała, że znalazła i wychowała pisklaka. Rzekomo był wyjątkowo łagodny, umiał leczyć choroby i przewidywać przyszłość. To bajka z bardzo, bardzo zamierzchłej przeszłości, którą dane mi było słyszeć, gdy sam byłem pisklakiem. Nikt nie wie, co się stało z Aislin i tym feniksem. Chodzą słuchy, że ją po prostu zabił. Ślad po nich pozostał tylko w tych romantycznych historiach zwanych przez ludzi mitologią, jednak na tym jedynym feniksie oparta jest cała góra kłamstw o ich cudownych umiejętnościach, przyjaznej naturze i przepięknym upierzeniu. A nas, harpie, przedstawiono w nich jako ohydne potwory, choć prawda jest zgoła odmienna. Ech, gdybym spotkał tego kretyna, co tak przekłamał historię... – Jared zgrzytnął zębami.

– Aaaaa, już rozumiem. Masz do nich żal, bo w przeciwieństwie do was, harpii, są piękne i uznawane za święte. – Rzucił Kay i zupełnie nie zauważając gafy, jaką dopiero co palnął, kontynuował dociekania: – Okej, załapałem. Ale czemu uważasz, że są niebezpieczne?

– Myśl! – nakazała harpia. – Logicznie! Samozapłon, ogień. Coś ci to mówi? A słyszałeś o tym, co ludzie nazywają bombami... jak im tam... atomowymi?

– Jared, może tego nie zauważyłeś, ale żyję w świecie ludzi od jakichś szesnastu lat, z czego większość czasu myślałem, że

jestem człowiekiem. Oczywiście, że wiem, co to są bomby! – oburzył się Kay.

– Więc jak ci się wydaje, sami wpadli na pomysł, żeby je stworzyć?

– Ożeż! No jasne! – Kaya widać olśniło, bo pacnął się dłonią w czoło.

– I czego się podniecasz? – Spojrzenie Jareda usadziło go w miejscu. – Chodzą słuchy, że detonacje w ludzkich miastach Hero... Hiro...

– Hiroszima? Nagasaki? Też feniksy?! – Szkarłat na policzkach Kaya się pogłębił.

Harpia skinęła głową.

– Podobno coś takiego jak bomby atomowe w ogóle nie istnieje. Podobno ludzkim wiedźmakom udało się wyhodować parę sztuk i zmusić do posłuszeństwa.

Kilka długich chwil siedzieli w kompletnej ciszy.

– Już rozumiecie, chłopaki? Te ptaki są piękne, ale też ogromnie niebezpieczne – powiedział w końcu Jared. – Dajcie sobie spokój i nie próbujcie kombinować.

– Słuchaj, ale co z tym uzdrawianiem? Uzdrawiają czy nie? – Kay jeszcze drążył temat.

Harpia zamyśliła się, zmarszczyła brwi.

– Podobno tak. Podobno to nie ich łzy, ale krew ma działanie lecznicze. Słyszałem, że jak się ją wypije, najcięższe choroby mijają. Spotkałem kiedyś jednego merrilla. Twierdził, że rana posmarowana krwią feniksa goi się – strzelił palcami – błyskawicznie. Ten merrill opowiadał, że w czasie jakiejś obławy na trowy został lekko draśnięty sztyletem. Ranka była mała, więc

nie zwrócił na nią uwagi. Na miejscu akcji znajdowały się kilka trupów mroczniaków i szczątki jakiegoś ptaka. Niechcący zabrudził ranę jego krwią i nie minęła minuta, a nie było po niej śladu. Dopiero wtedy przyjrzał się ptaszysku. Przypominało z wyglądu pawia, tyle że pióra mieniły się odcieniami rubinu ze złotymi i srebrnymi refleksami. Stąd wysnuł wniosek, że to musiał być feniks.

– Słuchaj, Jared, a tak w ogóle to czytaliśmy, że wyhodowanie feniksa wcale nie jest trudne. Trzeba tylko jajo białego pawia podgrzewać w rondelku z krwią aż do wyklucia. Normalnie łatwizna. – Kay wzruszył ramionami.

– Jest tylko jedno małe „ale". A nawet dwa. – Chłopcy zastrzygli uszami. – Jako dodatek do krwi musielibyście mieć qselinium. Bez tego paw nadal będzie pawiem, a wy, durnie, nadal durniami!

Urażeni spojrzeli na harpię.

– A drugie „ale"? – Kaya jednak zżerała ciekawość.

– Aaa, no tak. To też dla was bułka z myśliwym. – Jared wydął lekceważąco usta. – W rondelku musi być krew... smoka albo przynajmniej viverna. Oj, chłopcy, chłopcy – uśmiechnął się z politowaniem – chyba czytaliśmy różne podręczniki hodowli feniksów, co? Ale na razie jestem spokojny o wasze puste czaszki, bo nie ma takiej opcji, żebyście zdobyli wszystkie składniki. A teraz chodźmy już, zanim Katherine zechce sprawdzić, czemu nas tak długo nie ma.

Późnym popołudniem pożegnał się z Katherine i dzieciakami. Dopiero w pobliskim parku przyszło mu na myśl, że nie zapytał chłopaków, po co im w ogóle ta hodowla. Ale po chwili pocieszył

się, że to i tak nieważne, skoro wybił im ją z głów, no i przecież nie zdobędą wszystkich składników, prawda?

Minął niewielki plac zabaw ze zdewastowanymi huśtawkami kiwającymi się na wietrze na podobieństwo ponurych wisielców. Dotarł do maleńkiej polanki. Pośrodku niej, w wysokiej trawie, stały trzy białe posągi kobiet. Zwrócone do siebie plecami zdawały się obserwować sześć podobnych rzeźb stojących w kręgu. Jedna z nich trzymała w ręku cyrkiel i kulę ziemską.

„Ludzie nazwali ją Uranią – pomyślał. – Gdyby tylko wiedzieli...".

W rzeczywistości miała na imię Urallye i nie była muzą astronomii i astrologii. Tak, Jared wiedział, że i ten mit został sprytnie przekłamany. To nie cyrkiel i kulę ziemską dzierżył w rękach posąg Uranii. Spojrzał ponuro na pozostałe figury i po raz nie wiadomo który ucieszył się, że nadal są jedynie rzeźbami.

– Hej, ślicznotki – szepnął jakby do siebie. – Tyłki bolą was od tego siedzenia? I dobrze. Lepiej zostańcie tam, gdzie jesteście. Lepiej dla nas wszystkich.

Ruszył alejką ku wyjściu. Miał nieodparte uczucie, że jest obserwowany przez dziewięć par nieprzychylnych mu oczu. Odetchnął dopiero, gdy ponownie znalazł się wśród zaniedbanych, ale jakże mu przyjaznych zaułków miasta.

Gdy się ocknęła, było już późno. Słońce zachodziło. Przerażona rozejrzała się wokół. Sen, nie sen, a ostrożności nigdy dosyć. Uspokoiła się nieco, bo facetów nie było. Wychyliła się ze sterty śmieci cała obolała. W cieniu rzucanym przez ścianę sąsiedniego budynku dostrzegła... zwłoki Aeryn leżące w kałuży zakrzepłej krwi. I wszędzie było pełno piór.

„A żeby to gnomy! – Aż sapnęła. – Jednak to nie był sen".

Nie potrafiła oderwać wzroku od szczątków harpii. Znała ją raptem chwilę, lecz wiedziała, jak silna, sprawna i dumna była ta istota, leżąca teraz pod ścianą niczym śmieć. W jej znieruchomiałych brązowych tęczówkach widać było przerażenie. Zmusiła się do odwrócenia głowy i zaczęła wygrzebywać się ze sterty śmieci. Zastanowiło ją, że leżała tu tak długo i nikt nie zajrzał do tego zapomnianego przez Boga zaułka.

„Uroki miejskiej dżungli" – pomyślała rozgoryczona. Tuż obok dostrzegła szczura obgryzającego starą kanapkę. Na jej widok zerwał się i zwiał z kawałkiem chleba w pyszczku do następnego zaułka. Podniosła się z trudem z ziemi, stękając, bo wszystko ją bolało. Mimo że została porwana przez Aeryn z siedziby dziwolągów – jak wciąż ich nazywała – ubrana w sweter, gruby dres i ciepłe skarpety oraz kapcie, czuła się mocno przemarznięta. Nie było co prawda mrozów, ale ciuchy nie ochroniły jej od chłodu. O ironio, zrobiła to góra odpadków, pod którymi przeleżała kilka godzin.

Stanęła nad zwłokami zamordowanej harpii; trzęsąc się bardziej z przerażenia niż zimna, zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co dalej. Policja? Może. Ale co im ma powiedzieć? Że w jakiejś nędznej uliczce leżą zwłoki harpii zabitej przez bandę

harleyowców? Może w trzecim mieście takie tłumaczenie jeszcze by uszło, ale w tym świecie? Nawet ona uważała, że to brzmi niedorzecznie. A jeśli jej uwierzą, a potem oskarżą o zabicie Aeryn? Zagryzła nerwowo palce.

I harpia, i dziwolągi twierdziły, że ktoś na nią w tym mieście poluje. Trzeba więc stąd zwiać, tylko jak? Pociągi pod kontrolą, lasy podobno też, zresztą pieszo lasem dotrze do siebie za jakiś tydzień, o ile nie pomyli drogi. Jezu! Jakim cudem się w to wszystko wplątała?

„A miałam tylko odnaleźć jednego niesfornego dzieciaka!" – pomyślała.

Stres niemal zdławił gardło.

„Zaraz, nie tak nerwowo. Co prawda straciłam magiczne umiejętności, ale jakoś przeżyłam bez nich tyle lat. Muszę tylko spokojnie się zastanowić. Pomyśleć, co zrobiłby Marcus".

Zaczęła nerwowo krążyć. Szkliste oczy harpii podsunęły jej odpowiedź. Podjęła decyzję. Żadnej policji. Musi jak najszybciej wyrwać się z tego cholernego Morren City, bo Amandy z pewnością tu nie ma. Co do yermina i reszty dziwolągów, nie może wrócić do ich kryjówki. Nie ma co liczyć ani na nich, ani na policję. Na pewno uznają ją winną śmierci Aeryn. Wzięła głęboki wdech i podjęła decyzję. Zacisnęła pięści i szczęki, odwróciła się plecami do trupa harpii i nie oglądając się za siebie, ruszyła ku wyjściu z zaułka.

Nie uszła kilku kroków, gdy w uliczce pojawił się ktoś jeszcze. Szybki rzut oka nieznajomego na zwłoki, potem na Ariel i nim zdążyła zareagować, już leżała twarzą do ziemi z rękami związanymi na plecach. Lekko utykając, nieznajomy podszedł do

trupa, pochylił się i bardzo uważnie go obejrzał. Potem bez słowa uwolnił Ariel i pomógł jej usiąść.

– T-to n-nie j-ja – wyjąkała przerażona.

– Wiem – odparł lakonicznie. – Takie chuchro jak ty nie dałoby rady pokonać dorosłej samicy harpii.

– T-ty... w-wiesz? – Ciągle nie mogła opanować drżenia.

– Że była harpią? To chyba widać? Miała skrzydła, łapy, ogon... Opowiesz mi wszystko potem. Teraz musimy się spieszyć. – Ponownie pochylił się nad Aeryn, wyrwał jedno pióro z odciętego skrzydła, pomachał nim, jakby zagarniał powietrze, i coś zanucił, zaszeptał. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca Ariel ujrzała istotki podobne do świetlików, które wyleciały z jego dłoni i wisząc w powietrzu, zaczęły tkać materiał z mieniących się srebrem nitek, aż powstał srebrzysty baldachim, który przykrył ciało Aeryn.

– Wypełniłaś swój los... Odejdź i bądź szczęśliwa – wyszeptał nieznajomy.

Pod srebrzystą tkaniną ciało Aeryn zniknęło. Po chwili sama tkanina stała się tylko wspomnieniem. Po twarzy mężczyzny spłynęła łza. Szybko ją otarł.

– Ruszajmy. Nic tu po nas – rzucił szorstko. Pociągnął osłupiałą Ariel za rękaw ku wyjściu z zaułka.

– Dokąd idziemy? – rzuciła w stronę pleców nieznajomego.

– Byle dalej – odburknął, nie oglądając się za siebie.

– Hej, poczekaj! – krzyknęła. – Nie mam ochoty gadać do twoich pleców!

– A ja nie mam ochoty zebrać po gębie od jakiegoś mroczniaka, więc racz ruszyć dupsko – wycedził, odwracając się do niej

gwałtownie.

– Co? O czym ty gadasz?

– Śmierć Aeryn nie pozostanie niezauważona. Będą jej szukać. Nie tylko przyjaciele. Wrogowie też zechcą sprawdzić, czy to prawda. A wtedy wolałbym, żeby mnie tu nie było. I tobie radzę to samo. – Popatrzył na nią z wyczekiwaniem. – To jak? Idziesz czy będziesz czekać na ciekawskich? – Zaniepokojona ruszyła bez słowa przed siebie. – Tak myślałem – warknął i pospieszył za nią.

Poprowadził ich labiryntem bliźniaczo podobnych zaułków daleko od tamtego miejsca. Ariel kompletnie straciła rachubę, jak długo szli i ile przecznic minęli. Była zbyt zestresowana, zmęczona, głodna i wyziębiona, żeby zwrócić na to uwagę. Nie dostrzegła też, że w dłoni nieznajomego pojawił się niewielki flakonik, z którego co jakiś czas mężczyzna wypuszczał za siebie obłoczek purpurowego dymu. Każdemu pojawieniu się chmurki towarzyszyło wrażenie falowania ścian budynków i płyt chodnikowych. A może były to tylko kolejne halucynacje? Bo kiedy purpurowy obłoczek opadał, wszystko znów wyglądało jak dawniej.

Nim pojawili się na większej ulicy i zmieszali z tłumem, nieznajomy dyskretnie puścił obłoczek w kierunku Ariel, coś mrucząc. Zatrzymała się i zapatrzyła nieprzytomnym wzrokiem w ścianę budynku. Mężczyzna wyjął z kieszeni kolejny przedmiot, tym razem wyglądający jak komórka, i upewniwszy się, że nadal są sami, powiódł nim wzdłuż ciała kobiety, jakby je skanował. Z niecierpliwości bezwiednie przesunął dłońmi po twarzy. Nagle w tajemniczym urządzeniu uchyliła się klapka i przez szczelinę zaczęły wysuwać się ubrania. Mężczyzna podał je nadal

otumanionej Ariel. Nie musiał nic mówić; zdawało się, że kobieta dokładnie wie, co powinna zrobić. Nie zważając na chłód, zdjęła dres, sweter i kapcie, a potem szybko włożyła nowe, ciepłe i nierzucające się w oczy ciuchy, po czym ruszyła za mężczyzną. Znaleźli się na jednym z głównych deptaków miasta.

Sheridan – wieczorem

Czarne granitowe stopnie powiodły go w górę, ku apartamentom Claylanda, księcia i pana tej podziemnej krainy. Wspinał się po nich niespiesznie. Wizyty tutaj nigdy nie należały do miłych, ale czy w ogóle jakiegokolwiek mrocznego elfa można nazwać miłym? Podstęp, zdrada, agresja i arogancja. To coś, co cenią. A wyrozumiałość, ciepłe uczucia, uczynność i przyjaźń? Nie, takie odruchy serca nie wchodzą w rachubę. Są oznaką słabości. A słaby szybko ginie, czy raczej jest szybko eliminowany. Wiedział, po co Clayland go wezwał. Skrzywił się. Reprymenda będzie jak zwykle niezasłużona.

„Doprawdy, tego starego durnia powinien w końcu zastąpić na stanowisku księcia pana ktoś z jajami. Może brutalny, ale jakże skuteczny Asher? Może Davor? Jest nieustępliwy i bardzo konsekwentny. A kto wie, może kiedyś ja? Nie jestem gorszy od nich – pomyślał Sheridan. – Następcę Claylanda wyznaczy on sam, więc na wszelki wypadek lepiej udawać posłusznego wasala przed tym starym prykiem".

Z rozległego tarasu dotarł do kamiennych krużganków oświetlonych światłem magicznych pochodni i latarni, a stamtąd wprost pod drzwi apartamentów księcia. Straży nie było. Pan tego domostwa nie potrzebował niczego tak banalnego jak strażnicy. Był zbyt potężny, podobnie jak jego czary, by bać się byle

zamachowca. Sheridan przyklęknął na jedno kolano przed misternie rzeźbionymi kamiennymi drzwiami.

– Wzywałeś mnie, panie – powiedział cicho. Kilka długich chwil klęczał i cierpliwie czekał. Miał świadomość, że Clayland doskonale wie o jego przybyciu, ale delektuje się jego posłuszeństwem. Nie chciał dawać mu dodatkowego pretekstu do gniewu czy wymierzenia kary. Ta, którą zaraz dostanie, w zupełności mu wystarczy. Wreszcie paradne wrota zaczęły się bezszelestnie uchylać, poruszone czarnoksięską mocą Claylanda. Sheridan nadal klęczał z pochyloną głową.

– Wejdź – usłyszał stanowczy szept powielony przez wszechobecne echo. Podniósł się i ruszył bogato zdobionym holem do pełnego przepychu salonu, otwierającego się na kolejny ogromny taras z widokiem na podziemne miasto.

Po drodze mijał bezcenne rzeźby, kosztowne meble, obrazy zaklęte w oprawach ze świętego dymu – widomą oznakę statusu ich właściciela. Gdzieś z boku dostrzegł wtulonego w drogocenną tapicerkę szezlonga dorodnego gelusa. Drapieżna istota gapiła się na niego zmienionymi w kryształki lodu oczyma. Z pozoru lekceważąco, ale Sheridan wiedział, że głupotą byłoby ignorować takiego wroga. Każdy bez wyjątku gelus, prócz jego własnego, wykazywał do niego wrogie nastawienie, dlatego wolał się mieć na baczności. Błyskawiczna śmierć zadana gelusem byłaby dobrodziejstwem, tyle że bestie gustowały w powolnym zamęczaniu swych ofiar, lubowały się w ich cierpieniach. Stąd ostrożność Sheridana i czujne kontrolowanie poczynań istoty spod, z pozoru, opuszczonych powiek.

Niespiesznie przebył więc hol i wkroczył do pełnego przepychu salonu. Trowy ubóstwiały sztukę i z upodobaniem otaczały się wykwintnymi przedmiotami. Clayland nie odstawał w tym od innych przedstawicieli swojej rasy. Z równym zamiłowaniem wspierał artystów i otaczał ich opieką, jak mordował przeciwników i dręczył wrogów. Nikogo nie powinny były zwieść jego niezbyt imponująca postura ani piękne smagłe oblicze. Nikt nie powinien być na tyle głupi, by zaufać urokowi jego zielonych oczu. Sheridan wiedział, że za tą fasadą pięknego, dystyngowanego mężczyzny kryje się bardzo skuteczny morderca, kolekcjonujący swe ofiary tak samo ochoczo jak dzieła sztuki. Zresztą czyż potęgi i mocy władcy nie poznaje się po jego gelusie?

Gelus – zwany śnieżnikiem – wytwór swego pana, któremu wiernie służył aż do zgonu. Zmaterializowana forma wszystkich najgorszych cech swego właściciela. Im więcej bestii było w jego panu, im lepiej opanował on umiejętności czarnoksięskie, tym większy był ten drapieżnik. Teoretycznie każdy mroczny elf mógł wykreować takiego potwora, lecz praktycznie udawało się to przedstawicielom jedynie kasty wojowników, a i to z mizernym skutkiem. Gelusy w ich wykonaniu były niewielkie, z reguły mieściły się w dłoni. Ich srebrzyste ciałka pokrywały łuski wyglądające niczym utkane ze śnieżnych płatków, miały długie włosy podobne do lodowych biczy, chwytny ogon i paszczę zaopatrzoną w ostre jak brzytwy zęby. No i kryształowe oczy bez śladu jakichkolwiek emocji. Miniaturowy morderca na usługach swego pana.

Ten tutaj należał do wyjątków. Wielkością dorównywał wypasionemu kotu. A właściwie wyglądał jak śmiercionośna

krzyżówka kota i małpy z całkiem sporymi zębiskami, pazurami i ogonem z kolcem jadowym. Oczywiście srebrnego koloru. Wygląd stworzenia zaskoczył i zaniepokoił nieco Sheridana. Czyżby Clayland okazał się potężniejszy, niż wszyscy podejrzewali? Do tej pory gelus księcia był zawsze dużo, dużo mniejszy. Mężczyzna wyciszył myśli. Po co głupio ryzykować podsłuch? Czujnie ominął zabójczą istotę i zatrzymał się pośrodku salonu, w którym niewielki trow stał pochylony nad stołem zawalonym stosem różnych dokumentów, kryształów pamięci, zwojów i map.

Na jego widok Clayland wyprostował się z gracją tancerza. Kocimi ruchami zbliżył się do Sheridana i okrążył go bez słowa. Mimo że Sheridan był sporo wyższy od księcia, pod wpływem jego wściekłego spojrzenia skurczył się, zacisnął szczęki i zdenerwowany czekał na jego reakcję.

– Czemu tak proste rozkazy, jakie wydałem, sprawiają ci tyle trudności? – wysyczał Clayland zamiast powitania. – Już samo szwendanie się po powierzchni ściąga na nas zbyt wiele uwagi merrillów, a co dopiero polowanie na harpie! Czy stanowczo ci tego nie zakazałem? Czy nie zabroniłem obcinania im skrzydeł i torturowania? I jeszcze te targi syren! Mam gdzieś, że są nielegalne! Chodzi o to, że są zbyt ostentacyjne. Wkrótce płanetnicy mogą przestać być potulni, ochraniać targi, zerwą się ze smyczy, a wtedy merrille dobiorą nam się do tyłków! Wiesz, co wtedy się stanie! Nie możesz, jak inni, siedzieć w podziemnym mieście? Czy nie widzisz, że ty i twoi nierozgarnięci podwładni ściągacie na nas zbyt dużą uwagę?! – grzmiał książę. – Nie rozumiesz, że taki rozgłos nam szkodzi? Że w pewnych sprawach

musimy być dyskretni i działać niezauważeni? A właściwie CO chciałeś osiągnąć taką ostentacją? Uznanie? Powiem ci, co osiągnąłeś: gniew społeczności za to, że narażasz nas na niebezpieczeństwa, i pogardę z powodu twej wielkiej pychy. A teraz, Sheridanie, słucham, co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Pióro, panie – wyrzucił z siebie Sheridan, wiedząc, że teraz będzie jeszcze gorzej. I nie mylił się.

– Pióro? Pióro?! – Clayland wciągnął gwałtownie powietrze. – A bodaj cię pylisty parch dopadł, głupcze! Kiedy w końcu zapamiętasz, że Pióro to już TYLKO legenda, bajka opowiadana na dobranoc niesfornym elfiątkom? Ile razy mam ci tłumaczyć, że nie istnieje? Stanowi część naszej mitologii, naszych podań, ale nigdy go nie znajdziesz. Jest zniszczone, zapomniałeś? Nie próbuj szukać czegoś, czego nie ma, Sheridan! Jeśli jeszcze raz usłyszę o twej niesubordynacji, zdegraduję cię z kasty wojowników do kasty użytecznych. I to tej niższej! Czy wiesz, jak wiele kłopotów mam przez ciebie za to, że rozprawiłeś się z tamtą harpią? I na dodatek ta kobieta was widziała!

– Kobieta, panie?

– Tak, TA kobieta, którą rzekomo harpia porwała, a ci idioci z twojego oddziału uznali za martwą! Czy wiesz, jaką przeprawę miałem z merrillami? Jak musiałem tłumaczyć się z waszych postępków? Czy masz pojęcie, co by się stało, gdyby merrille nie uwierzyły w moje bajeczki, że chcieliście uratować biedaczkę ze szponów bestii? Po raz ostatni zagroziłeś społeczności podziemnego miasta – wycedził szeptem Clayland. – A skoro tak bardzo lubisz polowania, niech karą dla ciebie będą trzy dni

łowów na evanthesy. Bez użycia magii. – Sheridan pobladł z upokorzenia. – Kilku twoich kamratów już przeniosło się w zaświaty za sprawą gelusów. – Teraz Sheridan zrozumiał błysk w oczach gelusa, którego mijał, wchodząc do komnaty. Ten gelus był po prostu syty! – Ciebie też to spotka, jeśli nie porzucisz swojego procederu. – Książę odwrócił się plecami do Sheridana i ten zrozumiał, że to koniec rozmowy. W milczeniu skłonił głowę.

– Chwała podziemnemu miastu – powiedział cicho pokornym tonem. – Chwała Claylandowi. – Zaczął wycofywać się w kierunku drzwi. Mimo służalczego pokłonu nadal śledził ruchy swego księcia, a przede wszystkim jego gelusa. Dotarłszy do drzwi, jeszcze raz powtórzył: – Chwała Claylandowi, chwała podziemnemu miastu.

Książę odprawił go gniewnym gestem, po którym Sheridan mógł już tylko jak najszybciej opuścić jego rezydencję.

Dopiero gdy wrota komnat księcia zamknęły się za nim, odetchnął z ulgą i zarazem oburzeniem. Z ulgą, że żyje. Z oburzeniem, że za tak małe przewinienie musi przez trzy dni polować na evanthesy. Trzy dni! Na evanthesy! Bardziej książę pan nie mógł go ukarać. To największe upokorzenie, jakiego mógł doznać trow wojownik o takiej sławie jak Sheridan. I to za co? Za to, że chciał zgodnie z legendą swego ludu poszukać drogocennych Piór. A konkretnie tego jedynego brakującego. Sheridan zgrzytnął zębami. Cóż, to poniżenie będzie miało ogromny wpływ na jego karierę, ale...

„Zaraz, co powiedział książę? Że kobieta żyje?!”.

Pamiętał, jak dostał wiadomość, że harpia ją porwała. Nie zrobiłaby tego bez powodu. Harpie zwykle unikają ludzi. Aeryn

mogła złamać ten zakaz tylko dlatego, że chodziło o cyborium. Tak, MUSIAŁA, podobnie jak on, uważać ją za cyborium!

Krew zatętniła szaleńczo w żyłach trowa. Cyborium. Żyło. Podobnie jak Pióro było częścią legend mrocznych elfów. I podobnie jak Pióro było teraz obiektem dla Sheridana zakazanym. Przynajmniej na razie. Znowu zgrzytnął zębami. Trzy dni zafajdanych polowań, a potem ponownie zajmie się panią Ariel Odgeon. Odkąd zobaczył ją w umyśle tego śmierdzącego fauna Edwina, czuł, że czas jego triumfu się zbliża. Że w końcu trafił na właściwą osobę. Gdyby udało mu się złapać cyborium i dostarczyć do miasta, śmiało mógłby zażądać największych zaszczytów. Porwanie tej kobiety przez harpię wydawało się darem niebios. Popełnił błąd, że sam nie upewnił się co do jej śmierci, ale wtedy był zbyt wściekły, żeby o tym pomyśleć. Drugi raz do tego nie dopuści. Dopadnie Ariel Odgeon i, choćby za kudły, przywlecze tutaj. Ale teraz evanthesy czekają... Jasne oczy Sheridana zapłonęły zimnym nienawistnym blaskiem.

Przemierzając ogromny westybul, nadal się rozglądał. Wiedział, że nawet po opuszczeniu komnat księcia nie może pozwolić sobie na chwilę dekoncentracji. To byłby kolejny bardzo głupi błąd.

„W jednym muszę przyznać rację temu staremu idiocie: trzeba działać dyskretnie. To już nie czas na pokazówki".

– Sheridan! – osadził go w miejscu czyjś władczy głos.

– Roshaun! – „Jakim cudem go nie zauważyłem?". Sheridan bardzo się starał nie wyglądać na pognębionego przez księcia, zwłaszcza w obecności swego największego wroga. Roshaun był typowym trowem: niskim, o ciemnej karnacji i błękitnych oczach, nawet w swej piękności przeciętnym.

„A żeby cię evanthesy obesrały i żebyś tkwił w ich gównach po pachy, dopóki ci fiut nie odpadnie!” – pomyślał. Ciekaw był, co tamten robi w westybulu księcia. Clayland musiał go wezwać, bo przecież sam by nie przylazł. Tyle że Roshaun wyglądał na strasznie zadowolonego, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Sheridana.

– Co tu porabiasz, przyjacielu? – spytał przesadnie uprzejmie.

– Ech, takie tam... – Roshaun machnął ręką niby z lekceważeniem. – Książę pan nakazał mi objąć stanowisko komendanta Mrocznych Patroli. Przyszedłem po wytyczne.

– A Davor? Oddał ci urząd bez walki? – wymsknęło się Sheridanowi, a widząc szeroki, pełen politowania uśmiech Roshauna, zrozumiał, że zdemaskował się niewiedzą.

– Sheridan – szepnął konspiracyjnie tamten, a szept zwielokrotniło wszechobecne echo – rozumiem, że polowałeś na ptaszki. Znowu. Więc nic nie wiesz. Davor zginął w potyczce z wodzirejami. Cóż, chyba byłeś na liście kandydatów na to stanowisko, ale skoro polowałeś bez zezwolenia na powierzchni... Niech zgadnę: w nagrodę będziesz podcierał użytecznych w slumsach czy polował na evanthesy? Stawiam na to drugie. Książę pan uwielbia pieczeń z nich.

W Sheridanie wszystko się zagotowało.

– Roshaun! – dobiegł ich głos księcia. – Do mnie!

– Jaśnie pan wzywa. – Roshaun rozłożył ręce w geście wyrażającym: „A co ja mogę? Jestem tylko wiernym poddanym”. – Do zobaczenia, PRZYJACIELU.

Jad, z jakim wypowiedział to ostatnie słowo, doprowadził Sheridana do szału. Nie rzucił się jednak z pięściami na tamtego,

nie zacisnął szczęk, nawet się nie skrzywił. Patrzył jedynie spode łba i zastanawiał się, w jaki sposób odegra się na Roshaunie; z przyjemnością wykorzystałby wszystkie znane mu rodzaje zadawania powolnej, bolesnej śmierci.

Tymczasem Roshaun z gracją baletmistrza odwrócił się do niego plecami i ruszył w stronę komnat księcia.

– Obawiam się, że nie wiem, gdzie jest to miejsce, o które pani pyta. Jeśli się pani zgubiła, radzę poprosić o pomoc policjanta. O, tam idzie.

Ariel ocknęła się i zobaczyła, że stoi na środku zatłoczonego deptaka, na dodatek w nie swoich ciuchach. Obok ujrzała znajomo wyglądającego młodego mężczyznę. Pomyślała, że musiał chyba spędzić sporo czasu u dobrego fryzjera, żeby wyczarować pasemka w tylu odcieniach brązu. Miał też interesujące brązowo-zielone oczy z długimi niczym u dziewczyny rzęsami, ale zupełnie niepotrzebnie, w jej mniemaniu, podkreślił je konturówką. I bez tego były obłędne. Mężczyzna uśmiechnął się, a Ariel odniosła wrażenie, że w tym momencie cały świat zaczął się uśmiechać, potem skinął głową na pożegnanie i ruszył deptakiem. Zauważyła, że lekko utyka. Coś jej to przypominało. Usiadła na najbliższej ławeczce. Zamyślona ogarnęła wzrokiem deptak i ludzi zajętych swoimi sprawami. Potem spojrzała na ciuchy, które miała na sobie, a które kompletnie nie były w jej stylu. Zerknęła raz czy

dwa na oddalającego się młodzieńca. Nim na dobre zniknął w tłumie, doznała olśnienia.

– Aeryn! – krzyknęła za nim. Nie odwrócił się, ale zauważyła, że na moment zwolnił i jakby się zawahał. – Harpia! – zawołała ponownie. Przystanął, jakby analizował sytuację, ale potem zacisnął pięści i szybciej ruszył do przodu. Ariel zerwała się i pędem pobiegła za nieznajomym. Nie było łatwo go dogonić, bo mimo kalectwa całkiem szybko szedł, bardzo sprytnie klucząc przy tym i chowając się w tłumie. Dopadła go, nim zniknął w kolejnym zaułku. – Hej! Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia?

– Słucham? Pewnie mnie pani z kimś pomyliła. – Uśmiechnął się grzecznie i spróbował ją wyminąć.

– Z pewnością nie! – Złapała go za rękaw płaszcza. – Kim jesteście i czego ode mnie chcecie?!

– Pani wybaczy... – Udał zirytowanie i wyszarpnął rękaw.

– Nie, nie wybaczę! – Miała coś takiego w oczach, że mężczyzna przez chwilę zapomniał o ucieczce. – Albo mi powiesz, co się dzieje, albo... – Usłyszał groźbę w jej głosie.

– Niech zgadnę: pójdziesz na policję? Ale banał!

– To też przyszło mi do głowy. – Jego słowa zbiły ją nieco z pantałyku. Zrozumiała, że musi to inaczej rozegrać. – Masz rację, to by nic nie dało. Nikt nie uwierzyłby w moje opowiastki o dziwolągach porywających ludzi. Ale wiesz co? Jeśli zaraz mi nie powiesz, o co chodzi, zacznę wrzeszczeć, że molestowałeś dzieciaki z pobliskiej szkoły albo jeszcze lepiej: że za kościołem urządziłeś wystawę swoich klejnotów rodowych z darmowymi wejściówkami dla lolitek. Zrobi się niezłe zbiegowisko. Coś mi mówi, że bardzo

dużo czasu zajmie ci udowadnianie na posterunku, że jesteś przykładnym obywatelem. A ja mam cholerne wrażenie, że zależy ci na dyskrecji.

Tym razem chyba trafiła w dziesiątkę, bo zobaczyła, jak w jednej sekundzie uśmiech znika z jego twarzy. Zawahał się. Widziała, że intensywnie nad czymś myśli.

– Wystawa klejnotów dla lolitek? – spytał. – Lolitka? Lolita... Aha, Nabokov! – Pacnął się dłonią w czoło, jakby doznał olśnienia. Znowu uśmiechnął się szeroko, za to Ariel, dla odmiany, wpadła w konsternację i zastanowiła się, ile wlepią jej kary za prześladowanie chorych umysłowo. A konkretnie tego jednego. – Czytałem – pochwalił się. – Klejnoty? Znaczy się jaja? Ale ja nie... Mniejsza z tym. – Chyba w końcu dotarł do niego sens jej słów. – No dobra, nie miałaś halucynacji. Ta zamordowana w uliczce kobieta – zaczął powoli – rzeczywiście była harpią...

– Tyle to i ja wiem!

Popatrzył na nią zdumiony.

– W takim razie JAKICH informacji ode mnie oczekujesz, skoro wszystko wiesz?

– Jak to jakich?! – Zirytowała się jeszcze bardziej, bo pomyślała, że facet albo się z niej nabija, albo znowu próbuje ją wykiwać. – Chcę wiedzieć, dlaczego jestem prześladowana? Czemu Aeryn mnie porwała? Po co zaprosiliście mnie do apartamentu, który potem wyleciał w powietrze? Czuję, że o targu syren też będziesz mi miał sporo do opowiedzenia. No, słucham!

Teraz Ariel ujrzała zaskoczenie w zielono-brązowych oczach mężczyzny.

– Porwanie? Aeryn cię porwała? – wyszeptał. Potarł nerwowo czoło. Zrozumiała, że on też nic nie wie. – Niby po co miałaby to robić?

– Może słowo „cyborium” coś ci podpowie?

– Cy... Cyborium?! – wyjąkał przerażony.

– Tak, cy-bor-ium! – warknęła, bo zaczynała tracić cierpliwość. – To co, gadasz czy mam zacząć się drzeć?

– Aeryn powiedziała ci o...? W takim razie rzeczywiście musimy pogadać, ale nie tutaj. Słońce zachodzi. Nie możemy tu zostać. Nocą zaułki... No nieważne, chodźmy. – Pociągnął ją za rękaw. Poszła za nim bez sprzeciwu. Wrócili na deptak i wraz z tłumem popłynęli ku najbliższemu placykowi. – Będziesz mi musiała wszystko opowiedzieć o Aeryn. Co mówiła, co robiła. Wszystko. – Prowadził ją w kierunku wejścia do znajomego centrum handlowego. – A tak przy okazji, nie mam tych... no... klejnotów rodowych... a w tym mieście nie istnieje nic takiego, co nazywasz kościołem.

Drzwi uruchamiane fotokomórką otworzyły się przed przybyszami i weszli do środka. Wnętrze było rozświetlone tysiącami lamp i wypełnione różnokolorowym rozgadanym tłumem. Mężczyzna ruszył w kierunku ruchomych schodów. Ariel podreptała za nim. Wjechali na przeszklone piętro, gdzie mieściła się jedna z wielu kafejek, ale nie ta, w której ostatnio była. Usiedli przy jedynym wolnym stoliku, tuż koło balustradki odgradzającej gości od przepastnego wewnętrznego szybu. Ukryci za fikusem mogli obserwować całe otoczenie, sami pozostając niewidzialni.

Tego samego dnia rano

Niski, chudy mężczyzna obdarzony urodą kozła nerwowo kręcił się po pokoju.

– Wczoraj znowu było to samo! – wrzasnął piskliwym głosem. – Płaczą, mdleją, jęczą, szlochają! Co jeszcze?! Zaczną publicznie popełniać samobójstwa?! Na racice ojca wszystkich faunów, to się musi skończyć! Słyszysz? Zanim ludzcy merrille albo, co gorsza, ludzcy poszukiwacze zainteresują się nami.

Podstawił obrośniętą kłakami rękę pod nos Camerona i gwałtownie pogroził mu palcem. Ten przyjrzał się półkozłowi i wzruszył ramionami.

– Nie przesadzaj, Kesey – powiedział. – Po prostu im się podoba.

– Podoba? Podoba?! I dlatego szczają po nogach i mdleją?! – Menedżer nawet nie starał się ukryć złości. – Lubię Treyę, serio. Nawet bardzo. Żal mi jej z powodu tego, co przeszła, ale to już historia. Teraz tu jest prawdziwe życie. My tu pracujemy, rozumiesz? Zarabiamy na chleb! Ona musi z tym skończyć – wycedził. – Słyszysz? Niech coś zrobi. Zmieni ciuchy na zdzirowate, zacznie tańczyć na rurze, obetnie i utleni włosy. O-bo-jęt-ne! Ma się upodobnić do innych wokalistek, rozumiesz? Puść jej MTV albo jakiś inny kanał w ludzkim „oglądaczu". Chcę, żeby wyglądała jak te wszystkie lalunie z ich teledysków, rozumiesz?

I ma przestać śpiewać o tragedii swojej rasy. Ta ciężka atmosfera musi się skończyć, zanim ktoś się zorientuje, że... A przede wszystkim niech się w końcu, do cholery, zacznie uśmiechać, rozumiesz?! – Trzasnął pięścią w biurko.

„Powiedz jeszcze raz »rozumiesz«, a poszukam topora i obetnę ci ten rogaty łeb!". Cameron pokręcił głową z dezaprobatą i się skrzywił.

– Doskonale wiesz, że to niemożliwe...

– No to powiem merrillom, żeby ją z powrotem przyjęły pod swoje opiekuńcze skrzydła!

Tym razem Kesey całkiem jawnie groził. Cameron zacisnął zęby.

– Wiesz, co się stanie, jeśli do nich wróci.

– Ty mi tu nie wyjeżdżaj z takimi tekstami – zapiszczał Kesey. – I nie bierz mnie na litość. Zrobię to, serio. Namów ją, Cameron, żeby jak najszybciej się zmieniła. Dla dobra jej samej i nas wszystkich. Nie mogę dopuścić, żeby narażała całą społeczność. – Odpowiedziało mu pełne wyrzutu spojrzenie mężczyzny. Półkozioł udał, że go nie widzi, w dziwnych podskokach wyminął Camerona i opuścił pokój.

Niedługo potem drzwi garderoby otworzyły się bezszelestnie. Kobieta nie odwróciła głowy. Nadal patrzyła w lustro, w którym odbijała się zmęczona, zestresowana twarz. Mężczyzna stanął za jej plecami. Ujrzała w zwierciadle, że też jest zmartwiony. No tak, znowu był u Keseya. Musiał dostać niezłą reprymendę, bo minę miał naprawdę nietęgą.

– Nie mogę. Nie proś mnie – powiedziała, nim zdążył otworzyć usta. – On nie ma prawa żądać ode mnie takich rzeczy.

– Groził mi – wyszeptał Cameron. – Zapowiedział, że odda cię merrillom, jeśli się nie zgodzisz. Chce, żebyś zmieniła image. Fryzurę, ubrania, repertuar na weselszy. Żebyś zaczęła udzielać wywiadów. Twierdzi, że za bardzo się wyróżniasz. Że narażasz nas wszystkich. Trey...

– Za dużo żąda. To niemożliwe. Mogę ściąć włosy i ufarbować, ale po minucie i tak będą takie jak przedtem. Wiesz o tym. Jeśli włożę inne ciuchy, wszyscy zorientują się, kim jestem. Czy nie wystarczy, że to noszę? – Sięgnęła do twarzy i zaczęła niezgrabnie zdejmować maskę ukrywającą jej piękne oblicze. – A piosenek nie zmienię. Nie mogę. Mnie się udało, ale oni – machnęła ręką za siebie – tam zostali. Jestem im to winna, przynajmniej tyle. Może pewnego dnia ktoś odczyta ukryty sens tych tekstów, może...

– Wyzwoli biedaków? – przerwał jej Cameron. Złość i gorycz w jego głosie przecięły powietrze niczym brzytwa. – Tak, Trey, tobie się udało, więc zacznij, do cholery, wreszcie żyć! Zapomnij o nich i żyj własnym, niepowtarzalnym życiem. Kesey ma rację: umartwianie się nic nie da – przekonywał. – Jedyne, co osiągniesz, to ponowny kontakt z merrillami. Sprowadzisz nieszczęście na siebie i tych, co ci pomagają. O to chodzi? A może chcesz ponownie spotkać JEGO? – Nie musiał mówić, kogo ma na myśli. Widząc przerażenie w jej oczach, zrozumiał, że bardzo, ale to bardzo przesadził. Ukląkł przy krześle, ujął ręce kobiety w dłonie i spojrzał błagalnie. – Trey, proszę...

Długą chwilę milczeli.

– Jesteś dobrym przyjacielem – powiedziała w końcu. – Postaram się. Nie obiecuję, ale się postaram. Może... Może na początek umów mnie na wywiad, tylko niech to będzie jakaś

lokalna gazeta i niezgułowaty redaktorek. Może w tej mieścinie, gdzie dajemy koncert za parę dni...

– Morren City.

– Tak, Morren, powinna być dobra. I niech Kesey też będzie obecny przy tym wywiadzie.

Zobaczyła cień uśmiechu i ulgę w jego oczach.

Późnym popołudniem

– Tylko tego nie spieprz. Tylko nie spieprz – powtarzał sobie na okrągło. Miał świadomość, jak ważne zlecenie dostał. Z nikomu nieznanego fotografa hobbysty, któremu jakimś niesamowicie szczęśliwym zbiegiem okoliczności zlecono maleńką robótkę przy promocji miasta, nagle awansował do roli dziennikarza mającego przeprowadzić wywiad z Treyą Thuranne. Powiedziano mu, że to wschodząca gwiazda rocka, której wróżą wielką karierę ze względu na skalę głosu oraz charyzmę sceniczną.

Jej występ miał być główną atrakcją rozpoczynających się niedługo Dni Miasta. Jack postanowił pójść na koncert, który miała dać dziś wieczorem w innym, dość odległym miasteczku. Chciał poczuć klimat, zobaczyć Treyę w akcji, żeby później mieć o czym z nią rozmawiać.

Udało mu się dzięki znajomościom wejść za kulisy. Śledził więc z zainteresowaniem przygotowania do występu: biegających i pokrzykujących techników, którzy dopinali ostatnie szczegóły, oraz zespół tancerzy robiących wygibasy dla rozgrzewki, a także rosnący przed sceną podekscytowany tłum.

Gdy nagłośnienie i oświetlenie zostały sprawdzone, na scenę wkroczyła w asyście kilku długowłosych dryblasów dziewczyna o ciemnych postrzępionych włosach, ubrana w zbyt krótką spódniczkę mini i stanowczo za wysokie szpilki. Coś krzyknęła do

zespołu, pomachała z rozbawieniem do tłumu i kilka razy energicznie tupnęła, dając znać, że czas zacząć koncert.

„To nie ona. To tylko *support*" – pomyślał Jack.

Tymczasem dziewczę zdążyło już powitać fanów i chwilę później kolorowy tłumek zaczął klaskać w rytm śpiewanej przez nią piosenki. Jacka ten występ za bardzo nie porwał. Takich wokalistek widział już mnóstwo we wszystkich mediach. Epatowały seksem i pozowały na tanie zdziry, a co najgorsze, były wzorem dla zbyt wielu nastolatek. Miał niewielką nadzieję, że Treya będzie się choć trochę od nich różniła. Tymczasem dziewczyna rozpoczęła jakiś grożący kalectwem dziki układ taneczny, nawet nie starając się ukryć, że śpiewa przy tym z playbacku.

„Po co komu talent, kiedy są komputery i technika? W dzisiejszych czasach, jak widać, wystarczy mieć tupet i być bezpruderyjnym". Jack był coraz bardziej zirytowany.

Tłum przytupywał rytmicznie. Z każdą minutą atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Jednak w przerwie między jedną a drugą piosenką ktoś z tłumu krzyknął:

– Spadaj w końcu! Chcemy Treyę!

Wokalistka uśmiechnęła się, zupełnie jakby dostała owacje na stojąco, lecz sekundę później Jack zobaczył jej skrzywioną minę, gdy na moment odwróciła się do zespołu.

– Chcemy Treyę! Chcemy Treyę! – Cała widownia podchwyciła te słowa.

Nie pomogły uśmiechy ani gesty mające uspokoić tę rozkołysaną ludzką falę.

– Chcemy Treyę! – Fani najwyraźniej nie dawali za wygraną.

Po kilku minutach dziewczyna skapitulowała i siląc się na rozbawiony ton, powiedziała:

– Kochani, widzę, że jesteście już nieźle nakręceni! To świetnie! Bo teraz czas na występ naszej gwiazdy! Panie, panowie, oto Treya Thuranne!

Jack dobrze przygotował się do tego spotkania. Wspomniał teraz własne, zrobione naprędce notatki i spostrzeżenia. Według nich Treya Thuranne nie przypominała żadnej ze znanych wokalistek. Ciemne, długie do połowy uda włosy skrzętnie skrywały przeciętną i niemal chorobliwie bladą twarz bez makijażu. Skromne bluzki, zawsze ze zbyt długimi rękawami, i spodnie typu dzwony zakrywające nawet buty – nie tego należało się spodziewać po takiej klasy artystce. Jako czujny obserwator Jack dostrzegł na filmiku obejrzanym na YouTube różnicę w grubości podeszew i wysokości obcasów jej pantofli oraz to, że lekko, niemal niewidocznie, utykała. Zapewne z tego powodu nigdy nie wykonywała na scenie żadnych układów tanecznych. Całą oprawę stanowił zespół tancerzy w otoczeniu bajecznie podświetlonych autentycznych fontann, które stały się znakiem rozpoznawczym jej występów.

Wielbiciele talentu artystki przywykli już do ponurych klimatów tych koncertów. Do ballad przyprawiających słuchaczy o łkanie i ostrych, rockowych kawałków opowiadających o samotności, smutku, bezsilności, przegranym życiu. Jej czterooktawowy sopran wplatał się w ciężkie brzmienia gitar i perkusji, dając niesamowite połączenie rocka i opery. Podobno nieświadomie grała na emocjach tłumu, pozostawiając go po zakończonym koncercie z uczuciem niedosytu i absolutnego

rozkochania w niej. Mówiono, że czarowała fanów swym głosem, talentem, charyzmą, bo tylko słowem „czary” można było określić to, co potrafiła zrobić z tłumem.

O niej samej niewiele wiedziano. Podobno pochodziła z zapyziałej mieściny gdzieś na południu i dopiero niedawno została odkryta przez łowcę talentów, a jej mroczny sceniczny image miał związek z jakąś tragedią z przeszłości. A może były to jedynie plotki? Sprytny chwyt marketingowy? Celowe działanie stylistów, podobnie jak otaczająca ją aura tajemniczości i notoryczne odmawianie udzielania wywiadów? Dziwna to była artystka, bo nie pchała się na pierwsze strony tabloidów, nie dawała się zaskoczyć paparazzim, unikała skandali i poza koncertami trudno ją było namierzyć. Nawet ten jedyny film na YouTube był króciutki i podłej jakości. Zupełnie jakby wraz z wygaśnięciem scenicznych reflektorów zapadała się pod ziemię. Snuto miliony domysłów, lecz nikt nie miał pewności, skąd tak naprawdę Treya pochodzi i kim jest.

Tymczasem tłum zamarł, światła przygasły i na scenie, nie wiadomo skąd, pojawiły się miniaturowe fontanny rozsiewające mgiełkę wody podświetloną kolorowymi reflektorami.

Jack wyciągnął szyję, rozejrzał się. Gdzieś z tyłu ujrzał kilku techników ustalających coś nerwowo i też się rozglądających. Czyżby artystki jeszcze nie było? Zerknął na tłum. Ludzie zaczynali się niecierpliwić. Pomyślał, że jeśli Treya szybko się nie zjawi, to będą tu mieli za chwilę niezłą rozróbę.

I rzeczywiście, jak na zamówienie, ktoś w tłumie rzucił wulgarną uwagę, ktoś inny zdzielił go pięścią i już po chwili

ochrona starała się rozdzielić dwóch podchmielonych awanturników, dookoła których zrobiło się dziwnie dużo miejsca.

„Pięknie. Oto występ najwyższych lotów dla ochlaptusów i meneli. Miejmy nadzieję, że nasza gwiazda zaprezentuje wyższy poziom".

„Zaraz będziesz miał okazję się przekonać" – usłyszał szept... w swojej głowie! Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto był autorem tej wypowiedzi, ale ujrzał jedynie stojącą w półmroku sceny smukłą postać. A potem stało się coś przedziwnego. Kobieta nie odezwała się, nie wykonała najmniejszego ruchu. Po prostu stała tam i patrzyła na tłum. Ten w jednej sekundzie umilkł niczym zaczarowany. Kilkaset osób utkwiło wzrok w niepozornej postaci. Kłęby dymu wyrzucane przez dmuchawy zmieszały się z mgiełką wody z fontann. Z głośników popłynęła łagodna muzyka. Chórek stojący z tyłu zanucił jakiś smutny motyw. Nagle pojedynczy reflektor rozbłysnął nad głową kobiety i z jej ust popłynęła najpiękniejsza i najsmutniejsza ballada, jaką Jack kiedykolwiek słyszał.

Nogi się pod nim ugięły i musiał przytrzymać się barierki, żeby nie upaść. Słyszał muzykę, słyszał śpiew, lecz sens słów do niego nie docierał. Zresztą to nie miało najmniejszego znaczenia. Ważne były emocje. Głos dziewczyny poruszył wszelkie najczulsze struny w jego sercu. Dotarł do takich zakamarków duszy, o których istnieniu Jack nawet nie wiedział. W jednej chwili przepełniły go smutek i mrok. Wszystko w nim załkało. Chciał dokądś biec, kogoś ratować, pocieszać. Chciał płakać po czyjejś stracie. Niewyobrażalny ból rozdarł mu duszę niczym nóż. Wiedział, czuł, był absolutnie pewien, że zrobiłby w tym momencie wszystko,

czego Treya by od niego zażądała. Ale oto utwór się skończył. Na chwilę zapadła cisza, niesamowita cisza zakłócana jedynie szmerem fontann.

Jack stał z rozdziawionymi ustami; z tego stanu osłupienia wyrwały go dopiero burza oklasków i owacje tłumu. Fani krzyczeli, płakali, klaskali. Ktoś rzucił bukiet frezji, ktoś inny pluszowego psiaka.

„Chryste! Ależ ona ma głos!" – pomyślał Jack.

Już po chwili na nowo odezwała się perkusja, za nią gitary i klawisze wspomagane orkiestrą symfoniczną. Ponownie muzyka wdarła się do uszu i głów słuchaczy. Tym razem ostry, rytmiczny utwór opowiadał o miłości, pożądaniu i znów o śmierci.

Czas płynie tak szybko,
Kolejne duszne lato
Skapitulowało pod naporem
Złotych liści jesieni.
Ta oddała swój kolorowy tron
Mroźnej zimie, a ja
Nie zdążyłam Ci powiedzieć,
Jak bardzo Cię kocham...

Wraz z każdą wyśpiewywaną przez Treyę nutą Jack doświadczał wszystkich odcieni tych uczuć. Najpierw jego umysł wypełniły słodycz miłości i czułość, jaką chciał obdarzyć kogoś bardzo, bardzo drogiego jego sercu. Potem ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy tak nieziemskiej, że niemal zabrakło mu tchu. Na końcu ostry ból przeszył pierś, a gardło zdławiła rozpacz.

Gdy utwór się skończył, mógł nareszcie normalnie odetchnąć. Przygładził dłonią włosy i nieświadomie dotknął policzka. Był mokry. Płakał? Spojrzał na tłum pod sceną. Chryste, z tymi biedakami wcale nie było lepiej! Nic z tego nie rozumiał, ale czuł się autentycznie przerażony!

Tego wieczoru z każdą kolejną piosenką Jack doświadczał chyba wszystkich znanych ludzkości uczuć. To płonął z miłości, to pragnął umrzeć. Pałał chęcią zemsty i łkał z rozpaczy. Wpadał w euforię, by po chwili zagłębić się w najczarniejsze odmęty smutku. Skrajne uczucia miotały nim z taką siłą, jakby był przypadkowym uczestnikiem szalonej przejażdżki kolejką górską.

Wyczerpany emocjonalnie z ulgą przyjął kolejną, tym razem bardzo łagodną, bardzo spokojną melodię. Płonące ogniki z zapalniczek uniesionych w wyciągniętych dłoniach zakołysały się niczym fala na oceanie. Ta ostatnia ballada ukoiła wszelkie złe uczucia. Niosła nadzieję, goiła rany duszy. Jack poczuł się niczym płaczące dziecko utulone w bezpiecznych ramionach matki.

Długo jeszcze stał oniemiały za kulisami. Treya zdążyła pożegnać fanów, tłumy ludzi opuściły plac w ciszy i skupieniu, a on nadal stał nieruchomo, niezdolny do wykrzesania z siebie energii. Jedyna spójna myśl, jaka kołatała mu się w głowie, była taka, że za tymi emocjami stała Treya. Tylko i wyłącznie ONA. Manipulowała tłumem i jego odczuciami z wprawą wirtuoza. Manipulowała także nim, Jackiem. Druga myśl, jaka pojawiła się zaraz potem, była taka, że on, Jack, jest absolutnie, rozpaczliwie i beznadziejnie... zakochany w Trei Thuranne!

Niemal nieprzytomny z wściekłości Sheridan dotarł westybulem do wrót rezydencji. Nawet nie zauważył, kiedy ponownie znalazł się na szerokim tarasie, z którego książę pan zwykł był pozdrawiać motłoch. Zszedł paradnymi schodami na plac przed siedzibą swego zwierzchnika. Dopiero tu kilka razy głęboko odetchnął i obmył twarz w lodowatej wodzie z fontanny. To go nieco otrzeźwiło, lecz wściekłość nadal go rozsadzała.

– „Donosiciel Podziemny”! – wydarł się jakiś chłopak. – Kupujcie „Donosiciela”! Sensacyjne wiadomości! Koniec orgii! Hrabianka Mathilde porzuciła rozwiązły tryb życia i już nie chce być kapłanką! „Donosiciel Podziemny”! Wielkie oszustwo: lekarstwo na pylistego parcha okazało się sadłem z evanthesów! Kupujcie „Donosiciela”! Książę pan zarządził loterię o awans do kasty wojowników! Awansować może kaaażdy! – darł się chłopak.

„Tiaa, jasne, każdy” – zadrwił w myślach Sheridan. Wyminął młodzika i ruszył tunelem wiodącym ku siedzibom mieszkańców. Po raz kolejny wróciło do niego uczucie stłamszenia, jakie nawiedzało go od narodzin przez cały czas pobytu w tym mieście. Podziemne miasto. Kochał jego duszną atmosferę, choć czasem chciałby, żeby unicestwiło je jakieś wyjątkowo mocne trzęsienie ziemi. Idąc, rozglądał się i podziwiał miasto, jakby widział je po raz pierwszy. Było ogromne. Składało się ze sporej liczby większych lub mniejszych komór, które powstały jako efekt pracy rąk zniewolonych krasnoludów, ale także tych obywateli, którzy

w jakiś sposób podpadli urzędnikom księcia, i ludzkich górników. Leżało niedaleko dawnej kopalni ludzi – obecnie zamkniętej – i pod ich miastem.

Olbrzymią komorę, przy której posadowiono rezydencję Claylanda, wykuto w węglu, dlatego nawet światło magicznych latarń nie mogło rozświetlić wszechobecnej czerni. Służyła głównie celom rekreacyjnym – zgromadzeniom mieszkańców i festynom – i dlatego było tu mnóstwo ławeczek z białego marmuru, kilka fontann, a w ścianach na obrzeżach parę ekskluzywnych klubów, sklepów i restauracyjek. Właśnie na jednym z końców komory znajdował się ów wykuty w ścianie taras z paradnymi schodami, którymi wybrańcy mogli przybywać na zaproszenie księcia.

To dzięki jednemu z poprzedników Claylanda dno komory zostało wyłożone mozaiką z wielu odmian barwnego najszlachetniejszego marmuru. Książę ten, wędrując w młodości po powierzchni i odwiedzając ludzkie osady, tak zachwycił się wytworami tamtejszych kamieniarzy, że kazał je skopiować w najmniejszych nawet szczegółach w swoim mieście. Mozaiki te nazywano, zdaje się, „pietra dura”, o ile pamięć nie zawodziła Sheridana. W zamyśle miały być potwierdzeniem bogactwa, potęgi i świetnego smaku władcy. Każdy kolejny książę robił wszystko, aby pozostawić po sobie jeszcze okazalsze pamiątki, dlatego w pewnym momencie ogromna podziemna komora przeistoczyła się w piękną salę zdobioną płaskorzeźbami wykutymi w płytach czarnego marmuru, który w wielu miejscach stanowił okładziny dla ścian. Pojawiły się ogromne żyrandole stylizowane na bukiety kwiatów oraz misternie wykonane kinkiety imitujące wijący się

bluszcz. Każdy, nawet najmniejszy przedmiot wykonano z wielką maestrią i dbałością o szczegóły. Ktoś, kto był tu pierwszy raz, z pewnością miał wrażenie, że znalazł się wieczorną porą w ogrodzie hojnie obdarzonym przez naturę najpiękniejszym kwieciem.

Zaślepionego gniewem Sheridana tym razem jednak te cuda nie zachwyciły. Zacisnął pięść na sztylecie zdobionym akwamarynami. Spojrzenia przechodniów zdawały się z niego kpić: „Ty, taki sławny wojownik, będziesz trzy dni pławił się w gównach, polując na evanthesy niczym użyteczny z najniższej kasty?". Czuł, że jeśli szybko się stąd nie wydostanie, eksploduje niczym dokonujący żywota feniks. Wpadł do najbliższego tunelu i rozpychając motłoch, przedarł się kilka przecznic dalej. Na obrzeżach podziemnego miasta, przy kolejnej, choć nie tak pięknej, komorze mieściła się jego posesja. Specjalnie wybrał takie położenie swego domostwa, z dala od wartowników i sługusów księcia pana, gdyż dawało dużo swobody i zapewniało dyskrecję działania.

Drzwi rezydencji otworzyły się, zanim zapukał. Służba na wszelki wypadek pozostała niewidzialna.

„Dobrze ich wyszkoliłem" – pomyślał i ruszył pewnym krokiem w kierunku swych komnat. W holu natknął się na Kinleya, kiedyś piastuna, potem nauczyciela, a teraz jedynie użytecznego w jego domu. Staruszek pochylił głowę, odwrócił wzrok i zaczął podejrzanie szybko się wycofywać.

„Wieści prędko się rozchodzą! Ten już ze mnie kpi! Za chwilę moja własna służba będzie się ze mnie wyśmiewać!". – W Sheridanie wszystko się zagotowało. Jednym skokiem dopadł

Kinleya i bez słowa zatopił sztylet w jego piersi. Staruszek upadł. Czerwona kałuża zbrukała marmurową posadzkę. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Sheridana. Jego but raz za razem miażdżył klatkę piersiową i głowę dawnego piastuna. Po chwili na podłodze była już tylko dogorywająca krwawa miazga, błagająca szeptem o skrócenie żywota. Sheridan zerknął na niego pogardliwie, splunął i odwrócił się, pstrykając palcami. W półmroku holu zmaterializowała się srebrzysta postać i rzuciła się Kinleyowi do gardła.

– Kto go ruszy, skończy jak on! – warknął i tylnym wyjściem opuścił siedzibę. Zagrody vivernów były blisko. Czuł, że nic tak nie ukoi jego gniewu jak nocny lot i zabawa do białego rana w ludzkim mieście. Pal licho zakazy Claylanda. Trzeba się odprężyć przed tym zafajdanym polowaniem.

Ktoś klepnął go mocno w ramię. Zabolało, ale przynajmniej wrócił do rzeczywistości.

– Jack? Jesteś Jack Roveen? Reporter? – Odwrócił się i zobaczył małego człowieczka o twarzy przypominającej pysk kozła. – Masz przeprowadzić wywiad z Treyą? – upewnił się tamten piskliwym głosem.

Jack skinął głową. Nadal był oszołomiony, ale już zaczął sobie przypominać, po co tu przyszedł.

– Tak, powiedziano mi, że będę mógł zamienić parę słów z panią Treyą Thuranne...

– Z PANIĄ Treyą Thuranne. – Człowieczek zarechotał, jakby usłyszał niezły dowcip. – Ekhm, no tak – poprawił się szybko. – Pani Treya Thuranne czeka na pana. Tędy... – Złożył teatralny ukłon i chichocząc pod nosem, wskazał gestem drogę.

Jack nie wiedział, co tak rozbawiło tego ludzkiego kozła, ale posłusznie podążył za nim do małego namiotu na tyłach sceny. Wszystko tu tonęło w półmroku. Nie tak wyobrażał sobie garderobę wokalistki rockowej. Myślał, że będzie tu jasno, kolorowo, pełno babskich fatałaszków, kosmetyków, jakiś piesek albo inny zwierzak czekający cierpliwie na powrót swej pani. Tymczasem dostrzegł tylko lustro, kilka krzeseł, parawan, jakiś stolik z podręcznymi kosmetykami i... nawilżacz powietrza. Na krześle siedziała, a właściwie przycupnęła, Treya Thuranne.

„Wygląda jak wystraszony uczniak, kompletnie nieprzygotowany do ważnej klasówki" – pomyślał. Dostrzegł, że się zmieszała.

Szybko rozsiadła się na krześle, zakładając nogę na nogę, co w jej mniemaniu miało być pozą rozkapryszonej gwiazdy, ale według Jacka wypadło żałośnie.

„O rany, chyba boi się tego wywiadu bardziej niż ja".

Rozbawiło go to spostrzeżenie. Zobaczył, że jest jeszcze bardziej zakłopotana, choć nie bardzo wiedział czym.

– Witam. Proszę spocząć, panie Roveen. – Wskazała najbliższe krzesło. Jej głos był cichy, melodyjny.

„Czy to na pewno ona śpiewała na tej scenie? Może jednak puścili z taśmy? Ten głos... jest jakiś taki inny, niepozorny" –

pomyślał.

– Muszę pana rozczarować, ale to naprawdę ja śpiewałam – wyrwało jej się, nim zdążyła ugryźć się w język. – To znaczy z pewnością chciał pan wiedzieć, czy to rzeczywiście ja śpiewałam – poprawiła się, zanim zapytał, czy umie czytać w myślach. – Ludzie często mnie o to pytają w wywiadach – kłamała jak z nut. – To kwestia techniki śpiewu i tyle – dodała, wzruszając ramionami.

Jack usiadł i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Pewnie dlatego nie używa też pani mikrofonu? – Coś było nie tak. Instynktownie wyczuwał, że to jej pierwszy wywiad, że stara się przejąć nad nim kontrolę, by nie zdradzić zbyt wiele. Spodobała mu się ta gra.

– Tak, właśnie tak! – uradowała się, że podsunął jej oczywistą odpowiedź. – Bardzo pomaga też akustyka pomieszczeń, placów, wtedy... wtedy mikrofony czasem są niepotrzebne. – Zaczęła nerwowo bawić się palcami. – Rozumiem, że chciałby pan usłyszeć, jakie były początki mojej kariery, jak komponuję piosenki, kiedy nagram album...

– Nie! Dużo bardziej interesuje mnie, dlaczego manipulujesz emocjami tłumów, jakim cudem czytasz w mojej głowie i czemu nosisz paskudną maskę na tej ślicznej buzi?! – rzucił, nim dotarło do niego, co mówi.

Nie miał pojęcia, które z nich jest bardziej zszokowane: on gafą, którą dopiero co popełnił, czy ona tym, że powiedział prawdę.

– Maskę? Nie wiem, o czym...

– Fragment z brzegu odstaje. O tutaj. – Dotknął palcem własnej twarzy tuż poniżej ucha. – Zresztą i tak wszystko przez

nią widać. – Było mu strasznie głupio i czuł, że musi jakoś naprawić gafę. – Słuchaj... To znaczy proszę posłuchać, pani Thuranne...

Ale było już za późno. Z krzykiem zerwała się z krzesła i teraz już wyraźnie utykając, wybiegła z namiotu.

„Jack, ty debilu! Co ci strzeliło do łba?!".

Tę cudną konwersację Jacka samego z sobą przerwały odgłosy sprzeczki. Nadstawił uszu.

– Kogo tyś mi tu przysłał?! To miał być idiota, łatwy do omotania! Ten człowiek wszystko wie! Idź tam, zmodyfikuj mu pamięć albo coś...!

Potem odezwał się inny, piskliwy głos.

– Na racice ojca wszystkich faunów! Jak to wszystko wie? A niby skąd? To tylko człowiek. Oni są z natury niedorozwinięci.

– Zrób coś! Błagam! – Treya niemal wpadła w histerię. – W końcu to ty mnie wkopałeś! – Jack poczuł się niemal jak winowajca. Ostatecznie płakała przez niego. Był też coraz bardziej zaintrygowany całą sytuacją. Z jednej strony chciał się dowiedzieć, o co tu chodzi, ale z drugiej jeszcze bardziej chciał... przytulić Treyę?!

– Uspokój się! No już, spokojnie. Włącz te wszystkie swoje babskie hipnotyczne umiejętności, idź tam, uśmiechnij się i wmów mu, że miał zwidy. I otrzyj te łzy! – zapiszczał tamten i Jack nie miał już wątpliwości, że głos należy do podobnego do kozła kurdupla. – I zrób jeszcze... – Resztę wyszeptał wprost do ucha kobiety.

Znowu na moment zapadła cisza. Jack zaczął wiercić się na krześle i zastanawiać, jak wybrnąć z tej dziwacznej sytuacji.

Wyjść do nich i przeprosić, że zachował się jak palant, czy dalej w to brnąć, zadając kolejne idiotyczne pytania? Jego rozmyślania przerwał cichy i melodyjny głos. Treya ponownie zjawiła się w namiocie. Nie dostrzegł śladu łez na jej twarzy, najmniejszych oznak niedawnego ataku histerii. No i maska znowu idealnie przylegała do głowy. Kobieta uśmiechnęła się do niego tak słodko, że Jack ucieszył się, że siedzi na krześle, bo naszła go ochota, żeby uklęknąć. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie był w stanie oderwać oczu od tęczówek kobiety, a mózg natarczywie szturmowała myśl, że powinien natychmiast poszukać wygodnego mebla, a potem z Treyą na nim...

„Czyś ty kompletnie zgłupiał?!" – podjął rozpaczliwą próbę przywołania się do rzeczywistości, a że przy tym ugryzł się dość konkretnie w język, tym razem poskutkowało.

Tymczasem Treya, jak gdyby nigdy nic, rozsiadła się z powrotem na krześle i z niewinną miną powiedziała:

– Witam, panie Roveen. Więc od czego zaczniemy wywiad? Pewnie chciałby pan usłyszeć, jakie były początki mojej kariery, jak tworzę piosenki, kiedy nagram album...

Melodyjny głos wprowadzał Jacka w jakiś dziwny stan, bliski narkotycznym transom. Stopień ogłupienia zaczynał właśnie osiągać poziom krytyczny. Ale zaraz, zaraz, gdzie on to już słyszał?! Odetchnął głęboko, gwałtownie zamrugał.

– Słonko, powtarzasz się, a poza tym to działa tylko wtedy, gdy śpiewasz. Zaśpiewaj, a będę jadł ci z ręki – palnął.

„Rany, czemu nie mogę przestać zachowywać się jak idiota?" – pomyślał, gdy znowu ujrzał plecy uciekającej kobiety. Chwilę potem do namiotu wkroczył koziołkopodobny.

– Na racice ojca wszystkich faunów! – mruknął. – Dlaczego wszystko muszę robić sam?

„Takie są skutki bezczelnego zachowania wobec dam” – zdążył jeszcze pomyśleć Jack, nim srebrzysta iskierka ciśnięta łapą koziołkopodobnego pozbawiła go przytomności...

– Z tego wszystkiego nawet się nie przedstawiłem. Jared – mruknął i skinął głową.

– Ariel Odgeon. To od czego zaczniemy?

– Opowiadaj o sobie. Damy mają pierwszeństwo.

– A widzisz tu jakąś? No dobra, najpierw o mnie, ale pamiętaj, co ci obiecałam.

– Klejnoty, lolity i że będziesz się drzeć. – Uśmiechnął się. – Myślę, że lepiej będzie ci się darło przy kawie. Co ty na to? – Zobaczył zaniepokojenie w jej oczach i domyślił się, co jest powodem. Kasa została w poprzednich ciuchach. – Spokojnie, ja zapraszam.

Kelnerka postawiła przed nimi filiżanki. Zapach świeżo zmielonej kawy wprawił oboje w dużo lepszy nastrój. Ariel wypiła łyk gorącego płynu i westchnęła z rozkoszą.

– Dobra, miało być o mnie. Ale muszę się sprężać. Gdzieś w tym mieście jest moja córka Amanda. Jestem tu tylko po to, by ją odnaleźć.

Następną godzinę opowiadała Jaredowi o wszystkim, co przeżyła w obydwu światach, począwszy od spotkania Fabiena Pod Krzywym Kogutem. Mężczyzna słuchał jej uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie czy uwagę.

– Co do Amandy... Czemu zwyczajnie nie zgłosisz zaginięcia waszej policji?

– Pamiętasz, co mówiłam o dziewięciu miastach? Tam umarłam, a tutaj przywrócono mi życie. Amanda uznała, że klątwa została dopełniona i że nie mogę wracać do tamtego świata. Chciała, żebyśmy razem z Marcusem spokojnie żyli tutaj, bo tam... No, w każdym razie sporo żeśmy tam przeszli. Zresztą nieważne. Tyle że możliwość życia tutaj wymagała pewnych zmian. Amanda ogłosiła więc, że zginęłyśmy w wypadku, i dała mnie oraz Marcusowi nową tożsamość. Według policji obydwie nie żyjemy. Zapewne mogłabym ci nawet pokazać swój nagrobek, tyle że nie bardzo wiem, gdzie jest. Przywrócono mi pamięć raptem kilka dni temu właśnie z powodu zaginięcia mojej córki.

– Ooo...

– Co do całej reszty... Nie jesteś tym wszystkim zdziwiony.

– Teraz już przynajmniej wiem, dlaczego widziałaś Aeryn, choć nadal nie rozumiem, czemu ona uważała cię za... – Z jakiegoś powodu to słowo przychodziło mu z wielkim trudem.

– Cyborium. Tak, ale nie tylko ona. Dziwolągi też. No, teraz twoja kolej. Obietnica jest aktualna.

– Pamiętam. – Uśmiechnął się, choć w czasie tej godziny poznał ją na tyle dobrze, by zorientować się, że blefuje. I choć był tym nieco zaskoczony, musiał przyznać, że polubił tę ciemnowłosą

pyskatą osóbkę. – Źle, że straciłaś wszystkie swoje zdolności czarnoksięskie...

– Niemal wszystkie. Coś tam jeszcze umiem, ale fakt, niewiele tego zostało.

– Tiaa, jasne. Co do dziwolągów... Musisz wiedzieć, że nie należę do tamtej grupy... – zaczął, choć nie rozumiał, czemu chce jej to powiedzieć.

– Nie należysz, ale coś mi mówi, że w pełni człowiekiem też nie jesteś – odpowiedziała spokojnie. – Poza tym wierzysz mi, no i ciebie oni nie zaskakują. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że jesteś harpią. Jared?

– Nasza umowa nie obejmowała zwierzeń na mój temat – odparował i szybko zmienił temat. – Morren City to w ogóle osobliwe miejsce. Niby należy do ludzi, a rządzą tu mroczniaki. Tak pogardliwie mówi się o mrocznych elfach z kopalni. Oczywiście robią to dyskretnie. Jak to wy ludzie mówicie? Aha, że zza kulis pociągają za sznurki. Chyba tak to szło. I z wyjątkiem ludzi czystej krwi wszyscy o tym wiedzą. Gdzieś tam podobno jest ich miasto. – Wskazał palcem na podłogę. – Chyba nawet byli tu pierwsi, choć opinie są sprzeczne. W każdym razie teoretycznie mają siedzieć w kopalni.

– Tej przy torach?

– Aha. Niby mają zakazane szwendać się po powierzchni, ale wiesz, jak to jest: zakazany owoc... i tak dalej.

– Jasne.

– No więc chodzą słuchy, że kiedyś tu rządzili. Jeśli to prawda, musiało wtedy być strasznie – szepnął i zapatrzył się z przerażeniem we wnętrze własnej filiżanki. – Potem coś się

wydarzyło i zostali zmuszeni do wycofania się do kopalni. Jednak cały czas próbują odzyskać dawne tereny. Podobno krąży wśród nich mit o cyborium.

– Kimś w rodzaju zbawiciela, który ich uwolni i przywróci im władzę? Chryste, ale banał! – zachichotała. – Od razu mówię, że ja się na to nie piszę. Ostatnim razem poprosili mnie TYLKO o konsultacje dla smoków i zobacz, jak to się skończyło! Nie mam ochoty być mesjaszem kolejnego świata. Już raz próbowałam i nikomu na dobre to nie wyszło. Normalnie mam przesyt bycia bohaterem, wiesz?

– Zawsze tyle gadasz? – wpadł jej w słowo, a ona natychmiast przypomniała sobie identyczną wypowiedź Xaviere'a. – Nie, nie chodzi o żadnego mesjasza. Cyborium to nie zbawca. Nie bohater. Nie celebryta. Wręcz przeciwnie. Takiej osobie należałoby współczuć.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie żartował.

– Z tego, co słyszałem, cyborium jest czymś w rodzaju naczynia. Mówi się, że powinno pokonać mentalny wąwóz smutku i rozpaczy, przebyć najciemniejsze zakamarki własnej jaźni. To musi być jakaś metafora – szepnął i pociągnął kolejny łyk kawy, a Ariel poczuła się nieswojo. Igiełki strachu zaczęły wbijać jej się w kark, dłonie zrobiły się dziwnie mokre. Dyskretnie wytarła je o spodnie.

Przełknęła ślinę i zapytała:

– Co dalej? Jak je poznać? Jaka jest jego rola? – Miała nadzieję, że Jared nie wyczuł zdenerwowania w jej głosie.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale podobno jest jak groźna broń, odbezpieczona bomba czy coś w tym rodzaju. Groźna

w rękach tych, którzy ją dopadną. Nie jest zbawicielem, a raczej źródłem wiedzy albo władzy, kluczem do czegoś...

– Czymś w rodzaju encyklopedii?

– Można tak to ująć, tyle że jego wiedza jest niebezpieczna. Mroczniaki chcą jeszcze czegoś od cyborium. Czego? Nie wiem, lecz jak tylko to dostaną, zabiją bezwzględnie. Tak jak Aeryn w tamtym zaułku. Nieustannie go szukają. Z jakiegoś powodu odrąbują też skrzydła harpiom i ogony syrenom. Podobno w poszukiwaniu jakiegoś pióra. Ale o co chodzi i do czego im to potrzebne? – Jared rozłożył bezradnie ręce.

– Zaraz, tryton, płetwa... Gdzie tu pióro?

– Kiedyś płetwę ogonową nazywano piórem – wyjaśnił, a ona już zrozumiała poczynania płowowłosego mężczyzny z toporem. – Targi syren to jawny handel niewolnikami. Aż strach pomyśleć, jaki los czeka tych wszystkich nieszczęśników. Teoretycznie są zakazane, ale widziałaś, co robią płanetniki na ich usługach.

– To dlatego non stop panuje tu taka cudna pogoda – mruknęła. – Ale co z tym cyborium?

– Już kilku ludzi wzięto za nie przez pomyłkę. Dziwoląg, jak ich określasz, nie zdołały obronić biedaków. Nie chcesz wiedzieć, co ich spotkało. Mroczniaki nawet nie przejęły się swoją pomyłką. Kilku z nich... – westchnął i umilkł.

– Sam się z nimi zetknąłeś...

Odwrócił głowę, żeby nie zobaczyła, jak bardzo jest poruszony tym wspomnieniem.

– No, w każdym razie bycie cyborium to żaden zaszczyt. Nie ma znaczenia, która strona cię dopadnie. Efekt końcowy będzie taki sam: zginiesz, bo nie ma takiej opcji, żeby dziwolągom udało się

ciebie obronić, a pewnie same też będą chciały skorzystać z twojej wiedzy.

– Zakładając, że rzeczywiście nim jestem, w co zdają się wierzyć wszyscy oprócz mnie.

– Kawa mi wystygła. – Zaśmiał się nieco sztucznie. – Zamówimy jeszcze jedną?

Kolejna filiżanka kawy była już do połowy opróżniona, a oni nadal gawędzili niczym para starych pocieszających się przyjaciół.

– A merrille? Yermin o nich wspominał.

– Hm, merrille. Jak mam ci wytłumaczyć, kim lub czym jest merrill? To nie takie proste. To nie jest imię, gatunek ani rasa jakiegoś stworzenia. Merrillem może zostać niemal każda inteligentna istota. Może być nią człowiek, elf, krasnolud, a nawet, choć rzadko, mroczny elf. Słyszałem o centaurach czy faunach wśród nich, ale to jeszcze rzadsze od łagodnego trowa. – Aromat świeżo zaparzonej kawy zaatakował czułe nozdrza harpii. Jared upił ostrożnie łyczek i kontynuował. – Słowo „merrill" oznacza „współczujący". Widzisz, niektóre istoty, przychodząc na ten świat, zostają obdarzone niezwykle czułymi zmysłami, ogromnym poziomem empatii. Każdym najmniejszym skrawkiem ciała odbierają całą rozpacz i smutek otaczającego świata. To, co dla ciebie jest zwykłą przykrością, dla merrillów jest cierpieniem w sensie fizycznym. Są niczym gąbka pochłaniająca zmysłami wszelką niegodziwość. Wiele takich istot, nie mogąc sobie z tym poradzić, już w dzieciństwie popełnia samobójstwo. Inni lądują w szpitalach dla obłąkanych. Nielicznym udaje się nad tym zapanować na tyle, że przekuwają obłęd w szaleńczą wręcz chęć pomocy innym. W ten sposób same jednak wyzbywają się empatii.

– Ich też spotkałeś...

Jared odwrócił głowę, aby nie dostrzegła napływających do oczu łez. Tylko ton jego głosu potwierdził przypuszczenia Ariel, że harpia była jedną z tych istot, których cierpieniu ulżył bezimienny merrill.

– Mniejsza z tym. Chciałaś wiedzieć, teraz już wiesz.

– Jak rozpoznać merrilla?

Jared przez chwilę delektował się kawą.

– Dla normalnego człowieka takiego jak ty merrill wygląda jak inny zwykły człowiek. Poznasz go po chęci bezinteresownej pomocy... – kontynuowała harpia, podczas gdy zamyślona kobieta przyglądała się pasażom – ...i bliźnie za prawym uchem. Mają tam zatopiony klejnot zwany „różową łzą" lub, jeśli wolisz, morganitem i...

Dopiero teraz dostrzegł, że Ariel od dłuższej chwili go nie słucha. Ujrzał ekscytację na jej twarzy. Nagle zerwała się od stolika, krzyknęła: „Zaraz wracam!" i popędziła ku schodom ruchomym. Chwilę później twarz Jareda zmieniła się w martwą maskę, gdy dostrzegł, że kobieta rzuciła się w objęcia pewnego mężczyzny. Mimo że jego włosy nie były teraz srebrne, lecz przybrały ciemny odcień, i nie miał skórzanej kurtki, srebrnej bandany i takiegoż topora oraz upiornego sługi siedzącego na ramieniu, tego faceta Jared poznałby wszędzie. Nie usłyszał ani słowa wypowiedzianego przez Ariel, za to doskonale widział, jak kobieta wplata dłonie w ciemne włosy tamtego, wtula się w niego i żarliwie całuje!

– Sheridan! – szepnęła harpia. Tamten, nie przerywając pocałunków, podniósł roześmiane oczy w kierunku galeryjki, na

której nadal tkwił Jared, i puścił do niego oko. Potem coś zagadał do Ariel, ona odpowiedziała mu śmiechem. Niby z rozbawieniem pociągnął ją za rękę ku wyjściu.

– Ja wziąłbym cztery. Zawsze większe prawdopodobieństwo, że się uda.

– A ja dziesięć, tyle że nie mamy kasy, pamiętasz? Tony, z ledwością wystarczy na dwa. Niby skąd mam wyczarować forsę na kolejne? Zresztą nie wiadomo, ile przyniesie.

Właśnie zapadł mrok i znów rozpadało się na dobre, jednak nie zniechęcało to dwóch nastolatków. Sprawa, którą mieli do załatwienia, była bardzo ważna, ale i bardzo ekscytująca. Kulili się więc od jakiejś godziny w zaułku, rozcierając zziębnięte dłonie.

– A jak nie przyjdzie? Mógłby się pospieszyć. Nie chciałbym, żeby Katherine...

– Ciii. Kay, spójrz tam! – nakazał szeptem drugi chłopak i wbił wzrok w koniec uliczki. Zdawało mu się? Nie. Ktoś tkwił tam nieruchomo w półmroku. Tony zacisnął pięści, a Kay głośno wciągnął powietrze. Tamten przywołał ich gestem. Bracia rzucili sobie ukradkowe spojrzenia, nieznacznie skinęli głowami i ruszyli w kierunku nieznajomego. Buty nieprzyjemnie stukały o mokre płyty. Facet dalej ani drgnął. Tylko lustrował otoczenie. Młodzieńcy dyskretnie mu się przyjrzeli. Niewysoki, drobnej

postury, ubrany w nieco za duży dres. Głowę dokładnie nakrył kapturem, nie mogli więc dojrzeć jego twarzy.

– Tony – przedstawił się pierwszy z chłopaków i wyciągnął rękę w geście powitania, lecz szybko ją cofnął, bo zmroziło go spojrzenie tamtego.

– To nie spotkanie towarzyskie – warknął nieznajomy i wyciągnął rękę. Kay posłusznie położył na niej banknoty. Palce zacisnęły się na nich błyskawicznie, a potem ku chłopakom wystrzeliła druga dłoń z jakimś pakunkiem. Tony odebrał go ostrożnie niczym odbezpieczony granat.

– Dwa plus cała reszta? Jak było mówione? – rzucił Kay. Tamten nawet na niego nie spojrzał. Odwrócił się i przeszedł parę kroków, wykonując dziwne podskoki, a potem wchłonął go mrok.

– Rozumiem, że to miała być odpowiedź – mruknął chłopak. – Dobra, Tony, spadajmy stąd. Nie możemy ich długo trzymać na tym chłodzie.

– Marcus, odebrałeś mój telefon! Tak tęskniłam! – W tym jednym całusie Ariel zawarła tak wielką dawkę emocji i namiętności, że przez moment obojgu zabrakło tchu. Wtuliła się w niego z ufnością dziecka. Zmęczenie, stres i strach, podobnie jak wszystkie troski, ulotniły się wraz z jego pojawieniem się. Przymknęła na chwilę oczy i pozwalała innym zmysłom upewniać się, że to on.

Mężczyzna zamknął ją w klatce swych ramion, jakby bał się, że odleci na podobieństwo dzikiego ptaka. Gdy w końcu uwolniła się z jego objęć, zdecydowanym ruchem chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w jedną z alejek handlowych. Przez chwilę posłusznie szła za nim, ale nagle o czymś sobie przypomniała. Zatrzymała się gwałtownie. Nie puścił jej ręki, tylko zerknął z niepokojem.

– Czekaj, z kimś cię poznam. – Uśmiech rozjaśnił jej twarz. – No chodź! To potrwa tylko chwilę. Jared jest naprawdę fajny. Nie uwierzysz, chyba jest harpią!

– Jeśli o ciebie idzie, uwierzę we wszystko – mężczyzna również odpowiedział uśmiechem – ale nie mamy za dużo czasu...

– Oj, Marcus, tylko chwila! Zresztą muszę tam wrócić po torbę. No, chodź. – Złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem ku pasażowi. – Dobrze, że odsłuchałeś sekretarkę. A na przyszłość ładuj komórkę. Masz pojęcie, jak się wkurzyłam, kiedy nie odebrałeś telefonu? – paplała jak najęta. Mężczyzna tylko westchnął, pstryknął dyskretnie palcami i posłusznie podążył za nią. – No więc nie znalazłam Amandy. Ale to już wiesz. Orestes powiedział mi, że może być na wyspie w rezydencji Oriany, bo chciała pogadać z autorem tego liściku i dowiedzieć się, co zagraża miastom, a od Croya uzyskałam informację, że planowała również udać się do antycznego miasta, gdzie znajduje się sarkofag Xaviere'a. Poszłam więc do ruin pierwszego miasta... Spotkałam go! Spotkałam tam Xaviere'a w trakcie jego ostatniej podróży w czasie! – Zerknęła na Marcusa, żeby sprawdzić, jak zareaguje, on jednak pogładził tylko brodę i spojrzał na nią uważnie.

– Mów dalej.

– Znalazłam też grób D'Oriona i jego pamiętnik. Potem on sam kazał mi zamknąć wąwóz – wiesz, ten, który jest za Kamieniołomami Demonów i prowadzi przez góry – bo bał się, że coś przez niego przelezie. Też twierdził, że to coś może zagrozić miastom. Jak ci opowiem, co mnie tam spotkało, normalnie nie uwierzysz! Chciałam zignorować jego słowa, bo wiesz, jak drania nienawidzę, znaleźć Amandę i wracać, ale kiedy dotarłam do rezydencji Oriany, Krespian powiedział mi, że Amanda też czytała zapiski Xaviere'a i idzie do wąwozu. Przeszukałam całą tę trasę i nic. Nie znalazłam jej, więc musi już być tutaj. Wąwóz mnie wciągnął. Chryste, Marcus, nie masz pojęcia, co to za przerażające miejsce! W jego ścianach... – Na to wspomnienie zabrakło jej tchu. – Tam żyją Rozpaczający. To znaczy: nie wiem, czy żyją, ale na pewno egzystują. Wchodzisz do wąwozu, a oni rzucają się na ciebie i wlewają jak w naczynie całą swoją rozpacz, smutek i cierpienie. Pochłaniasz ich uczucia zupełnie jak gąbka. I nie możesz nic na to poradzić. Potworne doświadczenie. Myślałam, że oszaleję albo się zabiję. Bałam się, że mnie wciągną, że zostanę z nimi...

Klucząc w tłumie, dotarli do ruchomych schodów i wjechali na piętro. Mężczyzna nie powiedział ani słowa przez całą dalszą drogę.

– No tak, skorzystał z okazji i zwiał. A myślałam... Nieważne – mruknęła Ariel, podchodząc do pustego stolika, na którym nadal stały dwie filiżanki z niedopitą kawą; obok dostrzegła kilka monet. Rozczarowanie było tak namacalne jak jej torba i kurtka, ciągle leżące na jednym z krzeseł. Sięgnęła po nie. – Wygląda na to, że nie poznasz Jareda. No nic, potem ci o nim opowiem.

– Idziemy? Czeka nas sporo roboty.

Zerknęła na niego i zobaczył pytanie w jej oczach.

– Mamy znaleźć Amandę, tak? – pospieszył z wyjaśnieniem.

– A tak, racja. I nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym już być w domu, móc zdjąć z ciebie ten elegancki garnitur, a potem... A w ogóle to od kiedy chodzisz w garniturach?

– Od czasu do czasu trzeba coś zmienić w swoim życiu, inaczej byłoby nudno, nie? – Uśmiechnął się przy tym zmysłowo. Zapatrzona w tęczówki jego oczu, miała uczucie, jakby tuż pod jej stopami otwarła się bezdenna czeluść, i nie miała absolutnie nic przeciwko temu, by dać się tej czeluści pochłonąć.

– Przestań, Marcus – szepnęła, gdy udało jej się przerwać to intymne wzrokowe połączenie. – Nie musisz tego robić, nie musisz hipnotyzować. Skarbie – oblizała usta – to nie pora i miejsce. Na takie igraszki będziemy mieli ocean czasu. Ale najpierw znajdźmy Amandę i wróćmy do domu, okej?

Uśmiechnął się i ją objął. Zdawało jej się, czy też zrobił to odrobinę zbyt zaborczo? Szybko jednak radość z jego obecności okazała się silniejsza niż trudny do nazwania niepokój i ruszyła za jasnookim mężczyzną ku wyjściu. Dopiero mrok i zimne powietrze wyrwały ją z tego nagłego otumanienia. Umysł zaczął nad wyraz sprawnie działać, analizować i kojarzyć fakty.

– Skarbie, skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? I jak tu dotarłeś?

Nie odpowiedział, tylko mocniej pociągnął ją w kierunku najbliższej uliczki. Przyspieszył. Teraz niemal za nim biegła. Zaułek, do którego zmierzał, nie podobał jej się z jakiegoś powodu.

Puściła dłoń mężczyzny, lecz on nie poluzował uścisku i już bez żadnych ceregieli niemal wlókł ją za sobą.

– Marcus, to boli! Nie szarp mnie tak i gadaj w końcu, jak mnie znalazłeś! A w ogóle to dokąd idziemy?

– Odebrałem telefon, pamiętasz? – Odwrócił głowę w jej stronę i uśmiechnął się szeroko, ukazując nieskazitelnie białe zęby, a jej błysnęło w głowie skojarzenie, że jest niczym puma: piękny i niebezpieczny. – Też chcę ci kogoś przedstawić.

Rozświetlona, hucząca niczym kolorowy ul galeria handlowa została gdzieś w tyle. Minęli kilku zbłąkanych przechodniów. Potknęła się na kocim łbie i omal nie wyłożyła jak długa, starając się nadążyć za mężczyzną. Jego zachowanie zaczynało ją dziwić i irytować. Bywał gwałtowny, stanowczy, tajemniczy. Potrafił być brutalny i zdecydowany, nigdy jednak wobec niej. Marcus, którego znała, rzeczowo i bezzwłocznie odpowiedziałby na wszystkie jej pytania, poszukał sensownego rozwiązania, ale przede wszystkim zainteresowałby się tym, co przeszła, wypytał, czy nie ucierpiała, zwyczajnie przytulił. Ten zaś mężczyzna był... zimny, pozbawiony uczuć! Niby się uśmiechał, ale...

– Kim jesteś?! – Udało jej się wyrwać rękę z jego uścisku, gdy tylko wpadli do zaułka. Zatrzymała się i spojrzała wnikliwie na faceta. W trupim świetle latarń ujrzała takie same jak u Marcusa oczy, nos, usta. Takie same były też broda, odcień włosów i sylwetka. Tylko te kocie ruchy i gracja tancerza nie pasowały.

Patrzyła na niego, oczy jej mówiły, że to Marcus, lecz rozum i serce podpowiadały, że niekoniecznie. Podświadomie czuła, że istota, która przed nią stoi i ma rysy twarzy tak ważnej dla niej

osoby, jest jedynie jej kopią. Marną imitacją. Na dodatek bezduszną i groźną.

„Jak mogłam ich pomylić?!" – zdziwiła się w duchu.

– Kim jesteś?! Gadaj!

– Co za głupie pytanie. Marcus, skarbie. Odebrałem twój telefon – odparł tamten spokojnie i podszedł do niej. Blisko. Nawet zapach jego skóry był tak znajomy, że mamił i przywabiał. Pogładził jej ramię, a ona ponownie na niego zerknęła. Kącik ust uniósł mu się w ironicznym uśmiechu i wtedy to dostrzegła.

– Czyżby?! – syknęła. – Co w takim razie zrobiłeś z bliznami, SKARBIE? Jeffrey przeszczepił ci na buźkę skórę z tyłka? Znam tyłek Marcusa doskonale. Jego twarz jeszcze lepiej. Ty nim nie jesteś, więc nie próbuj mnie zwodzić!

„Prawdziwy Marcus miał na twarzy i szyi dwie cieniutkie pamiątki po magicznych pazurach i jedną większą po Znamieniu Smoka".

Ta szybka riposta na moment zbiła faceta z pantałyku. Przyjrzał jej się badawczo i chwilę zastanowił się nad odpowiedzią, a potem na jego twarzy pojawiły się identyczne blizny.

„Adger! Cholera, muszę nad nim popracować!". – Ariel zrobiła krok do tyłu. Coś w oczach mężczyzny kazało jej wiać. Poddała się temu nakazowi, okręciła na pięcie i pędem ruszyła ku wylotowi uliczki. Obcasy zadudniły na kocich łbach. Wyjście na główny trakt było blisko, a stamtąd do hałaśliwej, rozświetlonej galerii już tylko krok! Odwróciła głowę, chcąc się upewnić, że zwiała facetowi, i... z impetem odbiła się od jego torsu, a potem boleśnie

uderzyła o bruk. Ręka prześladowcy zacisnęła się na jej ramieniu i brutalnym szarpnięciem postawił ją na nogi.

„Niech to szlag! Jakim cudem?" – pomyślała spanikowana.

Spojrzała przerażona na tamtego, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że nie zauważyła, kiedy zdążył ją wyprzedzić i zagrodzić jej drogę. Mężczyzna jedynie się uśmiechnął – nie była pewna, czy bardziej zmysłowo, czy może jednak złowieszczo – objął ją wpół, przygarnął, jakby była jego własnością, i niemal zmiażdżył usta pocałunkiem. Jego wargi były zimne, choć całował zachłannie. *Déjà vu*. Znów je miała. Z największym trudem wyrwała się z jego objęć. Czuła obrzydzenie do samej siebie, że na tyle mu pozwoliła, ale jeszcze bardziej za to, że jej się to podobało!

– Ludzkie kobiety są takie łatwe! – roześmiał się.

– Kim jesteś?

– Marcusem, jeśli tak wolisz. – Jego uśmiech był w tym momencie tak uwodzicielski i przekonujący, że mogłaby uwierzyć w każdą bzdurę, jaką powie. – Ten facet, którego tak bardzo przypominam, musi być dla ciebie ważny, a skoro tak, jest ważny i dla mnie, SKARBIE. Zrobiłbym wszystko, żeby cię zdobyć, taką stanowisz dla mnie wartość. Sheridan. Choć z pewnością już słyszałaś to imię. Niejedna kobieta z chęcią oddałaby wszystko za noc ze mną, lecz tej nocy będę tylko twój, a nim nastanie ranek, odsłonię przed tobą wszelkie tajemnice zmysłowości, jakich nigdy z tamtym facetem nie poznałaś. W zamian ty obdarzysz mnie tym, co jedynie cyborium może dać. Wiedzą, krwią, umysłem, życiem, Piórem, władzą...

Spojrzała na niego jak na pomyleńca, lecz doświadczenie podpowiadało, że głupotą byłoby go lekceważyć. Nie sformułowała

konkretnej myśli w obawie przed podsłuchem, nie ułożyła też planu ucieczki. Przygryzła jedynie mocno język, by skupić umysł na bólu. Uczucia. Zdała się tylko na nie. Wiedziała, że musi jakoś wywabić tego faceta na główny trakt, a potem po prostu improwizować.

Skoncentrowana jak nigdy dotąd pomyślała: „Chcę" i wyciągnęła dłoń w kierunku mężczyzny. Ujrzała w powietrzu zarys błękitnej obezwładniającej liny, ale Sheridan machnął ręką, jakby oganiał się przed natrętną muchą, i po linie zostało tylko wspomnienie.

– Próbujemy czarować? No, no, no! Chciałbym powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, ale... Coś nie wyszło? – zakpił, a w niej wszystko się zagotowało.

– Słuchaj, palancie! – wrzasnęła i oparła ręce na biodrach. – Nie jestem żadnym cyborium. Nie życzę sobie, żebyś grzebał w mojej głowie czy mnie obmacywał, więc zejdź mi z drogi, bo, na Wielkiego Xaviere'a...

– Naprawdę sądzisz, że mnie obchodzi, czego sobie życzysz, a czego nie? – Zmroził ją spojrzeniem, a Ariel momentalnie przypomniała sobie prawdziwego Marcusa, jak będąc pod urokiem Oriany, próbował ją zabić na błoniach porośniętych makami. Jego wzrok też był wtedy bezduszny, tyle że ten znowu ją hipnotyzował.

Palce Sheridana ponownie zacisnęły się na jej ramieniu. Przyciągnął ją do siebie. Drugą dłonią odgarnął kosmyk opadający Ariel na czoło, a ona znów poczuła się jak ubezwłasnowolniony manekin. Zadrżała, gdy delikatnie założył jej włosy za ucho. Otaksował ją spojrzeniem niczym dopiero co zakupionego wyjątkowo cennego konia. W pewnym momencie na jego twarzy

pojawiło się zaskoczenie i jeszcze raz, ale dużo wolniej, poprawił niesforny kosmyk. Z jakiegoś powodu skupiał się na tej czynności tak, jakby była najważniejszą rzeczą do zrobienia. Pochylił się ku kobiecie. Zapach jego skóry sprawił, że zakręciło jej się w głowie. Poczuła usta mężczyzny dotykające jej ucha i przebiegł ją dreszcz pożądania. Znienawidziła się za to.

„To nie Marcus! Nie Marcus!" – powtarzała w myślach jak mantrę, coraz słabiej i słabiej, a on tylko uśmiechał się pod nosem. Potem skóra zapłonęła pod jego gorącym oddechem. Ariel zobaczyła własną dłoń gładzącą policzek mężczyzny i swe ramię otaczające jego szyję. Chciała wrzeszczeć, by przestał ją hipnotyzować, żeby dał jej spokój, lecz jej dłonie zdawały się żyć niezależnym życiem i niczym węże oplotły szyję Sheridana. Policzek wtuliła w zarost jego twarzy, a usta zaczęły szukać jego ust.

„Całkiem mi odbiło? Boże, co ja robię?" – zdążyła jeszcze pomyśleć, gdy poczuła jego palce za uchem i usłyszała:

– Wasz Bóg nie ma tu nic do rzeczy. – A potem dodał dużo bardziej stanowczo: – Tak myślałem, morganit. Ale tylko jeden i bez obręczy z qselinium. A więc nie jesteś merrillem. W porządku, choć po prawdzie dobrze byłoby takim jak wy przypomnieć, gdzie wasze miejsce. – Odsunął ją od siebie z odrazą, a ona odruchowo dotknęła skóry za uchem, gdzie skrywał się różowawy kamyk. – Co do kamienia, przyjmij drobną lekcję od starego wyjadacza: morganit z tak paskudną skazą jak twój nigdy nie będzie w pełni posłuszny rozkazom nosiciela. A tak przy okazji, moim vivernom zafundowałem lepsze – prychnął z pogardą i tym otrzeźwił ją do końca.

– Zawsze tyle gadasz? – palnęła hasłem tyle razy przez nią samą słyszanym. – Może dla odmiany przestaniesz się ekscytować własnym głosem i posłuchasz kogoś innego? Powtarzam raz jeszcze: nie jestem żadnym cyborium, kretynie! A swoje niby-wyrafinowane pieszczoty zachowaj dla podobnych do ciebie idiotek o podobnie niskim ilorazie inteligencji jak twój i absurdalnie wybujałym ego. Hej, Marcus, tu jestem! – zawołała do kogoś za jego plecami i pomachała ręką jakby w geście powitania.

Sheridan gwałtownie odwrócił głowę. Szybki rzut oka powiedział mu, że został oszukany. Ten cenny ułamek sekundy jednak wystarczył Ariel, by zakręcić się na pięcie i z rozmachem wbić facetowi łokieć pod żebra. Gdy zgiął się i zaczął spazmatycznie łapać powietrze, znów pognała na łeb, na szyję do wylotu uliczki. Mężczyzna zaśmiał się jak z dobrego dowcipu i z rozbawieniem pokręcił głową. Jednym skokiem znowu ją dopadł. Zatrzymał szarpnięciem, odwrócił ku sobie i przydusił do ściany. Kilka guzików jej kurtki znalazło schronienie w szczelinach bruku. Odgłos darcia materiału podpowiedział jej, że z koszulą też nie jest lepiej.

– Zabawy nigdy dosyć, co? Jakże jesteśmy w tym do siebie podobni – zachichotał, zerknął zaciekawiony pod jej ubranie i zacmokał. – I ty mi mówisz, że nie jesteś cyborium? A już byłem skłonny ci wierzyć... – Wskazał wzrokiem tatuaż z wizerunkiem smoka. Jego dłoń zanurkowała pod koszulę i zaczęła gładzić uwolnioną ze stanika pierś. Ariel zadrżała. Wiedziała, że za chwilę znowu stanie się bezwolną kukłą w jego rękach.

Głęboko odetchnęła i wydarła się na całe gardło:

– Trzymaj łapy przy sobie, ty popaprany skurwysynu!

Kątem oka zobaczyła jakiś ruch. Najwyraźniej przestali być w tej uliczce sami.

– Może ludzkie kobiety są łatwe, ale są też sprytne! – Zaczęła się wyrywać i wrzeszczeć jak opętana.

Dostrzegła gniew na twarzy Sheridana, ale i wahanie. Nie wiedział, czy wdać się w awanturę z tamtymi, na co miał ogromną ochotę, czy odpuścić i się ulotnić, co podpowiadał mu rozsądek. Tamtych było jedynie dwóch, i do tego mizernej postury.

„Załatwić ich osobiście byłoby proste, a jednocześnie takie przyjemne... – pomyślał. – Nie, na rozrywkę jeszcze przyjdzie czas. Może lepiej przywołać gelusa? Też nie. Gelus zostawia zbyt wiele kłopotliwych śladów. Poza tym trochę to potrwa, zanim się zjawi, no i zabierze zbyt wiele energii. Nie, gelus odpada, najważniejsze jest cyborium. Żywa i nienaruszona musi dotrzeć do rezydencji". Wyglądało na to, że faceci też nie są pewni, co robić. Złapał więc wpół wierzgającą i wrzeszczącą kobietę i zaczął wycofywać się w głąb uliczki. A nie było to proste, bo to ludzkie babsko, choć kurdupel, robiło raban niczym zarzynany evanthes!

– A żeby ci parch pylisty zatkał gębę, suko!

– Wal się!

– Nie, dzięki! Może potem, na razie milcz! W mojej rezydencji dam ci wystarczająco dużo powodów do krzyku.

Tamci ruszyli w jego kierunku. Zobaczył, że porozumiewają się wzrokiem. Nic nie powiedzieli, tylko w jego stronę poleciał grad kamieni. O dziwo, ogromna większość pocisków trafiała dokładnie w niego, nie robiąc kobiecie najmniejszej krzywdy. To dodatkowo go rozzłościło. Pstryknął palcami i w drugiej dłoni pojawił się sztylet zdobiony akwamarynem.

– Czymś wam się naraziłem? Przeleciałem matkę? Podpaliłem kota? Nie? To wypieprzać, smarki, jak dorośli się bawią! To nie wasza bajka! – syknął Sheridan. Koniec ostrza niebezpiecznie zagłębił się w tatuażu nad lewą piersią kobiety. Zabolało. Z naciętej skóry zaczęła płynąć krew. Ariel sapnęła i zamarła w bezruchu. – Nie radzę! – warknął, widząc, że tamci znowu szykują się do ataku. Krok za krokiem cofał się ku wylotowi zaułka. Ręce zajęte trzymaniem wyrywającej się kobiety nie były w stanie zapewnić mu obrony, a zbyt mały potencjał magiczny nie pozwalał zaatakować napastników zaklęciem. Mógł jedynie wycofywać się jak niepyszny.

Ariel usłyszała jeszcze, jak faceci coś do siebie krzyczą o głowie i jajach, i w stronę Sheridana znowu poleciały kamienie oraz odpadki. Z ponurą satysfakcją obserwowała, jak stara się przed nimi uchylić. Daremnie. Jego elegancki garnitur już po chwili cały lepił się od grudek błota i kawałków żarcia z przewróconego śmietnika, które posłużyły młodzieńcom za pociski. I gdyby nie tragizm sytuacji, pewnie parsknęłaby śmiechem, widząc resztki kebaba spływające po nogawce Sheridana, zgniłego pomidora na kołnierzu czy papierek po batoniku we włosach. Dosłownie w ostatnim momencie mężczyzna uchylił się przed jakąś reklamówką, która eksplodowała koło jego stóp fontanną zużytych pampersów, rozsiewając wokół wstrętne zapachy. To wkurzyło go jeszcze bardziej. Usłyszała, jak przeklina, i uśmiechnęła się pod nosem.

„Mogłem uwiązać viverna bliżej. Ale jeśli dobrze to rozegram…” – pomyślał i nagle się zachwiał. Ariel zobaczyła zaskoczenie w jego jasnych oczach. Potem szybko pochylił się i wpił ustami

w ranę na jej piersi. Odruchowo przytuliła jego głowę. Zagryzła usta, żeby nie krzyczeć, w taką euforię wprawiły ją jego pocałunki. Tymczasem on całował jak oszalały, zupełnie jakby to miała być ostatnia rzecz, jaką robi w życiu. Ariel patrzyła na jego pochyloną głowę, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę, i rozpaczliwie zastanawiała się, jak długo jeszcze ta męka potrwa. Napastników jego zachowanie musiało też zszokować, bo na moment przystanęli. Nagle kobieta ujrzała swe palce unurzane w jakiejś połyskującej żółtej mazi spływającej z włosów Sheridana, potem mężczyzna wykrzywił zakrwawione usta w szyderczym uśmiechu i... zniknął, a ona z jękiem runęła na bruk. Matka Ziemia boleśnie przypomniała o istnieniu grawitacji.

Chłopcy – teraz już była pewna – zbliżali się. Nogawki ich spodni falowały przy każdym kroku. Rozmazane kolorowe plamy adidasów skakały jej przed oczami.

– Pomijając ich erotyczne brewerie, to był świetny rzut, Tony! – usłyszała radosny głos. – Co najmniej za dwa punkty.

– Za dwa? No co ty? Za trzy jak nic!

Ariel uniosła głowę i zerknęła na zbliżających się rozbawionych chłopaków. Właśnie miała im podziękować za ratunek, gdy dostrzegła ich szeroko otwarte ze zdumienia oczy.

– Czy my nie jesteśmy przypadkiem za młodzi na oglądanie takich bezeceństw? Przez to, czego byłem świadkiem, chyba będę musiał się zapisać na jakąś terapię – zakpił niższy.

Smukły palec wystrzelił w stronę kobiety. Spojrzała na nich z konsternacją.

– Nooo! – odparł przeciągle drugi, siląc się na powagę. Potem obaj spojrzeli po sobie, wybuchnęli głośnym śmiechem i przybili

„piątkę”. Wysoki stopień poczucia wdzięczności zastąpił krytyczny poziom irytacji, gdy Ariel zdała sobie sprawę, że to z niej się nabijają. Uświadomiła sobie powód tych szyderstw równie szybko i boleśnie.

„Pięknie – pomyślała – teraz jeszcze publicznie świecę cyckami. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to żeby mnie zamknęli za gorszenie nieletnich”.

Szybko pozapinała bluzkę.

Chłopakom akurat minął atak śmiechu, otarli łzy i zupełnie nie zwracając uwagi na leżącą kobietę, zaczęli żywo dyskutować, jakby właśnie rozegrali fantastyczny mecz.

– Ale go załatwiłem, co nie? Widziałeś, jak to jajo pięknie poszybowało? Ależ to był lot! Strzał za trzy punkty! Normalnie majstersztyk! – Chłopak wykonał gest, jakby wrzucał piłkę do kosza.

– Jakie jajo?! – Drugiemu uśmiech spłynął z buźki niczym świeże psie szczyny po murku.

– Przepraszam, mogę coś wtrącić? – Kiwnęła do chłopaków ręką, ale kompletnie ją zignorowali.

– To, którym załatwiłem frajera – kontynuował pierwszy, jakby nie słysząc jej słów. – A myślisz, że czemu tak nagle zwiał? Bo wystraszył się obesranego pampersa? Nie, bracie, oberwał tym jajem prosto między oczy – oświadczył mocno uradowany i szturchnął drugiego łokciem. – Załatwiliśmy drania na cacy!

Ariel przyjrzała się chłopakom uważnie. Z jakiegoś powodu jednemu z nich nie spodobała się ta nowina.

„Fajnie. Leżę obolała w stercie odpadków, a moich wybawicieli interesuje wyłącznie jakieś jajo – pomyślała rozgoryczona. – Ktoś

tu chyba będzie miał kłopoty". Zobaczyła, że drugiemu chłopakowi też odeszła ochota do śmiechu, podczas gdy pierwszy nabrał głęboko powietrza, a potem cicho, ale groźnie zapytał:

– Chcesz mi powiedzieć, że załatwiłeś faceta jajem? TYM jajem?!

– Aha.

– Tony, zachłysnąłeś się przy porodzie wodami płodowymi i cierpisz na chroniczne niedotlenienie mózgu?!

– No co?

– Co? Co?!

– Chwila, Kay, czego się wściekasz? Przecież sam mi kazałeś walnąć gościa jajem. To walnąłem.

– Ja?! Ja ci kazałem?! Czy tobie mózg całkiem sfermentował?!

– Jasne, że TY mi kazałeś! A kto się darł: „Walnij go w głowę jajem!"? No kto? Nawet się zdziwiłem, bo było takie drogie, ale...

– Ty wymoczku! Ty zasrańcu! – wydarł się Kay i zacisnął pięści, a Ariel przezornie odsunęła się pod ścianę. – A żeby ci płetwa ogonowa nigdy nie wyrosła, a trądzik młodzieńczy zaatakował jajka! Masz pojęcie, ile zachodu kosztowało mnie załatwienie kasy i kontaktów?! Wołałem, żebyś go walnął w głowę ALBO w jaja, a nie w głowę naszym jajem, tępaku!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie niczym dwa rozjuszone byki. Ariel pomyślała, że jak nie przestaną tak dyszeć, lato nadejdzie dużo szybciej. Chwilę piorunowali się wzrokiem, w końcu Kay powiedział nieco spokojniej:

– A niech cię. Gdybyś nie był moim bratem... Sprawdź to drugie jajo i spadajmy. Wszyscy. – Nagle przypomniał sobie o kobiecie

wciąż siedzącej pod ścianą. – Chodźmy, bo jeszcze tamten facet zechce wrócić z kolegami albo Katherine...

– Ekhm... – chrząknął Tony.

Nie zwrócili na niego uwagi.

– Dzięki za pomoc, chłopaki – powiedziała Ariel, widząc, że nawałnica minęła. – Nie wiem, do czego dwóm półtrytonom potrzebne jest jakieś jajo, ale przykro mi, żeście je przeze mnie stracili. Mogę wam jakoś to zrekompensować?

– Nie mam pojęcia, skąd wiesz, że jesteśmy trytonami, ale odpalasz dwie stówy i będziemy kwita – rzucił opryskliwie Kay. Ariel zdębiała.

– Dwie stówy? Za zwykłe jajo? Chcesz mi powiedzieć, że było aż tyle warte? – wykrztusiła. – A co wyście mieli? Carskie jajo Fabergé?

– Gorzej. Jajo feniksa... – szepnął Tony i szybko umilkł, skarcony wzrokiem przez brata.

– Feniksa? – upewniła się. – Nie chcę być niemiła, ale chyba nie wiecie, że feniksy NIE znoszą jaj.

– Masz sporo wiedzy w tym temacie jak na zwykłego człowieka, ale tyle to i my wiemy. To było jajo białego pawia powleczone drogocenną warstewką qselinium. Pewnie dlatego obezwładniło tamtego faceta – powiedział Tony, a jej żal się zrobiło chłopaków, gdy spojrzała na ich zmartwione miny.

– A po co wam takie jajo? Chyba nie myślicie, że uda wam się wyhodować...

– Rany, jeszcze jedna, która nam wmówi, że się nie da – przerwał jej Tony. – No zupełnie jakbym słyszał Jareda.

– Chodzi o to, że to...

– Trudne. Tak, wiemy – przeszkodził jej teraz dla odmiany Kay. – Dawaj te dwie stówy i możesz o nas zapomnieć.

– Raczej miałam na myśli, że to niebezpieczne i chyba nielegalne.

– Jeezu! Tylko mi tu czasem nie wyskocz z jakimś cytatem z Harry'ego Pottera, mamuśko! – zdenerwował się. – Dobra, nie chcę tych dwóch stów. Uznaj to za bezinteresowną pomoc, tylko już nic nie gadaj. Szczęście, że mamy jeszcze drugie jajo. Chodź, Tony, zanim całkiem się wyziębi i będzie do niczego.

– Ekhm... – chrząknął po raz drugi Tony. Tym razem na niego spojrzeli. Minę miał taką jak świeżo po leczeniu kanałowym u dentysty. W sekundę zrozumieli wszystko.

– Ty zasrańcu! Ty przygłupie! – ryknął Kay, dopadł do brata i już po chwili siedząc na nim okrakiem, młócił go z zacięciem. Ariel starała się odciągnąć go od Tony'ego, ale przez chwilę ją zamroczyło, gdy odepchnięta zatoczyła się i huknęła o ścianę budynku. Słyszała tylko wytłumiony głos Kaya, który darł się jak opętany: – Jakie trzeba pobić rekordy głupoty, żeby rozwalić DWA drogocenne jaja!

– N-no za pierwszym razem n-nie trafiłem... – wystękał Tony, starając się uchylić od kolejnych razów bombardujących jego głowę. Jedno jego oko zaczynało już znikać w czerwono-fioletowej masie, w jaką zamieniły się jego powieki. Usta wcale nie wyglądały lepiej. – Auć! No weź już przestań! Dotarło do mnie, że jestem palantem!

– Masz pojęcie, łamago, co narobiłeś?!

– Wiem, Babsie...

– Nie wymawiaj jej imienia. – Kay zniżył głos do złowróżbnego szeptu. Tony tylko przełknął nerwowo ślinę i zamilkł.

– Chłopaki, dajcie już spokój, co? – Ariel ocknęła się i zaczęła rozmasowywać obolałe ramię. – Jeeezu! Wszystkie trytony są takie pomylone czy macie licencję na wyłączność? Bracia, a zachowują się jak podłe bestie. Wstydźcie się! – fuknęła. – Jeszcze trochę i będziecie podobni do tamtego kretyna. – Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku, a oni zrozumieli, że mówi o Sheridanie.

– TERAZ wisisz nam CZTERY stówy! – odparował Kay. – Przez ciebie straciliśmy dwa jaja.

– To zostały wam, jak mniemam, jeszcze dwa – odcięła się złośliwie. – Proponuję w takim razie strzec tych skarbów, bo mogą wam się kiedyś przydać.

– Jak pani nie wstyd tak zwracać się do dzieci? – zarechotał nagle mimo opuchniętych ust Tony. – To może nas zdeprawować, odbić się na naszej delikatnej psychice. Jesteśmy taaacy młodzi...

– Ale żeś się, brachu, zresetował! – Kay zerknął na niego jak na idiotę, poluzował chwyt, którym zamierzał poddusić brata, i też się w końcu cicho zaśmiał, widząc, że Tony tylko żartuje.

– Jakoś młodość i niewinność nie przeszkadzała wam gapić się na moje cycki. – Ariel spojrzała na nich z politowaniem. – Oj chłopaki, chłopaki! Dobra, jak mi powiecie, po co wam były te jaja, to zobaczę, czy dam radę jakoś pomóc. A powiem nieskromnie, że trochę się na tym znam. – Po chwili cała trójka siedziała na stercie odpadków, rozmawiając niczym najlepsi przyjaciele. Kiedy w końcu zaczęli zbierać się do wyjścia z zaułka, nagle usłyszeli:

– Ariel?! Kay?! Tony?! Na wszystkie poranki świata, a co wy tu robicie?!

Użył resztek swych mocy, by powrócić do rezydencji. Musiał przyznać, że czymkolwiek tamte chłystki go załatwiły – choć podejrzewał, że mogło to być qselinium – zadziałało skutecznie niczym uderzenie ogonem evanthesa, bo zamroczyło go i osłabiło. Zazdrośnie pomyślał, że chciałby mieć taką broń. Ot, choćby na Roshauna. Co prawda cyborium znowu mu zwiało, ale tak zupełnie bez niczego nie wrócił. Ucieszyła go ta myśl.

Przytrzymując się mebli, by pokonać zawroty głowy, dotarł do swej ulubionej komnaty – komnaty motyli, jak ją nazywał – i klasnął dwukrotnie w dłonie. Pomieszczenie natychmiast zalało błękitnawe światło. Służba, nawet jeśli była w pobliżu, znów udawała niewidzialną. Sheridan obrzucił wzrokiem wnętrze. Wyglądało niczym połączenie porządnie zaopatrzonego laboratorium ludzkiego chemika z gabinetem chirurga, do którego ktoś, jakby dla żartu, wstawił wolierę z żywymi zwierzętami i mnóstwem roślin. Szafy, półki, klatki, słoje, solidny stół do pracy. I wszędzie pełno różnych odmian drzewek bonsai, ale też dorodnych tropikalnych krzewów baylee. Ściany, sufit i podłoga wyłożone były marmurem. Żadna kropla krwi nie miała prawa się zmarnować, gdy zapraszał tu „gości”.

To, czego szukał, stało na jednym z lekkich metalowych regałów; była to kolejna nowinka techniczna, jaką ukradł ludziom. Podszedł tam, ujął w dłonie płytką misę, która wyglądała, jakby była utkana z zielonkawego dymu, po czym wypluł do jej wnętrza zawartość ust. Następnie postawił ją z powrotem na półce, dodał kilka kropli smolistej substancji i sok z jakiegoś rozgniecionego nasiona i pocierając dłońmi krawędzie, wprawił w ruch obrotowy. Dopiero teraz, obserwując mieszające się składniki, otarł wierzchem rękawa zakrwawione usta i uśmiechnął się do własnych myśli.

– No i kto tu jest sprytny? – mruknął, wracając myślami do tej suki Odgeon. – Gelus! – rzucił w przestrzeń. Srebrzysty potworek natychmiast się zmaterializował. Bez słowa pokłonił się i zastygł w oczekiwaniu na rozkazy. – Pilnuj tej misy. Zabij każdego, kto się do niej zbliży.

Bestia przysiadła niczym tresowany pies koło dymiącego i wirującego naczynia, Sheridan ruszył zaś chwiejnym krokiem do komnat mieszkalnych. Przechodząc przez hol, ujrzał ciało Kinleya nadal leżące na posadzce w kałuży zakrzepłej krwi. Pstryknął palcami, wskazał na zwłoki i poszedł dalej. Dla przerażonej służby był to znak, że mogą w końcu zabrać ciało nieszczęśnika.

Wreszcie mężczyzna dotarł do przylegającej do sypialni łazienki, gdzie, uprzedzając jego życzenia, służba przygotowała pachnącą kąpiel.

– Dawaj mi tu syrenę, byle młodą i zdrową – warknął do pobladłej ze strachu służącej. Ta błyskawicznie umknęła, jednak równie szybko wróciła, wlokąc za sobą jeszcze bardziej przerażoną dziewczynę. Wepchnęła ją do łazienki i zatrzasnęła drzwi.

„Emeralium. Dopiero co zażyła emeralium – pomyślał Sheridan, spoglądając na długie nogi prześlicznej kobiety, które jeszcze przed chwilą były ogonem. – Miejmy nadzieję, że to nie wpłynie na...”.

Nie dokończył myśli, bo przemieniona w człowieka syrena podeszła do niego, kręcąc zmysłowo biodrami, tak jak lubił. Nie ujrzał cienia uśmiechu na jej ślicznym obliczu – one nigdy się nie uśmiechały – gdy stanęła tuż przed nim i unikając kontaktu wzrokowego, rozsupłała pasek swej jedwabnej szaty. Wiedziała, co ma robić. Westchnął, gdy zobaczył jej piersi.

„Ech, syreny...”.

Pomyślał, że ma do nich zbyt wielką słabość i że najwyższy czas to zmienić. W pierwszym odruchu pogładził jej piersi, potem pozwolił dłoni chwilę błądzić po ciele kobiety. W odpowiedzi jej ręce posłusznie zdjęły ubrudzoną marynarkę, rozpięły spodnie i zaczęły wyciągać z nich koszulę. Seks z przemienioną w kobietę syreną był kolejną nielegalną, ale jakże przyjemną rzeczą. I zawsze wprawiał go w świetny nastrój, a do tego tak cholernie odprężał. Teraz też nie mógł się oprzeć, by nie dotknąć dziewczyny, lecz gdy jego ręka zawędrowała między jej uda, przypomniał sobie, że w tym miejscu tak naprawdę powinien zaczynać się ogon, i wróciła mu także pamięć o tym, po co ją tu wezwał.

– Nie dziś. – Przytrzymał ją za ramiona, zanim zdążyła przed nim uklęknąć, i zbyt delikatnie, w jego mniemaniu, złapał za rękę. – Płacz!

Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Płacz! – Wskazał wannę pełną wody. Nic bowiem go tak nie orzeźwiało, jak kąpiel w gorącej wodzie z dodatkiem kilku syrenich łez. No i może jeszcze cudowny zapach kwiatów z krzewów baylee, rosnących na obrzeżach podziemnego miasta niedaleko powierzchni. Ale w tej chwili miał nadzieję, że syrenie łzy dodatkowo zregenerują nadszarpnięte uderzeniem w głowę siły.

Dziewczyna się zawahała. Pomału i ostrożnie, jakby stąpając po rozbitym szkle, podeszła do wanny. Obserwował ją, gdy tak szła. Płaszcz długich czarnych włosów kołysał się przy każdym jej ruchu, odsłaniając interesujące fragmenty ciała. Oblizał usta.

„Później" – obiecał sobie igraszki z tą lub inną syreną. Znów pstryknął palcami i po chwili trzymał w dłoni ulubiony sztylet z akwamarynami. Podszedł do dziewczyny. Stanął za jej plecami. Nie odwróciła się, tylko lekko zadrżała. Usłyszał, jak przełyka ślinę. A więc się bała... Strach zawsze go podniecał. Końcem ostrza delikatnie odchylił jej włosy, przerzucił przez jedno ramię, odsłaniając perfekcyjną linię szyi. Pogładził to miejsce opuszkami palców. W ślad za nimi powędrowały jego usta. Westchnęła jakby z ulgą. Uśmiechnął się pod nosem.

„Zawsze to samo. Uważają, że skoro całuję, to zagrożenie minęło. Idiotki. Ale jakie śliczne idiotki".

Chwycił jedną dłonią gardło dziewczyny. W drugiej trzymał sztylet, którym drażnił jej sutki.

– Płacz – wyszeptał.

– Panie...

– Płacz!

Syrena odwróciła głowę i spojrzała na niego. Nie ujrzał w jej wzroku błagania. Zobaczył odrazę i to go rozwścieczyło. Brutalnym chwytem zmiażdżył ręką jej pierś. Krzyknęła.

– Jeszcze raz grzecznie proszę, płacz! – wycedził. – Nie? No to może mała zachęta?

Sekundę później zobaczył pierwsze łzy w jej ciemnych oczach. Łzy bólu, zaskoczenia i niedowierzania. Gwałtownie odwróciła głowę ku wannie i spazmatycznie oddychając, patrzyła na tonący fragment własnej piersi odcięty przez Sheridana. Spomiędzy palców mężczyzny spływały rubinowe strużki wprost na śnieżnobiałą pianę. Patrząc na nie, Sheridan pomyślał, że wyglądają niczym wiśniowy sok na pucharku ludzkich lodów waniliowych, i bezwiednie się oblizał. O tak, lubił lody z sokiem wiśniowym.

Dziewczyna gwałtownie zaczerpnęła powietrza, ale potem zacisnęła zęby. Spod przymkniętych powiek popłynęła rzeka łez. Jednak żadna skarga nie opuściła ust syreny. Jedynie jej ciało zaczęło mocniej drżeć. Sheridan złapał ją za kark i brutalnie nachylił nad wanną. Zacisnęła palce na jej brzegu, żeby nie upaść. Łzy i krew. Tego mu było trzeba. Zmysły podrażnione tym widokiem dodatkowo pobudził zapach skóry dziewczyny. Lepka od krwi ręka mężczyzny zaczęła ponownie wędrówkę po jej ciele, zostawiając na nim makabryczne ślady. Po chwili znalazła drogę między uda kobiety, a w ślad za dłonią powędrowała tam także jego męskość. Niczym dzikie zwierzę zanurzył się w niej, wyobrażając sobie, że ujarzmia nie anonimową niewinną syrenę, ale istotę, której w tej chwili najbardziej pożądał, ludzką kobietę zwaną Ariel Odgeon. Oczami wyobraźni niemal widział ją

błagającą o darowanie życia. To podnieciło go jeszcze bardziej. Nie słyszał już jęków syreny. Krew tętniła w jego skroniach. Na sekundę przed eksplozją wziął głęboki wdech i z rozmachem wbił sztylet w szyję dziewczyny. Drżący i zaspokojony stał jeszcze kilka chwil nad jej zwłokami, a potem nagle spojrzał na swe pokrwawione nagie ciało, jakby budząc się ze snu.

– Czas nabrać sił. Evanthesy czekają. – Skrzywił się w parodii uśmiechu, wszedł do wanny i zanurkował w rubinowobiałej pianie.

– Dzięki, że mnie zostawiłeś na pastwę Sheridana – powiedziała Ariel z przekąsem do Jareda, który właśnie dołączył do nich w zaułku.

– Popłakałem się ze wzruszenia, widząc wasze czułe powitanie, makijaż mi się rozmazał, poszedłem więc do kibla, żeby go sobie poprawić – odgryzła się harpia. – Taki delikatny i romantyczny jestem, wiesz? Za to dla was, chłopaki, już taki nie będę. Co tu robicie?

– Ratowali mnie, kiedy ty robiłeś się na bóstwo w tym kiblu. – Ariel miała do niego żal, że jej nie pomógł.

– Wy tam! – huknęła harpia na chłopaków i wskazała im dosyć odległy fragment zawalonej ściany kamieniczki. – Siad na tamtym murku i dup mi stamtąd nie ruszać!

A kiedy pokornie, bez protestów poszli we wskazane miejsce i Jared upewnił się, że niewiele usłyszą, rzekł:

– Chcesz mi powiedzieć, że go nie znasz, po tym jak obmacywaliście się na środku tej galerii?

– Rany, co za słownictwo! Zdziwisz się, ale nie, nie znam!

– Miałem o tobie lepsze mniemanie!

– Jak śmiesz?!

– Normalnie! – wrzasnęła harpia, aż nawet chłopaki podskoczyli. Widok tak wkurzonego Jareda musiał być dla nich nowością. Ten oparł ręce na biodrach, pochylił się ku kobiecie i zaczął trajkotać, potrząsając przy tym swoją imponującą fryzurą: – Kiedy spotkaliśmy się przy ciele Aeryn, zrobiło mi się ciebie żal. Pomyślałem, że masz w życiu tak cholernie przerąbane jak ja. Uwierzyłem w te wszystkie bajeczki o świecie dziewięciu miast i szukaniu córki. A niedługo potem co zobaczyłem? Jak niemal tarzaliście się po posadzce w tamtym pasażu! Ty i Sheridan! Największa kreatura chodząca po tym świecie! A teraz jeszcze wciągasz w swoje brudne sprawki tych dwóch małolatów! Puszczalstwo, nawet publiczne, mogę ci darować, bo z naturą się nie wygra. Ale konszachtów z Sheridanem i deprawowania tych dzieciaków już nie, słyszysz?! Gzij się z tym trowem, gdzie chcesz i jak chcesz, ale ich – wskazał młodzieńców – zostaw w spokoju!

Jego monolog przerwał sążnisty policzek. Harpia złapała się za twarz i umilkła z wrażenia. Popatrzyła jedynie na kobietę z pogardą. Chłopaki zaczęli trącać się łokciami i coś szeptać.

– Dla twojej wiadomości, ty pierzasty niedorozwoju – warknęła Ariel – to o dziewięciu miastach i Amandzie było szczerą prawdą. Co do Sheridana, jest tak podobny do mojego... mojego męża –

wolała w ten sposób myśleć o Marcusie – że nawet JA ich pomyliłam. I nie, nie mam konszachtów, jak to ładnie określiłeś, z naczelnym lucyferem tego świata. No i przepraszam za ten incydent z cyckami, tak? Tamten facet zniszczył mi ciuchy i samo tak jakoś wyszło. Aha, na wypadek gdyby ci przyszło do głowy przepraszać mnie za to, że jesteś takim palantem, od razu mówię: nie ma sprawy, WYBACZAM!

– Incydent z cyckami? – spytał Jared, kiedy wróciła mu mowa. Słysząc chichot chłopaków, Ariel zrozumiała, że o tym akurat nie wiedział. Zrobiło jej się głupio.

– Mniejsza z tym – mruknęła. Odruchowo sprawdziła ciuchy. Były pozapinane. – Możemy już stąd iść? Naprawdę muszę odnaleźć Amandę. I tak straciłam już zbyt wiele czasu, a ten facet jest taki zawzięty, że może nas szukać.

– Do twojego męża? – powiedziała cicho harpia. – Jest podobny, znaczy się?

– Łudząco.

Jared pokiwał głową. Odebrała to jako przeprosiny.

– Idziemy?

Rozejrzał się uważnie.

– Tak, spadajmy.

Bardzo dokładnie spryskał otoczenie sprayem wyjętym z kieszeni płaszcza. Obserwowali go w milczeniu, bo nie musieli pytać, po co to robi. Potem poprowadził ich tylko jemu znanymi uliczkami do zupełnie innej części miasta, wysłuchując po drodze tłumaczenia chłopaków. Sam nie odezwał się słowem. Widzieli, jaki był wściekły, więc szybko umknęli do ośrodka, kiedy tylko im rzucił: „Spieprzać, jutro pogadamy". Upewniwszy się, że

dostarczył małolatów pod bezpieczne skrzydła Katherine, znów wspólnie z Ariel powędrowali uliczkami Morren City, rozpylając obłoczki zacierającego ślady sprayu.

– Jednak chciałbym ci zaufać. Masz na to drugą szansę. Tym razem mnie nie zawiedź – mruknął, prowadząc kobietę na strych pewnego skromnie urządzonego domostwa. – Amandy poszukam z rana. Sam. Lepiej znam to miasto, więc będzie szybciej. Potem pomyślimy, jak was stąd wydostać. Na ciebie polują już pewnie połowa trowów i ich gelusy. Nie możesz szwendać się sama po mieście.

Nic nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową, dając znać, że rozumie i się zgadza, a potem z wdzięcznością przyjęła posiłek i materac, jakie jej zaoferował. Zasypiając, pomyślała, że jutro musi wykombinować jakieś inne jedzenie, bo surowym mięsem długo się nie pożywi, no i zatęskniła za prawdziwym łóżkiem oraz czystą pościelą. Zastanowiła się jeszcze, jakim cudem pomyliła Marcusa z tamtym gościem i dlaczego rana na piersi zaczyna się jątrzyć.

Niedługo potem harpia usłyszała równomierny oddech kobiety; zorientowawszy się, że śpi, zdjęła niewygodne obuwie i rozprostowała szpony. Emeralium pomału przestawało działać. Z ulgą zrzuciła ludzkie ciuchy, wstrząsnęła piórami, które na nowo pojawiły się na jej ciele, i lekkim skokiem przysiadła na balustradzie balkonu, odruchowo rozciągając kikuty skrzydeł. Używanie tylko jednej łapy nie było proste, lecz zdążyła się już z tym oswoić. I tak wczepiony w balustradę Jared rozwinął w marzeniach nieistniejące już skrzydła, a potem zobaczył oczyma wyobraźni, jak leci w nocy nad miastem...

Sheridan długo moczył się w wannie. Tak jak się spodziewał, łzy i krew syreny zregenerowały jego siły. Wyszedł z wody, przeciągnął się, obszedł zwłoki dziewczyny, ślizgając się na jej krwi, i pod prysznicem zmył z siebie resztki purpurowych mydlin.

Dokładnie wysuszył ciało i włosy. Nagi ruszył przez hol z powrotem do komnaty motyli. Wiedział, że jest obserwowany. Zawsze był. Te wszystkie służące, które gapiły się na niego z podziwem zza filarów, nie traciły nadziei, że któregoś dnia los uśmiechnie się do nich i dostąpią zaszczytu położenia się w jego łożu, a nie tylko jego ścielenia. Głupie, łudziły się, że zmieni to ich status. Że awansują ponad kastę użytecznych. Nie rozumiały, że pan szuka jedynie rozrywki, kolejnej zabawki na krótką, bardzo krótką chwilę. Uśmiechnął się drwiąco.

„Podziwiajcie. Napatrzcie się do syta" – pomyślał o dziewczętach przekonanych, że są niewidoczne za filarami, gdy przechodził przez hol. Niemal fizycznie czuł ich wzrok na swym ciele. Szybko jednak jego umysł zaprzątnęła sprawa cyborium. Miał już plan, jak ściągnąć je do rezydencji i zmusić do posłuszeństwa. Teraz musiał tylko wprowadzić go w życie.

Przestąpił próg komnaty motyli i prędko się rozejrzał. Wszystko było na swoim miejscu i żadnych trupów na podłodze.

„Dobrze. Nadal się mnie słuchają" – pomyślał o tych kilku służących, których podejrzewał o wścibstwo i knowania za jego plecami. Zerknął na gelusa. Tu też nic się nie zmieniło. Drapieżna

istota warowała koło wirującej misy dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Mężczyzna okrążył pomieszczenie. Z czułością zerknął na różnokolorowe motyle zamknięte w ogromnych wolierach. Były olśniewające. I te najmniejsze, wielkości muchy, i te ogromne, zbliżone rozmiarami do kaczek. Ich hodowla była czasochłonna, lecz jakże inspirująca. Z przyjemnością stwierdził, że w jednej klatce znowu przybyło sporo jaj.

„Ta mikstura do karmienia, którą ostatnio wymyśliłem, świetnie się sprawdza. – Uśmiechnął się, patrząc na kopulujące motyle. – No, no, no, ależ zawzięte! Jak tak dalej pójdzie, przychówek będzie imponujący. Oby tylko ilość nie odbiła się na jakości. Selekcja. Muszę nad nią popracować".

Przechodził od jednej woliery do drugiej, kontrolując temperaturę i wilgotność powietrza na kolejnych urządzeniach podpatrzonych u ludzi, ale także czystość klatek oraz ilość i świeżość pokarmu. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy którejś, pocierał zamyślony skroń, a potem wykonywał subtelny gest palcami przypominający wojskowy salut. Po chwili jego przemyślenia materializowały się w postaci fantazyjnego pisma na tablicy z czerwonego marmuru, wiszącej na jednej ze ścian. W ten sposób miał pewność, że o niczym nie zapomni. Były to też wskazówki dla... jak mu tam? Nigdy nie pamiętał imienia tego chłopaka zajmującego się czyszczeniem klatek. Mniejsza z tym. Mały miał obowiązek co do słowa trzymać się wytycznych – i do tej pory tak było. Teraz też Sheridan zobaczył, że zgodnie z jego instrukcjami w jednej z wolier zawisła delikatna tkanina, do

której przyczepiono kokony, a w innej larwy wręcz pochłaniały świeże liście baylee skropione jego najnowszym wynalazkiem.

Wreszcie dotarł do klatki ze swoją największą „miłością” – parą dorodnych sheridianów. Ktoś mógłby uznać, że nadawanie nowemu gatunkowi nazwy pochodzącej od własnego imienia jest żenujące i pretensjonalne, lecz nie on. Patrząc na ogromne skrzydła przypominające powleczone ciekłym srebrem żagle, odwłok z czarnych mikrołusek i trzy pary silnych odnóży zakończonych pazurkami, wprost czuł rozpierającą go dumę. Tę parkę pozyskał niedawno. Nie wiedział, jak długo będą żyć, lecz miał nadzieję, że staną się protoplastami licznego pokolenia nowego gatunku motyli. Czy mu się zdawało, czy też kiedy przechodził obok ich woliery, przyjrzały mu się uważnie i poruszyły czułkami?

Podszedł do ciągle wirującej misy. Zatrzymał ją skinieniem dłoni. Kryształowe oczy gelusa przypatrywały się temu wszystkiemu leniwie. Mężczyzna sprawdził zawartość naczynia. Wyglądała niczym rozrzedzona smoła, lecz wydzielała słodki zapach bzu. Przelał zawartość do flakonika. Uśmiechnął się do potworka, a potem dokładnie spryskał miksturą liście drzewka bonsai.

– Smacznego – mruknął, wstawiając roślinę do jednej z klatek z larwami. Tłuściutkie żółtawe istoty natychmiast rzuciły się na nowy pokarm. Sheridan chwilę je obserwował, bardzo z siebie zadowolony, zaraz jednak jego wzrok spoczął na gelusie i o czymś sobie przypomniał. Zmarszczył brwi.

– Evanthesy! Żeby to parch pylisty! Trzy dni polowań na evanthesy! Ech, ta Odgeon! Za to też mi zapłaci! – mruknął

wściekły. Pochylił się ku bestii, pozwolił jej powąchać, a potem polizać palce ubrudzone smołą. – Znajdź ją i zaproś! – warknął i wyszedł z komnaty. Przygotowując się do karnych łowów, powtarzał sobie w myślach, że to tylko kilka dni poślizgu w jego planach. Nic takiego. Podczas gdy on będzie polował, gelus odnajdzie cyborium, a motyle... Ponury uśmiech rozciągnął mu usta.

Poczuła, że nie jest sama. W półmroku otulającym pomieszczenie był ktoś jeszcze. Coś przesłaniało jej oczy, lecz nie na tyle, żeby nie dostrzec konturów jego ciała. Zadrżała ze strachu i... pożądania, gdy usłyszała odgłos kroków. Opaska na oczach ożyła i milion mikroskopijnych skrzydełek połaskotało jej twarz, a potem rozpłynęło się bez śladu. Gdzieś niedaleko zabrzmiała muzyka. Łagodna, nastrojowa i bardzo zmysłowa. Mężczyzna zatrzymał się tuż za nią. Jego zapach... Umysł od niego wariował. Mężczyzna opuszkami palców dotknął grzbietu jej dłoni. Zadrżała. Złapał ją za nadgarstek i odwrócił do siebie. Krew pulsowała w skroniach, gdy pochylił się ku niej. Biodra same znalazły właściwy rytm. Nie wiedząc, czemu to robi, zbliżyła twarz do szyi nieznajomego, wchłonęła zapach jego ciała, a potem zaczęła się kusząco o niego ocierać. Mężczyzna podążył za nią w tym zmysłowym tańcu. Jego dłonie wyznaczały ogniste szlaki

na jej ciele. Traciła zmysły w oczekiwaniu na dotyk jego ust. Pożądanie, nienawiść... Jak możliwe, że czuła to jednocześnie?

Gwałtownie otworzyła w ciemnościach oczy. No tak, znowu miała koszmarny sen. Teraz do rana będzie się męczyć i nie zaśnie ponownie. Odwróciła głowę w stronę budzika. W mroku dojrzała czerwone świecące cyfry. 3:18. Jęknęła z bezsilnej wściekłości. Zapaliła lampkę i z zazdrością zerknęła na głęboko śpiącego Marcusa. Chciała pogładzić go po włosach, ale doszła do wniosku, że nie będzie go budzić. Nieprzytomna powlokła się do kuchni, aby zaparzyć ziółka. Po chwili wróciła z parującym kubkiem do sypialni, by po sekundzie, cicho przeklinając, znowu pójść do kuchni. No tak, nie była pewna, czy wyłączyła gaz. Ta bezsenność zaczynała destabilizować jej idealnie uporządkowane życie. A gdy już zasypiała, lub przynajmniej tak jej się wydawało, śniło jej się, że tańczy w ramionach płowowłosego mężczyzny zmysłową rumbę, mając pod stopami chmury, a wokół bezkres błękitnego nieba. Towarzyszyło temu zawsze poczucie śmiertelnego zagrożenia, którego nie potrafiła się pozbyć. Kubek z ziołowym naparem powędrował do ust. Upiła łyczek i skrzywiła się z niesmakiem. Cholera, znowu przesłodziła. Teraz ziółka były tak słodkie, że aż przyprawiały o mdłości. Dusząc kolejne przekleństwo pod nosem, dzielnie wypiła paskudny napój. No, teraz trzeba tylko poczekać na sen. Miała nadzieję, że nadejdzie szybko i uwolni jej strudzony umysł od jakże realistycznych wizji. Jeszcze dwa kwadranse przewracała się z boku na bok w pościeli, nim w końcu sen nadszedł i przegonił z umysłu znienawidzonego i upragnionego jednocześnie mężczyznę z chmur...

Skąd się wzięła w tym ciemnym lesie, tuż nad brzegiem jeziora? I po co? Na dodatek w środku nocy? Nie miała najmniejszego pojęcia. Las przerażał. Jezioro przywoływało. Ukradkiem i bardzo ostrożnie, aby nie spłoszyć polującej sowy, podeszła do brzegu. Kamyki zachrzęściły pod stopami, a woda ucałowała jej buty. Skryta za jakimś krzakiem dłuższą chwilę przyglądała się ciemnej tafli, która wyglądała niczym mroczne lustro oświetlone reflektorem księżyca. Osamotnienie i strach rzuciły się na nią na podobieństwo stada piranii, podgryzając boleśnie. Jedynymi jej towarzyszami zdawały się świerszcze i żaby. Nagle jednak ich odgłosy przytłumiło coś, czego nie miało prawa tu być!

„Skrzypce?! Tu i teraz? To niedorzeczne" – pomyślała.

Wytężyła wzrok. Skrajem jeziora ktoś szedł, a właściwie dostojnie kroczył. Przytrzymując podbródkiem instrument, pozwalał smyczkowi szaleć po strunach. Z każdym jego krokiem muzyka narastała, podobnie jak emocje w duszy kobiety.

„Grający do snu" – pomyślała absurdalnie. Nagłe wzruszenie zdławiło gardło. Czy sprawiły to te skrzypce? Mężczyzna zatrzymał się na skarpie, zwrócił twarz ku wodzie i zagrał tak pięknie, że poczuła łzy pod powiekami. Upajała się dźwiękami, wpatrując się z nienazwaną tęsknotą w ciemne wody jeziora. Nagle gdzieś na drugim jego końcu ujrzała błękitny ognik. Potem kolejny i jeszcze jeden. Pojawiały się na wodzie niczym pąki nocnych kwiatów. Po chwili cała tafla jeziora była pokryta ognikami. Grający zdawał się ich nie dostrzegać. W świetle księżyca zobaczyła jego twarz. Miał przymknięte powieki i jakąś błogość na obliczu. Spojrzała ponownie na jezioro i oniemiała z zachwytu. Wprost ku niej – a może ku niemu? – płynęła istna

armada ogromnych lilii wodnych, ale jakichś dziwnych, jakby stworzonych z księżycowego światła. Iskrzyły się srebrzyście niczym posypane brylantowym pyłem. Na ich liściach dostrzegła... niemowlęta! Wiele tłuściutkich niemowląt pogrążonych we śnie. A ciałko każdego powleczone było warstewką błękitnych ogników, które sprawiały wrażenie, jakby delikatna skóra dzieci płonęła lazurowym ogniem. Ciemna woda niosła je ku grającemu, a gdy już niemal do niego dotarły, część z nich ulatywała w niebo niczym w ogromnej błękitnej bańce mydlanej, część wciągała leśna roślinność, a pozostałe bezgłośnie... tonęły!

Za nimi na dużo większym liściu płynął... Xaviere?! Dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Był bardzo poważny. Stał bez ruchu, pozwalając roślinie nieść się ku brzegowi. Gdy był całkiem blisko, usłyszała jego szept: „Nie idź tam", a potem mężczyzna zniknął. Nim minął szok, zaintrygowało ją już kolejne zdumiewające zjawisko. Na liściu sunęła ku niej... Amanda, lecz nie ta pannica, jaką zapamiętała, ani nawet ta doroślejsza z przekazów przyjaciół. Ta tutaj była ośmio-, może dziewięcioletnim dzieciakiem. I podobnie jak Xaviere, zbliżając się do brzegu, zaczęła szeptać: „Nie zostawisz mnie tak, prawda? Wiesz, gdzie jestem. Zabierz mnie od niego. Nie chcę zostać w podziemnym mieście. Zabierz mnie, proszę". Chciała krzyknąć, że nie ma obawy, ale w tym momencie podpłynęły jeszcze dwa liście. Na jednym z nich dryfował tak znienawidzony i jednocześnie upragniony płowowłosy Sheridan. Pokłonił się szarmancko i wyciągnął dłoń. „Zatańczymy?" – zapytał z uśmiechem, lecz w jego oczach czaiło się szyderstwo. Wzdrygnęła się... ze strachu czy z pożądania? Ktoś za jej plecami, tak znany i wyczekiwany

z utęsknieniem, wyszeptał: „Nie zapomnij o nas, o mnie” i położył u jej stóp zawiniątko. Dwoje niemowląt w ogromnym liściu lilii. Podniosła je. Miały tak bardzo błękitne oczy. Na ostatnim podpływającym liściu ujrzała jeszcze niewielką srebrzystą istotkę, która pokłoniła jej się jakby z szacunkiem, lecz usta wysyczały groźnie: „Pan Sheridan uprzejmie zaprasza...”.

– Ariel! Obudź się! – Potrząsanie za ramię wyrwało ją ze snu.

– Odpieprz się w końcu ode mnie, ty zbocz... – Zaczęła się szarpać z niewidocznym przeciwnikiem, a potem podskoczyła i szeroko otwarła oczy.

– No, różne rzeczy można o mnie powiedzieć. Choćby to, że jestem pierzastym niedorozwojem, ale na zboczeńca jednak się nie godzę. – W spojrzeniu pochylającego się nad nią Jareda ujrzała troskę.

– Wybacz.

Nie musiała dodawać, że to nie było o nim. Podkrążonymi ze zmęczenia oczami spojrzała na harpię.

– Śniły mi się jakieś niemowlęta płynące na ogromnych liściach po jeziorze. Była noc, a na brzegu stał facet i przygrywał im na skrzypcach. Grający do snu... – pospieszyła z wyjaśnieniem. Zapatrzyła się we własne dłonie, jakby tam chciała znaleźć interpretację sennego koszmaru.

Twarz harpii w jednym momencie spoważniała.

– Grający do snu? – wyszeptał. – Wychodzę – oświadczył podejrzanie szybko. – Im prędzej znajdziemy twoją córkę... Ale ty nie ruszaj się stąd. Mam tu trochę waszych ludzkich książek i „oglądacza” – wskazał stary telewizor stojący na zabytkowej szafie – więc na nudę nie powinnaś narzekać. Wiesz, gdzie szukać

jedzenia i picia. – Skierował wzrok na aneks kuchenny. – Jestem dobrym tropicielem. Znajdę Amandę i do wieczoru będzie po sprawie. – Uśmiechnął się, żeby ją – a może samego siebie? – uspokoić. Wyciągnął dłoń, jakby chciał Ariel poklepać pocieszająco, lecz w ostatnim momencie jedynie skinął jej końcami palców. – Niedługo wracam.

Następnego dnia Jack obudził się mocno zmęczony. Ze swojego kolorowego snu przypominał sobie mgliście jedynie erotyczne wizje własnych wyczynów z... Treyą Thuranne.

„Niezłe wrażenie musiała na mnie zrobić, skoro śnią mi się takie harce". Uśmiechnął się do własnych myśli.

„Chwila! Nie jestem jednak za stary na taką ekscytację byle piosenkareczką? Nie mam siedemnastu lat, a zachowuję się jak napalony małolat. Jeszcze trochę i będę wieszał jej plakaty nad łóżkiem".

Wczorajszy wywiad... Hm, czemu tak mało z niego pamięta? Właściwie nic. Nie przypominał też sobie, żeby przesadził z jakimiś używkami.

„Jeeezu! Chyba zrobiłem jakieś notatki? Jakiekolwiek!". Dobry nastrój prysnął równie szybko jak erotyczny sen. Jack usiadł gwałtownie na łóżku, zerknął na stojący opodal stolik i odetchnął z ulgą. Plik kartek zapełnionych jego niestarannym pismem leżał na zagraconym blacie, podejrzanie porządnie ułożony. Wyskoczył

z łóżka tak prędko, że Krakers zwiał wystraszony, chwycił jedną z nich i przebiegł wzrokiem.

Treya Thuranne zaczęła śpiewać w wieku dziesięciu lat, występując w przedstawieniach szkolnych. Muzyczną edukację kontynuowała w Akademii... Jest posiadaczką czterooktawowego sopranu, znaną z wykonywania utworów będących połączeniem rocka i opery. Sama pisze teksty swoich piosenek, choć nie stroni też od coverów. Uwielbia pływać. Jest także miłośniczką kuchni śródziemnomorskiej. Na parę dni przed koncertem w naszym mieście wokalistka zgodziła się udzielić nam wywiadu na wyłączność...

„Kurczę, kto to pisał? Bo na pewno nie ja! – absurdalna i natrętna myśl, niczym upierdliwy chwast, zapuściła korzenie w umyśle Jacka – To kompletnie nie mój styl, nie moje sformułowania ani słownictwo!". Przeczytał tekst ponownie. Był coraz bardziej skonsternowany. Zupełnie nic nie pamiętał z wywiadu, a tu miał notatkę, wprost gotowca, pod którym za nic by się nie podpisał. Wprawdzie trzymał w ręku dokładnie taki tekst, o jaki chodziło gościom od reklamy, ale czuł, że byłby ostatnim oszustem, gdyby wziął pieniądze za coś, czego nie zrobił. Nie miał jednak niczego innego w zamian, a sterta rachunków zaczynała przypominać Krzywą Wieżę w Pizie. Dylematy w jego głowie przerwał dzwonek telefonu.

– Jack? Cześć. I co? Jak było? Masz ten wywiad? – zbombardował go pytaniami Terry.

– Tak, mam, mam – westchnął.

– A Treya? Jaka ona jest? No wiesz... – zarechotał Terry. Po tych paru piwach, które razem wypili, facet najwyraźniej uważał

siebie za jego przyjaciela od serca. Cóż, Jack miał zgoła odmienne zdanie na ten temat.

– Taka sobie laska, nic specjalnego. – „Kłamiesz, Jack, kłamiesz jak z nut. Jest tak gorąca, że należałoby do niej podchodzić w kombinezonie ognioodpornym. Ale lepiej, żeby Terry tego nie wiedział" – pomyślał. Jeszcze niedawno strzelał fotki na jego ślubie, a już doszły go plotki o prawdopodobnym szybkim rozwodzie kolesia. Cóż, Terry nie bardzo potrafił panować nad swoim ognistym temperamentem, a jego obecna żona nie wykazywała, zdaje się, zrozumienia wobec seksualnego rozpasania małżonka.

– Co to znaczy „taka sobie"? Konkrety! Na szarą myszkę to mi na fotach nie wyglądała.

Jack się zamyślił. Chciał znaleźć jakiś argument przemawiający za „zwyczajnością" Trei i... nic z tego nie wyszło. Mimo luk w pamięci jednego był absolutnie pewien: Treya Thuranne jest niezwykła jako wokalistka, a jeszcze bardziej jako kobieta. Tyle że Terry...

– Hej, Jack, jesteś tam?! – nalegał tamten z upierdliwością muchy na stercie padliny. – Ha, wiedziałem! Gadaj, Jack! Gadaj, zanim mnie ciekawość rozsadzi!

Westchnął z niechęcią.

– Śpiewu nie ma się co czepiać. Faktycznie jest niezła i potrafi zabawić publiczność. Będziecie zadowoleni.

– Wiesz, że nie o to pytam. – Terry mlasnął, a Jacka z jakiegoś powodu aż zemdliło.

– Cycki ma za małe. Właściwie to jest kompletnie płaska. – Odetchnął z ulgą, bo w końcu znalazł ten jeden jedyny argument,

który był w stanie odrzucić Terry'ego od każdej kobiety. – Tyłka zresztą też nie ma. Aha, i utyka – dodał pospiesznie, teraz już niemal pewien, że spławił tamtego na amen.

– Jest płaska... – Rozczarowanie Terry'ego było niemal namacalne. Zupełnie jak kupon kumulacji w totka, gdy na chwilę przed odbiorem ogromnej wygranej okazuje się, że zaszła pomyłka. – Hm, no tak. Ale śpiewać potrafi. I to jest ważne.

– To co, przesyłam ci skany tego wywiadu, tak jak się umawialiśmy?

– Tak, jasne. Dawaj je. I wiesz co, Jack?

– Tak?

– Bez obrazy, chłopie, ale jednak sam ocenię jej cycki. Na razie – rzucił jeszcze Terry, a potem Jack usłyszał długi sygnał w słuchawce.

„No to po dylematach. Najważniejsze, że niedługo przyjedzie tu na koncert. Znowu ją zobaczę...".

Godziny mijały, a Jared nie wracał. Zdążyła więc dokładnie, w pełnym słońcu, przyjrzeć się mansardzie, którą harpia zaadaptowała na swe lokum. Były tu dwa pokoiki wielkości pudełek po zapałkach – jak je określiła w myślach – z których jeden, połączony z kuchnią, dodatkowo miał wyjście na niewielki balkonik. Skośne stropy sprawiały, że przestrzeń zdawała się jeszcze mniejsza. I była też maleńka łazieneczka wyłożona tak

starymi kafelkami, że Ariel musiała uważać, żeby nie odpadły przy dotknięciu. Oczywiście pozostałe urządzenia łazienkowe też nadwerężył czas. Kran, baterie, prysznic i rury wyglądały niczym wyszarpnięte z brzucha i przeżarte wrzodami jelita. Dokładnie tak ponure skojarzenie przyszło jej do głowy, gdy tylko je zobaczyła, robiła więc, co mogła, żeby nie musieć z nich korzystać.

Meble, dywan, zasłony – wszystko w tym mieszkaniu nie było zmieniane od jakichś trzydziestu, może czterdziestu lat, czuła się zatem jakby żywcem przeniesiona do innej epoki. Na dodatek od dawna niezamieszkane poddasze tonęło w zwałach kurzu i pajęczyn, które zdawały się kompletnie nie robić wrażenia na nowym samozwańczym właścicielu, jakim był Jared. Ją jednak ten widok przygnębiał. Jedynym w miarę niezakurzonym miejscem był stojak na ciuchy – z pewnością „wypożyczony" z któregoś sklepu – zawalony przerzuconymi byle jak ubraniami. Brak pralki i obecność metek na ciuchach kazały przypuszczać, że Jared nie bardzo przejmuje się czymś tak prozaicznym jak pranie. Skąd jednak miał kasę na coraz to nowe ciuchy? Czy w ogóle je kupował? Wątpiła.

Z początku kobieta miała nadzieję, że harpia szybko wróci, więc jedynie drzemała zwinięta w kłębek na wytrzepanym z kurzu fotelu lub przechadzała się po mansardzie, od czasu do czasu wyglądając przez okna czy przysiadając na balkonie i rozmyślając.

„Co z Amandą? Gdzie jest, co robi? Mam nadzieję, że w nic się nie wpakowała. A Marcus? Odsłuchał tę sekretarkę czy nie? Kim jest Sheridan, czego tak naprawdę chce i jakim cudem pomyliłam go z Marcusem? Facet aż tak dobrze potrafi przeistaczać się w osoby, które widział jedynie w czyichś myślach? Xaviere. Czy

rzeczywiście pochodził z Morren City? Czemu stąd zwiał? I dlaczego zwiadowcy nie informowali o tym, co tu się dzieje, skoro regularnie odwiedzają ten świat? A może teren ich działania jest ograniczony?”.

Kiedy południe minęło, a Jareda nadal nie było, z nudów zaczęła przeglądać leżące w kącie książki. Zdaje się, że ucząc się życia w tym świecie, harpia czytała wszystko, jak leci. Ariel znalazła więc lekką beletrystykę, przewodnik po Toskanii, książkę kucharską, mapę okolicy – to ucieszyło ją najbardziej – historię Morren City, ale też *Burzę* Szekspira, słownik synonimów oraz instrukcję obsługi kuchenki i podręcznik dobrych manier. Książek było dużo, wszystkie mocno zużyte. Prawdę mówiąc, wyglądały niczym niedawno wyszperane w śmietniku.

Odkryła też, że w mieszkaniu jest prąd, a widząc plątaninę kabli przy liczniku, nie miała żadnych wątpliwości, w jaki sposób Jared go pobiera. Była też kablówka w ludzkim „oglądaczu”, zapewne podobnie „zdobyta”, więc oglądaniu książek towarzyszyły najnowsze wiadomości. Znajdowała się tu też lodówka, wiekowa jak wszystko inne.

Czując burczenie w brzuchu, Ariel zajrzała do jej wnętrza. Wczoraj, głodna i zaabsorbowana wydarzeniami w zaułku, zjadła to, co zaproponował jej Jared, lecz dziś zauważyła, że w lodówce, oprócz ohydnie wyglądającego i śmierdzącego mięsa, nie ma nic innego do jedzenia. Pewnie harpia specjalnie dla niej znalazła sposób na „odświeżenie” tego mięsiwa, skoro nadal nie musi wpasowywać tyłka w klozet.

Widząc coś białego wijącego się na mięsie, zaklęła i szybko zatrzasnęła lodówkę. Przypomniała jej się knajpa krasnoludów

w trzecim mieście. Jak ona się nazywała? Kuźnia... Jareda! Skrzywiła się na myśl o tym zbiegu okoliczności. Takich wynalazków jak telefon czy internet Jared jednak nie miał, a kiedy podjęła próbę opuszczenia mieszkania z zamiarem nawiązania kontaktu z Marcusem z jakiegokolwiek telefonu, okazało się, że harpia przezornie zamknęła ją od zewnątrz. Kombinowanie przy zamku różnymi narzędziami i próbowanie zaklęć nic nie dało. Drzwi wydawały się głuche na jej błagania o wypuszczenie z tej nory. Wkurzona mogła więc znów jedynie snuć się po mieszkaniu, czekając na powrót harpii. Miotała się niczym zwierzę we wnykach, aż przyszło jej do głowy, żeby przedostać się balkonem do sąsiedniego mieszkania i dalej na zewnątrz. I pewnie byłby to dobry pomysł, gdyby nadal potrafiła zmieniać się w pająka lub cokolwiek innego, bo inaczej zdewastowany gzyms i tamten drugi balkon mogły zostać pokonane jedynie w marzeniach.

„Tiaaa, gdybym nadal potrafiła transformować, nie potrzebowałabym takich ekstremalnych zabaw. Pociąg ani autobus też nie byłby konieczny" – pomyślała, wpatrując się ponuro w kilkupiętrową przepaść pod balkonem.

Nuda i bezczynność irytowały ją coraz bardziej, podobnie jak brak jedzenia i możliwość pogadania z kimś. Na dodatek rana zadana akwamarynowym nożem Sheridana zaczęła się jątrzyć, a sama pierś bardzo spuchła. Ariel miała wrażenie, jakby ktoś wbił w nią ostre metalowe szpony i sadystycznie szarpał. Nawet przemywanie i chłodne okłady na niewiele się zdały. O zaklęciach leczących też mogła tylko pomarzyć.

Gdzieś po południu, gdy już z bólu i głodu ją mdliło, doszła do wniosku, że sen dobrze jej zrobi. W oczekiwaniu na Jareda opatuliła się kocem i przycupnąwszy na kanapie, zapadła w drzemkę. Nie obudziły jej ani szczęk zamka w drzwiach, ani stukot butów o wysłużony parkiet. Nie zobaczyła też twarzy harpii przyglądającej się jej z niepokojem ani nie usłyszała jej szeptu.

– Na wszystkie poranki świata, jesteś rozpalona. – Delikatna dłoń Jareda pogładziła czoło kobiety. Wyostrzone zmysły podpowiedziały mu, gdzie szukać przyczyny choroby. Zerknął pod koszulę Ariel, a to, co zobaczył, jeszcze bardziej go zmartwiło. „Przydałaby się pomoc jakiegoś merrilla – pomyślał. – Ale skoro jej nie mamy, to musi wystarczyć...".

Rozejrzał się po mieszkaniu. Tuż nad futryną drzwi do łazienki przycupnęły dwa dorodne pająki. Pomarańczowe z prążkami na odwłoku.

„No i po deserze – pomyślał z żalem. – Trudno, jedzenie może poczekać". Wiedział, że pająki – niemal wszystkie – są jadowite, jednak tylko jad nielicznych jest tak naprawdę groźny. Życie w nadrzewnej osadzie nauczyło go, że te istoty potrafią nie tylko być świetną przekąską, ale też niezłym antidotum na wszelkie zranienia. Niestety nie mógł w tym mieście liczyć na złowienie „nadrzewnego wampira" – jak nazywali tego ogromnego zielonego pająka pobratymcy Jareda – którego wydzielina gruczołów jadowych, odpowiednio spreparowana, znana była ze swych właściwości gojących. Jednak i te pomarańczowe maluchy mogły okazać się bardzo użyteczne.

Delikatnie zdjął prążkowane stworzonka z framugi, cicho podszedł do kanapy, na której drzemała Ariel, i odchylił jej koszulę. Westchnęła i poruszyła się niespokojnie. Obrzmiała pierś miała paskudny kolor pestek granatu. Poczerniałe brzegi już zaczynały pokrywać się ropą. Zdecydowanym ruchem harpia zmiażdżyła odwłok jednego pająka i opuszkiem palca rozsmarowała go na ranie. Kobieta jęknęła, lecz się nie obudziła. Drugi pająk zakończył żywot w naprędce wypłukanym kubeczku. Zanim Jared go utopił, dodał do wody parę ziarenek jakiegoś zielonego proszku wyjętego ze sfatygowanego skórzanego woreczka. Pomarańczowe zwierzątko dzielnie starało się zwiać, lecz oblepione proszkiem już po chwili rozpuściło się w wodzie. Harpia zamieszała zawartość naczynka, coś wyszeptała i posmarowała kilkoma kropelkami usta kobiety. Teraz Jared mógł już tylko czekać. Przysiadł więc na skraju kanapy i wpatrzył się w swego ludzkiego pacjenta.

„Chyba nie mam innego wyjścia – pomyślał, zerkając po jakimś czasie na wszystkie odcienie fioletu na piersi kobiety. – No trudno, kolacja będzie jeszcze skromniejsza". – Zdecydowanym krokiem ruszył ku lodówce. Aż sapnął z żalu, wyjmując wielki kawał mocno schłodzonej padliny. Rozpiął do końca koszulę Ariel i obłożył mięsiwem pierś. Lód i ogień. To musiało dać piorunujący efekt. W jednej chwili kobieta otworzyła oczy, gwałtownie usiadła i wciągnęła powietrze. Dotarło do niej, co ma na piersi, natychmiast strząsnęła to z siebie z obrzydzeniem i wrzasnęła:

– Odbiło ci?! Zabieraj ze mnie tę padlinę! Nie będą mnie robaki żreć żywcem!

Krwisty kawał mięcha wykonał popisowy lot niemal do samego sufitu, a potem z głośnym plaśnięciem przyssał się do parkietu. Jared rzucił się w tamtym kierunku, niestety o ułamek sekundy za późno. Zebrał resztki z podłogi, dokładnie oczyścił z brudu i obejrzał z każdej strony. Skrzywił się.

– Ja nie wiem, co z wami, ludźmi, jest nie tak – zaczął zdegustowany. – Zapewniam ci kryjówkę, dzielę się tym, co upolowałem, jeszcze leczę twoje rany, a ty co? Ludzie to bardzo niewdzięczne istoty! Masz pojęcie, jak oberwałbym od samic w moim stadzie, gdyby się dowiedziały, że cię leczę, zamiast dobić? I na dodatek karmię?

Przez chwilę patrzyli na siebie spode łba.

– Nie wymagaj ode mnie wdzięczności, jeśli okładasz mnie śmierdzącą, zarobaczoną padliną!

– Śmierdzącą?! Zarobaczoną?! Ariel, ten soczysty kawałeczek wołowiny rąbnąłem wczoraj waszemu rzeźnikowi. Normalnie rarytas. Gdzie tu smród i robaki? – Podsunął jej mięcho pod nos. Rzeczywiście było świeżutkie i pachnące. Kobieta zerknęła na nie podejrzliwie, a potem na Jareda, i pomyślała, że jeśli harpia nadal będzie tak szeroko otwierać powieki, to wypadnie mu gałka oczna. – Owszem, jestem harpią, ale to nie oznacza, że żywię się syfem! I w przeciwieństwie do was, ludzi, szanuję każdy kęs pożywienia – oburzył się, ale natychmiast pojął, w czym problem. – No tak, zdaje się, że zapomniałem...

Teraz ona spojrzała na niego z konsternacją.

– Zrobiłem tam takie jedno zaklęcie... – Podrapał się nerwowo po szyi. – Dla wszystkich oprócz mnie zawartość lodówki wygląda na gnijącą i śmierdzi. – Zarechotał, żeby ukryć zakłopotanie. – To

taka zasłona dymna, żeby nikt nie rąbnął mi jedzenia. Zdaje się, że... tego... chyba zapomniałem ją zdjąć. – Uśmiechnął się głupawo. – Ale to jeszcze nie oznacza, że masz rzucać mięsem!

– Jeszcze nawet nie zaczęłam, słonko. Przez to twoje zaklęcie cały dzień byłam głodna. A tak w ogóle to czemu mnie tym obłożyłeś?

Teraz on przyjrzał jej się zdumiony.

– Naprawdę nie wiesz? Zerknij na swój gruczoł do karmienia młodych. – Wycelował palec w jej biust.

– Na co?!

– Wy to nazywacie: balony? Choć serio nie wiem, co to ma wspólnego z balo...

– Balony?!

– Balony, zderzaki, bufory. – Machnął ręką. – No TO, czym karmicie młode. Rany, nie dość, że jesteście niewdzięczni, to jeszcze tępi.

– Jared, za dużo tego MTV w ludzkim „oglądaczu". Zalecam odwyk, bo robisz się wulgarny, choć raczej nieświadomie. A prawidłowo to się nazywa „piersi". Więc oglądałeś moje piersi. I jak, fajnie było? – zapytała podejrzanie uprzejmie.

– Prawdę mówiąc, nie. Sama zerknij.

– Wielkie dzięki. Ja wiem, że nie mam tak fantastycznych cycków jak te lalunie z „Playboya", ale żeby od razu... Ożeż! – Teraz ona sapnęła, wpatrując się w ciemnofioletową pierś i nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

– No... Nie wiem, jak się tego nabawiłaś, ale jeśli szybko czegoś nie zrobimy, trzeba będzie... – Zrobił gest przypominający cięcie i zobaczył przerażenie w jej oczach.

– Zapomnij!

– Spokojnie. I tak już wygląda lepiej, naprawdę – palnęła harpia. Chyba miało to być pocieszenie, lecz efekt był zgoła odwrotny.

– Lepiej?!

– No. Ale wyluzuj. Posmarowałem ranę odwłokiem araneusa...

– Czym?!

– No, pająka. Wziąłem kilka, gdy wyprowadzałem się z osady. Mieszkają tu ze mną. Są baaardzo smaczne... – zachwalał, kompletnie nie zważając na minę Ariel.

– Posmarowałeś mi ranę pająkiem? – wyszeptała groźnie.

– Aha. Drugi też już zaczął działać, bo widzę, że gorączka mija.

– Drugi?

– Obliż się, to jeszcze poczujesz resztki. Smaczny, co nie? – Uśmiechnął się i zatarł dłonie z zadowoleniem. – Taki delikatny i jednocześnie słodziutki. Mój ulubiony. No co?

Zamarł, nie rozumiejąc, czemu patrzy na niego z obrzydzeniem.

– Nakarmiłeś mnie... pająkiem?!

– Konkretnie to napoiłem. Dlatego nie czujesz bólu. – Wskazał kubek z podejrzaną zieloną zawartością. – Dodatek emeralium ładnie go rozpuścił i... Ariel? Co ty...

Ale odpowiedziały mu tylko dziwne bulgoty i gdyby kobieta miała cokolwiek w żołądku, z pewnością zapaskudziłaby w tym momencie buty Jareda. Dłuższą chwilę patrzył, jak klęczy przed nim zgięta wpół i wstrząsana torsjami. Nieśmiało dotknął jej ramienia.

– Czemu wsadzasz sobie rękę do gardła?

Odpowiedziało mu kolejne bulgotanie.

– A nie, na wypluwkę już za późno. Na pewno zdążyłaś to wchłonąć. – Machnął z lekceważeniem ręką. – Zresztą czemu chcesz się pozbywać czegoś, co ci pomogło? O, popatrz, jest dalsza poprawa. – Wskazał na jej biust, który w całym tym zamieszaniu ledwie okryła koszulą. Zaczynał pomału nabierać normalnych kolorów i kształtu. Zastygła z ręką w ustach i zdumieniem w oczach. Raz po raz patrzyła to na niego, to na pierś. – Na moje oko do jutra powinnaś być zdrowa, ale skoro się upierasz przy tej wypluwce...

Wyjęła rękę z ust i z trudem podniosła się z podłogi. Otarła wargi wierzchem dłoni, zapięła koszulę.

„Trzeba sobie tylko wyobrazić, że to był snickers". Przypomniało jej się, jak zaklinała rzeczywistość, gdy w ruinach antycznego miasta posilała się błoto-glutami Orestesa. Wtedy to pomogło. Wzięła głęboki wdech.

– To mięcho... – zaczęła niepewnie. – Nie będzie ci go żal, jeśli jednak zrobię sobie z niego okład?

– Żal? Czemu? Korzystaj. Do rana jest twoje.

Ariel wolała nie pytać, czemu tylko do rana i co się wtedy z nim stanie. Z jakiegoś powodu uznała, że ta informacja nie jest jej potrzebna. Odświeżyła się nieco w łazience, wzięła chłodny befsztyk z rąk Jareda, ponownie ułożyła się na kanapie i teraz już z ulgą przyłożyła go do piersi.

– Skąd ta paskudna rana?

– Sheridan – mruknęła. – Miał taki sztylet... Nie znam się na kamieniach. Takie błękitnawo zabarwione kryształy. Piękne były. Wprawione w rękojeść.

– Akwamaryny – szepnęła harpia i podejrzanie prędko zaczęła zdejmować płaszcz.

– Znasz Sheridana aż za dobrze. Co ci zrobił?

Nie usłyszała odpowiedzi.

– Nie znalazłem jeszcze Amandy – szybko zmienił temat – ale spokojnie, zajmie mi to może jeszcze dzień lub dwa. Do tego czasu musisz tu zostać. Jesteś chora, nie znasz miasta i jesteś poszukiwana, więc koniec dyskusji – uciął, widząc, że chce zaprotestować. – Dobra, czas coś zjeść. Zgłodniałem. – Zaśmiał się i ruszył do lodówki po kolejny kawałek mięsa.

Dziwnie się czuła, chłodząc jedną porcją mięsa ranę, a pożywiając się drugą. Głód jednak zrobił swoje. Niczym drapieżna istota wgryzała się w soczystą wołowinę, wysłuchując sprawozdania Jareda z poszukiwania Amandy. Zmartwiło ją, że jej nie znalazł, ale z jakiegoś powodu wierzyła, że to zrobi. Trochę jeszcze pogawędzili, a potem wspólnie obejrzeli jakąś komedię w „oglądaczu", w czasie której Ariel co rusz musiała harpii tłumaczyć, o co chodzi w ludzkich dowcipach. Zanim film dobiegł końca, kobieta zasnęła. Wsparta na ramieniu Jareda, spokojnie, miarowo oddychała, nadal przyciskając mięso do piersi. Uśmiechnął się na ten widok. Delikatnie położył Ariel na kanapie, wyjął z jej rąk mięso i schował na powrót do lodówki, mrucząc pod nosem: „Na pewno nic się nie zmarnuje". Potem przykrył ją kocem, a sam tradycyjnie zasnął wczepiony pazurami w balustradę balkonu.

Tej nocy także przyśnił się jej płowowłosy. Znów balowała z nim do białego rana. Niemowlęta na liściach lilii wodnych tonęły lub ulatywały w niebo przy akompaniamencie skrzypiec. Amanda

patrzyła na nią smutno, czyjeś błękitne oczy prosiły: „Nie zapomnij o nas”, a srebrzysty stworek z drwiącym uśmiechem zapraszał do siedziby swego pana, tyle że tym razem zaproszenie było dużo bardziej stanowcze.

Evanthesy. Jeśli o nie idzie, Sheridan był typowym trowem. Uwielbiał ich mięso i brzydził się nimi jako zwierzętami. Normalka. Pieczeń z evanthesów uchodziła za rarytas i szczyt kulinarnych możliwości każdego szanującego się kucharza w domu swego pana. Mięso należało bowiem szybko sprawić i odpowiednio długo marynować w wyselekcjonowanych liściach baylee, a potem jeszcze nieco podwędzić i na koniec upiec. Ważny jednak był czas. Zbyt długo marynowane stawało się gorzkie i cuchnące, zbyt krótko – rozpadało się w dłoniach. A że było cenne i trudne do zdobycia, więc i kucharze musieli być mistrzami w jego przygotowaniu. Najlepsi dostawali w nagrodę liczne przywileje, jak choćby możliwość opuszczania rezydencji pana bez straży. Historia znała nawet przypadki, gdy któryś z książąt, zachwycony doskonałą pieczenią z evanthesów, darował kucharzowi wolność.

Evanthes, jak sama nazwa wskazuje, był istotą paskudną. Gdyby Sheridan miał go do czegoś porównać, to pewnie do krzyżówki ogromnego węża i wielkiego, tłustego kreta wielkości świni hodowanej przez ludzi. Wydłużone ciało okrywała delikatna

sierść w kolorze mleka, pod którą kryło się pyszne kruche mięso. Dwie pary łap z błoną pławną ułatwiały mu poruszanie się w zatopionych tunelach mieszkalnych na obrzeżach podziemnego miasta. Brak oczu nadrabiał innymi zmysłami, jak słuch czy węch. Był niezwykle szybki, zwinny i sprytny, a przy tym kompletnie pozbawiony agresji. Jedyne, czym mógł zaatakować – i co często robił w chwili zagrożenia – to wydalanie wszelkimi otworami swego ciała całego repertuaru obrzydliwych gazów. Wystraszony evanthes puszczał bowiem wiatry z taką siłą, że lekkomyślni poszukiwacze mocnych wrażeń często leczyli stłuczenia, jakich doznali poobijani o ściany tunelu.

Evanthesy uważano też za podłe i ohydne stworzenia ze względu na niespotykaną skłonność do oblewania intruzów wszelakimi wydzielinami, wymiocinami czy moczem i kałem, a że żywiły się odpadkami, to i skład ich odchodów był bardzo urozmaicony. Jeśli wydzieliny jedynie cuchnęły, nieszczęśnik na długo stawał się obiektem kpin towarzyszy. Zdarzały się jednak wydaliny żrące i toksyczne, dlatego do polowań używano tylko niewolników z najniższej kasty użytecznych oraz zniewolone trytony. Jakby tego było mało, mięso wystraszonego zwierzęcia robiło się kwaśne i bardzo szybko się psuło. Evanthesa należało więc zabić tak szybko, by nie zdążył zorientować się w sytuacji.

Zaczajony za skałką Sheridan pamiętał o tych wszystkich rzeczach, albo przynajmniej chciał pamiętać. Nadal był wściekły i na księcia pana za niesłuszną w jego mniemaniu karę, i na cyborium, że znowu mu zwiało. Dwa upolowane tego dnia evanthesy miały trafić na stół Claylanda, więc Sheridan robił, co

mógł, aby wybrać te najbardziej dorodne, a potem mistrzowsko je zabić.

„Niech ta stara oferma myśli, że się go boję. – Uśmiechnął się pod nosem i wytężył wzrok. – Nie ma to jak władca przekonany, że wszyscy go kochają".

Tamte dwa evanthesy użyteczni zdążyli już odtransportować do siedziby księcia, lecz polowanie trwało. Żeby w pełni zadowolić Claylanda, Sheridan postanowił zabić jeszcze co najmniej jednego lub dwa. Tkwił więc za występem skalnym i czekał. Nagle usłyszał cichutki odgłos trącania kamyczków. Dla kogoś niewtajemniczonego były to jedynie ukruszone fragmenty tunelu, lecz dla Sheridana... Zamarł i zacisnął dłoń na harpunie. Coś poruszyło się i też zamarło.

„Jeszcze tylko ten jeden". Już myślał z rozkoszą o powrocie do rezydencji i nocnym locie na vivernie nad ludzkim miastem. Wyobraźnia podsunęła mu jeszcze jedną wizję: spotkanie z gelusem, który powie mu, gdzie znaleźć cyborium. Lecz w tej chwili evanthes znowu się poruszył, Sheridan skoczył więc do przodu i jednocześnie cisnął harpunem w kierunku zwierzęcia. Usłyszał stęknięcie, a potem ogłuszający ryk i już zrozumiał, że coś poszło nie tak. W ostatniej sekundzie złapał koniec drzewca i gwałtownie poderwał ku sobie. Efekt był zgoła odwrotny: przebite ostrzem zwierzę szarpnęło się i wciągnęło go pod wodę. Kilka szalonych sekund był wleczony za nim, uparcie nie zamierzając puścić harpuna. Dopiero jakieś ostre skałki raniące go dotkliwie, brak powietrza oraz ohydna wydzielina zwierzęcia, jaka pokryła jego ciało, zmusiły go do zaprzestania polowania.

Upokorzeniom tego wieczoru nie było jednak końca. Zadowolony książę powinien przysłać użytecznego z fragmentem płetwy ogonowej evanthesa jako wyraz uznania, tymczasem do drzwi rezydencji Sheridana nikt nie zapukał. Przywołany gelus także nie miał dobrych wieści. A właściwie nie miał żadnych. Cyborium tajemniczo zniknęło, podobnie jak harpun i ranny evanthes w głębinach tamtego tunelu...

W ciągu dwóch następnych dni Jared robił, co mógł, żeby odnaleźć Amandę, ale efekty były mizerne. Ariel tymczasem dochodziła do siebie. Rana na piersi zasklepiła się, choć pozostała brzydka fioletowa blizna. Zaproszenia, jakie otrzymywała w snach od śnieżnej istoty, brzmiały coraz groźnej, częściej też widywała w nich córkę. Długo nie wyjawiała Jaredowi, co ją dręczy, a kiedy wreszcie opowiedziała mu o swoich snach, tylko popatrzył na nią ponuro.

– Pułapka. To oczywiste.

– Wiem – skwitowała krótko, a on zrozumiał, że nie ma obaw, by odpowiedziała na zaproszenie Sheridana.

Kilka razy odwiedzili ją Kay i Tony. Zdaje się, że harpia przysłała ich nie tyle po to, by dotrzymali jej towarzystwa, ile żeby mieć pewność, że pozostanie w mieszkaniu. Wypytywani o Jareda niewiele potrafili powiedzieć o jego przeszłości. Gdy zaś stwierdziła, że harpia świetnie przystosowała się do życia

w mieście, i wskazała na kablówkę, bracia tylko się zaśmiali. Ariel została uświadomiona, że to oni „zdobyli" i prąd, i „oglądacz" dla Jareda, ale „niech Jared myśli, że to legalne". Wspólnie z nimi wkurzyła pewnego dnia harpię, zaskakując ją wysprzątanym mieszkaniem. Wściekły Jared chciał w odwecie wyrzucić kilka bananów, ser, bułki i herbatę, które dopiero co „upolował", ale zdążyła mu je wyrwać i zamknąć się z nimi w wypucowanej do granic możliwości łazience, podczas gdy bracia, śmiejąc się do rozpuku, trzymali go, by za nią nie pognał. Po dwóch dniach żywienia się niemal wyłącznie surowym mięsem i wodą – od Kaya dostała dzień wcześniej batonik, a Tony podarował jej jabłko – banany były dla niej niczym niebiańska uczta. Mogłaby zabić każdego, kto chciałby wedrzeć się w tym momencie do łazienki. Siedziała na sedesie i pochłaniała łapczywie zdobycze, w ogóle nie zwracając uwagi na otoczenie. Nie zauważyła więc pary kryształowo-lodowych oczu za oknem i niuchającego zawzięcie ryjka. Wróciła zadowolona do pokoju i stanowczo oświadczyła Jaredowi, że nazajutrz wyjeżdża.

– To logiczne – powiedziała. – I yermin, i Sheridan mnie podpuszczali. Świadomie wmawiali mi, że Amanda tu jest, ale gdyby tak było, już dawno wiedziałabym o tym. Pokazaliby mi jakiś dowód jej obecności. I ty też byś ją znalazł. Nie, musiała zostać po drugiej stronie wąwozu. – Harpia spojrzała na nią badawczo, a obaj bracia zastrzygli uszami. – Intuicja mi podpowiada, że muszę tam wrócić. Muszę dostać się do mojego miasta i którymś z portali przejść z powrotem do równoległego świata.

– No, nie wiem...

– Ale ja tak! Tu tylko marnuję czas.

– Dzięki – rzucił ironicznie Tony.

– Wiesz, że nie mówię o was. Marcus najwyraźniej nie odsłuchał komórki, więc będzie się martwił. Jest oficerem i szybko podejmuje decyzje, dlatego muszę tam wrócić, zanim on zechce iść za mną. A ty – Ariel zwróciła się w stronę harpii – mi w tym pomożesz.

– Jasne, wskakuj! – prychnął i odwrócił się do niej plecami. – Odwiozę cię choćby natychmiast!

Bracia zachichotali.

– Oj, przestań się boczyć! Naprawdę nie mogę tu zostać, nie rozumiesz? Musisz mi pomóc jakoś wydostać się z tego ślicznego miejsca. Tak czy siak rano mnie tu już nie będzie. Mam mapę tych okolic i choćby pieszo ucieknę z tego miasta!

– To niedorzeczne, Ariel. Te lasy naprawdę są pilnowane przez mroczniaków. Dziwolągi też ci nie dadzą spokoju. Z tego, co wiem, intensywnie cię szukają, a ja cały czas udaję przed nimi idiotę. Nie uda ci się, nie wierzę...

– Zaryzykuję.

Jared się zasępił. Potarł dłonią czoło i przeczesał włosy.

– Dobra – westchnął. – Postaram się znaleźć jakiś środek transportu. Jutro. A na razie trzymaj kuper na tej grzędzie. – Wskazał kanapę i pogroził kobiecie palcem.

Odpowiedział mu szeroki uśmiech.

Tego wieczoru zła passa w końcu minęła. Wróciwszy z udanego polowania, Sheridan zastał w rezydencji skrzyneczkę z kawałkiem płetwy ogonowej evanthesa. Znak, że książę pan w końcu przywrócił go do łask. Na widok przesyłki poczuł zadowolenie, ale w prawdziwą radość wprawił go dopiero gelus, przynosząc tak długo wyczekiwane informacje. Cyborium zostało namierzone. Szybko skontrolował sytuację w komnacie motyli, nagrodził gelusa soczystym kawałkiem evanthesa, a siebie dorodną syreną, i wprawiony w błogostan udał się na spoczynek. Teraz mogło być już tylko lepiej.

Wchodząc następnego dnia rano do holu ratusza Morren City, odetchnął z ulgą i zdjął okulary przeciwsłoneczne, których nie cierpiał, choć musiał przyznać, że są szalenie pożytecznym wynalazkiem. I chociaż hol też był zbyt jasno – jak dla jego wrażliwych oczu – oświetlony, i tak czuł się tutaj o niebo lepiej niż na rynku zalanym promieniami jesiennego słońca. Pomyślał, że musi skłonić płanetników, by zwiększyli zachmurzenie nad miastem. W końcu o wzrok należy dbać.

Budynek ratusza, ciągle pamiętający lepsze czasy, gdy był reprezentacyjną siedzibą trowów, miał dość małe okna i front zdobiony zatartymi konturami figur. Komuś niewtajemniczonemu nie przyszłoby zapewne do głowy doszukiwać się w nich postaci spętanych harpii czy vivernów unoszących w pyskach płaczące syreny. Zwykłych ludzi zdumiewały co prawda dziwne kształty fasady, lecz po cichu rozpowiadali, że to znany ludzki architekt – zwany chyba Gaudim – nawiedził bardzo dawno temu to miasteczko, bo ponoć miał tu przyjaciela, z którym wiele lat korespondował, i wspólnie z nim zaprojektował tę budowlę.

„Tiaa, Gaudi. Chyba Gaudien! – prychnął Sheridan w myślach. – Czego ten ludzki motłoch nie wymyśli! Gaudien miałby zaprojektować coś DLA NICH? W czasach, gdy tu przebywał, tworzył wyłącznie dla księcia i gdyby nie zwiał... Choć trzeba przyznać, że jak na użytecznego, miał talent. Zresztą co mnie to wszystko obchodzi?".

Patrząc na te figury, Sheridan pomyślał, z jaką przyjemnością książę pan wprowadzi się tutaj z powrotem, a może nawet i on sam, gdy już dopadnie Odgeon i dzięki niej zrealizuje marzenia. Jakie to będzie cudowne uczucie móc wypędzić stąd tych wszystkich użytecznych. O, choćby tę dziewczynę siedzącą za kontuarem z napisem „Punkt Obsługi Klienta" i gapiącą się na niego z nabożnym podziwem. Uśmiechnął się do własnych marzeń, przechodząc koło niej. Wyczulony umysł odebrał jej błagalne prośby o choćby jedno jego spojrzenie. A kiedy z premedytacją otaksował ją wzrokiem, usłyszał jej niespokojne myśli.

„Niech to szlag! Znowu. Znowu to zrobiłam". Skrzyżowała pod blatem nogi i uśmiechając się do mężczyzny, nakazała sobie jak najszybszą zmianę bielizny, a na przyszłość podpaski w czasie jego wizyt w ratuszu. „Że też takie ciacha muszą chodzić po świecie...". Nieświadomie oblizała usta. Wyobraziła sobie, co zrobiłaby z tym mężczyzną, gdyby zastała go w swojej sypialni, ale już na głos powiedziała:

– Witam, panie Sheridan. Burmistrz u siebie. Zaprowadzić?

– Dzięki... – zerknął na plakietkę na piersi dziewczyny, bo jakoś nigdy nie mógł zapamiętać jej imienia – Anne. Znam drogę, przecież wiesz. – Uśmiechnął się tak zmysłowo, że teraz o mało

nie zemdlała. „Siedź na tyłku, mała, bo jeszcze zapaskudzisz podłogę” – zaśmiał się w myślach, rozbawiony głupotą ludzkich kobiet, i ruszył schodami na piętro do gabinetu burmistrza. Nie musiał nawet się odwracać, by czuć spojrzenie oczu Anne.

Zapukał grzecznie i z rozmachem otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie. Mężczyzna przy biurku natychmiast poderwał głowę, energicznie wstał z krzesła i ruszył w stronę gościa. W ciągu sekundy jego twarz rozświetlił uśmiech i Sheridan był absolutnie pewien, że jest on jak najbardziej szczery.

– Witam, panie Sheridan! – Wyciągnął rękę w geście powitania, a trow nie omieszkał mocno jej uścisnąć. Był ciekaw, kiedy burmistrz się domyśli, że z każdym takim uściskiem coraz bardziej staje się bezwolną marionetką na jego usługach. Cóż, evanthesy, oprócz wyśmienitego mięsa, miały kilka innych pożytecznych cech. Ot, choćby pewne substancje pozyskiwane ze skóry. Zwykle nie czyniły nikomu krzywdy, ale wprowadzone do organizmu przez wystarczająco silny uścisk dłoni w niewidocznych rękawiczkach zaopatrzonych w mikrołuski caesariana, które lekko nacinały naskórek, potrafiły działać zdumiewające rzeczy.

– Proszę, proszę usiąść.

Przez następne pół godziny, gdy mroczniak starał się nie ziewać, burmistrz wylewnie dziękował za patronat oraz finansowe wsparcie miejskiego ośrodka dla trudnej młodzieży i opowiadał o dalszych planach rozwojowych miasta. Sheridan ożywił się dopiero na wspomnienie fiesty, jaką burmistrz zamierzał zorganizować w następnych dniach.

– Wie pan, Dni Morren City. Wspominałem panu o tym jakiś czas temu. W natłoku obowiązków pewnie to panu umknęło. Oczywiście będzie pan gościem honorowym. Serdecznie zapraszam. Szykujemy wiele imprez. O, tu ma pan program. Będzie jarmark tutejszych wyrobów, występy folklorystyczne, wieczór poezji. Zależy mi na tym, żeby długofalowo promować nasze miasto, bo to zawsze oznacza dynamiczny rozwój. A sam pan wie, jakie to ważne w czasach kryzysu. Spodziewamy się wielu turystów. Ja wiem – zapewnił szybko – że pan jest taki zajęty, te wszystkie rady nadzorcze, giełda... ale byłoby nam ogromnie miło, gdyby wpadł pan do miasta choćby na parę godzin. Może chociaż na ten koncert?

– Koncert? – Sheridan poczuł się nieco zaniepokojony słowami: „Spodziewamy się wielu turystów". Zastanowił się, czy taktyka dyskretnego wspierania tutejszej władzy na pewno była dobrym pomysłem. Morren City i okoliczne miasteczka były niezłym „magazynem" dostarczającym użytecznych. Pobliskie jeziora zaś – wspaniałym terenem łowieckim, jeśli idzie o syreny, choć powstrzymanie ich emigracji stanowiło nie lada wyzwanie, dlatego turyści to ostatnia rzecz, jakiej mu było trzeba. Turyści oznaczali ekspansję wścibskiego świata zewnętrznego, a on nie miał ochoty wpuszczać intruzów na tereny swoich – jak to nazywał – „farm". Czuł też, że za tę protekcję oberwie mu się jeszcze bardziej od Claylanda. Pewnie już o tym plotkowano w jego i innych podziemnych dzielnicach, bo przecież to on był inicjatorem targów syren, swoistym żandarmem ochraniającym te tereny i dbającym o ich izolację.

– Tak, koncert. Też wspominałem. Pewnie pan zapomniał. Treya Thuranne. Połączenie rocka i opery. Nowa twarz na muzycznym rynku, ale zapewniam, że świetnie się zapowiada. Ma naprawdę piękny głos i z tego, co wiem, jej koncerty zaczynają przyciągać coraz większe tłumy. Mam nadzieję, że lubi pan rocka – dodał niepewnie, widząc nagle poważną minę Sheridana – lub operę?

– To ona? – rzucił krótko tamten, stukając palcem w zdjęcie dziewczyny dołączone do programu Dni Morren City. – W takim razie będę. Rock, tak?

– I opera. Wiem, że nie każdy to lubi, ale...

– Będę – przerwał burmistrzowi Sheridan i poklepał go poufale po ramieniu.

– Świetnie! Koncert odbędzie się w niedzielne popołudnie, ale dzień wcześniej, w sobotę wieczorem, zapraszam na drobne przyjęcie tu, do ratusza. – Widząc, że Sheridan nadal wpatruje się w zdjęcie, dodał: – Panna Thuranne też będzie. Uświetni przyjęcie minirecitalem.

Odpowiedziało mu pełne zadowolenia spojrzenie jasnych oczu mężczyzny. Znów zastanowił się nad interesującym doborem genów u Sheridana, który dał w efekcie niemal kruczą czuprynę i bladobłękitne tęczówki.

– W takim razie do soboty! – przerwał te rozmyślania trow. Przechodząc po chwili holem koło zamarłej w zachwycie Anne, pomyślał, że szczęście zaczyna mu sprzyjać jak nigdy dotąd, bo oprócz cyborium jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności natrafił też na NIĄ! Choć teraz nazywa się inaczej...

„A gdyby tak jeszcze one dwie...?”. – Ta nagła myśl doprowadziła go niemal do euforii. Błękitne tęczówki roziskrzyły się z emocji. Ukrył je pod okularami przeciwsłonecznymi i pogwizdując, wyszedł przed ratusz.

Rano Jared ponownie zniknął. Ariel spakowała kilka drobiazgów do torby i rozsiadła się na kanapie. W oczekiwaniu na jego powrót raczyła się jakimś serkiem dostarczonym jej przez Kaya i zabijała czas oglądaniem głupawego talk-show. Z trudem panowała nad sennością.

„No bez przesady. To nie pora na drzemkę”.

To rozmowy z Jaredem do białego rana sprawiły, że była wykończona i miała ochotę na moment przymknąć oczy. Do tego nudne gadające głowy w „oglądaczu” i wygodna kanapa...

„Ten paskudny nawyk zasypiania byle gdzie. Już kiedyś doprowadził do nieszczęścia. Darren... Dobra, on już nie żyje, a ja położę się tylko na minutkę...”.

Po – wydawało jej się – ułamku sekundy otworzyła oczy i aż parsknęła śmiechem, tak bardzo nierealne było to, co zobaczyła. Stara, przerdzewiała brama wjazdowa do kopalni i taki sam łańcuch oraz znajomo wyglądająca tabliczka z częściowo zatartym napisem „Teren ko.p.lni. Wstęp wzbr.niony”.

„No, ja to mam sny! Nic tylko filmy kręcić”.

W tym momencie łańcuch opadł i skrzydła bramy rozchyliły się zapraszająco, ruszyła więc ku zabudowaniom. To musiał być sen, bo wcale nie chciała tam iść, ale niezależnie od tego, jak bardzo starała się zawrócić, za nic nie potrafiła tego zrobić. Jakaś niewytłumaczalna siła nakazywała jej iść do przodu. Krok za krokiem zbliżała się do budynku. Brudne okna, gdzieniegdzie pozbawione szyb, czerwona pokruszona cegła i leżące wszędzie szczątki dachówek z jakiegoś powodu przejmowały ją grozą. Poczuła znajome igiełki strachu wbijające się w kark. Kiedy ostatnio tak bardzo się bała? Przy pierwszej wizycie w antycznym mieście czy może w rezydencji Oriany? Nieważne. Pamiętała jedynie, że zawsze kończyło się to źle. Przełknęła ślinę, bo w ustach zaschło jej ze zdenerwowania. Nogi wciąż zdawały się należeć do kogoś innego i uparcie niosły ją w stronę drzwi, których – a była tego absolutnie pewna – za nic nie powinna przekraczać.

„Obudź się, Ariel!”.

Sen jednak trwał i ujrzała teraz swoją dłoń chwytającą za klamkę u drzwi, na których widniały jakieś symbole. Zaraz, zaraz, skąd ona je zna? Łuska, róża, stożek? No tak, wcześniej widywała je dosłownie wszędzie... w równoległym świecie! Nie miała jednak czasu zastanowić się, co robią tutaj, bo dłoń, zmuszona niewypowiedzianym rozkazem, nacisnęła w końcu klamkę i popchnęła drzwi. Ich skrzypienie było takie realne, podobnie jak panujący w środku półmrok. I nawet pot nad górną wargą był cholernie słony, a przez to taki prawdziwy!

„Obudź się, do jasnej cholery!”.

W budynku poczuła zapach wilgoci i czegoś jeszcze. Za progiem przystanęła na chwilę, podczas gdy jej oczy pomału przyzwyczajały się do ciemności. Potem jednak uczucie przymusu powróciło i znów ujrzała siebie kroczącą dostojnie w stronę... vivernów?! Sapnęła ze zdenerwowania. Smoki zdążyła poznać, miała pojęcie, czego się po nich spodziewać, lecz o tych istotach wiedziała tylko, że należą do... Sheridana! Oczywiście! No przecież sam powiedział, że dał swym vivernom morganity. LEPSZE morganity!

„Ariel! Pobudka!" – krzyknęła do samej siebie w myślach.

Rozejrzała się dyskretnie po przestronnym pomieszczeniu. Pod ścianami po obydwu stronach leżało osiem dorodnych zielonobrązowych osobników. Każdy z nich miał szeroką obrożę ozdobioną gdzieniegdzie kamieniami. Uwiązane długimi łańcuchami do ścian obserwowały ją leniwie, jakby kalkulowały skuteczność ataku. Sprawdzały otoczenie swoimi rozwidlonymi językami i falującymi nozdrzami. Wiedziała, że w starciu z nimi nie miałaby żadnych szans, a te cholerne nogi nie chciały zacząć jej słuchać! Drżąc na całym ciele, powoli minęła zwierzęta; nie wykonywała żadnych gwałtownych ruchów, nie próbowała uciekać, nawet się nie odwracała. Wiedziała, co stałoby się potem. Mokre ze strachu ubranie przykleiło jej się do ciała. Z jakiegoś powodu – może z czyjegoś rozkazu – viverny nie zrobiły jej krzywdy. Idąc, czuła na plecach ich spojrzenia, a potem ciepły powiew, który wywołał silniejsze dreszcze, lecz nie odważyła się sprawdzić, co było ich przyczyną.

Wreszcie ujrzała cel swej wyprawy: ogromny pionowy szyb zbudowany na planie koła. Stanęła na jego skraju i zerknęła

w dół, lecz jej wzrok nie zdołał przebić mroku. Tuż koło niej znikąd pojawiła się... srebrzysta krwiożercza istotka. Zerknęła na nią tymi zimnymi kryształowymi oczami i Ariel już wiedziała, co ma robić dalej. Zobaczyła własne dłonie rozpinające guziki koszuli, a potem ją samą lądującą na betonie. W ślad za koszulą podążył podkoszulek i stanik, a chwilę potem cała reszta ubrań.

„Boże! Co ja robię?".

Stanęła naga na krawędzi mrocznego szybu, zupełnie nie czując zimna, i ponownie spojrzała na śnieżną istotę. Ta ukłoniła się, wykonała oszczędny gest i tuż koło jej stóp zmaterializowała się pięknie rzeźbiona skrzynia. Potworek dotknął pazurem zamka. Ten się rozsypał, a potem wieko uniosło się bezszelestnie i ze środka wyfrunęła chmara maleńkich kolorowych motyli.

Uwagę Ariel zwróciły jednak dwa węże, które również opuściły skrzynię. Była przerażona, lecz nie mogła się cofnąć. Zadrżała, gdy otarły się o jej nogi. Potem oplotły stopy kobiety, wbijając zęby nad kostkami. Jęknęła. Łzy bólu popłynęły po policzkach. Spojrzała w dół i zobaczyła, że bestie zastygły na podobieństwo fantazyjnych, niebotycznie wysokich damskich szpilek. Nie była w stanie ich zrzucić, a jad już zaczął krążyć w jej żyłach.

Nagle chmura motyli pofrunęła ku niej, a połączywszy się, utworzyły przedziwną falującą tkaninę, której niewielki fragment uformował dookoła głowy kobiety żywy welon. Reszta owinęła się wokół jej bioder jak wielobarwne pareo. I był jeszcze jeden motyl. Ogromny, czarno-srebrny. Wtulił się w jej ramiona niczym dziecko szukające ratunku u matki. Rozłożył skrzydła i przyssał się do rany tuż nad Znamieniem Smoka. Ktoś przyglądający się temu z boku mógłby pomyśleć, że Ariel dopiero co wyszła od szalonego

projektanta mody. Bestie rzeczywiście stworzyły piękne i wielobarwne, ale jednak pęta. Uwięziona w nich mogła jedynie czekać, co będzie dalej. Po chwili welon na twarzy nieco się rozproszył i Ariel ujrzała, jak śnieżny stworek ponownie składa jej ukłon.

– Pan Sheridan zaprasza – zaszeleścił i wskazał wejście do szybu.

– Nie! Za nic! – szepnęła. Chciała stąd uciec, obudzić się, cokolwiek! Byle tylko przekonać się, że to kolejny koszmar. Lecz wtedy woal ponownie się zagęścił i znowu pozbawił ją widoczności. Zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, że gdyby morganit działał, mogłaby użyć postrzegania pozazmysłowego. Potem, chwiejąc się na niewygodnych szpilkach, wykonała krok do przodu, wprost w otchłań szybu.

W myślach zdążyła pożegnać Marcusa i ucałować córkę. Przerażona i święcie przekonana, że od śmierci dzielą ją ułamki sekund, poczuła powiew chłodnego powietrza i usłyszała wysoki metaliczny dźwięk, a jej stopa... natrafiła na podłoże! Podest? Stopień schodów? Stukot powiedział jej tylko, że to coś wykonane jest z kamienia. Granitu, marmuru? Nie wiedziała. Miała tylko świadomość, że tkwi wewnątrz szybu na czymś, czego tu chwilę temu nie było. Postawiła drugą stopę koło pierwszej, z trudem łapiąc równowagę, gdy podest zachybotał, ale zaraz potem powrócił przymus brnięcia naprzód i znów wykonała kolejny krok. Ponownie świst powietrza i metaliczny dźwięk wypełniły otchłań. I tak, krok za krokiem, schodziła spiralnie w dół, a może wspinała się na górę – nie była pewna, bo zmysły zaczynały jej płatać figle – po kamiennych stopniach wyłaniających się

w ostatniej chwili z obrzeży mrocznego szybu. Motyla tkanina falowała i brzęczała przy każdym kroku. Jad węży osłabiał i dezorientował. Jak długo wędrowała? Czas przestał mieć znaczenie. Z każdym krokiem w głąb szybu oddalała się od tego, co ludzkie, znane i kochane. Pokonując kolejne stopnie, nieświadomie ulegała transformacji.

Wreszcie stanęła na ostatniej wiszącej nad przepaścią platformie. Welon przed jej oczami się rozpłynął. Gdzieś niedaleko zabrzmiała niesamowicie zmysłowa muzyka. Strach zastąpiły radość i... pożądanie. W półmroku ujrzała, że stoi na trójkątnym stopniu z mlecznego marmuru i już tylko jeden krok dzieli ją od celu: obszernej błękitnej niszy w ścianie szybu. Z przesłaniającego ją dymu wyłonił się mężczyzna. Serce zabiło szybciej na jego widok. Uśmiechnęła się bezwiednie. Ruszyła w jego stronę. Platforma zniknęła w otchłani szybu, zamykając drogę ucieczki, lecz ona nie dbała o to. Płowowłosy z wielką gracją szedł niespiesznie ku niej. Nieświadomie oblizała usta. Otaksował ją wzrokiem, potem okrążył, skłonił się szarmancko, wyciągnął dłoń i szepnął zmysłowo:

– Witaj, Ariel. Zatańczymy?

Zaparkował swoje kawasaki w ustronnym zaułku, zdjął kask, przeczesał palcami ciemną czuprynę i zamyślony rozejrzał się. Dłoń nieświadomie pogładziła ukochany motocykl. Poza jazdą

konną tylko on dawał mężczyźnie namiastkę tych cudownych emocji, jakich doświadczał podczas lotu na Trevorze. Ale pegaz został w trzecim mieście. Chyba. A jego, Marcusa, jakiś pokręcony i złośliwy zbieg okoliczności znów rzucił w miejsce, w którym wcale nie chciał być – do Morren City.

„A żeby to gnomy! Ariel, jak ja cię teraz odnajdę w tej dziurze?" – pomyślał. Dotknął opuszkami palców kierownicy motocykla i wyszeptał zaklęcie maskujące *celare*. Maszyna wraz z kaskiem perfekcyjnie wtopiła się w rdzawą ceglaną ścianę, a on ruszył w kierunku najbliższego placyku.

„Niby zadupie, ale jakie ma centrum handlowe. Kto by pomyślał! No dobra, czas poszukać naszej zguby. Jeśli straciła całą magiczną moc... Ale właściwie jakim cudem? Ten telefon... Mam nadzieję, że tym razem w nic się nie wpakowałaś, Ariel".

Ta ostatnia myśl mocno go zaniepokoiła. Zaczął się rozglądać za komisariatem policji. Parę osób podejrzanie szybko oddaliło się na jego widok. Umysł zarejestrował ten fakt, lecz nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Na rynku przystanął pod cudacznym drzewem, tuż obok posągu mężczyzny dosiadającego jakiegoś zwierzaka. Westchnął i zamyślony pogładził się po brodzie. Nagle ktoś w pobliżu potknął się i z impetem wpadł na niego, głośno przeklinając. W ostatniej chwili Marcus złapał równowagę, tymczasem chłopak w wieku piętnastu, może siedemnastu lat właśnie zaczął podnosić się z ziemi i wylewnie go przepraszać.

– Wyluzuj, mały. Nic się nie stało.

Niespodziewanie szczeniak puścił do niego oko, krzyknął: „Znowu dałeś się zrobić, frajerze, i to nawet nie wiesz jak bardzo!",

pokazał mu środkowy palec i ze śmiechem zaczął zwiewać. Marcus popatrzył za nim z konsternacją.

– Żeby to troll przeleciał! Gdzie ja trafiłem? Do oazy chamów czy ułomnych gnomów?

Chwilę zastanawiał się, czy nie pognać za młodzikiem.

„Szkoda czasu na ustalanie, kto tu rządzi. Im szybciej znajdę Ariel...".

Na jednej z pokręconych fasad kamieniczek znalazł plan miasta, a na nim to, czego szukał, czyli posterunek policji. Dotarł tam po kilku minutach. Był to niewielki budynek, z którego tynk odpadał całymi płatami. Przywodził na myśl schorowanego człowieka, którego ktoś z jakiegoś makabrycznego powodu obdarł ze skóry, zostawiając jedynie jej strzępy. Marcus wzdrygnął się i szybko przeniósł wzrok na dwa nowiutkie radiowozy zaparkowane przed przeszklonym wejściem. Zastanawiając się, co powie dyżurnemu, wszedł do środka.

Już po przekroczeniu progu aż oniemiał na widok przestronnej sali mieszczącej jednocześnie recepcję i dyżurkę. W przeciwieństwie do fasady wnętrze było więcej niż nowoczesne i niemal luksusowe. Połączenie granitu, szkła, metalu, a wszystko w stonowanych odcieniach szarości i bieli. Tylko wygodne fotele dla interesantów miały intensywną barwę butelkowej zieleni. Sprytnie podświetlony sufit był jedynym, łagodnym dla oczu, źródłem światła. Marcus zwrócił też uwagę na nowiutki monitoring, komputery na stanowisku dyżurnego, a nawet tak prozaiczny przedmiot jak świetnie zaopatrzony automat z napojami i przekąskami.

I był jeszcze kontuar oddzielający dyżurnego od interesantów – to miejsce wyglądało jak stanowisko dowodzenia na statku kosmicznym – a za nim siedział starszy mężczyzna, tak chudy, że Marcus natychmiast zaczął się zastanawiać, czy jego pensja na pewno wystarcza mu na jedzenie. I czy nie połamie mu ręki, jeśli się z nim przywita.

W rogu pomieszczenia inny, tym razem barczysty, funkcjonariusz cicho ustalał coś z jasnowłosą młodą kobietą, tak mocno przyciskającą do piersi kilka teczek z dokumentami, jakby broniła dziecka przed porwaniem. Pogrążeni w rozmowie zupełnie nie zwrócili uwagi na jedynego petenta, który pojawił się na ich posterunku, bo oprócz Marcusa nikogo innego po prostu nie było. Ale w tym momencie chudzielec zza kontuaru podniósł na niego blade brązowe oczy. Na jego twarzy natychmiast zagościł służalczy uśmiech, a potem policjant skłonił się z respektem.

– Witam, witam serdecznie. Już prowadzę do komendanta. Pan pozwoli za mną.

Wyszedł dostojnym krokiem zza kontuaru, poprawił mundur, ponownie się uśmiechnął i wskazał najbliższy korytarz.

– Do komendanta... N-nie, nie trzeba...

– Komendant wyraźnie powiedział, żebym natychmiast dał mu znać, kiedy tylko znowu się pan pojawi. Zapraszam.

„Znowu? O co tu chodzi?”. Ale nie było czasu na przemyślenia, bo mężczyzna już ruszył stanowczym krokiem w kierunku korytarza. Idąc za nim, Marcus mimowolnie zerknął przez okno na wewnętrzny dziedziniec z gustownie urządzonym ogrodem. Potem szli przez kolejne przeszklone drzwi prowadzące do następnych, równie nowocześnie urządzonych pomieszczeń.

„Robi się coraz ciekawiej. Fasada niczym z taniego horroru, a wnętrze naszpikowane elektroniką. I jeszcze ten tak nadskakująco grzeczny policjant. Co za pokręcona mieścina. Ale skoro mają takie podejście do ludzi, może rzeczywiście pomogą mi ją znaleźć. Jeśli dysponują równie dobrym monitoringiem w całym mieście, to pewnie jakaś kamera zarejestrowała obecność Ariel. Zobaczymy".

Na końcu korytarza ujrzał jedyne nieprzeszklone drzwi opatrzone tabliczką z napisem „KOMENDANT!". Wykrzyknik był aż nadto wyraźnym ostrzeżeniem, że osobie urzędującej w tym pomieszczeniu nie należy zakłócać spokoju błahymi sprawami. Kościsty policjant zapukał. Weszli, gdy tylko rozległo się „proszę". Jasnowłosy osiłek podlewający paprotkę na oknie natychmiast odstawił konewkę. Zdecydowanym uściskiem dłoni przywitał Marcusa i zaprosił do zajęcia fotela. Nie było w jego zachowaniu służalstwa, ale, jak przystało na oficera z wieloletnim stażem, respekt i natychmiastowa gotowość wypełniania rozkazów, jakkolwiek by one brzmiały. Marcusowi natychmiast skojarzyło się to z wojskowym drylem i zamiast usiąść, odruchowo się wyprostował.

– Witam, witam serdecznie. Czym mogę służyć?! Proszę powiedzieć, a zrobię wszystko! Jest pan u nas ZAWSZE mile widziany.

„Na Wielkiego Xaviere'a! – z przyzwyczajenia użył w myślach dawnego zwrotu. – Zaraz złoży mi raport, jakbym był generałem! Ale skoro trafiłem na służbistę, pogadamy jak oficer z oficerem" – pomyślał Marcus, po czym zwrócił się do mężczyzny tak stanowczym tonem, jakby przemawiał do kadeta:

– Miło mi. Szukam tej kobiety. To Adriana Bryant, znana też jako Ariel Odgeon. – Wyjął z kieszonki na piersi fotografię Ariel i położył na biurku przed mężczyzną. – Mam informację, że przebywa w Morren City. Należy natychmiast ją odnaleźć. Komisarzu McMillan... – zerknął na naszywkę na mundurze tamtego – ...mogę na pana liczyć?

– Oczywiście! – Teraz tamten wyprostował się niczym struna. – Jak zawsze!

„Jak zawsze? Czy my się znamy? Byłem tu kiedykolwiek? Robi się coraz dziwniej, ale dobra, zagrajmy w tę grę".

– Doskonale! – Natychmiast wcielił się w postać despotycznego przełożonego. Wciągnął głęboko powietrze, zmierzył tamtego spojrzeniem. – Na odwrocie znajdzie pan numer mojej komórki. Proszę użyć wszystkich elektronicznych cacek, jakie macie do dyspozycji, i dzwonić, gdy tylko ją pan znajdzie. Bez względu na porę. Aha, macie być dyskretni i żadnej przemocy.

– Oczywiście! Natychmiast wydam dyspozycje moim ludziom. Mogę wiedzieć, kim ona jest i z jakiego paragrafu mamy jej szukać?

– Nie, nie może pan. To tajne. Spodziewam się, że to zadanie nie zajmie panu dużo czasu...

– Czy jest niebezpieczna?

– Nie prowokuj jej, McMillan, to się tego nie dowiesz. A jak ją namierzysz – podkreślam, dyskretnie! – jedyne, co masz zrobić, to zadzwonić do mnie. NIC WIĘCEJ. Rozumiesz?

– Tak jest!

– Doskonale. Zatem czekam na telefon.

„Dobra nasza, ale teraz trzeba spadać, zanim facet zmieni zdanie”.

Skinął komisarzowi głową i już miał ruszyć ku drzwiom, gdy tamten złapał go za rękaw, zmusił się do uśmiechu, a potem cicho powiedział:

– Nie miałem dotąd okazji podziękować osobiście za to, co pan zrobił dla naszej komendy. Od burmistrza wiem, że to panu zawdzięczamy remont, sprzęt, radiowozy. No i jeszcze ta renowacja fasady, która się na dniach zacznie... Burmistrz przekazał mi także pańskie życzenia co do patrolowania terenu. Oczywiście zrobimy, co tylko się da, ale wie pan, przydałoby się więcej personelu, bo to duży obszar. Co najmniej dwunastu ludzi i jeszcze sześć radiowozów, albo chociażby ze cztery. Jeśli mamy być skuteczni, oczywiście – dodał szybko, widząc, że Marcus marszczy brwi.

– Coś jeszcze?

– Skoro nadarzyła mi się okazja do bezpośredniej rozmowy z panem, za co jestem niezmiernie wdzięczny, chciałbym zasugerować, że interesujące pana tereny można by jeszcze dokładniej kontrolować...

– Taaak?

– Niedługo kolejne wybory do rady miejskiej i na burmistrza...

– I?

– I gdybym miał pana poparcie, to jako burmistrz mógłbym...

– Rozumiem. Zaimponuj mi, McMillan, a będę o tym wszystkim pamiętał.

– Zaimponować?

– Znajdź ją. Szybko. – Puknął palcem w fotkę Ariel, odwrócił się na pięcie i wyszedł bez pożegnania.

Dopiero gdy opuścił komendę, parsknął dyskretnie śmiechem na myśl o własnym tupecie.

„Albo mieszkańcy tego miasta są głupi jak gnomy, albo mnie z kimś pomylono. Z jakąś, jak to mówi Ariel, niezłą szyszką. Nieważne. Najważniejsze, żeby ona się odnalazła. Ciekawe, kiedy McMillan się zorientuje, że go nabrałem?".

Postanowił jednak, że niezależnie od wysiłków komendanta sam też przeszuka okolicę.

„W końcu kto zna Ariel lepiej ode mnie i Amandy? Tam, gdzie są kłopoty, tam będzie także ona".

Wrócił na rynek i skierował się ku zaułkowi, w którym zostawił kawasaki. Idąc płytą rynku, ponownie przyjrzał się drzewu, posągowi i fontannie.

– Dziwna ta rzeźba – mruknął. „Przypomina faceta dosiadającego kota. Tylko ta głowa zupełnie nie pasuje do reszty. I jeszcze skrzydła. A może to nie są skrzydła? W ogóle osobliwe to miasto i pełne kontrastów. Brud i bieda kontra nowiutka galeria handlowa. Posterunek policji naszpikowany elektroniką, a na zewnątrz wygląda jak chałupa Owena w moich koszarach. No dobra, czas znaleźć jedną małą wiedźmę, a nie podziwiać krajobrazy. O rany, ale mam ochotę na piwo".

Nagle przystanął gwałtownie, bo coś sobie uświadomił, i zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie. Niby wszystko było na miejscu: portfel, klucze od domu, komórka... Jedyne, czego nie znalazł, to kluczyków do kawasaki!

– Żeby to gnomy obesrały!

Podrapał się po brodzie, zmuszając pamięć do wysiłku, lecz za nic nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie mógłby je zgubić. Ogarnął wzrokiem spacerujących po rynku ludzi. Jacyś emeryci grali przy małym stoliczku w karty, dzieciaki dokazywały, grupka młodzieży skupiona koło fontanny kiwała się do muzyki granej na gitarze przez jasnowłosego chłopaka. Grupka młodzieży? No jasne!

– A to mały bękart trolla! – Marcus zgrzytnął zębami, wspominając chłopaka, który niby przypadkiem wpadł na niego, bo w końcu uzmysłowił sobie, gdzie się podział ten nieszczęsny kluczyk. Odtworzył w pamięci całe zajście i po chwili dokładnie wiedział, w którym momencie został okradziony. – Jasna cholera! Motor!

Pędem ruszył w stronę zaułka, niepewny, czy zastanie tam jeszcze ukochaną maszynę. Kątem oka dojrzał dezaprobatę na twarzy jednego ze staruszków grających w karty, gdy omal nie stratował rudowłosej dziewczynki bawiącej się z pieskiem. Usłyszał wrzask jej matki, a na rzucone naprędce „najmocniej przepraszam", doczekał się odpowiedzi: „palant". Pognał dalej, co chwilę potykając się na kocich łbach, i niemal zwichnął nogę w kostce, ale – mrucząc „ja ci dam frajera, szczeniaku" – w końcu dotarł do zaułka. Przystanął, pochylił się, opierając dłonie na kolanach, i odetchnął kilka razy.

„Spokojnie! Bez kluczyka też go odpalę. Na Wielkiego Xaviere'a! Oby tylko tu był, cały i na chodzie..." – zaklinał rzeczywistość. Upewniwszy się, że jest sam, zaczął nerwowo obmacywać ścianę.

„Przecież rzuciłeś zaklęcie maskujące, idioto!" – ofuknął sam siebie i w tym momencie jego dłoń zacisnęła się na czyichś

włosach. Usłyszał przeraźliwe „Auć!”, został odepchnięty na przeciwległą ścianę, a przed oczami śmignęło mu coś niebieskiego, konkretnie błękitna kurtka. Nic tak człowieka nie pobudza do działania jak uczucia. A jego zmobilizowała wściekłość. W ułamku sekundy ciało przypomniało sobie wszystkie mordercze treningi oficerskie. Ruszył w pościg. Zdążył jeszcze zobaczyć przerażenie w oczach młodzika, gdy ten na moment odwrócił głowę, a potem na plecach jego kurtki napis „DIABEŁ MORSKI” wyszyty nad sylwetką trytona z trójzębem w garści.

„Jak cię dorwę, będziesz miał przydomek »Ogniste Lanie« wypalony na buźce!”. Zgrzytnął zębami i jeszcze przyspieszył. Wypadli z zaułka i ponownie śmignęli przez rynek. „Szkoda, że nie mam buzdyganu. Byłoby szybciej”.

Niestratowanie kogokolwiek po drodze graniczyło z cudem, lecz i Marcusowi, i chłopakowi szczęście zdawało się dopisywać, mimo że co chwila wyrastały przed nimi jakieś dzieciaki i ich pieski, zakochane pary i grupki młodzieży. Do ujadających czworonogów i wrzeszczących matek dołączyli też emeryci, a gdy chwilę później obydwaj panowie opuszczali rynek, goniły ich odgłosy takiej wrzawy, jakby ktoś rozbił za nimi ul. Młodzik ponownie odwrócił głowę. Teraz Marcus zobaczył na jego twarzy konsternację i niedowierzanie.

– O tak, mały, dopadnę cię, a potem nauczę dobrych manier i kulturalnego języka! – warknął i dokończył w myślach: „Gdybyś był kadetem, do samej promocji pucowałbyś boksy pegazów bez użycia magii!”.

Szybko jednak spuścił z tonu, bo młodzik wykonał w jego stronę wulgarny gest, zagrał palcami na nosie i… zniknął w tłumie.

– A niech cię, mały zasrańcu!

Marcus nieco zwolnił i rozejrzał się, żeby namierzyć cwaniaczka. Po chwili ujrzał jego jasną czuprynę przemieszczającą się wśród spacerowiczów w kierunku skweru z nowoczesną galerią handlową.

„Czuj się bezpieczny. Jeszcze chwilę".

Szklane drzwi galerii pracowały bez wytchnienia, przepychając leniwie wędrujący w obie strony tłum. Słoneczne światło odbijające się od przezroczystych ścian budynku na moment oślepiło Marcusa. Zdążył jednak dostrzec w środku chłopaka. Bez zwłoki ruszył w pościg. Nieco zziajany dotarł do tych samych drzwi, dyskretnie poprawił ciuchy, przeczesał palcami włosy i dał się ponieść kolorowej ludzkiej fali. Idąc alejkami z miną znudzonego klienta, niby przyglądał się sklepowym witrynom, lecz w rzeczywistości obserwował odbijających się w nich ludzi. Miesiące pobytu w tym świecie nauczyły go, że miejsca takie jak ta galeria to nie jego teren działania. Tu rządzili ochroniarze. Dyskretni, ale bardzo skuteczni.

„Ech, gdybym miał dojście do ich monitoringu – pomyślał, zerkając zazdrośnie na najbliższą kamerę – albo chociaż większy potencjał magiczny...".

Przemierzał alejkę za alejką i z każdą chwilą był coraz bardziej zirytowany. Szanse na odnalezienie chłopaka malały, a przecież priorytetem było odszukanie Ariel. Minął sklep z ekskluzywnymi zegarkami i biżuterią, omiótł wzrokiem wejście do salonu z komputerami i kilka butików z markową odzieżą. Zignorował skurcz żołądka, gdy nozdrza wypełniły smakowite zapachy z pobliskiego fast foodu. Posiłek musiał zaczekać. Młodzika

nigdzie nie było, za to jakaś przesadnie umalowana małolata wyszczerzyła do niego zęby w zalotnym uśmiechu i puściła oko.

– Do nauki, mała! I podrywaj kogoś w swoim wieku! – warknął, a potem zaklęciem posłał jej niewidzialnego klapsa. Podskoczyła wystraszona, ale szybko odpowiedziała mu wzruszeniem ramion i pogardliwym prychnięciem, po czym dystyngowanie wyruszyła dalej na łowy. – Co z tymi dzieciakami jest nie tak? – mruknął i też ruszył na polowanie.

Zdążył obejść większość pięter i pasaży, zajrzeć do apteki, sklepu sportowego, pokręcić się po księgarni i drogerii, a nawet wdepnąć do winiarni i sklepu zoologicznego, a chłopaka nie znalazł. Jego frustracja rosła niczym nadciągające tornado. Czuł, że traci czas. Kiedy już niemal się poddał, zobaczył znajomą jasną czuprynę zjeżdżającą ruchomymi schodami w dół.

– Tym razem mi nie zwiejesz – szepnął mściwie i jak duch podążył za dzieciakiem.

Sam był zdumiony, że tak szybko udało mu się pokonać ruchome schody bez zrobienia komuś krzywdy, a przede wszystkim niepostrzeżenie. Ale najfajniejsza była mina chłopaka, gdy Marcus stanął za jego plecami, poklepał go po ramieniu i zadowolony powiedział:

– Lubisz przejażdżki? To przejedziemy się na policję. O, przepraszam, rąbnąłeś mi kluczyki do kawasaki, a to oznacza, że jednak pójdziemy pieszo, MORSKI DIABEŁKU.

Mocno złapał tamtego za kołnierz. Młodzik zaczął się szarpać, lecz Marcus jeszcze wzmocnił chwyt.

– Obiecałem też sobie, że nauczę cię dobrych manier – wycedził.

– Ale ja nie wiem, o co...

– Odświeżę ci pamięć na posterunku. – Wykręcił chłopakowi rękę, skutecznie go obezwładniając.

Nagle gdzieś z dołu dobiegł ich krzyk:

– Walnij go, Tony!

Obaj zerknęli w tamtym kierunku. Drugimi schodami wjeżdżał w górę inny chłopak – również jasnowłosy i bardzo podobnie ubrany – i żywo gestykulując, wołał:

– No walnij go w końcu, ty niedorobiony glonojadzie!

– Czym? Przecież nie mam jaj! – odkrzyknął młodzik.

– Współczuję, ale własnymi się nie podzielę – warknął Marcus. – A ty, mały, spadaj, jeśli też nie chcesz mieć kłopotów! – rzucił do drugiego chłopaka. Chwilę taksowali się wzrokiem, gdy znaleźli się na tej samej wysokości, potem jednak dzieciak chyba odpuścił.

Mężczyzna był już niemal na samym dole, gdy usłyszał głośne BUM, a potem świst i coś z impetem spadło mu na plecy. Odruchowo złapał swego więźnia wpół i już po chwili kolorowa plątanina rąk i nóg zleciała z ruchomych schodów i przeturlała się po śliskiej podłodze. Kątem oka Marcus zobaczył, że zostali dostrzeżeni przez ochronę. Dzieciak miotał się w jego uścisku, a drugi właśnie zbierał się z podłogi. Cała ta awantura wzbudziła też zainteresowanie grupy klientów. Jedni wołali coś do ochroniarzy, inni jedynie gapili się na nich jak na *reality show* w telewizji, a jakiś facet ruszył w ich stronę; Marcus nie miał żadnych wątpliwości, że na pomoc małolatom.

„Cholera, a potem na tym ich Facebooku napiszą, że brutalny dorosły zmaltretował niewinne dzieci” – sapnął ze złością i zaczął analizować sytuację.

– Tony?! Kay?! Na wszystkie poranki wszechświata! – usłyszał pełen niedowierzania krzyk. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie brązowozielonych tęczówek ukrytych pod imponującą czupryną. Ich właściciel najpierw wydawał się zszokowany, ale potem Marcus zobaczył, że nad czymś intensywnie myśli.

– Dawaj kluczyki, a zapomnę o wszystkim – syknął chłopakowi do ucha. – Oferta jest aktualna jeszcze jakieś pięć sekund. – Wskazał wzrokiem nadbiegających ochroniarzy. – Cztery, trzy...

– Marcus, puść Tony'ego, proszę. A ty, Kay, nie waż się podchodzić! – odezwał się mężczyzna o imponującej fryzurze.

– Hej, wy! Co tu się dzieje?! – krzyknął jeden z ochroniarzy. Drugi już sięgał po komórkę i było tylko kwestią czasu, kiedy pojawi się policja.

– Cześć, Sergio. – Facet z lwią grzywą odwrócił się do ochroniarza z dłońmi wzniesionymi w pokojowym geście. A zrobił to na takim luzie, jakby się znali od dziecka. – Wybacz, stary, szliśmy z chłopakami na piwo pod Kosmiczną Plombę, kumpel pośliznął się na tych waszych schodach i widzisz, co się stało? – Wskazał teatralnym gestem schody, a potem Marcusa. Tony, Kay i sam Marcus spojrzeli na niego z takim zaskoczeniem, jakby zobaczyli żyrafę tańczącą *Jezioro łabędzie,* na dodatek w obuwiu ortopedycznym. Tymczasem mężczyzna, jak gdyby nigdy nic, kontynuował: – Ale spokojnie, jest cały i zdrowy i zapewniam, że nie pozwie was za te wasze schody. Słowo! Nie, Marcus? – Spojrzał znacząco, a Marcus instynktownie poczuł, że musi przytaknąć. Zaczął zbierać się z podłogi i poprawiać ubranie. Gapie pomału się rozchodzili. Sądząc po komentarzach, żałowali, że widowisko było takie krótkie, a na dodatek bezkrwawe.

– Na piwo? Jared, zabierasz dzieciaki na piwo? Katherine wie o tym? – Sergio zmarszczył brwi.

– Nie, no co ty, jakie piwo? Dla nich tylko cola, a teraz to nawet i tego nie dostaną – zarechotał mężczyzna.

– No dobra, to bawcie się dobrze, ale może jedźcie windą. Trzymaj się i uważaj na swoich przyjaciół – zakpił ochroniarz i odszedł.

Kiedy mężczyznę wessał labirynt pasaży, Jared odwrócił się do zdębiałych kompanów.

– Dobrze mieć ludzkiego kumpla ochroniarza, nie? Ty jesteś Marcus Brent, mąż Ariel Odgeon – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Te miłe chłopaki to Kay i Tony. Pomagają mi, choć czasami to straszne cymbały.

Marcus popatrzył uważnie na harpię. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo w tym momencie Kay zakwiczał z uciechy.

– Tony, chciałeś rąbnąć motor facetowi Ariel?!

– Myślałem, że to... A zresztą mieliśmy załatwić transport.

Mina chłopaka sugerowała, że o niczym tak nie marzy, jak skryć się choćby w szczelinie między kaflami podłogowymi, a jego usta zdawały się bezgłośnie prosić niebiosa o zesłanie peleryny niewidki. Tymczasem Kay drwił coraz bardziej bezlitośnie.

– Ha, ha, ha! Z całą pewnością nie pochodzimy z tej samej ikry! Normalnie nie ma takiej możliwości! Twoja po prostu musiała być spleśniała.

– Ty...!

– Stop! – Jared złapał Tony'ego za kołnierz, zanim ten rzucił się na brata. – Żadnych bójek, chłopaki. Dokończycie tę uroczą wymianę zdań gdzie indziej.

Tony zerkał na brata jak na worek treningowy, na którym chętnie by się wyżył, a Kay z kolei starał się opanować chichot. Tymczasem Marcus ochłonął po zaskakujących zdarzeniach i zapytał:

– Znacie Ariel?

– No jasne. I nawet zapewniamy jej kryjówkę.

– Kry... Co?!

– No, schronienie. Chyba rozumiesz znaczenie tego słowa? Trochę nieodpowiednich istot jej szuka, ale spokojnie, tylko my wiemy, gdzie jest. A skoro masz motocykl, w godzinę wywieziesz ją z Morren City – zapewnił pogodnie Jared.

– Ma kłopoty?

Harpia wymieniła spojrzenia z tarmoszącymi się Tonym i Kayem.

– Opowiem ci po drodze. Chłopaki, spokój w końcu! I dawać mu te kluczyki, ale już! Mogę ci mówić „Marcus”?

– Jasne. Jared, tak? Ariel zostawiła mi na komórce wiadomość, że tu jest.

– Wiem, wspominała o tym. Nawet się wkurzyła, że nie odebrałeś.

Jared podał Marcusowi kluczyki, a on – mrucząc: „dla pewności” – natychmiast przypiął je do dżinsów. Skierowali się najbliższą alejką ku wyjściu.

– Dobra, ale skąd mam wiedzieć, że mówimy o tej samej osobie?

– Ariel Odgeon. Drobna, ciemnowłosa, pyskata i nie potrafi usiedzieć na tyłku. Twierdzi, że jest Naczelnym Magiem w mieście za górami i ma tatuaż ze smokiem nad lewą piersią.

Zgadza się? Spotkałem ją przy zwłokach jednej harpii kilka dni temu...

– A my w ciemnej uliczce, jak z jednym face... Auć! No co?! – wrzasnął Tony i złapał się za ucho.

– Znów chcesz mieć ciasto zamiast buźki? – zapytał uprzejmie Kay.

Marcus wyminął popychających się braci i zrównał się z Jaredem.

– Tatuaż. Skąd o nim wiesz? – Zerknął na tamtego podejrzliwie.

– Bo została ranna. A tylko ja byłem w pobliżu, żeby jej pomóc. Spokojnie, już wyzdrowiała. Niemal.

– Rozumiem. Masz cechy harpii, oni trytonów i nie dziwi cię, że wiem, kim jesteście, a na dodatek ty doskonale wiesz, kim ja jestem...

– Tiaa, Morren pełne jest hybryd i różnych dziwolągów. Ariel opowiadała nam, skąd TY pochodzisz, więc akurat dla ciebie spotkanie harpii, elfa czy centaura to bułka z myśliwym.

– Raczej z masłem.

– Co?

– Mówi się „z masłem", nie „ z myśliwym".

– A tak, racja. Jeszcze tyle muszę się nauczyć o tym świecie. – Jared się uśmiechnął. – Ariel też non stop mnie poprawia. To straszna gaduła, no nie? Opowiedziała całą waszą historię z obydwu światów. Wiem więcej, niż ci się wydaje. Na przykład to, że przechodząc przez wąwóz, straciła wszystkie swoje moce. Nie będzie w stanie obronić się przed tymi, którzy jej szukają, więc im szybciej uda ci się ją stąd zabrać...

– Żeby to gnomy! Czemu czułem, że znowu to się tak skończy? Ciekawe, o co tym razem chodzi – mruknął pod nosem Marcus. – A wyruszyła w tę podróż tylko po to, by...

– ...odnaleźć córkę, to też wiem – wpadła mu w słowo harpia. – Tyle że w Morren City chyba jednak jej nie ma. Przeczesaliśmy miasto, i to kilka razy. Uruchomiliśmy wszystkie kontakty. Nikt jej nie widział. Sądzę, że nadal jest po drugiej stronie wąwozu.

– Na pewno? – Marcus rzucił mu kpiący uśmiech. – Nie chcę być niemiły, ale tropiciele to z was raczej niskich lotów, bo ja widzę ją tam! – Pokazał na przeszkloną galeryjkę, po której szła w kierunku małego stoliczka z tacą w ręku ciemnowłosa nastolatka w spranych dżinsach. Usiadła, założyła nogę na nogę, potarła ucho i zamyślona zaczęła popijać jakiś koktajl.

– Świetne nogi, ładne oczy, no i rzeczywiście bardzo podobna do Ariel. To jest TA Amanda, za którą uganiamy się już tak długo? Nooo, to było warto. – Kay wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Uuuu! – zawtórował mu Tony. – Faktycznie niezła laska! Pomógłbym jej dokończyć ten koktajl i kilka następnych też.

– Zapomnij, nie umówi się z kimś, od kogo wali pleśnią i ma plankton zamiast mózgu. Raczej wybierze kogoś o boskim ciele i umyśle Einsteina. – Kay zarechotał i zalotnie poprawił włosy.

– Czyli nie ciebie. Zresztą przekon...

– Nie chcę być niemiły, chłopaki – wpadł im w słowo Marcus, chichocząc pod nosem – ale skoro Ariel opowiedziała wam wszystko, to wiecie też, że Amanda jest prawdopodobnie największą czarownicą w historii. Pokonała Orianę, jeśli orientujecie się, kogo mam na myśli.

– Wiemy, ale co z tego?

– A to, że tylko wygląda na szesnastolatkę, bo naprawdę ma jakieś jedenaście – czary, rozumiecie? – i nie toleruje głuptasów oraz lekkoduchów. Zdąży zamienić ci jajka w ziarenka piasku, zanim zaproponujesz jej wyjście na pizzę. O, przepraszam, sam powiedziałeś, że ich nie masz, więc ciebie to raczej nie dotyczy. Ale dalej, idź i zagadaj do niej, zapewnij nam rozrywkę – zaśmiał się do Tony'ego, lecz zaraz potem poklepał go po plecach. – No dobra, chodźcie, kochasie, zapoznam was z obiektem waszych westchnień, ale potem musimy iść po Ariel.

Dziewczyna ujrzała ich już z daleka. Zmarszczyła brwi, otaksowała ich wzrokiem.

– Cześć, Marcus – zagaiła ostrożnie. – Ty tutaj?

Przeniosła pytające spojrzenie na harpię i chłopaków.

– Cześć, mała. To Jared, Kay i Tony – szybko przedstawił ich Marcus. – Twoja matka jest w Morren. Zatrzymała się u nich...

– Raczej schroniła przed tymi, co ją ścigają – wypalił Tony, ale szybko zamilkł i tylko jego uszy przybrały kolor dorodnych piwonii, a na twarzy pojawił się głupawy uśmiech.

– Sporo opowiadała nam o tobie. Rzeczywiście jesteś bardzo do niej podobna. Naprawdę masz swojego smoka? I umiesz...

– Kay, daj Marcusowi w końcu dojść do słowa – przerwał mu Jared i uśmiechnął się pod nosem.

– Lepiej miej dla niej ekstrawytłumaczenie, bo od kilku dni robi za psa tropiącego i nie robi niczego innego, tylko szuka ciebie – powiedział Marcus.

– Niby czemu?

Mężczyzna westchnął i pokręcił głową.

– Te dzieciaki... – mruknął. Rozsiedli się przy stoliku, a on kontynuował: – Bo Cornelia przekazała jej wiadomość od Orestesa, że pokłóciłaś się z Naczelnymi i zniknęłaś, więc przeszła za tobą przez portal. Masz pojęcie, jakiego stracha jej napędziłaś?

– A to stary pleciuga. Wiedziałam, że nie powinnam była mu nic mówić. I niech zgadnę, odwiedziła też Croya, a potem Naczelnych?

– Tego nie wiem...

– Ale ja tak – rzuciła harpia. – Twoja matka opowiedziała nam o wszystkim. Po wizycie u niego poszła też...

W tym momencie rozległo się ciche chrząknięcie, a potem smukła dłoń postawiła przed Marcusem pucharek lodów waniliowych z polewą wiśniową. Odruchowo oblizał usta.

– Takie, jak pan lubi. Oczywiście na koszt firmy. Jeśli możemy w czymś pomóc... – Te ciche słowa wypowiedziała istota tak szalenie niepozorna i przeciętna, że gdyby wtopiła się choćby w tutejsze meble, nikt nie zorientowałby się, że tam jest. Marcus zerknął na nią, lecz szybko ukrył zaskoczenie i znów wcielił się w rolę swego niespotkanego dotąd sobowtóra.

– Cóż, poproszę to samo dla moich przyjaciół.

Zdążył dostrzec nienawiść we wzroku kobiety, gdy popatrzyła na harpię.

– Oczywiście.

Skłoniła głowę i szybko się wycofała. Amanda i pozostali przyjrzeli się dziwnie Marcusowi.

– Najwyraźniej jestem podobny do kogoś w tym mieście – zaśmiał się nieco sztucznie.

„Nawet nie wiesz, jak bardzo” – pomyślała harpia.

„Zgadza się” – zawtórowali jej bracia, lecz też zachowali to spostrzeżenie dla siebie.

– No, to musi być jakaś tutejsza osobistość, bo nawet na policji rozmawiali ze mną jak ze swoim komendantem. Spokojnie, zapłacę jej za te lody. Ale trzeba się pospieszyć. Musimy iść do Ariel, pamiętacie? Miałaś powiedzieć, co tu robisz – ponownie zwrócił się do Amandy.

Dziewczyna zaczęła opowiadać, ale w tym momencie pojawiła się ponownie niepozorna kobieta. Szybko postawiła pucharki z apetyczną zawartością na blacie i jeszcze szybciej się ulotniła.

– Co jest? Nie lubicie lodów? Osobiście wolę z bakaliami, ale te też nie są złe. No, jedzcie, naprawdę smaczne. – Marcus oblizał łyżeczkę i wskazał na pucharki, lecz ani chłopakom, ani Jaredowi z jakiegoś powodu nie spieszyło się do spróbowania lodów. – Zamówić inne?

– Nie. – Amanda przesunęła dłonią nad pucharkami. – Nie musicie obawiać się trucizny – zwróciła się do Jareda, a ten wytrzeszczył na nią oczy ze zdziwienia. – Ta kobieta, India, o niczym tak nie marzy, jak o tym, żeby nas wszystkich ukatrupić, ale za bardzo boi się... – chwila zastanowienia – ...ciebie? – Spojrzała na Marcusa zaskoczona. – Wie, że przeżyłbyś, a wtedy sama błagałaby cię o śmierć...

– Stanowczy ze mnie facet, ale bez przesady. Niby czemu mnie nienawidzi? Nawet jej nie znam – powiedział powoli i ostrożnie.

Kay, Tony i Jared od dłuższej chwili gapili się na Amandę jak na zjawę, nie będąc w stanie wypowiedzieć choćby słowa. Spojrzała na nich uważnie.

– Przecież Marcus powiedział wam, że mam pewne zdolności...

– Ekhm, twoja m-matka też o t-tym wspominała – wyjąkał Kay.

– Więc czemu jesteście tak zaskoczeni? Jeśli mówię, że nie są zatrute, możecie uwierzyć mi na słowo. – Przesunęła pucharki w ich stronę. – Ja uwierzyłam wam, że ukrywacie moją matkę przed... – znów zaskoczona spojrzała na Marcusa – ...tobą! Nie, jednak nie o ciebie chodzi. Raczej o kogoś o imieniu...

– ...Sheridan – wyszeptała w końcu harpia.

Gwałtownie zwrócili głowy w jej stronę, lecz ona wpatrywała się jedynie w zawartość pucharka.

– India myśli, że jesteś zdrajcą, że z nim współpracujesz – szepnęła Amanda do Jareda. – To niestety „zasługa" Marcusa. Za bardzo przypominasz tamtego faceta – teraz zwróciła się do mężczyzny, a ten wzruszył ramionami i mruknąwszy „co poradzę?", wrócił do wcinania lodów.

„Ale nie obawiaj się, Jared, zrobimy wszystko, żeby Sheridan nie skrzywdził cię więcej" – dodała na prywatnym kanale telepatycznym. Harpia jedynie westchnęła.

– Ariel jest u mnie bezpieczna, więc chwilę możemy pogadać – powiedziała na głos. – Jesteście spoza Morren City, więc należą wam się wyjaśnienia, a właściwie nam wszystkim wymiana informacji.

Po kolejnej półgodzinie, gdy każdy z uczestników spotkania poznał już przebieg dotychczasowych zdarzeń, Marcus zwrócił się do Amandy:

– Xaviere kazał ci zamknąć wąwóz? Pewnie bał się tutejszych mroczniaków. To dość logiczne.

– Zobaczyłam, jak mama tam wchodzi, więc poszłam za nią. Dosłownie w ostatniej chwili, zanim wąwóz się zatrzasnął. Ale się porobiło... – westchnęła dziewczyna i znów potarła ucho. – Teraz już przynajmniej wiemy, o co dziadkowi chodziło, choć nadal nie rozumiem przyczyn jego strachu.

– Obyś nigdy nie musiała go zrozumieć. Nie chcesz poznać Sheridana ani jego kumpli, zapewniam cię – odpowiedział cicho Jared. – Jaki jest ten wąwóz? Ariel mówiła, że straszny, choć kraina za nim leżąca – piękna.

– Czy ja wiem? Taki sobie. Kręty jak labirynt, bardzo długi i strasznie przygnębiający, ale poza tym nic nadzwyczajnego.

– A twoje moce? Ariel kompletnie straciła tam swoje.

– Mam wrażenie... Chyba są słabsze. Nie, zdecydowanie słabsze, ale nadal je mam.

– Ciekawe. Obydwie przeszłyście przez wąwóz, ale każda z was opowiada o nim inaczej. Ją przerażał, odebrał jej moc, napełnił rozpaczą. Tobie wydał się zwyczajny, choć ponury.

Kilka chwil siedzieli w milczeniu. W końcu odezwał się Marcus.

– Jared, ten facet, którego przypominam...

– Sheridan.

– Czego chce od Ariel? Czemu ją ściga?

– Mówiłem ci. Cyborium. On i dziwolągi są przekonani, że to ona.

– A jak ją znajdzie?

– Zabije. Choć najpierw będzie bardzo cierpiała, bo bezwzględnie ją wykorzysta.

Marcusowi pociemniało w oczach. Strach, niczym ogromna przyobleczona w ciemną rękawicę łapa, zdławił gardło. Przez

chwilę czy dwie nie był w stanie nabrać powietrza. Czyjaś ciepła dłoń łagodnie ujęła jego własną, lodowatą. Amanda pochyliła się ku niemu.

– Już dobrze?

– Nie traćmy czasu! – rzucił bardziej szorstko, niż zamierzał. Podniósł się z krzesła i oparł o najbliższy filar, żeby nie upaść. Kilka razy głęboko odetchnął, zanim ruszył ku schodom.

Zaniepokojeni poszli za nim, lecz on nagle coś sobie przypomniał.

– Chwila – rzucił i wrócił do kontuaru, za którym zamarła blada z przerażenia kobieta. – Ile płacę za te lody?

– Panie...

– Nigdy nikogo nie tytułuj w ten sposób, India! Nie wiem, kim jest ten facet, którego tak bardzo się boisz, lecz widzę, że moje podobieństwo do niego wywołuje w tobie cierpienie. I choć nie mam z nim nic wspólnego, wybacz, że sprawiłem ci ból. – Położył pieniądze na kontuarze i dołączył do przyjaciół, zostawiając kobietę kompletnie osłupiałą.

Gdy już zjeżdżali schodami, Amanda ponownie dotknęła jego ręki.

– Nie rób tego więcej – szepnęła.

Spojrzał uważnie na dziewczynę, a ona tylko kiwnięciem głowy wskazała Indię, wciąż stojącą na galeryjce i wpatrującą się w nich. Wypowiedziała w myślach zaklęcie, po którym osoba Marcusa zaczęła rozpływać się w powietrzu.

– Kiedy wróci za kontuar, nie będzie już nic pamiętała. Co do ciebie... Twoja buźka jest jak ogromny neon przyciągający kłopoty. Lepiej nie sprowadzajmy ich na Jareda czy chłopaków. Już i tak

wystarczająco ich naraziliśmy. Przesondowałam ich umysły. Oni nie kłamią.

– Wiem.

Promienie słońca czy może księżyca wnikające do komnaty systemem luster i świetlików starły z powiek Ariel resztki snu i oszołomienia. Leżała w półmroku, połykając łzy. Czuła nienawiść, rozpacz, obrzydzenie do samej siebie. Ten mężczyzna spoczywający tuż obok... Koszmar, który nawiedzał ją tyle nocy, aż w końcu się spełnił. A ona? Zamiast, ostrzeżona, przed nim umknąć, uniknąć przeznaczenia, wyszła mu naprzeciw z otwartymi ramionami.

„Jak to możliwe? Jak mogłam do tego dopuścić?".

Lodowate szpony strachu odbierały jej tlen, lecz chłodny materiał posłania zdawał się niemal parzyć nagą skórę. Usiadła, ogarnęła wzrokiem łoże, komnatę i śpiącego. W smugach światła dostrzegła mozaikę podłogową wykonaną z najlepszych odmian marmuru, a na ścianie płaskorzeźbę syreny dzierżącej muszlę w wyciągniętych dłoniach. Nie zachwyciła jej jednak, podobnie jak inne prześliczne reliefy, ciężkie meble z czarnego dębu tapicerowane delikatną kremową skórą czy stojący pośrodku komnaty intarsjowany stolik z chmarą kolorowych motyli na blacie. Nawet zajmująca całą przeciwległą ścianę kolekcja kusz, toporów, czakramów i wszelkiej innej broni, tak sprytnie

podświetlona, że służyła za jeden ogromny kinkiet, też nie przyciągnęła wzroku kobiety. Wszystko w tym pomieszczeniu było luksusowe, włącznie z niewielkimi dywanikami koło posłania czy intensywnie błękitną pościelą z najdelikatniejszego jedwabiu, lecz nic z tych rzeczy nie było w stanie Ariel oczarować.

Tuż koło wezgłowia coś błysnęło. Sztylet. Ulubiony sztylet Sheridana. Zachwycał maestrią wykonania, lecz jego trwałością śmiało mógł się mierzyć z najdoskonalszą bronią, a w rękach swego pana był perfekcyjnie śmiercionośny. Akwamaryny zatopione w rękojeści lśniły zimnym blaskiem, a sam sztylet, wirujący wokół własnej osi tuż nad głową śpiącego, przyciągał wzrok i kusił. Odruchowo dotknęła dopiero co zabliźnionej rany na piersi, a potem, nie wiedząc, czemu to robi, sięgnęła po ostrze. Dłoń pogładziła je czule, niemal z miłością. Promień odbity od jednego z luster przejrzał się w nim i uleciał gdzieś pod wykuty w skale strop.

– Zamierzasz mnie zabić? – Wzdrygnęła się, słysząc ten szept, i błyskawicznie skierowała w jego stronę sztylet. – Sądzisz, że dasz radę? – Gwałtownie usiadł na łożu. Pochylił się ku niej. Ostrze dotknęło jego szyi i lekko drasnęło skórę. Strużka krwi spłynęła w kierunku obojczyka. Nie zwrócił na to uwagi. Stalowe szare oczy wpatrywały się w tęczówki Ariel. Wiedziała, że znowu ją hipnotyzuje, stara się nią manipulować. Szumiało jej w uszach, a snująca się w głowie myśl podszeptywała, że najrozsądniej będzie go zabić. Tu i teraz. Że z pewnością uratuje tym wiele istnień, zniweczy wszelkie plany tego drania. Lecz zaraz potem słabym płomykiem rozbłysła inna myśl: że to nie jego powinna zabić, lecz siebie. Z każdą chwilą ten pomysł stawał się coraz

milszy i coraz bardziej kuszący. Otulał błogością, mamił nienazwanymi obietnicami. Już nic nie słyszała, tylko coś na kształt zawodzenia wiatru rozkazującego: „Zrób to!”. Tylko jedno cięcie nadgarstka lub cios w serce i cierpienia, strach, rozpacz się zakończą. Wypłyną z jej ciała rubinowym strumieniem. Zaśnie. Tylko jedno cięcie...

Dostrzegła bardzo powolny ruch własnej dłoni, tej, która trzymała magiczny sztylet. Gracja tego ruchu przywodziła na myśl kunszt tańca gejszy. Nieznaczny obrót ręki i ostrze odwróciło się od szyi Sheridana. Kolejny – i zawisło nad głową Ariel. Nim z rozmachem wbiło się w jej klatkę piersiową, ujrzała błysk zadowolenia w oczach mężczyzny i usłyszała jego szept:

– Wydobyłem z ciebie wszystko, na czym mi zależało. Teraz nie jesteś mi już do niczego potrzebna.

Ręka dzierżąca sztylet posłusznie wykonała rozkaz odebrany z mózgu. Świst powietrza, tępy odgłos zderzenia metalu z ciałem, ból, krew wypływająca z rany, roześmiane oczy mężczyzny i nagle... silny policzek przywrócił ją do rzeczywistości. Wzięła głęboki wdech i rozejrzała się, teraz już całkiem przytomnie. Komnata, łoże, Sheridan. Wszystko wyglądało identycznie. Jedynie ranę na piersi całkowicie pokryła blizna, a ona, Ariel, siedziała naga i zaciskała rękę na sztylecie z akwamarynami, wbitym aż po rękojeść w... posłanie między swymi udami.

– No? – usłyszała obcesowe pytanie.

Odwróciła głowę ku jasnowłosemu. Nagi, rozparty wygodnie na poduszkach, popijał jakiś napój z misternie grawerowanego srebrnego kubka i przyglądał jej się z zadowoleniem,

zainteresowaniem, ale też z niecierpliwością. Czegoś oczekiwał, lecz czego?

– Więc jak? Podobała się wizja? Mogłabyś ją chociaż pochwalić. Bardzo się starałem, żeby była realistyczna. Doceń to, bo wyczarowałem ją dla ciebie, choć to była tylko próba.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– Jednak jak to wy, ludzie, mówicie, wyluzuj. Nie unicestwiłbym czegoś tak cennego jak ty. Jeszcze nie.

Odstawił kubek. Opuszki jego palców dotknęły jej kolana i pogładziły tak delikatnie jak kruchą drogocenną porcelanę. Nie cofnęła się, jedynie zadrżała. W półmroku spowijającym sypialnię jego źrenice same zdawały się błyszczeć martwym światłem niczym najczystszej wody akwamaryny.

– Podoba mi się twój morganit – szepnął.

– Co mi zrobiłeś?!

Bardzo chciała, by zabrzmiało to hardo, stanowczo. Czemu więc poczuła się taka żałosna i beznadziejna?

– Ten kamień... – kontynuował, skupiając wzrok na smugach światła odbijającego się od luster – ...mimo skazy jest mi posłuszny. Rozkazuje, a ty spełniasz jego życzenia. Choć może to też zasługa sheridianów? Ach, no tak, jeszcze ci się nie pochwaliłem. Uwielbiam hodować motyle. Fascynujące stworzenia, nie sądzisz? A sheridiany to mój, jak by to powiedzieć, wynalazek. Ot, nieco zmodyfikowana wersja. Pamiętasz tę noc w zaułku? Ranę nad tatuażem z głową smoka? Twoja krew smakowała im wybornie, a w połączeniu z ich własną toksyną... – Zwrócił ku niej twarz, jakby chcąc sprawdzić, czy nowina nią wstrząśnie. I się nie pomylił. W jej ciemnych oczach dojrzał

w końcu, że go zrozumiała, a potem to, na co tak długo czekał. Strach. – A teraz przypomnij sobie kopalnię i mroczny szyb. Pamiętasz, co się wydarzyło, nim do niego zstąpiłaś?

– Viverny... Ich oddechy...

– Raczej energia, jaką wysłały ich kamienie ku twemu morganitowi. Co było dalej?

– Czeluść szybu... Srebrzysta istota...

– Gelus.

– Wypuściła motyle!

– I węże.

Posłał jej tak miły uśmiech, jak gdyby łączyła ich wieloletnia przyjaźń.

– Naprawdę sądziłaś, że są tam tylko po to, by okryć cię przed chłodem i wzrokiem przypadkowych obserwatorów? – spytał ironicznie. Jego oczy ponownie zlustrowały każdy najmniejszy fragment jej ciała. Czy była choćby jedna jego część, której nie znałby już na pamięć? – O tak, podoba mi się posłuszeństwo tego kamienia. I jego współgranie z sheridianami.

Dłoń znów pieszczotliwie pogładziła kolano kobiety i przesunęła się ku wewnętrznej stronie uda. Sheridan leniwie obserwował reakcję jej ciała. Drżenie ust, gęsią skórkę na ramieniu, gniew i bezsilność w oczach, sekundę później zastąpione przez iskierki pożądania, natychmiast ukryte pod powiekami. Miał przewagę i nie wahał się jej wykorzystać. Ponownie jego usta rozpaliły oceany ognia w jej ciele, wprawiły w ekstazę każdą komórkę. Wymusił uległość i pofolgował żądzom. Nawet przytomna nie miała szans ucieczki ani tym bardziej obrony. Bo jak bronić się przed kimś, kogo ciało się zna, kocha i pragnie? A w tym

konkretnym momencie Ariel bez wahania mogłaby podpisać własną krwią każdy dokument potwierdzający, że ten mężczyzna w jej ramionach to Marcus. Z każdym pocałunkiem, dotykiem, najmniejszą choćby pieszczotą coraz bardziej poddawała się temu przekonaniu. Zatraciła się w swych uczuciach i dała im się ponieść tak bardzo, że nie zwróciła uwagi na subtelną prośbę wypowiedzianą telepatycznie:

„Wpuść mnie... Wpuść...".

Jej głowę rozsadzała kakofonia dźwięków. Ni to zawodzenia wiolonczeli, ni to huk wodospadu... Wyszeptany wprost do jej ucha rozkaz „Wpuść mnie" wplótł się między te dźwięki na podobieństwo nici w zgrabnie utkanym płótnie. Lodowate wargi na rozpalonej skórze szyi i ten szept przenikający ją niczym podmuch zimowego wiatru doprowadzały do szaleństwa, zacierały granice, za którymi chyba tylko sam Bóg byłby w stanie rozpoznać, co jest realne, a co nie. Nie miała już nawet świadomości tego, że Sheridan nie tylko podporządkował sobie jej ciało, lecz także zniewolił umysł. Całował i szeptał, a ona, jak wtedy, w salonie swego domu, znów rozpoczęła wędrówkę w głąb własnej jaźni i wspomnień, ale również wiedzy zawartej w kamieniu. Ponownie źrenice skurczyły się do rozmiaru szpilki. Morganit zaczął drżeć i wypustki jeszcze mocniej wniknęły w mózg kobiety, umożliwiając jej poznanie całkiem nowych wymiarów bólu i cierpienia. Znów wizje wypełniły jej umysł, lecz tym razem były dostępne nie dla niej samej, a jedynie dla tego mężczyzny, pod którym leżała uwięziona i który trzymał jej głowę w swych dłoniach. Wsparty czołem o czoło kobiety, wysysał

informacje z morganitu tak długo, nim nie zaspokoił żądzy wiedzy. Ciało zdążył nasycić już wcześniej.

I trwali tak chwilę lub może wieczność, spleceni w fizycznym i mentalnym uścisku.

Jakiś czas potem Ariel otworzyła oczy. Łoże przypominało pobojowisko. Jej ciało nadal drżało z wysiłku i upokorzenia. Mężczyzna leżący tuż obok był równie zmęczony i spocony, lecz uśmiechał się niemal z ekscytacją! Przymknęła oczy w obawie, że jeszcze chwila, a zedrze mu paznokciami ten wyraz zadowolenia z twarzy. Odwróciła się na bok. Po policzku spłynęła łza. Kolejna tej nocy. Pomału docierało do niej, co się wydarzyło. Nagle te wszystkie wyświechtane hasła o utracie wolności, człowieczeństwa, zdeptaniu godności osobistej – nabrały całkiem nowego, jakże w tym momencie dosłownego znaczenia. Teraz, kiedy już też wiedziała, czemu zawdzięcza swe czarodziejskie moce, a na dodatek, że je straciła, poczucie własnej wartości zapikowało w dół. Z dawnej energicznej kobiety o ciętym języku została trzęsąca się skorupka. Zwinęła się w kłębek.

– Pamiętasz, co ci obiecałem? Że obdarzę cię rozkoszą, jakiej nigdy z nim nie zaznasz, lecz w zamian zabiorę coś cennego. – Jego szept ponownie ją ranił. Leżała, milcząc, niezdolna do sensownej odpowiedzi, a on ciągnął: – I zabrałem. Ten morganit... Zaskoczył mnie swoją wiedzą. Nie spodziewałem się po nim AŻ tyle. – Zupełnie nie rozumiała, o czym on bredzi. – Naprawdę za wąwozem jest kraina dziewięciu miast, gdzie tyle istot żyje tak dostatnio?

Odwrócił ją ku sobie i zmusił do spojrzenia w oczy. Akwamarynowe tęczówki jaśniały chorobliwym blaskiem.

– Podejrzewaliśmy, że ten wąwóz to nie jednolita skała, ale nie mogliśmy go spenetrować, bo stawiał nam opór, a nasze moce były zbyt słabe. Xaviere... – Przyjrzał jej się dziwnie. – Jesteś jego córką...

Odpowiedziało mu milczenie.

– Żeby to parch pylisty! – Uśmiech niedowierzania i triumfu rozciągnął mu usta. – Ty nic nie wiesz! Nie rozumiesz! Prawda?!

Zerwał się z posłania, chwycił kubek i opróżnił go jednym haustem. Warknął: „Jeszcze" i cisnął nim w kierunku drzwi. Ariel usiadła, pomału podciągnęła kolana pod brodę. Tymczasem wyłaniająca się z mroku ręka chwyciła kubek, gdy ten doleciał do drzwi, napełniła go trunkiem i łagodnym zaklęciem odesłała Sheridanowi. Mężczyzna pociągnął kolejny łyk, wytarł usta grzbietem dłoni, a potem zaczął krążyć wokół łoża niczym podekscytowany drapieżnik, który właśnie wyczuł zwierzynę. Promienie światła odbite od luster zatańczyły na jego nagim ciele. Nie zwrócił na to uwagi.

– Co za ironia losu – mruknął. – Nosisz kamień, lecz nie masz dostępu do całej jego zawartości.

„Szaleniec. Kolejny w moim życiu".

– Szaleniec, powiadasz? – odczytał z rozbawieniem jej myśli. – A ja sądzę, że ktoś tu zabawił się twoim kosztem. I to nie byłem tylko ja. Ale żebym mógł wydobyć z ciebie resztę, musisz choć trochę wiedzieć, o co mi chodzi. Chociaż może... nie, jeszcze nie.

Pociągnęła ku sobie prześcieradło. Opatuliła się nim, jakby z nadzieją, że ochroni ją od chłodu, a może kolejnych złych nowin.

– A więc Xaviere był magiem – zachichotał Sheridan. – A ty, jego córka, jesteś równie wielką czarownicą. Dobre, naprawdę.

Szkoda tylko, że nie umiesz wydobyć z kamienia prawdy. W rzeczywistości nie umiesz nic. Mniejsza z tym. Idziemy!

Zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Motyle z intarsji stolika chmurą pofrunęły za nim. Odegnał je machnięciem ręki i odwrócił głowę ku Ariel.

– Mam wysłać gelusa z zaproszeniem? – warknął.

Obolała zsunęła się z posłania. Szczelnie otulona prześcieradłem niczym zbroją, ruszyła za mężczyzną. Nie pamiętała, jak dotarła do jego rezydencji ani co się wydarzyło po drodze. Nie pamiętała nic, prócz tych kilku perwersyjnych zbliżeń. Teraz idąc za Sheridanem, przyglądała się wyłożonym marmurami korytarzom, strojnym w mozaiki pomieszczeniom, niemal żywcem wziętym z pałaców hiszpańskich możnowładców, wewnętrznemu patio przyozdobionemu nieznanymi roślinami o kremowych liściach, jakby oblepionych sporych rozmiarów płatkami śniegu, niewielkiej fontannie. Przeszli ukosem przez dziedziniec do drugiej części rezydencji. Ta z kolei sprawiała wrażenie wyjętej z katalogu ekskluzywnych współczesnych apartamentów, bo gdzie nie spojrzeć, królowały szkło, metal i nowocześnie cięty kamień. I tylko strop nad obiema częściami rezydencji był identyczny, bo stanowiło go po prostu sklepienie pieczary.

Stopy miała niemal lodowate od zimnego podłoża. Jej ciałem raz po raz wstrząsały dreszcze. Mężczyzna zdawał się jednak nie przejmować tak prozaicznymi rzeczami jak przyodziewek ani tym bardziej chłód. Starała się nie formułować przy nim żadnych myśli, tylko jej oczy uważnie rejestrowały wszystkie szczegóły otoczenia.

– Dokąd mnie prowadzisz? Czego jeszcze chcesz?

Zatrzymał się gwałtownie, odwrócił ku niej i zacisnął pięści.

– Nie waż się zwracać do mnie niepytana! – syknął. Przez chwilę myślała, że ją uderzy, ale nie, rozejrzał się tylko ukradkiem, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. – A kiedy pytam, masz odpowiadać: „Tak, panie" lub: „Nie, panie".

– Nic więcej mi nie zrobisz. – Starała się, żeby zabrzmiało to spokojnie. – Sam powiedziałeś, że wydobyłeś ze mnie NIEMAL wszystko. Upokorzyłeś i pognębiłeś mnie na milion sposobów, ale koniec z tym. Została mi jeszcze jedna rzecz. Wiesz jaka. Dostaniesz ją, ale wypuść mnie.

Blef był tak oczywisty, że aż żałosny. Chwilę patrzył na nią, a potem wybuchnął śmiechem.

– Może pozwolę ci istnieć dłużej, niż zaplanowałem, ale tylko dlatego, że mnie bawisz. Ciekaw jestem, czy dalej będziesz spokojna, kiedy zrozumiesz, JAKA to rzecz. Gelus! – warknął i u jego stóp natychmiast zmaterializował się demoniczny sługa.

– Panie.

Sheridan popatrzył wymownie w oczy Ariel, a potem bez mrugnięcia powiedział:

– Idę do komnaty motyli. Jeśli ta kobieta nie pójdzie za mną, odgryź jej stopę. Ma cierpieć, ale żyć. Jeśli nadal za mną nie podąży, zrobisz to samo z drugą, a potem z obydwiema dłońmi. Jasne?

– Tak, panie.

Przełknęła nerwowo ślinę. Zauważył to, uśmiechnął się pod nosem, odwrócił i odszedł. Rzuciła gelusowi szybkie spojrzenie i bez ociągania podążyła za Sheridanem. Już po chwili

zorientowała się, że druga część rezydencji nie służy do mieszkania. Kiedy tylko wkroczyli do korytarza po przeciwnej stronie patio, dotarło do niej, że Sheridan to nie tylko mężczyzna o wysublimowanym guście, brutalnej osobowości i nadmiernym apetycie seksualnym. To inteligentny potwór. Nowoczesny korytarz zabudowany był bowiem po obydwu stronach... klatkami pełnymi najróżniejszych istot. Pomieszczenia te, w całości wykute w kamieniu, były otwarte, a mimo to żadne ze stworzeń przebywających w środku nie robiło nic, żeby je opuścić. Ba, zdawały się w ogóle nie dostrzegać ani możliwości ucieczki, ani Sheridana czy Ariel idących korytarzem. Pozbawione jakichkolwiek sprzętów, posłania czy choćby namiastki latryny i oświetlone mdłym światłem prostokątnego kryształu wpuszczonego w ścianę, klatki stanowiły urzeczywistnienie koszmaru o izolatkach więziennych. Kobieta się wzdrygnęła. Sheridan zwolnił, jakby chciał dać jej czas na przyjrzenie się nieszczęśnikom.

Pierwszymi więźniami, jakich ujrzała, były harpia zastygła w letargu, niemal nagi krasnolud zwinięty w kłębek na podobieństwo śpiącego kota czy faun kulący się w kącie. Szczelniej owinęła się prześcieradłem, bo chłód i przerażenie nasiliły dreszcze. W pewnej chwili dostrzegła pisklę harpii, bladego chłopca pociągającego nosem. Nim zastanowiła się, co robi, stopy same poniosły ją w kierunku dzieciaka. Nie zdążyła go jednak przytulić ani choćby dotknąć, bo choć klatka wydawała się otwarta, w rzeczywistości dostępu do niej broniły rozpięte cieniuteńkie nici. Zauważyła je niestety za późno. Przez chwilę poczuła się słabo. Fala gorąca powędrowała od dłoni ku ramieniu

i dalej, niczym elektryczne tsunami, rozlała się po ciele. Podłoga zdawała się szybować ku jej twarzy. Dopiero chłód granitu i widok bosych stóp Sheridana na wysokości oczu uświadomiły kobiecie, że na moment straciła przytomność.

– Ups! Chyba zapomniałem powiedzieć, że są pod prądem. – Usłyszała chichot mężczyzny. – Tę zabawkę zamontował mi jeden z waszych ludzkich elektro... Zresztą nazwa nieważna, istotne, że sprawił się dobrze. Naprawdę sądziłaś, że zostawiłem klatki bez ochrony? Jasne, mógłbym zabezpieczyć je magią, ale ten wasz prąd... cóż, sprawia mi większą frajdę.

Poczuła niuchanie przy swych stopach.

– Gelus, daj jej chwilę. Przecież widzisz, że jest oszołomiona.

Z trudem usiadła. Miniaturowy drań przycupnął pół metra od niej. Wzięła kilka oddechów i najszybciej, jak potrafiła, podniosła się z podłogi. Zataczając się, pobiegła za oddalającym się mroczniakiem.

– Po co ich tu wszystkich trzymasz... panie?

Wypowiadając to ostatnie słowo, czuła się tak, jakby zaraz miała zwymiotować kamień, który za nic nie chce przejść przez gardło. Kąciki ust Sheridana uniosły się w drwiącym uśmiechu.

„No proszę, a taka była harda" – pomyślał.

– Aleś ty niecierpliwa. Już niedługo zaspokoję twoją ciekawość.

Przyspieszył. Szybko ruszyła za nim, rozglądając się na boki. Głowa nie nadążała z obracaniem się to w prawo, to w lewo, żeby dojrzeć i zapamiętać tych wszystkich więźniów. Skupiona na nich nie zauważyła, kiedy lekko chropowaty kamień pod jej stopami stał się idealnie gładki. Spojrzała w dół i okazało się, że stoi na szklanej tafli, pod którą w częściowo wypełnionym wodą basenie

coś dryfowało. To pomieszczenie również było słabo oświetlone kryształem, jednak nawet w półmroku dostrzegła długie pasma włosów, smukłe ciała i skrzące się srebrem ogony.

„Syreny?" – zdążyła jeszcze pomyśleć i nagle tafla rozpłynęła się, a ona z impetem wpadła do środka. Wody nie było zbyt wiele, jednak kilka razy znalazła się pod jej powierzchnią za sprawą błękitnego prześcieradła, które skutecznie krępowało jej ciało. Pamiętając o podarunku smoków, wyciszyła się i wzięła głęboki wdech, lecz wtedy niespodziewanie brudna woda zalała jej nos i usta, pokonała tchawicę i zaatakowała płuca. Na dodatek mieszkanki tego lokum ocknęły się z letargu i rzuciły się w jej stronę. Jeśli do tej pory myślała, że syreny to śliczne istoty uwodzące śpiewem, obecna sytuacja brutalnie zweryfikowała te wyobrażenia. Te dwie kobiety ze splątanymi brudnymi włosami bardziej przypominały topielice, a zmacerowana szarozielona skóra z granatowymi plamami upodabniała je do zaczynającego gnić nieboszczyka. Z bladych ust nagle wydobył się najokropniejszy wrzask i ich szpony chwyciły prześcieradło, po czym zaczęły ciągnąć Ariel w dół. Przed utonięciem ochronił ją ryk mroczniaka. Najpierw usłyszała „precz!", poparte zaklęciem *exeas*, które odrzuciło napastniczki, a potem jego ręka brutalnie wyciągnęła ją za włosy z wody i rzuciła na podłogę. Krztusząc się, zwymiotowała całą płynną zawartość płuc i żołądka.

„Daru matki smoczycy TEŻ już nie posiadam?!".

Ciężko dysząc, spojrzała w głąb basenu. Syreny umknęły przerażone do swych kątów. Sheridan stanął na skraju szklanej tafli, jedną rękę oparł na biodrze, a drugą skierował w dół.

– *Merge!* – dobiegł ją pogardliwie rzucony czar blokujący, a potem huk zamykanej z powrotem klatki. Mroczniak spojrzał na nią złośliwie. – Też nie lubię, kiedy syreny otwierają usta. Wielka czarownica, tak? A dasz radę przeżyć, zanim dotrzemy na miejsce, geniuszu?

Usłyszała jeszcze:

– Niech ktoś da naszej gwieździe wśród czarodziejów suche ciuchy, a za minutę chcę ją widzieć w komnacie motyli. Gelus, za mną!

Gdy tylko odszedł, natychmiast pojawiła się jakaś wysuszona staruszka o dłoniach pobrużdżonych niczym świeżo zaorane pole. Krótkie szare włosy ukryte miała pod niewielkim czepkiem z surowego płótna. Reszta ubrania też była nad wyraz ascetyczna: koszula zapinana na duże kwadratowe guziki, proste spodnie i espadryle na miękkiej podeszwie na bosych stopach. Nie patrząc Ariel w oczy, babulinka niemal wyszarpnęła z jej rąk ciągle ociekające wodą prześcieradło i energicznie zaczęła wycierać ją kawałkiem płótna. Ariel nie protestowała, mimo że materiał zdzierał skórę niczym papier ścierny. Po chwili do staruszki dołączyła inna kobieta, ubrana w identyczny uniform, i bez słowa położyła na podłodze taki sam komplet ubrań dla Ariel. Widząc, że się ociąga, służące wymieniły szybkie spojrzenia, a potem bez ceregieli zaczęły wkładać na nią ciuchy jak na szmacianą lalkę. Kiedy skończyły, jedna z nich wskazała wzrokiem koniec korytarza. Ariel zerknęła w tamtym kierunku. Chciała jeszcze o coś zapytać, lecz gdy odwróciła głowę, kobiet już nie było. Westchnęła ciężko. Patrząc teraz uważnie pod nogi, podążyła za Sheridanem. Trzymając się możliwie jak najbliżej ścian,

przemierzała korytarz, zaglądając do kolejnych klatek pod jego przeszkloną podłogą.

„Syreny... Tyle syren...”.

Łzy przesłoniły jej oczy, lecz i tak widziała, że te wszystkie twarze pogrążone są jakby w letargu. Oczy niektórych były otwarte, tylko pęcherzyki powietrza ulatujące co jakiś czas z rozchylonych ust upewniały ją, że istoty nadal żyją. Zawieszone w toni ciała, pasma włosów niegdyś pięknych, a teraz wyglądających niczym gnijące wodorosty, postrzępione płetwy ogonowe znieruchomiałe na podobieństwo martwych wachlarzy... Ten widok ściskał ją za gardło.

„Przynajmniej nie są świadome swego losu...”.

Wreszcie dotarła do podwójnych, automatycznie otwieranych szklanych drzwi; przypominały śluzę dezynfekcyjną w laboratorium chorób zakaźnych. Mężczyzna krążący po drugiej stronie też zdążył się ubrać w prostą koszulę oraz spodnie, tyle że wykonane z najwyższej jakości jedwabiu w odcieniu błyszczącego grafitu, oraz espadryle z mięciutkiej skórki w tym samym kolorze. Patrząc na niego, nie mogła uwierzyć, by ktoś tak piękny, o tak wysublimowanym guście, mógł jednocześnie być takim potworem. Zapominając o grozie sytuacji, westchnęła z podziwu.

„Wygląda jak model na pokazie ciuchów Calvina Kleina”.

Pomyślała, że nie zna nikogo, kto z równą pieczołowitością dbałby o wystrój swego mieszkania czy tak starannie dobierałby strój, a potem o własnym bałaganiarstwie – i znienawidziła faceta jeszcze bardziej. Mimowolnie porównała go z Marcusem. Ale Marcus lubił czystość i porządek, a do tego był świetnym facetem, dla którego źle dobrane kolory koszuli i krawata nie stanowiły

problemu. Tymczasem Sheridan zdawał się mieć obsesję na punkcie najmniejszych detali ubioru, co nie znaczy, że był lalusiem. Ciężko coś takiego powiedzieć o oprawcy.

„Byłby niezłym stylistą... – Ponownie westchnęła z zazdrością. – Cholera, co się ze mną dzieje? Równie dobrze antylopa na sekundę przed śmiercią mogłaby podziwiać głodnego geparda. Muszę pomyśleć, jak się stąd wydostać, i to szybko!".

Tymczasem obiekt jej podziwu w końcu ją zobaczył, wykonał niedbały gest i drzwi stanęły otworem.

– A oto i nasza gwiazda. Dotarłaś tu, jak widzę, bez zrobienia krzywdy sobie czy komukolwiek innemu. Jestem pod wrażeniem! I nawet ciuchy do ciebie pasują, a to już niesamowity sukces.

Nie odpowiedziała, dyskretnie oglądając pomieszczenie. Zszokowało ją nowoczesnym umeblowaniem, dużą liczbą nowiutkiej aparatury laboratoryjnej i klimatyzacją. Pod ścianami stały klatki zapełnione zwierzętami i roślinami; obok wisiała spora płyta z czerwonego marmuru. Za kolejną przeszkloną ścianą zobaczyła wygodnie urządzony pokój z imponującą biblioteką. Sheridan musiał zauważyć jej zaskoczenie, bo zaśmiał się i pokręcił głową.

– Zaimponowałem ci? Nie wątpię – powiedział, nie przerywając podlewania niewielkiego drzewka. – Nie spodziewałaś się czegoś takiego po kimś takim jak ja, prawda? No tak, według waszych ludzkich stereotypów trow jest istotą z legend, choć może bardziej z koszmarów niż niewinnych bajek. A ponieważ mieszkamy pod ziemią, koniecznie musimy być brzydcy, głupi, śmierdzieć i ganiać po jaskiniach w niemodnych ciuchach z toporem w garści. Ech, ludzie! I kto tu jest mało postępowy? Tak trudno wam w nas

uwierzyć, że bez najmniejszego problemu udało mi się zdobyć parę tych waszych fajnych zabawek. – Wskazał na sprzęt laboratoryjny. – Widzisz, moja droga, jak się pożyje wystarczająco długo, polowania na evanthesy, gnębienie wrogów gelusami czy nocne loty nad miastem na vivernach zaczynają nużyć, podobnie jak targi syren, penetrowanie niezliczonych pieczar przyległych do kopalni albo zaliczanie ludzkich kobiet. No bo ileż można? Nie, już nawet manipulowanie waszym burmistrzem mnie nie bawi. Bycie długowiecznym ma tę wadę, że ciągle trzeba szukać nowych rozrywek, żeby nie umrzeć z nudów. – Zachichotał. – I właśnie w tej komnacie jest mój najnowszy plac zabaw. – Popatrzył na nią, jakby oczekując owacji na stojąco. – Ale zaraz, zaraz! Ty chyba nie myślisz, że ja się tu tylko bawię jak jakiś durny dzieciak?

Nawet gdyby doczekał się odpowiedzi, nie usłyszałby jej, tak był wsłuchany w tembr własnego głosu.

– To pomieszczenie to triumf połączenia magii z nauką. Widzisz, my, trowy, nie tylko mamy artystyczną duszę, ale też uwielbiamy eksperymentować. – Coś jej to przypomniało, ale co? – W tym pokoju udało mi się wyhodować kilka specjalnych gatunków motyli. Te krzyżówki są nie tylko piękne, ale też posłuszne i... mają niewielki potencjał magiczny.

Przez następne kilka minut podekscytowany mroczniak opowiadał, opowiadał, opowiadał... Przemierzając pokój, zdawał się zupełnie inną osobą. Tam, w sypialni był bezdusznym erotycznym zwierzakiem. Idąc przez patio, a potem więziennym korytarzem, przeobraził się w zwyczajnego psychopatę, sadystę bawiącego się cudzym cierpieniem. Tutaj natomiast, kompletnie

zrelaksowany, z uśmiechem opowiadał swej ofierze o szalonym hobby, jakim było krzyżowanie różnych odmian motyli.

Ariel z początku słuchała tych wszystkich opowieści o hodowli, gatunkach, początkach fascynacji owadami, lecz potem jej umysł wyłączył się i tylko wzrok błądził po sprzętach, ścianach, roślinach. Sheridan przechadzał się wzdłuż klatek, opisywał poszczególne odmiany, dumny niczym ojciec z gromadki genialnych dzieci. W końcu przystanął i spojrzał na Ariel, jakby nareszcie dotarło do niego, że ona w ogóle go nie słucha! Zmarszczył brwi. Ta nagła cisza wyrwała ją z otępienia. Zerknęła na niego i cicho zapytała:

– Po co mi to wszystko mówisz?

Chwilę jej się przyglądał. Czyżby odpowiedź nie była oczywista? Wskazał jedną z klatek.

– Jesteś medykiem. A te motyle potrzebują pomocy. Na skrzydłach i odwłokach...

– Nie znam się na motylach. To nie moja specjalizacja. Wiesz o tym, bo odczytałeś morganit... – wypsnęło jej się i natychmiast zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. Przeklęła w myślach własne gadulstwo i szybko zabrała się do naprawiania szkód. – To znaczy, zazwyczaj nie zajmuję się owadami, ale gdybyś dał mi odrobinę czasu i trochę książek...

– Nie znasz się.

Uderzył ją chłód w jego głosie.

– Racja, morganit... No to wracamy do pierwotnego planu. Czas wymazać cię z kart historii – pospieszył z wyjaśnieniem.

– Ale...!

– Książki to i ja potrafię czytać. Na dodatek ze zrozumieniem – warknął. Zacisnął palce na jej ramieniu i przyciągnął ją ku sobie. – A w przeciwieństwie do tych idiotów zza wąwozu nie boję się tego robić, nikt mi też tego nie zakazuje. Stereotypy, pamiętasz? Nie traktuj nas, trowów, jak niedorozwinięte gnomy, które łatwo przelecieć i jeszcze wmówić im, że to dla ich dobra!

– Ja nie...

– W tamtym ciemnym zaułku obiecałem ci też powody do krzyku. Gelus!

– Panie.

Srebrny drań dosłownie jakby wypłynął spod marmurowych płyt na podłodze.

– Przygotuj wygodne krzesło dla naszej gwiazdy. Wiesz które.

Istota usłużnie pstryknęła palcami i spod ściany zaczął płynąć w ich kierunku fotel wyglądający jak wycięty z jednego kawałka srebrnej kuli; zdobiony był przedziwnymi wzorami, a jego wnętrze wyścielono kremową skórą. Podłokietniki miały kształt perforowanych rynienek. Fotel nie miał nóżek ani żadnej podstawy. Lekko kołysząc się na boki, zacumował w powietrzu tuż koło nich.

– Z reguły to ja w nim zasiadam, ale dziś wieczór zrobimy wyjątek. Dla ciebie. Proszę, rozgość się.

Słodycz w głosie mroczniaka była podejrzana. Ariel nie miała wątpliwości, że miłe zaproszenie jest jedynie wstępem do kolejnych makabrycznych wydarzeń. Jakich? Nie wiedziała, lecz czy mogła odmówić, kiedy tak patrzył na nią hipnotyzująco? Jej oddech przyspieszył, w ustach zaschło ze zdenerwowania. Nie zdążyła jednak zastanowić się, jak uciec lub odwlec nieznane.

Rozkazujący gest Sheridana i zaklęcie *movere* błyskawicznie usadziły ją w fotelu. Wyobraźnia podsunęła jej obraz transformacji fotela w klatkę, z której ścian zaczynają wydobywać się śmiercionośne ostrza i szpikulce, a potem krwi ściekającej przez podłokietniki i zbierającej się w kałużę tuż koło jej bosych stóp.

– Nie tak to się odbędzie i jeszcze nie teraz – szepnął mężczyzna, odczytując jej myśli. Oszczędny gest i kolejne zaklęcie zmieniły położenie siedziska. Teraz kobieta leżała z nogami zgiętymi w kolanach i choć nie była niczym przypięta, za nic nie mogła się ruszyć. Ujrzała nad sobą twarz Sheridana.

– Wygodnie?

Uśmiechnął się niemal z życzliwością i troską! Pogładził jej ramię, ujął dłoń i obrócił grzbietem ku górze. Chwilę studiował zarys żył widocznych pod skórą. Jego ręka była taka ciepła... Nagle jakby sobie o czymś przypomniał.

– Hej, mały! – krzyknął w przestrzeń. – Dawać mi tu tego dzieciaka!

Zza którejś z klatek wychynął dziesięcio-, może dwunastoletni chłopak. Krótkie brązowe włosy sterczące na wszystkie strony wyglądały niczym obgryzione przez mole futro. Ariel przyjrzała mu się uważniej. Coś było nie tak z tym malcem. I nie chodziło o jego mocno podkrążone oczy ani nawet białą, wyschniętą na papier skórę. Tym, co ją zaintrygowało, a potem przeraziło, był niebieskozielony motyl uczepiony ucha chłopaka niczym ekstrawagancki kolczyk. Z głowy tej żywej biżuterii wystawał ni to język, ni to kolec, którego drugi koniec wbijał się pod skórę, wprost do biegnącego tam naczynia krwionośnego.

„Jeezu!” – Ariel aż sapnęła w myślach.

Malec nie zwracał uwagi na swego skrzydlatego towarzysza, zupełnie jakby był z nim zrośnięty od wielu dni, a może miesięcy. Uniform miał identyczny jak reszta służby i też nieskazitelnie czysty. Ukradkiem zerknął na nią, a potem na Sheridana. Kobieta zastanowiła się, jakim cudem nie zauważyła chłopaka, lecz widząc jego przerażenie, zrozumiała, że mały po prostu musiał do perfekcji opanować sztukę kamuflażu i schodzenia swemu panu z drogi. Ukradkiem zerknął na nią, a potem na Sheridana i dotarło do niej, że z jego strony też nie może oczekiwać pomocy.

– Masz na imię... – rzucił mroczniak.

– Treesh, panie.

– Treesh... Mniejsza z tym, pewnie i tak za chwilę zapomnę – mruknął Sheridan, a głośniej dodał: – Dobrze się sprawujesz, Treesh. Motyle cię polubiły i rozwijają się wyśmienicie pod twoją opieką.

Dzieciak nic nie odpowiedział, tylko mocniej zadrżał i się zgarbił. Zupełnie jakby zamiast pochwały oberwał ciężką książką po głowie.

– Widzisz tę roślinę w klatce sheridianów?

– Baylee, panie?

– Tak, baylee. Przynieś jeden kwiat.

Chłopak się pokłonił. Ariel zobaczyła wahanie na jego twarzy.

– Śmiało, nic ci nie zrobią, skoro ja tak mówię. – Mroczniak uśmiechnął się do dzieciaka, lecz wyglądał przy tym jak wygłodniały pająk szczerzący się do muchy.

Ariel bez słowa obserwowała, jak Treesh otwiera drzwi woliery pełnej wyjątkowo dorodnych motyli o czarnych połyskliwych

odwłokach i skrzydełkach lśniących srebrem. Ruch, jaki tam do tej pory panował, teraz nagle ustał. Wszystkie owady zdawały się skupiać uwagę na tym niewielkim ludzkim intruzie wchodzącym na ich terytorium. Ariel zacisnęła palce na oparciu fotela. Ze zdenerwowania niemal zapomniała oddychać. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, że skoro te owady mają takiego stwórcę jak Sheridan, to nie należy się po nich spodziewać niczego dobrego. Co to będzie? Toksyna czy jakaś inna potworna niespodzianka? Uśmiercą małego czy tylko zadadzą mu ból?

Dzieciak powoli skierował się w stronę środka klatki, gdzie w niewielkim baseniku pławiła się roślina o korzeniach, pniu i liściach barwy mlecznego opalu i przedziwnych kielichach kwiatowych. Ariel zdawało się, że korzenie nieznacznie falują, podobnie jak mięsiste liście, gdzieniegdzie nadgryzione przez owady. Same kwiaty miały kształt smukłych dzwonków o postrzępionych brzegach, strukturą zaś przypominały zielonkawy bursztyn, który szalony ogrodnik skropił płynnym złotem. Treesh szedł powoli; uważnie stawiał stopy, nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów, ale Ariel zobaczyła, jak bardzo się skupił. Dotarłszy w końcu do rośliny, powoli wyciągnął rękę i bardzo ostrożnie oderwał jeden z kwiatów. Motyle pozostawały nieruchome. Chłopak odwrócił się ku wyjściu i wtedy kobieta zobaczyła jego bladą, spoconą twarz i drżące ręce. Zerknęła na Sheridana. Ten obserwował dzieciaka z zainteresowaniem i napięciem w oczach, które zmieniło się w rozczarowanie w chwili, gdy Treesh opuścił klatkę.

„Obyś zdechł, ty draniu” – pomyślała i rzuciła mroczniakowi spojrzenie pełne obrzydzenia.

– Drań? Może i tak, ale ZDUMIONY – odparł Sheridan z uśmiechem. – Widzisz, to, że nie pamiętam imienia tego gówniarza, nie oznacza, że zapomniałem, jak świetnie potrafi przystosować się do środowiska, jak genialnie radzi sobie w klatkach i jak fachowo zajmuje się motylami. Tak, dostarczył mi rozrywki, wchodząc do sheridianów, mimo że doskonale wiedział, czym grozi obecność intruza w ich wolierze. Zwłaszcza gdy nie śpią. Świetnie, że się o niego troszczysz, ale musisz wiedzieć, że on to robi codziennie. I jeszcze jedno: uwierz mi, ale Treesh nie wykazałby takiej troski o ciebie. Zresztą zaraz się przekonasz. Treesh!

– Tak, panie.

– Oddaj kwiat.

Dziecko posłusznie wyciągnęło rękę.

– Gelus!

– Panie.

– Idź do korytarza więziennego i przyprowadź mi... – mroczniak chwilę się zastanawiał – ...na przykład lokatora celi numer czternaście.

„Lokatora? Niewczesny żart!”.

– Oj, Ariel, nie czepiaj się słownictwa – zachichotał. – No dobrze, niech będzie „gościa”. Brzmi lepiej? Ugościmy go zatem odpowiednio.

W oczekiwaniu na powrót gelusa mroczniak odłożył kwiat na stół koło wielkiej dymiącej misy i zaczął przegląd klatek i roślin, od czasu do czasu wydając nowe instrukcje dla Treesha, które pojawiały się na czerwonej marmurowej tablicy. Tymczasem Ariel bez słowa obserwowała poczynania Sheridana. Już wiedziała, że

nie wolno jej formułować żadnych myśli w jego obecności. Jedynie uczuć nie potrafiła kontrolować, zwłaszcza gdy mroczniak za każdym razem, kiedy patrzył na nią, uśmiechał się kpiąco. Wyczuwał jej gniew i nienawiść – i to bawiło go coraz bardziej.

W końcu drzwi komnaty otworzyły się ponownie. Stanął w nich mężczyzna średniego wzrostu, na oko pięćdziesięcioletni. Miał rzadkie włosy spięte w niechlujny kucyk, kilkudniowy zarost, brudne ubranie i worki pod oczami. Ogarnął pozbawionym emocji wzrokiem kobietę w ekskluzywnym fotelu, klatki, zwierzęta, a w końcu i samego właściciela rezydencji. Dopiero widok Sheridana wytrącił mężczyznę z równowagi. Ariel ujrzała, jak zaciska szczęki i mnie palcami skraj koszuli. Tuż koło jego nogi przycupnął gelus i obcesowo dźgnął go pazurem w goleń, a wtedy ten zrobił kilka kroków. Nie pamiętała, by widziała tego faceta w korytarzu. Tymczasem mroczniak uśmiechnął się nieznacznie.

– Treesh, twoja kolej, przygotuj się.

Mały natychmiast przerwał prace przy motylach i zastygł w pełnej oczekiwania pozie. Sheridan podszedł do mężczyzny, objął go niczym przyjaciela i uśmiechem zachęcił, by podążył za nim. Przechodząc koło Ariel, mroczniak puścił do niej oko i przekazał telepatycznie:

„Baw się dobrze!”.

Stanęli na środku pomieszczenia. Sheridan pochylił się i szepnął tamtemu coś na ucho, gładząc go przy tym po policzku. Uśmiech rozświetlił twarz mężczyzny, ręce powędrowały ku guzikom brudnej koszuli i facet zaczął kołysać się do rytmu nieistniejącej muzyki, nonszalancko odrzucając ubranie na bok. Mroczniak tymczasem oglądał całą tę scenę jak niezłą komedię,

od czasu do czasu udając, że bije mu brawo. Widząc odrazę w oczach Ariel, zarechotał w myślach:

„Wy, ludzie, nazywacie to striptizem? Podpatrzyłem to w jednej waszej knajpie. Nie podoba ci się? To czekaj, podkręcimy mu ruchy".

Zaczął rytmicznie pstrykać palcami, a wtedy więzień uniósł ręce nad głowę i przez chwilę wił się zmysłowo.

– Daj mu spokój!

– Rany, kobieto, ty w ogóle nie masz poczucia humoru?!

Mroczniak pstryknął jeszcze raz i facet się ocknął. Zrozumiał, że stoi goły w pomieszczeniu pełnym różnych istot, i odruchowo się skulił.

– To, co dla ciebie jest zabawą, dla mnie, a przede wszystkim dla niego, jest poniżaniem.

– Nawet będąc w opresji, nie przestaniesz gadać i pouczać innych? A może jesteś po prostu zbyt głupia, żeby zrozumieć powagę sytuacji? Zbyt ograniczona, żeby uświadomić sobie, że to nie była zabawa, a zwiastun nadchodzącej mrocznej przyszłości, odzianej chwilowo w komediowe szaty? Może przeceniam twoje zalety i powinienem od razu...

– Zabić mnie? Zrób to, tylko uwolnij mnie wreszcie od twojego żałosnego widoku!

Sheridan z uśmiechem pokręcił głową.

– Czy ja czasem nie wspominałem, że nie mówimy o śmierci? To będzie coś DUŻO ciekawszego. Ale o tym potem.

Odwrócił się w kierunku mężczyzny.

– Gotowy?

I nim ten zrozumiał, co się dzieje, mroczniak szepnął *cadero* i podłoga pod mężczyzną zaczęła z cichym zgrzytem się zapadać. Kolejne zaklęcie uwięziło go w pułapce. Nie trwało to jednak długo. Płyty obniżyły się nieznacznie i raczej pochyliły, tworząc stromą płaszczyznę. Mężczyzna dygotał na całym ciele, z trudem starając się utrzymać równowagę. Sheridan stanął tuż przed nim.

– Nie będzie ci łatwiej, jeśli uklękniesz? – zapytał, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wykonał jakiś gest i ryknął: – Na kolana!

W następnej sekundzie Ariel ujrzała podbiegającego do mężczyzny...

– Treesh? Treeeesh! Niee!

Ale dzieciak zdawał się jej nie słyszeć. Ujrzała w jego ręku bat o pięciu rzemieniach zakończonych drapieżnymi pyskami i natychmiast zacisnęła powieki. Nie zobaczyła, jak Treesh bierze solidny zamach i opuszcza bicz na plecy więźnia. Usłyszała jedynie skowyt tamtego. Niemal zemdliło ją, gdy nozdrza zaatakował słodki zapach krwi. Po chwili otworzyła oczy i przez łzy ujrzała, podobnie jak kiedyś we śnie, czerwone plecy więźnia i strużki krwi spływające po płytach ku rynience w podłodze. Bat raz po raz opadał ze świstem. Dzieciak zdawał się mieć niespożyte siły, lecz w końcu i on się zmęczył. Zerknął ukradkiem na swego pana, a ten nagrodził go uśmiechem i odesłał na bok. Gestem przywołał gelusa, a wtedy jęki więźnia zabrzmiały całkiem inaczej. Teraz już rzeka krwi popłynęła do baseniku z krzewem baylee w wolierze sheridianów.

– Nie. – Szloch Ariel zagłuszały jęki mężczyzny. – Nieee! – wrzasnęła w końcu na całe gardło. – Daj mu spokój, ty cholerna karykaturo elfa!

Wściekły ryk wypełnił całe pomieszczenie. Czas przyspieszył niczym startująca rakieta. W ułamku sekundy zaklęcie wyrzuciło faceta ze śliskiej od krwi pułapki. Rąbnął o przeszkloną ścianę i zjechał po niej, zostawiając mokry szkarłatny ślad. Następny urok cisnął Ariel na jego miejsce, rozdarł na plecach materiał koszuli. Słysząc świst, odwróciła głowę. Metaliczne końcówki bata leciały ku niej w zdumiewająco spowolnionym tempie. A może to ona poruszała się tak szybko? Zdążyła się skulić, osłonić głowę rękoma. Krwiożercze zęby rozorały jej plecy, a ból niemal zamroczył.

– Gelus, dość!

I straciła przytomność.

– Brawo! – usłyszała sarkazm w tak znajomym, choć zdyszanym głosie, gdy po chwili się ocknęła. – Udało ci się mnie sprowokować, ale, jak widzisz, jedyne, co osiągnęłaś, to dodatkowe rany. Kręci cię ból? A może myślisz, że mi uciekniesz, jeśli cię zabiję? – Z jękiem usiadła. To, co powiedział, brzmiało kompletnie niedorzecznie. – Nic z tego, skarbie. Zbyt wiele dla mnie znaczysz, żebym zrobił coś tak głupiego. Gelus!

– Panie.

– Niezależnie od tego, co ta kobieta uczyni, nie wolno ci jej zabić, jasne? Powiem więcej, zabijesz każdego, kto chciałby zabić ją!

– Panie?

Ariel mogłaby przysiąc, że gdyby miniaturowy sadysta umiał choć trochę okazywać uczucia, na jego potwornej buźce malowałyby się teraz szok i niedowierzanie. Jak to, jemu, stworzonemu do mordowania, każe się chronić życie? Kryształowe

oczy raz po raz spoglądały to na Sheridana, to na nią, w końcu istota szepnęła:

– Tak, panie, jak każesz.

Mroczniak sapnął kilka razy i pogładził się po brodzie. Niby był już spokojny, lecz w jego wzroku nadal widziała złość. Otaksował wzrokiem jej plecy.

– Robię to tylko dlatego, że bardzo lubię ten fotel, nie ciebie. – Usłyszała brzmiące niczym szelest listowia uzdrawiające zaklęcie *sanabo* i rany natychmiast się zasklepiły. Sheridan głęboko odetchnął i znów *movere* przeniosło ją do wnętrza srebrnej kuli. Zacisnęła zęby. Do czego zmierza ten mroczniak? Co jeszcze chce osiągnąć?

– No dobrze, czas przejść do sedna sprawy. Jeszcze tylko...

Ujrzała w jego ręku zielonkawozłoty kwiat baylee.

– Gelus! Twoja nagroda! – Wskazał wzrokiem leżącego pod ścianą nieprzytomnego mężczyznę. Istota rzuciła się w tamtym kierunku, a Ariel natychmiast pożałowała, że nie zdążyła odwrócić głowy czy choćby na czas zamknąć oczu. Ten ułamek sekundy wyrył w jej pamięci obraz potworka wygryzającego dziurę w gardle ofiary i kąpiącego się w wypływającej z tętnic krwi. Kobieta przechyliła się przez poręcz fotela. Jej trzewiami szarpnęły mdłości, a uszy wciąż atakowały odgłosy mlaskania kata i rzężenia ofiary. Po chwili wszystko ucichło, lecz ona nadal nie miała odwagi otworzyć oczu.

– Właśnie takiego będziesz miała nadzorcę. Nie każę ci się z nim zaprzyjaźniać, ale go doceń, bo jest specjalistą w tym, co robi. Będzie cię chronił i wspomagał, jeśli zajdzie taka konieczność.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Wspomagał?

Nic nie odpowiedział, tylko kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu. Znów pogładził jej rękę. Nagle jego dłoń wykonała szybki ruch i kwiat wczepił się w jej nadgarstek, przebił tętnicę i przybrał kształt lejka. Nie zabolało. Prawdę mówiąc, nic nie poczuła, jedynie ręka jakby przyrosła do fotela. Sheridan stał tuż obok, trzymał jej drugą dłoń i obserwował wszystko uważnie. Spojrzała na niego, a potem na kwiat, którego postrzępione końce płatków falowały i błyszczały niczym wody jeziora o zachodzie słońca. Ariel była bardzo spokojna, nawet gdy Treesh podszedł z kryształowym pucharem i podstawił go pod jej rękę. Nagle kwiat eksplodował iskrzącym obłokiem, wnętrze pucharu wypełnił brylantowy pył. Zrozumiała, że filtruje jej krew. Kiedy całe naczynie wypełniło się błyszczącymi drobinkami, mroczniak położył rękę na ramieniu chłopaka. Ten zamknął puchar wieczkiem i natychmiast podstawił zieloną dymiącą i wirującą misę.

– C-co robisz? – szepnęła z trudem.

– Nic, co powinno cię martwić. Spokojnie, przechowam te klejnoty do czasu twojego powrotu – odparł niemal czule Sheridan. – Bo widzisz, zanim przedstawię cię Claylandowi, musisz coś jeszcze dla mnie zrobić. A dla kogoś, kto ma tyle qselinium we krwi, to nie powinno być trudne. Jeśli dodatkowo połączymy to z moim wynalazkiem... Odpręż się. Jeszcze tylko jeden mały zabieg i będzie po wszystkim.

Skierowała wzrok na dymiące naczynie. Wisząc w powietrzu, ciągle obracało się wokół własnej osi. Wydobywające się z niego pasma zielonkawego gazu zaczęły splatać się niczym warkocz,

a potem w tej postaci były delikatnie zasysane do wnętrza kielicha kwiatowego i stamtąd wprost do jej krwi...

– Zwiała?! – wydarł się Marcus i przydusił Jareda za kołnierz do ściany. – Nie pieprz mi tu, że zwiała, bo to NIELOGICZNE, rozumiesz?! Skoro była pewna, że szukacie dla niej transportu, po co miałaby uciekać? I niby JAK, jeśli nie ma już żadnych czarnoksięskich mocy, a wszystko jest pozamykane?

– Ale...

– Żadnego „ale”! Oszukałeś nas! Wmówiłeś, że ją spotkałeś, że ma kłopoty i ją ochraniasz! Po co?!

– Marcus, puść go. – Amanda położyła dłoń na jego ramieniu, wyciszyła urokiem negatywne emocje. – Ona naprawdę tu była. Jared nie kłamie. Spójrz na okno.

Napad wściekłości minął, frustracja została. Marcus odetchnął głęboko kilka razy, przeczesał palcami włosy i popatrzył na nich jak ktoś, kto dopiero co się ocknął.

– Wybacz, nie wiem, co mnie napadło – szepnął. Na parapecie okna zobaczył znajomą torbę i zrobiło mu się głupio.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Cała piątka stała pośrodku poddasza, zachodząc w głowę, co się mogło wydarzyć. Mansardę zastali w dokładnie takim samym stanie, w jakim ją zostawili. „Oglądacz” grał cicho, twórczy bałagan z ciuchami na wieszaku nadal groził katastrofą, a na

stoliku tkwiły talerz z niedokończonym śniadaniem, kubki z resztkami kawy i puste opakowanie po serku homogenizowanym. Skotłowany koc na fotelu zdawał się mówić, że osoba, która go opuściła, lada moment wróci, tyle że Ariel nie było. Po chwili milczenia Kay palnął:

– Może zmieniła się w pająka i przyczaiła gdzieś w kąciku?

– A może ty wleziesz do najbliższego jeziora i poszukasz tego idioty trytona, który mieni się twoim ojcem, a potem go wykastrujesz, żeby mu więcej nie wpadło do głowy płodzić takich kretynów jak ty? – zaproponował Tony. – Przypominasz sobie, pleśniomózgi, żeby Ariel wykonywała jakieś czary przy nas? Albo żeby próbowała uciekać? Marcus ma rację, ta teoria o ucieczce nie trzyma się kupy.

– No dobra, ale gdzie w takim razie jest? – Kay nie poddawał się tak łatwo. – Wodniki wyciągnęły ją przez rurę w kiblu?

Wszyscy odruchowo zerknęli w stronę łazienki.

– Zaczyna nam odbijać – mruknęła Amanda. – Ktoś ma jakiś pomysł?

Chłopaki zerknęli po sobie, Marcus nerwowo podrapał się w czuprynę, a Jared... wziął torbę Ariel z okna, włożył płaszcz i idąc do drzwi, rzucił:

– Tylko dziwolągi będą w stanie ją namierzyć. A kto wie, może ona jest u nich? Nie mamy wyjścia, czas skontaktować się z yerminem i resztą.

– Dziwolągi? – spytał Marcus.

– Ariel tak ich nazywa. W rzeczywistości to zbieranina istot różnych gatunków, które wierzą w tę całą gównianą bajkę zwaną cyborium.

Zobaczył, że Marcus i Amanda porozumiewają się wzrokiem.

– Nie rozumiecie? Mit o cyborium krąży na tym terenie od lat. To jedna wielka bzdura, ale są tacy, którzy święcie w nią wierzą: właśnie dziwolągi, yermin, niektóre mroczniaki i Sheridan. Wśród was, ludzi, też jest znana legenda o Świętym Graalu, ale większość wie, że to kit, i nikt go nie szuka. No więc cyborium jest takim Świętym Graalem dla Sheridana i pozostałych. Co z tego, że to bajka? Oni mają to gdzieś. Podporządkowali jej całe swoje życie. Może któraś z tych grup ma Ariel, bo do tej pory musieli już załapać, gdzie się ukrywa. Osobiście wolałbym pomocników yermina. Z nimi przynajmniej można próbować się dogadać.

– Do tej pory to raczej ty ukrywałeś się przed nimi – powiedziała ostrożnie Amanda.

– Unikałem ich. Pokojowy ze mnie facet – zadrwił Jared. – Niespieszno mi do wojaczki z Sheridanem, bo...

– ...bo to on uciął ci skrzydła. Bardzo cierpiałeś, przeraźliwie się go boisz i doskonale wiesz, że w starciu z nim nie masz żadnych szans – dokończyła za niego dziewczyna i szybko ugryzła się w język.

– Bo po prostu NIE WIERZĘ w cały ten legendarny bajzel, ale dziękuję za błyskotliwą analizę mojej osobowości.

Zacisnął usta i podejrzanie szybko zamrugał.

„Na Wielkiego Xaviere'a! Jest bardziej tchórzliwy niż zwykły faun. No ale jeśli tamten facet rzeczywiście użył topora..." – pomyślał Marcus pod osłoną zaklęcia adger i zrobiło mu się żal harpii. Amanda, Tony ani Kay też jakoś nie mieli ochoty ciągnąć tematu utraconych przez Jareda skrzydeł. On sam odetchnął kilka razy głęboko i wrócił do wyjaśniania.

– Pamiętasz, Marcus, jak ci tłumaczyłem, że oni chcą czegoś od Ariel? Nazywają to ekstrakcją.

– Znaczy się będą wyrywać jej zęby? – mruknął Tony i natychmiast dał w zęby Kayowi, słysząc jego chichot.

– Nie. – Tym razem Jared zupełnie nie przejął się tarmoszącymi się chłopakami. – Ekstrakcja to wyodrębnianie. Oni wierzą, że cyborium jest nosicielem czegoś dla nich cholernie ważnego, i zamierzają to coś z niego, to znaczy z Ariel, wydobyć.

– Pamiętam. Mówiłeś też, że nie wiesz, co to takiego – mruknął Marcus, przytrzymując boksujących się braci za karki.

– Ale podejrzewam, jak to się skończy – odparła harpia i spojrzała na niego tak ponuro, że aż się wzdrygnął. – Jeśli więc jest u dziwolągów, trzeba ją szybko stamtąd wydostać. Ale jeśli jej nie mają, to nic nie da im większego kopa do działania niż informacja, że być może pojmał ją Sheridan. Ze swoimi możliwościami znajdą ją szybciej niż my.

– Chłopaki, spokój w końcu! – warknął Marcus i dodał ostrożnie: – Zakładając, że ją znajdą...

– ...Amanda zatrzyma ich zaklęciami, a wtedy ty wywieziesz ją z miasta. Proste? Aha, na koniec drobna uwaga: yermin, taki rudzielec, to ich przywódca. Cholernie dobrze potrafi czytać w myślach, więc jeśli umiecie zablokować mu dostęp...

– Zaklęcie adger może być?

– Nie znam. Skuteczne?

– W moim świecie wystarczało.

– Przekonamy się. Lepiej nie zdradzać yerminowi za wiele. A wy, chłopaki... możecie po prostu NIE myśleć?

Kiedy jakąś godzinę później dotarli do siedziby dziwolągów, wszystko przestało być proste.

– Proszę, proszę, Jared, jednak postanowiłeś sprawić nam zaszczyt i odwiedzić nas w naszych skromnych progach – zakpiła ciemnowłosa ślicznotka w błękitnych połyskliwych legginsach, która otworzyła im drzwi. Szybko jednak umilkła, widząc, że harpia nie jest sama. Otaksowała bezceremonialnie wzrokiem chłopaków i Amandę. Tylko Marcusa nie dostrzegła, bo stał za pozostałymi, na dodatek zasłonięty przez filar. Kobieta spojrzała pytająco na Jareda, nie przestając żuć gumy.

– Cześć, Carol. My do yermina.

– Tiaa? Nie znam – mruknęła, udając, że usuwa nieistniejący brud spod paznokci.

– Słuchaj, ja wiem, że nasza dotychczasowa współpraca...

– Nie istniała? Przypominam, słoneczko, że to ty nas olałeś, i to w dość chamski sposób. Teraz nagle zaczęło ci na nas zależeć? Pióra w ogonie ci się zajarały? Szukasz obrońców, tchórzliwy wypierdku?

Jared zaniemówił, tylko jego twarz przybrała kolor dorodnej piwonii. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu i ktoś delikatnie odsunął go na bok.

„Czekaj, stary, sam z nią pogadam” – przekazał Marcus na prywatnym kanale i wyłaniając się zza filaru, powiedział już na głos:

– Szukamy Ariel. Wiesz, o kim mówię...

Nie dokończył jednak, gdyż na jego widok kobieta wrzasnęła histerycznie i... natychmiast zakrztusiła się gumą. Zaczęła kasłać, dusić się i spazmatycznie łapać powietrze. Przyjaciele patrzyli na

nią niewzruszeni. Marcus też odczekał chwilę, a kiedy uznał, że dostała już nauczkę, solidnym klepnięciem w plecy pomógł jej pozbyć się intruza z gardła.

– Uciekać, Sheeridaaan! – wydarła się, ile sił w płucach.

– Zaczyna mnie już nudzić to podobieństwo – mruknął Marcus, a chłopaki, harpia i Amanda tylko się uśmiechnęli. Mężczyzna złapał wierzgającą Carol wpół, zamknął jej usta ręką i wysyczał wprost do ucha: – Nie bardzo mam czas dwa razy tłumaczyć, więc wysil swoją śliczną główkę i skup się na tym, co teraz powiem. NIE JESTEM Sheridanem, jasne? – Przez chwilę przyglądała mu się, a potem skinęła potakująco głową. – Super. Ariel jest moją... – szukał odpowiedniego słowa.

– ...żoną – podpowiedział mu Jared.

– No właśnie. Zniknęła, a mnie cholernie zależy, żeby ją odnaleźć. Więc bądź tak miła i nie wrzeszcz więcej. Głowa zaczyna boleć, gdy wy, syreny, zaczynacie się drzeć jak krasnolud na widok czystych gaci. A teraz zaprowadź mnie do Ariel albo do yermina, zgoda?

Ponownie potwierdziła skinieniem głową, a wtedy ją uwolnił. Nie minął jednak ułamek sekundy, kiedy Carol znowu się wydarła, a na dodatek zaczęła uciekać! Panowie spojrzeli po sobie z konsternacją i może nawet pognaliby za tą histeryczką, gdyby nie Amanda. Stanowczo zagrodziła im drogę, wyciągnęła dłoń za uciekającą kobietą i mruknęła zniecierpliwiona: *immobilitas*. Zaklęcie przeszyło powietrze niczym ogromna iskra i rąbnęło Carol w plecy; syrena zamarła i choć rozpaczliwie poruszała ustami, już żaden dźwięk nie mógł się z nich wydobyć.

– Jeśli idzie o negocjacje z histeryzującymi kobietami, to jeszcze sporo musicie się nauczyć – zakpiła dziewczyna. – Tłumaczenie im czegokolwiek ma tyle samo sensu, ile przekonywanie harpii do przejścia na wegetarianizm.

Widząc, że Jared zerka pytająco na Marcusa, pospiesznie wyjaśniła:

– Do jedzenia wyłącznie sałaty, kochany.

Nie zważając, że te słowa wzbudzają w harpii obrzydzenie, uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła w stronę znieruchomiałej syreny.

– U-umówisz się z-ze mną n-na pizzę? – wyjąkał zachwycony jej wyczynami Tony, gdy go mijała. Natychmiast umilkł, przerażony własną odwagą, a dziewczyna zerknęła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy, i zmarszczyła brwi.

– Właściwie czemu nie?

– I n-nie z-zamienisz mi jajek w z-ziarnka piasku?

Ktoś za jego plecami zachichotał, a po chwili, już zupełnie się z tym nie kryjąc, Jared i Marcus ocierali łzy z uciechy, a Kay trzymał się kurczowo za brzuch. Amanda w mgnieniu oka zrozumiała dowcip, spokojnie podeszła do Tony'ego, nachyliła się i udając, że go całuje, szepnęła mu do ucha:

– Udawaj, że obiecałam ci odlotową randkę. Lubię pizzę z kurczakiem na ostro i dużą ilością sera. Zjemy ją, kiedy będzie po wszystkim. I to na ich koszt. A teraz uśmiechnij się i popatrz, jakie mają głupie miny.

Pogładziła go po policzku, puściła oko i ruszyła dalej. Nie zobaczyła już, jak Marcus i Jared patrzą z uznaniem na chłopaka,

ani nie usłyszała okrzyku „*oh yeah!*” w wykonaniu Kaya, któremu towarzyszył uniesiony do góry kciuk.

– Ty! – rzuciła do syreny. – Rusz łuski i zaprowadź mnie w końcu do szefa! A jak usłyszę, że znowu otwierasz buzię...

– Nie musisz jej grozić, Amando – rozległ się cichy głos i ujrzała przedziwną postać ze strzechą rudych kłaków na łbie oraz parą niewielkich różków wystających spomiędzy nich. – Jestem yerminem. Macie do mnie sprawę.

Dziewczyna zmrużyła oczy. Skąd zna jej imię? Przypomniała sobie, co Jared o nim mówił, i natychmiast zastosowała zaklęcie adger.

– Kuzyn Krespiana?

– Nie znam go, choć jego obraz w twoim umyśle był szalenie interesujący. Rzeczywiście, nasze podobieństwo jest uderzające, niczym tego mężczyzny do Sheridana. Ciekawe. – Choć te słowa wyszeptał, rozniosły się zwielokrotnionym echem po całym holu. Wszystkim zebranym dreszcz przebiegł po plecach. Oni też osłonili umysły zaklęciami. Istota pstryknęła palcami, a wtedy uwolniona syrena umknęła, przeklinając pod nosem.

– My w sprawie Ariel... – zaczął ostrożnie Jared.

Yermin przez chwilę patrzył na harpię nieprzyjaznym wzrokiem.

– Ta kobieta już nas nie interesuje – powiedział cierpko, czując, że nie zdoła przebić się przez osłonę telepatyczną Jareda.

– Ale NAS tak! – odparli równocześnie Marcus z Amandą.

Teraz yermin zerknął na nich, wzruszył ramionami i wskazał harpię.

– To sobie ją weźcie. Zdaje się, że mieszka u naszego pierzastego przyjaciela. Jared, jestem zdumiony, że po tylu miesiącach unikania mnie nagle wpadłeś na ryzykowny pomysł, żeby tu przyjść i jeszcze przyprowadzić istoty, którym nie mam powodu ufać. Zwłaszcza jemu. – Palec rudowłosego wystrzelił w stronę Marcusa. – Co się stało? Zrozumiałeś, że tylko z nami będziesz bezpieczny? A może w końcu odzyskałeś odrobinę godności i postanowiłeś nas wesprzeć w walce z mroczniakami? Może dowiedziałeś się też, że...

– Yermin, czy jak tam masz na imię – przerwał mu zniecierpliwiony Marcus, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że nieświadomie powtarza słowa Ariel – przestań, do cholery, wylewać żale i skup się na tym, co mówimy. Podobno zawsze jesteś o wszystkim świetnie poinformowany, więc nie kompromituj się niewiedzą ani nie traktuj nas jak bezmózgie trolle. Gdyby Ariel była u Jareda, nie przyszlibyśmy tutaj. Wiesz o tym doskonale, więc po co ten teatr?

– Już kiedyś JEJ to tłumaczyłem, ale widzę, że i tobie muszę: yermin to gatunek, nie imię – syknął tamten nieco poirytowany. – A teraz oświeć mnie, czemu nadal powinienem interesować się tą kobietą?

– Może dlatego, że uważasz ją za cyborium.

– Cyborium? Świetna bajka, ale czy ktoś z tu obecnych w nią wierzy, sheridanopodobny? – zadrwił.

– Mam na imię Marcus – warknął mężczyzna. – A skoro ty nie chcesz nam podać swego imienia, będę nazywał cię Krespianem. Słuchaj więc, Krespianie, Ariel zniknęła z mieszkania Jareda. Nie

miała powodu tego robić ani nie zabrała swoich rzeczy, sądzę więc, że ją porwano. Jeśli jest u ciebie, grzecznie proszę, oddaj ją.

Zaległa cisza, którą przerwała Amanda.

– Pan yermin jej nie ma, Marcus – powiedziała, a yermin zerknął na nią zaskoczony; natychmiast dla wszystkich stało się jasne, kto pokonał czyją osłonę telepatyczną.

„Tak, yermin, ja też całkiem nieźle czytam w myślach. Zastanawiasz się właśnie, jak zaspokoić swą ciekawość, a jednocześnie wyjść z twarzą z tej sytuacji i nie eskalować przemocy. Odpowiedź jest banalnie prosta: zaproś nas do podziemnego salonu, ugość herbatą, pozwól wyjaśnić sytuację. Potem zdecydujesz, czy zechcesz nam pomóc. Nie jesteśmy twoimi wrogami" – przekazała telepatycznie i uśmiechnęła się do niego słodko. Potem już na głos dodała:

– Rozumiemy, że pana czas jest cenny, lecz bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdyby zechciał nam pan poświęcić minutkę.

„Dyplomację masz opanowaną do perfekcji, Amando – teraz yermin uśmiechnął się do dziewczyny – ale czemu miałbym się zgodzić?".

„Bo gdyby się okazało, że moja matka jednak jest cyborium, a Sheridan, twój największy wróg, ją ma, nie wybaczyłbyś sobie tego do końca życia, który może nadejść... już niedługo".

Ich spojrzenia się spotkały. Jared z Marcusem z niepokojem obserwowali ten ich telepatyczny pojedynek, ale przezornie postanowili się nie wtrącać. Nagle w drzwiach do najbliższego pomieszczenia stanął niski, krępy mężczyzna o sumiastych wąsach pod kartoflowatym nosem. W ręku trzymał ogrodowe

grabie na dziwnie krótkim i potężnym trzonku. Spojrzał spode łba na przybyłych i mruknął:

– Zagrabić liście, yermin? Hę?

– Nie, Clive, na razie nie ma powodu. – Rudzielec nawet na niego nie zerknął. – Co do was... – westchnął. – Żeby już nie przeciągać tej rozmowy, bo sytuacja mnie nagli, powiem, że przestaliśmy uważać Ariel za cyborium, odkąd Sheridan dał jej spokój. Nie potwierdziła się informacja, że pokonała góry. Ona tylko tak bredziła pod wpływem zaklęć. Co do mroczniaka, zainteresował go pewien mężczyzna, który przez ten wąwóz przeszedł. Teraz to tego człowieka szukamy.

Amanda próbowała coś powiedzieć, ale harpia wpadła jej w słowo.

– Pomóż nam ją odnaleźć. Wiemy, że możesz.

– Jared, ja TEŻ to wiem! Nie słuchałeś mnie wystarczająco uważnie: dla mnie najważniejsze jest cyborium. Masz chociaż blade pojęcie, co się stanie, jeśli Sheridan dorwie je pierwszy? Jasne, że nie, bo tak uroczo nas zlekceważyłeś, gdy chcieliśmy ci pomóc. Akurat ciebie prosiłbym o nieotwieranie dzioba, bo szkodzisz sytuacji, zamiast pomagać.

– Czemu sądzisz, że tamten facet jest cyborium, a nie mama? – zapytała Amanda.

– Bo przez twoją matkę straciliśmy kilka zacnych istot i dwie kryjówki. Mam prawo sądzić, że wydała je z premedytacją. I uwierz mi, dziecino, jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, ja TEŻ zacznę jej szukać – wycedził.

– Jeśli mówisz o Aeryn, Ariel jej nie zabiła – wtrącił Jared.

– A byłeś przy tym?

– N-no nie, ja ją tylko pochowałem, ale...

– No właśnie!

– Ariel nigdy...

– Prosiłem, żebyś trzymał dziób na kłódkę, a ty uparłeś się gadać! – warknął yermin i zerknął na Clive'a. – Proponuję waszej piątce pospieszyć się z szukaniem tej kobiety, bo gdy tylko załatwię sprawę cyborium...

– Zagrabić liście, yermin?! – W głosie krasnoluda było coś, co dało Amandzie do myślenia. Spojrzała na faceta, przygryzła usta. Nagle olśniło ją, położyła dłoń na ramieniu harpii i powiedziała cicho, ale dobitnie:

– Dziękujemy za pomoc, yermin. Było miło.

A potem niemal siłą wyprowadziła Jareda na zewnątrz. Chłopaki posłusznie podreptali za nią. Zamykający pochód Marcus zatrzymał się jeszcze i rzucił przez ramię:

– Mylisz się co do Ariel. Może i nie jest tym waszym cyborium, ale z pewnością nikogo w tym mieście nie zabiła ani nie wydała. I wiem, że przeszła przez ten cholerny wąwóz...

– Niby czemu miałbym ci wierzyć, sheridanopodobny?

– Bo zostawiła mi wiadomość na komórce.

Patrząc ponuro na Clive'a i yermina, pomyślał:

„Po co się zgadzałem, żeby szukała Amandy? Sam mogłem pójść. A wszystko jak zwykle przez Xaviere'a. Gdyby setki lat temu nie zachciało mu się uciekać przez góry z tego pieprzonego Morren...".

– Xaviere? – usłyszał szept.

– Co? – Nie zrozumiał pytania yermina.

– Kto to był Xaviere?

– Ojciec Ariel. – Marcus wzruszył ramionami. – A, no tak, nie wspomniałem, że sam mieszkałem za wąwozem. W moim świecie Xaviere był potężnym czarnoksiężnikiem. Najpotężniejszym. LEGENDARNYM. Podobno pochodził z Morren, ale z jakiegoś powodu uciekł stąd setki lat temu. Dał Ariel swój morganit, taki kamień... Zresztą teraz to i tak bez znaczenia. A ty – wskazał palcem rudowłosą istotę – mylisz się co do niej, i to bardzo! Pa!

Drzwi zatrzasnęły się za nim, a zszokowany yermin nadal tkwił pośrodku holu, nie będąc w stanie choćby mrugnąć. Kiedy wreszcie dotarły do niego znaczenie słów mężczyzny i związane z tym konsekwencje, wyskoczył na zewnątrz, lecz Marcusa już tam nie było. Pospiesznie wrócił do kwatery.

– Clive! Narada! Zwołaj wszystkich! No juuuż!

– Skąd ta szybka ewakuacja? – zapytał Kay.

– A widziałeś, co ten krasnolud trzymał w łapskach? – odpowiedział mu pytaniem Tony.

– No, grabie.

– A chciałbyś być liściem do zagrabienia? Gdzie ty masz oczy, pleśniomózgi, to był topór. Masz pojęcie, co krasnoludy potrafią nimi robić?

– O kurczę! A Jared jeszcze dolewał oliwy...!

– Przestańcie trzepać ozorami – ofuknęła ich Amanda. – Topór nie topór, traciliśmy tam tylko czas. Musimy się zastanowić, co

dalej.

Byli już niemal przy rynku, kiedy dołączył do nich Marcus. Dla bezpieczeństwa dziewczyna nieco zmodyfikowała rysy jego twarzy. Cała piątka przysiadła na ławeczkach ustawionych wokół stolika z wbudowaną szachownicą, opodal cudacznego drzewa.

– Szkoda, że dziwolągi nie zechciały nam pomóc, ale przynajmniej wiemy, że jej nie mają – zagaiła Amanda.

– Jesteś absolutnie pewna? – zapytał Jared.

– Nie tylko yermin umie przenikać umysły – zachichotała. – Tyle że dalej nie wiadomo, gdzie jej szukać. A tak swoją drogą, czemu oni darzą cię taką miłością?

Harpia zaczęła się wiercić, jakby cierpiała na poważną inwazję piórojadów w okolicy ogona. W końcu mruknęła: „A jakie to teraz ma znaczenie?" i zdenerwowana podniosła się z ławeczki.

– Jared! – krzyknął Tony. – Może nas oświecisz, gdzie cię niesie?!

– Mam jeszcze jeden pomysł. Chodźcie. Tylko nie wiem, co zrobimy, jak i on nam nie pomoże...

Zaintrygowani ruszyli za harpią. Niemal zgubili ją w tłumie, tak szybko szła mimo swego kalectwa. W końcu dotarli do niewielkiej kamieniczki, także ozdobionej dziwaczną fasadą. Weszli kamiennymi schodami na piętro. Tu Jared chwilę rozglądał się niepewnie, bo drzwi do mieszkań było czworo, a wszystkie pokryte identyczną zgniłozieloną, łuszczącą się farbą. Żadne nie miały tabliczki z nazwiskiem czy numeru. Na dodatek klatka schodowa tonęła w półmroku.

– Nigdy nie pamiętam, które to drzwi. – Harpia uśmiechnęła się przepraszająco. – Chyba te. Oby tylko był w domu.

Zapukała nieśmiało. W oczekiwaniu, aż ktoś im otworzy, zaśmiała się nerwowo.

– On jest bardzo zajęty. Może go nie być i...

Marcus, zniecierpliwiony obawami harpii, sięgnął ponad jej ramieniem w kierunku drzwi i kilkakrotnie huknął w nie pięścią.

– Sądzisz, że jeśli poskrobiesz w drewno jak anemiczny kornik, to ktokolwiek cię usłyszy? – Popatrzył na Jareda z dezaprobatą.

Dało się słyszeć szuranie i po chwili drzwi się otworzyły. Stanął w nich szczupły mężczyzna, na oko trzydziestoletni, o ciemnych splątanych włosach założonych za uszy. Sądząc po porozciąganym T-shircie oraz dresowych spodniach, nigdzie się nie wybierał. Cienie pod oczami i przekrwione białka sugerowały intensywne nocne życie, lecz tylko Jared wiedział, że to od notorycznego przesiadywania w ciemni fotograficznej, a nie knajpach.

– Jared?

– Cześć, Jack. Mamy sprawę, możemy wejść?

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się przyjaciołom harpii, a potem z pewnym ociąganiem odsunął się od drzwi. W holu było równie mało miejsca jak na klatce schodowej.

– Do przodu i na prawo. Salon. Rozgośćcie się – powiedział, bo sam nie był w stanie przecisnąć się, żeby wskazać im drogę.

Mieszkanie, które Jack wynajmował, chociaż niewielkie, w pełni zaspokajało jego skromne potrzeby. Kuchnię połączono aneksem jadalnym z salonem, w którym niemal jedynym meblem była ogromna kanapa ustawiona przed sporym telewizorem zawieszonym niczym obraz na ścianie. Jak każdy singiel, Jack uwielbiał na niej przesiadywać, żeby obejrzeć mecz, pograć na konsoli czy zwyczajnie poczytać. Niejednokrotnie spędzał też na

niej noce, gdy zdarzyło mu się wrócić nad ranem w kiepskim stanie. Wprost chorobliwie uwielbiał ten mebel, stąd świadomość, że ktoś obcy może usadzić na nim swe cztery litery, zabolała go niemal fizycznie, ale dzielnie zaproponował:

– Proszę, siadajcie.

Goście rozejrzeli się z ciekawością. Nie wiedzieli, że do mieszkania należą jeszcze dwie sypialnie, z których jedna została przerobiona na ciemnię i pokój komputerowy. Za to doskonale zauważyli panujący w salonie bałagan. Jak to u singla. Jack też natychmiast to dostrzegł i z przepraszającym uśmiechem zabrał się do porządkowania. Nagle gdzieś z kąta dobiegł ich okropny wrzask:

– Wstawaj, męska cichodaajko!

Kay podskoczył, zahaczając stopą o dywan. Od filmowego wyrżnięcia o stolik uchroniła go Amanda, łapiąc w ostatnim momencie wpół. Wszyscy spojrzeli zdumieni w kierunku, skąd dochodził wrzask. Na długiej żerdzi siedział szaro upierzony ptak wielkości sporego gołębia. Kiedy znudziło mu się obrzucanie ich inwektywami, złapał w łapę spory kawałek jabłka, odwrócił się do nich tyłem i zaczął z werwą dziobać owoc.

– Spadek po wujku rozpustniku – mruknął przepraszająco Jack. – Żaden weterynarz nie chciał uśpić tej cholery. Przepraszam za... – Pokiwali ze zrozumieniem głowami, a on szybko zmienił temat. – Jared, może przedstawisz mi swoich przyjaciół! – krzyknął, znikając na moment z naręczem brudnych ciuchów w łazience.

– Jestem Amanda. Będzie szybciej, jak ci pomożemy! – odkrzyknęła zamiast Jareda dziewczyna. I rzeczywiście już po

chwili wszyscy zgodnie zabrali się do sprzątania.

– To jest Marcus. – Harpia wskazała na mężczyznę, który bezskutecznie starał się zmusić poduszki na kanapie do wojskowej dyscypliny, co było niełatwe, bo ciągle coś pod nimi znajdował. Jack doskoczył do niego dokładnie w tym momencie, gdy były oficer wyciągnął spod jednej z nich i podniósł dwoma palcami na wysokość oczu jakąś kombinację sznurków, lateksu i bordowej koronki, a drugą rękę zacisnął na tubie z napisem „jadalna czekolada do ciała".

– Czy to... – zaczął zdumiony.

– A tyle ich szukałem! Dzięki – mruknął Jack z głupawym uśmiechem i natychmiast schował obydwie zguby do kieszeni spodni. Równie stanowczo odebrał Marcusowi kilka płyt DVD. Jared udawał, że nic nie widzi, choć jego mina świadczyła o czymś zgoła odwrotnym.

– To są Tony i Kay – wskazał chłopaków wynoszących szklanki do kuchni i zamiatających podłogę. Natychmiast wyszczerzyli zęby do Jacka, ewidentnie zachwyceni jego stylem życia. – Ludzie, ekhm, to znaczy wszyscy! Poznajcie Jacka Roveena.

Gorączkowa krzątanina trwała jeszcze kilka minut. Gdy wreszcie butelki po napojach, opakowania po przekąskach i inne odpadki wylądowały w śmietniku, brudne naczynia znalazły się w zmywarce, a piramidę czasopism i książek dało się ułożyć tak, aby nie zagrażała otoczeniu, ponownie usiedli na kanapie i fotelach. Na stoliku pojawiły się kubki z gorącą kawą i półmisek z ciastkami. Rzucili się na nie niczym głodne hieny. Jack też sięgnął po kubek.

– Dobra, to co was właściwie do mnie sprowadza? Bo raczej nie trudnicie się sprzątaniem domów singli – przeszedł do rzeczy.

– No właśnie, co? Zdaje się, że tylko ty, Jared, wiesz, jak Jack może nam pomóc – skwitował Tony.

Wszyscy wpatrzyli się w harpię i zamarli w oczekiwaniu.

– Okej – zaczął Jared. – Jack to mój przyjaciel. Znamy się, odkąd...

– ...znalazłem cię jakiś czas temu wycieńczonego w ciemnym zaułku. – Mężczyzna się uśmiechnął.

– I pomogłeś mi zacząć wszystko od nowa – dodał cicho Jared, ale potem jakby się ocknął i kontynuował dużo pewniejszym głosem: – Wiele mu zawdzięczam. To świetny facet i...

– Przestań, bo mi ego tak podskoczy, że zostawi ślad na suficie!

– ...niezły infomortyk.

– Chyba informatyk – zachichotał Tony. Pozostali też się uśmiechnęli.

– A piejesz tak na jego cześć, bo to twój chłopak? – zainteresował się Kay i natychmiast dostał za to w ucho od Marcusa.

– Szanuj gospodarza w jego własnym domu.

– No co? Ja tylko...

– Ech, pleśniomózgi, czasem zastanawiam się, po co natura dała ci struny głosowe. – Tony pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie, Kay – odezwał się w końcu Jared; po jego minie widać było, że jest bardzo wzburzony. – Jack to nie mój chłopak, ale najlepszy przyjaciel. Osoba, której mogę ufać, a do tego jest mądry i potrafi świetnie wykorzystać sprzęt komputerowy. Dlatego tu przyszliśmy – wycedził. – A swoją drogą, słyszałeś

o potrawce z grillowanych jęzorków? Nie? To usłyszysz, jeśli jeszcze raz twój własny język zadziała szybciej niż rozum.

Popatrzył przepraszająco na Jacka.

– Wybacz temu młodemu...

– Ten jeden raz. Dobra, to o co chodzi z tym komputerem?

– Potrzebujemy pomocy.

– Konkrety, Jared! Od kiedy robisz takie przydługie wstępy?

– Szukamy tej kobiety – wtrącił się Marcus, kładąc ostatnią fotografię Ariel na stoliku przed mężczyzną. – Chcesz konkretów? Proszę bardzo: Ariel Odgeon, parę dni mieszkała u Jareda, dziś rano zniknęła, nie zabierając swoich rzeczy.

– To twoja dziewczyna? – Jack mrugnął do Jareda. Zdaje się, że teraz on chciał być dowcipny.

– Nie, moja – odparł spokojnie Marcus. – On jedynie zapewnił jej schronienie przed... Wiesz co, Jared? Najlepiej będzie, jak ty mu wszystko opowiesz. Tylko się streszczaj.

– No więc szukamy jej.

– I tyle? – zakpił Jack. – Teraz toś, bracie, aż nadto wylewny. A niby jak miałbym wam pomóc?

– Monitoring.

– Uuu! Mam się włamać do systemu miejskiego i policji? – Jack aż gwizdnął z niedowierzaniem.

Jared popatrzył ostrożnie na Marcusa, ten kiwnął przyzwalająco głową.

– Być może została porwana. Chcielibyśmy wiedzieć, przez kogo. Sam mówiłeś, że twoje maszynki robią cuda. Zrobisz jeden dla nas?

– Dobra, gdzie jest haczyk?

– Co?

– Innymi słowy, czemu po prostu nie pójdziecie na policję? Zabiła kogoś?

– Byłem – odpowiedział Marcus. – Komendant wziął mnie nawet za tego mroczniaka Sheridana i obiecał szybką pomoc w zamian za poparcie w tutejszych wyborach do ratusza – zachichotał. – Miał mi dać znać na komórkę, jeśli znajdzie Ariel, ale do tej pory się nie odezwał, więc chyba załapał, że go nabrałem.

– Komendant? – Jared pobladł, a chłopaki wybałuszyli oczy. – BYŁEŚ u komendanta?!

– A to zbrodnia? Przecież ludzie zgłaszają zaginięcie bliskich.

– Nie wspominałeś...

– Nie pytałeś. Ale, Jared, skąd to przerażenie? Ariel oficjalnie jest moją żoną, panią Adrianą Bryant. Jako mąż mam prawo... No co? – powiedział niepewnie.

Zapadło milczenie; Jared nerwowo gładził czoło, a Jack przyglądał im się z ciekawością.

– Wtajemniczycie mnie w końcu? – spytał gospodarz.

Harpia patrzyła na Marcusa, jakby w ogóle nie słyszała pytania przyjaciela.

– O której godzinie byłeś u niego?

– Parę minut przed złapaniem Kaya na schodach galerii. A dlaczego pytasz?

Nie musiał czekać na odpowiedź. Mina Jareda zdawała się mówić wszystko. Marcus zacisnął szczęki, palce rytmicznie zaczęły targać ciemną czuprynę. Wpatrzony w czubki swych

butów, za wszelką cenę starał się uspokoić serce. Spazmatyczny oddech świadczył, że nie bardzo mu to wychodzi.

– Ja pieprzę!

– Marcus, co jest? – nie wytrzymał Tony.

– Jared podejrzewa, że to sam Marcus naprowadził mroczniaki na trop mamy, bo komendant jest na ich usługach – wyjaśniła spokojnie Amanda. – Nie, Jared, to nielogiczne. On was wtedy nie znał, nawet nieświadomie nie mógłby tego zrobić.

– Ta kobieta, która podawała nam lody w galerii, widziała mnie z Jaredem – rzucił głucho Marcus.

– Nienawidzi Sheridana – odparła dziewczyna.

– Mógł ją zmusić...

– Zmieniłam jej pamięć. Marcus, jesteś oficerem! TY nie wpadasz w panikę! Myśl i wyciągaj wnioski, bo na razie kiepsko ci idzie! – fuknęła. – Prosto z galerii poszliśmy do Jareda. Nawet jeśli to Sheridan ją porwał, NIE TY mu ją wydałeś, bo od momentu poznania harpii do chwili wejścia do jej domu upłynęło zbyt mało czasu. Przestań siebie obwiniać! To rozkaz!

– Tak jest, pani – rzucił odruchowo i natychmiast się poprawił: – To znaczy: jasne, maleńka!

– Od momentu poznania harpii? – wtrącił nagle Jack. – JAKIEJ harpii? O czym ona mówi? To jakiś młodzieżowy slang? Wyjaśnicie mi w końcu, o co chodzi?

Goście zerknęli na niego jak na ducha, a potem bardzo powoli odwrócili głowy w stronę Jareda.

– Pierzasty – mruknął Marcus. – Jack jest twoim najlepszym przyjacielem, a ty mu nie powiedziałeś?

– A jak to ukryłeś, cudaku? – zawtórował mu Kay.

– I po co? – dodał Tony.

Amanda w milczeniu obserwowała panów, ale w końcu i ona się odezwała:

– Jared, czas najwyższy. – Klepnęła go w kolano. – Zrób to. No już!

– No nie wiem... To tylko człowiek.

– Do tej pory byłem twoim najlepszym przyjacielem, a teraz jestem TYLKO człowiekiem? – szepnął z goryczą Jack.

Wszyscy zamarli. Mieli wrażenie, jakby temperatura w pomieszczeniu nagle spadła o kilkanaście stopni, tak wielkim chłodem powiało po słowach Jacka. On sam patrzył z wyrzutem na przyjaciela.

– Mamy was zostawić samych? – zapytała Amanda, ale Jared tylko potrząsnął swoją imponującą czupryną.

Wstał, podszedł do okna i przez chwilę przyglądał się spacerującym uliczką ludziom. Potem odwrócił się i długo milczał, przygryzając wargi.

– No więc? – nie wytrzymał przyjaciel.

– Przecież wiesz, co chcę powiedzieć. – Jared popatrzył na mężczyznę, jakby się upewniał, czy dobrze przyjmie tę wiadomość, a potem wybuchnął: – Kurczę, Jack, chyba mi nie powiesz, że się nie domyślałeś...

– Jesteś gejem i chcesz mi się oświadczyć?

– Nie, jest harpią. To cała zagadka, a ty nie udawaj przygłupa – nie wytrzymał Tony. – Aż dziw bierze, że tak długo się zbierał, żeby ci o tym powiedzieć. Chyba naprawdę mu na tobie zależy – zakpił. – Ja i Kay jesteśmy półtrytonami, a Amanda i Marcus to po prostu ludzie. Ariel to też człowiek. Podejrzewamy, że porwały

ją mroczne elfy z tej kopalni pod miastem, bo do czegoś jej potrzebują, ale potem najpewniej ją zabiją. To tyle. Uff! Możemy powrócić do sprawy jej szukania?

Jack spojrzał dziwnie na Tony'ego. Jego brwi zdawały się sięgać do sufitu.

– Znaczy się jesteś... syrenką?!

Odpowiedziało mu spojrzenie pełne irytacji. W ciszy, jaka zaległa, słychać było jedynie odgłosy przejeżdżających za oknem samochodów. A potem przyjaciele zobaczyli, jak mina Jacka się zmienia. Wytrzeszczył oczy i zacisnął usta, żeby zachować powagę, a później ryknął śmiechem, wylewając zawartość kubka na T-shirt, spodnie i blat stolika. Patrzyli na niego bez słowa. Ich jakoś to nie rozbawiło.

„Może jednak go trzepnę?" – zaproponował w myślach Tony.

„Ani mi się waż!" – odparł Jared.

„Ale...".

„Nie! Zresztą czego się spodziewałeś? Zobacz, już mu przechodzi".

„Co z tego, skoro nam nie wierzy?" – dodał Kay.

„Może emeralium go przekona?" – podpowiedziała Amanda.

– Jeezu! Wy nie żartujecie – sapnął Jack, kiedy w końcu mu przeszło.

Jared wyjął kubek z rąk przyjaciela. Szybko przyniósł z kuchni ścierkę. Powycierał blat, a potem przygotował świeżą kawę. Wreszcie harpia zerknęła pytająco na dziewczynę, ta w odpowiedzi skinęła głową. Jared wyjął z kieszeni płaszcza fiolkę z jakimś proszkiem, który wyglądał jak zmielone ciemnozielone

szkło. Z gracją wrzucił szczyptę do kawy Jacka i zamieszał. Wskazał przyjacielowi kubek.

– Śmiało. Chcę ci coś pokazać, ale bez tego to nie będzie możliwe.

Jack spoglądał to na twarz Jareda, to na kubek z podejrzaną zawartością. Nerwowo gładził brodę.

– No, spróbuj! To wynalazek merrillów. Emeralium. O nich opowiem ci później. W tej chwili musisz jedynie wiedzieć, że ten proszek pomaga takim jak ja przybierać ludzką postać. Potrafi też przyspieszać gojenie ran, leczyć choroby, wyostrzać wszelkie zmysły. Chcę, żebyś zobaczył świat takim, jak rzeczywiście wygląda. Dla własnego bezpieczeństwa. Jestem twoim przyjacielem od wielu miesięcy i do tej pory cię nie zawiodłem. Nie otruję cię, uwierz.

Widzieli, że Jack bije się z myślami, jednak w końcu ciekawość zwyciężyła. Mężczyzna niepewnym ruchem ujął kubek i podniósł do ust. Smak gorącego płynu był tak intensywny, że niemal bolesny. Na moment do oczu napłynęły mu łzy i przesłoniły otaczający świat. Odchrząknął, bo gardło piekło niczym po spożyciu kwasu. Zamrugał, by odzyskać wzrok. Nim to nastąpiło, ujrzał melanż wszystkich kolorów tęczy wirujących w szalonym tempie. Zakręciło mu się w głowie. Odruchowo złapał za krawędź stolika.

– Spokojnie – dobiegł go szept Jareda. – To za chwilę minie. Na początku zawsze jest trochę… nieprzyjemnie.

Przymknął powieki, bo kolory nadal wirowały, jednak bardziej w umyśle niż przed oczami. Lekko go zemdliło. Starał się uspokoić oddech i szalone bicie serca. Jared wziął jego dłoń w swoje ręce

i uważnie mu się przyglądał. Inni też patrzyli z niepokojem. Wreszcie kolorowe wiry spowolniły swój wariacki bieg i umysł Jacka zarejestrował, że składają się one z miliardów mikroskopijnych plamek.

– Niczym kolorowe galaktyki – wyszeptał nadal z zamkniętymi oczami. – Wyglądają jak miliardy gwiazd, setki konstelacji...

– Nim otworzysz oczy – szepnęła harpia – chcę cię zapewnić, że to, co zobaczysz, istniało, zanim wypiłeś tę kawę, tyle że wtedy twój wzrok był ułomny. Postaraj się zachować spokój, dobrze? Gotowy? No to śmiało.

Jack skinął głową i pomału rozchylił powieki. Rozmazany obraz zaczął nabierać ostrości. Tymczasem Jared wstał, zdjął sweter i podkoszulek i odwrócił się do nich tyłem. Amanda aż jęknęła, tak bardzo wstrząsnął nią widok niedawno zabliźnionych kikutów skrzydeł wystających spomiędzy skąpych piór. Chłopaki spojrzeli po sobie ponuro, a Marcus zacisnął szczęki. Jack nic nie powiedział. Z otwartymi ustami gapił się na przyjaciela.

– Tu były kiedyś moje skrzydła. Jak się domyślacie, teraz są ozdobą kolekcji Sheridana...

– Jeezu! Jared! – sapnął Jack.

– Wasz Jezus nie ma tu nic do rzeczy. – Harpia odwróciła się do mężczyzny. – Wybacz, że reszty ciuchów nie zdejmę, ale poza tymi skrzydłami nadal wyglądam jak człowiek.

– Emeralium nie zmienia cię całkowicie? – zainteresowała się Amanda.

– Przemienia w ludzką postać tylko zdrowe tkanki, chore kamufluje, no i działa parę godzin. Muszę je regularnie zażywać – powiedziała harpia i zdjęła but, aby zobaczyli kawałek łapy

z pozostałościami palców. Zrobiło im się jeszcze bardziej żal Jareda.

– A oni? – Jack wskazał dziewczynę i pozostałych. – Widzą cię takiego, jaki jesteś, bez stosowania proszku?

– Gdy emeralium przestanie działać, wszyscy mnie zobaczą. Teraz zwykli ludzie nie ujrzeliby nic szczególnego, więc jeśli wyszedłbym goły na ulicę, po prostu zamknięto by mnie za nieobyczajne zachowanie. – Harpia się uśmiechnęła. – Ale Marcus i Amanda pochodzą ze świata zza gór, przesączonego magią. Są czarodziejami. Im emeralium jest niepotrzebne. A Tony i Kay mają cechy trytonów, ale nie próbuj więcej nazywać ich syrenkami. To nie byłoby rozsądne.

Harpia zaczęła wciągać sweter.

– Sheridan, ten, co uciął mi skrzydła, być może ma też Ariel. Chyba już nie muszę wyjaśniać, co jej może grozić. Trzeba...

Przerwało mu walenie do drzwi. Poderwał głowę, zmarszczył brwi i zerknął na Jacka. Ten jedynie pokręcił głową, że nikogo się nie spodziewa.

– To ja otworzę – zaproponowała beztrosko Amanda.

Ruszyła z gracją do drzwi.

„Cholera, że też nie mam buzdyganu” – pomyślał Marcus. Błyskawicznie znalazł się w kuchni i z całego arsenału noży wybrał najbardziej poręczny. Inny, niewielki, wsunął w cholewkę buta, a dwa następne cisnął po ziemi w kierunku chłopaków. Wiedział, że jeśli umiejętności Amandy zawiodą, jego starania nie będą miały sensu, ale czy mógł zrobić coś innego? Jack i Jared obserwowali to wszystko bez słowa, z coraz bardziej przerażonymi minami. Na dodatek z holu nie dochodziły żadne dźwięki, co

niepokoiło ich jeszcze bardziej. Oficer przyczaił się za drzwiami. Wyciszył się, przygotował i wtedy... usłyszeli spokojny głos Amandy:

– Zagrożenia nie ma, ale ta pani twierdzi, że zna Jareda.

Coś przeleciało obok niego i wyrżnęło o podłogę koło stolika, końcem skrzydła niemal strącając talerz z ciastkami.

– Madeleine?! – krzyknął Jared.

– Prawdziwa harpia?! – zawtórował mu Jack.

Jared spojrzał z oburzeniem na przyjaciela.

– A ja to niby co, sroce spod ogona wypadłem? Amanda, nie musiałaś jej obezwładniać.

– Naprawdę? Chwilę wcześniej opowiadałeś nam o makabrycznych wydarzeniach z Sheridanem w roli głównej, to czego miałam się spodziewać? – Dziewczyna wzruszyła ramionami, a Tony znów spojrzał na nią i westchnął z podziwem, tyle że teraz dołączył do niego Jack. Wyciągnęła rękę, wymruczała zaklęcie *dimittere* i łańcuszki krępujące ciemnoskórą kobietę zniknęły. Madeleine podniosła się z dywanu, otrzepała skrzydła i popatrzyła groźnie na Amandę.

– Kim jesteś, że udało ci się pokonać dorosłą samicę harpii? Mroczniakiem?

– Kimś, kto woli być twoim przyjacielem, chyba że będziesz tak głupia i wybierzesz inaczej. Jestem też przyjacielem Jareda. Wystarczy?

Madeleine skinęła głową. Nagle ciszę znowu przerwał wibrujący wrzask:

– Wstawaj, męska cichodaajko!

Ptasie oczy harpii gwałtownie spojrzały na szarą papugę. Nie wiedzieć czemu, skoncentrowała się na niej. Kiwając się lekko, zrobiła krok w stronę ptaka.

– Ekhm – chrząknął Jared i szybko złapał ją za rękę. Cicho, ale bardzo stanowczo powiedział: – Jack jest przywiązany do tej papugi. To pamiątka po wuju.

– Szkoda. – Kobieta oblizała się, ale zaraz przypomniała sobie, po co tu jest. – Przysłał mnie yermin. Mam wam powiedzieć, że zmienił zdanie. Poszuka tej waszej zguby i nie zrobi jej krzywdy, ale on – wskazała na Jacka – ma zrobić to samo na tych swoich metalowych pudełkach.

– Komputerach – podpowiedział jej Kay.

Zgromiła go spojrzeniem i dodała:

– A ja mam być łącznikiem, doradcą i obserwatorem.

– No, powiało propagandą rodem z ratusza któregoś z Naczelnych Magów – zakpiła Amanda.

– Zorian też lubi takie gadki – dodał Marcus.

Madeleine spojrzała na nich dziwnie.

– Może opowiecie Jackowi resztę, a my w tym czasie... – zaproponował uradowany z jakiegoś powodu Jared i złapał harpię za rękę. – Wiecie, Madeleine i ja... Jestem jej...

– Jak chcecie pogadać, to w mojej sypialni, o ile nie przeszkadza wam... – Jack kiwnął głową w kierunku drzwi. Zniknęli za nimi, jeszcze zanim zdążył dokończyć, że tam także panuje bałagan.

Podczas gdy Amanda z Marcusem wtajemniczali gospodarza w całą historię, w pokoju obok Jared objął Madeleine i wtulił usta

w jej wargi. Całował tak żarliwie, jakby się bał, że mu zniknie, jeśli wypuści ją z ramion.

– Urwę mu łeb za to, co ci zrobił – warknęła, dotykając kikutów jego skrzydeł; nie musiała dodawać, kogo ma na myśli.

Uśmiechnął się tylko, choć twarz miał mokrą od łez.

– Ech, wy, samce, jesteście takie delikatne...

Teraz to ona przyszpiliła go do ściany i zaczęła drapieżnie całować.

– Moje gniazdo nadal zieje pustką – szepnęła. – I tylko jeden samiec może mnie rozgrzać zimną nocą.

Oblizał usta z wrażenia.

– Wyrzuciłaś mnie.

– Matka mi kazała – sapnęła zdyszana. – Dowiedziała się o twoich snach i wmówiła sobie i innym, że sprowadzisz zagładę na stado.

– Przecież mnie wybrała dla ciebie.

– Nie, kochany, to JA cię wybrałam.

Wzruszenie na moment odebrało mu głos, lecz potem zapytał:

– Czemu jej się nie postawiłaś? Przecież dorosła samica harpii nie boi się nikogo.

– Z wyjątkiem własnej matki. – Pogładziła go po twarzy. – Keira zginęła. Mroczniaki. Przekazałam osadę w dobre skrzydła, lepsze od moich. To nigdy nie była robota dla mnie. W Morren sprawdzam się lepiej, no i wiedziałam, że ty tu jesteś...

Harmider za drzwiami przypomniał im, że czas dołączyć do pozostałych. Zanim wyszli, Madeleine złapała Jareda za rękę. Nie musiała nic mówić. Ponownie ją ucałował.

– Dla mnie nic się nie zmieniło – szepnął. – Widzisz? Ciągle ją mam.

Na widok dobrze znanej bransoletki z kamyków i muszelek teraz to ona się rozpłakała.

– Samice harpii nigdy nie płaczą – upomniał ją łagodnie. – Chodź i bądź przy mnie, gdy będę ratował świat. Ostatecznie jestem tylko delikatnym samcem – zachichotał i otworzył drzwi.

– Ariel?

– Tak, panie.

– Gotowa?

– Tak, panie.

Czy to z jej ust wyszły te słowa? Spojrzała na swoje dłonie, ale czy to nadal były JEJ dłonie? Czuła się niczym kukiełka w rękach potwornego lalkarza, bezwolna i beznamiętna. Paradne wrota rezydencji cichutko się uchyliły. Mrok kusił.

– Gelus.

– Panie.

– Obserwuj ją z daleka. Nie pomagaj. Przynieś trofea. Ariel?

– Tak, panie.

Czyjeś usta niemal przyssały się do jej ucha. Mrok szeptem wlał się w umysł. Skinęła głową na znak, że rozumie instrukcje.

– Idź. Nie daj przyszłości czekać.

Spojrzała w ciemność i chłód na zewnątrz i bez wahania zanurkowała w sam środek. Mroczne tunele przyjęły ją jak swoją. Skąd wiedziała, dokąd prowadzą? I po co? Nie miało to dla niej znaczenia. W kryształach zdobiących ściany dostrzegła niewielką kobietę na wężowych szpilkach, odzianą w pareo, top i krótki welon. Kobieta skinęła jej ręką, lecz po chwili zorientowała się, że to jej własna dłoń ją pozdrawia. Stukot obcasów zagłuszyły kroki kilku pospiesznie umykających istot. Z każdym kolejnym tunelem było ich coraz więcej. Same trakty się rozszerzyły. W ścianach korytarzy, a czasem też podłożu lub sklepieniu, widziała drzwi domostw i pomniejszych rezydencji, witryny sklepików i kawiarenek oświetlonych niewielkimi latarenkami. Wszystkie wykute w węglu i skale. I gdziekolwiek nie spojrzeć, widniały symbole smoczej róży, stożka oraz smoczej łuski. Już kiedyś gdzieś je widziała – wtedy okalały ogromną literę X – nie potrafiła ich jednak z niczym skojarzyć. Ujrzała też ludzi. Nie, właściwie nie nazwałaby ich ludźmi. Ogarnęła niewidzącym spojrzeniem gęstniejący tłum. Wśród licznych mężczyzn odzianych w nabijane ćwiekami kurtki, skórzane spodnie i oficerki za kolano dojrzała też kobiety. Podobnie jak ona były okryte pareo i topem, tyle że wykonanymi z najdelikatniejszej kremowej skóry wyszywanej drogocennymi kamieniami. No i nie miały welonów. W ich fantazyjnie upięte włosy także wpleciono kamyki, a nadgarstki i kostki nóg ozdobiono srebrzyście połyskującymi tatuażami.

„Gdzie już takie widziałam?”.

Umysł podsunął jej widok martwego krasnoluda z różą na małżowinie usznej. Skąd go znała? Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Każdej kobiecie i każdemu wojownikowi towarzyszyły

co najmniej dwie istoty odziane podobnie jak służba w domu Sheridana, w płócienne uniformy. Szły z tyłu, niewidzialne, lecz gotowe spełnić każdy kaprys swego pana lub pani.

„Kasta użytecznych. Służący...".

Były jeszcze inne istoty. Nie zauważyłaby ich, gdyby jakiś dzieciak jej nie potrącił.

„Najniższa kasta. Bezdomni... Skąd ja to wiem?".

Rozczochrany maluch w śmierdzących łachmanach natychmiast zaczął ją przepraszać; łzy żłobiły rowki na jego ubrudzonej buzi. Jakaś kobieta, też brudna i obdarta, spoliczkowała go i niezwłocznie odciągnęła, kłaniając się służalczo. Ariel nawet na nich nie spojrzała, jedynie najbliższy kryształ pokazał jej obraz dzieciaka, który nagle zawisł bezwładnie w ramionach matki, zupełnie nierozumiejącej, co się stało.

„Nie dotykaj nikogo z wyjątkiem... Spiesz się!" – umysł przywołał bezlitosne instrukcje.

Beznamiętnie ruszyła dalej. Minęła kilka pomniejszych komór, aż w końcu dotarła do tej właściwej. Chwilę zatrzymała się i otaksowała pieczarę, lecz nie po to, by się zachwycić jej pięknem. Zlekceważyła prześliczne mozaiki *pietra dura* zdobiące ściany, kinkiety i żyrandole. Paradne schody i taras wiodący do pałacu Claylanda też nie zwróciły jej uwagi. Analizowała jak strateg układ wszystkich tuneli, oglądała wszelkie załomy, kryjówki i straże krążące nieustannie w kolorowym tłumie.

„Znajdziesz go..." – ponownie usłyszała w mózgu.

Skierowała wzrok ku poszukiwanej tawernie. Wyłowienie go z tłumu było dziecinnie proste. Otoczony kompanami zaśmiewał się właśnie z jakiegoś niewybrednego dowcipu. Pusty dzban

dostarczył jej wyjątkowo dużo informacji. Oczy skupiły się na celu. Nogi same poniosły ją w jego stronę. Gdy była już bardzo blisko, delikatnie wydmuchnęła powietrze. Mikroskopijne owady tworzące welon rozprostowały skrzydełka. Podmuch starł z nich pyłek, który przybrał kształt maleńkiej szpilki i niczym naprowadzany pocisk zaatakował mężczyznę. Dotarł przez źrenicę do tylnych struktur jego oka, a potem dalej nerwem wzrokowym do mózgu. Mężczyzna zamrugał i potarł powieki, lecz zaraz roześmiał się z kolejnego dowcipu kamratów.

Podeszła jeszcze bliżej. Owady w pareo zabrzęczały dyskretnie. Dźwięki dotarły do przeznaczonych im uszu. Błękitne oczy mężczyzny spojrzały znad kolejnego kubka trunku i w końcu, tak jak chciała, wyłowiły ją z tłumu. Odstawił niespiesznie pucharek, otarł grzbietem dłoni usta i obejrzał nadchodzącą zwierzynę. Mijając go, zerknęła spod welonu i zmysłowo oblizała wargi. Nie słyszała, co zagadał do kompanów, choć towarzyszyła temu salwa śmiechu. Liczyło się tylko to, że ruszył za nią. W jego oczach była łupem, który musiał zdobyć. Pozwoliła, aby przez chwilę ją ścigał, lecz w końcu, w którymś z bocznych tuneli, zwolniła. Zdyszany zrównał się z nią, a potem wyprzedził.

– Kim jesteś? – spytał niczym podekscytowany młodzik. Okrążył ją z uśmiechem i fascynacją w oczach. Czy tylko ona wiedziała, że to nagłe zauroczenie nie jest naturalne? Pozwoliła, aby złapał ją za dłoń. – Kim jesteś? – powtórzył. – Czemu cię nie znam?

Dyskretnie upewniła się, że są sami.

– Teraz już znasz. Jestem nowa i samotna w tym mieście – szepnęła wprost do ucha mężczyzny, popychając go jednocześnie

na ścianę. Zaśmiał się gardłowo. Welon na twarzy się rozproszył. Ujęła w ręce jego twarz i zmysłowo ucałowała. Objął ją i żarliwie oddał pocałunki. Dłonie zaczęły wędrówkę po jej ciele. Przylgnęła do niego, z pozoru poddając się pieszczotom, jednak gdy dłoń mężczyzny zawędrowała pod pareo i ruszyła wzdłuż uda, wiedziała, że to koniec gry.

– Jesteś ostra jak pazury caesariana – szepnął, przyciągając ją bliżej do siebie.

– I drapieżna jak gelus – mruknęła, nie przerywając pocałunków. – Masz już zawroty głowy? Omamy?

– C-co?!

– Moja ślina zawiera jad przeznaczony wyłącznie dla ciebie, skarbie, podobnie jak wydzielina tego owada.

– O czym ty... – Zachwiał się. Podtrzymała go. Motyl udający kolczyk wysunął ostro zakończoną ssawkę i błyskawicznie wbił ją w żyłę ofiary.

– Sheridan. Mówi ci coś to imię? Nigdy nie zadzieraj z potężniejszymi od siebie. A na wypadek gdybyś chciał okazać się nieśmiertelny, mam jeszcze jedną niespodziankę. – Sięgnęła pod welon. Nigdy wcześniej nie czuła się bardziej spokojna i wyzuta z emocji niż właśnie w tym momencie. Płynnym ruchem wyjęła sztylet z akwamarynami i z rozmachem wbiła go w nasadę szyi, przerywając rdzeń kręgowy mężczyzny. Po kilku sekundach ciało ofiary zamarło u jej stóp. Dla pewności przecięła kręgosłup i odsunęła się, robiąc miejsce dla rosnącej szkarłatnej kałuży.

– Gelus! – Istota przycupnęła koło trupa i zaczęła niuchać podekscytowana. – Nie ruszaj! Pan zabronił. Podejdź.

Podała mu zakrwawione palce – natychmiast wylizał je do czysta – a potem sztylet i motyla.

– Dostarcz trofea. Nienaruszone.

Potworek niemal nabożnie chwycił broń i po sekundzie rozpłynął się w mroku. Nagle u wylotu tunelu pojawiło się dwóch mężczyzn. Poznała ich. Towarzyszyli zabitemu w tawernie. Nie miała wątpliwości, po co poszli za nimi. Mężczyźni natychmiast się zorientowali, co zaszło, i pędem ruszyli w jej stronę. Nawet nie drgnęła. Klasnęła jedynie dwa razy w dłonie, a wtedy wężowe szpilki ponownie stały się żywymi istotami i błyskawicznie zaatakowały napastników. Stała, patrząc na ich zażartą walkę, a potem dogorywające ciała. I to nie wzbudziło w niej żadnych emocji. Gdy bestie zakończyły sprawę, ponownie zaklaskała. Znów stukot obcasów odbił się echem od ścian tunelu, lecz szybko dotarła do największej, książęcej komory, a tam zagłuszył go harmider tłumu.

– „Donosiciel Podziemny”! Czytaajcie „Donosiciela”! – wydarł się jakiś młodzik tuż obok. Zagrodził jej drogę i kłaniając się, wyciągnął w jej stronę dłoń z pokaźnym szkiełkiem.

– Zmiataj, mały! Nie wiesz, że zbliża się pora huraganów?! – warknęła.

„Pora huraganów. Nadciąga wichura. Czas wracać, czas się ukryć” – wspomniała ostatnie słowa instrukcji. Odepchnęła chłopaka i w kolejnym krysztale ujrzała, jak i on zaczyna słaniać się na nogach. Jakaś kobieta krzyknęła, wskazując najpierw ciało chłopaka, potem Ariel. Jasnowłosy strażnik ruszył za nią. Po chwili dołączył do niego kolejny. Należało się spieszyć. Już czuła

pierwsze podmuchy chłodnego powietrza. „To dobry moment, by zmylić pościg i wrócić do rezydencji...”.

– To wszystko, co mówicie... – Jack pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wiemy.

– No ale po tym, co zobaczyłem... Dobra, Marcus, dawaj tę fotkę, poszukamy naszego skarbu. Pewnie trochę czasu to zajmie, ale gliniarze mają niezły monitoring. Wiem, bo parę razy... Zresztą nieważne. Teraz już przynajmniej wiadomo, skąd wzięli na to kasę i po co. Chodźcie, pokażę wam moje króliczki – zarechotał.

Króliczki okazały się komputerami, a swą nazwę wzięły od świetnych podzespołów i dobrego łącza, które pozwalały błyskawicznie skakać z jednej strony internetowej na drugą. Jack nazywał to kicaniem. W ogóle pomieszczenie obok pełne było najrozmaitszego sprzętu, którego zastosowania Marcus mógł się jedynie domyślać. Za to Kay z Tonym westchnęli z uznaniem, a Amanda pokiwała głową. Tylko na Jaredzie i Madeleine pokój nie zrobił wrażenia, jednak tych dwoje zajętych było patrzeniem sobie czule w oczy i nie zwracali na nic innego uwagi.

W szczególny zachwyt wprawił chłopaków widok kilku drogich aparatów fotograficznych i ogromnej ilości sprzętu do obróbki i wywoływania zdjęć. Przy blacie roboczym stało jedno krzesło, a wszystkie ściany pokryte były różnej wielkości fotografiami. Tu

już nawet nie panował bałagan, ale kompletny chaos, zupełnie jakby tornado przeleciało przez drukarnię. Marcus pomyślał, że Ariel spodobałoby się to pomieszczenie, i uśmiechnął się pod nosem, a patrząc na obydwie tulące się harpie, strasznie za nią zatęsknił. O ile reszta mieszkania była dość skromnie urządzona, o tyle tutaj widać było, że Jack nie żałował pieniędzy.

– Nadal spłacam – wyjaśnił, pokazując z dumą jedną z lustrzanek. – Ale warto, bo to cholernie dobry sprzęt.

– Tyle że nawet najlepszy aparat w rękach partacza będzie jedynie śmieciem. – Jared odlepił się w końcu od Madeleine. – Strzelałeś foty na Cmentarzu Aniołów?

Wskazał przymocowane do ściany fotografie nagrobków z aniołkami.

– Tak mówimy na ten cmentarz, bo większość nagrobków zdobią rzeźby harpii upozowanych na anioły. Są tam grzebane wszystkie istoty magiczne, które los zmusił do zamieszkania w tym mieście. Między innymi te zabite przez mroczniaki. Znajdziesz tam nie tylko harpie, syreny też.

– To są figury harpii? Raany, w życiu bym się nie domyślił. A syreny? Nie są chowane pod wodą?

– Skażone miastem? Mroczniakami? Gdybyś był syreną, chciałbyś pływać w akwenie pełnym gnijących zwłok współbraci?

– Ooo...

– No właśnie. Jedynie te, które nigdy nie opuściły swojego jeziora, mogą w nim spocząć. Przechodzą jakiś rytuał – nie pytaj, nie wiem jaki – i podobno się dematerializują. Tego cmentarza strzegą zwały śniegu i jedna niezbyt miła hybryda „po

przejściach”. Taki albinos, co lubi zmieniać się w sowę, królika albo...

– ...wilka? Więc on tam był naprawdę? Przez chwilę myślałem, że tylko mi się przyśnił. Do dziś gęba mnie boli po naszym ostatnim spotkaniu. Teraz przynajmniej już wiem, czemu tak bronił cmentarza.

– Całkiem dobre te foty, wiesz?

Twarz Jacka rozpromienił uśmiech.

– Dobra, odpalmy maszyny. Niech króliczki trochę pobrykają i udowodnią, co potrafią – zachichotał.

– Ja bym coś wrzucił na ruszt – mruknął Kay.

– No, czego jak czego, ale żarcia mi nie brakuje. A jakby co, zawsze można zadzwonić po pizzę. Jared, czy oni wiedzą, jak wygląda lodówka? – zapytał Jack i wskazał na Tony’ego. Ten zaczerwienił się aż po cebulki włosów.

– WIEMY i wiemy też, do czego służy – wycedził, a harpia tylko zachichotała.

– Okej, to skocz do kuchni z Kayem i Amandą i zróbcie nam jakieś kanapki. A możecie też przynieść piwo? Z góry wielkie dzięki.

– Piwo odpada – zarządził Marcus. – Jeśli mamy być przytomni, to tylko kawa. Zwłaszcza że za oknem już ciemno, a nie wiemy, ile nam to zajmie czasu. Amando, bądź tak uprzejma i zrób cały dzbanek, dobra?

Jack skwitował jego słowa wzruszeniem ramion, odwrócił się do nich plecami i skoncentrował na monitorze. Włamanie do systemu policyjnego monitoringu, a potem galerii handlowej przy rynku zajęło mu podejrzanie mało czasu. Już po chwili, uzbrojony

w zdjęcie Ariel, kanapki i wskazówki harpii, zaczął przeglądać zapisy z kilku dni wstecz.

– Jared, czy chłopcy nie powinni wracać do ośrodka? – Amanda postawiła na blacie wielgachny dzban z aromatyczną zawartością. – Katherine...

– Naopowiadałem jej bajek, że zabieram ich na wycieczkę po górach – zaśmiała się harpia. – Spokojnie, nie będzie ich szukać do końca weekendu.

Towarzyszyli Jackowi przez jakiś czas, żeby się upewnić, że nie przeoczy Ariel, potem jednak Tony z Kayem zaczęli grać na konsoli, a Jared ponownie zaszył się w kącie z Madeleine. Jackowi nawet to pasowało, bo w pomieszczeniu było niewiele miejsca i zaczynało robić się duszno. Jedynie Amanda i Marcus uparli się, by mu pomóc, ale nie miał nic przeciwko temu, bo okazali się nader użytecznymi towarzyszami.

Minęło ładnych kilka godzin, a oni nadal nie namierzyli kobiety. Bracia drzemali teraz na kanapie, Madeleine otuliła Jareda skrzydłami i też zapadła w sen. Nawet Jackowi coraz trudniej było zmuszać się do wysiłku. Już tylko Marcus z Amandą nie dawali za wygraną, a w pewnym momencie nawet przejęli kontrolę nad sprzętem i sami zaczęli przeszukiwać zapisy. Gdzieś nad ranem rozległo się głośne dobijanie do drzwi. Wszyscy natychmiast otrzeźwieli, a dziewczyna ponownie poszła otworzyć.

– No cześć, skarby wy moje. – W drzwiach stanęła Carol. Znów żuła gumę i znowu drwiący uśmiech miała przylepiony do buźki, a ręce wyzywająco oparte na biodrach. – Yermin słusznie podejrzewał, że będziesz oddawać się uciechom, zamiast szukać tego bladego chudzielca – wypaliła w stronę Madeleine. Ta

zacisnęła usta i spojrzała groźnie na syrenę. – Mam wam powiedzieć, że nasi też nic nie znaleźli, i dopilnować, żebyście się nie obijali.

– Doceniamy troskę, ale nie trzeba. Duzi z nas chłopcy, dajemy radę – odpowiedział Jack, który właśnie ukazał się w drzwiach pokoju komputerowego, też zwabiony hałasem – A ty jesteś...

– W tym momencie tylko twoja, słodziutki – wymruczała zmysłowo Carol i z kocią gracją okrążyła mężczyznę.

– To człowiek, Carol – usłyszała rozbawiony głos harpii. – Daj mu spokój.

– Nie mam problemów ze wzrokiem, Jared – odparła, nie odrywając oczu od mężczyzny. Oblizała bezwstydnie usta i spojrzała na niego tak wymownie, że Jack w jednej chwili zrozumiał, co to znaczy stać się obiektem seksualnego molestowania.

– Jesteś syreną... – powiedział ostrożnie i zrobił krok do tyłu.

– Uuu! Ależ z ciebie bystrzak – zakpiła. Podeszła bliżej.

– Carol! Daj mu pracować!

– Sheridanopodobny! Jesteś jedną z nielicznych osób w tym pokoju, której muszę powiedzieć, że nie cieszę się na jej widok.

– I wzajemnie.

– Jesteś też jedynym samcem, na którego nigdy nie nabiorę ochoty, nawet gdybyś wysmarował się wędzonym łososiem, a ja konałabym z głodu – prychnęła pogardliwie i poszła za Jackiem do pracowni komputerowej.

Chłopaki ryknęli śmiechem, Amanda popukała się w czoło, a Marcus popatrzył skonsternowany za odchodzącą syreną.

– Z różnymi istotami miałem już do czynienia, ale Carol swoim chamstwem bije je na głowę.

– Za wędzonego łososia dałaby sobie uciąć płetwę ogonową, i to zardzewiałym toporem. Cała Carol. Syreny w czasie tarła są nieznośne, a ona szczególnie, ale spokojnie, dam jej popalić – odezwała się Madeleine. – Dużo pracy i brak dostępu do wody utemperują każdą wredną samicę jej gatunku.

– Słodziaku! – dobiegł ich szczebiot Carol z pracowni, więc poszli obejrzeć dalszy ciąg przedstawienia. Byli ciekawi, jak Jack poradzi sobie z prostackimi zalotami kobiety. – Ależ piękne te zdjęcia. O, co ja tu widzę? Taroona? Myślałam, że nie żyje. – Popukała palcem w zdjęcie ciemnowłosej kobiety.

– Mylisz się – odparł Jack. – To Treya Thuranne, piosenkarka. Pojutrze, a właściwie jutro – zerknął na zegarek – będzie dawać koncert w Morren. Zrobiłem tę fotkę kilka dni temu na potrzeby wywiadu.

– To ty się mylisz, żabciu. Własnej siostry bym nie poznała? – zachichotała.

Jack niemal podbiegł do zdjęcia. Chwilę gapił się na nie, pocierając nerwowo podbródek.

– Ożeż... – sapnął wreszcie i złapał się za głowę. W końcu zrozumiał, co zaszło w czasie tamtego koncertu i nieudanego wywiadu. – Czemu twierdzisz, że nie żyje? Byłem na jej występie. Fantastyczny! – Widząc ironiczne spojrzenie Carol, szybko dodał: – Była w świetnej formie. Zgoda, może trochę utykała, no i ta maska, ale... No co?

– Pocisz się na samą myśl o Taroonie w masce. Zemdlałbyś, gdyby ją zdjęła? Może ci zmienić pieluchę, rybeńko? – zarechotała

Carol. – Tiaa, my, syreny, jesteśmy cholernie piękne, nawet jak się nie szanujemy. – Jej szczęki pracowicie żuły gumę.

– Czemu kuleje? – Jack zbagatelizował jej docinki.

– Gdy zrozumiesz, że do myślenia służy głowa, a nie jaja, to wyciągniesz odpowiednie wnioski. Dobra, wyjaśnię ci – powiedziała, widząc, że Jack naprawdę nie wie. – Jakiś czas temu ten skurwiel Sheridan uciął jej płetwę ogonową w trakcie targu syren. Resztki przyozdobił kolczykiem niewolników. Chodziły słuchy, że ją wykończył w swojej rezydencji, co zresztą nie byłoby specjalnie dziwne, bo ten facet to chodząca patologia. Ale sądząc po fotkach, siostrunia przeżyła i robi karierę. – Znowu się zaśmiała. – I jak nic musi zażywać emeralium.

– To nielogiczne, Carol. Skoro w Morren doznała takiej krzywdy, po co tu przyjeżdża na koncert?

– Pewnie z miłości do ciebie, rybeńko!

– Interesująca rozmowa, ale przypominam, że szukamy Ariel – wtrąciła się Madeleine. – Nie obchodzą nas żadne koncerty ani Dni Morren City. Musimy znaleźć tę kobietę i sprawdzić, czy jest cyborium.

– Madeleine! – krzyknął Marcus, bo nagle go olśniło.

– Tak mam na imię, ale skąd te emocje?

– Chodzi o to, że ty i Carol dużo czasu spędziłyście z yerminem...

– Do rzeczy.

– Poza wami nikt z nas nie wie, o co chodzi z tym całym cholernym cyborium. Słyszeliśmy tylko, że z jakiegoś powodu jest ważne i dla yermina, i dla mroczniaków. CZEMU?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Ty serio...?

– Jak najbardziej, Madeleine – wtrącił cicho Jared, a reszta nadstawiła uszu. – Czemu wszyscy ścigają cyborium? Czego od niego chcecie? I dlaczego uważacie, że to Ariel?

Harpia chwilę rozważała jego słowa.

– Ty, czarusiu – rzuciła ponuro do Jacka. – Sadzaj kuper na tej swojej grzędzie i wlepiaj oczęta w monitorek. Carol, jak zobaczę, że się ślinisz na jego widok, podpalę ci łuski! Wy! – rzuciła pozostałym. – Siadać na kanapie, kubki w garść i popijać tę smołę. A jak mi który zacznie przysypiać w czasie wyjaśniania...!

Mebel stęknął pod zbyt dużym ciężarem, gdy posłusznie wypełnili rozkaz. Harpia przycupnęła opodal stolika, z namaszczeniem zanurzyła ciastko w przestygłej kawie i dłuższą chwilę delektowała się nim, głośno cmokając. W końcu jej ptasi wzrok spoczął na przyjaciołach...

Zielone oczy bez pośpiechu zlustrowały ogromną komorę, każdy najmniejszy, znany na pamięć detal. Niewielka postać westchnęła i jeszcze dokładniej wtopiła się w czerń krużganków pałacowego tarasu. Wspomnienia. Nadal irytowały. I tak tkwiąc ukryty za jakimś filarem z talerzem pieczeni z evanthesa w ręku, książę rozmyślał. Od dziesiątków lat próbował – najpierw perswazją, potem przemocą – zjednoczyć wszystkie podziemne dzielnice. Wiedział, że tylko w ten sposób mogliby się przeciwstawić

merrillom. Merrille. To słowo nieodmiennie wywoływało grymas na twarzy Claylanda.

„Co za ironia losu – pomyślał, zerkając na sklepienie. – My tu, oni tam".

W tej samej chwili mrok koło jego stóp zafalował i w chłodnym podmuchu powietrza zmaterializowało się okrucieństwo. Książę nawet nie zerknął, szepnął tylko:

– Gelus.

– Panie.

Nie odrywając wzroku od spacerującego u stóp tarasu tłumu, książę wyciągnął rękę w stronę smolistoczarnej teraz istoty. Tak, JEGO gelusy miały wiele zalet. Ten tutaj był genialnym polimorficznym szpiegiem. A skoro odnalazł swego pana i zakłócił mu spokój, powód nie mógł być błahy. Łapa istoty zawisła nad ciemną dłonią księcia, a potem do jej wnętrza z końca pazura bestii spłynęła onyksowa łza. Wirując wokół własnej osi, przybrała kształt przedziwnego kwiatu o rozchylonych czarnych płatkach, z których każdy zamienił się w miniaturowy ekran. Szmaragdowe tęczówki Claylanda skupiły się całkowicie na przekazie. Mężczyzna wypuścił z drugiej ręki talerz z pieczenią i gestem odesłał go do komnat. Końcem palca dotknął jednego z ekraników. Jego powierzchnia zafalowała i już po chwili był wielkości dwóch dłoni.

– Gelus!

– Panie.

– Oświeć mnie, z jakiego powodu miałbym oglądać tańczącego Sheridana?

– Cierpliwości, panie. Racz obejrzeć do końca – wyszeptała istota.

Clayland ponownie skupił wzrok na zmieniających się obrazach, lecz po sekundzie jego smukłe dłonie zmiażdżyły ekran jak kartkę papieru. Smolista kropla znów wypełniła wnętrze ręki księcia. Rozejrzał się uważnie, lecz nic go w tłumie spacerującym u stóp tarasu nie zaniepokoiło.

– Możesz wrócić do leża.

Dłoń nacisnęła płaskorzeźbę przedstawiającą trowa strzelającego z kuszy do użytecznego i fragment ściany spłynął na podobieństwo wody, ukazując niewielkie przejście.

– Jesteś bardzo łaskawy, panie – szepnęło okrucieństwo w ślad za znikającą sylwetką Claylanda i w mgnieniu oka samo się rozpłynęło.

Tymczasem książę wszedł do pomieszczenia, zamknął przejście i ponownie zerknął na tłum przed pałacem, tym razem przez ciemne weneckie lustro, które dla niewtajemniczonych było płaskorzeźbą gelusa wgryzającego się w gardło syreny. Nadal panował spokój. Ot, po prostu plebs spacerował, odpoczywał przy fontannach, robił drobne sprawunki w ekskluzywnych sklepikach czy trwonił czas na pogaduszkach w okolicznych kafejkach. I kilku strażników dyskretnie kontrolowało otoczenie. Nic nadzwyczajnego.

„W tej komorze wszyscy się pilnują – książę zmarszczył brwi – ale w innych... dekadencja. Co za czasy! Jeszcze trochę i zaczną się bratać z syrenami! No dobrze, zobaczmy, o co gelusowi chodziło”.

Clayland rozsiadł się w ogromnym fotelu obitym mięciutką białą skórą. Na kunsztownie rzeźbionym stoliczku pojawił się specjalnie dla niego wykonany ryton. Wyrzeźbiony z jednego kawałka górskiego kryształu i ozdobiony masą perłową czekał napełniony winem, aż książę zechce po niego sięgnąć. Ten jednak zignorował pojawienie się ulubionego trunku. Onyksowa łza ponownie zmieniła się w jego dłoni w kwiat, którego płatki odłączyły się i powiększyły do rozmiarów sporej księgi. Zafalowały dookoła Claylanda, a on wrócił do analizowania ich zawartości.

Ujrzał błękitną niszę szybu, Sheridana i jakąś ludzką kobietę. Ich taniec był bardziej niż erotyczny, choć w tym duecie jedyną przytomną istotą był oczywiście trow.

– No, ten to lubi się bawić. I co jak co, ale uwodzenie ma opanowane do perfekcji. – Książę uśmiechnął się pod nosem. – Wie, drań jeden, że sprowadzanie tutaj ludzkich kobiet jest zakazane. Chędożenie ich też. Jednak byłbym rozczarowany, gdyby ten łajdak posłusznie trzymał się rozkazów.

Clayland miał świadomość, że nadciąga zmierzch jego rządów, stąd książęce gelusy uważnie śledziły poczynania wszystkich potencjalnych pretendentów, a Sheridan, choć nie był na szczycie tej listy, jednak się na niej znajdował.

– Ale czemu gelus uparł się, że to ważne?

Zmysłowa rumba zdawała się nie mieć końca. Obserwowanie umizgów Sheridana w końcu zniecierpliwiło księcia. Stuknął w kolejny ekranik, a potem w jeszcze jeden. Obrazy zdecydowanie przyspieszyły. Sheridan rzucający na kobietę zaklęcie niewidzialności, a potem bezczelnie przeprowadzający ją przez kolejne punkty kontrolne przy wejściu do miasta. Sheridan

zmieniający kobietę w mroczną elfkę i spacerujący z nią ostentacyjnie uliczkami. I te rozbawione pogaduszki z napotkanymi po drodze kamratami z oddziału. Jak gdyby nigdy nic! Wreszcie Sheridan docierający do swej rezydencji, prowadzący kobietę do sypialni, zaklęciem odzierający ją z ubrań...

„Co w tym niezwykłego? Te gelusy są coraz gorsze. Jeszcze trochę i każą mi oglądać, jak użyteczni zamiatają chodniki!". – Książę wydął z irytacją usta, lecz przekazu nie wyłączył. Patrzył w milczeniu na nagie splątane ciała, tak zachłanne w swej zmysłowości, jakby jutro miało nie nadejść.

– No, Sheridan – szepnął – zdaje się, że specjalnie dla ciebie powinno się wymyślić igrzyska podziemnego świata w miłosnych zapasach. Gdybyś potrafił tak po mistrzowsku zarządzać społecznością, być może uwzględniłbym cię... – Nagle książę zamarł i szybko zatrzymał obraz. Zerwał się z fotela i zaczął krążyć po komnacie, raz po raz zerkając na falujący przekaz. Co mu w nim nie pasowało? Wystrój sypialni Sheridana? Nie, ponieważ jak każdy trow Sheridan miał doskonały, lecz jakże przewidywalny gust. Na dodatek książę znał każdy zakątek rezydencji podwładnego, bo niejednokrotnie brał udział w ucztach na swoją cześć. Więc o co chodzi? O wyuzdany seks tych dwojga? Tym też Sheridan nie był w stanie go zaskoczyć.

Clayland podszedł do stoliczka, sięgnął po ryton, cały czas nie odrywając jednak wzroku od ekranu, i upił łyczek.

– Co chciałeś, żebym zobaczył, gelus? – szepnął do samego siebie.

Znów uruchomił przekaz. Sheridan pozwalający syrenom niemal utopić kobietę w tamtym korytarzu. No i te wszystkie

klatki więzienne, komnata pełna zwierząt, roślin i krwi... Ponownie zatrzymał obraz. Palce w zamyśleniu bawiły się rytonem, podczas gdy jego umysł analizował.

„Zaraz! Gdzie ja to widziałem?".

Niecierpliwym gestem cofnął przekaz i zaczął oglądać go od początku. Czuł, że coś przeoczył. Coś szalenie istotnego. Ale co to mogło być? Ponownie obejrzał relację, potem jeszcze raz. Przestał już liczyć, ile razy to zrobił. Irytacja zaczynała wzbierać w nim niczym spienione wody rzeki w czasie powodzi, ale się nie poddawał.

I wtedy to dostrzegł. Zapis trwający tyle co mrugnięcie powieki. Spowolnił go, powiększył i wpatrzył się w ekranik z niedowierzaniem. Bo oto miał przed sobą trójwymiarowy obraz sypialni Sheridana, jego łoże przypominające pole bitwy i dwa ciała toczące walkę o wygranie tego miłosnego pojedynku. Książę spojrzał uważniej. Kobieta z przekazu westchnęła i odchyliła głowę, a Sheridan uniósł się nad nią i uśmiechnął triumfalnie. Biel jej skóry tak pięknie współgrała z błękitem pościeli... Jedyne, co nie pasowało Claylandowi w tym obrazie, to... zielony tatuaż z głową smoka nad lewą piersią kobiety!

– Gelus! – ryknął.

– Panie – usłyszał natychmiast.

– Ta kobieta. Żyje jeszcze?!

– Ostatni przekaz jest sprzed godziny. Wtedy zaczęła się pora huraganów.

– Sprowadź mi tu Sheridana. I tę kobietę. Zwłaszcza ją. Całą, żywą i nienaruszoną, jasne? Natychmiast.

– Jest pora huraganów, panie – przypomniała pokornie istota. – Sheridanowi nic się nie stanie, ale ta kobieta... Może nie przeżyć, panie.

Książę odstawił z impetem ryton.

– A żeby to evanthesy! – mruknął. – Dobrze. Przyprowadź ich, jak tylko zawierucha się skończy. Ale ty masz do nich dotrzeć niezwłocznie i przypilnować, żeby naszemu przyjacielowi nic głupiego nie wpadło do łba. Gdyby jednak tak się stało, wiesz, co masz robić.

Gelus tylko skinął głową i natychmiast zniknął.

Madeleine spojrzała na Jareda. Ten odpowiedział jej czułym uśmiechem.

– Kochanie, naprawdę nie mamy pojęcia, o co chodzi z tym całym cyborium. Znamy tylko plotki.

– Dobra, zrozumiałam! – syknęła.

Na prywatnym kanale telepatycznym udzieliła mu reprymendy za zbyt ckliwe zachowanie, a potem przybrała groźną minę, żeby dać mu do zrozumienia, iż jest wściekła. W odpowiedzi tylko uśmiechnął się pod nosem.

– Ile w takim razie wiecie?

– Jared mówił, że cyborium jest dla mroczniaków jak encyklopedia. No, taka mądra księga albo źródło wiedzy –

pospieszył z wyjaśnieniem Tony, bo harpia chyba nie rozumiała, co to takiego ta encyklopedia.

– Podobno ma być jak bomba atomowa – dodał Kay, podskakując z podniecenia.

– Tego nie mówiłem – zaprzeczył Jared. – Wiemy jedynie, że mroczniaki dzięki cyborium mają nadzieję odnaleźć jakieś pióro i że ta wiedza jest niebezpieczna.

– I to nawet nie wiesz jak – wtrąciła Madeleine. – Ale po kolei. Pamiętasz, jak twój ojciec Rey opowiadał nam w dzieciństwie różne bajki?

Jared uśmiechnął się rozmarzony.

– Nooo, to były czasy... Jest świetnym bajarzem, nie?

– Tak, ale ja nie o tym. Pamiętasz przypowieść o „Grającym do snu”?

Twarz harpii momentalnie spoważniała.

– Ariel śniła ją kilka nocy z rzędu. To ciekawe, bo zapewniała, że jej nie zna. Ale czemu pytasz?

– Bo to nie bajka.

– Skarbie... – Jared roześmiał się z niedowierzaniem i natychmiast skulił, spiorunowany jej spojrzeniem.

„Powiedz tak jeszcze raz w ich obecności, a wyrwę ci ostatnie pióra z kupra!” – warknęła telepatycznie.

– Moje wnuki zdążą złożyć ikrę, zanim ona przejdzie do rzeczy – mruknęła syrena.

– Carol, przypudrować ci nosek?! – Madeleine wysunęła w jej stronę szpony. Syrena tylko chrząknęła i wbiła się w kanapę, a harpia wróciła do opowiadania. – Kiedy zjawiłam się w mieście, yermin zaofiarował mi pomoc. Miałam więcej oleju we łbie – no

ale żem przecie samica! – więc przyjęłam jego ofertę. Jared, ty pierzasty durniu, stado daje ochronę. W grupie łatwiej obronić się przed mroczniakami. To chciał ci powiedzieć yermin, zanim nazwałeś go zarośniętym kutafonem i uroczo wspomniałeś o jego puszczalskiej kozie-mamusi oraz licznych, choć nieznanych, tatusiach.

– Nabijał się z moich skrzydeł! – oburzyła się harpia. – Jeszcze jedne dobrze się nie zabliźniły, a ten mi obiecywał drugie. No trzeba mieć tupet! A co ja, jaszczurka jestem, żebym na zawołanie mógł nowe wyhodować!?

Przyjaciele spoglądali z coraz większym zainteresowaniem na obydwie harpie.

– Głupku, on się z ciebie nie nabijał! Gdybyś dał mu szansę wyjaśnić, zamiast robić nieprzyzwoite propozycje, dowiedziałbyś się, że to JEST możliwe. Sporo czasu zajęło mi przekonanie go, że jesteś niegroźny i bardzo skrzywdzony przez życie.

– Pamiętam – zarechotała Carol. – Chcieliśmy ci dodatkowo uciąć...

– Carol! – wrzasnęły obydwie harpie.

– Dość! – Marcus huknął pięścią w stół. – Przerwijcie, do cholery, tę bitwę na słowa. Czas ucieka. Czy możemy się w końcu dowiedzieć, o co chodzi z tym całym cyborium?

Bitwa słowna zmieniła się w istne bombardowanie wzrokiem. W ciszy, jaka zapadła, dało się słyszeć kilka sapnięć, a gdy wszyscy nieco ochłonęli, Madeleine wycedziła:

– A teraz, drogie pisklaczki, opowiem wam bajkę!

– Dawno, dawno temu... – zachichotał Kay, a gdy popatrzyła na niego jak na wyjątkowo smacznego jelonka, przełknął nerwowo

ślinę i mruknął: – Mój nos nie wymaga pudrowania.

W odpowiedzi uniosła jedynie znacząco brwi i westchnęła.

– Przypowieść o „Grającym do snu" przekazał mi yermin, a jemu jego przodkowie. Jako pisklaki, Jared, słuchaliśmy mocno okrojonej wersji. Ta jest ciekawsza. Jej początki sięgają czasów, gdy na ziemi, z wyjątkiem roślin, nie było innych żywych istot. Ta historia, którą opowiada się jako bajkę, zdarzyła się naprawdę...

Tony i Kay nadstawili uszu, Amanda zastygła z kubkiem kawy w dłoniach. Nawet Carol, chociaż znała tę opowieść, przestała żuć gumę. Harpia przeniosła słuchaczy tysiące lat wstecz, a opowiadała tak barwnie, że nawet Jack wylazł ze swej kanciapy, przysiadł na podłodze i słuchał z oczami wlepionymi w pierzastą bajarkę, bojąc się uronić choćby słówko.

– O poranku wszechświata, gdy powietrze było krystalicznie czyste i pachnące odurzającym kwieciem, wody orzeźwiające, a gęste puszcze ciągnęły się aż po horyzont, przybyła na ziemię pewna Istota. Nie wiadomo, kim była. Jedni nazwali ją Wszechmocnym Czarodziejem, Panem Natury lub Kreatorem Światów, bo swe przybycie poprzedziła tworzeniem oceanów, wypiętrzaniem gór, sianiem wszelkiej roślinności. Inni, zwłaszcza ludzie, nadali jej imię Boga, choć chodzą słuchy, że była po prostu człowiekiem zdobywającym wszechświat. My, harpie, nazwaliśmy tę istotę „Grającym do snu".

Pan Natury przemierzał więc wyczarowany przez siebie świat i go udoskonalał, ciągle jednak nie był zadowolony z efektu. Ozdobił niebo fantazyjnymi chmurami, rozsiał po ziemi kamienie szlachetne, spiętrzył wody w wodospady, a mimo to świat nadal go nie zachwycał. Pomyślał, że cicho w nim jakoś i pusto. Że prócz

szumu wiatrów i strumieni brakuje innych dźwięków, ruchu, gwaru, radości. Wtedy postanowił stworzyć żywe istoty.

Zapełnił akweny rybami, ptakom i owadom pozwolił frunąć. Ciągle jednak było mu mało, dlatego wykreował ludzi. Ukradkiem patrzył, jak podporządkowują sobie ziemię, jak rozpleniają się na niej na podobieństwo roślin. Ale zdaje się, że niedługo i ten gatunek go znudził. Jednak widząc jego ekspansję, postanowił stworzyć i inne gatunki jako przeciwwagę dla ludzkości, bo obwiał się, że człowiek unicestwi jego dzieło. Nie mając pewności, jaki będzie wpływ następnych form życia na całą planetę, swój eksperyment ograniczył do niewielkiego terenu. Postanowił dyskretnie obserwować poczynania swoich „dzieci", a interweniować tylko w ostateczności. Nocami, by ukryć się przed wzrokiem nowo stworzonych, wędrował, powołując do życia coraz to nowe istoty. Nieliczni, którym dane było widzieć Kreatora, opisywali go jako mężczyznę trzymającego w dłoniach coś, co przypominało skrzypce.

– Skrzypce? – mruknął ironicznie Marcus. – Dawał życie za pomocą skrzypiec?

Jack parsknął śmiechem.

– Ja chyba wolę naturalne metody.

Madeleine spiorunowała obu mężczyzn wzrokiem.

– Cicho, samce, gdy samica przemawia! Tak wam pilno do wiedzy, ale kiedy chcę wszystko wyjaśnić, ciągle mi przerywacie. Wcale nie twierdziłam, że to były skrzypce, tylko coś PODOBNEGO do skrzypiec.

– Okej, no więc Kreator wędrował, dając życie. Co dalej? – wtrąciła Amanda.

I znów melodyjny głos harpii przeniósł słuchaczy wprost z wygodnej kanapy tym razem nad mroczne jezioro oświetlone jedynie księżycowym światłem. Pozwolił im ujrzeć oczami wyobraźni Kreatora z jego instrumentem i niemowlęta o skórze płonącej błękitnym światłem, śpiące lub gaworzące na iskrzących się brylantowym pyłem liściach. Niemal słyszeli dźwięki wydobywające się ze skrzypiec. Ich także ogarnęły smutek i wzruszenie na myśl o dzieciach ulatujących w niebo, tonących w ciemnych głębinach czy wciąganych w leśne zakamarki.

– To te niemowlęta dały początek innym gatunkom. Z tych, które wciągnęły wody jeziora, powstały syreny, a z ulatujących w niebo – między innymi harpie. A z tych porwanych przez las...

– ...centaury, fauny, krasnoludy – wtrąciła zamyślona Amanda.

– I elfy. No i nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, ale mroczniaki i elfy dnia to właściwie ten sam gatunek. Ot, po prostu kilka zwaśnionych plemion, choć trowy przetrwały, a te drugie nie.

– Chwila, znałem jednego elfa, który twierdził, że ma domieszkę krwi trowów – wtrącił Marcus. – Nawet on sądził, że to dwie odrębne rasy, choć nieco spokrewnione.

– Phi! Edukacja w dzisiejszych czasach jest na skandalicznie niskim poziomie. Elf, który nic nie wie o własnym gatunku? Oburzające! – Madeleine nawet nie starała się ukryć, jak bardzo jest zdegustowana.

– Fabien? Ten, co was zdradził? – zapytał Jared.

Marcus tylko skinął głową.

– Oriana też zdawała się o tym nie wiedzieć. Pewnie czarami wyzwoliła jego mroczne cechy, nie wiem... No i był przekonany –

zresztą nie tylko on – że elfy nie potrafią kłamać. Coś mi mówi, że to pewnie także kłamstwo.

Chwilę milczeli, pogrążeni w melancholijnej zadumie. Pierwsza przerwała ciszę Madeleine.

– Kreator wyposażył każdy z gatunków w specyficzne umiejętności, po czym, tak jak postanowił, dyskretnie i nie ingerując, obserwował życie swych „dzieci". Na początku zgodnie dzieliły wyznaczony teren. Potem jednak niektóre osobniki, a w końcu całe rodziny i społeczności, poczuły chęć dominacji. W tym czasie Istota z jakiegoś powodu opuściła dopiero co stworzony świat. Zdaje się, że nie miała pewności, kiedy i czy w ogóle wróci, bo ustanowiła takie bariery magiczne, by te dodatkowe gatunki nie mogły wydostać się poza określony teren. Mrocznym elfom przydzieliła funkcję strażników porządku.

– To dlatego nigdzie nie możemy zwiać przed mroczniakami – szepnął Jared.

– Ooo! – Nawet Carol zabrakło pomysłu na szyderczą uwagę. – O tym nie wiedziałam.

– Bo byłaś zajęta molestowaniem Hadriana – mruknęła harpia. – Przed odejściem Czarodziej stworzył coś jeszcze.

Zawiesiła na chwilę głos.

– No, gadaj w końcu! – nie wytrzymał Tony.

– To były nihilizatory – zarechotała syrena. – Ten kawałek akurat usłyszałam.

– To prawda, COŚ słyszałaś, tylko nie masz pojęcia, o czym to było – odcięła się Madeleine. – Nihilizatorami nazwały to urządzenie następne pokolenia. Wyobraźcie sobie krążące w powietrzu ogromne pierścienie lub wirujące tuby z tak

przezroczystego kryształu, że nie sposób go dostrzec. Po jednym pierścieniu dla każdego z głównych – z wyjątkiem człowieka – gatunków. Mieszańce i hybrydy powstały dużo później. Tak więc tuby wisiały nad głowami żyjących, obracając się powoli wokół własnej osi i przemieszczając po wyznaczonym terenie. – Przyjaciele odruchowo spojrzeli na sufit. – Wydawały przy tym łagodny metaliczny dźwięk. Rozbrzmiewało też cichutkie skrobanie, albowiem każdemu pierścieniowi towarzyszyło niewielkie piórko wykonane z najszlachetniejszych kamieni. Ze szmaragdu, akwamarynu, heliodoru i morganitu. Nazwano je Piórami Władzy, Wiedzy, Porządku i Przeznaczenia...

– Do czego służyły? – zapytał Jack.

– Do zapisywania historii. Tak można by rzec w dużym skrócie, ale to zbytnie uproszczenie. W istocie mówiły wszystko o danym gatunku, począwszy od jego budowy, przez wszelkie umiejętności, dokonania, historię ludu. Były też gwarantem utrzymania równowagi między nimi a czujnymi obserwatorami. Podobno nie sposób było ich dostrzec.

– Uwaga, teraz będzie najlepsze – zachichotała syrena. – Zapytajcie, co by się stało, gdyby na przykład harpie czystej krwi zdobyły piórko zapisujące pierścień przeznaczony dla krasnoludów albo centaurów i chciały zabawić się w pisarzy.

Siedem par oczu ponownie wpatrzyło się w Madeleine. Ta się nastroszyła.

– Natychmiastowe unicestwienie wszystkich dodatkowych gatunków. Na świecie zostaliby tylko ludzie.

– Zaraz, a mieszańce? Półtrytony czy półelfy? – zapytał Kay.

– Tak samo, tyle że ich spotkałaby śmierć poprzedzona nieuleczalnymi chorobami.

Bracia wzdrygnęli się, Amanda zapatrzyła w zawartość kubka, a Marcus nerwowo podrapał brodę.

– To dlatego nazwali je nihilizatorami, unicestwiaczami... – szepnął.

– Taką klauzulą opatrzył pierścienie ich twórca, na wypadek gdyby jego dzieci dowiedziały się o ich istnieniu i chciały majstrować przy zapisie historii. Z jakiegoś powodu tylko czystej krwi ludzie nie podlegali tym ograniczeniom, stąd podejrzenie, że Kreator sam był człowiekiem. Tyle że z czasem wszystko się popieprzyło. Gatunki zmieszały się ze sobą. Podejrzewam, że obecnie efekt końcowy zależałby od tego, w jakim stopniu dana istota jest człowiekiem.

– Dobra, ale w jaki sposób zorientowali się, co fruwa nad ich głowami i do czego służy? – zapytał Jack.

Madeleine skierowała na niego swój ptasi wzrok, a potem spojrzała na Marcusa tak przenikliwie, aż dreszcze przebiegły mu po plecach. Zanim otworzyła usta, już wiedział, do czego zmierza.

– Tak, Marcus, Ariel miała w tym swój udział.

– Bredzisz! Ariel urodziła się daleko stąd, i to setki lat później!

– Ale jej ojciec nie! Sam powiedziałeś o tym yerminowi, pamiętasz?

Odpowiedzią było tylko głośne westchnienie.

– Nie no, błagam, czy ktoś może mi wyjaśnić, o czym oni gadają? – wtrącił Tony, bo stopień zawikłania sprawy stał się dla niego za wysoki.

– Xaviere D'Orion, ojciec Ariel, a mój dziadek, pochodził z Morren City. Urodził się tutaj setki lat temu i w jakiś sposób wpłynął na rozwój wypadków. To chcesz powiedzieć, Madeleine, prawda? Mów dalej – odezwała się nagle Amanda. Ta rodzinna układanka powoli zaczynała mieć sens.

– Dokładnie tak. W okresie powstawania Morren mroczniaki żyły głównie na powierzchni. Nieświadomie wyłamały się z narzuconej im przez Grającego funkcji strażników porządku. Z czasem poczuły się panami tej krainy i nawet zapis na ich pierścieniu nie był w stanie powstrzymać terroru i przelewu krwi. Moce trowów rosły, a one same zaczęły podporządkowywać sobie kolejne gatunki, nawet ludzi. Ich okrucieństwo stało się legendarne. Wiele istot wolało odebrać sobie życie, niż choćby godzinę służyć jakiemuś mroczniakowi. Aby nie tracić więcej niewolników, trowy zaczęły wszczepiać im „kamienie posłuszeństwa" zwane morganitami, mające tłumić w nosicielach wszelkie emocje i zmieniać ich w posłuszne kukły.

Marcus poderwał głowę i natrętnie wpatrzył się w harpię. Nie powiedział jednak ani słowa.

– Nosicieli morganitów nazwali merrillami, to znaczy „istotami bez czucia". Księciem trowów był wtedy wyjątkowo brutalny Evanghelos. Z pewnością słyszeliście o gelusach? On miał ich aż dwa, i to bardzo agresywne. Rozszarpywanie syrenom gardeł i wleczenie trupów ulicami Morren było ich ulubioną rozrywką. A widzieliście fasady tutejszych budynków? Wiecie, czemu mają takie dziwaczne kształty?

Odpowiedziało jej milczenie.

– Nie, to nie architekt był chory psychicznie. Jeśli wytężycie wzrok, dojrzycie na przykład na frontonie ratusza sylwetki mroczniaków odcinających syrenom ogony czy vivernów polujących na kretynów, którzy bezmyślnie znaleźli się na ulicach w porze mgieł i piasku.

Znów dojrzała w oczach słuchaczy dezorientację. Zbulwersowana kontynuowała.

– Rany! No COŚ wypadałoby wiedzieć! Cokolwiek?! W życiu nie widziałam tylu ignorantów na jednej kanapie. O dowolnej porze dnia lub nocy – bo to nigdy nie była dokładnie ta sama godzina – na ulicach miasta nagle pojawiała się tak gęsta mgła, że na wyciągnięcie ręki nie było niczego widać. Niezależnie od pory roku zaczynał rozchodzić się fetor zgnilizny, a z nieba, jakby na przekór grozie, spadał piękny błękitnosrebrzysty piasek, który po zetknięciu z ziemią znikał. Należało wtedy błyskawicznie szukać schronienia w najbliższym domostwie, bo we mgle czaiło się coś jeszcze. Tak, to były viverny. Na rozkaz swych panów wyłapywały maruderów. Muszę mówić, co z nimi robiły potem? Dzięki genialnemu węchowi i wzrokowi nikogo nie przeoczały. Zwłaszcza tych biedaków, których naznaczyły niepozorne ziarnka piasku. Wyobraźcie sobie puste ulice. Wędrujecie wśród takiej mgły niczym ślepcy. Może nawet zachwyca was błękitny pył lecący z nieba, choć smród rozkładu odrzuca. I nagle dostrzegacie przed oczami ohydny pysk pokryty czarną łuską. To ostatnia rzecz, jaką widzicie. O tak, trowy były mistrzami w zastraszaniu ludności.

Przyjaciele zamarli z przerażenia i tylko Kay nie zdołał zapanować nad nerwowym przełknięciem śliny.

– W takich to właśnie czasach Evanghelosa zdarzyło się, że użytecznemu z najniższej kasty...

– Oni mieli kasty?! – wykrztusił Jack.

– Do tej pory mają, słodziaku – rzuciła Carol. – Kastę wojowników, wyższą – użytecznych, czyli sklepikarzy, artystów, medyków, niższą – różnych rzemieślników, i najniższą – niewolników. Jak mimo swej głupoty daliście radę przeżyć do tej pory?

– A nie mieli jakichś, nie wiem, arystokratów, kapłanów? No co? Jestem człowiekiem, jeszcze wczoraj dałbym ci namiar na psychiatrę, gdybyś chciała pokazać mi ogon.

– Żabciu, ogon to ja mogę ci pokazać choćby...

– Daj już spokój, Carol! – przerwała jej Madeleine. – Kapłanów nie mają, bo i po co? Wierzą jedynie w przemoc i dominację własnej rasy. Wojownicy są jednocześnie arystokratami, a kolejnego księcia wybiera poprzedni na podstawie licznych, jak wy to mówicie, castingów, polegających w rzeczywistości na wzajemnym mordowaniu się. Dobra, ale na czym to ja skończyłam? Aha, że niewolnikowi wszczepiono morganit ze skazą. Pod jego wpływem merrill ten stracił całą empatię wobec świata i przestał myśleć o odebraniu sobie życia. Kamień jednak spowodował coś jeszcze. Wyzwolił w nosicielu żądzę wolności. Od tamtej pory jedyne, o czym był w stanie myśleć, to o ucieczce, choć trzeba przyznać, że był w tych zamiarach szalenie ostrożny. Sprzyjał mu fakt, że trowy kochały biesiadować, czy to w rezydencjach na powierzchni, czy pałacach w podziemnym mieście. Pewne swej bezkarności oraz niezawodności vivernów, gelusów i caesarianów straciły czujność...

– Zaraz, zaraz, co to znowu za caesariany? – wtrącił Jack. – Mroczna ta bajka, ale nie wprowadzaj zbyt wielu bohaterów, bo słuchacze się pogubią i jeszcze zaczną się moczyć w nocy.

– Człowieku – ptasie tęczówki niemal wwierciły się w twarz mężczyzny – gdy w końcu zrozumiesz, że bajki nie ma w tym żadnej, a jedynie historia, która może się powtórzyć, przestaniesz dowcipkować i zaczniesz szukać dla siebie wolnej kwatery na Cmentarzu Aniołów. Bo gdyby trowy wróciły do władzy, tam będzie nam wszystkim najwygodniej. A teraz zamknij już dziób i daj mi dokończyć!

Pod karcącym spojrzeniem harpii Jack niemal się skurczył.

– Caesariany, rumaki książąt. Tak nazywano bestie przypominające ogromne koty pokryte mikrołuskami. Podobnie jak gelusy, dedykowane były konkretnym mroczniakom i tylko oni mogli na nich jeździć. Miały skrzydła, choć w powietrzu na szczęście radziły sobie gorzej od nas, harpii i możliwość zmiany nóg w płetwy, gdy znalazły się w wodzie. Były szybkie i cholernie niebezpieczne. Nie chcesz wiedzieć, co potrafiły robić pazurami, zębami, jadem i ogniem. Gdybyś jednak był głupio dociekliwy, cały repertuar ich możliwości znajdziesz w bibliotece yermina. Ale odchodzimy od tematu.

Znów ujrzała pytanie w ich oczach.

– Xaviere. Tak, to jemu nieświadomie wszczepiono morganit ze skazą, powodując obsesyjną chęć ucieczki. A że był użytecznym Claylanda, który jest teraz księciem mroczniaków, znał ich plany i miał dostęp do wszelkiej wiedzy zawartej w kryształach czy mądrych księgach. Widział także mapy tych terenów. Nie skopiował ich, a jedynie zapamiętał. Wiedział, że nie ucieknie

daleko, choć zapewne nie był świadomy istniejących barier. Raczej obawiał się bestii mroczniaków. Udało nam się dotrzeć do przedśmiertnych zeznań biedaków, którzy za nim poszli, lecz mieli mniej szczęścia. Ustaliliśmy, że podsłuchał kiedyś naradę najważniejszych trowów z Evanghelosem na czele i zrozumiał, że z jakiegoś powodu nie mogą zbliżyć się do gór. Z ich opowieści dowiedział się o wąwozie przechodzącym przez łańcuch górski i o tym, jak bardzo mroczniaki boją się tych szczytów. Czuł, że jeśli ucieczka ma się udać, to ten kierunek będzie jedynym słusznym. Zdradził swe plany tylko paru najbardziej zaufanym przyjaciołom. Pewnego dnia, gdy Evanghelos wraz z podwładnymi ruszyli na inspekcję swych włości na powierzchni, Xaviere towarzyszył swemu panu. Biesiada odbywała się niedaleko dzisiejszego ratusza – wtedy była to naziemna rezydencja księcia – w domu któregoś z jego wasali. Na Evanghelosa czekała tam wystawna uczta. Xaviere posłusznie podawał dzbany wina i półmiski smakowitych potraw, przyprowadzał kolejnych niewolników płci obojga, mających dostarczyć swym panom rozrywki. Potem również bez emocji pomagał zadawać im śmierć wymyślnymi torturami. Ale przede wszystkim cierpliwie czekał.

– Nie wiem, o kim mówisz, ale na pewno nie o moim dziadku! On taki nie był! Na pewno nie skazałby świadomie nikogo na śmierć! Nie zabiłby! Był... – przerwała jej gwałtownie Amanda. Dziewczyna ciężko dyszała, zaciskając dłonie na kubku z zimną już kawą. Marcus odebrał go z jej rąk.

– Był nieczułym draniem, Amando. Nie chciałem ci tego mówić, ale bardzo skrzywdził Cornelię, Claire i twoją matkę – powiedział.

– Przykro mi, że burzę twoje romantyczne wyobrażenia o Xavierze, bo sam tak o nim myślałem, ale...

– Przeczytałam kopię jego pamiętnika! Kochał świat dziewięciu miast! Troszczył się o ludzi, którzy przeszli z nim przez...

– ...góry – dokończyła cicho Madeleine. – Nie wiemy, kim stał się za łańcuchem górskim. Wiemy, kim był tutaj. Niestety nie słyszeliśmy o nim pochlebnych opinii.

Nawet harpii, niechętnej do wyrażania emocji, przykro było patrzeć na łzy Amandy. Pogładziła dziewczynę po dłoni.

– Widzę, że przejście przez wąwóz zmieniło Xaviere'a. Cieszę się, że przynajmniej po tamtej stronie był porządnym człowiekiem.

Marcus chrząknął znacząco, lecz harpia dyskretnym ruchem głowy dała mu do zrozumienia, żeby nie pogarszał i tak już napiętej sytuacji.

– Jak się pewnie domyślacie – Madeleine podjęła opowieść – gdy mroczniaki znużone biesiadą zapadły w drzemkę, Xaviere niepostrzeżenie wymknął się z rezydencji w przebraniu trowa. Udało mu się pokonać kilka zaułków, lecz wkrótce został dostrzeżony. Spanikowany rzucił się do ucieczki. Zdołał jedynie dobiec do rynku. Nie wiemy dokładnie, co tam się wydarzyło. Prawdopodobnie niechcący otarł się o któryś z pierścieni. Pamiętacie, że były niewidzialne i się przemieszczały? To musiał być jakiś przedziwny zbieg okoliczności. Dość powiedzieć, że w efekcie na moment zniknął caesarianom z oczu. Zupełnie jakby stał się niewidzialny.

– Może wpadł do wnętrza pierścienia? – pomyślał na głos Jared.

– A wiesz, że może masz rację? – Madeleine uśmiechnęła się do niego. – Wiele razy zastanawialiśmy się z yerminem, czemu bestie

nie dostrzegły uciekiniera, ale rzeczywiście tak mogło być. W każdym razie jakiś czas potem znów stał się widzialny i zaczął uciekać, ale ani caesariany, ani gelusy nie ruszyły za nim w pościg. Zupełnie jakby nadal go nie wyczuwały żadnym ze swych zmysłów. Świadkowie twierdzą, że po jego ucieczce pierścienie zaczęły stawać się widzialne. Nagle wszyscy je ujrzeli i mogli odczytać, co na nich zapisano! Przez wiele dni krążyły po niebie nad rynkiem na podobieństwo czarnych granitowych tulei, a piórka wciąż spisywały historię. Tylko przy jednym z nich nie było pióra. Pewnego dnia spowolniły swe obroty i zaczęły opadać, aż w końcu zostały wchłonięte przez pokrywające rynek płyty.

– Zaraz, czy to czasem nie te czarne koła, po których chodzimy codziennie? – zapytał Tony.

Harpia potwierdziła skinieniem głowy.

– Gdybyście wytężyli wzrok, ujrzelibyście, że minimalnie, ale jednak okręcają się wokół własnej osi.

– Dobra, ale czemu nikogo nie unicestwiły? Powinniśmy zniknąć, nie? – wtrącił Kay.

– To proste – odpowiedziała mu Amanda. – Xaviere był człowiekiem.

– *Wow!* – Jared tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

– Madeleine – odezwał się Marcus – coś mi tu nie pasuje.

Zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Bestie nie zauważyły Xaviere'a, ale przecież za nim uciekło mnóstwo istot...

– Widzisz, Marcus, najpierw trowy były zszokowane, że komuś w ogóle wpadła do głowy myśl o ucieczce. Szybko pognały za zbiegiem, ale straciły go z oczu. Jednak jego ingerencja w pracę

pierścienia miała poważniejsze konsekwencje. Nie dość, że zakłóciła percepcje bestii, to oszołomiła też wszystkie mroczniaki. Wiele dni chodzili niczym zamroczeni, zupełnie nie wiedząc, co się stało. Kto nie skorzystałby z takiej okazji i nie uciekł? Zwłaszcza gdy rozeszła się wieść, że gór oprawcy nie przejdą. Widząc trzeci dzień z rzędu swego dręczyciela, słabego i zdezorientowanego, nie uciekłbyś, gdzie pieprz rośnie? Konsekwencje były jednak poważniejsze. Utrata pióra osłabiła moce trowów i, jakby dla równowagi, wzmocniła pozostałe gatunki. Mroczniaki zostały zmuszone do wycofania się pod ziemię, a paradoksalnie pilnować tego zobowiązały się gnębione do tej pory merrille! Po tej aferze z Xaviere'em ich morganity nagle zmieniły swe właściwości. Nadal są to istoty pozbawione empatii, lecz uwolnione, teraz to one pilnują równowagi międzygatunkowej i są zawsze skłonne do pomocy potrzebującym, niezależnie od rasy. Na dodatek zagroziły, że w razie nieposłuszeństwa trowów same aktywują pierścienie i zakłócą ich pracę, a wtedy...

– ...wszyscy zostaniemy unicestwieni. Szkoda, że ich nie było, gdy Sheridan obcinał mi skrzydła – mruknął Jared. Nawet nie starał się ukryć goryczy.

– Ale uratowali ci życie.

– Chciałabyś żyć bez skrzydeł?

Madeleine podejrzanie szybko odwróciła wzrok.

– No właśnie. Ciekawe, czemu wcześniej nie wyczuli pieprzonych trowów na tamtej polanie.

– A padał wtedy deszcz? – zapytała niespodziewanie harpia.

– Było świeżo po...

– I masz odpowiedź. Mroczniaki współpracują z płanetnikami, dlatego targi syren zawsze odbywają się podczas ulewy. Burze zakłócają działanie pomniejszych morganitów i dezorientują ich nosicieli.

– Ooo...

– Zawsze mówiłem, że płanetnicy to zdradliwe sukinkoty – szepnął Marcus. – Pogadanka z Croyem dobrze by im zrobiła. Ale wracając do tematu: czemu trowy myślą, że Ariel to cyborium?

– Bo zanim pierścienie się zapadły, któryś z tych bystrzaków odczytał, że pewnego dnia do Morren przybędzie istota obdarzona wiedzą. Że pokona wąwóz, będzie niczym naczynie po brzegi wypełnione rozpaczą, a jej znakiem rozpoznawczym będzie tatuaż ze smokiem.

– Co za bzdura! Niedawno sam taki miałem. – Marcus nerwowo pogładził bliznę na szyi.

– Ale wąwozu nie przeszedłeś. Trowy wierzą, że cyborium powie im, gdzie znaleźć piórko. Potem zapewne zmuszą jakiegoś czystej krwi człowieka, żeby aktywował pierścienie, a wtedy żegnaj, spokojne życie...

Znów wszyscy zamilkli. Kay przegryzał ciastko, Carol wróciła do żucia gumy, a Amanda pociągnęła łyk zimnego naparu.

– Dobra, zanim nadejdzie Armagedon, wrócę do poszukiwania naszego klejnotu. Niech ktoś zrobi świeżą kawę – mruknął Jack. Podniósł się z podłogi, przeciągnął i poczłapał do ciemni.

– No to chyba nie mamy wyjścia, trzeba czekać, aż Jack ją znajdzie. Miejmy nadzieję, że Sheridan jej nie dorwał – szepnął Jared.

Tak więc Jack ponownie zasiadł przy laptopach, przyjaciele zaczęli cicho omawiać usłyszane nowiny, a Marcus rozsiadł się wygodniej w fotelu, przymknął oczy i potarł skronie. Pod osłoną adger pozwolił napłynąć wspomnieniom, poddać się tęsknocie. Stres ciężkim kamieniem zaległ mu na piersi, niemal odbierając oddech.

„Gdzie jesteś, Ariel? Czemu do tej pory cię nie odnalazłem?".

Tak strasznie chciał ją przytulić. Niepokój zagłuszał logikę, która podpowiadała, że Ariel wychodziła przecież z tak wielu opresji, na dodatek wyciągała z nich innych.

„Tak, ale wtedy miała pełnię mocy magicznych" – podpowiadało doświadczenie i zaczynał martwić się jeszcze bardziej.

– Spokojnie, znajdziemy ją – przerwał te ponure rozmyślania szept. Amanda kucnęła obok fotela i pogładziła Marcusa po ręce.

– Ty się nie martwisz? To twoja matka!

Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

– Nie opowiadaj głupstw. Oczywiście, że się martwię! Przepraszam, że nie histeryzuję, nie rwę włosów z głowy, nie smarkam w chusteczkę. Nie umiem wyrażać emocji tak żywiołowo jak Ariel. Nigdy nie umiałam.

– Jak Ariel? Nie nazywasz jej matką? – Zerknął na nią podejrzliwie.

– Marcus... – Jak miała wyjaśnić temu mężczyźnie rzeczy tak proste i zagmatwane jednocześnie? Oczywiście, że Ariel była jej matką, mimo to wiele razy czuła się od niej znacznie dojrzalsza. Przewyższała ją umiejętnościami, doświadczeniem, tyloma rzeczami... Zupełnie jakby to ona, Amanda, była matką Ariel, a nie na odwrót. Czy poczuwała się jednak do jakiejś specjalnej

opieki nad nią? Nie. Owszem, była przygnębiona z tego powodu, że zniknęła, ale uważała, że wszystko skończy się dobrze.

Właśnie zastanawiała się, jak powiedzieć o tym Marcusowi, gdy usłyszeli:

– Ludzie i nie ludzie! Nawet was polubiłem, wiecie?! I prawie wam uwierzyłem! Ale teraz przestańcie już robić sobie jaja!

Spojrzeli zaskoczeni w stronę kanciapy. W drzwiach stał Jack. Był wściekły.

– Coś się stało? – zapytał niepewnie Jared.

– Coś? Coś?! Nie lubię, jak mnie ktoś robi w balona! – Mężczyzna miał niemal morderstwo w oczach. – Nie zamierzam tracić całej nocy na ganianie za srebrzystym jednorożcem, bo jutro pracuję i muszę być wypoczęty! Normalni ludzie zapieprzają, żeby zarobić na utrzymanie. Nikt nie opłaci moich rachunków, wiecie? Macie pięć minut na wyjaśnienie mi tego! – Wskazał ręką za siebie. – A jak nie, to wypieprzać!

Zaintrygowani szybko ruszyli do ciemni. Ale zanim zdążyli stłoczyć się wokół cicho szumiącego laptopa i popatrzeć w ekran, Marcus złapał urządzenie i rzucił nim przez cały pokój.

– O nie! – mruknął Jared i uchylił się przed pociskiem.

Ułamek sekundy potem laptop przywitał się ze ścianą i dokonał żywota między stertami fotografii. Usłyszeli jeszcze potężne trzaśnięcie drzwiami, po którym galeria zdjęć pofrunęła przez pokój niczym żywe ptaki.

– Jezusie Maryjo, króliczek! – jęknął Jack i rzucił się ku szczątkom komputera. Patrząc z niedowierzaniem na sponiewierane zwłoki laptopa, powtórzył szeptem: – Zabił mi króliczka. – I nagle... zaczął łkać!

Z pewnością w innym czasie i innej sytuacji widownia nagrodziłaby go salwami śmiechu, tym razem jednak patrzyli tylko ponuro. Amanda westchnęła, podeszła szybko i wyciągnęła rękę.

– *Sanabo.*

Plastikowe i metalowe odłamki zaczęły bezszelestnie, jakby przyciągane niewidzialnym magnesem, łączyć się ze sobą. Tafla ekranu się wygładziła. Dziewczyna stała nad szczątkami z wyciągniętą dłonią tak długo, aż ponownie stały się laptopem. Kolejne zaklęcie przeniosło go na blat.

„Ożyj, króliczku" – pomyślała, bo oczami wyobraźni widziała, w jaką histerię zmieniłby się szok Jacka, jeśli sprzęt pozostałby martwy. Na głos powiedziała:

– Chcę...

Coś zgrzytnęło w środku, zaszumiało i na ciemnym ekranie ukazały się kolorowe kropki.

– Czary. Prawdziwe czary – szepnął zachwycony Jack.

– Nie, tylko prąd w baterii – mruknęła, a potem pomyślała: „A teraz pokaż nam, co tak bardzo wkurzyło Marcusa".

Sześć par oczu wpatrzyło się w ekran, na którym pojawiła się... sylwetka Ariel namiętnie całującej Sheridana w jednym z pasaży galerii. Zapadła długa, niezręczna cisza. Pierwsza przerwała ją Carol bezwstydnym chichotem.

– A niech mi pleśniawka łuski zeżre! Toż to nasza niewinna zguba! Kto by pomyślał!

– No – potwierdził Jack. Widać było, że już ochłonął z pierwszych emocji. – Zdaje się, że zamiast tracić czas na

poszukiwania, powinniśmy jego spytać. – Wskazał drzwi, za którymi zniknął Marcus.

Madeleine, Carol, chłopaki i Amanda bez słowa spojrzeli na Jareda.

– Kłopot w tym, że to nie Marcus – westchnęła harpia. – To właśnie Sheridan, mroczniak, tak do niego podobny, że nawet Ariel ich pomyliła.

– Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć o jej konszachtach z tym bydlakiem? – warknęła Madeleine. – Może faktycznie tracimy czas i powinniśmy ją po prostu zlikwidować?!

– Nie! – krzyknęli jednocześnie Amanda i Jared.

– Pozwólcie mi wyjaśnić – powiedział szybko Jared. – To było krótko po przejściu Ariel przez wąwóz i zaraz po tym, jak Sheridan zabił Aeryn i zlikwidował kilka waszych kwater. Siedziałem z nią w tamtej galerii. Opowiadałem jej o Morren, o wszystkim, co tu się dzieje, a ona mnie o sobie. Wtedy go zobaczyła. Ja też myślałem, że jest z nim w zmowie, ale potem napadł ją w zaułku niedaleko galerii i chciał porwać...

– Prawda! – potwierdzili bracia.

– Właśnie wtedy zorientowaliśmy się, że jest niemal bliźniaczo podobny do Marcusa. Tam, w pasażu, Ariel była przekonana, że to Marcus przyjechał do Morren, bo zostawiła mu wiadomość na komórce, a Sheridan...

– ...wykorzystał jej pomyłkę – dokończył za niego Tony.

– Wiecie, jakie to ich podobieństwo jest ważne? Całkiem żeśmy o tym zapomnieli. A Sheridan to bydlę, wykorzysta ten fakt bez skrupułów – odezwała się Madeleine. – Niemądrze jest

spacerować po Morren nocą, nawet jeśli się jest sheridanopodobnym. Niech ktoś poszuka tego narwańca.

– Nie ma takiej potrzeby – dobiegł ich cichy głos od drzwi. Stał tam blady i bardzo poważny Marcus. A kiedy ruszył w stronę blatu, wszyscy podejrzanie szybko opuścili ciemnię. Na posterunku został tylko Jack. Zasłonił ciałem laptop, ale minę miał tak przerażoną, jakby zobaczył stado kanibali szykujące się do pożarcia ukochanego dziecka.

– Wybacz, to się już nie powtórzy – wyszeptał Marcus i westchnął ciężko. Odsunął mężczyznę od komputera i usiadł na krzesełku. – Podobno masz jutro robotę.

– Tak, robię foty na przyjęciu w ratuszu. Wiesz, z okazji Dni Morren...

– Spokojnie, nie skrzywdzę twoich króliczków. Wypocznij. Sam będę jej szukał.

A gdy Jack opuścił w końcu ciemnię, Marcus wbił posępny wzrok w zatrzymany obraz Ariel całującej mroczniaka. Palce jednej dłoni oplotły drugą zaciśniętą w pięść.

– Dorwę cię i przysięgam, że moje całusy zostawią trwałe ślady na twojej buźce, Sheridan – wyszeptał. – Jedno jest pewne: któryś z nas nie przeżyje tej randki...

Następną godzinę Clayland miotał się po komnacie niczym rozwścieczony niedźwiedź jaskiniowy. Trunku już więcej nie

tknął. Wiedział, że gdy zjawi się Sheridan, musi mieć jasny umysł.

„Jeśli to ona... Oby to była ona! Oby żyła! – zaklinał rzeczywistość. – A jeśli ją zabił, nieświadomy jej wartości? Nie, kto jak kto, ale Sheridan ma obsesję na punkcie cyborium nie mniejszą od mojej".

Wiedział, że jeśli podwładny przyprowadzi cyborium, będzie musiał uznać go za swego następcę. Niemiła perspektywa, ale co zrobić? Mógł jednak przeboleć Sheridana jako następnego księcia, jeśli tylko ta kobieta okaże się tak upragnioną istotą.

„Taak, jeśli odnajdziemy Pióro, można by spróbować cofnąć całą historię. Zmodyfikować według naszego widzimisię. Wrócić do tamtego dnia i zapobiec ucieczce tego merrilla. Zgładzić go, zanim zdąży wpłynąć na pierścienie. A kto wie, może nawet wymazać inne gatunki... i wrócić na powierzchnię... Nie, nie mogę ich wymazać, bo kto by nam wtedy usługiwał? Polował, zabawiał nas? Nie, użyteczni muszą pozostać, ale jeśli zmusiłbym jakiegoś człowieka do dopisania kilku linijek... Co do Sheridana... Jego też można by wymazać. Przecież to tylko mieszaniec! Z minimalną domieszką krwi ludzi, ale zawsze. Co z tego, że stokroć bardziej gorliwy niż czystej krwi trowy? Miałbym tyle możliwości... Oby to tylko była ona!".

Raz po raz nerwowo zerkał przez zwierciadło na opustoszały plac, czekając, aż pora huraganów dobiegnie końca. Cała długa godzina, w czasie której powietrze we wszystkich tunelach było z ogromną siłą sztucznie wymieniane. Pamiętał, jak wprowadził ten zwyczaj, a potem zakazał pobratymcom wychodzenia na ulice. Było to niedługo po tym, jak został księciem. Cóż, Evanghelos nie

musiał przejmować się tak prozaicznymi sprawami jak duchota czy smród, ale za jego czasów ten problem przecież nie istniał. Dopiero gdy merrille zepchnęły ich pod ziemię i gdy stłoczeni zaczęli walczyć o każdy łyk świeżego powietrza, Clayland zrozumiał, jak ważne jest to, czym oddychają. Zanim inni pojęli, że dzięki porze huraganów przez kolejne dwadzieścia cztery godziny mają zapewnione w miarę czyste powietrze, buntowali się, ale kiedy kilku zginęło, a on nie odwołał rozporządzenia, pogodzili się z rzeczywistością. Pamiętał, jak w związku z tym ograniczył też liczbę dozwolonego przychówku na jednego mieszkańca. W ogóle zamiast poświęcić się temu, co przynosi trowom chwałę, czyli wspieraniu artystów i gnębieniu wrogów, on musiał na początku zająć się tak haniebnymi sprawami, jak zapewnienie pożywienia, światła, schronienia, ba, nawet usuwanie śmieci! Do tej pory zgrzytał zębami na wspomnienie tych paru trowów, którzy jawnie kpili z jego zarządzeń. Innym przestało być do śmiechu, gdy zobaczyli gelusy księcia w akcji i zrozumieli, że Evanghelos wybrał odpowiedniego następcę. Tak, pora huraganów od tylu dziesiątek lat pozwalała w miarę wygodnie egzystować w podziemnym mieście. Ale powodowała też czasowe ograniczenia w poruszaniu się tunelami. Należało czekać.

„A żeby to evanthesy obesrały! Co z tego, że nie brak nam żywności, ubrań, dóbr wszelakich, skoro nie mamy czym oddychać?! Ale może już niedługo wrócimy na dawne tereny? Znowu będziemy przechadzać się po mieście i jawnie organizować targi syren? Wróci pora mgieł i piasku, polowania vivernów na użytecznych? Ech, piękne to były czasy...”.

Książę się rozmarzył. Z tego stanu błogości wyrwała go dopiero cisza. Zawodzący głośno wiatr nagle ucichł, kurz opadł, na ulice i placyki znów zaczynało wracać życie. Kupcy szybko i sprawnie otworzyli sklepiki, kawiarenki ponownie zapłonęły lampionami, mieszkańcy wyszli na wieczorny spacer. Clayland usiadł w fotelu, przymknął oczy. Mogłoby się wydawać, że jest całkowicie zrelaksowany, w rzeczywistości jednak książę z trudem panował nad zniecierpliwieniem i gdy w końcu padło tak wyczekiwane: „Panie, Sheridan oczekuje w westybulu", musiał włożyć dużo wysiłku w to, żeby natychmiast tam nie pobiec. Odetchnął głęboko, odczekał dłuższą chwilę i dopiero potem skinął dłonią i łaskawie oświadczył:

– Niech wejdzie.

Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, Clayland nawet nie odwrócił głowy. Podekscytowany obserwował odbicie Sheridana i jego ofiary w ciemnym lustrze. Powoli wstał z fotela i podszedł do nich, a oni natychmiast uklęknęli z pochylonymi głowami.

– Wzywałeś mnie, panie.

Książę zmierzył przybyłych wzrokiem. Trow nie miał broni. Kobieta była odziana w typową odzież elfów: wykonany z najdelikatniejszej skóry evanthesów top wyszywany szmaragdami, pareo i sandały; jej włosy ułożono w kunsztowną fryzurę. Jedyne, co ją różniło od trowek, to brak srebrzystych tatuaży na kostkach rąk i nóg.

„Wystroił ją dla mnie – uśmiechnął się w myślach. – To podarunek. A to spryciarz. Dobrze!".

Zatrzymał się przed mężczyzną. Ten nie podniósł głowy, czekał.

– Sheridan – Clayland bardzo starał się, żeby jego głos brzmiał surowo – ile razy muszę cię ukarać, żeby twoja pusta czaszka zrozumiała, że pewnych przepisów łamać nie wolno? Dopiero co spędziłeś trzy dni w tunelach ściekowych za polowanie na powierzchni, a znów sprzeciwiasz się mojej woli?

– Panie...

– Milcz!

„Podręczmy go jeszcze trochę" – pomyślał.

– Świadomie sprowadziłeś tu tę ludzką kobietę. Na dodatek spółkowałeś z nią, choć wiesz, że to zakazane!

Przez kilka minut książę łajał podwładnego zastygłego w pozie pełnej szacunku. Kiedy Sheridan był już pewien, że znów zostanie ukarany, Clayland oświadczył:

– Mam nadzieję, że ona jest naszym cyborium, bo inaczej naprawdę będę się gniewał.

Widząc zaskoczony wzrok mężczyzny, książę uśmiechnął się i dodał:

– Zawsze jestem doskonale poinformowany, zapomniałeś? Wstańcie.

Okrążył przybyłych, skupiając uwagę głównie na kobiecie. Była niczym kukiełka. Patrzyła, oddychała, poruszała się, ale nie była świadoma, gdzie jest ani co robi. Książę pstryknął palcami i urok minął. Zobaczył w jej oczach dezorientację i szok.

– Jak się nazywasz, moja droga?

– Ariel Odgeon.

Szybko obrzuciła spojrzeniem komnatę i młodszego z mężczyzn, po czym na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie.

– Sheridan! Ty bydlaku, mówiłam ci, że nie jestem żadnym pieprzonym cyborium!

Książę uniósł z zainteresowaniem brwi. Przeniósł spojrzenie z kobiety na trowa, a ten pospieszył z wyjaśnieniem:

– Ma tatuaż, panie, i przeszła przez wąwóz.

Pstryknięciem palcami unieruchomił Ariel i pozbawił mowy, choć jej umysł pozostał jasny. Potem sięgnął ku topowi, zsunął jedno z ramiączek, a wtedy oczom księcia ukazał się tak pożądany zielony rysunek. Clayland szybko odwrócił wzrok, by ukryć ekscytację.

– Coś jeszcze? – zapytał z pozoru niedbale.

– Ma też morganit. Co prawda ze skazą, ale kryje wiele cennych informacji. Otóż przez góry naprawdę biegnie wąwóz, a za nimi jest świat kilku dużych, bogato zaopatrzonych miast. Enklawa. Zdaje się, że to tam zamieszkali nasi użyteczni, którzy zbiegli dawno temu. Zresztą sam się przekonaj, panie. Doprawdy szalenie interesujący zapis.

– Jeśli to prawda, masz świadomość, co to oznacza?

– Tak, panie – powiedział cicho trow, ponownie ukląkł i pochylił głowę. – Jestem twoim pokornym sługą, panie. Chwała Claylandowi. Chwała podziemnemu miastu.

Książę podszedł do kobiety i uśmiechnął się niczym do ukochanego dziecka. Dotknął opuszkami palców skóry za jej prawym uchem i aż zadrżał z podniecenia. Przymknął oczy. Wsłuchał się w mowę kamienia, nie zwracając uwagi na cierpienie kobiety. I przed nim morganit odkrył swe tajemnice, i jego pochłonęła rzeka informacji. Jakiś czas później, zszokowany nowinami, odwrócił się do stojącego już Sheridana.

– To wszystko prawda?

– Ty, panie, wiesz najlepiej.

– Mój niewolnik, ta kanalia, która mnie okradła i wystawiła na pośmiewisko, zbudował za łańcuchem górskim tak imponujące społeczeństwo, a to jest jego córka? I to wszystko dzięki morganitowi, który ONA ma w głowie? Wąwóz zmienił właściwości kamienia – wyszeptał Clayland jakby do samego siebie. – Dał mu moc, a merrilla uczynił potężnym czarnoksiężnikiem. Ale ty, jego córka, szumnie zwana Dziewiątym Magiem, już wiesz, jak to jest mieć tak wielką władzę i wszystko stracić, prawda, NACZELNA Odgeon? – Szyderstwo roziskrzyło jego szmaragdowe tęczówki. – My, trowy, nie musimy nosić takich kamieni, by umieć robić te wszystkie fantastyczne rzeczy. Nasza magia jest naturalna. – Wykonał gest i nad głową kobiety rozkwitł mleczny obłok, z którego zaczął padać deszcz kwiatów konwalii. Na jej oczach kwiaty zmieniały się w mikrogelusy, a te znikały, zanim zdążyły dotknąć jej skóry. – Już rozumiesz, że wszystko zawdzięczasz tej różowej błyskotce? Bo tak naprawdę ciągle jesteś tylko ludzkim śmieciem.

Ariel spojrzała na niego ponuro. Potem skierowała wzrok na Sheridana, a w końcu na jedną z płaskorzeźb zdobiących ścianę. Przez chwilę nie potrafiła pojąć, co w niej jest takiego szczególnego. Kusza, róża, łuska... Kusza?! Róża?! Gwałtownie poderwała głowę.

– Te symbole wyglądają znajomo, prawda? – zaśmiał się Clayland, widząc jej zaskoczenie. – Jeszcze się nie domyśliłaś? Ten użyteczny, Xaviere, może i uciekł nam fizycznie, lecz jego umysł pozostał tutaj. On najzwyczajniej odwzorował nasze miasto

w swoim, a jedyną jego inwencją twórczą jest litera X. Kto by pomyślał, że niewolnik będzie miał aż takie ambicje? Wasza smocza róża to po prostu nasz morganit, symbol zniewolenia. Smocza łuska to znak naszych vivernów. Stożek ratusza to podziemne miasto, a kusza...

– Kusza zawsze pozostanie dla mnie symbolem nadzoru oficerów nad miastami, niezależnie od tego, co zrobisz, żeby to zmienić – wyszeptała z trudem; jeszcze bardziej znienawidziła swojego ojca za miłość, jaką obdarzył podziemne miasto.

– Zobaczymy. Miasta są ogromne, to prawda, ale nie myśl, że z tego powodu zdołają obronić się przed nami, teraz kiedy już wiemy o ich istnieniu i jak przemierzyć wąwóz. Nasza magia jest mocniejsza, a kiedy spełni się nasz plan... – Spojrzał na nią przenikliwie, a ona zastanowiła się, co mógł mieć na myśli. – Sheridan, musisz wiedzieć, że ten morganit...

Zrozumiała, że toczą ze sobą żywą dyskusję na prywatnym kanale telepatycznym, bo książę mocno gestykulował, a Sheridan co chwila skłaniał głowę. Długo to trwało, a potem nagle książę się uśmiechnął.

– Sheridan, ty draniu! – powiedział na głos. – Wybaczam ci zabicie Roshauna i jego kamratów. Nigdy nie lubiłem tych pajaców. Ashera mogłeś oszczędzić, no ale skoro był tak głupi, by dać się zabić... Nawet nie wiesz, jak wiele zdziałałeś dla całej społeczności. Wybaczam ci nawet te polowania na harpie i ją. – Kiwnął głową w stronę Ariel. – Zdaje się, że ci na górze mają jutro przyjęcie w MOJEJ dawnej rezydencji, a ty jesteś zaproszony?

– Tak, panie.

– Świetnie. W takim razie przygotuj się do tego, a tymczasem nasz skarb zostanie pod moją opieką. I, Sheridan...

– Tak, panie?

– Pamiętaj, wszystko zgodnie z ustaleniami. Tych dni Morren City mieszkańcy nie mają prawa nigdy zapomnieć. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, już niedługo będziesz mógł prosić, o co zechcesz.

– Jesteś bardzo łaskawy, panie.

„Zanosi się na deszcz – pomyślał książę, patrząc na opuszczającego komnatę trowa. – Ostatni w historii Morren...".

Marcus przeglądał zapisy monitoringów niemal do rana. Gdy sfrustrowany nic nie znalazł, pozwolił, żeby zastąpiła go Amanda, ale i ją w końcu zmorzył sen. Zmęczeni wydarzeniami poprzedniego dnia przyjaciele spali głęboko, rozwaleni gdzie popadnie, aż do południa, kiedy to obudził ich głośny wrzask Krakersa:

– Wstawaj, męska cichodaajko!

– *Conclusit!* – krzyknęła dziewczyna odruchowo. Za zaklęciem poleciał też jasiek. Co prawda solidny plaster zatkał dziób wulgarnej papudze, jednak harmider zdążył już poderwać wszystkich z posłań.

Bitwę o łazienkę wygrał Jack, oświadczając stanowczo, że w przeciwieństwie do niektórych spieszy się do pracy. Marcus

i chłopaki ustawili się więc karnie w szeregu i zgrzytając zębami ze złości, czekali na swoją kolej. Harpie oświadczyły, że mają gdzieś ludzkie wynalazki, i zniknęły na jakiś kwadrans, a Amanda stwierdziła, że potrzebuje nieco prywatności, i wyczarowała w kąciku koło aneksu kuchennego dodatkową łazieneczkę, w której zabarykadowała się na dobrą godzinę. Potem wspólnie zjedli późne śniadanie i rozpoczęli naradę.

– Będziemy cię informować na bieżąco! – zawołał Marcus za wychodzącym Jackiem i pokazał komórkę.

W odpowiedzi mężczyzna uniósł kciuk do góry i już go nie było.

Całe popołudnie spędził na rynku i w jego okolicach, bez przerwy fotografując. Robił zdjęcia girland i flag, jakie przystroiły miasto, ceremonii inauguracji Dni Morren i przemowy burmistrza, rozbawionego, wiwatującego tłumu, pierwszych występów lokalnych poetów czy kramów pełnych miejscowych specjałów. Wczesnym wieczorem wrócił na moment do mieszkania, wykąpał się, przebrał i – mrucząc pod nosem: „Pamiętasz mnie, Treya? Jestem Jack Roveen, fotoreporter, ten od wywiadu. Mogę strzelić ci TAKIE foty…" – sprawdził w lustrze, czy wygląda stosownie do sytuacji i wystarczająco seksownie. Jego samozachwyt przerwał dopiero wybuch śmiechu Tony'ego i Kaya, którzy cały czas ukradkiem obserwowali te przygotowania. Jack przez chwilę poczuł się głupio, potem syknął:

– Hej, kijanki, nie powinniście czasem szukać jednej niebezpiecznej wiedźmy? To wracać do pracy, bo trzepnę w ucho! No już!

Jeśli sądził, że jego groźby zrobiły na chłopakach wrażenie, był w dużym błędzie. Krążąc za nim po mieszkaniu, bracia

przybierali grożące złamaniem kręgosłupa pozy i słali gorące całusy, jęcząc: „Jestem Jack, fotorepooorter!”. Pierwszy uśmiechnął się Jared, w ślad za nim podążyła Amanda. Kiedy pozostali też już zaczęli chichotać, a Carol dodatkowo wulgarnie się oblizywać, mężczyzna uznał, że dyplomatyczny odwrót to nic haniebnego, i wrócił do ratusza, by tym razem uwieczniać na fotografiach pojawiające się znakomitości.

„Interesujące – myślał, przyglądając się kobietom w kosztownych sukniach wieczorowych i eleganckim mężczyznom wysiadającym z samochodów przed głównym wejściem. – Takie małe miasto, a tylu oficjeli? Te stroje, ta biżuteria... Można by pomyśleć, że to gala oscarowa, a nie zwykły raut w niewielkiej mieścinie. I jeszcze te limuzyny. Rozumiem, że nie kupili ich z diet radnych, a tylko wynajęli. Ups, przecież my nie mamy wypożyczalni samochodów! Niech zgadnę, to zasługa tego całego Sheridana? Dobra, kogo my tu mamy? Jest burmistrz, są zastępcy, komendant policji. Uśmiech, panowie, jutro będzie was podziwiać całe Morren City. – Migawka strzeliła kilka razy. – Okej, jeszcze tylko parę fotek radnych i mogę poszukać Trei”. – Uśmiechnął się do własnych myśli.

Plakietka z napisem „fotoreporter” na ciemnym smokingu otwierała przed nim wszystkie drzwi, szybko więc ruszył do sali bankietowej. Szerokie schody z ciemnego drewna o wypolerowanych poręczach zakończonych łbami jaszczurek zawiodły go na piętro. Niby chodził już nimi tyle razy przy okazji załatwiania różnych spraw, a przecież miał wrażenie, że widzi je po raz pierwszy. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że dopiero teraz zauważył rozwarte pyski gadów, rozwidlone języki czy

przylegające do tułowia skrzydła wyrzeźbione tak precyzyjnie, że zdawały się częściami zwierząt, które zdrzemnęły się tu jakby na chwilę?

„Ten proszek, którym napoił mnie Jared... Ciekawe, czy wciąż działa?".

Pamiętając opowieści Madeleine, z ciekawością przyglądał się westybulowi zdobionemu lustrami, płaskorzeźbami i malowidłami, zabytkowym żyrandolom i broni, która upodabniała ratusz bardziej do muzeum niż budynku użyteczności publicznej. Teraz, kiedy znał prawdę, to miejsce nie mogło dla niego być bardziej interesujące. Niczym w amoku robił zdjęcie za zdjęciem, aż w końcu któryś z ludzi burmistrza bezpardonowo sprowadził go na ziemię, mówiąc:

– Facet, płacimy ci za foty VIP-ów, nie wazonów. Przestań się ślinić na widok każdej rzeźby i rusz zadek do sali bankietowej, jeśli chcesz doczekać się pieniędzy na własnym koncie!

– Mhm, jasne!

I już nie ociągając się dłużej, poszedł we wskazanym kierunku. W tamtej sali jeszcze nigdy nie był, stąd zachwyt, w jaki wpadł zaraz po przekroczeniu progu.

„*Wow!* Jeśli o tych trowach to prawda, skubani rzeczywiście mają niesamowity gust. Ależ żyli w przepychu!".

Zachwyconym wzrokiem patrzył na kolejne ogromne lustra osadzone w misternie rzeźbionych złotych ramach, kandelabry, stiuki. I tu było mnóstwo obrazów i malowideł ściennych, które niewtajemniczeni mogli potraktować jedynie jako ilustracje mitologicznych opowieści. Jackowi zrobiło się jednak nieswojo, gdy ujrzał portret mężczyzny dzierżącego w jednej ręce zakrwawiony

topór, w drugiej odcięte skrzydło; u jego stóp leżały zwłoki harpii zastygłej z przerażeniem w oczach.

– Pierwszy raz w sali bankietowej? – usłyszał za plecami. Terry klepnął go i z życzliwym uśmiechem wskazał inny obraz tego samego mężczyzny, tym razem lecącego nad Morren na vivernie. – Robią wrażenie, nie? Trzeba mieć niesamowitą wyobraźnię, żeby wykombinować coś takiego. I talent, żeby to namalować, nie sądzisz, Jack?

– Taak, niesamowitą...

„Szczęście, że Terry nie wie tego, co ja".

– Widziałem, jak robiłeś zdjęcia w westybulu i na schodach. Wiem, co ci chodzi po głowie.

– C-co?

– No przecież widzę, jak się gapisz na te wszystkie cudeńka – Terry się zaśmiał. – Potem poznam cię z burmistrzem. Jemu też marzy się album z zabytkami Morren, a gdzie znajdziesz ich więcej, jeśli nie tutaj? Był zadowolony z tamtego wywiadu. No i dzięki twoim fotkom udało mu się ściągnąć do miasta sporo grubszych rybek. Ale teraz wybacz, muszę lecieć. Czas witać kolejnych gości. Obaj jesteśmy w pracy. – Zaśmiał się i już go nie było.

Jack odprowadził go wzrokiem ku ciężkim paradnym drzwiom i... zamarł z zachwytu. W progu stała Treya. Sama. I smutna.

„Chryste". Nieświadomie oblizał usta. Skromna suknia wieczorowa w kolorze turkusu idealnie dopasowana do sylwetki, kilka wpiętych we włosy kryształowych spinek stylizowanych na kwiaty i delikatny makijaż sprawiały, że wyglądała olśniewająco,

choć mężczyzna nie miał złudzeń, że raczej stara się ukryć swoje prawdziwe oblicze.

„Świetny kamuflaż" – pomyślał z uznaniem, bo nikt prócz niego nie zauważył, że kobieta utyka, nawet Terry, który coś do niej zagadał, ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku burmistrza oraz pozostałych gości.

„O nie, tylko nie Terry!".

Wspominając ich ostatnią rozmowę dotyczącą Trei, pognał za nimi z mocnym postanowieniem, że ją uratuje.

– Mogę prosić o uśmiech? – zapytał i pokazał aparat. – Panie burmistrzu, pana też! – dodał bezczelnie, a wtedy wszyscy zachichotali. Dla niego jednak najważniejsze było to, że i ona uśmiechnęła się nieśmiało. Dokładnie w tym momencie nacisnął spust aparatu. – Dziękuję bardzo!

W dobrych nastrojach goście zaczęli rozchodzić się po sali. Kelnerzy kursowali z tacami kieliszków i przekąsek. Terry przeprosił Treyę i pognał witać kolejnych gości. Jack postanowił wykorzystać ten moment. Wziął od kelnera dwa kieliszki szampana, podszedł do kobiety i podał jej jeden z uśmiechem.

– Bezczelny dziennikarz Jack Roveen. No i jak, szefowie byli zadowoleni z wywiadu? – spytała.

– Fotoreporter – sprostował zaskoczony, że pamięta jego imię. – A co do szefów, oni nigdy nie są zadowoleni. Pewnie dlatego jestem wolnym strzelcem.

Zerknęła na kieliszek i potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale za parę minut mam występ. Rozumiesz, że muszę być w formie.

– Przechowam go dla ciebie – odparł zachwycony tym niespodziewanym przejściem na „ty”.

– Raczej poproszę cię wtedy o drugi. Bąbelki zdążą ulecieć.

– Jasne. Będę czekał z całą zmrożoną butelką. Ciepły szampan to straszne świństwo – palnął, zanim ugryzł się w język. Patrząc na nią, zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd ktoś zrobił na nim AŻ TAKIE wrażenie. Kiedy ostatnio czuł się niemal upojony obecnością innej osoby lub tak bardzo go rozsadzała euforia, że chciał jej rozwinąć kwiecisty dywan pod stopami i obsypać ją deszczem gwiazd? „Chryste, Treya, mógłbym fotografować cię całą wieczność i jeszcze nie miałbym dosyć. Gdybyś tylko...”.

„Nie mów tak” – odpowiedziała mu telepatycznie, a on przypomniał sobie o jej talentach i zrobiło mu się głupio.

– Wybacz, jestem idiotą. Rozumiem, że szampan już nieaktualny?

Ale w tej chwili Terry przerwał panujący w sali gwar.

– Panie i panowie, czas na występ naszej gwiazdy. Jutro na rynku odbędzie się jej koncert, lecz już dzisiejszego wieczoru wystąpi z niewielkim recitalem. Powitajcie, proszę, panią Treyę Thuranne!

Rozległy się gromkie brawa. Kobieta posłała Jackowi promienny uśmiech, a oddalając się, szepnęła jeszcze:

– Niech będzie dobrze zmrożony. Nie wypuść bąbelków i nie poczęstuj nim kogoś innego.

Na następne pół godziny świat przestał dla Jacka istnieć. Zniknęły piękna sala, eleganccy goście, suto zastawione stoły. W swoim obiektywie widział jedynie długowłosą kobietę w turkusowej sukience. Znów dał się ponieść emocjom, lecz teraz

miał pewność, że nie został zmanipulowany. Wiedział też, że zdjęcia tej kobiety są jego największym dotychczasowym osiągnięciem. Nie zdawał sobie tylko sprawy, że cały czas on sam był obiektem obserwacji pewnego ciemnowłosego mężczyzny.

Ale oto występ się skończył i Jack pognał za kelnerem. Niemal wybłagał obiecanego szampana i dumny ze swego wyczynu wrócił z butelką i kieliszkami do stolika, przy którym zobaczył Treyę. Ucieszył się, że siedzi sama, i szybko zajął jedyne wolne krzesło. Ręce mu drżały, gdy otwierał butelkę i napełniał kieliszki.

– Jestem ci winien przeprosiny za tamten wywiad, ale muszę ci też coś wyjaśnić.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Proszę, tym razem nie uciekaj. – Nakrył jej dłoń własną ręką, przytrzymał i palnął prosto z mostu: – Wiem, że jesteś syreną, bo...

– Ile kieliszków już wypiłeś?

– ...bo znam inne syreny, harpie, a nawet trytony. Treya, nie musisz się mnie bać. – Za nic nie chciał puścić jej ręki. – Pragnę przez to powiedzieć, że...

Nagle całe przemówienie, jakie sobie przyszykował, uleciało niczym dym z cygara.

– Chciałbym móc cię spotykać...

– Spotykasz. Ostatnio nawet często. – Próbowała wyrwać rękę, ale bezskutecznie.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Sporo podróżuję...

– Wcale nie. Moi przyjaciele opowiedzieli mi, co trowy robią na tych terenach.

Gwałtownie podniosła głowę i zobaczył na jej twarzy przerażenie. Przeklął siebie za to, że ją wystraszył.

– Spokojnie. Jesteśmy w miejscu publicznym, tu nam nic nie grozi. – Uśmiechnął się łagodnie, ale nadal trzymał jej dłoń. – Jedna harpia, Madeleine, opowiedziała mi historię tych terenów. Mówiła, że podobno oplata je jakaś bariera, więc żadna magiczna istota nie może ich opuścić. Podejrzewam, że i ty nie jesteś w stanie nigdzie dalej pojechać, prawda?

– Jeśli chciałeś zrobić na mnie wrażenie, to mam dla ciebie nowinę: zrobiłeś. Negatywne – odpowiedziała lodowatym tonem i spróbowała wstać, lecz znowu jej nie pozwolił.

– Wybacz. Chciałem, żebyś mi zaufała...

– Obrałeś niewłaściwą drogę – syknęła. – To nie było ani śmieszne, ani miłe. A teraz puść mnie, człowieku.

– Nie odchodź, proszę, Treya...

Miał coś takiego w oczach, co kazało jej na nowo usiąść. Dyskretnie się rozejrzała, aby mieć pewność, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

– Czemu tak zależy ci na moim zaufaniu?

– Przecież wiesz.

– Jack, nie zrozum mnie źle. Jesteś miłym facetem, ale ja nigdzie nie zatrzymuję się dłużej niż dzień czy dwa. Nie mam prawa nikogo narażać.

– Nie żądam, żebyś od razu ze mną zamieszkała i obdarzyła mnie gromadką syrenek, choć byłoby miło. Po prostu umów się ze mną raz albo milion. Przekonaj się, czy piwo w moim towarzystwie będzie ci smakowało, czy rozbawią cię moje żarty,

czy spodoba ci się wystrój mojego mieszkania... Nie przekreślaj mnie tak od razu.

Chwilę wpatrywała się w kieliszek, z którego większość bąbelków zdążyła już ulecieć.

– Ależ ty masz tempo!

– Po co miałbym tracić czas, skoro wiem, czego chcę?

– Skąd wiesz, że jestem...

– Syreną? Podejrzewałem to, po prostu czułem. A twoja siostra Carol wszystko potwierdziła.

– Spotkałeś Carol?

– Aż trudno uwierzyć, że jesteście spokrewnione. – Jack z uśmiechem wspomniał jej pobieżnie o spotkaniu z przyjaciółmi Jareda.

Była mu wdzięczna, że nie zaprosił jej do tańca, mimo że goście wirowali już na parkiecie. Rozumiał, że kolczyk w stopie sprawia jej ból przy każdym kroku.

Po jakimś czasie Treya ze zdumieniem odkryła, że ona, wieczny ponurak, w towarzystwie Jacka nie tylko zaczyna się zaśmiewać z jego dowcipów, ale sama opowiada mu anegdoty o Keseyu i Cameronie, a nawet ich parodiuje. Czas upływał nadspodziewanie miło.

– Nie pijesz? – zapytał w pewnym momencie Jack i wskazał wzrokiem trunek. – Jeśli chcesz, zamówię coś innego.

– Ach, szampan! Zupełnie o nim zapomniałam. – Niepewnie zanurzyła koniuszek palca w kieliszku. – Pyszny, naprawdę – zapewniła. Płyn natychmiast zabulgotał, a na dodatek wyraźnie go ubyło. Jack rozejrzał się dyskretnie, czy nikt nie zwrócił na nich uwagi, a potem stwierdził niby z wyrzutem:

– Mogłaś mnie uprzedzić...

– ...że my, syreny, nie pijemy, tylko wchłaniamy przez skórę? – Roześmiała się, już chyba lekko wstawiona. – W życiu! Miałabym pozbawić siebie takiej frajdy jak widok twojej głupiej miny?

Przyglądał się z nieskrywaną przyjemnością rozchichotanej syrenie i zastanawiał, czy jej dobry humor to jego zasługa, czy też jedynie alkoholu.

– Kiedy się zorientowałeś, że ja, no wiesz...? – spytała, gdy rozbawienie w końcu minęło. – Czekaj, czekaj! – Powstrzymała go gestem dłoni, nim zdążył otworzyć usta. – Błagam, tylko nie mów, że słysząc syreni śpiew. To byłoby takie banalne.

„Kurczę, przeczytała to w moich myślach?".

– Jasne, że nie. Po prostu kawałek płetwy ogonowej wystawał ci z butów – zażartował. Spanikowana zerknęła na swoje stopy, po czym błyskawicznie wsunęła je pod krzesło, a on roześmiał się jak wariat.

– No wiesz, jak mogłeś?! – Mocny kuksaniec skutecznie przerwał ten atak wesołości, jednak Treya tak naprawdę wcale nie wyglądała na zagniewaną.

Następnej lampki szampana już nie było. Syrena musiała jeszcze raz wystąpić, a Jack trochę pofotografować. Wypite dotychczas procenty zdążyły im wywietrzeć z głów i w miłych nastrojach wrócili do pracy. Po kolejnej półgodzinie ponownie się spotkali. Przyjęcie pomału dobiegało końca, a oni, skryci w jakimś kącie, nadal nie mogli przestać gadać. Wszystko zmieniło się w ułamku sekundy. Serdeczny uśmiech Trei zastąpiła lodowata maska, usta zadrżały, a przerażony wzrok zatrzymał się na jakimś punkcie za plecami Jacka.

– Witaj, Treya – dobiegł ich szept, od którego Jacka aż przeszły ciarki. – A może powinienem powiedzieć Taroona?

Jack odwrócił się i zobaczył ciemnowłosego mężczyznę odzianego w idealnie dopasowany kosztowny smoking.

– Marcus? A co ty tu...?

– Nie, ale pozdrów go ode mnie! – warknął tamten. – Powiedz też, że czekam na niego jutro na rynku w czasie jej koncertu. Mam coś, na czym cholernie mu zależy. Aha, i niech zabierze ze sobą tę małolatę. A teraz, Jack, bądź tak uprzejmy i wróć do swych obowiązków. Wystarczająco długo pozwoliłem ci zabawiać panią Thuranne. Teraz sam się nią zajmę. No już, sio!

– Nie! Treya nie jest już twoją niewolnicą!

– Czyżby? – Jasne oczy skupiły się na Jacku. Ten poczuł się nieswojo. – Zdaje się, że nadal ma kolczyk w resztce ogona, który jej zostawiłem. A może się mylę?

Sheridan uśmiechnął się triumfalnie.

– Czyli jednak nie. Nie zwrócę jej wolności, więc nie wybieraj mebli do waszego mieszkania. Jedyna opcja, aby być blisko niej, to zostać moim użytecznym. Rozumiem, że sługusy yermina powiedziały ci, co to takiego? Ale co by ci przyszło z bycia moim niewolnikiem? Chyba czas cię uświadomić, Jack: pani Thuranne nie jest zdolna do żadnych uczuć. W ogóle. Całkiem niedawno mogła ocalić pew...

– Panie, proszę! – szepnęła syrena. Trow i Jack gwałtownie odwrócili ku niej głowy. Łzy kapiące na jej sukienkę natychmiast zmieniały się w najczystsze akwamaryny, które z cichym stukotem spadały na podłogę. Sheridan pochylił się i podniósł jeden. Przez moment Jackowi zdawało się, że ujrzał na jego

twarzy... żal albo smutek?! Trow szybko jednak zapanował nad emocjami.

– Wynocha! – syknął i wykonał gest, jakby oganiał się od muchy.

Jack poczuł falę gorąca na policzku – zupełnie jak po wymierzeniu solidnego ciosu – i jednocześnie coś zdławiło mu gardło, pozbawiając mowy. Zaparł się, a nawet przytrzymał jakiejś szafy, ale wszystko to na nic się nie zdało, bo po chwili, przeklinając w myślach, posłusznie ruszył za wychodzącymi gośćmi. Zdążył jeszcze usłyszeć drwiący głos Sheridana:

– A byłaś moją faworytą... Zdziwiłem się, że przyjęłaś zaproszenie do Morren, no ale wtedy widziałaś to miasto jedynie przez chwilę, i do tego w nocy, stąd pewnie ta pomyłka. Przejdźmy jednak do rzeczy. Do tego, co zamierzam zrobić, mógłbym wykorzystać jakąkolwiek syrenę, jednak zmuszenie ciebie sprawi mi większą przyjemność...

Dopiero gdzieś w westybulu Jack był w stanie zatrzymać się i pomyśleć. Z jakiejś przyczyny nie mógł wrócić do sali bankietowej, a gdyby nawet wrócił, wiedział, że nie zdołałby przeszkodzić tamtemu facetowi. Jakiekolwiek Sheridan miał zamiary, Jack czuł, że to będzie coś bardzo paskudnego. Chciał uratować Treyę, obić trowowi mordę lub choćby podstawić mu nogę. Co-kol-wiek! A mógł jedynie stać jak ostatni dureń na środku westybulu i przeklinać pod nosem. Jakby tego było mało, nagle usłyszał głos kolejnej osoby, której co najmniej nie cierpiał. Wszystko go w niej wkurzało, z intonacją głosu i oddychaniem włącznie, a ta uparła się, żeby zagadać do niego, i to w najgorszym momencie!

– Ech, Jack, znowu śliniłeś się do Taroony. Widziałam. Mówię ci, zostaw tę sentymentalną cipę i zajmij się kimś, kto może ci o wiele więcej dać.

– Chryste, Carol! To, że Treya jest twoją siostrą, nic dla ciebie nie znaczy?! – Spojrzał na nią zdegustowany, ale i zaskoczony. Po chwili zrozumiał, że z pewnością miała go szpiegować na tym przyjęciu, lecz jak zwykle zajęła się imprezowaniem.

– Phi, jedną z wielu. – Syrena wzruszyła ramionami. – Nasza matka złożyła dużo ikry. Mam sporo sióstr i braci. Czemu miałabym faworyzować tę konkretną? Zwłaszcza że nie jest ani specjalnie ładna, ani utalentowana. Mogłabym ci przedstawić tuzin innych syren o niebo piękniejszych i potrafiących dużo lepiej śpiewać. Zupełnie nie pojmuję twojego zainteresowania.

Zauważyła jego gniewne spojrzenie i zaciśnięte usta, ale nie dawała za wygraną.

– Jack – szepnęła teraz uwodzicielsko. – Zażywam już tak długo emeralium, że mam dokładnie wszystko to, co wasze kobiety. – Przerwała, żeby zrobić na nim większe wrażenie. – I doskonale wiem, jak tego używać. – Oblizała usta, a potem zmierzyła Jacka wzrokiem, dłużej zatrzymując się na jego spodniach. – Tylko powiedz, a...

„Jeezu! Więc to tak się czują kobitki, gdy oceniamy ich cycki?" – pomyślał z niesmakiem. W życiu nikt nie potraktował go jak zwykły obiekt seksualny. Aż do dziś. Jednego był pewien: coraz mniej mu się to podobało. Musiał szybko coś wymyślić, żeby nie tylko uwolnić się od tej rozpustnej kretynki, ale też wrócić na piętro.

– Słuchaj, Carol – powiedział, siląc się na przyjacielski ton – jeśli jeszcze raz nazwiesz Treyę głupią, sentymentalną cipą – objął ramieniem szyję syreny i bezpardonowo przycisnął – to przysięgam, że skręcę ci twój śliczny kark, na którym nosisz tę pustą mózgownicę! Kobieta, jakiej pragnę, musi mieć do zaoferowania znacznie więcej niż tylko własny tyłek. W tej sytuacji TY odpadasz! A teraz wracaj w podskokach do mojego mieszkania i powiedz Jaredowi – nie, wszystkim – że Sheridan jest na tym przyjęciu i chce Treyę do czegoś zmusić. Masz iść na-tych-miast! – zakończył wściekły i popchnął Carol ku wyjściu. Nim upokorzona syrena zdążyła mrugnąć, obydwoje byli już na zewnątrz. Ona dziwnie szybko i posłusznie wypełniła rozkaz, a on zaczaił się w pobliskim zaułku, skąd miał dobry widok na drzwi ratusza.

Zimny wieczór i świadomość, że oprócz Trei w środku został też cały sprzęt fotograficzny, nie pomagały. Jack pocieszał się, że w ratuszu sporo jest ochroniarzy. Zaczął rozważać nawet powrót do budynku i konfrontację z tamtym gościem, ale wtedy jego modły zostały wysłuchane. Najpierw ratusz opuścił Sheridan i szybko rozpłynął się w gąszczu uliczek. Niedługo potem pojawiła się Treya i umknęła innym zaułkiem. Szczękając zębami z zimna, Jack dzielnie ruszył jej śladem. Dogonił ją dopiero na obrzeżach miasta. Siedziała nad brzegiem strumyka; już z daleka zorientował się, że spazmatycznie płacze. Stanął więc za jakimś drzewem i ze ściśniętym gardłem wsłuchiwał się w jej szloch. Właśnie zaczął padać deszcz i zrobiło się jeszcze zimniej, lecz syrena w ogóle nie zwracała na to uwagi. Zrzuciła pantofle i zanurzyła stopy w wodzie. W świetle latarni coś błysnęło. Jack

wytężył wzrok. A oto dół turkusowej sukienki zafalował, a potem kikut ogona przebity pokaźnym błyszczącym kółkiem kilka razy mocno uderzył o ziemię. Mężczyzna stał w strugach deszczu, a te mieszały się ze łzami na jego twarzy. Nie miał odwagi podejść do syreny. Bał się, że to zraniłoby ją jeszcze bardziej. Tymczasem ona końcem paznokcia rozcięła skórę nad piersią. Turkus sukni mokry od deszczu dodatkowo splamiła krew. Jack wstrzymał oddech, gotów wkroczyć, bo był pewien, że Treya chce popełnić samobójstwo, lecz kobieta włożyła palce w ranę i z jękiem wydobyła z niej jakiś przedmiot. Ledwie skóra się zabliźniła, syrena rozprostowała palce, pozwalając deszczowi zmyć z nich krew, a wtedy we wnętrzu jej dłoni ukazał się kryształ. Nie większy niż ziarenko grochu, lecz błyszczący intensywnym światłem. Treya powiodła nad nim dłonią, a on zamigotał i nagle wyrzucił z siebie... obraz roześmianego młodego mężczyzny. Syrena zapłakała jeszcze głośniej, a Jackowi zamarło serce.

– Uratuję cię... – doleciały go jej słowa, a potem zobaczył, jak kobieta posyła obrazowi pocałunek, i już nie musiał o nic więcej pytać.

To jesienne niedzielne popołudnie było wyjątkowo słoneczne. Po wczorajszym deszczu nie zostało nawet wspomnienie. Zdawało się, że całe Morren City przybyło na rynek. Kolorowy tłum przechadzał się leniwie okolicznymi uliczkami, dzieciarnia

dokazywała, dorośli kupowali drobiazgi na rozstawionych pod ścianami kamienic straganach.

„Radujcie się, póki możecie – pomyślała Madeleine, stojąc na dachu jednej z kamienic i patrząc chmurnie na beztroskich ludzi. – Kto wie, jak skończy się dzisiejszy dzień?".

„Nawet jeśli naszą śmiercią, to nie umrzemy nadaremnie". – Jared położył jej dłoń na ramieniu i posłał łagodny uśmiech.

„Jesteś bardzo odważny jak na samca. – Ona także uśmiechnęła się do niego. – Dobra, ściągaj te ludzkie szmaty. Czas odwadze dodać skrzydeł".

„Kochanie, jeśli chcesz, to oczywiście, ale to raczej nie pora na...".

„Jasne, że nie, choć po prawdzie na dobry seks zawsze znajdą się czas i miejsce. – Harpia zachichotała. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że możesz odzyskać skrzydła?".

Zobaczył w jej dłoniach metalowe puzderko. Skinął kolorową czupryną na znak, że pamięta.

„No to zobaczmy, czy emeralium już wywietrzało".

„Nie zażywałem dziś, tak jak kazałaś".

„Świetnie. To co, zdejmiesz w końcu te łachy?".

Chwilę przyglądała się krytycznie jego nagiemu człowieczemu ciału, zanim zaczęło zmieniać się w ptasie.

– Ludzkie samce są odpychające – mruknęła. – Jak którejkolwiek samicy może podobać się coś takiego?

A kiedy transformacja nareszcie się dokonała i Jared na nowo stał się kaleką harpią, ponownie pokazała mu pudełko.

– Gwizdnęłam to jednemu merrillowi. Będzie dobrze. Odwróć się.

Zerknął na nią podejrzliwie.

– Mnie nie ufasz? – spytała, udając urażoną. – Tony i Kay byli bardziej skorzy do współpracy. Dzięki temu Babsie odzyskała stopę, wiesz?

Zobaczyła pytanie w jego oczach.

– Dałam chłopakom odrobinę. Byli zachwyceni efektem. Babsie pytała, czy może odwiedzić naszą osadę. Może po tym wszystkim zabierzemy ją do nas? Ale teraz... Jared, ta maść naprawdę nie zrobi ci krzywdy. Odwróć się, proszę.

Posłusznie wykonał polecenie. Madeleine zacisnęła usta, patrząc na kikuty jego skrzydeł, a potem wysmarowała je grubą warstwą czerwonozłocistej mazi wydobytej z pojemniczka.

– A teraz odwróć się do mnie i otwórz dziób.

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Jared, nie ma czasu. No, otwieraj.

A kiedy wykonał i to polecenie, położyła mu na języku błyszczący od mazi palec.

– Obliż.

– Ale...

– Nie protestuj, tylko obliż. Dobrze, a teraz połknij.

– Madeleine! No chyba należą mi się jakieś wyjaś...

Nagle krzyknął, zgiął się wpół, gwałtownie nabrał powietrza, a potem zwyczajnie... zemdlał! Harpia stanęła nad nim. Patrzyła uważnie i czekała.

„Może i dobrze, że jest nieprzytomny? To pewnie cholernie by go bolało” – pomyślała, patrząc, jak kikuty na jego plecach drżą i pokrywają się drobnymi piórkami. Zabliźnione dotąd końce napięły się, pękły i z otwartych ran najpierw trysnęła krew,

a zaraz potem zaczęły wyrastać całkiem nowe kości. Później pojawiły się naczynia krwionośne, nerwy, mięśnie, a w końcu skóra z całkiem dorodnymi brunatnymi lotkami.

Madeleine pochyliła się nad Jaredem i posmarowała resztką czerwonozłocistej mazi kikuty palców w jego łapie, a potem z wielką satysfakcją obserwowała, jak zmieniają się w piękne szpony. Kiedy regeneracja dobiegła końca, harpia wlała mu do ust kilka kropli płynu z manierki, którą chowała pod skrzydłem, i Jared otworzył oczy.

– Naciesz się nimi – szepnęła. Nie zrozumiał, naprowadziła więc jego dłoń na końcówkę skrzydła. W brązowych tęczówkach dostrzegła szok. – Te opowieści o regenerującej sile krwi feniksów to najszczersza prawda.

Widząc, że oczy harpii robią się podejrzanie wilgotne, szybko dodała, siląc się na opryskliwość:

– Nawet delikatne samce nie będą zwolnione, jeśli dojdzie do bitwy. Poćwicz je trochę. Wszystkiego za ciebie nie zrobię.

Odwróciła się do niego plecami, udając, że obserwuje rynek, a on podniósł się, poczłapał do niej i zwyczajnie ją objął. Nie padły żadne słowa wyjaśnienia, podziękowania. Bo czyż bratnim duszom trzeba czegoś tak banalnego jak mowa? Potem obie harpie zajęły swe stanowiska i rozpoczęły obserwację.

Tymczasem w dole, pod jedną z kamienic, na przygotowanej od dawna scenie trwały pierwsze występy. Do koncertu Trei zostało niewiele czasu. Na rynku panował na razie spokój. Całą noc zastanawiali się, czego Sheridan mógł chcieć od syreny. Cokolwiek miał na myśli, musiało wydarzyć się w czasie koncertu. Podejrzewali, o co może chodzić, ale pewności nie mieli. Po prostu

nie mógł być aż tak głupi, żeby jawnie zaatakować, wiedząc, co zrobią merrille. No chyba że miał Ariel i wydobył od niej miejsce ukrycia tego cholernego Pióra.

Powiadomiony o wszystkim yermin zmobilizował pozostałe dziwoląg, które teraz dyskretnie patrolowały rynek i okolice. Byli wśród nich Tony z Kayem, Carol i Jack. Ten ostatni z ponurą miną szwendał się od kramu do kramu.

„Zawód miłosny boli jak wypluwka, która stanie w poprzek w gardle i za cholerę nie sposób jej się pozbyć" – pomyślała Madeleine.

„No – zawtórował jej Jared. – Lepiej miejmy tego wariata na oku".

Marcusa z Amandą nie zauważyli. Jeszcze. Ale oto tłum pod sceną zgęstniał, gdy konferansjer podekscytowanym głosem zapowiedział występ poprzedzający koncert Trei. Harpie popatrzyły na siebie ponuro. Czasu było coraz mniej, a one nadal nie wiedziały, co knuje Sheridan. Przez kilka następnych kwadransów widzowie kołysali się w rytm utworów śpiewanych przez tę samą dziewczynę, którą Jack widział na poprzednim koncercie. W Morren też nie wzbudziła entuzjazmu, lecz zdaje się, że nikt tego od niej nie oczekiwał.

Nadszedł wreszcie moment, gdy na scenę miała wyjść Treya. Znów pojawiły się niewielkie fontanny i dym. Madeleine złapała dłoń Jareda i mocno ścisnęła, widząc niewielką kobiecą postać pojawiającą się na scenie. Oboje wstrzymali oddech, gdy Treya zaczęła śpiewać. Liryczny sopran połączył się z dźwiękami muzyki, popłynął nad ludzką falą i rozkołysał ją, ale... nic się nie wydarzyło. Harpie wymieniły przez komórkę uwagi

z patrolującymi rynek dziwolągami, lecz one też nie zauważyły niczego podejrzanego. Jedyne, co zaczęło się zmieniać, to pogoda. W pomału chylącym się ku zachodowi słońcu ściany kamienic nabrały odcieni sepii. Po kilku minutach cały rynek wyglądał niczym wyjęty ze starych pocztówek. Na dodatek niebo zaczęły przysłaniać chmury i z każdą minutą było ich coraz więcej. Treya tymczasem śpiewała piosenkę za piosenką, zachwycony tłum kiwał się do taktów muzyki, a Sheridana nadal nigdzie nie widzieli.

„Nie rozumiem. Drań wyraźnie powiedział, że w czasie koncertu, a ona zaraz skończy śpiewać. Może Jackowi coś się pomyliło?". Jared spojrzał ponuro na Madeleine. Ta kiwnęła głową, że też jej to nie pasuje. Nie wiedzieli jeszcze tylko, że ten najważniejszy utwór jest dopiero przed nimi.

Po krótkiej przerwie Treya wróciła na scenę zupełnie odmieniona. Co prawda w czasie koncertu zmieniała kilka razy stroje, ale ten był kompletnie inny. Po prostu upiorny. Czerń jej sukni przerażała, podobnie jak biżuteria z ciemnych kamieni i czarny lakier na paznokciach. I jeszcze ten makijaż niczym z sennego koszmaru – czarna szminka i cienie na powiekach w takim samym kolorze. Publika krzyczała zachwycona mroczną stylizacją, lecz harpie i dziwolągi wiedziały, że Treya nie zdążyłaby się tak umalować.

„W ten sposób syreny wyrażają żałobę...". Madeleine poczuła, jak strach podnosi pióra na jej karku.

„Wiem".

Tymczasem Treya patrzyła martwym wzrokiem na te wszystkie roześmiane twarze. Wzrok uniosła ku górze. Ciemne obłoki

nadpływały zewsząd. „Niebo się zachmurzy – wspomniała słowa Sheridana – a wtedy zaśpiewasz ostatnią piosenkę. Inaczej niż zwykle. Wiem, że możesz wprowadzić tłum w trans, obezwładnić ich śpiewem. Wy, syreny, to potraficie. Zrobisz to dla mnie. Niczego więcej od ciebie nie wymagam, tylko ujarzmienia tłumu i dezorientacji merrillów. Pamiętaj, będę cały czas na rynku. Nie przeoczysz mnie. Będę z NIM. Oddam ci go, ale jeśli tego nie zrobisz, będziesz patrzeć, jak umiera...".

Pomyślała, że już tak długo ucieka przed swoim oprawcą. Spojrzała na chmury z każdą chwilą przybierające kształty łbów bestii i westchnęła zmęczona. Już nie chciała się ukrywać. Czarna łza spłynęła po policzku Trei. Tłum zamilkł w oczekiwaniu, a wtedy po raz ostatni zaśpiewała:

Nie możesz im pomóc,
Oni zostali tam, gdzie mrok i chłód
odbierają resztki woli i do życia chęci.
Szczęśliwi, którzy zmarli szybko,
Tym, którym los mniej sprzyjał i nadal tam żyją,
Współczuj,
Lecz nie zdołasz dla nich nic uczynić.
Chciałbyś zapomnieć.
Nie możesz!
Chcesz wiedzieć, dlaczego tobie się udało?
Ślepy los? Przeznaczenie?
Nigdy nie poznasz odpowiedzi.
Jedyne, co możesz, to
opłakiwać przyjaciół,
Opowiadać ich tragiczną historię.

I nawet w tej podróży
jesteś sam...

Popłynęły kolejne zwrotki ballady. Ktoś w tłumie zaszlochał, ktoś rzucił różę. Treya tego nie widziała, wpatrzona w dwóch mężczyzn, którzy nagle pojawili się pod kamienicą dokładnie naprzeciw sceny. Wyższy, srebrnowłosy, obejmował niższego jak przyjaciela. Druga dłoń trzymała jednak sztylet z akwamarynami wymierzony w bok ofiary. Uśmiechał się, lecz jego wzrok pozostał lodowaty. Przymknęła powieki, by tego nie oglądać, lecz została zmuszona zaklęciem do ponownego ich otwarcia. Utwór zbliżał się ku końcowi, chmury nadciągały, a ona nadal nie podjęła decyzji. Patrzyła to na mężczyzn, to na rozkołysany tłum, świadoma, że niezależnie od tego, co zrobi, wiele istot zginie dziś na tym rynku.

„Nie uratujesz wszystkich, ale jego możesz – wspomniała szydercze słowa mroczniaka. – Zostawiłaś go. Uciekłaś. Odpokutował za ciebie". – Wsączył w jej umysł wizje tortur, jakie zadano ukochanemu, wraz z poczuciem winy.

Głos jej zadrżał. Zobaczyła ekscytację w oczach Sheridana, lecz wtedy spojrzała na tłum u swych stóp. Na młodzież wpatrzoną w nią z zachwytem, na roześmiane dzieciaki, ludzi nieświadomych swego losu... Właśnie zaczął padać deszcz. Z każdą chwilą przybierał na sile. Objął całe Morren City, jedynie płyta rynku pozostała sucha.

„Teraz! Zrób to teraz!" – mówiły jej oczy Sheridana.

Wzięła głęboki wdech, z całych sił zacisnęła powieki i... gwałtownie zakończyła utwór. Po krótkiej chwili ciszy rozbrzmiały gromkie brawa i wiwaty, szybko stłumione przez odgłosy nadciągającej burzy. I rozległo się coś jeszcze, tym razem w jej

umyśle. Rozkaz tak wyraźny, jak gdyby oprawca stał tuż przy niej i wrzeszczał wprost do ucha:

„Patrz, głupia!".

Koszmar, którego miała nadzieję nigdy nie doświadczyć, stał się faktem na jej oczach i z jej własnej winy. Bo oto Sheridan złapał mężczyznę za włosy, odchylił jego głowę do tyłu, a potem – wpatrzony w nią beznamiętnie – płynnym ruchem podciął tamtemu gardło. Nie zobaczyła ani śmierci ukochanego, ani wydarzeń, jakie rozegrały się potem, gdyż przerażenie odebrało jej oddech, a wraz z nim świadomość. Scena zakołysała się pod jej stopami, zniknął rynek, ludzie, deszcz... Siedzące na dachu harpie bezskutecznie starały się nawiązać kontakt z przyjaciółmi patrolującymi uliczki. Madeleine cisnęła komórkę z pogardą.

– Co za ludzka tandeta!

Rozejrzała się. Deszcz nie wróżył nic dobrego. Na dodatek Treya zemdlała, a... Sheridan właśnie podcinał komuś gardło?! Szturchnęła Jareda.

– Koniec ukrywania się – warknęła. – Lecę do yermina.

Ale w tym momencie na rynku i niebie tuż nad nim rozpętało się piekło. Fontanna z tańczącymi faunami pękła, rozsunęła się na boki i wypuściła hordę mroczniaków. Toporami, sztyletami i kuszami wyrąbywali sobie drogę w tłumie, wprost ku stojącemu w centrum posągowi. Nieświadomi niczego ludzie nadal uśmiechali się i pstrykali zdjęcia, przekonani, że to ciągle jedna wielka inscenizacja, choć pierwsze trupy ścieliły im się u stóp! Harpie spojrzały przerażone. Wiedziały, że w tym starciu nie mają żadnych szans. Nie było czasu zastanawiać się, jakim cudem przeoczyli trowy, jak mogli temu zapobiec. Należało wymyślić coś,

by uratować tych ludzkich cherlaków. Od strony uliczek słychać już było okropne wrzaski. To kolejne mroczniaki rozpoczęły rzeź, odcinając ludziom drogę ucieczki.

„Zrozumieli…” – Jared spojrzał z litością na tych, którzy w końcu połapali się w sytuacji. Wiedział, że nie umkną przeznaczeniu. Zacisnął zęby.

Przechadzający się dotąd w tłumie Marcus szybko ocenił sytuację. Potrzebował broni i okazji, by ją zdobyć. Ta nadarzyła się chwilę później, gdy jakiś mroczniak podbiegł do niego. Szybko zorientował się, że nie ma do czynienia z Sheridanem, i cisnął w Marcusa toporem. Ten błyskawicznie uchylił się i rzucił na młodzika. Amandzie przez moment wydawało się, że mężczyźni tańczą, a gdy w końcu Marcus wypuścił z objęć trupa tamtego, skinęła z uznaniem głową. Teraz byli bogatsi o sztylet, topór, czakram i kuszę trowa. Kusza Xaviere’a, choć niewielka, też mogła się przydać, zwłaszcza że z jakiegoś powodu magiczne umiejętności dziewczyny zmalały. Zaczęli oboje wycofywać się do pobliskiej bramy, co rusz uchylając się przed kolejnymi lecącymi toporami lub przeskakując nad trupami ludzi. Dotarli zakurzonymi schodami na piętro. Ukryci za balustradą wspólnego dla wszystkich mieszkań balkonu, gorączkowo się naradzali, jednocześnie obserwując rynek, na którym trowy, wspomagane przez viverny i jakieś ogromne czarno-srebrzyste motyle, ciągle pławiły się we krwi. Nagle Marcus zobaczył tak znienawidzoną postać. Skrzywił się. Zdecydowanym ruchem chwycił kuszę i wymierzył.

– Żryj piach! – mruknął i pociągnął za spust.

Nie dane mu było jednak zobaczyć, czy trafił, bo powietrze przeciął głośny gwizd, jakiś cień przesłonił balkon i poczuł szarpnięcie. Błyskawicznie skulił się, zasłonił uszy, a potem wściekły obserwował przez przerwę w balustradzie, jak broń uderza o bruk i rozpada się z hukiem na kawałki. Tymczasem viverny i owady okrążyły kilka razy rynek i przysiadły, niczym tresowani strażnicy, na dachach. Zapadła cisza. Marcus wyjrzał zza balustrady.

„Potrzebują niewolników – pomyślał, nie widząc zbyt wiele trupów. – Sprytne. Cholera, jakim cudem go nie trafiłem?".

Przyjrzał się srebrnowłosemu mężczyźnie w kurtce nabijanej ćwiekami i butach z cholewką za kolano, na którego ramieniu siedziała jakaś srebrzysta istota. Musiał przyznać, że rzeczywiście są do siebie podobni. Ocenił tamtego zimno. Zobaczył, że pilnuje więźniów, ale też na coś czeka. Potem Marcus zobaczył także... Madeleine i Jareda! Wśród uwięzionych znajdowali się też Carol i Jack, ciągle niedowierzający, że to się dzieje naprawdę. Byli yermin, chłopcy i reszta dziwolągów. Wszyscy zbici w gromadę, z kuszami przystawionymi do gardeł. Spojrzał ponuro na Amandę. Dziewczyna westchnęła i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy... rozległa się muzyka i tłum zaczął się rozstępować.

– Co, u licha?

Jedną z uliczek nadciągał orszak przedziwnych istot, poprzedzany pojawiającym się znikąd dywanem skonstruowanym jakby z promieniejących złociście tafli. Otaczali go grajkowie i tańczące rusałki. Na przedzie jechał starszy, drobny mężczyzna o smagłym obliczu. Długie pasma siwych włosów spływały mu na

ramiona okryte płaszczem, który wyglądał jak utkany ze srebrzystego dymu. W pięknej twarzy widać było spoglądające zimno szmaragdowe oczy. Jego ogromny rumak przypominał kota pokrytego maleńkimi łuskami. Z nozdrzy bestii co chwila ulatywały obłoczki dymu, a spod pazurów strzelały iskry, gdy dotykały płyt.

– Rumak księcia. Caesarian – szepnął Marcus.

– Clayland – dodała Amanda.

I nagle wszystko stało się jasne, zwłaszcza gdy na kolejnym caesarianie ujrzeli następnego jeźdźca: kobietę odzianą w pareo z motyli, top, welon i wężowe szpilki.

– Ariel! – szepnął Marcus. Serce zabiło mu z nagłego wzruszenia. – Żyjesz.

– To jeszcze nie koniec. – Amanda położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, wyciągnę ją z tego!

Dziewczyna popatrzyła na niego dziwnie. Nagle wypowiedziała słowa, które rozorały mu duszę niczym cięcie lodowego ostrza.

– Wyciągniesz, ale nie staraj się dociec, co się wydarzyło w podziemnym mieście. Bądź dobrym ojcem dla mych braci. W końcu to nieistotne, który z was jest nim naprawdę...

Gwałtownie odwrócił ku niej głowę. Zobaczyła, jak bardzo pobladł. Chciał coś powiedzieć, ale wtedy orszak zatrzymał się na rynku i Clayland skinął na kobietę w pareo. Ta zgrabnie zsunęła się z caesariana i powoli ruszyła ku posągowi, zatrzymując się od czasu do czasu i całując kogoś w tłumie. Osoby te natychmiast traciły przytomność, a trowy dobijały je uderzeniami toporów. Kobieta dotarła do posągu i zatrzymała się, a wtedy welon uleciał,

odsłaniając tak dobrze znaną Marcusowi twarz. Wyglądała na kompletnie odurzoną. Mężczyzna jęknął, widząc, że sięga za prawe ucho.

– Nie, skarbie, nie rób tego!

Clayland i Sheridan też patrzyli na nią niczym zahipnotyzowani. Nagle mroczniak skinął ręką i jakiś podwładny popchnął Jacka w kierunku Ariel. Mężczyzna był bardzo blady.

– Ręka! Wystaw rękę, użyteczny! – usłyszeli głos Sheridana. – I nie waż się tego upuścić!

Smukłe palce Ariel rozorały skórę za uchem. Ta zaczęła krwawić. Kobieta dyszała coraz ciężej. Pokrwawiona dłoń ślizgała się na ostrych krawędziach kamienia.

„Ariel, nie!" – szepnął Marcus, lecz jego słowa odbiły się od niewidocznej zapory.

Kobiety zasłaniały dzieciom oczy, ktoś zemdlał, ktoś zwymiotował. I nagle spod skóry błysnął różowy promyk. Kamień przez chwilę leżał na dłoni Ariel, a kiedy upadła i morganit wysunął się z jej ręki, złapała go inna, męska dłoń.

– Zostaw ją, Sheridan! – krzyknął nagle Marcus i z kuszą Xaviere'a ukazał się w loggii. Nic nie zasłaniało mu celu, a celem tym był... Clayland. – Zostaw ją albo, na Wielkiego Xaviere'a, za chwilę będzie po nim!

Wzrokiem wskazał księcia. Ten zdawał się... rozbawiony?

– Doprawdy, Sheridan, bardzo do ciebie podobny ten człowiek – mruknął książę. Wykonał szybki gest i nieprzytomne ciało Ariel poszybowało ku niemu, zasłaniając go niczym tarcza. – Pan oficer jest żądny rozrywki, więc mu ją dostarczmy.

Amanda spojrzała zaskoczona na Marcusa.

– Nad kuszą Pierwszego mogą zapanować nieliczni. Jakim cudem TY masz nad nią władzę?

– Nie wiem – warknął, nadal celując w księcia. – Może to przez ten okruch morganitu, który znalazłem na dywanie po wyjściu Cornelii.

– No to na co czekasz?! Strzelaj, do cholery! Dasz radę! – fuknęła, bo czy nie było oczywiste, że sama za nic nie strzeli do własnej matki? Jednak ktoś musiał to zrobić, ale czy mogła tego wymagać od niego? No i czy kusza na pewno go posłucha?

Czas zdawał się wariować. Minuty mknęły niczym uderzenia serca, tłum na placu falował, podwładni Claylanda nieubłaganie zbliżali się do ich kryjówki, a oni nadal tkwili skryci za filarem, niezdolni do podjęcia decyzji.

– No strzelaj, ty romantyczny durniu!

W końcu zobaczyła, jak Marcus zaciska szczęki, ale potem pewnym ruchem chwyta kuszę, zamyka oczy i pociąga za spust... I ten pocisk nie dotarł jednak do celu.

– Śmiesz do mnie strzelać z mojej własnej kuszy?!

Jakaś ogromna siła wyrwała broń z rąk Marcusa i mężczyzna stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, leżał na ziemi tuż obok ciągle omdlałej Ariel. Zerwał się, by sprawdzić, co z nią, ale wtedy Sheridan błyskawicznie przystawił kuszę do jej głowy.

– Nie radzę!

Marcus rozejrzał się ostrożnie. Większość tłumu nadal była otumaniona. Viverny i motyle ciągle tkwiły na dachach. Amanda zniknęła.

– Więc to tobie zawdzięczam wątpliwy zaszczyt bycia faworytem Oriany? – zapytał, grając na zwłokę. – Musi być jakiś

powód naszego podobieństwa...

– A ty oczywiście go nie znasz. – Tamten uśmiechnął się pod nosem. – Ariane była użyteczną w mojej rezydencji. Gwizdnęła mi kosmyk włosów, lecz patrząc na ciebie, muszę stwierdzić, że zrobiła z niego niezły użytek. No, no, niewolnica, a tyle talentów. Najwyraźniej ciągnie nas do tych samych kobiet – zachichotał mroczniak, zerkając na Ariel – choć ostatecznie to ja mam lepszy gust i nigdy nie sypiam dwa razy z tą samą.

– Sheridan, daruj sobie te przechwałki!

– Tak jest, panie. – Trow momentalnie przypomniał sobie, po co tutaj są. – Jack, włóż kamień do oczodołu posągu. Dobrze. A teraz otwórz skrytkę w kuszy. Naciśnij wyrzeźbiony kwiat na kolbie, głupcze! – wyjaśnił zniecierpliwiony. W niewielkim otworze ukazał się jeszcze jeden morganit.

Clayland i Sheridan wymienili podekscytowane spojrzenia.

– Dobrze. – Mroczniak bardzo starał się nie okazywać emocji. – Włóż ten kamień do drugiego oczodołu.

Jack bez słowa wykonał i ten rozkaz, a wtedy trow krzyknął:

– Wszyscy cofnąć się! Natychmiast!

Jego podwładni i słudzy zaczęli spychać tłum w kierunku kamienic. Marcus przytulił Ariel i też odciągnął ją na bok. Płyty pokrywające rynek zadrżały i w kierunku ołowianych chmur w kształcie łbów caesarianów wyszczerzających zęby uniosły się wielkie czarne krople, ni to smoły, ni to dymu. Krople łączyły się ze sobą i z chwili na chwilę było ich coraz więcej. Wzbudzały grozę i... zachwyt. Tłum patrzył jak urzeczony w głęboką czerń wirujących nad ich głowami tub. Delikatny metaliczny dźwięk, jaki wydawały, wzruszał i niepokoił.

– Nihilizatory – dało się słyszeć gdzieniegdzie.

Książę i Sheridan ponownie spojrzeli po sobie. Przez chwilę Marcusowi zdawało się, że widzi na ich twarzach rozczarowanie, lecz potem Clayland przywołał podwładnego i chwilę coś ustalali. W końcu Sheridan skinął głową.

– Amando! – krzyknął, lustrując okalające rynek kamienice. – Wiesz, że czekamy tylko na ciebie! Masz coś, co uratuje twoich najbliższych!

Zaczajona w bramie dziewczyna zmarszczyła brwi. O czym ten mroczniak bredzi? Tuby krążą, tak jak chciał, dopadł matkę, Marcusa i resztę. Czego może chcieć jeszcze? Sapnęła z wściekłością. Kusza tak głupio zniknęła. Gorączkowo zastanawiała się, co robić, i nic nie przychodziło jej do głowy. A Sheridan wciąż sączył jad w jej uszy.

– Wybacz, Amando, ale czas nam się kończy. Jesteś wyjątkowa, naprawdę... – wypowiedział tak dobrze znane jej słowa.

„Cholera, on też? Dlaczego?”.

– Amanda, nie wychodź! – usłyszała słaby głos Ariel, a potem jej jęk i przekleństwa Marcusa.

„Muszę się dowiedzieć. Całe życie prześladują mnie te słowa”.

Nagle się zachwiała. Fala energii przetoczyła się przez rynek i wniknęła we wszystkie zakamarki.

– Amanda! – ponaglił ją Sheridan. – Możesz zostać bohaterem. Los Morren jest tylko w twoich rękach!

I wtedy wspomnienia, niczym rozbłysk supernowej, wybuchły pod jej powiekami i na dobre zagnieździły się w nastoletnim mózgu. Nagle sobie przypomniała. Tajemnicę skrywaną w najgłębszych zakamarkach podświadomości, ukrytą tak

perfekcyjnie, że nawet ona sama nie zdawała sobie z niej sprawy. Teraz ta tajemnica wypłynęła niczym skrzynia złota z zatopionego galeonu pirackiego, wyrwana oceanowi przez sieci nieświadomych rybaków. Tyle że zamiast złota ta mentalna „skrzynia" zawierała tajemną magiczną wiedzę. I wspomnienia. Nagle dziewczyna przypomniała sobie tamten dzień, którego jako trzyletnie dziecko nie miała prawa świadomie zapamiętać. Zupełnie jakby odczytywała dawno zapisany list z klauzulą otwarcia dopiero w odpowiednim momencie. Tym momencie.

Tamtego słonecznego dnia była na spacerze ze swoim ojcem. On i matka jeszcze wtedy żyli zgodnie, choć już się nie kochali. Bawiła się w piaskownicy na placu zabaw niedaleko ich domu, z upodobaniem stawiała piaskowe babeczki i ubijała je plastikową łopatką. Jedna budowla była w jej mniemaniu wyjątkowo piękna i okazała, chciała więc pochwalić się nią ojcu. Ale gdzie on jest? Głowa dziewczynki odwraca się na wszystkie strony, przeszukuje otoczenie. O, jest, tyle że zupełnie nie zwraca na nią uwagi, przytulony do jakiejś pani.

Nieoczekiwanie jej wzrok pada na ławeczkę po drugiej stronie placyku. Ma wrażenie, że tego starszego pana ze srebrną czupryną i krótką brodą, otulonego mimo ślicznej pogody peleryną, jeszcze przed sekundą tam nie było. Teraz patrzy na nią ciepło, z uśmiechem. I ona się uśmiecha. Jest pewna, że nie wykonał żadnego gestu, a mimo to ma wrażenie, że przywołuje ją do siebie. Małe nóżki niosą ją w kierunku staruszka. Zatrzymuje się przed nim, machając wesoło grabkami do piasku. Mężczyzna rozgląda się dyskretnie i ponownie na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Te budowle, Amando – wskazuje piaskowe babeczki – to jedynie marna namiastka tego, co, mam nadzieję, stworzysz w przyszłości.

Maleńka dziewczynka patrzy na staruszka ze zdziwieniem, a on mówi dalej:

– Zobacz, co mam. – W pomarszczonych, suchych dłoniach pojawia się zielone stworzenie o podwójnej parze skrzydełek. Ma łuski i zielonozłote oczy z pionową źrenicą. – Nie bój się. To smok, ale jest dzieckiem, tak samo jak ty. Dopiero się wykluł. Chcesz go pogłaskać?

Dziewczynka śmiało wyciąga rączkę i gładzi smoka po głowie. Ten przymyka powieki i wzdycha, wyrzucając przy tym z nozdrzy obłoczek dymu. Dziecko chichocze. Podoba jej się ta sztuczka. Śmielej gładzi stworzenie po szyi. Mężczyzna w napięciu czeka na ten moment, a gdy już skóra smoka gaśnie pod palcami dziewczynki, i on wzdycha.

– Jesteś wyjątkowa, Amando – mówi staruszek. – Masz ogromny potencjał. Pozwólmy teraz smocżątku wrócić do mamy. – Suche dłonie wykonują oszczędny gest i zielone stworzonko znika. W rękach staruszka pojawia się za to notatnik: długi, wąski, oprawny w sfatygowaną skórę i ozdobiony dziwnym herbem. Dopiero teraz, po latach, Amanda uświadamia sobie, że srebrny pył na okładce układał się w napis:

„Półsny, półsłowa”.

Srebrnowłosy mężczyzna otwiera notes, pstryka palcami i na otwartej dłoni pojawia się coś, co wygląda jak jarzące się błękitem pióro. Mężczyzna kieruje koniec pióra w stronę twarzy Amandy i macha nim, a wtedy wydobywa się z niego ogromna mydlana

bańka. Dziewczynka śmieje się i klaszcze, a bańka, zamiast ulecieć z wiatrem, dotyka czubka noska zdumionego dziecka, na sekundę rozlewa się po jego buzi, a potem... wraca do pióra i znika w jego wnętrzu.

Teraz staruszek dotyka piórem papieru, lecz zamiast wyrazów pojawia się coś, co wygląda niczym jarzący się błękitem kleks. Plama rozpływa się po kartce, w końcu zastyga na podobieństwo wosku ze stopionej świecy, a po chwili na powierzchni kleksa ukazuje się buzia... Amandy.

– To dla mnie na pamiątkę naszego spotkania, Amando – mówi staruszek. – A to dla ciebie. – Dotyka swojej głowy, a potem robi gest, jakby chciał ją pogładzić po główce. W miejscu, w którym czuje jego suche palce, pojawiają się pęcherze. Dziewczynka krzyczy z bólu, przewraca się i zaczyna płakać.

– Amanda! – słyszy głos ojca. – Amanda, skarbie, co się stało? – Troskliwe ramiona obejmują ją. Ból błyskawicznie mija. Otwiera oczy, chce pokazać ojcu, kto zrobił jej krzywdę, ale na ławeczce nikogo już nie ma. Po srebrnowłosym staruszku i zielonym smoku nie zostaje nawet wspomnienie w umyśle małego dziecka. Pamiątkami są chwilowy ból skroni, awantura, jaką matka robi ojcu, gdy dowiaduje się, co zaszło na spacerze, i przymus pocierania prawego ucha.

– A więc tak się to odbyło... – Dziewczyna ocknęła się z zamyślenia. – Jeden morganit dla matki, jeden ukryty w kuszy i trzy dla mnie, spięte półobręczą z qselinium. Dobrze się zabezpieczyłeś, Xaviere, przed Orianą, mroczniakami, a nawet słabością Ariel. Ale jeśli trowy dostaną Pióro... Dobra, potargujmy się! – krzyknęła, wychodząc z bramy kamienicy. Ruszyła krok za

krokiem w kierunku drzewa o gałęziach w kształcie anielskich skrzydeł. Ręce miała uniesione wysoko. Powinni widzieć, że jest bezbronna. Jej umysł zarejestrował potępiające spojrzenie Madeleine. Osłoniła go zaklęciem adger, bo i po co zdradzać swoje plany? Chmara wystraszonych gołębi z głośnym łopotem uleciała między czarnymi tubami.

Słudzy Sheridana niecierpliwie czekali na rozkazy. Wstrzymał ich gestem. Spojrzał triumfalnie na dziewczynę.

– Chyba wiem, jaka będzie twoja oferta. Zgadzam się. Oddaj Pióro i weź jedno z nich. – Machnął lekceważąco w stronę Ariel i Marcusa. – Tylko pospiesz się, pierścienie kończą się kształtować.

– Pióro jest warte dużo więcej. I, Sheridan, coś ci umknęło. Kiedy Xaviere otarł się o pierścień, Pióro przylgnęło do jego morganitów, podzieliło się na części i zostało wchłonięte przez kamienie.

– Skarbie, WIEM, że ty masz największy fragment. Drugi był w morganicie Ariel, a trzeci w kolbie kuszy. Jak widzisz, jestem dobrze poinformowany. Sugeruję nie przeciągać struny. Książę pan się niecierpliwi.

Tuby zawirowały, jęcząc metalicznie.

– SKARBIE – teraz Amanda zakpiła z trowa – sam rozumiesz, że twoja niewątpliwie kusząca oferta... za cholerę mnie nie satysfakcjonuje!

Wytrącony z równowagi sapnął wściekle raz czy dwa, ale szybko się opanował. Zerknął ukradkiem na księcia. Zrozumiała, że porozumiewają się na prywatnym kanale. Należało działać szybko. Tuby kończyły się formować. Wirowały leniwie nad ich

głowami i czekały. Wiedziała, że musi zrobić to sama. Sięgnęła za ucho i płynnym ruchem wyczarowała imitację morganitu.

– Chcę, żebyście zostawili enklawę za wąwozem w spokoju i uwolnili wszystkich tu obecnych. – Otworzyła dłoń i pokazała mroczniakowi jej zawartość. Uśmiechnął się z przymusem i skinął głową, a wtedy krzyknęła: – No to łap! – i cisnęła kamień w stronę trowa. Ten odruchowo wyciągnął ręce.

– Co robisz, durniu?! Wszyscy znikniemy! – wrzasnął w tym momencie Clayland.

Lecz było już za późno. Obydwaj mężczyźni spojrzeli z przerażeniem na pierścienie, podobnie ich słudzy. Wykorzystując chwilę zamieszania, dziewczyna mruknęła zaklęcie *volatum* i wtedy zdobiony akwamarynami sztylet dyskretnie wysunął się zza pazuchy Sheridana i mocą jej zaklęcia wpadł prosto w ręce Marcusa. Potem gwałtownym ruchem zerwała półobręcz z głowy. Wrzasnęła, bo ból niemal ją zamroczył. Oczom zebranych ukazały się trzy morganity wpięte w qselinium niczym oczka w drogocennym pierścionku. Znów wypowiedziała zaklęcie *volatum* i posłała kamienie wprost ku nadlatującym pierścieniom.

– Nie! – Sheridan zrozumiał swoją pomyłkę, lecz nie zdołał ich złapać.

Na jego oczach wszystkie fragmenty morganitu się połączyły. Pióro natychmiast rozpoczęło żmudną pracę. Amanda mruknęła jeszcze: „*Infirmarent*” i ponownie złapała spadającą obręcz wraz z kamieniami.

– Koniec targowania! – krzyknęła.

Spojrzała nienawistnie na sługusów trowa. Ci zaczęli się wycofywać. Nagle w tłumie rozległ się krzyk, a potem z dachu spadł z ogromnym impetem jeden z vivernów. W ślad za nim zaczęły się zsuwać bezszelestnie motyle.

– Co zrobiłaś? – syknął Clayland.

– Drobną zmianę w zapisie waszego pierścienia. Jako człowiek mogę to zrobić bezkarnie. Przejmiecie funkcje merrillów. Nie dziękuj mi, Sheridan, wiem, że zawsze o tym marzyłeś – zakpiła.

Uwolniony tłum rzucił się co sił w nogach do ucieczki przed spadającymi z dachów gadami. Sheridan z grupką najwytrwalszych podwładnych jeszcze próbował walczyć, lecz sił ubywało im w zastraszającym tempie. W bitwie, która na moment ponownie rozgorzała, to trowy okazały się słabszą stroną.

Osłabioną Ariel Marcus ukrył w pobliskiej bramie i sam pognał za Sheridanem. Zobaczył, jak ten w ostatnim ataku furii uderza toporem Kaya, a potem ciska broń ku Jaredowi. Rzucił się w tamtym kierunku, lecz harpia nie zdołała się uchylić. Ostrze wbiło się dokładnie pośrodku dopiero co odtworzonych skrzydeł. Były oficer ruszył pędem ku trowowi. Tamten nawet się nie cofnął. Ubabrany krwią harpii czekał zdyszany z toporem w garści i bezczelnym uśmiechem na twarzy. Nagle uśmiech zniknął i pojawiło się zaskoczenie, a potem przystojną twarz Sheridana wykrzywił ból. Odwrócił się. Za jego plecami stał Jack z kuszą w ręku.

– Użyteczny... Masz tupet – wyszeptał trow i wtedy dopadł go Marcus.

– Nie on jeden – warknął. – Może i jestem tylko twoją kopią, ale z pewnością lepszą od oryginału.

Z rozmachem wbił sztylet z akwamarynami w pierś tamtego i z całej siły przekręcił. Zanim trow upadł, usłyszeli pisk i coś runęło z impetem z nieba. Złapało Sheridana za głowę i uniosło ku górze. A potem wszyscy usłyszeli wrzask Madeleine i zobaczyli jej szpony skręcające mroczniakowi kark i ciskające nim o płyty rynku. Twarz harpii była mokra od łez. Wylądowała pod drzewem, przytuliła zwłoki Jareda i jej skowyt uniósł się w niebo. Chwilę później znów wzbiła się w powietrze i na dobre zniknęła im z oczu.

Marcus rzucił się ku bramie, w której zostawił Ariel. Zobaczył, że otwiera oczy, i zapłakał ze szczęścia. Ciemna kurtyna chmur przerzedziła się i w szczelinach, jakie powstały, kobieta dojrzała... promyki słońca. Podniosła dłoń do oczu, bo ten widok sprawił jej niemal fizyczny ból. Szczeliny między chmurami zaczęły się powiększać. Przybywało ich z każdą minutą, a wraz z nimi promieni słonecznych, blasku i światła, jakie pamiętała chyba z poprzedniego życia. Teraz Ariel podniosła już obie ręce do twarzy, myśląc, że oto traci po raz kolejny zmysły. Łzy spłynęły po jej policzkach. Łzy bólu wywołanego po części fizycznym cierpieniem, a po części udręką duszy. Wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić za wszystkie niegodziwości, jakich się dopuściła, choć wypełniała jedynie polecenia niczym bezwolna kukiełka. Nie szukała usprawiedliwienia dla swoich czynów, czuła jedynie ulgę. To koniec. Na jej oczach kolejne akty destrukcji mrocznego świata następowały jeden po drugim. Oto krążące nad miastem nihilizatory zaczęły zmieniać barwę. Głęboka czerń wirujących pierścieni ustąpiła miejsca wielu odcieniom szarości. Te z kolei jaśniały coraz bardziej, aż wreszcie ich śnieżna biel zmieniła się

w czystą strukturę kryształu o subtelnych odcieniach ametystu. Metaliczny dźwięk oznajmił światu, że oto miasto znów jest chronione. Powietrze stało się rześkie i przezroczyste. Ariel odwróciła głowę i napotkała spojrzenie tak dobrze jej znanych błękitnych oczu.

– Nie! Zostaw mnie! Daj mi już spokój! – krzyknęła przerażona.

– Ariel, to ja, Marcus – powiedział cicho.

Przytulił ją mocno i wyszeptał do ucha:

– To ja. Naprawdę. Odebrałem twoją wiadomość.

– Czemu mam ci wierzyć?

Uśmiechnął się łagodnie, popatrzył jej w oczy i znów wyszeptał:

– Bo tylko ja wiem, jaki jest najstarszy znany ludzkości sposób nagradzania bohaterów.

Wtuliła twarz w kołnierz jego koszuli i rozpłakała się na dobre. Chwilę gładził ją po włosach.

– Musi ponownie przejść przez wąwóz. Tylko to ją uzdrowi. Oddaj jej swój fragment morganitu i czekaj na nią w domu. – Ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

Bez wahania wykonał prośbę Amandy.

– Morganit wysyca krew qselinium. Na szczęście sporo miała tego drugiego, dlatego wytrzyma. Jak zawsze.

– Na pewno?

– Oczywiście.

– Wąwóz już raz odebrał jej siły. Skąd wiesz, co będzie teraz?

Uśmiechnęła się.

– To proste. Wąwóz karmi się istotami, które do niego wpadną. Ci, których pochłonie, zmieniają się w Rozpaczających, ale tych, co zdołają umknąć, może obdarzyć talentami. Często, jak

w przypadku mamy, zmienia właściwości ich morganitu. Nakarmiony zasypia na jakiś czas. Ona weszła tam przede mną, dlatego wyssał jej energię, a moją nie. Rzucę mu na pożarcie trochę trowów i poczekam, aż zacznie chrapać, a wtedy przemkniemy pod samym jego nosem. – Amanda zachichotała.

Błękitne oczy spojrzały na nią uważnie.

– Będziesz dobrą Naczelną, Amando.

Znów się uśmiechnęła.

– Jakie to uczucie, Marcus, nigdy nie nosić morganitu, a potem nagle go dostać?

– Odlotowe!

EPILOG

Szczęk zamka zapowiedział koniec psot.

– Jared, Kay – syknął. – Wskakiwać do łóżeczek, już!

– Ale, tato – jęknęli chłopcy i zleźli z bujanych koników, które jeszcze przed chwilą latały po mieszkaniu niczym najprawdziwsze pegazy.

– Bez dyskusji. Mamy umowę czy nie? Ariel nic nie wie. Pełna konspiracja!

– No dobra, już idziemy. Że też zgodziliśmy się na takie głupoty – zaczął marudzić Kay.

– Śmigać!

Dwóch chłopców, na oko dwuletnich, pobiegło do łóżeczek. Podejrzanie sprawnie jak na swój wiek przeskoczyli przez barierki i nakryli się kołderkami. Marcus zobaczył jeszcze ich zdegustowane miny, gdy sięgali po smoczki, a potem posłusznie zaczęli udawać gaworzące niemowlaki. Dokładnie w tym momencie w drzwiach stanęła ich mama.

– Cześć, Ariel. – Ucałował ją na powitanie. – Jak było?

– W porządku. Ukarałam Wiltona, tak jak prosiła Amanda.

– A co z Jackiem?

– Załamał się po śmierci Trei, ale teraz już jest dobrze. Przeniósł się z Tonym do enklawy, a Orestes zapoznał go z Renee. Wydaje mi się...

– Tak?

– A nie, nic. Mam tylko nadzieję, że ona zdoła go wyciągnąć z depresji.

– Gadałaś z Naczelnymi?

– Tylko z Celestynem.

– Czemu nic nie wiedzieli o Rozpaczających i całej reszcie?

– Ech, wiesz, jak to jest, dobrobyt i biurokracja... Ktoś lekkomyślnie nie przekaże informacji...

– Jasne.

– Za to Amandzie spodobał się powrót do Oazy. Chyba ma dość przygód. Przynajmniej na razie. – Ariel się uśmiechnęła. – I wiesz, zdaje się, że znalazła sobie chłopaka. Ma na imię Jake. To trochę taka niezdara. – Zachichotała. – Słyszałam, jak umawiali się na pizzę.

Przytuliła się do Marcusa.

– Mam coś dla ciebie.

Na otwartej dłoni pojawił się woreczek z zielonkawą łuską i długim czarnym włosem w środku.

– Masz pozdrowienia od Croya i Trevora – powiedziała, widząc pytanie w jego oczach.

I on się do niej uśmiechnął; patrząc na nią i synów, pomyślał, że to wielkie szczęście, że tak mało zapamiętała z pobytu w podziemnym mieście.

– Jak Kay i Jared? Grzeczni? Nie miałeś z nimi kłopotów?

– Niee, tylko parę razy przelecieli po pokoju na pegazach i pogonili chochliki, ale poza tym to świetne chłopaki. – Marcus zarechotał.

– Żartowniś. – Ariel uśmiechnęła się, pacnęła go w pierś i ucałowała synów.

KONIEC

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla Moniki Regulskiej oraz całej ekipy Naszej Księgarni – bez Ich wiary w *Dziewiątego Maga* oraz zaangażowania nie byłoby tej książki.

Osobne *big thanks* dla mojej Córki za to, że pogodziła się z pisarskim szaleństwem matki :).

O autorce

Alice Rosalie Reystone

jest lekarką zawodowo udzielającą się we własnej przychodni dla zwierząt. Stan posiadania: jedno dziecko i czterech kocich terrorystów. Naturę kotów zgłębiła w stopniu doskonałym, dzieci do tej pory zrozumieć nie może, choć prace nad tym trwają. Wolne chwile poświęca uprawianiu hobby, jakim jest bajkopisarstwo dla dorosłych, a inspiracji dostarczają jej ciężkie brzmienia Evanescence, Nightwish oraz cudowny głos Tarji Turunen. Uważa książki, muzykę i kino za jedne z najcudowniejszych wynalazków ludzkości. Jest zodiakalnym Bykiem, ale ma naturę kota-domatora i tylko kataklizm byłby w stanie wyciągnąć ją z domu. Bardziej od robienia oszałamiającej kariery i udziału w jakże popularnym w dzisiejszych czasach wyścigu szczurów interesuje ją spokojne życie w toskańskim stylu z dobrym winem, niezłym jedzeniem oraz gronem sprawdzonych przyjaciół w tle.

A.R. Reystone to pseudonim polskiej pisarki fantasy, która debiutowała w 2010 roku. W Wydawnictwie „Nasza Księgarnia" ukazała się jej trylogia Dziewiąty Mag.

Autorka zaprasza na swoją stronę

http://www.facebook.com/DziewiatyMag

This edition © copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2013
Text © copyright by A.R. Reystone 2013 by arrangement with
Syndykat Autorów

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki i typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Redakcja *Sylwia Sandowska-Dobija*
Korekta *Krystyna Lesińska, Malwina Łozińska, Ewa Mościcka*
Redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*
Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12361-9

Plik wyprodukowany na podstawie *Dziewiąty Mag. Dziedzictwo*,
Warszawa 2013

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

eLib.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl